JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

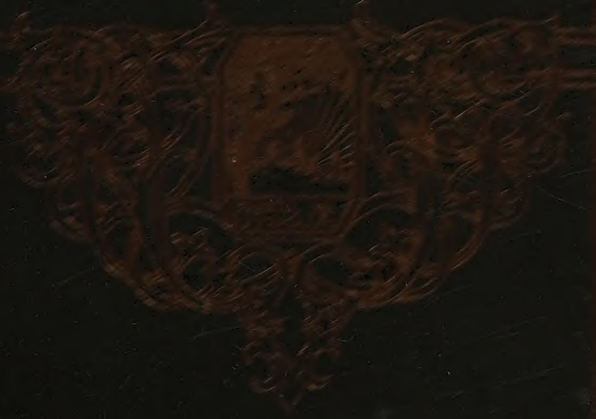

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
MARCTA
W WARSZAWIE

BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

KORDECKI

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE

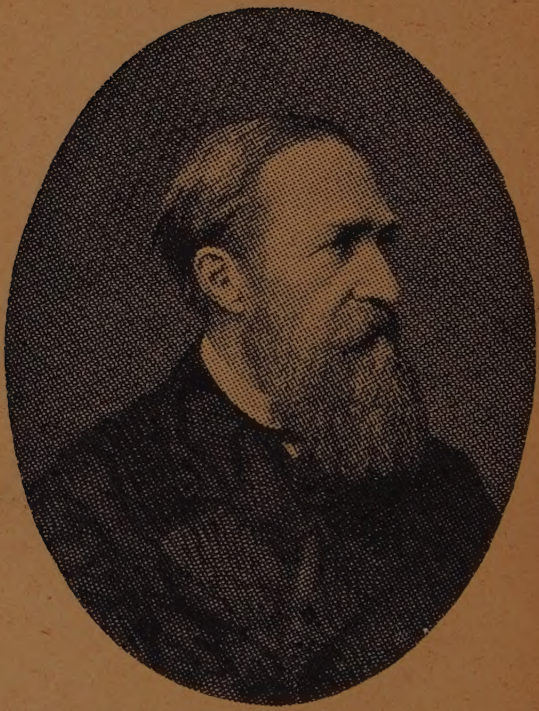

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

u r. 1812 r. um. 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LVI

J. I. KRASZEWSKI

KORDECKI

OBRONA CZĘSTOCHOWY

CZĘŚĆ I

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

ODBITO NA PAPIERZE KRAJOWYM Z FABRYKI PAPIERU I TEKTUR „PILICA"

SŁÓWKO AUTORA

Nikt się nam dziwić nie powinien, żeśmy zuchwale rzucili się na taki przedmiot, jakim jest Kordecki: dość przeczytać Gigantomachję, aby uczuć się pociągnionym ku niemu. Nie żałujemy też wcale uczynionej próby, jakkolwiek krytyka zarzucić jej mogła wiele, i my sami odczytując, więcej może jeszcze upatrujemy w niej niedostatków. W dziejach naszych jest to karta tak cudowna i pociągająca, jak historja Dziewicy Orleańskiej dla Francji: — im bardziej się w nią wpatruje, tem więcej bije w oczy ogrom i piękność tego niepojętego faktu. Stanąwszy w Częstochowie, pod wpływem wrażenia, jakiego się tam doznaje, historja Kordeckiego przybiera cudowniejsze jeszcze barwy. Miałem tego przykład na sobie, zwiedzając po raz pierwszy to miejsce święte w roku 1855. Dziś jeszcze można zdać sobie sprawę z oblężenia, środków obrony cudownej i dotykalnie przekonać, że tylko wiarą natchnieni ludzie, pod wodzą takiego bohatera, jak Kordecki, mogli skuteczny stawić opór w słabej i małej twierdzy przeciw nierównie przemagającej sile nieprzyjaciela. Z klasztoru poglądając na okolicę, oznaczysz dziś jeszcze stanowisko wojsk, teatr wszystkich wypadków i rozmierzysz niebezpieczeństwo, w jakiem zostawała mała załoga heroicznych paulinów.

Szukaliśmy wewnątrz pamiątek po Kordeckim i, z żalem, nie znaleźliśmy ich prawie: — postać ta idealna cała się ulotniła i rozpłynęła, nic nie zostawiając po sobie. Jest tylko w szeregu przeorów lichy portret wielkiego człowieka, u którego stóp malarz położył hełm i zbroję, jako godła rycerza Bogarodzicy — i to wszystko. Nowy portret w skarbcu równie, jak ten, nie zaspokaja, wszakże dobry malarz możeby potrafił odgadnąć rysy Kordeckiego z nieforemnej próby. Pytaliśmy troskliwie o popioły przeora, ale pokora chrześcijańska nie dozwoliła ich oddzielić: zmieszały się dawno z kośćmi innych zmarłych we wspólnym gro-

bie. Nic zresztą, ani jednego szczątku, ani najdrobniejszego okruchu, któryby przypominał ks. Augustyna. Nie sądzę, żeby współcześni lub bliscy jego epoki tak byli obojętni, raczejbym się domyślał własnej jego woli w tem zaparciu się sławy ziemskiej. Zresztą cała Częstochowa pełna jest Kordeckiego: wszystko go tu silnie i wymownie przypomina. Domyślać się można celi, w której się modlił, a gdziekolwiek stąpisz, nie rozminiesz się ze śladem jego stopy.

I.

Na podniosłem, kamienistem wzgórzu, wśród okolicy zasianej wioskami, pagórkami, na których sterczą zamków zwaliska, piaszczystemi przestrzeniami, wśród widnokręgu, opasanego wdali sinych wzgórków pasmem, wznosi się klasztor i kościół Częstochowski, około którego siedziby ludzi, lasy, pola, grody, kaplice zdają się, jak ciżba, posłuszne przed panem pochylać czoło. Stary ten gmach warowny, zamczysko Marji, budowany powolnie przez długie wieki, obwiedziony murem jak rycerskim pasem, którego brama zdaje się zdala klamrą ozdobną, ścianami kościoła wybiegł wysoko ponad inne budowy, a wyżej jeszcze nad nie wieżyca z gankami spięła się pod obłoki, na ramionach krzyż piastując złocisty. Nieco niżej, pod cieniem jego, na dachu kościelnym, w promienistem kole, obraz Najświętszej Panny wskazuje mnogim zdaleka pielgrzymom, że tu ich opiekunki stary a święty wizerunek złożono. Dokoła gmachu kościelnego cisną się przybudowane kaplice, ule, z których, jak brzęki pszczół, dolatują głosy modlących się zakonników, pszczółek tej Bożej pasieki. Tuż blisko kilku facjatami bieleje klasztor obszerny i piękny, po którym znać, że go królewskie i książęce wznosiły dłonie, że go troskliwa wiernych zdobiła pobożność, że go rozszerzała gorliwość ludu o chwałę Bożą i chwałę Marji. Wcześnie to święte miejsce, w rycerskim kraju, na pograniczu stojąc, kilkakroć napadane i rabowane, przywdziało zbroję murową. Po rogach kortyn strażnice krągłe i czworogranne, różnych lat i pochodzenia, zkolei przyszły pilnować Jasnej Góry, i zwrócone w różne strony, poglądają, jakby czuwały od nieprzyjaciela.

U podnóża góry, o kilkaset kroków od twierdzy jasnogórskiej, niewielki kościołek Św. Barbary, świeżej jeszcze budowy, bo lat zaledwie kilkadziesiąt liczący, błyszczy się po-

nad nowicjatu klasztornego kamienicą. Z drugiej strony kościół Św. Rocha, patrona od morowej zarazy, łączy niejako twierdzę z miasteczkiem klasztornem, którego Fara starożytna ponad czarne dachy mieszczańskich domostw dźwiga się poważnie. Dokoła murów (znać dawno nie widziały wojny i nie służyły za ochronę) poczepiały się swobodnie drewniane kletki, jak gniazda jaskółek, coraz rozprzestrzeniając się dalej a szerzej. Są to kramiki przekupniów, którzy pod murami klasztoru stoją, czekając na pielgrzymów z pamiątkami Jasnej Góry; znajdziesz u nich obrazki Bogarodzicy wielkie i małe, drogie i tanie, złociste i skromne, na blasze i na papierze; pobożne książeczki, pieśni na chwałę Bożej Matki, szkaplerze z Jej imieniem, krzyżyki, paciorki, różańce i owe listy misternie sztychowane, w których środku błyszczy obraz cudowny, i tysiące innych drobnostek, co je w każde święto i niedzielę święcą paulini u ołtarza, ocierają o cyprysową deskę i rozdają nazad wędrowcom. Znaczna tu część uboższych mieszczan pod płaszczem swej opiekunki na życie zarabia, żywiąc się pobożnością tłumów, które falami płyną do cudownego obrazu.

I dziś tu niepusto; lecz jakże tu było w święte owe, w złote wieki wiary niezachwianej jeszcze i gorącej czci Bogarodzicy. Nie tylko Polska cała, Ruś, Litwa, Mazowsze, Śląsk pograniczny dostarczały pobożnych pątników; słały je Czechy, Morawy, Węgry i Niemcy, i dalsze świata kraje, bo obraz Częstochowski na cały świat słynął. I jak do Rzymu z południa, tu z całego północo-wschodu Europy długie karawany pielgrzymów szły z modlitwą i pieśnią do Orędowniczki strapionych. Jak u ogniska wielkiego koła skupiają się promienie, tak tu jednoczyły się i spotykały ze wszech stron biegnące tłumy, schodząc pod Jasną Górą z jednemi łzami, z jedną modlitwą — Poratuj!

Ci szli pieszo, bogate wiodąc za sobą cugi i liczne dwory, których pomocy dobrowolnie się wyrzekali; drudzy powolniej jeszcze, trzy kroki naprzód, dwa nazad postępując, sunęli się z gorliwemi prośbami, inni pielgrzymowali o chlebie i wodzie, inni o jałmużnie i ubóstwie umyślnem, ofiarowanem Bogu, inni, pokutując, wlekli się na kolanach, dźwigając na sobie krzyże i ciężkie łańcuchy; a wszyscy ci cierpiący boleścią i cierpiący grzechem, zboleli i potrzebujący pomocy schodzili się ubogi z bogatym, wieśniak z senatorem razem u jednego ołtarza, równemi dziećmi jednej matki. Piękny to był i rozrzewniający widok, gdy naprzeciwko

strudzonym pielgrzymom wychodzili paulini z krzyżem, chorągwiami, witając ich i wiodąc do przybytku, którego straż powierzona im była. Znużonym naówczas przybywało siły, wypłakane oczy łzą się świeżą zlewały, modlitwa gorliwsza i gorętsza wyrywała się z ust spiekłych, i każdy, padając na twarz przed odsłonionym obrazem, uczuwał jakby mu brzemię wielkie z ramion się stoczyło, jakby cały ciężar boleści złożył u stóp Najświętszej Matki.

Obraz ten na Jasnej Górze od wieków już przyświecał Polsce błogosławionem światłem cudu, budząc w sercach wiarę, przywołując grzeszników ku sobie, sypiąc, jak promieniami, łaskami dokoła. Nie było nikogo, coby stąd odszedł niepocieszony, nierozrzewniony, nieuspokojony na duszy, maluczką ofiarę swej boleści złożywszy przed matką tego, który Bogiem będąc, chciał dla nas cierpieć jak człowiek i jak złoczyńca umierać. Wpatrując się w obraz tej Matki Bolesnej, tego ukrzyżowanego Boga, malało i drobniało cierpienie ludzkie, wspomnieniem wielkiej, krwawej, tajemniczej ofiary. Od XIV wieku obraz piastowała Jasna Góra, a królowie i książęta, ubodzy i żebracy zarówno z możnymi do podniesienia tego tronu patronki królestwa się przyczynili. Każdy tu przyniósł, co mógł, król dał garść złota, hetman buławę swoją wieszał u obrazu, ubogi święcił mu pierścień swój ślubny, żebrak woskową nogę lub rękę lnem obwiniętą kładł z groszem u skarbony. Biskup przekazywał swój kielich złoty, szlachcic zawieszał lampę; każdy stroił, ubierał, bogacił to miejsce, imię swe zapisując dobrodziejstwem. I z tych ofiar tysiącznych wznosił się powoli kościół, dźwignęły mury klasztorne, wyrosła wieżyca, zabłysły ołtarze, lane ze srebra posągi świętych stanęły orszakiem przy obrazie Bogarodzicy, a skarbiec stał się istotnie skarbcem, bo w nim droższe od klejnotów gromadziły się pamiątki.

Nie było domu, nie było kościoła, gdziebyś Najświętszej Panny Częstochowskiej nie znalazł, a cudami wsławione jej wizerunki rozsiane były po całym kraju; w Głogówku na Śląsku, w Sokalu na Rusi, w Topolnie Pruskim, w Uchaniu na Wołyniu, w Oporowie księstwie Łowickiem, we Mstowie, Krakowie, w Neustadt w Austrji, w Rzymie nawet pobożni, nie mogący dostać się do Częstochowy, znajdowali obrazu świętego Łukasza kopje, równie cudowne jak cyprysowa deska, na której, wedle podania, ewangelista w chwili natchnienia odtworzył oblicze Najświętszej niewiasty. Drobne

obrazeczki były wszędzie, w chatach wieśniaków nad łożem ubogiem, na zbroi szlachcica, na pierścieniach kobiet, u mniszych różańców.

Możem-że nie powiedzieć choć słów kilku o dziejach tego miejsca i obrazu?

Jak wszystkie starożytne pomniki, Częstochowska Bogarodzica ma swoją historję, nawpół poemat-legendę, nawpół kronikę; nie brak tu, jak w każdym wianku, co go plotły wieki, różnego rodzaju kwiatów, prawdziwych i robionych. Z ust do ust przechodząc, podanie wykrzywiło się w jednych, wyrosło w drugich na pieśń pobożną; a ci, co je spisywali, chcąc pogodzić historję z marzeniem bogobojnych, zagmatwali więcej jeszcze tajemnicze dzieje świętego wizerunku. Przebył on różne i dziwne koleje.

Wieść niesie, że św. Łukasz, malarz-ewangelista, ów patron artystów, twarz Bogarodzicy sam w zachwycie odmalował na stoliku cyprysowym, który służył świętej dziewicy, na którym wedle słów legendy „roboty odprawowała i Pismo Święte czytała, o tajemnicach i rzeczach niebieskich rozmyślając. Stolik ten, tablicę tę, łzami swemi świętemi skrapiała i poświęciła, a gdy posiłku była potrzeba, przy nim używała pokarmu".

Na tej to desce cyprysu, którą sam Jezus, przybrany syn ubogiego cieśli, miał ręką wszechmocną na prosty stół dla matki wyciosać, dając nam przykład pracy, malarz święty twarz Bogarodzicy z synaczkiem na ręku wyrył dla pobożnych niewiast jerozolimskich. Obraz ten w ciągu wieków przechodził rąk wiele, nim się do Polski dostał. Miała go sobie objawionym cesarzowa Helena (gdyż w zburzeniu Jeruzalemu przez Tytusa cudownie ocalał) i uwiozła go z sobą do Konstantynopola. Irena ocaliła go od wściekłej zajadłości ikonoklastów. Nicefor cesarz nareszcie uczynił z niego ofiarę Karolowi Wilhelmowi (803—810). Później wizerunek ten towarzyszył wojownikowi w jego wyprawach; lecz jak przeszedł od tego podbójcy Słowian do słowiańskiego na Rusi książęcia, Bóg to wie jeden. Znajdujemy go później w ręku Władysława, księcia opolskiego, wedle podania w Bełżu, lub prawdopodobniej na innym jakim zamku w jego posiadłościach. Częstochowa, późniejsza strażniczka tej relikwji, która miała Polsce patronkę zachować, była naówczas niewielką osadą, wpobliżu potężnego Olsztyna. Olsztyn, dzieło ręki ludzkiej, dziś w gruzach i upadku, dojrzysz go z wieży szczerbami murów rozsypanych ciemniejącego

wdali; — Częstochowa, pobożności wieków córka, przeżywa jego ruinę, coraz się wyżej podnosząc. W czternastym, zdaje się, wieku miejsce to silniej wzrosnąć musiało, znaczniejsza utworzyła się tu osada, a Władysław opolski, który za niespokojne posiadanie Rusi zamienił w r. 1377 księstwo Dobrzyńskie, Bydgoszcz, ziemię wieluńską i starostwo olsztyńskie, pierwszym był zakładcą przyszłej wielkości świętego miejsca.

Czy na zamku w Bełżu, czy gdzie indziej, bo te podania trudno z historją pogodzić, Władysław oblężony został przez Tatarów — ów bicz Boży na słowiańskie ziemie, którego chłosta wyrobić miała w ludach rycerskiego ducha męstwo i siły na przyszłość. Najście tatarskie było gwałtowne, niespodziane i zastało księcia z garścią ludzi, bezsilnego, więcej rachującego na pomoc Bożą, niż na odwagę załogi. Obraz był naówczas w domowej księcia kapliczce; przed nim padł na twarz z rzewnemi modły, błagając o ratunek Władysław. Gdy na modlitwie klęczy, a załoga jak może opiera się jeszcze tatarskiej nawale, strzała poganina brzękła oknem kaplicy, świsnęła nad głową księcia i uwięzła w szyi obrazu. Na widok tego świętokradztwa, którego ślady nosi deska do dziś dnia, książę ze łzami zawołał o pomstę do Boga. I oto burza z gromami i wichrem ogromnym przyszła w odsiecz oblężonym; popłoch się wszczął między oblegającymi; załoga wsparta piorunami i ciemnością wyskoczyła, księcia mając na czele. Tatarzy uciekli rozbici. Po tem zwycięstwie nad niewiernymi Władysław, cudu pamiętny, obraz chciał uwieźć z sobą na Śląsk do Opola, ale objawienie we śnie wskazało mu, by go w Częstochowie zostawił.

W r. 1382 wizerunek święty stanął na miejscu przeznaczenia i powierzony został straży paulinów, zakonu w Węgrzech z pobożności i gorliwości wsławionego. Wśród rozległej płaszczyzny, którą przepływa Warta, dążąc ku Odrze, na wzniosłej skalistej górze, panującej szerokiej okolicy, pobudowano pierwsze domostwa dla zakonników, a stary kościołek, już tu istniejący, opromienił się nową świętością i stał zarodem gmachów, które wieki powolnie wznosić miały.

Paulini, zakon zwany braćmi śmierci, mieli sobie nadane niektóre wsie w okolicy, czynsze, dziesięciny i dochody z młynów i miodów. Po śmierci Ludwika olsztyńskie starostwo z Częstochową powróciło do Polski, choć nierychło.

Władysław Jagiełło z królów naszych był pierwszym dobroczyńcą tego miejsca. Paulinom dodano Częstochowę starą, kilka wsi bliższych i roczny dochód z czynszów miejskich. Uwolniono klasztor od ciężkich naówczas obowiązków podejmowania własnym kosztem urzędników i posłów. Pobożny Jagiełło w lat kilkadziesiąt później stanowił swoje nadania, gdyż już sława częstochowskiego obrazu, rozszerzając się coraz głośniej, nie tylko z Polski, ale z sąsiedniego Śląska, Morawji, Prus i Węgier zwabiała tysiące pielgrzymów.

Jak niegdyś za Chrobrego lud jeszcze świeżo z pogańskiego błędu do wiary przyszedłszy, zdjęty chciwością, napadał na świeżo założoną pustelnię, o bryle złota w niej posłyszawszy, tak i tu znowu mnogość ofiar, rozgłos skarbów wznieciły w ludziach, zarażonych niewiarą husytów, a niewiele pojmujących świętości, żądzę rabunku i łupieży. Nieszczęściem swoi to nawet, pod imieniem husytów ukryci, zebrawszy włóczęgów i rabusiów z pogranicznych krajów, byli sprawcami tego napadu na Częstochowę. Niejaki Jakób Nadobny z Rogowa Działosza, Jan Kuropatwa z Łańcuchowa Śreniawita i inni jacyś, zebrawszy ciurów ze Śląska, z Czech i Morawji, w sam dzień Wielkiej Nocy wpadli na Jasną Górę, nieobronną wówczas jeszcze i stojącą otworem, bo nie obawiającą się napaści, tak ją zdawała się świętość obrazu osłaniać. Szukali oni skarbów, a znaleźli to tylko, co pobożność w ofierze złożyła na ołtarzu: kielichy, krzyże, blachy, okrywające cyprysową tablicę, i poświęcone naczynia kościelne. Jęli się więc tego rabusie i sam nawet obraz, z ołtarza wydarłszy, unieśli, zapewne dla bogatych jego sukni, których zerwać nie mogli: chcąc odbić blachy, szablami i rapierami cięli kilkakroć starożytny wizerunek; ale nie mogąc tego dokonać, choć połamali deskę, rzucili ją i uciekli. Zbrodnia ta ukryć się nie mogła, dwaj naczelnicy i z nimi spólnicy ich w więzieniu lub pod mieczem życie skończyli. Poczciwi mnisi później, nie chcąc przypomnieniem występku kalać rodzin niewinnych, złożyli to na husytów; i choć Działosza i Śreniawa dowodzili napadem, wina spadła na innowierców.

Podanie mówi, że świętokradcy wielkością swej zbrodni przejęci, jakby obłąkani, czy to dla ciężaru, jakim cudowny obraz na wóz rzucony od porwania się bronił, czy z innego powodu, o ziemię nim cisnąwszy, rozłupali go między Krowodrzą a Dźbowem, a sami w większej części nagłą

śmiercią poginęli. Zakonnicy, ochłonąwszy z przestrachu, biegli zapewne szukać śladu złoczyńców, gdy natrafili na obraz w błocie leżący i strzaskany. Dla obmycia świętego wizerunku wytrysło źródło, gdzie później stanął kościołek Świętej Barbary. Napróżno starano się cięcia mieczów i ślady uderzeń zamalować; pozostały one na świadectwo o występku wiekuiste; stokroć zakryte, zawsze nawierzch wracały, i odtąd są jakby męczeństwa obrazu blizną.

W piętnastym wieku paulini z tej szkółki i rozsadnika częstochowskiego rozeszli się po Polsce, niosąc z sobą wszędzie cześć Matki Bożej Częstochowskiej: do Pińczowa, do Wielunia, Włodawy i innych miejsc. Nowy napad Czechów w r. 1466-ym spustoszył Częstochowę i okolicę; mnisi jednak okupić mu się mogli i świętokradzkie dłonie nie dotknęły obrazu. Odtąd cicho było na Jasnej Górze, rosły tylko nadania, cisnęli się tłumnie pielgrzymi, sypały pobożnych ofiary. Kazimierz Jagiellończyk przybywa z rodziną i dworem pomodlić się przed Opiekunką Polski, niosąc Jej nowe dary królewskie, nadania włości i swobód. Królowie wszyscy potwierdzają przywileje poprzedników, pomnażają je i bogacą kościół i klasztor. Sama osada częstochowska pod skrzydłami Orędowniczki wzniosła się znacznie, urosła i pomnożyła w ludność, z mieściny na gród poważny wychodząc.

Zygmunt Pierwszy wzorem braci złożył na ołtarzu nie tylko kartę konfirmacyjną, ale droższe dzieło rąk swoich. Król ten artysta, co kochał się w tworach sztuki i sam je w chwilach odpoczynku dokonywał z pomocą biegłych kunsztmistrzów, ofiarował relikwiarz w kształcie krzyża misternej roboty, z częścią drzewa Krzyża Świętego i wielką piękną monstrancją. Skarbiec częstochowski musiał już wówczas zawierać mnóstwo szacownych darów i drogich pamiątek, których część do naszych czasów dochował, gdy Zygmunt umyślnym listem upominał paulinów, aby ich nie trwonili *).

Odtąd wznosiła się, budowała tylko i stroiła Częstochowa.

Za Zygmunta III-go, gdy smak w budownictwie nowem coraz się bardziej upowszechniał, a stare, drobnych rozmia-

*) Zygmuntowskie owe słowo spełniło się i spełnia do dziś dnia; w całym kraju nie mamy skarbca, któryby nietylko bogactwem, ale pamiątkami sprostał częstochowskiemu. P. A.

rów kościołki gotyckie po całej Polsce na wielkie gmachy zmieniać poczęły; w chwili może, gdy najmniej modlić się miano, a najbardziej pobożnymi okazywali wszyscy, częstochowski kościół i klasztor, zapragnąwszy zrównać się z innemi, poczęły dźwigać do góry.

Świątynię murem otaczać, wznosić budowy okazalsze i trwalsze czynnie zaczęli paulini w samą porę, bo znów napady i niepokoje do czuwania zmusić ich miały. W końcu pierwszej ćwierci XVII wieku już mur okolny przynajmniej otaczał Jasnej Góry szczyty. Rzym obdarzył ją przywilejami i odpustami domu Loretańskiego, którego szczątek zachowywała, bo stołu brakło w Lorecie.

Ofiara ubogiego zakonnika, ostatniego mówcy, co gorzał płomieniem wiary, księdza Piotra Skargi, godną jest wspomnienia; przysłał on do ołtarza gromnicę ręką swoją zlepioną; — dopaliła się z nim razem i zgasła w chwili jego zgonu *).

Nacóż w tych wspomnieniach Częstochowy musimy zapisać i zjazd arcyksięcia Karola rakuskiego z Zygmuntem III, gdzie w wojnę nieszczęśliwą wciągniony został król polski za sprawę niemiecką?

Syn Zygmunta, pobożny i waleczny Władysław IV, obsypał darami Częstochowę; sam on w r. 1633, jakby błagając o siły nieba na trudne panowanie nad krajem, upadł twarzą i westchnął do Matki Bożej. On także, jakby przeczuwał przyszłe wichry i burze, przyśpieszał ukończenie rozpoczętej twierdzy i otoczył przybytek ten od napaści, którą nie wiem czy przewidział. Prorocze chyba miał oko i serce prorocze, a może tęskne przeczucie mówiło mu, że nie zostawi potomka i w ręce słabego Jana Kazimierza odda jagiellońskie berło.

Bytność Władysława IV, złamanego chorobą, bezsilnego przed starością, jakąż przedstawia sprzeczność z odwiedzinami Jagiellończyka, którego kwitnąca otaczała rodzina i jasne nadzieje. Oba byli jakby uosobieniem przyszłości; — tu spokój i wesele, tam smutek i obawa, znękanie, boleść i straszne widma dnia jutrzejszego.

Już na szczycie Jasnej Góry wzniosły się poważne ściany nowego kościoła, kaplicy i klasztoru; u stóp jej, na miejscu, gdzie wytrysło źródło, wystawiono mały kościołek Św.

*) Nie widziałem w skarbcu tej relikwji, szkoda, bo najkosztowniejszy kamień w sukienkach Bogarodzicy nie zrównałby mu wartością. P. A.

Barbary; z drugiej strony, jakby na straży, stanęła kapliczka Św. Rocha, z trzeciej — Św. Jakóba. Kaplica obrazu Marji rozszerzyła się i powiększyła znacznie, a z darów i skarbów przyzbieranych przez wieki pomyślano o ulaniu srebrnych posągów, o ubraniu w czarny heban i srebro wielkiego ołtarza, na podniętę łakomstwa nowych husytów.

Władysław IV, po raz drugi jadąc za zwłokami żony, wstąpił popłakać w Częstochowie, ale jeszcze u boku jego stał pocieszyciel syn, którego mu wkrótce niebo odebrać miało. Piszą, że dziecię dwa razy, nie przestrzeżone, upadło z uczuciem przed obrazem Marji, jakby wypraszając się śmierci, jakby modląc niewinną duszą za kraj, nad którym panować miało; ale Bóg nie chciał zostawić go na męczeństwo za żywota i po śmierci, na walkę z ludem i wspomnieniem; wziął je do siebie nim dotknęło korony ojców swoich, czystej, smutnej, świętej, ale cierniem przeplecionej.

Poprzednik Jana Kazimierza był jednym z królów, którzy najwięcej po sobie pamiątek zostawili w Częstochowie; kilka razy sam zwiedzał to miejsce, a dogorywający już na łożu śmierci, doznawszy ulgi w cierpieniach, słał tu jeszcze wota i modły dziękczynne — ostatnie. Umarł; po nim Jan Kazimierz słabą dłonią wziął ciężką puściznę. Jadąc na koronację, pobożny Jagiellonów potomek nie minął obrazu Bogarodzicy; powtórnie potem, żonaty już, przyszedł po błogosławieństwo małżeństwa, które wielkie poszanowanie całego narodu dla praw kościelnych czyniło w oczach wszystkich nieledwie występnem. Wołano na Zygmunta III, że wziął siostrę po siostrze, więcej jeszcze na Jana Kazimierza, gdy żonę brata, niedawno mnichem będąc, poślubił. Ale gdy się to dokonało, wrzawa ucichła westchnieniem żalu przerwana. Chciano od króla naówczas poszanowania ścisłego praw kościelnych i krajowych, aby zaświeciło przykładem, bo przychodziły czasy rozprzężenia i upadku.

W Częstochowie tymczasem ozdabiano kaplicę, wznoszono ołtarz, lano posągi srebrne, a wieść o bogactwach przybytku Marji rozchodziła się daleko na nieszczęście. Chmurzyło się niebo nad Polską, złowrogie znaki, które w owych czasach pełen wiary lud za oznajmienie litościwego Boga uważał, przepowiadając chłostę, nim nadeszła, mnożyły się co chwila. Na kilka lat przed chwilą, o której mowa, spłonęła podpalona przez złoczyńców Częstochowa miasteczko; rokiem przed wielkiemi najazdy ogień przypadkowy zniszczył wyniosłą wieżę kościelną. Na niebiosach iskrzy-

ły się miotły i tajemnicze błyskały postacie; przestrach uciskał serca wszystkich.

Pobożni z przerażeniem upatrywali tych znamion wróżebnych na ziemi i niebie, na twarzach gwiazd i słońca; wierzyli jeszcze, że Ojciec wprzód, nim dopuści karę, przestrzega. I niepróżne były obawy, bo straszne zbliżały się czasy, niebyłych klęsk, niewidzianego upokorzenia i niedoli.

Żaden z cudownych obrazów, których prawowierna Polska pełną była, nie wsławił się tak rozgłośnie i szeroko, do żadnego miejsca nie płynęło tyle ludu. Jakkolwiek położona na pograniczu, wabiła Częstochowa pielgrzymów ze wszystkich dawnej Polski krańców. Nawet reforma, co rozdzierając kraj na dwoje raz pierwszy i szarpiąc go na bojujące stronnictwa, zaród śmierci rzuciła w zdrowe jego ciało, nie potrafiła odjąć Matce Bożej gorliwych czcicieli i oderwała tylko ostygłych, lecz goręcej jeszcze przywiązała prawdziwe Jej dzieci.

A ileż to wyrzeczeń się błędu, ile powrotów do wiary widział czarny ołtarz Bogarodzicy. Jakby po chwilowem obłąkaniu, kraj pod panowaniem Zygmunta III począł znowu, rzekłbyś rozcięte ciało, pracować nad zrośnieniem się i zjednoczeniem; odszczepieńcy tłumami powracali na łono Kościoła, synowie odstępców wyrzekali się błędów ojcowskich, rodziny zdawna heretyckie po raz pierwszy uczuwały prawdę katolicyzmu. Zdawało się to rokować szczęśliwie; ale kraj, w którego łono padnie nasienie niewiary, co raz ostygnie i kosztuje owocu śmierci, prędzej lub później konać musi w powolnych męczarniach, dopóki ten brak żywota nie uleczy się odrodzeniem religijnem.

I zmarł Zygmunt III, niepojęty przez nikogo, gdy nad zjednoczeniem narodu pracował nadaremnie, przeklinany, gdy nawracał, powitany krzykiem i buntem, gdy chciał w swym ręku skupić władzę, aby jej użyć na spotężnienie Polski; zmarł nieopłakiwany, dając następcy dwie korony, jedną lekką, bo imieniem tylko koronę, drugą za ciężką, niestety! Wojownik i rycerz nadewszystko, Władysław, pomimo sławionych zwycięstw swoich, uczuł, że ani straconej odzyskać, ani posiadanej dźwignąć los mu nie pozwoli. Dziwnie czasem Bóg w nieprzyjaznej mądrości swej splata królestw przeznaczenie; tu brakło potomków, gdy ich najwięcej było potrzeba, nie dostawało siły, uciekało życie, gdy na niem zależała przyszłość kraju. Wstąpił na tron brat drugi, mnich, żołnierz, lecz nie na władcę stworzony, i w chwili,

gdy się o czczy tytuł upierał, prawdziwe królestwo jego los mu miał wydrzeć z rąk słabych. Zewsząd chmurny był widnokrąg nad utrapioną Polską, sąsiedzi godzili, by ją rozszarpać i zniszczyć, gmach wiekowy chwiał się łamany wewnątrz i zewnątrz, młot przeznaczenia kruszył ściany jego wyniosłe. Kozacy z Rusią porwali się, długo tłumionej puszczając wodzę niechęci; car zawojował Wilno, którego Radziwiłł nie bronił, czy, że był przystał do Szweda, czy, że pilniej mu było pójść włości swoje od grabieży zasłaniać. Karol Gustaw, podbechtany przez zdrajcę Radziejowskiego, aż nadto dobrze znającego Polskę, pod czczym pozorem wylądowywał dla podbicia jej i zawładnienia królestwem, stojącem otworem zamachom nieprzyjaciół, których tylko sława dawnej potęgi wdali jeszcze trzymała. Polska nie miała obrońcy, sprzymierzeńców, przyjaciela — cała jej nadzieja była w Bogu.

Wieść o napadzie Karola Gustawa zdawała się w początku fałszem, tak dziwnem sądzono, by się odważył posunąć na kraj, którego wszystek lud mógł powstać jak jeden człowiek w obronie rodzinnego ogniska. Mówiono z początku: nie przejdzie Noteci i Warty! ale Bóg chciał ukarać i za narzędzie swej plagi użył — zdrajcy. Zuchwalstwo Karola Gustawa całkiem się tłumaczy Radziejowskim.

Jeszcze się ze Szweda śmiano, a już podkanclerzy swemi praktyki w Wielkiej Polsce uroczyste mu przyjęcie gotował; nagle krzyk i przestrach rozlegały się szeroko, Karol Gustaw już przeszedł Noteć i Wartę, a Grudziński, wojewoda kaliski, Opaliński, poznański, połączyli się z nim! Wielkopolanie, wyprzysiągłszy się swojego króla, szeroko otwarli wrota najeźdźcy, podawszy mu dłoń zbrojną.

Moralny wpływ tego nieszczęśliwego obłąkania był wielki i zgubny.

W Wielkiej Polsce najwięcej podobno było różnowierców, których serce lgnęło do przyszłego reformy protektora: Arciszewscy, Pileccy, Stankarowie i inni cieszyli się z tego najazdu. Sprawa kraju nie tyle ich obchodziła, co chęć wzięcia góry nad katolikami i pozyskania swobód, których im co chwila zaprzeczano. Karol Gustaw wszystko, co chciano, obiecywał. Byli tam i katolicy pomiędzy pierwszymi adherentami jego, ale tych lub tłum z sobą i zgorszenie pociągnęło, albo to byli ludzie, co wiarę mają za rzecz oddzielną od praw jej i przepisów kierujących życiem.

Jeszcze Polska nie ochłonęła, zdumiona wnijściem Szwe-

da, gdy ten już zagarnął Poznań, Kalisz, Kościanę, Kruszwicę, Bydgoszcz i sunął się szybko ku stolicy Warszawie. Zdrada Wielkopolan była hasłem wszystkich nieszczęść późniejszych, bo była przykładem, bo wskazywała możność tego, o czem nikt wprzódy krom Radziejowskiego nie pomyślał— wyrzeczenia się króla swego, złamania przysiąg, poddania się dobrowolnego najeźdźcy bez praw, bez żadnego związku i sympatji z Polską, przychodzącego nią zawładnąć.

Jan Kazimierz, zwątpiwszy o królestwie, którego synowie na pierwszym wstępie, kropli krwi nie przelawszy, przeszli w szeregi napastnika, z tęsknem sercem i uczuciem swej bezsilności ustąpił do Krakowa, ale i tu nie było się czem bronić. Męstwo Stefana Czarnieckiego i garści jego towarzyszów nie mogło ocalić stolicy, a naraziło drogi ten klejnot na zniszczenie; więc z Krakowa król wygnaniec na Spiż odjechał; a Kraków bronił się jeszcze sił ostatkiem i potężniejszą od sił swych nadzieją.

Ostatni sprzymierzeniec Polski katolickiej, płatny jej przyjaciel, chan tatarski, co dziś Chmielnickiemu, jutro służył hetmanom, widząc rozgrabiony kraj, zalane prowincje, a króla na wygnaniu, poszedł w swe stepy czekać a patrzeć, na kogo miał napaść, z kim wojować. Dla niego wszyscy niewierni byli równi; lepszy tylko kto płacił.

Trudno sobie wystawić, jak straszny był stan kraju w tej chwili przerażającej i sobą, i tem, co zwiastowała: nie było króla, brakło obrońców, zewsząd czernieli najeźdźcy, ze wszystkich stron zjawiali się nieprzyjaciele i rozerwana puścizna Jagiellonów rozpadała się na części. W Wilnie rządził Chowański, Krakowa Wittemberg dobywał; w Warszawie gubernatorował Szwed ze zdrajcą, po województwach przysięgi Karolowi Gustawowi sypały się co dnia gęstsze i serdeczniejsze. Nie było otuchy, nie było ratunku, a ostatnia godzina długiego, jasnego żywota zdawała się wybijać i brzmieć dźwiękiem grobowym nad głowami przelękłych dzieci, które się nie miały do kogo przytulić. Stan umysłów był taki, że ostatek uchylał nadziei; garnęli się niemal wszyscy do zdrajców, do nieprzyjaciół, — reszta wzdychała, wyglądając posiłku... od Tatara. Chodziły z rąk do rąk podawane i przepisywane listy, oznajmujące o tym sprzymierzeńcu, a tymczasem zamek po zamku, gród po grodzie poddawały się przerażone.

Na pograniczach wszędzie wrzał bój, a raczej srożyły się najazdy nad bezbronnymi. Ukraina we krwi się kąpała,

Kamieniec oblegał Chmielnicki, ruskie miasta już klucze dla kozackich złociły hetmanów, drżał szlachcic w drewnianym dworku, choć go częstokołem opasał i śmigownicami najeżył; modlono się po kościołach, zguba zdawała nieuchronna.

Szwed tymczasem w zajętej przez siebie części Polski gospodarował po swojemu; jednano szlachtę, jak było można, datkiem i pięknemi słowy, rozdawanemi w przyszłości dostojeństwy, pochlebstwem, obietnicami, groszem, co go kościelne dostarczały srebra, i poszanowaniem doczesnem wiary a prawa. Trochę wierniejszych garść, choć niewielką a straszną, Karol Gustaw chciał wyłęknąć uniwersałem, który wszystkim niższym, wszystkiemu ludowi, najnieoświeceńszej a namiętnej klasie społeczności, dawał moc nad panami, dozwalając posądzonych zaledwie o niesprzyjanie sobie, żywych lub martwych dostawiać Szwedom i przyrzekając nagrody. Szczęściem ta zachęta do łupieży i mordów, rozprzęgająca zasadnicze towarzystwa ogniwa, więcej oburzyła, niżeli serce pozyskała. Po pierwszym szale ze smutkiem i żalem, ze zgryzotą poglądali wszyscy, którędyby się wrócić nazad na czyściejszą powinności drogę.

Byli wszakże ludzie, co po pierwszych, acz wielkich klęskach nie stracili nadziei w Bogu, nie wyrzekli się męskiej odwagi i skłonieni pod mściwą rękę Wszechmocnego, karzącą za grzechy, oczekiwali, by Ojciec, co dotknął, przebaczył.

Do Częstochowy zewsząd dochodziły wieści straszliwe o Szwedach; goniec za gońcem, poseł za posłem nieśli nowiny coraz bardziej przerażające. Spodziewano się już co chwila napaści, i na wierzchołku wieży siedzący strażnik, braciszek klasztorny, niespokojnem okiem przebiegał dalekie obszary, każdy dymek w polu, każdą gromadkę jeźdźców biorąc za nieprzyjacielską wycieczkę. Znikli liczni pielgrzymi, co dawniej tłumami nawiedzali święte miejsce, głucho tu było i pusto; wszędzie Szwed gościł, lub obawiano się Kozaków, nikt z domu nie ruszał, chyba do obronnych grodów z życiem i mieniem, lub w głębokie lasy i góry się chroniąc. Szlachta, tylko sąsiedzi kiedy niekiedy zjechali się do przeora, nie kwapiąc jeszcze z rzuceniem domu, a już przewidując, że będą musieli szukać pod skrzydłem Matki Bożej bezpieczniejszego przytułku; niejeden wiózł już z sobą skrzyneczkę głęboko w wózku ukrytą, w której złożył klejnoty swoje i żony, papiery lub trochę sreberka i rządzik jaki ozdobny, co go miał jeszcze od pradziada.

Wcześnie oddawano je na skład paulinom, a ojcowie przyjmowali te depozyta, sami jeszcze nie wiedząc, jak ich Bóg obroni. Słychać to było wprawdzie, że Karol Gustaw zapewniał kościołom i klasztorom bezpieczeństwo ich własności, opiekę dla wiary i jej obrzędów, ale zarazem Częstochowa, jako miejsce obronne, panujące dokoła, na pograniczu Śląska, na drodze Szwedów do Krakowa, mogła im być potrzebnem stanowiskiem. Pobożniejsi myśleli, że, choć różnowierca, o tak sławne świętością nie pokusi się miejsce, by od siebie serc katolików tą napaścią nie odstręczył. Inni wnosili i nie bez przyczyny, że łupieżców przyciągnąć tu musi rozgłos o skarbach zgromadzonych na Jasnej Górze, zarówno z potrzebą umocnienia się na tym punkcie. Nic jednak dotąd nie zwiastowało, żeby Szwedzi pomyśleli już o Częstochowie, u której podnóża nikt się jeszcze z gustawowskich żołnierzy nie pokazał. Ale tą cisza miała coś w sobie straszliwego; odgłos wrzawy dalekiej wybitniej coraz brzmiał w uszach zakonników, a nocny wicher jesienny, każdy huk oddalony, każda u wrót wrzawa zdawały im się oczekiwanych nieprzyjaciół oznajmywać.

Szara a smętna roku pora, to powolne przejście od skwarów lata do mroźnej zimy, dodawała jeszcze obrazowi ponurej i złowrogiej barwy. Lasy zrzuciły już były pożółkłe liście i suchemi sterczały gałęźmi, pola jedne świeciły majowemi szaty zasiewów, drugie przy nich smutniej jeszcze czerniały i płowiały obnażonemi piaski, zdeptanemi ścierniami; niebo okrywały zasłony sine lub szare, a wiatr przynosił tylko chłodne deszcze, mroźne podmuchy i burze, dzikiemi głosy wśród gajów wyjące. Mnisi, przywykli do częstych odwiedzin, do coraz nowych twarzy, napróżno teraz poglądali na wszystkie drogi; rzadki się tylko przywlókł żebrak o kiju, mieszczanin z klasztornego miasteczka, lub szlachcic z bliskiej wioski. Płynęły jednostajne godziny na modlitwie, na tęsknej rozmowie i modlitwach znowu i rozmyślaniach ponurych; dzwony tylko z wieżycy, w pewnych godzinach dnia i nocy zwołujące do chóru na nabożeństwo, przerywały długą i posępną ciszę.

Rano dnia pierwszego listopada 1655 roku przeor, ksiądz Augustyn Kordecki, siedział w swej celi i odmawiał pacierze, gdy do niej zapukano w sposób naglący; dozwalając wnijść, złożył kapłan książkę z westchnieniem, jakgdyby bolał, że go z lepszego świata odrywano na ziemię, i spoj-

rzał na obraz Ukrzyżowanego, niby go prosząc o posiłek i radę.

Wtem wszedł ksiądz Piotr Lassota, zakonnik, z kilku listami, i ucałowawszy rękę przełożonego, jak to dawniej było we zwyczaju dla przypomnienia posłuszeństwa, oddał mu je milczący, ale z twarzą widocznie strapioną i zamgloną smutkiem. Ksiądz przeor spojrzał na pieczęcie i zapisy, nie śpieszył z rozpieczętowaniem i usiadł.

Był to średniego jeszcze wieku człowiek, wzrostu miernego i twarzy wcale nie bohaterskiej; rysy jego znamionowały tylko silną duszę, charakter nieugięty i rozum jasny; dobroduszna łagodność łączyła się w nich z męstwem i wytrwałością. Siwe źrenice bystro spoglądały wprost na każdego, nie schylając się przed nikim, nie obawiając śledczego badania, same wnikając w głąb duszy; nad niemi brew gęsto zarosła już siwieć poczynała. Czoło miał szerokie, zorane kilku poprzecznemi marszczkami, które raczej wiek i praca, niż troska zakreśliły; usta rumiane i szeroko roztwarte miały ten wyraz siły i dobroci razem, który oznajmuje wielkich mężów, zawsze gotowych do boju i pewnych dotrwania. Widać było, że często igrał na nich uśmiech łagodny; że, rozkazując, umiały rozkaz ten uczynić miłym, a w potrzebie nieodwołanym i strasznym tą potęgą woli niezłomnej, której nikt wytłumaczyć nie potrafi, a wszyscy słuchać muszą. Takim był ksiądz Kordecki; postać poważna z siwiejącym włosem i długą na piersi spływającą brodą, w chwilach codziennego żywota; — lecz ktoby go widział na modlitwie, nie poznałby może, tak go zmieniało podniesienie ducha ku Bogu, tak rozjaśniało się i świetniało oblicze jego. Inny to naówczas był człowiek i grom dział nie byłby go zbudził, chociaż szmer cichy ust ludzkich, odzywających się doń łagodnie, wnet od Boga ściągał myśl jego ku ziemi, gdy się tu czuł potrzebnym. W powszedniem obejściu nikt dziwniej połączyć nie umiał surowości z łagodnością, dwóch napozór sprzecznych sobie przymiotów; nikt dzielniej nie przekonywał, nikt silniej nie pociągał nad niego, nikt potężniej nie gromił. Wymowa jego nie szukała w szacie powierzchownej, w dobranych słowach i wyszukanych postaciach środków trafienia do serca; natchniona, zawsze pewna była siebie i wyrażała się prostemi słowy, z duszy idącemi do duszy. Był to ów mąż ewangelicznych czasów, który częściej prostą przypowieścią trafiał do przekonania, niż wielkiemi wyrazy; on może jeden wśród dekla-

mującej Polski mówił najsilniej ze wszystkich, choć od wszystkich prościej. Wielkiej jak dusza jego pokory, umiał ją połączyć z powagą zwierzchnika i oddzielić człowieka i grzesznika od przełożonego i pasterza swej trzodki. Nikt w nim skazy dumy nie postrzegł, a przecież na widok jego uchylały się głowy, jak przed niepojętym urokiem wyższości. Dość było, by przemówił, wnet ciągnął serca ku sobie, uginał twarde przekonania, miękczył zatwardziałych, rozbrajał gniewnych; niejedno pojednanie, niejedno nawrócenie należało już do zasług jego.

Wiek XVII był jeszcze zaprawdę u nas wiekiem szczerej i głębokiej wiary, ale w nim nawet mało było ludzi Kordeckiemu podobnych. Nie celował on jako teolog uczony i chętnie sam się nazywał nieukiem; ilekroć razy przecie najzawikłańszą kwestję rozwiązać było potrzeba, szedł po słowo jej do serca swego, a ta skarbnica chrześcijańska zawsze mu je dostarczyła. Rozum jego, rzec można, słynął przez serce, przejęte bogobojaźnią, płonące jasno miłością Bożą. Nigdy żadna namiętność ziemska nie okopciła go nieczystym wyziewem, nie zeskwarzyła płomieniem. Dziecię pracowitych a ubogich rodziców, zawcześnie duchem wstąpiwszy do zakonu, powołany do niego, jak apostołowie, od skiby zlanej potem dziadów, z chatki, którą nawiedzał niedostatek, dobrowolnie wyrzekł się świata, nie żałując go wcale, wesół u portu, czując błogość całą swego stanu; szedł dalej z chrześcijańską nadzieją szczęśliwego żywota poza wrotami krótkiego życia ziemskiego i śmiercią, której z uśmiechem wyglądał.

Rodzice Kordeckiego byli to ubodzy wieśniacy z Iwanowic w Kaliskiem: wychował się wśród ludu, na roli i wieśniaczą prostotę przyniósł na ofiarę Bogu. Z wiejską siłą i czystością od dzieciństwa Klemens na ręku pobożnej matki wzdychał do ciszy klasztornej, do zaparcia się siebie i poświęcenia Chrystusowi. Ale nierychło ciężkie porzucił więzy i trzydziestoletni dopiero zakonnikiem został. Wśród zgromadzenia, które między członkami swymi liczyło dzieci najznakomitszych rodzin szlacheckich, syn kmiecy rychło wygórował pobożnością i rozumem; bracia postawili go na czele. Przeorem w Oporowie i Pińczowie naprzód, następnie na Jasnej Górze przełożonym został, teraz już powtórnie; a na świeczniku stając, jaśniał coraz gorętszym płomieniem cnót i zasługi.

Niezmordowany w pracy, nigdy się na nią nie poskar-

żył, nigdy na nią nie stęknął; biegł do niej z radością, wracał, szukając oczyma nowej; sił mu Bóg dostarczał. Z młodszymi był starszym bratem, dla winnych pobłażającym ojcem, który przebacza, żądając poprawy, z zatwardziałymi sędzią surowym, ale zawsze miłosiernym, byleby ujrzał promyk skruchy i łzę żalu; wszędzie i zawsze chrześcijańskim kapłanem Boga, co światu miłość objawił.

Ksiądz Piotr Lassota, przybyły z pismami, wydawał się przy przeorze wątłym i słabowitym, tak pierwszy męską i krzepką miał postawę; w twarzy jego znać było cierpienie duszy i ciała przy wielkiej rezygnacji i wywalczonym spokoju. Jasnowłosy, płci przejrzystej, na którą rumieniec występował często, gdyby na twarz dzieweczki, ręce miał małe, drobne i białe, wszystkie członki delikatne, a boleść może pochyliła mu nieco barki, jakgdyby na nich niewidome spoczywało brzemię.

W milczeniu oddał listy ksiądz Lassota, a przeor okiem je badał, nie śpiesząc z otwarciem; potem zwracając wejrzenie na zakonnika, spytał go powolnie:

— Słychać co nowego, ojcze?

— Nie, jedno i jedno.

— Zawsze źle?

— Bogu to wiadomo, co złe, a co dobre — odparł Lassota — nam tylko, że cierpimy.

— Masz słuszność, bracie, — żywo zawołał przeor — poprawiłeś niebaczne słowo moje, dziękuję ci za to.

— Ja! — podchwycił, rumieniąc się, ksiądz Lassota — ja, śmiałbym...

— Tak jest, tak, — kończył Kordecki — Bóg wie, co nam daje, a nam z Jego ręki przyjmować należy z dziękczynieniem. Ot, tak, wyrwało mi się to źle z pośpiechu, którego mi żal szczerze. Trudnoż bo nie zaboleć.

To mówiąc, westchnął.

— Kto wam oddał listy?

— Jeden z nich od posłańca z Radziątka, drugi przywiózł z sobą pan Paweł.

— Pan Paweł przyjechał?

— Tylko co przybył, wysłany, jak mówił, od kasztelana.

— Gdzie jest?

— Chciał się przebrać, zaprowadziłem go do prowincjalskiej celi.

— Bardzo wam dziękuję, a i sam zaraz ku niemu pośpieszę.

To mówiąc, począł rozpieczętowywać listy; a ksiądz Lassota, widząc to, zcicha pokłoniwszy się, wysunął ku drzwiom i wyszedł.

Znać było z twarzy przeora, że listy nowe przyniosły strapienie, bo mu pochmurniało czoło, ciężkie westchnienie dobyło się z piersi i oczy podniósł ku niebu; potem, jakby opamiętawszy się, jął czytać znowu, położył je, ukląkł, pomodlił się gorąco a krótko i śpiesznie wyszedł.

Jeden z nich zwłaszcza był smutny i przepowiadał Częstochowie ciężkie do przebycia losy: obawiali się paulini od początku wojny o cudownego obrazu przybytek; przelękli bardziej jeszcze, gdy listy królewskie, rozesłane po wszystkich twierdzach i zamkach, doszły do nich, gotowość ku obronie zalecając i przepowiadając, że Szwed, złakomiony skarbami Częstochowy, rychło się na nią pokusić może. Prowincjał paulinów, ksiądz Teofil Broniowski, pobiegł natychmiast do króla, chcąc u niego wyjednać pomoc jaką dla twierdzy, prosząc o posiłek dla utrzymania załogi czasu wojny potrzebnej. Ale cóż mu nad radę, przestrogę i życzenie mógł dać naówczas Jan Kazimierz? Prowincjał powrócił z kilku słowami, niepewny posiłek przyrzekającemi w razie nagłego niebezpieczeństwa.

— Róbcie, co można, — powiedział król — a jeśli gwałtowne nastąpi oblężenie, postaram się o posiłki dla was...

Tę to odpowiedź królewską zwiastował prowincjał przełożonemu, zdając na Boga, czego od ludzi spodziewać się nie było można.

Pan Paweł, przybyły w tej chwili do klasztoru, był to Warszycki, stryjeczny brat Stanisława, kasztelana krakowskiego, członek rodziny, którą paulini do opiekunów i dobroczyńców swoich liczyli. Człowiek już niemłody, niebardzo majętny, ze szlachcica podniesiony na podpanka dostojnością, którą brat piastował; czuł świeżą swą jeszcze godność, cenił ją wysoko i lękał wielce, by brat stryjeczny uporem siebie i rodziny nie zgubił, stojąc wiernie przy Janie Kazimierzu. Kasztelan bowiem należał do niewielkiej liczby tych, co dochowali przysięgi do końca. Pan Paweł był to człowiek charakteru słabego, w gruncie poczciwy o tyle, o ile słaby i lękliwy być nim może; między łatwym usterkiem a łatwą cnotą wybierał wprawdzie ostatnią, ale z dwojga: trudnej cnoty a łatwego występku, pierwszejby nie przeniósł nad drugi. Tymczasem brat kasztelan, mnogiemi węzły wdzięczności i przywiązania połączony z dwo-

rem, uparcie prawego króla się trzymał. Drżał na to pan Paweł, ale milczał, niekiedy odważył słowo dwuznaczne, jakąś insynuację zręczną, ale wnet, zbity i zgromiony, cofał się przed srogiem wejrzeniem głowy rodziny. Niemało go bolało położenie, w jakiem pozostawał z krajem razem i niczego tyle nie życzył, co uspokojenia bodaj ze Szwedem, byle mu ono dozwoliło powrócić swobodnie do jego stad, gospodarki i swobodnego wiejskiego żywota. Był to bowiem gospodarz zawołany, w całem znaczeniu tego wyrazu: rolnik naprzód, miłośnik bydła i owiec, pilno krzątał się około stadniny i pszczelnictwa; kopał stawy, zarybiał je, stawiał młyny i nie puszczał z oka żadnej gałęzi gospodarstwa, mogącej podnieść dochody i ulepszyć majątek. Srodze go też bolała wojna, która wszystkie te rozerwała zajęcia, pomieszała porządek, porozpraszała wieśniaków, rozegnała sługi; Szwed też i kwarciani wybierali stacje niesłychane, plondrowali po gumnach, nie pytając o pozwolenie, spasali pola, chwytali bydło, a kochane stadko pana Pawła musiało uciekać gdzieś w lasy, żeby i do niego nieprzyjaciel się nie dobrał.

Ksiądz przeor zastał pana Pawła, łysego, krągłego, z jasnym wąsem człowieczka, już wdziewającego kontusz; sługa stojący blisko pas mu gotowy trzymał.

— A! przepraszam księdza przeora!

— Nic, nic, gospodarz jestem, wolno mi wejść.

— Darujesz wasza przewielebność, że mnie tak zastajesz, przebacz z łaski swej, a pozwól złożyć *debitam reverentiam.*

To mówiąc, pan Paweł, choć nieopasany, rzucił się chyżo naprzeciw poważnego przełożonego i skinąwszy na sługę, by odszedł, pośpieszył podsunąć krzesło księdzu Kordeckiemu. Drzwi zamknęły się za sługą, pozostali sam na sam. Ale zaledwie usta otworzył pan Paweł, mając rozpocząć rozmowę, gdy na progu, puknąwszy zlekka, ukazała się postać nowa: słuszny, pięknego wzrostu, w sile lat i zdrowia mężczyzna, z czarnym wąsem i włosem, z szabelką w czarnych pochwach u pasa, z czapką w ręku i delją na plecach, otworzył drzwi z ukłonem, jakby pytał, czy wnijść może.

— Wolno? — szepnął, uśmiechając się.

— Pana Krzysztofa! kochanego i miłego gościa, prosimy, prosimy! — zawołał, podchodząc do drzwi, przeor.

Pan Krzysztof (był to niejaki Żegocki, gubernator babimoski, dobry przyjaciel księdza Kordeckiego i całego kla-

sztoru, a do tego i sąsiad niedaleki) zrzucił z siebie delję i z pogodną twarzą postąpił powitać gospodarza naprzód, potem pana Pawła. Aż miło było spojrzeć na tego nowego przybysza, tak spokojne miał oblicze, wśród posępnych i chmurnych, które go otaczały — dziwnie odbijające. Jaka twarz, taka dusza i nie było też może pod niebem szczęśliwszego nadeń człowieka; u niego wiara w Opatrzność i zdanie się na Boga tak było potężnem i silnem, że go ksiądz przeor często lilją nazywał, od słów psalmu o ptakach i liljach polnych, zwykle powtarzanych przez Żegockiego. Żadne dotąd nieszczęście nie mogło mu odjąć pogody duszy poczciwej, żaden cios nie zachwiał wiary jego na chwilę. I dziś nawet, gdy kraj cały szarpali nieprzyjaciele, gdy znaczną część majętności utracił, gdy byt przyszły zdawał się mroczyć, on z tak jasną i pogodną szedł twarzą, że ksiądz Kordecki uściskał go w progu, wskazując panu Pawłowi.

— Oto, panie, człowiek wedle Boga, — rzekł, całując przybyłego — spojrzyjcie na niego i na nas, poznacie wnet, kto ma wiarę.

— Ale, księże przeorze drogi, proszę mnie tak nie upokarzać — przerwał skromnie pan Żegocki.

— Słuszna pochwała nie upokarza, daj nam tylko Boże wszystkim jegomościną rezygnację i ufanie. Ale — cóż tam słychać?

— Zachcieliście, starą piosnkę śpiewamy, znać, że nam będzie lepiej kiedyś, bo dziś coraz gorzej a gorzej; a złe przecie przesilić się musi. Druga nowina, — dodał pan Krzysztof — że gości księdzu przeorowi prowadzę.

— Chwała Bogu! gość w dom, Bóg w dom!

— Ale przed wojną tak objadać klasztor częstochowski nie wiem, czy się godzi,—uśmiechając się, dodał Żegocki,— kto wie, co wypaść może; każdy kawałek chleba drogi.

— Nie frasujcie się, jakkolwiek Bóg nami rozrządzi; gdyby i chleba nie stało, krucy, co na pustynię nosili chleb pustelnikom, i nam go też odrobinę rzucą.

— Otóż i ja dziś trochę krukiem będę, — rzekł, śmiejąc się, Żegocki — alem nie chleb przyniósł, tylko trochę ryby, za którą przepraszam, że nie najlepsza.

— Wy zawsze z darami, Bóg zapłać, siadajcież; ale jacyż to goście? — spytał Kordecki.

— Nie zdaleka, księże przeorze dobrodzieju, nie zdaleka, pan Sebastjan Bogdański i pan Stefan Jackowski.

— Sąsiedzi, to się za gości nie liczy.

— Widziałem ich obu do bramy podjeżdżających, gdym most przebywał, pewnie z nowinami śpieszą, bo tego dziś nie kupić, chodzi ich po świecie, jak komarów na pluchę.

— Ot, brat pana kasztelana krakowskiego, dobrodzieja konwentu naszego — obracając się do pana Pawła, przerwał przeor — najpewniejszych nam wiadomości dostarczyć może.

Pan Paweł spojrzał, podniósł oczy i jakby nie wiedział, co mówić, chwilę się wstrzymał, potem bardzo pocichu rzekł do zbliżających się ku sobie:

— Król jegomość już na Spiżu w Lubowli.

— Ale to chwilowo, spodziewam się, — przemówił przeor — póki sił nie zgromadzi i środków nie obmyśli, nie osieroci nas tak ze wszystkiem.

— Co tu radzić! co tu myśleć! — podchwycił, ruszając ramionami, pan Paweł — nieszczęście i po wszystkiem, *perditio ultima*, zginienie. Szwed już całą niemal Polską zawładnął, Kozacy rebelizują.

— Ależ Brandenburczyk i chan tatarski! — zawołał nietracący nadziei żegocki — wreszcie własne nasze siły, którycheśmy jeszcze nie spróbowali.

Pan Paweł ruszył tylko ramionami znowu.

— Tatar w stepie, Brandenburczyk o sobie myśli, a nasze siły! ba!...

— Jakto! — przecież to lennik i sprzymierzeniec?

— Przyznam się wam, — dorzucił ksiądz Kordecki — że Tatarzyn przyjaciel gorzej wroga. Pożal się, Boże, na niego rachować i wstyd. Ale klin klinem może wybić będziemy musieli, cóż robić? Król jegomość wie, lepiej lutra bisurmanem wypchnąć, kiedy inaczej nie podołamy. No? ale cóż słychać o chanie?

— Chan, słyszę, jak zobaczył, że już w Polsce Gustaw się rządzi, — ciągnął dalej pan Paweł — poszedł sobie w swoje pustynie, powiadając, że był sprzymierzeńcem króla Jana Kazimierza, a gdy Polacy innego sobie za króla obrali, poczeka, aż z nim nowe zawrą przymierze.

— Tak z nim, jak bez niego — rzekł ksiądz przeor. — Baba z wozu, kołom lżej — mruknął pocichu.

— Tymczasem — sypał jak z za rękawa pan Paweł — wszystko się poddaje, przysięga, broń składa i przechodzi do nieprzyjaciela. Pan wojewoda Tyszkiewicz na zamku w Uchaczu carowi przysiągł, w Warszawie Radziejowski

rej wodzi, a Krakowa silnie dobywają i dobędą, skoro go niema komu bronić.

— Cóż to znowu mówicie! — przerwał pan Żegocki — do tego nie przyjdzie, hetmani, Czarniecki, szlachta, pospolite ruszenie, wojsko... nie damy się, nie damy!

— A kiedyśmy się dali? — rzekł Pan Paweł.

— No, to się odbierzem! — zawołał szlachcic, machając ręką wesoło.

Ksiądz przeor słuchał napozór zimno, twarzą ni słowem nic znać po sobie nie dając, gdy wtem drzwi się znowu otwarły i weszli obiecani goście: Sebastjan Bogdański i Stefan Jackowski, szlachta, sąsiedzi częstochowscy, którzy często bywali w klasztorze, a teraz na dzień Wszystkich Świętych przyjechali dla nabożeństwa i narady z przeorem. Pierwszy z nich, siwy już i zgięty napół, wszedł o lasce powolnie i skłoniwszy się nisko, zginając aż kolana, zkolei przytomnych jak najpokorniej powitał, nie szczędząc im najwymyślniejszych form przesadzonej grzeczności. Znać wiek w nim czy obyczaj życia stłumił wszelkie uczucie osobistej godności, bo i ruchem, i słowem, mimo siwego włosa, dowodził uniżoności, aż do spodlenia niemal dobrowolnego posuniętej. Wszędzie szukał starannie ostatniego miejsca, nie śmiał niczyjemu sprzeciwić się zdaniu, potakiwał gorliwie i niezmordowanie, a głosu nie zabrał, chyba spytany dobitnie i wywołany natrętną napaścią. Zgasłe jego oczy, zbladłe policzki, trzęsąca się głowa, wiek już podeszły okazywały, że sługiwał niegdyś dworsko i to mu może wpoiło tę śmieszną uległość i uniżoność, odbijającą teraz dziwnie przy łysinie i włosach srebrzystych.

Za nim idący pan Jackowski, otyły, z orlim nosem i ruchawym wzrokiem, pleczysty mężczyzna, kulał trochę na nogę, bo ją był niedawno, z chartami jeżdżąc za zającem, nadwichnął. Był to zajadły myśliwiec, dawniej wojskowy i związkowy krzykacz, zawadjaka, do kielicha i do korda gotowy, zresztą szlachcic w całem znaczeniu, szlachcic owych czasów, gdy pan brat panował w Polsce sam jeden. W polityce i nowinach trzymał się on zdania swojego arendarza i nic mu z głowy nie mogło wybić tego, że Żydzi o wszystkiem najlepiej wiedzieć muszą. A że Żydzi posługiwali Szwedowi, zdradzając go jednak potroszeczku, gdzie było można, nie narażając się na powieszenie, że Żydzi obiecywali po dworach sto tysięcy Nogajców i Perekopców, idących na obronę Rzeczypospolitej, pan Jackowski gotów był także tym-

czasowo przystać do Szweda, *salva revocatione*, po przybyciu Tatarów.

Po przywitaniach i przedstawieniach, obfitych w przypomnienia familijne i trafnie smażone komplementa, których sobie nie szczędzili przytomni, wszyscy zasiedli i rozmowa prędko wróciła do pierwotnego toku...

Pan Paweł Warszycki na nacieranie szlachty powtórzył, co był już wprzódy powiedział, i wszyscy, poglądając po sobie, umilkli posępnie, jakoby czekali, żeby się kto pierwszy odezwał ze zdaniem, jak sobie począć wypadało.

Przeor milczał także.

— Sekretów tu między nami być nie powinno, — rzekł po chwili pan Paweł — powiem więc państwu, że w przekonaniu wszystkich statystów poddanie się całego królestwa Karolowi Gustawowi niechybne. Prędzej, później, a zwłaszcza, gdy Kraków zdobędą, co lada chwila nastąpić musi, bo się w nim kasztelan kijowski ze swoją garścią nie utrzyma, pójdziemy wszyscy w ręce Szweda.

— Jeszcze to widłami pisano, — odparł pan Żegocki — kogo Pan Bóg pokarze, tego i pocieszy.

Bogdański milczał, ale wzdychał na wszelki wypadek, a Jackowski żywo dodał:

— A gdybyśmy i przysięgli Szwedowi znów, to co? nie pierwsi my i nie ostatni.

Na te słowa płomieniem oburzenia oblała się twarz księdza przeora, oczy jego zajaśniały i mignęła w nich błyskawica; powstał z krzesła, ale zmieniony, groźny jak prorok, jak natchniony; wszyscy jakgdyby uczuli przewagę ducha w łom, wprzód niżeli usta otworzył, zamilkli, a silny głos księdza Kordeckiego zagrzmiał po obszernej sali.

— Podda się cały kraj,—zawołał—podda się, mówicie! Nie! nie! Bóg tego nie dopuści i nie cały wyprze się swojego pana, bo Częstochowa zostanie i wytrwa przy Janie Kazimierzu.

— Jakto? — zdumiony podchwycił pan Paweł — gdyby Szwedzi nadeszli, co bardzo być może, bo już słychać o Wejhardzie, że się w tę stronę z Sadowskim puścić zamyśla, będziecie się więc bronić?

— Będziemy! — odparł przeor spokojnie — tak jest, z pomocą Bożą będziemy się bronić i obronimy się.

— Całej sile szwedzkiej, — dodał Jackowski — wojsku, artylerji, żołnierzom i wodzom starym a wytrwałym?

— Najlepszy żołnierz Pan Bóg, kochany panie Stefa-

nie — odpowiedział przeor, nieco zniżając głos — w Nim ufając, z Nim idąc, nie zlękniemy się potęgi Gustawa. Tak jest, jeśli mi Bóg życia dozwoli, ani świętego obrazu, ani uświęconej Jego pobytem Jasnej Góry nie oddam w ręce heretyków; zagrzebiemy się raczej w jej gruzach...

Warszycki słuchał, nie wierząc uszom swoim, ze strachem jakimś, ze zdumieniem niepojętem, które się dobitnie wyryło na jego twarzy.

— Jakto! księże przeorze, doprawdy? myślelibyście?

— Myślę tak i uczynię z pomocą Bożą, z opieką Marji Panny, nie oddamy Szwedowi Częstochowy!

— Właśnie i mój brat kasztelan, — rzekł pan Paweł, poczynając, ale się zaraz opamiętał i urwał.

— Mówcie, mówcie, — podchwycił, biorąc go za rękę, przeor — wszyscyśmy tu swoi, tajemnic nie mam, to przyjaciele klasztoru.

— A zatem otwarcie — rzekł Warszycki — powiem waszej przewielebności, co mi mój brat polecił. Już to żadnej wątpliwości nie ulega, że oddział Millera, Wejhard, pułkownik Sadowski, co go może i znacie, bo mieszkał u nas, gotują się iść na Częstochowę.

Szlachta pobladła, Bogdański ręce załamał, przeor słuchał, jakgdyby już wcześnie wiedział, co mu powiedzieć miano.

— Kilka razy już podobno wybierali się z Kalisza, ale to jakoś jeszcze do skutku przyjść nie mogło. Potrzebują pieniędzy, nie bez tego, żeby nie słyszeli o skarbach świętego miejsca, przyjdą więc niezawodnie, przyjdą z siłą znaczną, a zdaniem mojego brata pana kasztelana, potrzeba ocalić, co można, uwożąc na Śląsk precjoza; a przedewszystkiem *Taumaturgam imaginem*, skarb całej Polski.

— Święte słowa, rada najmędrsza, — szeptał sentencjonalnie pan Bogdański — znać w niej statystę!

— I ja w to biję — dodał Jackowski.

— A pan co na to? — odezwał się z dziwnym uśmiechem ks. przeor, obracając się do Żegockiego.

— Ja słucham, co ks. przeor powie, i zgóry się na to piszę.

— Powiem więc państwu, — rzekł stanowczo Kordecki — że, co mi Pan Bóg natchnął w tej chwili, tego nie odstępuję; można wywieźć co najdroższego dla spokojności naszej, ale niemniej bronić się potrzeba, bronić będziemy i oprzemy bodaj całej sile szwedzkiej w Częstochowie.

— Księże przeorze dobrodzieju, — przerwał z uśmiechem pan Paweł — unosi cię zapał, nie jesteś żołnierzem, nie masz ludzi.

— Ale mam opiekę Matki Boskiej nad sobą i silną wiarą w nią wierzę.

Pan Paweł skłonił głowę.

— I myślicie nawet obraz cudowny narażać na nieuchronne niebezpieczeństwo?

— To co innego, — odparł Kordecki — namyślimy się, naradzimy i uczynimy z tym skarbem, co Bóg natchnie; co się tyczy Częstochowy, miejsca tego uświęconego nie oddam i bronić będę do ostatniej krwi kropli.

— Z kimże? — spytał Warszycki, ironicznie ruszając ramionami.

— Bodaj sam ze siedemdziesięciu braćmi — dodał stanowczo Kordecki.

— W siedemdziesięciu przeciwko tysiącom?

— Będziemy kamykiem małym w ręku Bożego Dawida.

— Śliczne to są i wymowne wyrazy, ale cóż po tem, — przerwał pan Paweł — gdyście, księże przeorze, nie obmyślili wprzód, iż to rzecz tak niepodobna, jak niepodobna z motyką porwać się na słońce.

— Daruj mi, panie Pawle, — rzekł przeor, pokornie, ale stale przy swojem stojąc, — słowo moje nie jest wcale rzuconą na wiatr pogróżką; myślałem długo, radziłem się Boga na modlitwie, Opiekunki naszej Marji, szukając u Niej natchnienia, świętego zakonodawcy naszego i błogosławionych braci w szczęśliwszym dziś żyjących świecie, i mam przekonanie, żem to uczynić powinien i uczynię.

Wszyscy coraz większe okazywali zdumienie, a pan Paweł poczynał się trochę niecierpliwić.

— Wasza przewielebność — rzekł trochę urażony — nadto może zapatrujecie się w niebo, a zbyt mało macie czasu spojrzeć na ziemię, piękne to są słowa, ale my, ludzie doświadczenia...

— Nie ujmuję, nie ujmuję — podchwycił Kordecki — nikomu, istotnie, choć grzesznym wzrokiem poglądam w niebo, jednak Bóg sługę swojego niegodnego obsyła czasem natchnieniem. Co mówiłem, tom rzekł z pobudki głosu wewnętrznego, który wyraźnie odzywa się do mnie: Stań i walcz, a zwyciężysz! A oto *Labarum* moje, — rzekł, wskazując na obraz Matki Boskiej, wiszący na ścianie. — *In hoc signo vinces.*

Taka była potęga wyrazu oczów i twarzy przeora, gdy słowa te wymawiał, że wszyscy uczuli się niemi dźwignieni i podbudzeni, wyrobiło się męstwo w sercach wszystkich; jeden pan Paweł, gospodarz ów wielki, co istotnie zbyt patrzał na ziemię, nie doścignął sercem bohaterskiego zapału kapłana. Stary Bogdański nawet odmłodniał i łzy mu się w oczach zakręciły, postąpił kilka kroków w milczeniu, poszedł i ucałował z przejęciem drżącą rękę Kordeckiego.

— Tak jest — kończył przeor, spoglądając na zmianę, jakiej dokazał kilku słowami. — Mamże oddać w ręce inowierców miejsce, oblane tylu łzami świętemi, wsławione cudami tylu, gdzie Bóg tyle łask na naród nasz zlewa; gdzie monarchowie nasi szukali tylekroć pomocy i składali ofiary; gdzieśmy przywykli podnosić wszyscy wzrok błagalny od kolebki do zgonu we wszystkich potrzebach naszych? Nie! nie! myśmy tu postawieni na straży; dość nieszczęścia, że święty wizerunek pokłuły strzały Tatarów, pocięły szable husytów; Szwedzi się nad nim pastwić nie będą i stopa ich tutaj nie postanie.

— Wszystko to piękne, wszystko to wymowne i śliczne, — po chwili odparł cichym swym, jednostajnym głosem pan Warszycki — ale ojcze a dobrodzieju, choć Bogu nic trudnego, nie wiem, czyśmy zasłużyli na to, żeby dla nas cud uczynił tak wielki.

— O! żeśmy nie zasłużyli, to pewna, — zawołał przeor — wielkie, wielkie a straszne są grzechy nasze, ale i kara straszna i zlitowanie przyjdzie po niej. Bóg wielki! Bóg łaskaw!

— Boby to inaczej, jak cudem, nazwać nie można, — kończył pan Paweł — gdyby Częstochowa obroniła się Szwedowi. Jeśli odepchniecie garść, przyjdzie ich oddział cały, oprzecie się temu, skupi się wojsko, napłynie ćma i poddacie się nareszcie.

— Zginiemy może i pragniemy tego gorąco, żebyśmy krew naszą za wiarę świętą przeleli, — rzekł przeor — zginiemy może, ale się nie poddamy, to pewna.

— Dziwne zaiste przekonanie! — cicho do siebie odezwał się pan Warszycki.

— Chciałeś pan dobrodziej powiedzieć upór,—z uśmiechem dodał Kordecki — masz prawo tak to nazwać. Nazwijcie więc, jak chcecie, i myślcie, co wola wasza; a ja powtarzam swoje, choć nie z siebie: nie podda się Częstochowa!

Szlachta poglądała na przeora, wodząc za nim oczyma: twarz jego ciągle rozpromieniona, jasna, uśmiechnięta, niemal zdawała się widzieć przyszłość i błyszczała odwagą nadziemską. Jeden pan Paweł jeszcze się nie poruszył... taki to był dobry gospodarz!

— Bardzo to dobrze było i pięknie tak mówić, — rzekł, coraz widoczniej się tylko niecierpliwiąc — gdyby inwazja szwedzka mogła być uważaną za doczesną, ale...

— Ja jej inaczej nie widzę — zawołał Kordecki.

— Jakto? Król wygnany, wojsko rozproszone, stolica jedna zabrana, druga może w tej chwili poddająca się, szlachta a poczęści i magnaci ze Szwedem połączeni, Litwa w rękach cara.

— A, jakoś nas Bóg z tego podźwignie — spokojnie odpowiedział Kordecki. — Łokietek także tułał się po kraju i ukrywał po jaskiniach, był jak Jan Kazimierz wygnańcem, przecież powrócił i szczęśliwie panował, i Janowi, panu pobożnemu a bogobojnemu, nie uskąpi Wszechmocny łaski swojej.

Pan Warszycki lekko tylko ramionami ruszył, skłonił się i, poprzestając sporu, odezwał się:

— Chciejcie mi powiedzieć, bym to mógł bratu mojemu odnieść, jak i z czem bronić się myślicie?

Przeor pomyślał chwilę.

— Jest nas — rzekł — w klasztorze zakonników i braci siedemdziesięciu, szlachty, co się tu z nami zamknąć obiecuje, kilkadziesiąt familij, załogi zwykłej ludzi z pięćdziesiąt, dwakroć tyle jeszcze zbierzemy ochotnika z wiosek klasztornych i miasteczka; działa porządne, prochu dosyć i kul dostatkiem, żywności zapas, wody studnie dostarczą, a na resztę sam Bóg.

— Ale przypuszczając, że Szwedzi podejdą, któż tem wszystkiem dowodzić będzie, kto pokieruje?

— Naprzód Bóg i opiekunka nasza, i Paweł święty — rzekł przeor.

Na te słowa lekki, nieznaczny uśmiech przebiegł po ustach pana Pawła.

— Potem — kończył Kordecki — pan Stefan Zamojski, miecznik sieradzki, który tu w tych dniach przybywa z całą rodziną swoją, uchodząc od Szwedów, i pan Piotr Czarniecki, rodzony pana Stefana, kasztelana kijowskiego. Do dział mamy Niemców dwu; jednego zwłaszcza zdatnego i znającego rzecz swoją, a niezgorszego człowieka. Spodziewam się

także panów: Zygmunta Moszyńskiego, Jana Skórzewskiego, Mikołaja Krzysztoporskiego i kilku innych dobrych żołnierzy; nikt też tu z założonemi rękoma siedzieć nie będzie.

— Ale Szwed nadejść może co chwila! — dorzucił pan Warszycki.

— Tak, słusznie pan mówi! święte słowa jego! co chwila — powtórzył cicho Bogdański.

— Jam też niemal gotów! — rzekł przeor.

— Jakto? jużeście to przypuszczali?

— Trochę, czekam na wodzów, zbieram żołnierza.

— Niepojęta rzecz! niepojęta! — wykrzyknął pan Paweł, wpatrując się w Kordeckiego — decyzję waszą słyszę i ledwie uszom moim wierzę. Ale gdy odradzać byłoby próżno...

— Zupełnie próżno! — odparł wytrwale Kordecki.

— Zatem dziej się wola Boża! Dziej się wola Boża! — z westchnieniem powtórzył pan Bogdański.

— A ja, mości przeorze, — zawołał z szerokim, dobrodusznym uśmiechem Żegocki — przybywam z dwojgiem rąk zdrowych i służby moje wam ofiaruję; ręczę, że darmo chleba klasztornego jeść nie będę.

— Prosimy z nami i dziękujemy, Bóg wam to nagrodzi.

— My, panie Stefanie, — cicho szepnął stary Bogdański do Jackowskiego — zaraz po nabożeństwie zmykajmy stąd, tak mi się widzi.

— Masz słuszność, sąsiedzie, niema tu czego długo popasać, nużby nas Szwed pochwycił i do noszenia kul i muszkietów zaparł!

— Taki bezpieczniej w domu!

II.

Trzeciego listopada, przed chórem północnym, wszyscy zakonnicy zgromadzili się, powołani przez przeora, do wielkiej sali, zwanej *definitorium;* nikt z braci nie wiedział powodu wezwania; wszyscy jednak z posłuszeństwem zakonnem pośpieszyli w milczeniu i zasiedli miejsca swoje. Kilka lichtarzy z żółtemi woskowemi świecami stały w pośrodku na stole, przed krzesłem, przygotowanem dla przełożonego; naprzeciw, na ścianie wisiał ogromny, drewniany, poczerniały krucyfiks, u którego stóp bielała głowa trupia i dwie

nakrzyż złożone kości. Nie było to dzieło snycerza, ale z cmentarza wzięta czaszka zżółkła i dwa nadbutwiałe piszczele. Pod krzyżem, w złocistych ramach czerniała twarz łagodna Najświętszej Opiekunki klasztoru. Na prawo i lewo w ciemnych, drewnianych ramach zawieszone ogromne płótna okazywały wśród cieniów mało oświetlonej sali postacie świętych, zakonników i królów, jakgdyby wyskakujące z zachmurzonego tła obrazów. Zdawali się oni należeć do tego zgromadzenia ojców, siedzących poważnie w stallach dębowych, tak nieruchomie, jak posągi lub obrazy. Gdzie niegdzie zabłąkany promyk światła padał ukośnie na blade lica paulina i otoczoną nimbusem twarz błogosławionego, zarówno je ożywiając. Cichość głęboka panowała jeszcze w wielkiej sali, niekiedy tylko westchnienie, spadająca z różańca kościana paciorka, szmer cichej modlitwy lub słowo z ust wymykające się przerywały milczenie. Ojcowie powoli się schodzili jeszcze, starsi szli o kiju, prowadzeni przez profesów, coraz to się otwarły drzwi i który z zakonników wsunął się z hasłem zwyczajnem, pocichu wymówionem, zajmując miejsce, oczekujące na niego.

Przeora i kilku starszych nie było jeszcze, a chwila oczekiwania na nich zeszła na rozmyślaniu, którego ciężkie dumy widać było po zasępionych twarzach braci. Nareszcie drzwi się otworzyły i ksiądz Kordecki powolnym wszedł krokiem, zajął miejsce swoje, ukląkł przed krucyfiksem, rozpoczynając ze wszystkimi modlitwę do Ducha Świętego.

Słychać było szmer upadających na ziemię kolan i cichy szept, jakby orzeźwiający deszcz wiosenny, zaszumiał po sali.

— Amen! — powstali wszyscy; ksiądz Agustyn Kordecki jeszcze chwilę z rękoma złożonemi, z oczyma dźwigniętemi w niebo, choć usta miał zamknięte, modlił się gorąco, duszą całą. Ojcowie oczekiwali, by zszedł ku nim; w powadze, rozrzewnieniu niektórzy poglądając na niego.

Wtem podniósł się żywo, opromieniony, z pogodnem czołem, z uśmiechem słodkim, otwierając usta powitaniem zwykłem w zakonie, i tak mówić zaczął:

— Kochani bracia, wezwałem was na radę, bo sam nie mogę brać na barki moje wielkiej odpowiedzialności, w okolicznościach teraźniejszych, kraju i świętego gniazda tego się tyczących. Niema już wątpliwości, że Szwed, który zalał całą Polskę, i na naszą twierdzę jasnogórską się zbiera; nie wiemy dnia ni godziny. Nie pytam was, bracia mili, czy

tego miejsca, powierzonego naszej straży od półtrzecia wieku, bronić będziemy od napaści heretyków, bo to jest obowiązkiem naszym i wątpliwości żadnej nie ulega, ale radbym zdania waszego zasięgnąć o tem, czyli przystoi święty obraz zostawić tutaj, lub ukryć go należy w bezpieczniejszem, w nieznanem schronieniu. Bronić się musimy i będziemy, do ostatniej krwi kropli, winni będąc przelać ją tutaj za Boga naszego i wiarę, za wierność królowi poprzysiężoną; ale któż wie? Może Bóg nie pobłogosławi usiłowaniom naszym, może nie podołamy obronie, może śmierć nas spotkać, a wróg opanować lub zniszczyć Jasną Górę; godziż się, by obraz wystawiony był, nie mówię, na jego razy, ale nawet wzrok urągliwy i szyderski? Mówcie więc, bracia, i radźmy w imię Boże. Naprzód wy, ojcze Ignacy (Mielecki).

Ojciec Ignacy, krzepki starzec z siwą włosów koroną, olbrzymiej prawie postawy, pogodnej twarzy, ale surowego wejrzenia, sklonił się przełożonemu, spojrzał po braciach, jakby się wymawiał, że pierwszy głos zabiera, i tak mówił:

— Bronić się heretykowi konieczna i piękna, umrzeć bodaj w obronie tego świętego miejsca, jak straży przystało, którą wódz postawił na ważnem stanowisku, chlubnaby nam była. Podołamy walce, bo nas Bóg-człowiek Odkupiciel nie opuści i Matka Najświętsza płaszczem łaski swej osłoni. Nie znajdzie się tu pewnie, ktoby radził poddanie sromotne. Prawda, że kraj cały pokląkł jako obłąkani Izraelici przed cielcem złotym, ale komuż, jeśli nie nam, dać przykład wytrwania i dochowania przysięgi? Co się tyczy świętego obrazu, o ile umiem słabym umysłem radzić i wnioskować, skryćby go należało wprzód niżeli wróg nadejdzie; skryć także srebra i drogocenne kościoła naczynia i ofiary, aby się niemi heretyk nie cieszył, jeśli Bóg na nas dopuści zniszczenie. Sami pozostaniemy świętego miejsca do ostatka żołnierzem wiernym i nie wzdrygniemy się boju.

Przeciwko księdzu Mieleckiemu oświadczył się ojciec Jan, wnosząc, by w razie obrony obraz pozostał w miejscu, dla zagrzewania ducha i opieki; dowodząc, że kapłani i lud zarówno odważniej bić się będą, widząc Orędowniczkę przy sobie i stojąc w jej obronie.

Na to ksiądz Mielecki odpowiedział, że bezpieczeństwo obrazu i miejsca pogodzić się mogą, gdyż o ukryciu prawdziwego wizerunku, a włożeniu na miejsce jego kopji zupełnie podobnej zakonnicy sami tylko wiedziećby powinni.

Po nim wezwany kaznodzieja ksiądz Stradomski w podobny odezwał się sposób, ale obszerniej, unosząc się z zapałem, rad nieco wrażeniu, które widocznie czynił. Dodał on, że o miejscu ukrycia obrazu, dla krewkości ludzkiej, na wszelki wypadek, dwóch tylko ojców wiedzieć mają oprócz przeora, i ci przysięgą winni się będą zobowiązać, że schronienia nikomu nie wydadzą.

Trzej czy czterej ojcowie z małą różnicą powtórzyli zdanie pierwszych i nie rozszerzali się wcale; kolej przyszła na księdza Piotra Lassotę, a ten w początku zaniemiał, lecz przynaglony od przeora, jakby się obawiał powiedzieć, co myślał, nieśmiało głos podniósł.

— Nie śpieszę — rzekł — z myślą moją, bo złą być może, a przecież winienem ją, choćby grzeszną i ułomną, wypowiedzieć, jaką jest we mnie. Przebaczcie mi więc, ojcowie, jeśli waszego nie podzielam zdania, ani mi za złe bierzcie, że mam własne. Z wami razem, skoro taka wola będzie starszych, gotów jestem ochotnie walczyć i ginąć, z radością życie niosąc nikczemne na ofiarę Panu Bogu mojemu, ale sądzę, że nie mnicha jest rzeczą walczyć i krew przelewać. Nam w udziale dostała się modlitwa, rozmyślanie, rozmowa z Bogiem i pokuta; miecz nie powinien dotknąć rąk zakonnika, nie przystoi mu zbroja, a morderca dwakroć grzeszy, gdy jest posłannikiem Boga, któremu nieprzyjaciołom przebaczać i drugi policzek nastawić rozkazał. I nie naszą to rzeczą, i nie naszych sił sprawa obronić twierdzę jasnogórską od silnej, wprawnego i mocnego nieprzyjaciela napaści, winni będziemy krwi przelanej, a cóż, gdy się ona na nic nie przyda i tylko wroga rozjątrzy? Weźmijmy więc skarb nasz jedyny, obraz święty na ramiona, ubodzy, pieszo, z krzyżem w ręku wynijdźmy stąd, zostawując skarby ludziom, co do nich przywiązują cenę, a sami schronimy się do Głogowa, lub innego jakiego klasztoru na Śląsku.

Gdy to mówił ksiądz Lassota, a mowa jego zdawała się jednać sobie chętne przyjęcie u niektórych braci, przeor powstał.

— Prosiłem rady, jako szczerą a z serca pochodzącą, przyjmuję ją wdzięcznie, — rzekł — ale się na to zdanie wasze zgodzić nie mogę. Zakonnik w potrzebie walczyć i bronić świętości powinien, a nie poddawać się nieprzyjacielowi wiary. Mamy tego dowody w ustanowionych przez świętych założycieli zakonach rycerskich, które *ore, corde et ense* pracowały na zbawienie swoje i ludów; mamy tego

przykłady w Piśmie Świętem i w dziejach mężów, których orężowi błogosławiło niebo. Przysięgaliśmy wszyscy, jako obywatele kraju naszego, na wierność królowi Janowi Kazimierzowi, nie godzi się nam łamać i lekceważyć przysięgi. Mamyż, gdy na nas oczy kraju całego są obrócone, gdy wszyscy wyglądają stąd cudu, aby się nim pokrzepić, ustąpić, ocalając życie, a zostawić miejsce święte, jako gniazdo próżne, na łożysko heretyckiej gawiedzi, by je niezastygłe jeszcze bluźnierczą mową i sromotnemi czyny splamili? Święty to obraz, święty stół, bracia moi, ale uświęcona nim przez wieki Jasna Góra równie dla nas drogą być powinna. Tu walczyć, tu stać i tu, jeśli wola Boża, zginąć nam przystoi.

Ksiądz Piotr Lassota skłonił głowę i nic nie odpowiedział, a dalsi ojcowie wotowali raczej za przeorem, niż za nim. Kilku tylko jeszcze, z innych powodów, przypominając słabość miejsca, niedostateczne środki obrony, radzili wytargować sobie jak najkorzystniejsze warunki u Karola Gustawa, posłać wcześnie do Wittemberga, do Horna, do przyjaznego dawniej miejscu świętemu Wejharda i, przewlekając podanie, czekać dalszych wypadków.

Gdy głosy zebranemi zostały, okazało się, że znaczna większość była za ukryciem bezpiecznem a niezwłocznem obrazu świętego i za obroną do ostatka Jasnej Góry. Z radością widoczną obliczył je przeor i przemówił jeszcze, dodając ducha mniejszości:

- Wiary! wiary! wiary potrzeba nam; o nią prośmy tylko, o nią błagajmy, módlmy się o nią, a zwyciężym. Samson szczęką oślą pobija Filistynów, Dawid maluczki kładzie trupem Goljata olbrzyma, bo z nimi jest duch Boży; nie zawsze siła tylko przemaga, zwycięża, z kim jest Bóg. Mamy wielkich Orędowników w niebiesiech, a choć grzeszni, w chwili gorącej modlitwy, podniesiem głos, by nas usłyszał Ojciec. Wiary tylko, wiary silnej, wiary niepożytej a potężnej. A nawet, po ludzku już rachując i nie licząc posiłków anielskich, które to święte miejsce otaczać będą, czemużby twierdza tak mocna, budowna, w przybory wojenne obfita, w żywność zasposobiona, stać i wojskom wielkim opierać się nie miała? Widzieliśmy przykłady u nas zamków i grodów, które cierpliwością i wytrwaniem dziesięćkroć silniejszego napastnika przemogły. Inna jest napadać a bronić. Jeśliśmy my nie wojownicy, znajdą się wo-

dzowie bieglejsi, co nam rady i przewodnictwa nie odmówią, znajdą się posiłki, byle wiara była!

Domawiał tych wyrazów, gdy do drzwi *definitorium* zapukano. Profes Rudnicki otworzył je, poszeptał coś zcicha i zbliżył się do przełożonego.

— Stróż od bramy przyniósł to pismo, pilne, jak powiada; żebraczka Konstancja mu je podała, jej zaś konny jakiś, pod mury podjechawszy, rzucił ze zleceniem, aby je natychmiast do przeora zaniesiono.

Ksiądz Kordecki rozwinął zbrukaną kartę i odczytawszy, rzekł powolnie:

— Nowe to potwierdzenie wieści o zbliżaniu się Szwedów i zamiarach ich na Częstochowę. Ktoś to przyjazny nam, znać z kwarcianych, czy z innego polskiego żołnierza, umyślnie oznajmienie to przysłał. Ręka i styl nieznajomy, ale myśl poczciwa.

I począł czytać po łacinie w te słowa:

„Szanowni Ojcowie! Rzeczą jest niezawodną, że postanowiono już uderzyć na Jasną Górę, i pierwszej wycieczki spodziewać się możecie najdalej w pięć lub sześć dni po odebraniu tej wiadomości. Wyznaczony do tego hrabia Wejhard Wrzeszczewic, katolik, niegdy opiekun i dobroczyńca klasztoru waszego, ale Szwedowi przyjazny, który odrazu może gwałtownych nie użyje środków; lecz, jeśli mu się nie uda zająć twierdzy, znaczniejsze siły podesłane będą. Nie traćcie nadziei, pora opóźniona, nie do wojny, z Polaków nikt na Jasną Górę się nie porwie, zamknijcie się co najrychlej, nie wpuszczajcie tylko pewnych i znajomych, a resztę Bogu powierzcie."

List ten podpisany był tylko trzema krzyżykami. Słuchali czytania jego ojcowie spokojnie, aż ksiądz Ignacy Mielecki się odezwał:

— Jeśli hrabia Wejhard wysłany zostanie, nic nam złego zapewne uczynić nie zechce; znany to przyjaciel zakonu i czciciel świętego obrazu; imię jego w księgach ofiar nie jeden raz zapisane; miałżeby chcieć łupić, co zbogacał, znieważać, co czcił?

— Bóg to wie, — rzekł przeor — a ostrożność nie zawadzi; tymczasem dziś jeszcze pójdziemy poklęknąć przed obrazem, który już jutro w Częstochowie znajdować się nie będzie. Ojcowie strażnicy, co za nim pojadą, wyznaczeni będą po chórze północnym, ja sam go wywiozę do bezpiecznego miejsca z nimi; drudzy zabiorą srebra klasztorne, które

w stawie zatopić wypadnie pod miasteczkiem. Mieszczanin tam jaki oko na nie mieć może. Resztę klejnotów naszych zatopimy dziś jeszcze. Ludzie z wiosek klasztornych, z Krowodrzy, Grabówki, Lgoty, Dzbowa w części już sprowadzeni, nad rankiem i koło południa z resztą pośpieszą. A teraz kończmy, jakośmy zaczęli, z Bogiem i modlitwą.

Na tem skończyła się narada i nazajutrz rano, choć nikt nie wiedział o podróży przeora, o uwiezieniu obrazu, choć nic nie zmieniło się w kaplicy i nabożeństwie, a obcy zamianyby poznać nie mogli; prawdziwy wizerunek częstochowski daleko był już od tego miejsca, na którem kilkaset lat przebywał; w jego zaś ramach, sukience i klejnotach, kopja zupełnie podobna, jakich zawsze kilka wpogotowiu miano, zawieszona została. Srebra klasztorne, zamknięte w beczki, utopiono w stawie tejże nocy.

III.

Ruch wielki panował dokoła klasztoru; odżywać zdawała się okolica, ale nie było to dawniejsze, swobodne, pobożne i wesołe życie, jakiem się uśmiechała Częstochowa; inne wcale je zastąpiło: — dziś wszyscy jadący do twierdzy twarze mieli posępne, wzrok zafrasowany i niespokojny, śpieszyli i oglądali się, spotykając, witali milczącem skinieniem głowy lub przemawiali do siebie półgłosem. Od miasteczka ciągnęły ładowne wozy napełnione żywnością, groźnie warcząc, odzywał się obudzony młyn prochowy; z sąsiedztwa zwożono zboże, oręż, kule, ołowie i zbroje stare, lud z wiosek powolnie zbierał się do wrót i zapełniał dziedzińce. Tu mnisi sami jeszcze prawie rozporządzali, co było potrzeba na wypadek oblężenia, które przewidywano; ku bastjonom ciągniono działka, śmigownice i organki, wożono kule, kamień i belki; po kortynach zamurowywano niepotrzebne otwory, podwajano słabą murów grubość, w niektórych miejscach wrzątkiem zastygające rozrabiając wapno; z tarcic i brusów wmurowywano blankowania nowe.

Na wysokiej, świeżo po pożarze odnowionej wieżycy straż czujna odzywała się niekiedy, otrąbiając i dając znak, że wartuje. W podwórcach gospodarowali, kręcili się zakonnicy, do tego rodzaju pracy nie zwykli, ale oddający się jej gorąco; jedni przyjmowali, co przywożono, i składali na wcześnie przygotowane miejsca, drudzy wydawali ze skła-

dów stare zapasy wojenne, dawne przybory i rynsztunki, które rdza, wilgoć i długi spoczynek nadwątliły.

Dziwny to był widok tych mnichów, z ciekawem okiem a niewprawną dłonią podejmujących zbroje ciężkie, hełmy od rdzy sczerwieniałe, berdysze wyszczerbione, siekiery i topory wojenne, żelazne łuskowe pancerze i kopje, których drzewce robak potoczył; — liczących kule nagromadzone kupami, chodzących około dział i muszkietów. Czeladź klasztorna oczyszczała uzbrojenia, płatnerz je, sprowadzony z Olsztyna, naprawiał zaraz, dotaczano rzemień, przyszywano sprzążki, zabijano gwoździe, toczono szable. Lud tymczasem, który był wyznaczony do obrony świętego miejsca, poglądał na te przygotowania okiem posępnem i zdumionem; od pługa świeżo, od brony, od motyki przechodząc w szeregi wojowników, nie oswoił się jeszcze z nową pracą, nie wierzył zmianie.

Janasz Węgrzyn, jeden z tych awanturników, co raz porzuciwszy ojczyznę, a z wojny uczyniwszy sobie rzemiosło, włóczą się po Bożym świecie, — wybierał zdatniejszy lud i rozporządzał nim razem z księdzem Mieleckim, mnichem dzisiaj, a dawniej wojakiem, któremu przypomnienie pierwszego stanu smakowało, choć uczucie to grzeszne od siebie odpychał. Jednych odłączano do posług klasztornych, drugich, co ochotniej brali się do tego, naprędce obeznawano zaraz z orężem i obowiązkami, jakie spełniać mieli. Ukazywano im miejsca, dawano w ręce oręż, a niektórzy, przywdziawszy ciężkie zbroje, spoglądali na siebie z dziwnym zdumienia uśmiechem. Ojciec Stradomski, kaznodzieja, wszystkim tym nowozaciężnym wyniósł po szkaplerzu i po obrazku Najświętszej Panny, gorącą ich mową zagrzawszy, dodając otuchy obietnicą, że i sami wespół z nimi walczyć będą, a płacę zapewniając dostatnią.

Wśród tego tłumu postaci rozmaitych i dziwnie z sobą sprzecznych, wśród zjeżdżającej się co chwila szlachty, która tłumoczki swe do zabudowań klasztornych przenosiła, wśród niezwykłego w ciszy zakonnej kwilenia dzieci i głosów kobiecych uderzyła przemykająca się tu i owdzie ze śmiechem, z pociesznemi powitaniami i żartami, stara niewiasta w żebraczem odzieniu, dobrze znana mieszkańcom Częstochowy. Zwano ją po imieniu tylko Konstancją, a lud prosty dla pozoru może, może ze swawoli, mianował ją zwyklej Kostuchą. Istny to też był szkielet, na którym tylko wyżółkła trzymała się skóra, osobliwszą siecią marszczków

pokryta. Wysokiego wzrostu, chuda, nieco przygarbiona, z kijem w ręku, z płachtą szarą na głowie, w odartym sieraku i chustach pooplątywanych na ramionach, z torbą pustą na plecach, godłem stanu, — Kostucha tego, co ją raz pierwszy zobaczył, uderzała wyrazem twarzy zeschłej, bladej, a ożywionej jakby obłąkanym uśmiechem, który jej nigdy nie opuszczał. Czarne oczy ogniste, z pod brwi siwej błyskające, od tego śmiechu wiekuistego otoczyły się promienistemi fałdami, rozchodzącemi do ust i na czoło. Gęba bezzębna, nawpół otwarta, śmiała się także, a nos prosty i niewielki poruszał przytem z całą twarzą, drgającą i jakby konwulsyjnemi wykrzywiającą się ruchy. Kilka kosmyków siwych włosów wymykały się z pod płachty i na skroń spadały. Ruch żebraczki nad wiek jej był żywy, głos donośny, a wśród poskoków, śpiewów i chichotania, z jakiemi ją zawsze widywano, coś smutnego się przebijało, cechującego obłąkanie, owoc wielkiej przecierpianej boleści. Nie była wszakże szaloną; pamięć, przytomność, przebiegłość nawet i dowcip jej pozostał; ale ten śmiech, okryty łachmanami i zgrzybiałością, zdawał się wyrobionym siłą, wywołanym postanowieniem jakiemś. Zwykłem jej mieszkaniem były kramiki pod murami klasztornemi, w których noc spędzała latem i zimą, na garści słomy. W wielkie mrozy, czasem ją kto miłosierniejszy z mieszczan okrył starym kożuchem, czasem do chaty zawezwał; we dnie, jak na brzask, stawała u drzwi kościelnych; tu lub w kruchcie modliła się na ogromnym drewnianym różańcu z nadzwyczajnem przejęciem i gorliwością, nigdy się o jałmużnę nie przypominając nikomu. Najczęściej grosz jej rzucony inny żebrak pochwycił, Kostucha tylko się na to uśmiechała; bo kawałek chleba zawsze miała przy furcie, a o resztę zdawała się nie dbać. Jak skoro skończyło się nabożeństwo, wziąwszy kij, szła pod kramy, do miasteczka lub na cmentarz, śpiewając, skacząc czasem i chętnie zawiązując z każdym rozmowę, której pragnęła, którą lubiła. Znała tu wszystkich, bo od lat kilkudziesięciu siedziała pod murami twierdzy i nikogo nie było, coby się z jej żartów nie uśmiechnął, coby na powitanie jej nie odpowiedział. Przy ludziach zawsze się tak dziwnie okazywała wesołą; mówiono wszakże, iż gdy samą została, gdy sądziła, że na nią nikt nie patrzał, siedziała posępna, płakiwała nawet; ale skoro na nią padło ludzkie oko, natychmiast poczynała piosenkę i otwierała usta na uśmiech swój zwykły.

— A z tobąż, Kostucho, co będzie, — spytał Janasz Węgrzyn, gdy się ku niemu zbliżyła — może i ty nam tu kule nosić pomożesz?

— Zobaczymy;—odparła, kłaniając mu się nisko a szydersko—nie chce mi się opuszczać moich pałaców i choćby wojsko szwedzkiego chana nadciągnęło, ja sobie zostanę, siedzieć będę, jak siedziałam, pod murem.

— Ba! a kule?

— Mnie one nie wezmą! ho! ho! widzicie, skórę mam twardą i kości niemiększe! Będę zbierała je jak orzechy i odnosiła wam; bo w klasztorze, żeby ich tylko nie zabrakło.

— Hę! to i wy myślicie, że się Szwedzi na klasztor pokuszą?

— Jak dziś dzień; i czekam na to, jak kania dżdżu. To będzie harmider! buch! bach! dzwony sobie, armaty sobie, waćpanowie sobie — aj — aj! muzyka także, aż miło! bal! bal! A nasza Najświętsza Panna z góry stanie w obłokach i jak skinie białą rączką — już po Szwedach — jak wymiótł.

— Chwała Bogu! dobrze nam prorokujecie!

— Komu dobrze, a komu licho! — cicho szepnęła Kostucha.

— No! alboż co! — spytał Janasz z wejrzeniem nawpół żartobliwem, nawpół niespokojnem.

— Bo was taki, Janaszu, kochanie moje, kulka nie minie!

— Patrzcie, jaki mi z tego obdartusa prorok!

— Cha! cha! — zaśmiała się Kostucha — a jak się uląkł, jak pobladł!

— Ja? ja? — odparł Węgrzyn, prostując się i spluwając pogardliwie — to się po mnie nie pokaże! żebym babskich proroctw słuchał!

— Kochanku Węgrzynie od Złotej Bani, przynajmniej się wyspowiadaj zawczasu, bo cię święty Piotr nie puści na piwo do Abrahama, a słychać, że ono lepsze niż wareckie.

To mówiąc, Kostucha roześmiała się i zaczęła skakać przed Węgrzynem, dziwne robiąc krygi, od ust posyłając mu pocałunki, kłaniając się, chichocząc. Janasz spuścił głowę, niby nic nie uważał, ale sposępniał widocznie. Od niego poszła żebraczka do jakiegoś chłopaka, który obracał muszkiet z obawą i niezgrabnością, zbliżyła się, pokłoniła mu i poczęła go musztrować. Chłop na widok tego dziwowiska gębę szeroko roztworzył, a Konstancja, korzystając z zagłu-

pienia parobka, jęła mu szybko dawać nauki o strzelbie i wojaczce.

— Bo ty nie wiesz, — odezwała się groźnie — że ja jestem pułkownikiem regimentu bosaków. Flinta na ramię — ale nie tak, jakbyś cepisko trzymał! słyszysz, nabijaj! celuj! pal! a pamiętaj, serdeczny mój, jak będziesz strzelał do Szweda, to go nigdy nie bierz na cel w piersi, bo u niego żebra mosiężne, a ramiona żelazne i łeb kamienny, zawsze rychlej mierz w obwisłe brzucho i we flaki, to go zwalisz pewniusieńko, bo u niego całe życie w kałdunie. Szwed też, żebyś wiedział, kochanku, ma ręce słomiane. Kiedy zechce bić, nastaw mu się tylko, a nie poczujesz razu, byle śmiało.

Wtem nadszedł ksiądz Mielecki, a żebraczka ustąpiła, śmiejąc się jeszcze, i powitała go:

— Chociaż ja pułkownikiem jestem, a to hetman, widzisz, gburze, skłoń że się jak przed wodzem.

— Ej stara! stara! — że też ciebie jeszcze trzymają się żarty!

— Prawda, ojcze! wzięły się mnie gdyby pijawki i puszczać nie chcą! Cóż robić! aby dalej. Czołem, panie hetmanie, pójdę dalej oglądać wojsko nasze.

I wywijając kijem jak muszkietem, posunęła się w podwórze ku przybywającej szlachcie.

— Sługa jaśnie wielmożnego pana — odezwała się z przysadzistym ukłonem do łysego szlachetki, który wózkiem przybył i nigdy podobno takiego tytułu nawet od ludzi swoich na wsi nie słyszał.

— Poczekaj, moja kochana, poczekaj, — odparł przyjezdny — worek zapakowany, dam ci później jałmużnę.

— Bardzo dziękuję jaśnie wielmożnemu panu, za dziesięć lat stawię się po nią.

To powiedziawszy, poskoczyła ku bramie chyżym krokiem, zaczepiając po drodze każdego słowem, gestem, ukłonami, wymknęła się za most i znikła.

Właśnie w tej chwili znaczny pociąg i orszak liczny wjeżdżał w podwórzec; byli to ludzie i konie pana Piotra Czarnieckiego, który oddawna oświadczył się przeorowi, że gdy niebezpieczeństwo przyjdzie, i on stawić się do Częstochowy nieomieszka; jakoż dotrzymał słowa i z pocztem porządnym, z zapasem dla niego potrzebnym, ściągnął do klasztoru.

Był to godny brat wielkiego Stefana; toż samo w nim męstwo, jedna wytrwałość, jedna prostota obu; ze szlachtą

i prostym ludem łagodny i miękki, serdeczny brat i ojciec, z panami czasem opryskliwy i nieco dumny, a wysoko podnoszący głowę; zresztą przedewszystkiem żołnierz i jak żołnierz niepatrzący jutra, chętnie czyniący ofiarę z mienia i krwi własnéj, wesoły zwłaszcza w boju, lubiący pracę, w spoczynku łatwo się nudził; pobożny duszą, ludzki, towarzyski i braterski, nawet z twarzy miał nieco podobieństwa do pana kasztelana kijowskiego, tylko zawczasu obłysiał, co mu powagi dawało, a brodę podgalał. Strojem jego szaraczkowy kontusz, burakowy żupan z wyszarzanej jedwabnicy, szabla stara i doświadczona na rzemiennym pasku klamrą spiętym, na głowie czapeczka ze skóry, przeszywana gęsto, jakiej pod hełm używano, tak że tylko na nią wdziać żelazo, pancerz opiąć i gotów do boju. Jechał sam konno, za nim czeladzi kilku, a wozy skórami okryte, po cztery i po pięć koni, ciągnęły prowizje potrzebne, które się w domu znalazły, a w Częstochowie przydać się mogły. Ledwie ujrzeli go księża i rodzony jego, ksiądz Ludwik Czarniecki, zaraz pośpieszyli przybywającego witać. Ksiądz Mielecki znalazł się najbliżej.

— Otóż i mnie macie, — rzekł wesoło, z konia zsiadając i czapeczkę zdejmując, pan Piotr — jak mnie widzisz, tak mnie pisz; niewiele zdużamy, ale co podołamy, to wasze i z całego serca przychodzę dzielić z wami, jaką Bóg zdarzy, złą czy dobrą dolę. Ja, trochę czeladzi do flinty sposobnej, kilka wozów rupieci, ot cały przybytek.

— Bóg wam zapłać waszą nad biednymi mnichami litość i pomoc, którą świętemu miejscu przynosicie, — rzekł z ukłonem ojciec Mielecki — wielki to przybytek jedno serce mężne i dwoje rąk dzielnych!

— Każcie mi tam gdzie jaki kątek dla mnie i moich ludzi wyznaczyć, — odparł, ściskając brata, pan Czarniecki — ja tymczasem pośpieszę hetmana naszego powitać.

— Kogo? — spytał ksiądz Ludwik.

— A jużciż nie kogo, tylko księdza przeora, poczciwego Kordeckiego, *bene nominatum*, bo i od korda być może, *et a corde* i pierwszym pokierować potrafi w obronie tego przybytku, a drugie ma, daj nam Boże wszystkim.

Tych słów domawiał, gdy ksiądz przeor, pośpiesznie naprzeciw dążący, by pożądanego powitać gościa, stanął przed nim.

— Witajże nam, cny obrońco Częstochowy!

— Do nóg upadam księdza przeora dobrodzieja — *pa-*

ratus, jak mnie widzicie, z dłonią i szablą na usługi klasztorne się stawię. Odebrałem listy wasze i, co się zebrać mogło, w posiłek przywodzę, *primo attamen se ipsum.*

— A to nam najdroższa, bo afektu dowodzi ku świętej kraju Patronce i tym progom, i dla sług jej niegodnych. Rozgośćcież się, szanowny panie, w naznaczonem wam mieszkaniu i gospodarujcie tu, jak u siebie.

— *Pro primo*, ojcze a dobrodzieju, gdzież jest moja cela?

— Panu Stefanowi Zamojskiemu, który dziś niechybnie ma przybyć z żoną i synem, naznaczyliśmy najobszerniejsze mieszkanie, a dla pana w klasztorze samym, za klauzurą, gościnny pokój obszerny także i wygodny.

— Mnie o to nie idzie, ojcze mój kochany, — przerwał pan Czarniecki — dziękuję wam bardzo za troskliwość, ale gościnny pokój wasz znam i przyjąć go nie mogę. Pamiętajcie, że to nie gościa i nie brata pana kasztelana mieścicie, ale żołnierza, któremu być potrzeba jak najbliżej murów, aby i w chwili spoczynku ucho miał na nie i oko. Dajcie mi siaką taką ciupkę przy węgle murów, to dopiero mnie ucieszycie, bom ja tu nie przyjechał rozkoszować się, ale pracować z wami i dalipan od serca.

— I z tej celi do murów niedaleko, — rzekł z rozrzewnieniem przeor — zajmujcie ją, proszę bardzo, gdzie indziej byłoby wam niewygodnie.

— Kto teraz, ojcze, o wygodzie myśli, byle gdzie głowę położyć na chwilę i po wszystkiem; jeśli mi chcecie łaskę uczynić, lokujcież mnie jako sam proszę, przy murach.

— Tam są tylko liche izdebki, a hałas gawiedzi.

— Tegoż mi potrzeba, oko mieć będę, stawcie mnie gdzie w narożniku.

— A kule szwedzkie, jeśli Bóg nas niemi nawiedzi?

— O! znam ja grubość częstochowskich murów i spokojny jestem o to, zresztą wszakże mi idzie, żeby być jak najbliżej kul, a zatem tak! tak! na dole w baszcie!

— Chcecie tego naprawdę? — spytał Kordecki.

— Ani ustąpię od tego!

— Więc wola wasza, ojcze Ignacy, każcie oczyścić izbę— czyńcie, jak się wam podoba! a teraz, powiedzcie mi, jakie wieści, co słychać?

— Stare! stare! Szwed dobywa Krakowa, już mu jednej stolicy niedosyć, może go i dostał do tych pór, — rzekł z westchnieniem głębokiem pan Piotr — miałem pismo od

kasztelana, źle ominuje, źle! Kraków wezmą, chodzi tylko o to, by dobre artykuły wytargować.

— Król jeszcze na Spiżu?

— Dotąd i ani myśli ruszać! dokąd? z kim?

— A na nas tam nie mierzą?

— I owszem, wiem z pewnością, że lada godzina jakiś się oddział tu wybierze, naradzają się tylko (od swoich to mamy), kogo naprzód ekspedjować; zda się, że poczną od politycznych traktacyj i katolika tu wysforują, byleby się tylko wkręcić, pod pozorem wzmocnienia *presidium* twierdzy. Myślę, że Wejhard podejmie się tego i pokłoni Częstochowie lisią czapką...

— Wola Boża, niech przychodzi, kto chce, jesteśmy już spokojni, obraz — rzekł przeor cichuteńko — na miejscu bezpiecznem, sreberko także, a my, mając garść ludu i pomoc w takich mężach jak wy i pan Stefan Zamojski, opiekę w Matce naszej, nie zlękniemy się. I traktować potrafimy i bić się, *ad omnia parati.*

— Jeszcze nie przybył pan miecznik?

— Niema go, ale dziś być musi. Szlachta już gnana panicznym strachem gromadzi się do nas i za to dzięki Bogu, więcej głów i więcej rąk mieć będziemy. Dzisiaj powitaliśmy pana Żegockiego, Zygmunta Moszyńskiego i kilku innych; każdy z sobą przynosi więcej niż najdroższy skarb, bo męstwo i wiarę w to, że się Częstochowa ostoi. Nawet pan Aleksander Jaroszewski z Lubidzy żonę tu swoją pobożną a świętą niewiastę i z dziećmi przysłał, pewien ich bezpieczeństwa. I zdarzy Bóg, nie damy się.

— Nie damy się — powtórzył wesoło Czarniecki, oglądając się po murach i po dworcach, pełnych ludu krzątającego się dokoła, pełnych wrzawy, gwaru i stukotu, oznajmującego wielkie przygotowania.

— A widzę, nie śpicie, księże przeorze, — rzekł — bo tu istotnie jak na zamku, przybór do wojenki, aż serce rośnie.

— I dziś, dzięki Bogu, — odpowiedział ksiądz Kordecki, oczy wznosząc w niebo łzą zroszone — byleby przybył pan miecznik, w zupełnej staniemy gotowości. Mam zgórą stu sześciudziesięciu już ludzi, nie licząc nas zakonników i szlachty, która na dowódców się wybierze, nie licząc czeladzi i posługaczów klasztornych; działa na miejscach, tylko je poświęcą, kule i prochy pod ręką, a dla rozweselenia serc frasobliwych *exhilarandi gratia* i kapela klasztorna swoją broń sztyftuje. Bo jak, poszcząc, przykazał nam Chrystus

twarz mieć wesołą, tak i tu, ciężką a smutną spełniając powinność, pełnić ją potrzeba z twarzą rozjaśnioną. Ale my tu stoimy, — rzekł, opamiętając się, Kordecki — a ja, niegościnny gospodarz, nie proszę pana spocząć, wnijdźmy więc, jeśli łaska.

— Jabym raczej mury chciał opatrzyć! — rzekł pan Czarniecki żwawo, wąsa sutego kręcąc.

— Na to będzie czas jeszcze, bo nieprzyjaciel, spodziewam się, tak zaraz na kark nam nie spadnie. Chodźmy więc słusznego zażyć odpoczynku.

Skłonił się pan Piotr i, wziąwszy pod rękę przeora, razem wsunęli się do klasztornego gmachu, gdy tymczasem ludzie i czeladź wozy odprzęgali i manatki znosili do baszty, którą sobie Czarniecki obrał na mieszkanie.

IV.

Nad wieczorem przyjechał spodziewany miecznik sieradzki, pan Stefan Zamojski, z żoną i synem, młodym chłopcem, wyrostkiem, który miał imię ojcowskie Stefana. Nie należał on, jakby z nazwiska sądzić można, do rodziny Zamojskich, już podówczas ze szlachty do magnatów przechodzącej, do Jelitczyków, potomków Florjana Szarego, których wielki Jan wwiódł za sobą na senatorskie krzesła, między familje dawniej pańskie, choć nie tyle może zasłużone, co oni. Pan miecznik, z nazwiska Zamojski, całkiem innego był rodu, bo u nas ród oznaczał zawsze raczej herb, niż nazwisko; on opowiadał o pochodzeniu, świadczył o krwi związku, a przyjęcie do niego było przysposobieniem do familji. Zamojscy sieradzcy byli herbu Poraj, a pan miecznik mieszkał w dziedzicznych dobrach, Strzelczu. Jak pan Czarniecki, kasztelan kijowski, który, sam będąc przodkiem (niestety, bezdzietnym!), przesławnych dygnitarzy między antenatami nie liczył; pan Stefan był całą gębą szlachcic tylko, otóż fortunka piękna, imię uczciwe i koligacje mogły go popchnąć i wyżej. Nie piął się wcale na pana, woląc być sobie dobrym szlachcicem, niż ladajakim podpankiem. A był to człowiek, co w swoim wieku za typ szlachcica mógł uchodzić.

Rzekłbyś, że się urodził do konia i szabli, tak mu łatwo przychodziło wszystko, co się tknęło rycerstwa, tak od młodu, instynktowo, nim się wyuczył, już, zda się, umiał swoje

rzemiosło wojaka; nie było konia, któregoby nie dosiadł, szablicy, coby nie świstała w potężnej jego dłoni, zbroi, coby mu zaciążyła na barkach. Służył w wojsku i wyszedł z niego nie tylko żołnierzem, ale wytrawnym dowódcą; poznał wszystkie gałęzie sztuki wojskowej, namiętnie ją polubił i długiemi wieczory nie było księgi milszej nad rozprawy *de re militaria*, nad traktaty o *Archelji* i tym podobne pisma. Ale zdjąwszy zbroję, rolnik z niego i gospodarz wyśmienity, nie na sposób pana Pawła Warszyckiego, który w gospodarstwie grosz tylko widział, ale z potrzeby pracy, z zamiłowania wioski i roli; zresztą z obowiązku. Lud kochał i był od niego kochanym, jak ojciec. A choć trzymał wszystkich w ryzie, każdy mu oddawał sprawiedliwość, że nigdy nawet pośpiesznem słowem niesłusznie nie zgromił. Prawo znał także na palcach i czyś go zaczepił z kanonicznego, czy z rzymskiego, czy z krajowego, czy nawet z Saxona, nie wywiódł go w pole lada kauzyperda. Nie lubił wprawdzie pieniactwa, bo mu święta zgoda nad wszystko była miłą, ale czuł to, że jako obywatel kraju prawa jego znać był powinien. A w życiu codziennem, acz poważny i umiejący okazać, że znał godność swoją, przyjacielski był i miły, że się bracia szlachta Sieradzanie posiekaćby za niego dali. Miał tylko jedną wadę, jeśli się to owemi czasy wadą nazwać mogło, a z niej jeszcze u ludzi na chlubę sobie zarabiał: był wymowny, lubił sam przysłuchiwać się swoim figurom retorycznym i chętnie może do zbytku prawił oracje, byleby się zręcznostka nadarzyła. Wymowa jego była wyszukaną i najeżoną przypomnieniami, to też jej kwoli spisywał w swej księdze, co tylko piękniejszego w tym rodzaju spotkać mu się trafiło. Tu był niewyczerpany, nieprzesłuchany, ale też byle chrzciny, oddawanie marcepanów, przyjmowanie panny, zamiana pierścieni, — dobijano się o niego w całej Sieradzczyźnie, ba i z dalszych stron, tak mu łatwo było *ex abrupto* mowę przednią powiedzieć.

Postać malowała człowieka: ogromny, barczysty, pleczysty, silny jak żubr, z włosem czarnym, z wąsem potężnym, podkręconym ku górze, płeć miał białą i rumianą, oko pełne a ogniste, czoło podgolone wysoko; głowę nosił do góry, chętnie w bok się ręką podpierał, a kiedy kroczył, to z taką powagą i z taką razem grzecznością i przymileniem, że znajomi i nieznajomi witali go czapką i uśmiechem, odrazu, na pierwsze wejrzenie, będąc już dla niego dobrze uprzedzeni. Lubił się pięknie ubrać i nikt nadeń w okolicy nie nosił

wykwintniejszych kontuszów, taratatek, katanek, węgierek lamowanych, bramowanych, guzami i pętlicami strojnych, nikt piękniejszych nie miał czapek, szabel i siądzeń na konie, i rzędów, i zbroi. Bodaj sam jeden był w domu, zawsześ go zastał czysto i starannie ubranym; a kiedy w pole lub na polowanie (był i myśliwy dobry) na bułanym jechał stępaku, to choć rząd był z rzemienia, ale węgierski i misterny, i było co na niego popatrzeć. Słowem, i do korda, i do różańca i do tańca, i do roli, i do prawa, i do szabli, i do książki, pan Zamojski nic gospodarskiego nie poczytywał sobie za obce, *ad omnia paratus*, mawiał, że w naszym kraju szlachcic takim być musi, bo będąc wszystkiem, we wszystkiem sam sobie wystarczać powinien.

Takim to był pan miecznik sieradzki, który, raźno w dziedzińcu zsiadłszy z konia, otrząsnąwszy się, skierowawszy żonę, jej dwór i syna ku wskazanemu mieszkaniu, sam żywym krokiem wśród szeptów przytomnych pośpieszył do klasztoru. Na pół korytarza powitali go ksiądz Ignacy Mielecki i Piotr Lassota i tuż *stante pede* poczęły się długo trwać grożące mowy obustronne, gdy pan Piotr Czarniecki, z księdzem przeorem nadchodząc, je przerwali; szli także naprzeciw miecznika.

Nie mógł tak uroczystej opuścić okazji pan Zamojski i, ucałowawszy rękę dostojnego przeora, rozpoczął *ore facundo* przywitanie, kto wie czy trochę w drodze nie przygotowane?...

— *Stat sua cuique dies*, przewielebny przeorze dobrodzieju! na mnie też przyszedł szczęśliwy dzień, w którym na rozkazy wasze, do obrony tego miejsca świętego przybywam i staję *clam et aperte, directe vel indirecte* walczyć gotów. *Cum sua non insaniat hostilitate* Szwed jeszcze, czas właśnie *durum contra durum* postawić, przeciw napastnikowi zawziętemu, męstwo niepokonane. *Dies albo notanda lapillo*, dzień szczęśliwy mi i pamiętny, w którym w szeregi obrońców tego miejsca, *totum per orbem* wsławionego, zapisać się mogę. *Adsum*, ojcze przewielebny, acz czuję, że, wzywając mnie, wielki zaszczyt małemu uczyniłeś człowiekowi. Za jedno tylko zaręczyć i poprzysiąc mogę, że jeśli się Bogu podoba powołać nas *ad arma; pallor in ore, mucies in corpore* nie postaną, a męstwo pobożność, pobożność męstwo krzepić i umacniać będzie. Tak jest, *si totis campis fulcerint hostium signa*, my z garścią *inpavidi* staniemy przeciwko nim, a głos twój, przewielebny przeorze! będzie nam

fax et tuba do szczęśliwej wiktorji i triumfów. *Tempus erit nec enim me fallunt omina quando.*

Byłby mówił dłużej zapewne, ale ksiądz Kordecki, widząc już, na co się zanosi, uściskał go zaraz, zagadał i zapoznał z panem Czarnieckim. To poznanie o mało nowej nie sprowadziło oracji, bo pan miecznik sławnego kasztelana kijowskiego chciał godnie powitać i począł już:

— Kogóż to oglądają szczęśliwe oczy moje?...

Ale mu nie dano dokończyć, wmieszali się przytomni i na chwilę markotnego z przerwanego wylewu elokwencji wiedziono do przeorskiej celi, gdzie lekki posiłek wieczorny był już przygotowany. Nie wszyscy zebrali się tu goście, kilku tylko przedniejszych, resztę zaś ojciec pod-przeor i inni traktowali w refektarzu poufalej i dla nich samych milej, bo jakkolwiek wszyscy byli bracia szlachta, ale panowie Zamojski i Czarniecki, jeśli nie *re*, to *nomine* trochę imponowali.

V.

Dzień ósmy listopada upłynął na zwyczajnych modlitwach i krzątaniu się w klasztorze; wątpliwości już najmniejszej nie zostawało, że Szwedzi rzucić nie zechcą Częstochowy, leżącej im na drodze, i zostawić nie zajętą; wiedziano, że się o nią pokuszą niechybnie. Od okolicznej szlachty i przyjaznych sobie panów księża co chwila prawie, dopóki drogi jeszcze przecięte nie były, odbierali wiadomości coraz bardziej zatrważające. Większa część radziła wcale się nie opierać i, wytargowawszy tylko całość i bezpieczeństwo świętego miejsca, wpuścić tu szwedzką załogę. Zdawało się bowiem wielu niepodobieństwem utrzymać w tej małej twierdzy, gdy stolica i znaczniejsze grody opanowane już były. Z całej Polski w tej chwili jeden tylko niewielki kawałek Podgórza pozostał wolny jeszcze od najazdu; a i tu, choć nie było nieprzyjaciela, napaści na dwory, rabunki i rozprzężenie się społecznego porządku co chwila stawało straszniejszem. Mało było ludzi, co, nie wierząc w ostateczną zgubę, mieli jeszcze jakiekolwiek nadzieje i wyglądali spełnienia ich, to od wojsk z pod Wojnicza, to od nowego chana, to od elektora brandenburskiego. Zimniejsi i rachujący po ludzku ostateczny już przewidywali upadek Polski i jedyny dźwignienia się środek widzieli w Karolu

Gustawie, od niego wyglądając oswobodzenia prowincyj ruskich i Litwy.

Goniec, przybyły do przeora dniem wprzódy, zwiastował wreszcie, że już Szwedzi ku Częstochowie są w drodze. List, przez nieznajomego przyjaciela pisany, dokładnie objaśniał, że Wittemberg najwięcej podobno dla sreber klasztornych, z których dla ujęcia sobie wojska polskiego bić chciano monetę na gotowe kazimierzowskie stemple, polecił zająć Jasną Górę. Wyznaczony był do tego bliski podobno krewny wodza naczelnego, generał-lejtnant Burchard Miller; lecz, że się nie spodziewano wcale, iżby mnisi pomyśleli nawet o oporze, wyprawiono przodem z Wielunia część oddziału z Janem, hrabią Wejhardem Wrzeszczewic, Czechem z rodu, katolikiem, i Sewerynem z Kali-Kalińskim, starostą bracławskim, pułkownikiem polskim. Ci mieli, jako katolicy, łatwiejszy przystęp otrzymać do twierdzy i Szwedom utorować drogę. Wejhard prowadził z sobą około dwóch tysięcy ludzi i kilka małych działek polowych, które po jesiennych rozbłoconych drogach z trudnością się wlokły.

Z klasztoru wieluńskiego z wieścią o wystąpieniu jego w pole wysłany mieszczanin stanął w Częstochowie, dzikie plotąc rzeczy i postrach niosąc z sobą; ale mu tu długo gościć i popłoch rozsiewać między załogą nie dano. Przeor zresztą, Zamojski i Czarniecki gotowi byli na wszystko, prócz poddania się.

Naczelnik tego pierwszego oddziału szwedzkiego, hrabia Wejhard, był, jakeśmy już mówili, katolikiem; znali go zakonnicy z dawniejszej jego pielgrzymki na miejsce święte i darów uczynionych świętemu obrazowi; ale teraz inny to wcale stał się człowiek.

Wejhard był awanturnikiem i długo losu szukał po świecie, nim go sobie u Szwedów znalazł; wódz-najemnik, jakich wielu w XVII wieku wałęsało się po europejskich dworach, z trochą talentu wojskowego, a wielkiem rozumieniem o sobie, nadęty pochodzeniem, o którem wysoko trzymał, przebiegł był wprzódy mnogie krainy, ofiarując swe posługi nadaremnie niejednemu z monarchów. Był to człowiek miłej powierzchowności, postawy pięknej, wychowany starannie i z rzemiosła swego wielojęzyczny, bo, tułając się po świecie, nauczył się po łacinie, po niemiecku, po włosku (po czesku mówił z dzieciństwa), po polsku nawet umiał trochę, lecz tym językiem nie mówił, wzgardę dla niego okazując. W obejściu wielki pan, ujmujący i słod-

ki, lub wzgardliwie dumny, za drzwiami łatwo szydził z tych, którym się kłaniał przed chwilą i grzeczności sypał; i na słowo jego w najmniejszej rzeczy polegać nie było można. Wiara jego, jak język, jak wszystko, co wdziewał na siebie tylko dla okoliczności, była mu środkiem, była płaszczem, nigdy przekonaniem ni prawem. Jakiś czas bawiąc w Polsce, bo dzierżawił wieliskie kopalnie w nadziei wielkich zysków, które go tu ominęły, okazywał się zrazu przyjacielem Polaków i gorliwym katolikiem dla przypodobania im. Nikt też wówczas w większej nie żył przyjaźni z mnichami nad niego, nikt głośniej czołem nie uderzał przed Częstochowską Najświętszą Panną. Choć z rzemiosła żołnierz, lepszym był jednak dworakiem i dyplomatą, i dlatego przodem go wysłano, spodziewając się, że łatwo dawniej znajomych mnichów skłoni do poddania się, malując im wymownie a zręcznie potęgę szwedzką i strasząc zniszczeniem, a z drugiej strony złote obiecując góry. Wrzeszczewicowi samemu zdawało się, że jego argumentom i wymowie księża się oprzeć nie potrafią.

Goszcząc w Polsce lat kilka, gdy nic tu otrzymać dla siebie nie potrafił, w spekulacjach się zawiódł, a podobno na farbowanych jego lisach, choć dobrze je ubarwił, poznano się, rzucił się był szukać szczęścia u rakuskiego dworu. Tu, w ognisku ciągłych praktyk przeciwko Polsce, chciał być użytecznym, ale mu widać nie dowierzano, bo niedługo popasał, a widząc, że nic nie zyska, rzucił się do Konstantynopola. Wielu tak naówczas francuskich i niemieckich błędnych ryczerzy, noszących miecz i głowę do najęcia, kręciło się, a z rozpaczy wreszcie rzucało się do Turka, na nauczycieli niewiernych przeciwko własnej braci. Hrabia poszedł ich drogą, ale i tu mu się nielepiej poszczęściło, zajechawszy szumno i głośno, obiecując wiele ze swej znajomości kraju polskiego, na który rad był prowadzić wojska sułtańskie, gdy rozpatrzył się, iż go wielki wezyr niechętnie słucha i ni tem ni owem zbywa, a o łamaniu traktatów wcale nie myślą, i gdy sprzedać się nie potrafił, bo mu nawet zbisurmanienia nie projektowano, zakręcił się i nazad powrócił. Zajątrzony przeciwko Polsce, w której był gościnnie i ludzko, ale z niejaką nieufnością i ostrożnością przyjęty, pojechał nazad do Austrji, a zasłyszawszy o nowym królu szwedzkim i abdykacji Krystyny, rzucił się tam dmuchać wojnę. Można sobie wyobrazić, jak go tu mile przyjęto, gdy się zetknął z zaciętym panem podkanclerzym; poznali się, zrozumieli,

ocenili i pojęli zaraz, jak jeden drugiemu użytecznym być może. Wejhard, już doświadczony, potakiwał niezmordowanie Radziejowskiemu. Radziejowski wynosił pod niebiosa Wejharda, a Karol Gustaw, wychodząc na Polskę, wziął go z sobą i dał mu nad jednym oddziałem dowództwo.

„Umysł żywy, ładna wymowa, dworski polor, ochotne przyjaźni zawieranie, zręczność w prowadzeniu powierzonych mu spraw, a nadewszystko niechęć i wzgarda ku Polsce (piszą współcześni), nieprzyjaźń dla domu austrjackiego zjednały mu łaski, znaczenia i wziętość".

Towarzysz jego, Seweryn z Kali-Kaliński, starosta bracławski, podpanek dumny, napuszony a goły, z bojaźni gotów nietylko Szwedowi, ale Turkowi służyć; dla wzniesienia się, powiększenia swojego znaczenia lub zbogacenia nie liczący ofiar, wielki niby bicz na wady narodowe i deklamator przeciwko zepsuciu, którego był najohydniej zgniłym owocem; plwający nieustannie na gniazdo swoje i karcący wszystkich surowo, choć sam najnikczemniej postępował, z nieprzyjacielem dla jednej bojaźni i chciwości się wiążąc; gorliwy stronnik Szwedów dlatego, że Szwedzi byli silniejsi; dziś poddany Kazimierza, jutro Karola Gustawa, pozajutro może zwolennik chętny rakuskiego domu, nie wiem czyją, może samego szatana, utrzymywałby stronę, gdyby się bardzo zląkł, lub wiele na tem zarobił; byle się podłością wykupić od strachu, lub wyżebrać datek i tytulik. Nic go nie kosztowały zmiany barwy, ale w tej chwili był to gorący, namiętny, zapamiętały aż do szału, wymowny i natchniony przyjaciel Radziejowskiego, któremu wespół z Wejhardem pochlebiał. Że wiele mówił, głośno krzyczał, napadał gwałtownie i miał dla słabych postać groźną i zastraszającą; że kłamał łatwo; że mu słowa nie zabrakło nigdy, ani o przysięgę było trudno; że wreszcie wiedziano dobrze, iż, nie pytając przekonania, zrobi, co mu każą, — obrano go za towarzysza Wejhardowi. Hrabia miał kierować, Kaliński, posłuszny kirunkowi, krzyczeć i przekonywać; ten był głową, ów ustami; reszty groźny zastęp, huk, hałas i harmider miał dokonać.

Wychodząc z Wielunia, tak się Szwedzi rozrachowali, nie sądząc, żeby o nich w Częstochowie wiedziano, aby w nocy stanąć pod murami, natrzeć, huknąć, nastraszyć, nie dać się opamiętać, z jednej strony zagrozić ogromnie, z drugiej wiele przyrzekać, wsunąć się do Jasnej Góry w płaszczu przyjaciół, katolików i wrota jej otworzyć Millerowi.

Naówczas owi katolicy mieli się z niedotrzymania paktów wymawiać, zwalając wszystko na protestanta i, ubolewając żarliwie nad niespodzianym wypadkiem, powoli wysunąć.

Ale zawiodły ich fałszywe rachuby, bo siódmego listopada już ksiądz Kordecki dokładną miał wiadomość nietylko siły, jaka wyszła z Wielunia, wodzów i ich zamiarów, ale nawet godziny mniej więcej, o której przyjść mogą; wiedział o całem ich ciągnieniu ponad granicą śląską, o stanowisku w Krzepicach, o przybyciu do Kłobucka.

Pozornie spał klasztor, światła były pogaszone, na jednej tylko wysokiej wieżycy płonął kaganiec, jak gwiazda wieczorna na niebie pochmurnem. Ciemności ogarniały górę, twierdzę i miasto, nigdzie głosu ludzkiego, żadnych napozór przygotowań, ani człowieka na murach, ani dokoła straży, rzekłbyś, że mnisi ani się spodziewali odwiedzin.

Ale wewnątrz wszystko, co żyło, na nogach; ksiądz przeor modlił się w swej celi, Zamojski szykował lud u bramy, na którą szczególną zwrócono baczność, Czarniecki obchodził mury z maleńką latarką, zaglądając wszędzie, rozpatrując wszystko; zakazano głośno odzywać się z hasłem, chodzić z ogniem i nawet mówić donośniej. Szlachta, schroniona w klasztorze, której jeszcze nie potrzebowano, o niczem nie wiedziała. Gęsty mrok przykrywał okolicę całą, cisza, przerywana tylko wichrem jesiennym, rozlegała się szeroko po dolinach i wzgórzach; z klasztoru ani dźwięku, ani głosu, ale przysłuchawszy się bacznie, podszedłszy bliżej, dochodziły ucha to chrzęsty zbroi, to stąpania okutych w żelazo żołnierzy, to brzęk stłumiony podejmowanej broni. Na drodze, od Kłobucka wiodącej, powolnie po rozlazłem a gęstem błocie sunął się oddział żołnierza szwedzkiego, z piechoty i jazdy złożony, wiodąc za sobą pracowicie, co chwila grzęznące działa; na czele jego jechali Wejhard i Kaliński: pierwszy wesół i szyderski, bo pewien powodzenia i wypływających z niego korzyści, drugi zbyt wielki dworak i wprawny pochlebnik, by mu gorliwie humorem nawet potakiwać nie miał.

Przed nimi na jaśniejszem nieco niebie widać było już czerniejącą górę i wysoko wspiętą wieżycę, na której błyskało światełko; klasztor i mury pogrążone były w ciemności, ognie w nich zdawały pogaszone, brama rzucona bez straży, żywej duszy w okolicy.

— Patrz-no, panie pułkowniku, — odezwał się Wejhard, śmiejąc i zacierając ręce — dziś jeszcze przenocujemy

w Częstochowie i napijemy się starego miodku księży paulinów, nigdzie nie widać żadnego przygotowania, tem lepiej! Podejdziemy w cichości, potem nagle wpadniemy z wrzaskiem i krzykiem, opanujemy bramę i twierdza nasza!

— Niechybnie! — dodał Kaliński — śmieliżby się upierać mnisi zwycięskim po całej Polsce wojskom Karola Gustawa? To być nie może, chybaby poszaleli. Święty Boże nie pomoże, muszą się poddać i nas wpuścić.

— A klasztor bogaty, — rzekł Wrzeszczewic — widziałem go w środku, żyją w nim sobie jak panowie, jak opaci, spaśli, brzuchy ogromne, twarze rumiane, opływają w dostatki. Wittemberg pożywi się niemało, — dodał ciszej — ale na to wojna! a Panu Bogu złoto i srebro niepotrzebne.

— Tak! — dodał Kaliński, pokasłując — jest to zapewne ofiara, ale ją Polska uczyni chętnie dla swego zbawcy Karola Gustawa; w nim jedyna nadzieja nasza.

— Wielki król! wielki wojownik! ale tsyt! cicho! oto się zbliżamy! baczność, zaraz zagra w uszy zakonnikom muzyka nasza i przebudzi ich *larum*.

I wezwawszy młodego oficera, wydał mu rozkazy, śmiejąc się w najlepszym humorze.

Zbliżali się pod mury, szukając bramy, chciano bowiem zrazu natrzeć na nią, w tej pewności, że wrota niezaparte, może i wcale niestrzeżone zastaną. Myśl przerażenia mnichów, wyobrażenie popłochu, jaki uczyni, uniżeń, z jakiemi przyjmować będą zwycięzcę, może podarków, któremi uczcić go będą musieli, rozpromieniała twarz Wejharda, który w tej wojnie nic jeszcze sam przez się dokonać nie mógł. Byłby to pierwszy jego triumf; rachował nań, jakby go miał w kieszeni, i nie czując ani wilgotnego deszczu, który kropił, ani chłodu, którym wicher twarz mu chłostał, pośpieszał niecierpliwy ku twierdzy, zacinając konia chrapiącego i spinającego się niechętnie ku górze.

— Cha! cha! — sucho śmiejąc się, rzekł, zwrócony do nieodstępnego Kalińskiego — co za niespodzianka mnichów spotka.

W tej chwili zbliżali się do pierwszych wrót i mostu, i nagle wśród ciszy głębokiej, wśród uroczystego nocy milczenia, jak piorun, rozległ się wrzask trąb, huk kotłów, okrzyk żołdactwa, wystrzały; jazda skoczyła szybko przodem do mostu, most był zwiedziony, brama zawarta.

Wejhard uśmiechał się jeszcze, kręcąc wąsa, Kaliński milczał.

— Bramy zaparte! — przybiegł oznajmić starszy od jazdy.

— Jakto? a zwód?

— Podniesiony.

— A straż jest?

— Żadnej dotąd nie widać.

Tymczasem wrzaski, huk i wystrzały na wiatr coraz silniej wzmagały i zdawały wstrząsać milczącym klasztorem. Wejhard spinał konia ostrogami, chcąc wybiec naprzód; gdy spłoszony wierzchowiec uskoczył wbok nagle, sapiąc i stulając uszy — jakaś postać wysoka, chuda, dziwna, jak zjawisko, z pod kopyt prawie końskich dźwignęła się i podniosła.

— Co to jest? kto tam? kto! stój! stój! — zawołali bliżsi żołnierze.

— Stój lub śmierć — jeden z nich śmielszy zbliżył się i chwycił widmo, dobywano już ognia, aby mu się zbliska przypatrzeć.

Rozpalona latarka, gdy ją podniesiono do góry, ukazała wychudłą żebraczkę, która, trzymając się za boki, śmiała się do rozpuku.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła z ukłonem — a! jakże się mają jaśnie wielmożni panowie! szkoda! późno już na nabożeństwo, furta zamknięta, kościół także! poznaję jaśnie wielmożnych panów! jak Boga kocham, poznaję! oto pan hetman, a to pan chorąży. Skądże to Pan Bóg prowadzi? złe drogi! złe drogi, deszcz leje, a w dodatku i wrota zaparte. Ale to nic, zaraz każemy otworzyć i prosimy do środka...

To mówiąc, chciała uskoczyć, ale ją żołnierz za kołnierz przytrzymał.

— Stój! — wołał Kaliński — stój, babo! mów! lub zginiesz, co się dzieje w klasztorze?

— A! zdrów ksiądz przeor! — zdrów, chwała Bogu, i ksiądz Ignacy, i ojciec Benedykt, i ksiądz Marceli, wszyscy zdrowi. Matka Boska króluje, anieli śpiewają, św. Paweł po murach chodzi...

— To warjatka, od niej się niczego nie dowiemy! — zawołał Kaliński — puśćcie ją.

— Strzelać i trąbić! — komenderował Wejhard—żywa

dusza się nie ukazuje, walić do bramy, jużciż się ktokolwiek odezwać musi i żywo!

Ale nierychło odsunięto okienko nad furtą, błysło światełko i Wejhard kazał zaraz strzelania na wiatr poprzestać, gdy głos od bramy spytał:

— W Imię Boże, cóż to jest za wrzawa i napaść nocna?

— A przecież głos ludzki! Kaliński, rozmów się z nimi.

Pułkownik popędził ku brzegowi mostu zwodzonego.

— Powiedzcie, — rzekł donośnie do furtjana — że przechodzący oddział wojsk króla jmości szwedzkiego Karola Gustawa domaga się, aby mu niezwłocznie wrota otworzone zostały.

— Kto dowodzi oddziałem? — spytano od bramy.

— Jan hrabia Wejhard.

Światło znikło, głos umilkł, a dowódcy dobry kawał czasu stali na deszczu, nim się znowu do nich odezwano.

— Częstochowa nie uznaje innej władzy i króla nad najjaśniejszego Jana Kazimierza, o królu Gustawie nie wie, jakiemby prawem mógł żądać posłuszeństwa, i załogi jego nie potrzebuje.

Wejhard, usłyszawszy to, im pewniejszy był skutku, tem się ogromniej gniewem zapalił.

— A trutnie! — krzyknął po niemiecku—jeśli nie chcecie, bym was z ogniem puścił, zaraz mi bramy otwierać!

— Bram nie otworzym! — odpowiedziano krótko.

— Proszę wpuścić posła do klasztoru! — odezwał się Kaliński i, obracając do Wejharda, szepnął:

— Wszystko to nic, pójdę sam i zaraz te rzeczy ułatwię.

— Dobrze, a prędko, pułkowniku, bo deszcz moczy i późno się robi! — odparł Czech, obwijając się płaszczem.

W chwili potem po rzuconej mu kładce Kaliński musiał, nie bez strachu przebywszy fosę, wąską furtą dostawić się do wnętrza bramy. Tu zupełną zastał ciemność i natychmiast, mimo protestacji, zawiązano mu oczy, wzięto go pod ręce i szybkim krokiem prowadzono dalej przez bramy i podwórce, potem w gmachy jakieś, gdzie nareszcie odsłoniono mu twarz i ujrzał się w celi klasztornej, oświeconej rzęsisto, wobec kilku mnichów stojących i patrzących nań w milczeniu. Kordecki poważny, zamyślony, surowy, stał na czele.

Kaliński uczuł się nieco wzruszonym, ale prędko zuchwałą mowę odzyskał, potoczył okiem po starcach bezsilnych, zdało mu się, że widzi na ich twarzach przelęknienie

i głośno, rzucając wzrok groźny z pod brwi zmarszczonej, zawołał:

— Czemu nie otwieracie bramy?

— Komuż to i z czyjego rozkazu? — spytał bardzo powolnie przeor.

— Przyszliśmy z hrabią Wejhardem zająć Częstochowę w imieniu j. k. m. Karola Gustawa.

— My Karola Gustawa nie znamy! — odparł Kordecki, przebierając różaniec.

— Cóż to za mowa! wiecie, na co się narażacie takiem zuchwalstwem, — ciągnął dalej starosta bracławski — kraj cały poddał się już Szwedom; Warszawa wzięta, miasta opanowane; jeśli najmniejszą rzeczą sprzeciwicie się nam, cztery tysiące żołnierza skoczy na mury, was, kościół, klasztor i majętności klasztorne z dymem puści.

— Wola Boża! — odparł niewzruszony wcale Kordecki z westchnieniem i, wpatrując się pilno w twarz starosty, dodał: — Panie starosto bracławski, wamże to, katolikowi, Polakowi, na święte miejsce, na przybytek Matki Boskiej w nocy, jak nieprzyjacielowi, napadać, słabym a bezbronnym grozić mnichom, poczynać wrzawę i pożarem straszyć? wam-że to, cobyście bronić nas powinni, stawać z orężem przeciw Matce własnej!

Twarz Kalińskiego na przelotną chwilę oblała się płomieniem wstydu, ale ten srom dodał mu tylko zuchwalstwa, gdy do siebie przyszedł.

— Właśnie, — rzekł dumnie — że ja i hrabia Wejhard jesteśmy katolicy, że czcimy ten obraz i chcemy miejscu świętemu zapewnić bezpieczeństwo, pośpieszyliśmy przodem, by je przed protestantami zająć i jeśli nie usłuchacie zdrowej rady, gotowiśmy nawet użyć siły. Mamy z sobą cztery tysiące ludzi, napróżnobyście myśleli nawet się opierać, sroższą tylko klęskę gotując sobie. Tu niema co myśleć, — dodał — poddać się natychmiast i wrota otworzyć.

Ksiądz Kordecki boleśnie się na to uśmiechnął.

— Panie starosto,—rzekł—nie wiem, czy z wielkiego nabożeństwa tak hałaśnie i wrzawliwie napadliście ołtarz Matki Boskiej i jej sługi, ale to pewna, że choćby dla okazania, iż u stóp Jej nikogo się nie lękamy, wrót nie otworzym...

— Musicie! — zawołał Kaliński, uderzając nogą w podłogę, ręką w stół — musicie, lub...

— Gdy będziemy musieli, uczynim to, — odpowiedział przeor powolnie—ale dotąd nie widzim się jeszcze zmuszeni.

— Chcecie więc pożaru? chcecie zniszczenia? chcecie krwi przelewu? Gdy żołnierz szwedzki siłą się tu dostanie, ja za nic nie ręczę.

— Bóg nas ochroni.

— Cóż to! — myślicie sami jedni trzymać się jeszcze wygnańca?

Nie myśląc na to odpowiadać, Kordecki odparł tylko:

— Nie chcemy wcale wojny; Bogu służymy i wiedzieć nawet o niej nie pragniem, nie zaczepiamy nikogo, zostawcie nas w pokoju.

— Dla waszego dobra potrzebna jest załoga, tu chodzi o obraz święty, o miejsce święte!

— Osobliwsza zaiste gorliwość wasza! — cicho westchnął przeor.

— Przyjdą, — kończył zapalczywie Kaliński — przyjdą niekatolicy, Szwedzi, hałastra zbierana z całego świata, Prusacy, kalwini, lutrzy i zniszczą was ze szczętem. My was tylko ocalić chcemy.

— Dziękujemy pokornie za tę gorliwość! w łasce Bożej ufanie nasze, Bóg nas nie opuści!

Zniecierpliwiony starosta odwrócił się żywo:

— A więc! — rzekł — chcecie wojny, chcecie ruin, będziecie mieli.

— Nie chcemy! nie! — pokornie zawsze rzekł Kordecki — nie nasza to rzecz wcale, odłóżcie przynajmniej traktowanie do jutra, dziś noc, godzina północnego chóru się zbliża, czas modlitwy, rano stosowniej będzie o tem pomówić.

Groźnie spojrzał pan starosta i szydersko się uśmiechnął, pewien już będąc, że klasztor ma w ręku.

— Ha! dobrze, dajemy wam frysztu do jutra! — zawołał — nie rozpoczniemy kroków wojennych, ale jutro się śpieszcie, bo hrabia Wejhard długo czekać nie będzie. Jakkolwiek wielką mam nad nim przewagę, wstrzymać go nie potrafię. Jeśli nie usłuchacie mnie, i wy, i z wami ci, co tu są, i majętności klasztorne przepadną. Pamiętajcie!

To mówiąc, odwrócił się do wyjścia, gdy przeor poprosił go na posiłek wieczorny, ale starosta odmówił, i szybko, zajęty cały tem, jak przed Wejhardem ufarbuje odłożone do jutra traktowanie, wyszedł za drzwi.

Gdy powracającego spostrzegł hrabia, zniepokojony oczekiwaniem i miotający się na koniu, zdaleka zaraz zawołał:

— A co, pułkowniku, otwierają bramy?

— Zaraz, zaraz, opowiem wszystko:—szukając słów jak najtrafniejszych, rzekł Kaliński — mnisi mocno przelęknieni, proszą się do jutra, błagają, by im tę noc darować, a potem przysłapią do traktowania. Niesposób było nalegać... chociaż...

Wejhard z przekleństwem dobitnem zawrócił konia i rzucił rozkaz szukania miejsca do noclegu; wojsko powolnie pociągnęło się ku kościołkowi Św. Barbary i gmachom nowicjatu pod górą.

Kaliński gadał wiele, tłumaczył się, opisywał, drwił, ale Wejharda chmurnego rozruszać nie potrafił. Czech, pochmurny jak noc, mrucząc coś pod nosem, jechał na obrane stanowisko.

VI.

Nazajutrz, zaledwie ranek posępny po dżdżystej nocy okolicę rozświecił, z dziwnemi uczuciami zawiedzionych nadziei, niecierpliwości, gniewu, powstał z obozowego łoża Wrzeszczewic i spojrzał okiem posępnem na mury twierdzy, niedaleko się wznoszące. Stały one ludem nie okryte, na oko bezbronne, nie najeżone orężem, nie ożywione żadnym ruchem, ze swą wysoką wieżycą, z niememi jeszcze basztami, przeciwko Szwedom, którzy, lekce sobie ważąc niewielką twierdzę, wcześnie się już w myśli rozmieszczali tu i rozgospodarowywali.

Ledwie ocknąwszy się, spytał zaraz Wejhard o posłów klasztornych, a Kaliński poskoczył oznajmić, że już ich ujrzano idących ku domowi nowicjatu, w którym była dowódcy kwatera, i wokoło którego rozłożył się obóz omackiem naprędce. Z niecierpliwością, źle ukrywaną, oczekiwali wysłanych oba dowódcy, obiecując sobie, skoro obejmą Częstochowę, pomścić na mnichach za zuchwałe nieposłuszeństwo pierwszym rozkazom.

Gdy żołnierz od straży doniósł, że dwaj paulini przybyli, Wrzeszczewic, jakkolwiek niecierpliwy, sam już wyczekawszy się na nich, kazał nieco wstrzymać księży i czekać im w podwórzu na wilgoci i słocie. Widać było z okna, jak zakapturzeni mnisi sparli się o mur i otoczeni żołdactwem, wśród głośnych szyderstw gawiedzi, z zimną krwią i łagod-

ną twarzą znieśli to wymyślne męczeństwo słów, na które nawet odpowiedzieć wzbraniał im charakter kapłański.

Nareszcie wezwano ich przed wodza.

Posłani od księdza przeora byli: ksiądz Benedykt Jaraczewski i Marceli Tomicki, oba wytrawni, mężni, pokorni, cierpliwi, a duchem mocni; pierwszy wprawny do mówienia kilku językami, drugi łacinnik, szczególnie umysłu żywego, nie dającego się pożyć łatwo ani argumentami, ani strachem.

Gdy stanęli przed gniewnym Wejhardem, nie wiedział z początku jak sobie postąpić, czy zrazu gniewać się i rzucać, czy traktować chytrze a łagodnie; znać było w błysku oczów jego chwilę tej niepewności, która szybko minęła, i wódz przybrał ton wyższości, państwa i powagi szyderskiej niekiedy, niekiedy protekcjonalnej, starając się utrzymać na wyżynie, którą zajął sobie na stanowisko tego boju.

Ksiądz Benedykt postąpił kilka kroków, skłonił się poważnie i począł:

— Nie możemy wyjść z podziwienia, jaśnie wielmożny panie, i oczom własnym nie dowierzamy, widząc cię tutaj i przekonywając się, że was, a nie kogo innego oglądamy sprawcą wczorajszej napaści nocnej. Mieliśmy prawo widzieć w tobie, panie, opiekuna, obrońcę, czciciela tej Matki Bożej obrazu, do którego stóp przybywałeś niegdyś z modlitwą wcale innej postaci. Godziłoż się nocą najeżdżać to miejsce, szturmować do bram przybytku, wrzawą usiłować nas zastraszyć i pod obrazem cudownym krzyki żołdactwa sprośne rozpuścić?...

— Co się stało, — przerwał Wejhard — to się stało, i nie myślę, bym za to w sumieniu mojem odpowiadał; uczyniłem to dla własnego waszego dobra. Nie taję, że chcę i muszę zająć Częstochowę. Czyż nie wiecie jeszcze, co się dzieje i co was otacza, — dodał z uśmiechem — poddanie wasze nieuchronne, dziś, jutro nastąpić musi, taka jest wola Karola Gustawa. Jako protektor klasztoru, jako przyjaciel wasz, muszę strzec, byście w gorsze nie popadli ręce. Śpieszyłem, pędziłem, dla waszego dobra tylko...

Ksiądz Benedykt osłupiały zamilkł na chwilę.

— Ależ, — rzekł powolnie — my wcale nie widzimy konieczności i musu poddania się komukolwiek; mnisi, modlimy się, chwalim Boga, pilnujemy miejsca, które nam powierzone zostało...

— A którego nie obronicie — dorzucił Kaliński.

Wejhard wzrokiem nakazał mu milczenie i sam dalej mówił łagodnie:

— Nietajno wam, ojcowie, żem zawsze miał cześć dla świętego miejsca, żem was i zakon wasz miłował szczególnie, żem was wspomagał nawet i wspierał, o czembym nie wspomniał, gdyby nie dzisiejsza okoliczność, która mnie to wymienić dla opamiętania waszego zmusza. Bądźcie pewni, że nowe okoliczności wcale starego przyjaciela nie odmieniły. Przychodzę może w postaci wroga, ale w istocie jako przyjaciel i obrońca. Nie lękajcie się, zaufajcie mi, zdajcie natychmiast klasztor. Czasy dzisiejsze i obrót, jaki rzeczy wzięły w całej Polsce, radzą wam to dla spokoju i bezpieczeństwa waszego. Zaręczam wam za całość wszystkiego, nic od was nie żądam, owszem sam jeszcze was wspomóc się będę starał.

— Panie, — rzekł ksiądz Jaraczewski — dziękujemy ci za te wyrazy, ale my podobno lepiej z natchnienia Bożego widzimy, co czynić nam wypada, zostaw nas losowi.

— Chcecie więc zginąć? za mną sroższa idzie burza. Generał-lejtnant Miller, protestant, zmierza tu, nie prosić was, ale opanować siłą zamek; a wiecie, co przy zdobyciu umie żołnierz rozjuszony, co może fanatyzmem ikonoklasty natchniony heretyk; ani was, ani miejsca, ani obrazu nawet ocalić nie będzie środka, jeśli nie uczynicie zaraz, co radzę. Boję się, byście potem z bólem serca nie skarżyli się na mnie, żem was do poddania nie zmusił.

— Na Boga i na wiarę waszą zaklinamy cię, panie, — przerwał Tomicki — na tę wiarę świętą katolicką, której jesteś wyznawcą, zostaw nas w pokoju, nie zmieniaj dawnej swej dla klasztoru łaskawości.

— To są słowa, — odparł żywiej hrabia — słów słuchać nie będę, to próżno, idźcie raz jeszcze i odnieście przeorowi radę moją, powtórzcie mu, co powiedziałem i wracajcie z rozkazem otwarcia bram natychmiast: ręczę za całość wszystkiego — ani włos z głowy nie spadnie nikomu — ani słomka jedna z zapasów waszych nie przepadnie — inaczej, wiecie, co was czeka. Idźcie, — dodał — idźcie i mówcie stanowczo, lub za nic nie ręczę potem.

Tu pożegnał posłów, ręką wskazując im na drzwi, a zakonnicy wyszli, ścigani oczyma, w milczeniu smutnem, i przebywszy znowu szeregi żołnierzy, które śmiechem przeprowadziły ich pod górę, pośpieszyli do klasztoru.

U bramy czekali na nich wszyscy ciekawi skutku po-

selstwa, w maleńkiej izdebce księdza furtjana posiadawszy na zydelkach. Znaleźli tu przeora, Zamojskiego, Czarnieckiego, Moszyńskiego i kilku zakonników. Wszyscy niecierpliwie wyglądali wysłanych zpowrotem, jeden ksiądz Kordecki milczący, ale pogodnego oblicza, najmniej wzruszony, najspokojniej, najobojętniej na oko, przyjął przybywających, jakby zgóry wiedział, co mu przyniosą.

Wnet zarzucono ich gradem pytań, na których mnogość w pierwszej chwili zamilkli, a gdy się uciszyło nieco, rzekł ksiądz Jaraczewski, z czem ich odesłano i w krótkości całą swą bytność opowiedział.

Przeor ani się zdumiał, ani zastraszył, ani niecierpliwił; przyjął to dosyć zimno.

— Takem się spodziewał — rzekł, widząc wszystkich wejrzenia na siebie zwrócone i zdania jego wyglądające. — Gdyby o nas tylko szło, — odpowiedziałbym hrabiemu jeszcze pokorną prośbą i stałą odmową, ale tu i o panów także chodzi, — dodał, wskazując Zamojskiego i szlachtę — a więc radźcie, zbierzmy się, pomódlmy, i powiecie, co też, wedle was, czynić nam wypada?

— Zbierać się! radzić! — zakrzyknął Czarniecki — niema czego i poco, ot ta ciupka i ta nasza kupka wcale dostateczne na wojenne *consilium;* nie puszczać Szweda i kwita. Obiecywać mu łatwo, bo czegóż nie przyrzekał już i czego nam nie ofiaruje, ale u niego zawsze zdrada pod jedwabnemi słowy, daj tylko kurze grzędę. Pięknie śpiewa sam Wejhard, a czemuż wczora tak niepięknie wpadł i zdradą chciał ubiec święte miejsce, z hałasem, z wrzawą i jakby gospodę nachodził.

Co tu radzić! co tu długo myśleć, my wszyscyśmy nie więcej warci od was, ojcowie kochani, a prochem jesteśmy w obliczu świętej Matki i Opiekunki naszej; możemy się poddać losowi, który Jej zgotowany i wam. Zatem — co Bóg do serca księdzu przeorowi podda, to niech czyni, a my podzielim dolę z wami ochotnie.

Pan Zamojski odchrząknął, wyprostował się i gotował do długiej zapewne perory.

— *Laudandum est omnimodo consilium* w. Czarnieckiego — rzekł poważnie — i co do mnie naprzód, zgadzam się na nie *ore et corde*. O was tu chodzi więcej, o miejsce święte, *ara et sacra* ojcowie; rozważcie siły nieprzyjaciół i swoje ku obronie, czyńcie wreszcie *ad inspirationem Dei*. My tu przybysze, goście, *auxiliarii*, niewielką radę dać możemy.

W tobie, dostojny księże przeorze, rada i przełożeństwo. Lecz chcecie rady? cóż czynić? słuchać należy. Jest li koniecznością żelazną poddanie się imp. Wejhardowi? Nie! nie! za cóż ulegać jego woli, kupując niepewny pokój u niego, *pacem incertam*. Samiśmy my tu przyszli, z dobrej woli i wam *nostram incolumitatem caraque pignora credidimus*, z wami żyć i z wami umierać postanowiliśmy i gotowi, *si sors ita tulerit*, raczej ginąć, niż nieprzyjacielowi się poddać i patrzeć na *polluta Sacra, contaminatam opressamque religionem*. Doradzi Bóg na ocalenie honoru Matki swojej, przybędzie w pomoc pobożnym usiłowaniom naszym, odeprze nieprzyjaciół...

Byłby mówił dłużej, bo ten początek zaledwie za *exordium* uważać się zdawał, ale mu przerwał ksiądz przeor i szlachta przytomna razem; Kordecki uściskiem serdecznym, bracia jednomyślnem zgodzeniem się.

— Dzięki Bogu! — zawołał po chwili przełożony, — wierzycie w pomoc niebieską, wiara was zbawi! wierząc w opiekę Opatrzności, wymodlimy ją sobie! Słabi na duchu giną tylko i modlitwa ich przestrachu pełna, ziemską bojaźnią przesiąkła, nie dochodzi do Boga, jako mgła roztaczając się po ziemi. Wierzcie a ujrzycie! Niech serca wasze biją ku Bogu, a Bóg usłyszy ich bicie. A zatem, niema co dłużej myśleć i naradzać się, nieście, kochani bracia, odpowiedź hrabiemu, w tych co i przedtem słowach.

— A! — rzekł pan Moszyński — z tym ptaszkiem nie można jednem się kontentować, nowego mu co zaśpiewać; zwłóczyć, odkładać... Czy nie byłoby dobrze naprzykład powiedzieć mu, że gdybyś wasza przewielebność nawet chciał co stanowczego uczynić, musisz się wprzód, stanowiąc o losie klasztoru, odnieść do księdza prowincjała?

— *Recte dixisti*, — potwierdził pan Zamojski — ksiądz Teofil Broniewski na Śląsku w Głogowie, nim się to skomunikuje, zwłoka konieczna, a tymczasem zyska się trochę, i — aby dalej.

— Ha! i to dobre, — rzekł przeor — zapewne wszelkiej broni przeciw takiemu nieprzyjacielowi użyć się godzi; choć Bogiem a prawdą, wiemy dobrze, że ksiądz prowincjał radzić nam poddania się nie będzie.

— Ale forma taka?

— Powiecie więc, — rzekł Kordecki do posłów — niech z przyjaciela nie czyni się wrogiem, a resztę złóżcie na pro-

wincjała, chwała Bogu, że daleko i zagranicą. Wreszcie niech was Bóg natchnie, co mówić macie i pobłogosławi.

— Ale ojcowie możeby spoczęli, — spytał Czarniecki — albo się posilili, bo u Wejharda niebardzo suto, myślę, będą przyjęci?

Spojrzeli tylko po sobie księża i ukłonem odmówili. Kordecki kilka słów im jeszcze szepnął i błogosławiąc, dodał:

— Wracajcie rychło, bo najgorsze niebezpieczeństwo niepewność.

Wypuszczono ich znowu furtą. Poszli, a Kaliński pierwszy spostrzegł, pierwszy zwiastował powrót oczekiwany. Na ten raz nie trzymał ich Wejhard pode drzwiami, otwarto je szeroko, spodziewając się pożądanej odpowiedzi, ale po twarzach zaraz domyślił się wódz, że mu jej nie przynieśli.

— A cóż? — spytał stanowczo — zdajecie się, czy nie?

— Prosimy cię, panie, żebyś pamiętać raczył...

— Zdajecie się, czy nie? — spytał powtóre Wejhard.

— Nie możemy o tem stanowić sami, — odrzekł Tomicki — zwierzchność klasztorna względem tak ważnej rezydencji rozstrzygać nie śmie, gdy tu idzie o kościół i obraz tak wielkiej wartości; potrzebujemy zgodzenia się prowincjała.

— Gdzież wasz prowincjał?

— W Głogowie na Śląsku.

— Wasze ustawy mnie nie obowiązują, — odparł hrabia — a zatem macie do wyboru: lub zaraz się poddać na spisane warunki (tu rzucił im kartę), lub ogniem i mieczem spustoszywszy naprzód włości i sioła waszego konwentu, a potem Częstochowę...

— Cóż winne włości? — spytał ksiądz Tomicki.

— Winne, czy nie winne, za winę waszą pokutować będą — puszczę je w perzynę, słyszycie. Oto moja ostatnia odpowiedź.

Mówiąc to, Wejhard okazywał się nie tym, co z rana, łagodnym panem, protektorem i obrońcą, ale wyraźnym nieprzyjacielem, który się srożył i groził, i niecierpliwił na myśl, że mu się śmieją i myślą bronić.

— Czytajcie i podpisujcie! — krzyknął zajadły i wyszedł.

Zostali sam na sam potrwożeni trochę zakonnicy z pa-

nem Kalińskim, który z westchnieniem zbliżył się do nich grzecznie i układnie bardzo.

— Okropny człowiek! — rzekł cichuteńko — nie zwłóczcie, zmiłujcie się, jeśli wam życie miłe. Uczyni, jak mówi, wątpliwości niema. Jako katolik, jako przyjaciel, radzę, zaklinam, śpieszcie się, nie wiecie, co na siebie ściągacie.

— Ale my sami nic tu stanowić nie możemy! — powtórzył ksiądz Jaraczewski.

— A zatem śpieszcie do klasztoru; głęboką czuję litość nad waszym losem, radzę, proszę, szczerze radzę, przebłagajcie go, a nie bawiąc!

Ledwie tych słów domawiał, wpadł Wejhard, ubrany w zbroję błyszczącą.

— A cóż? — rzekł — jeszcze stoicie! jeszcze myślicie! widzicie mnie gotowym, daję wam godzinę czasu jeszcze, śpieszcie do klasztoru — lub ogień i miecz nikogo nie oszczędzą.

Śpiesznym krokiem dążyli znowu posłannicy do bramy z ową daną im kartą, nie więcej przerażeni, niżeli wprzód ujęci prośbą.

Ledwie ich zobaczono, odryglowano furtę i nim ksiądz Jaraczewski przemówił, już przeor czytał warunki poddania się z uśmiechem litości.

— Co za zuchwalstwo! — rzekł — co za pycha! Patrzcie, jak wcześnie rozkazuje! Ale Bóg upokorzy dumnych... Czytajcie, panie miecznik...

Zamojski wziął kartę z rąk Kordeckiego i czytał warunki, które były istotnie surowsze, niżeli się można było spodziewać: rozkazywał poddać zaraz Jasną Górę Karolowi Gustawowi i uznać go najwyższym protektorem (taki tytuł przybierał wcześnie, nimby się królem polskim ogłosił); wymagał od zakonników przysięgi wierności i zaparcia się wszelkich stosunków z Janem Kazimierzem; uznania Wejharda dowódcą twierdzy i złożenia przysięgi jemu i jego podwładnym; przyjęcia załogi szwedzkiej, której nadal już powiększać nie miano; zdania dział, prochów i amunicji hrabiemu, nic nie tając pod karą śmierci; ukazania chodów podziemnych i kryjówek wszelkich: rozpuszczenia ludzi; a w dodatku (tu okazywała się jawnie chciwość Wejharda) żądał opłaty pewnej sumy dla siebie i Millera.

Okrzyk oburzenia nie dał doczytać Zamojskiemu.

— Przysięgi! — zawołał przeor — chcą przysięgi! Jak im to one lekko przychodzić muszą, gdy tak niemi szafują;

każą łamać dawne, składać nowe, jakby szło o odjęcie jednej, a wdzianie drugiej sukni, nie *juramentum*, które jest *sacramentum*, świętem i niepogwałconem! I karą śmierci nam grożą za szczyptę prochu, któraby się gdzie znaleźć mogła! — dodał, składając ręce. — Jakaż odpowiedź być może na to urągowisko — rzekł, tocząc wzrokiem po przytomnych księżach i szlachcie.

— Ognia do nich! — krzyknął Czarniecki.

— Gdybyście słuchali impetu naszego! — zawołał Zamojski — radzilibyśmy także surową odpowiedź.

— Nie! nie! Zakonnikom przystała pokora, — podchwycił ksiądz Kordecki — poślę do nich księdza Mieleckiego, żeby im powiedział, że ludzie Bogu poświęceni lekko przysiąg nie łamią i nie składają, wolą umrzeć poczciwie, niźli żyć bezecnie. Miejsca świętego poddać heretykom nie możemy, a hrabia niech czyni, co mu się podoba.

To rzekłszy, gdy nikt głosu nie podnosił, a wszyscy zgadzać się zdawali, zaraz od furty wysłano księdza Mieleckiego, a że ten po polsku tylko i po łacinie mówił, dodano mu znowu księdza Jaraczewskiego i wyprawiono ich do opuszczonych budynków nowicjatu przy kościołku Św. Barbary, które zajął był Wrzeszczewic.

Zdaleka widać było gotowość żołnierza szwedzkiego i ruch w taborze. Wejhard siedział na koniu, Kaliński zwijał się koło niego, zdawali się coś mieć do spełnienia i krzątali się jakby zaraz szturmem zająć chcieli Jasną Górę. Przeor z panem Zamojskim, szlachtą i kilku ojcami wpatrywali się z wierzchołka bramy w stronę kościołka, widzieli jak mnisi przyszli ku wodzowi, jak chwilę krótką pomówił z nimi, rękę podniósł do góry, spiął konia, zakomenderował żołnierzem, i dwaj zakonnicy śpiesznie nazad ku twierdzy wracać poczęli.

Jednocześnie prawie gęsty dym wzniósł się od budowli kościołek otaczających i widocznie podpalonych. Był to krok zaczepny, nieprzyjacielski, i ledwie furta zamknęła się za posłami, działa z murów na znak dany przez przeora, pobłogosławione jego ręką, dały ognia do Szwedów.

Żywo poczęli uchodzić najezdnicy drogą ku Krzepicom, i widać było, że Wejhard, zmuszony do odwrotu, bo z swą garścią oblężenia przedsiębrać nie mógł, wściekle się rozjadł na zakonników, których chciał ustraszyć, a powitany został niespodzianie kulami, których się nie spodziewał. Stanął on, usłyszawszy huk dział, spoglądając na klasztor,

potem na swoich, z których kilku uderzonych padło, i puścił konia szybko, lecąc sam przodem, a za sobą wiodąc tłum zmieszany.

Przeor patrzał na to i modlił się natchniony, a łza toczyła mu się po męskiej twarzy, jeden Zamojski tylko stał przy nim w tej chwili; wzruszony, chwycił go za rękę i wskazał mu ćmę odbiegających w nieporządku Szwedów.

— Szarańcza to, — rzekł — którą Bóg posłał na tę ziemię za grzechy nasze. Gdzie my? gdzie oni? jest-li stosunek jaki między nami, i skąd mogła wyrodzić się nieprzyjaźń? Jak dziwnych Bóg używa narzędzi, by grzesznych ukarać! A! tak! Grzeszni jesteśmy i dojmować nam będzie moc Boża, aż dopóki nie obaczymy się w grzechach i nie padniemy głową posypaną popiołem, piersią skrwawioną, okiem załzawionem na ziemię, uznając winy nasze!... Jak karał Bóg Izraelitów za bałwochwalstwo i niestałość ich, tak skarci i nas za bałwochwalstwo samych siebie, za oziębłość na sprawę kraju, za nieposłuszeństwo prawu i za wszystkie przestępstwa, któremi skalani jesteśmy. Nie chcemy słuchać prawa własnego, nauczym się tej cnoty od drugich... I będziemy łkać i jęczeć, i prosić a wzywać miłosierdzia, a długo, długo głuchym będzie Bóg na wołanie nasze... I mordy, i srogie pożogi rozlegać się będą po ziemi naszej szeroko, głośno i zdawać się będzie, jakby o nas Ojciec zapomniał, jakby nas odrzuciła Matka. Bo wielkie grzechy nasze! wielkie i nieprzepokutowane, gdyby Chrystusowa krew, to święte źródło przebaczenia, i za nie się nie lała.

Chrystusowi słudzy, dzieci jego, my krzyż nosimy na piersiach, nie w piersi, słowo w ustach, nie w sercu, prawo w księdze, nie w czynie; modlimy się, a modlitwą grzeszym nawet, płaczemy, a złe są łzy nasze, jęczym, a jęk nasz występny, krzyże stawim i ubieramy w nie kraj nasz, a pogańska pycha, pogańska chciwość a bałwochwalstwo panują w nim i plamią krzyż Boży. Zaiste! łacniej ślepym by Bóg przebaczył, niżeli tym, którym dane jest światło, a nie użyli go, którym dane prawo, a przekręcili je dla nieprawości swoich; którzy przysięgli na chrzcie, a zapomnieli, jak dzieci zabawki, świętych przysiąg swoich. Wielkie grzechy i kara być musi wielka, okropna, na którą wzdrygnie się ziemia i ludy płakać będą nad nami, jak nad najbiedniejszą sierotą. I staniemy się bezsilni, bo wielkie są grzechy nasze! Patrzę na kraj i widzę go z końca w koniec skalanym, czarnym jak niebo burzliwej nocy, na którem tyl-

ko świeci błysk piorunowy i gwiazda mignie chmurami zawleczona... Bóg sprawiedliwy, ale wielki i potężny, i nieprzebrane miłosierdzie Jego...

To mówiąc, płakał, a miecznik, słowy jego wzruszony do głębi, drżał cały zlękniony, stojąc jak przed prorokiem, zbladły i oniemiały. Zamilkł nareszcie przeor i spuścił głowę, jakby go to straszliwe widzenie złamało; ręką dał znak Zamojskiemu, aby wstąpił, ukląkł na ceglanej posadzce i złożywszy ręce, modlić się począł...

VII.

Odeszli Szwedzi, a dym na zgliszczach do mostu przy kościołku Św. Barbary całą po nich został spuścizną. Zostawili ogień jakby groźbę, jak upomnienie, rozżarzyli płomień, mówiąc nim, że powrócą.

Gdy Wejhard uchodził na koniu gniewny i rozjuszony, opodal już nieco od klasztoru żebraczka Konstancja zastąpiła mu drogę... W początku, jak tylko działa zagrzmiały i zaświstały kule, poczęła była tańcować i śpiewać, jakgdyby ją ta muzyka w szał wprawiła; potem zabiegła przed hrabiego, zajrzała mu w oczy ze śmiechem, ruszyła ramionami i powtórzyła, kłaniając się kilka razy:

— Do zobaczenia! do zobaczenia!

Wejhard udał, że tego szyderstwa nie widzi i nie słyszy, nie chciał się bowiem mścić nad bezsilną staruchą, do której tylko z własnego natchnienia wystrzeliło kilku Szwedów, ale jej nic nie zrobili. Krzyczała ciągle, wyciągając ręce, niby łapiąc kule w powietrzu:

— Do zobaczenia! panowie! Dowidzenia, panie Kaliński! Księża kłaniają się pięknie! Słyszycie, jak się was uniżenie proszą, jak was zaklinają... cha! cha! Jaki na nich strach... Ze strachu aż strzelać zaczęli... Zmiłujcie się, jedźcie sobie dalej i nie przerażajcie ich tak szkodliwie...

Znikli wkrótce nieprzyjaciele, a z miasteczka zaraz nadbiegli, dziwy o nich i ich pogróżkach prawiąc, mieszczanie, u których co nabrano na rzeź krów i cieląt po oborach, co nazabijano bydła, co narabowano sprzętu i naspijano gorzałek, miodu, w stosunku do czasu, zdawało się niesłychanem. Jak wszyscy psotliwi rabusie, których wojna rozbestwia, Szwedzi czego zabrać i spotrzebować nie mogli, pozarzynali i powytaczali, żeby się po nich nic zostało; nahuczeli, nakłuli, napodpalali i poszli gnani przekleństwy ludu.

Przestrach po nich wzmógł się jeszcze groźbami, jakie miotali; opowiadali się bowiem tylko przednią strażą ogromnego wojska i oznajmywali Millera z Polakami posiłkowymi, z działami huczącemi, z siłą potężną.

Miller właśnie, w Sieradzkiem plondrując, zbierał kupę, którą wystawić miano przeciwko Prusom, gdy Wejhard przybiegł, zajątrzony, do niego naglić do uprojektowanej wprzódy, potem odłożonej wyprawy na Jasną Górę. Złość Wejharda, którą źle ukrywał, bo była zbyt wielka, by ją w sobie mógł zatrzeć, pędziła go do obozu Burcharda Millera, by przyśpieszyć napad, nie dając się mnichom przeciwko niemu do obrony przygotować.

Zawiedziony w nadziei, że pierwszy zajrzy do skarbca częstochowskiego i Wittembergowi przysłuży się posłaniem apostołów na talary przeznaczonych, sreber kościelnych, wotów i naczyń, któremi miał wozy ładować, chciał się zawodu pomścić koniecznie na mnichach, na których wyrazów nie znalazł, tak mu się opór ich zdawał występnym. Możeby nawet, ku Prusom się obracając, Miller zaniechał był na czas tej wyprawy, gdyby nie przybycie i naleganie Wejharda.

Wpadł on do kwatery generała z Kalińskim, którego wcześnie gadać nauczył, i obaj z miną wymuszenie wesołą poczęli prawić mu o Jasnej Górze, zdobycie jej malując łatwem niezmiernie, a bardzo korzystnem.

Miller był wojakiem wcale różnego od Wejharda rodzaju; innego kraju człowiekiem, żołnierzem bez myśli uszlachetniającej to rzemiosło krwawe wzniesienia się, sławy lub przyłożenia do dobra kraju; bez przyszłości, cały w dniu dzisiejszym; dla niego schwycić co najwięcej, użyć jak najrozkoszniej, zbogacić się, nie patrząc środków, było celem jedynym. Dróg, któremi szedł do celu, nie wybierał, ale też jak Wejhard nie miał pozorów cnoty i pięknych słów w ustach; żołnierz a gbur, szedł po żołniersku przebojem, nie licząc krwi, którą rozlewał, śmiejąc się z psot i występków żołdactwa, wieszając i bijąc, siekąc, rabując i nie czując ani zgryzoty sumienia, ani obrzydliwości swego zawodu. Większa część Szwedów przeszła tak Polskę, i do dziś dnia stare ich zamki świadczą, jak wściekle, bez sumienia i litości kraj ten rabowali. Zabierali nietylko sprzęt i złoto, ale nawet dzieje nasze, księgi i ślady żywota! Kradli przeszłość nawet najdroższą.

Sam protestant, nie tylko nie szanował świętości, ale

jakby się na nich mścił swojego odstępstwa, kalał je chętnie, naigrawał się im i nie szczędził ani kościołów, ani ludzi Bogu poświęconych. Hulaka, przy kielichu i biesiadzie miał czasem dzikie neronowskie instynkty, a nie mogąc ścinać, rozbestwiony bił i wymyślnie karał, bawiąc się męczarnią. Mało mówił, śmiał się tylko lub łajał; zresztą prosty człowiek, pióra w ręku nie lubił, a gdy szło o traktowanie, o listy, chętnie się drugimi posługiwał. Straszniejszego człowieka nie miało wojsko szwedzkie, dla bezbronnych zwłaszcza, bo wcale nie myśląc o Karolu Gustawie i przyszłości jego, o zaskarbianiu sobie serc w kraju, szedł wszędzie jak plaga bez litości, a po sobie zostawiał tylko pustki i węgle.

Średniego wieku, dobrej tuszy, Miller miał na oko postać dobrodusznego brzuchala, który zjeść i wypić lubi, i pośmiać się w dodatku. Nic w nim nie objawiało instynktów krwi chciwych i tej zimnej srogości, która tem straszniejsza, że nie jest szałem i nigdy nie przechodzi, jest obojętnością i trwa ciągle.

Dla niego krwi przelew, jęk, prośba, łzy były widokiem lub całkiem chłodnym, albo szmerem dokuczliwym, ale niczem wstrętliwem i poruszającem; patrzał, słuchał, trawił spokojnie, bez wzdrygnienia siekł i siec pozwalał, zabijał z krwią zimną, z sumieniem dziecięcia, co drgające rozdziera zwierzątko i nie pojmował nawet, żeby to mogło być inaczej. Wiara jego całkiem była powierzchowna, spełniał jej obrzędy dla żołnierza z punktualnością przykładną, prowadził na nabożeństwo jak na przeglądy; ale ani się kiedy zamyślił nad rzeczami wiary, ani potrzebę jej uczuł. Żył na ziemi brzuchem tylko i ciałem, a oczy jego, brwią i powieką zarosłe, nigdy się wyżej nie podniosły. Wierzył zato we wszystkie czary, inkantacje, gusła i tym podobne mary, bardzo szczerze, bardzo bojaźliwie i niczem się tak nie przerażał jak niemi. Ktoś mu tam wcześnie szepnął, że mnisi częstochowscy są wielkimi czarownikami, i może dlatego niebardzo miał ochotę śpieszyć pod Jasną Górę. Wstydził się tego, ale niemniej ukryć się z tem nie mógł.

Oznajmiono mu Wejharda, którego jako dworaka i wytwornisia nie lubił; musiał jednak przyjąć, ale widać było z wejrzenia, które rzucił na drzwi, że gość wcale mu nie był pożądany.

Miller stał naówczas w szlacheckim domku, z którego bez ceremonji gospodarza wyrzucił, i w najlepszej izbie na

kobiercach się przewalał, grzejąc przed trzaskającym ogniem komina.

— A co? — rzekł, nieco podnosząc się z posłania, do wchodzącego hrabiego, mierząc okiem szyderskiem jego strój wykwintny i pańską postawę — a co, hrabio? Częstochowa?

— Czeka na generała Millera...

— Doprawdy? Hrabio! A! a czemuż się wam poddać nie chciała?

— Ba, niebardzom nalegał, a mnisi uparci trochę i zarozumiali, chcą koniecznie dział, jak widać. Strach ich opanował wprawdzie, ale z dwojga bojaźni, zdobycia i bronienia, wybrali dalszą, choć i mnie się niepospolicie zlękli. Wiedzieli wszakże, iż z mojemi armatkami oblegać ich nie będę, i...

— A zatem? — przerwał Miller.

— A zatem, idziesz pan, panie generale, ze mną, z Sadowskim i z Kalińskim, z panami Zbrożkiem, Krzeczowskim i Komorowskim, z księciem heskim może.

— O! o! a nacóż nas tam tyle na ten kurnik? — spytał Miller.

— Dla tem większego postrachu.

— Albożby się mnisi bronić myśleli?

— Nie wiem, wątpię...

— A was tam jak przyjęto?

— Prośbą z początku, kulą na ostatku.

— A do djabła! Kulą nawet! Cha! cha! — zagrzmiał głośny śmiech Millera — proszę, proszę, jakie zuchy z tych zakonników, szalone pałki! Gdyby czas tylko, nauczyłbym ja ich rozumu.

— Wszakże potrzeba koniecznie zająć Częstochowę?

— Ale to wypadnie podobno znowu odłożyć.

— Toby było najgorzej — zakrzyknął Wejhard z zapałem. — Pan wiesz, generale, że tam go kto uprzedzić może, a to jest kąsek królewski! Sreber po uszy brać, złota ogromne kupy, klejnotów, pereł i brylantów cebrami; win i miodów starych lochy niewyczerpane, choć się w nich kąpać. W dodatku szlachty się schroniło dosyć... i... — dodał ciszej — dziewczęta się też znajdą, będzie gdzie i z kim pohulać.

Generał się uśmiechnął i klapnął po brzuchu.

— A jak wie, w co uderzyć, by mnie poruszyć — rzekł,

kiwając głową. — No, ale cóż tu począć, Wittemberg i Duglas do Prus mnie pędzą.

— My się, zobaczysz, generale, uwiniemy duchem w Częstochowie. Sami mówicie, że to kurnik, istotnie wam tylko przyjść, huknąć i wziąć.

— No! a wy czemużeście nie wzięli?

— Dział nie miałem, a wreszcie — dodał skromnie Wejhard — ja a generał Miller, to wcale co innego, nie myślę się z nim równać.

Niezgrabnie tem pochlebstwem zakadziwszy Millerowi, Wejhard uśmiechnął się, rad z siebie, jakgdyby psu rzucił kawał zatrutego mięsa, i dodał:

— Radzę, idźcie, bo nigdzie się jak tam zbogacić nie możecie, a spóźnicie się, to wam kto inny ten kąsek z przed ust pochwyci.

— Ale cóż będzie z Prusami?

— Poczekają! — rzekł Wejhard.

— Do Częstochowy kawał drogi, pójść i tam trzeba pomarudzić, a nim się nazad powróci...

— To wszystko razem nie zabawi, — rzekł hrabia — przyjdziesz pan tylko, krzykniesz, poddadzą się, zabierzesz, co ci się podoba, i wrócisz. Cóż mnisi przeciwko nam poradzą?

— To prawda, to prawda! — odparł Miller, popijając i dumając — ale....

— Niema ale, potrzeba iść i iść prędko, żeby nie mieli czasu obwarować się, wzmocnić, lud zwołać i szlachtę, trzeba korzystać z ich przestrachu...

— A skarbiec-że nie wywieziony? — spytał po chwili Burchard Miller.

— Nie! ręczę, że nie, lecz, gdyby nawet część jaką ukryli, zawsze dosyć zostanie, i ze szlachty, która się tam schroniła, dobrze obłowić się można; dadzą okup dobry. Mnisi, ufni w mury, nie śpieszyli się z wywózką swoich precjozów, wszystko na miejscu, bo teraz jużby się bali ruszyć, dla gęsto snujących po kraju oddziałów; Wittembergowi dość będzie posłać kilka posągów srebrnych, reszta nasza.

Miller namyślał się głęboko, ale cały wieczór męczył go Wejhard i Kaliński, tak że wreszcie słabnąć począł i, upiwszy się z nimi, wydał rozkazy gotować się na Częstochowę. Nim się jednak oddziały jego pościągały, nim lud zgromadził, działa posprowadzał i żołnierzy skupił, kilka dni upłynąć musiało. Tymczasem, szerząc postrach i wcześnie

oznajmując o sobie, Wejhard wysłał z załogi w Krzepicach oddział żołnierza na włości klasztorne, dla rabunku, i nakazał zajmować bydło, palić wioski i folwarki, żeby pokazać mnichom, co ich czeka, jeśli się nie poddadzą.

Wieść o tem doszła dnia czwartego po odejściu Wejharda do klasztoru; przeor przyjął ją z westchnieniem żalu, ale w gotowości do wytrwania. W chwili, gdy mu ją przyniesiono, był właśnie otoczony piszącymi, którym listy do pana Stefana Czarnieckiego, do króla, do księdza Teofila Broniewskiego, prowincjała, i do kasztelana Warszyckiego dyktował. Zawiesił pisanie i do definitorjum posłał zwołać wszystkich zakonników, na nową naradę, chcąc ich umocnić na duchu i przygotować do wytrwania.

Czuł on, że bronić się powinien, a jednak były chwile, choć krótkie i przemijające, zwątpienia i bojaźni, która go obarczała; na barkach jego spoczywała odpowiedzialność obrony miejsca świętego, całość tylu osób, tylu rodzin życie i losy. Chciał więc utwierdzić braci i wzmocnić siebie ich zdaniem o konieczności oporu; chciał usłyszeć myśl swoją powtórzoną usty drugiemi. Nie wątpił wcale o pomocy niebieskiej, obawiał się raczej ludzi, by mu od nich współczucia, wytrwania i męstwa nie zabrakło. Szwed pozornie mówił, że chce zająć dla jej własnego bezpieczeństwa Częstochowę, zapewniał całość mienia i swobodę nabożeństwa; lecz same te zaręczenia nie byłyż już upokarzające i groźne? Z drugiej strony, gdyby go nie wpuszczono do twierdzy, zagrażał swą zemstą, jeśli nie klasztorowi, to ubogiemu ludowi jego włości: to wszystko przedstawiało się umysłowi przeora i walczyło w nim jeszcze, lecz silniej nad wszelki postrach mówił głos wewnętrzny, który mu powtarzał: Walcz, a zwyciężysz.

Na wezwanie dzwonka zeszli się ojcowie, tak spokojni, jakgdyby jeszcze nie widziano nieprzyjaciela i nie wiedziano o nim; twarze ich nie okazywały bojaźni, więcej z nich tchnęło męstwo pogodne i zapał pobożny, niż przestrach i zwątpienie; z jednego wejrzenia zdanie ich wyczytał ksiądz Kordecki. Wszakże, gdy zasiedli i odśpiewali *Przybądź, Duchu Stworzycielu...*, począł do nich mówić powolnie, wszystko im przedstawiając, co było za i przeciw obronie Częstochowy, i tak zakończył:

— Teraz zdania waszego czekam, bracia, każdy niech zbierze ducha, westchnie do Boga i wyrzecze to, co mu natchnie. Zdejmiecie wielki ciężar z ramion moich.

Najpierwszym znowu odezwał się ojciec Mielecki.

— Będziemy pod opieką Bożą bronić się, ojcze, i umrzemy, godni się chcąc okazać stanowiska, które nam powierzono na straży świętości. Nie godzi się, raz ofiarowawszy swe życie, cofać się, gdy Bóg zsyła próbę.

To zdanie pierwszego, prawie jednomyślnie jak poprzednio, przyjęte zostało; nawet ksiądz Lassota wotował za obroną Jasnej Góry, dodając, że należałoby może posłać do Wittemberga, prosząc o listy bezpieczeństwa dla klasztoru.

— Do Wittemberga pismo podobnej treści dawno już posłałem — rzekł przeor.

Ksiądz Lassota umilkł. Wszyscy inni byli zdania przeora, żeby się bronić do ostatka. I tak powtórna narada dodała Kordeckiemu odwagi, utwierdzając go w przekonaniu o konieczności stawienia czoła Szwedom.

Należało tylko resztę rozporządzeń, potrzebnych do zabezpieczenia twierdzy, co najpilniej przedsięwziąć; napad na włości, odejście Wejharda rozjuszonego, które było jego powodem, zwiastowały rychłe nadciągnienie sił znaczniejszych; posłano zatem listy przeora i pana Piotra do kasztelana kijowskiego, do króla na Spiż, do Warszyckiego, do wojsk kwarcianych, i do bliższych wsi Janusza Węgrzyna, aby więcej jeszcze ludu do zamku sprowadził.

Przeor z panem Zamojskim, Czarnieckim i Małachowskim obeszli mury znowu. Pan Piotr rzucił okiem na kramiki, które zewsząd przypierały do murów i bastjonów, na poprzylepiane drewniane zewnątrz przybudówki i kletki drewniane, na szopy i domki rozsiane na pochyłości góry ku jej podnóżom i rozpatrzywszy się, odezwał do przeora, wskazując na nie.

— A co, ojcze kochany! Potrzebaby to, nie wahając się, poświęcić.

— Co? — zapytał ksiądz Kordecki.

— Kramiki i wszystkie bliższe drewniane budowle, — dokończył pan Piotr — będzie w nich nieprzyjaciel szukał przytułku i schronienia, ułatwi mu się podkradanie pod mury. Gdyby tylko na ogrzanie się nawet służyć miało, i tak zniszczyć potrzeba; niech marznie. Co jest dachów, pod któreby się mógł schronić, wszystko to z dymembym puścił, nim przyjdzie.

— Tak! tak! — podchwycił nieco zawstydzony Zamojski, że pierwszy tej uwagi nie uczynił. — Wyrwał mi to z ust

pan Czarniecki. Rzeczą jest niezbędną; według wszelkich prawideł sztuki strategicznej, kletki te pozostać tu nie powinny.

Kordecki westchnął.

— Ale to biednych ludzi schronienie i chleba kawałek, to są naszych mieszczan sklepiki i budki.

— A lepiej, żeby dla nich Częstochowa cierpieć miała?

— *Necessitudo frangit legem,* — dodał Zamojski — tu niema co myśleć.

— I co najśpieszniej spalić je potrzeba, a gruzowiska porozrzucać, nie czekając Szweda.

— Co spalić? — pochwycił dziwny, ze śmiechem zmieszany głos poza rozmawiającymi; obejrzeli się i pan Czarniecki postrzegł żebraczkę, która niskim pokłonem witała przeora, całując kraj sukni jego, a szlachtę pozdrowiła przysadzistem dygnieniem. Zamojski i Czarniecki spojrzeli na to zjawisko i umilkli. Kordecki odwrócił się do niej i rzekł powolnie:

— Nic ci do tego, moja kochana, co my tu radzimy.

— Przepraszam, ojcze dobrodzieju, bardzo mnie to obchodzi, bo to kramiki podobno palić będzie potrzeba, a wiadomo, że to moje pałace letnie i zimowe.

— Będziesz się musiała schronić gdzie indziej.

— Tak, prawda, zostanie się fosa, aby gdzie trochę od wiatru stare kości przytulić. A jak trzeba, to trzeba, — dodała żywo — ja, stara na Jasnej Górze pokutnica, radabym zawsze miejscu świętemu służyć; jeśli każecie, własną siedzibę gotowam podpalić, tylko powiedzcie słówko.

Spojrzeli po sobie.

— Nie bójcież się, ksiądz przeor mnie zna, jestem sługa Matki Boskiej, zrobię, jak należy, podpalę na cztery rogi; jak mieszczanie zobaczą, no, to przynajmniej na nikogo, prócz mnie, płakać i narzekać nie będą. Powiedzą: warjatka! przyszło jej coś do głowy i podpaliła.

— A możnaż jej do tego użyć? — spytał Czarniecki.

— Myślę, że zrobi, jak mówi, ochoczo i roztropnie — rzekł przeor.

— Tylko się na mnie spuśćcie, — żywo podchwyciła baba — ja chcę koniecznie służyć Najświętszej Pannie i księżom paulinom, a niczego się nie boję w świecie, bo życia i za grosz nie mam.

— A zatem, — odezwał się Zamojski — dziś wieczorem,

zróbcie, co wam powiedzą, tylko wiatru potrzeba patrzeć, żeby na dachy klasztorne ogniem nie rzuciło.

— Na to ludzi poślemy — szepnął przeor.

Konstancji już nie było, poleciała piorunem za bramę.

Jak skoro padł mrok, gdy ludzie poczęli rozbierać budowlę na pochyłości góry i rozrzucać kletki, stara, z żagwią zapaloną, skacząc i śpiewając, pobiegła do kramów, z których dawno mieszczanie się byli wynieśli, i na cztery rogi je podpaliła. Ogień objął suche tarcice i, liżąc mury klasztorne, wprędce w kupę popiołów sklepiki i stragany obrócił.

Przez cały czas gorzenia siedziała Kostucha, pilnując, żeby nic nie pozostało, a gdy ostatnie głownie dogasały, spuściła się w fosę zamkową i obszedłszy nią dokoła, obrała sobie suchy kątek, w którym położyła kul słomy, przeżegnała go i rzekła zcicha, dziwnie szyderskim głosem:

— Ot tobie nowa chata!

Nazajutrz rano ze wszystkich budowli, które na pochyłości góry rozsiane były, ślady tylko w zgliszczach pozostały, lecz nigdzie zrąb się już nad ziemią nie wznosił; jedyna od wschodu figura murowana między miasteczkiem a kapliczką Świętego Jakóba ocalała; pobożny Kordecki, choć mu przedstawiano, że za nią kryć się będą mogli Szwedzi, zrzucić jej nie pozwolił.

— Krzyż Pański — rzekł — nigdy szkodzić nie może; obalać go się nie godzi...

VIII.

Straszną jest wojna, gdy, wlokąc za sobą niezliczone klęski, kraj ogniem i mieczem przechodzi z dopuszczenia Bożego! Jak w życiu natury burza, tak w żywocie narodów bój ludów, wszystko niszczy, druzgocze, obala, co na drodze spotka; postrach i rozpacz rozrywają wszystkie węzły społeczne, walka rozbestwia braci, chciwość, rada bezkarnemu gwałtowi, rzuca się namiętnie na otaczające skarby, rozpusta szaleje, a słabi, bezbronni, których tylko osłaniało prawo i spokój, mrą tysiącem śmierci. I jak wiatr pędzi złomy gałęzi i liście z drzew oszarpane, tumany kurzu, a z niemi kwiaty i owoce, tak bojaźń gna w zakąty niedostępne, w szałasy leśne, w warowne grody, do miast i kościołów rozbitków wojny, słabych i przelękłych. Lecz iluż to niema

się dokąd schronić, i tu nie może ustąpić przed nawałą, nie wie o niej, czeka, ociąga się, bo żal rodzinny kątek porzucić, bo straszno się rozstać z ukochaną strzechą, z zagonem swoim, z ludźmi, co się do nas przywiązali, bo wstyd jakoś ze spuszczoną głową za mur się schronić... Młody naówczas, gdy uczuje serce w sobie, przypasze oręż i pójdzie za sercem; ale starcy! ale kobiety i dzieci! zawsze okropna wojna, cóż tam, gdzie obcy żołdak, którego wiara, język, przesąd nieprzyjacielem czyni, w ciągłym szale rozpasuje się na występki, jak bydlę, i chluby w nich szuka.

Z wielu Polski okolic Szwed wygnał szlachtę, która się garnęła do zamków, miast i klasztorów, i rzucano im na łup majętności, nie mogąc ich obronić; lud nawet w lasy biegł, gnając przed sobą bydełko i owce, na wyspy wśród trzęsawisk, w zarośla i góry się chroniąc i obozując smutnie, a codzień wysyłając na zwiady, by zobaczyć, czy jeszcze dwór stoi, czy wieś z dymem nie poszła. Z początku najścia Karola Gustawa trzymał Radziejowski Szwedów jak mógł, na ostrzejszem wędzidle, wmawiając im przez wodzów, by się po ludzku obchodzili z krajem; ale dalej, dalej, żołnierz, zebrany z różnych świata krańców, włóczęgi i rabusie poczęli, a na widok nieładu dokończyli go regularni. Płonęły więc dwory i wioski, rznięto stada, łupiono kościoły i zamki zdobyte, brano okup i zakładników, a Tatarzyn sroższymby nie był nad Szweda. Szlachta sieradzka, u której gościł Miller, wszystka się rozbiegła, gdzie kto mógł, puste dworki pozapełniali Szwedzi; opalone parkany, porozwalane ściany, porąbane słupy, pospasane zasiewy, stratowane zboża, których skosić nie miano czasu w jesieni, świadczyły o nieprzyjacielu. Gdzie niegdzie smutny wieśniak wlókł się z rodzajem rozpaczy niemej drogą, osłupiałem poglądając okiem na pustynię, z wesołego uczynioną kąta, i powtarzał zadumany: koniec świata! koniec świata!

Taki był obraz tej okolicy i wielkiej części Polski i Litwy w chwili, gdy Miller z namowy Wejharda ruszał, szybko dążąc pod mury Częstochowy, do której coraz liczniej zbierała się szlachta, tuląc pod płaszcz gwiaździsty Bożej Matki. Kordecki nikomu bramy nie zamknął, a gdy go pytano, czy wpuszczać do twierdzy, odpowiadał:

— Wszystkich do nas, od nas nikogo!

To rozporządzenie czasu wojny było konieczne; potrzeba było obwarować się takiem zamknięciem, by nieprzyjaciel

nie wiedział, co się działo na Jasnej Górze, którą tak dumnie zwał kurnikiem.

Miller, wyszedłszy późno z obozowiska swego i nie zrobiwszy dnia pierwszego nad dwie mile, gdy go noc jesienna zachwyciła ze słotą i ciemnością nieprzebitą, musiał się przy pierwszej, jaką spotkał, zastanowić wioseczce. Była to mała osada, z kilku chatek złożona, której niewielki dworek stary panował na wzgórku, otoczony ogródkiem. Znać nieprzyjaciel wprzód tu jeszcze nie gościł, bo pozór miała zamieszkany i we dworku się świeciło. Żołnierzom więc kazano koło żydowskiej gospody we wsi położyć się obozem i zająć okolicę, rugując z chat wieśniaków. Miller z Wejhardem i Sadowskim popędzili przez grobelkę i błotami otoczoną drogę do dworu.

Nie widzieliśmy dotąd Sadowskiego, który częścią wojsk pod dowództwem Millera zarządzał; musimy kilka słów o nim powiedzieć.

Wacław Sadowski nie był Polakiem, jakby z nazwiska wnosić można; urodził się w Czechach, jak Wejhard, ale z uboższej rodziny; szukając losu, zabłądził potem do Polski dla chleba i w dobrach Maksymiljana Miaskowskiego, kasztelana krzywińskiego, trzymał jakiś czas dzierżawę. Dysydentem będąc, niemile widziany od okolicznej szlachty, dumny a bolejący na to odtrącenie, gdy i inne jeszcze z powodu różności wiary spotkały go nieprzyjemności, stał się wrogiem Polaków i Polski, okoliczności tylko czekając, by za swój ból zapłacić. Gdy wojska Karola Gustawa weszły do kraju, jeden z pierwszych ofiarował mu usługi swoje, a jako znający Polskę, jej język i obyczaje, dobry żołnierz przytem, został przyjęty i mianowany pułkownikiem. Sadowski wiele, pomimo karmionej w sercu nienawiści, miał dobrego w sobie; pobożny w swej wierze, szlachetnych poruszeń serca, dobroczynny, brzydził się zdradą i zdrajcami, sam w sobie, jako obcy, nie czując do niczego obowiązanym dla Polski, która go niegościnnie przyjęła; wojował, ale uczciwie, z uczuciem rycerskiej prawości, walczył, ale się nie pastwił, owszem, na widok okrucieństw Millera, które generał nakazywał obojętnie, z których Wrzeszczewic się uśmiechał, na które Kaliński milczał, on śmiało się oburzał i krzyczał; często sam bronił od napaści i zasłaniał od gwałtów. Milczący, zimny napozór, surowy dla żołnierza, pod tą postacią wojaka miał serce poczciwsze, żywo bijące w piersi i wiele uczucia; słowo wyrwało się z ust jego niełatwo, ale

jak piorun nagłe, głośne, krótkie i nieodwołane; niżsi obawiali się go i kochali razem, a gdziekolwiek z komendą swoją przebywał, dziwił się lud i szlachta, nie znajdując w nim prześladowcy, którego się obawiał.

Milczący, jak zawsze, jechał Sadowski z Wejhardem i Millerem ku dworowi, hrabia nucił piosenkę, Szwed klął djabłami na błoto, ciemności, ślizgawicę, a gdy mu się jeszcze ciężkie jego konisko potknęło na drodze, wścickał się, i bił niemiłosiernie, szarpiąc mu boki ostrogą. W takiem usposobieniu wszyscy trzej, ze służbą generała, stanęli przed ganeczkiem, i Miller wrzasnął przeraźliwie kilka słów polskich, których się nauczył na szyderstwo i niemiłosiernie je przekręcał.

— Pan szlachcic! skurczypałka! podaj ognia!

Wejhard ruszał ramionami, Sadowski zsiadł w milczeniu, i gdy się Miller z ciężkiego, jak sam, fryza stoczył, wszyscy trzej weszli do sieni. Tu, z łojówką w ręku, stał wysoki, chudy mężczyzna, w długim po kostki sieraku, z wygoloną głową, ze spuścistemi wąsami, osłupiałem patrząc okiem na gości, w których niespodzianie Szwedów poznawał; i, nie mogąc słowa wyrzec, otworzył tylko drzwi w lewo, do sporej izby, czystej i porządnej, w której drugi podobny starzec, zgarbiony wiekiem, łysy, siwy, siedział w krześle, a obok niego piękne dziewczę, piętnastoletnie może, z długiemi, zaplecionemi wstążką kosami, z pończoszką w ręku, stało, jak ściana zbladłe i drżące.

Ta izba, tych ludzi dwoje, a naprzeciw nich trzej Szwedzi, zbłoceni, obmokli, na których twarzach malował się gniew, niechęć lub bezlitosne szyderstwo, przedstawiali obraz dziwnej sprzeczności. Znać było w tem ustroniu niczem jeszcze niezamącony pokój; życie wiejskie, ciche, pogodnie płynące pod strzechą słomianą; a tuż naprzeciw niego stali ludzie, co żywota rodzinnego zabyli, co się swych familij zaparli, co przywykli byli burzyć, wywracać i zabijać, z dnia na dzień za nową pastwą ruszając dalej a dalej.

To też z obu stron na twarzach tych osób, które raz pierwszy w życiu w oczy sobie spoglądały z zadziwieniem, ze strachem, malowały się uczucia, wytrysłe z tego zetknienia niespodzianego. W oczach krwią zaszłych Millera był gniew i żądza znęcania się, może za to, że on się tułał bez dachu, a oni tu cicho dni pędzili w cieple, ustroniu, dostatku; Wejhard spoglądał na starca i dziewczynę z uśmiechem rozpustnika, Sadowski westchnął, bo mu przyszła na

myśl kędyś w górach lasem osłoniona siedziba rodziców starych i ojciec zgrzybiały, i matka, i siostrzyce...

Na twarzy szlachcica wyryła się bojaźń i cierpienie, niepewność i obłąkanie rozpaczy; widać było, że pragnął się bronić, a czuł bezsilnym i bolał w sercu; wzrok jego spotkał na ścianie stary krzyż czarny i westchnienie z piersi się wyrwało. Na licu ślicznego dziewczęcia śmiertelna bladość pokryła wyraz niepokoju i ciekawości; widać było, że całego nie rozumiała niebezpieczeństwa i myślała o dziadku, którego ręką objęła, nie o siebie, o niego tylko się troszcząc. Śliczne to było polskie dziewczę, z niebieskiemi oczyma, z jasnym włosem, z białą twarzyczką podłużną, a takie wysmukłe, jak powiewna trzcina, a tak wątłe, że, zda się, wiatrby ją uniósł swem tchnieniem, i takiego coś miała anielskiego w obliczu, że kochać się i szanować razem nakazywała na pierwsze wejrzenie. Znać w niej było starca i pieszczoty, ukochanie i jedynactwo.

Dworek był ubogi; chata to raczej spora, jak włościańskie domostwo, ciasna, biedna ale schludna. Ściany jej były powychylane, polepione, niskie, sprzęt stary i zużyty, a oprócz starej szablicy, prócz misiurki i pancerza, krucyfiksu na ścianie, kropielnicy u drzwi, ławy tylko proste, stół od siekiery; ani kobierca, ani makatki, nic, coby dowiodło zamożność choć skromną. Z pozostałości tylko drobnych wnieść było można, że w niej mieszkał człowiek niegdyś dostatni; ale z nich także i dzisiejsze patrzało ubóstwo; bo nic nie pozostało krom tego, z czem się już rozdzielić niepodobna, co jest czcią, świętością, pamiątką, do czegośmy przyrośli.

Miller rozpatrzył się po izbie i prychnął przekleństwem. Wejhard mu coś poszepnął, zwrócił oczy ku starcowi i padł przy piecu na ławę.

Stary szlachcic wstał i trzymając się stołu, widać chory na nogi, nie śmiał usiąść, a ciężko mu było tak wytrwać; dziewczę tuliło się do niego, bojaźliwie rzucając oczami na przybyłców.

— Pan szlachcic! — zawołał Miller połamanym językiem — jeść! pić!

Wejhard z pańską dumą i zmarszczoną brwią zbliżył się do szlachcica, chciał coś mówić, ale niechętnie odzywając się po polsku, obejrzał się na Sadowskiego, aby go wyręczył.

— Powiedz mu, pułkowniku, — rzekł po czesku — niech

wie, kto jesteśmy, i przyjmuje nas, czem ma i jak może najlepiej.

Sadowski postąpił kilka kroków, zdjął żelazną przyłbicę i odezwał się dość łagodnie:

— To generał-lejtnant Miller, dowódca wojsk j. k. mości Karola Gustawa, to hrabia Wejhard, naczelnik oddziału, ja jestem pułkownik Sadowski; przybyliśmy u waszmości przenocować, zechciej nas pokarmić i ogrzać.

— Z całej duszy, z całej duszy, — śpiesznie podchwycił starzec, usiłując iść, a postąpić nie mogąc — idę, rozdysponuję, co panowie każecie; ale u mnie pustki i bieda.

— Alboż tu już kto był? — spytał Sadowski.

— O! i nieraz, — zawołał szlachcic — zwłaszcza na wsi, bo jakoś dwór Pan Bóg bronił, ale co mam...

Stary wsparł się na ramieniu wnuczki i powolnie do drzwi bocznych się przesunął. Wejhard razem z Millerem powiódł okiem za dziewczynką.

— A co? — rzekł hrabia — nie śliczne jabłuszko?

— Ba! — odparł Szwed, gładząc wąsa — właśnie co ja lubię, młodziusieńkie, malutkie, cacko! Ale dokądże poszli, niechby tu z nami zostali, jeśli nie oboje, to choć ona?

Sadowski z niejakiem oburzeniem spojrzał na obu i rzekł do nich:

— Poszli przyjmować generała.

— Ale powrócą? — spytał Miller.

— Każemy im przyjść — dodał Wejhard.

W mgnieniu oka na kominie rozpalono ogromny ogień, ogrzewający izbę całą, stary sługa, z pod oka mierząc Szwedów, przyniósł dzban miodu, misę jabłek, chleb, masło i wędlinę, obiecując, że wkrótce będzie i wieczerza.

Miller rzucił się naprzód do miodu, bo go lubił i powiadał, że w Polsce dwie tylko rzeczy dobre: stary miód i srebro stare; ale się skrzywił, skosztowawszy, bo to był trunek świeży, niewytrawny i niesmaczny; krzyknął więc na sługę, rzucając mu czarką w oczy, aby podał co lepszego.

— Niema, — odpowiedział sługa, ruszając ramionami — dalipan, że niema.

— Jakto być może, żeby u polskiego szlachcica starego miodu nie było? — zapytał Sadowski z przekąsem.

— A tak jest, bo to widzi jwpan, — rzekł powoli sługa, rad, że się rozgada — nasz pan miał się kiedyś bardzo dobrze, dwie wioski dziedziczył i nielada wioski, było wówczas i miodu, i wina dostatkiem, ale jak się do nas uwiązał

proces, wszystko zjadł i myśmy się zostali o jednym dworku, o kilku chatach. Bo to widzi jwpan... u nas teraz bieda, gdzie tu o miód pytać, kiedy często schnie głowa, żeby chleba nie zabrakło... I za to Panu Bogu podziękować jeszcze trzeba.

Sadowski ruszył ramionami i rzekł do Millera:

— Źleśmy się wybrali, panie generale, to uboga chata, niewymyślnie nas przyjmą, bo nie mają czem.

Generał wciąż klął po swojemu, pomyślawszy jednak, podniósł czarkę z podłogi, i że wolał pić zły miód, niż żadnego nie mieć, wrócił, skrzywiwszy się, do dzbana; ale ponury był, gniewny i oczy mu powoli krwią nabiegały.

— Czemu gospodarz nie przychodzi? — rzekł po trzecim kubku, — cóż to my zwierzęta jakie, że z nami i usiąść w jednej izbie nie chce; znać Kazimierzowski poddany jeszcze i Szwed mu nie pachnie. Ale zjecie licha, musicie go mieć za pana.

I krzyknął:

— Wołać gospodarza! Niech przyjdzie.

Wkrótce przywlókł się starzec z wnuczką, o kiju idąc, i opodal, poprosiwszy o pozwolenie usiąść, zajął sobie miejsce w kątku. Hanna stanęła przy nim, przytuliła się, objęła go, drżeli oboje.

Sadowski, który to spostrzegł i uczuł się tą bojaźnią dotknięty, zbliżył się do nich, przechodząc, i półgębkiem szepnął:

— Cóż u licha? Nie bójcie bo się, nic się wam nie stanie.

Generał rzucał ciągle zpodełba krwawy swój wilczy wzrok na biednego szlachcica:

— A spytaj-no go, — rzekł do Sadowskiego — czy przysiągł Karolowi Gustawowi?

Sadowski powtórzył pytanie i nie czekając odpowiedzi, rzekł:

— Tak! tak!

Ale stary podniósł się oburzony, mimo złamania chorobą i wiekiem, zapłomieniał, potrząsł wyraziście głową i zawołał:

— Nie! nie!

— Jakto? nie? — zakrzyknął Miller, który zrozumiał szlachcica — a to dlaczego?

— Nie gniewajcie się, generale, — szepnął Sadowski niby obojętny i zaraz za gospodarza odpowiedział:

— Nie przysiągł, bo nie było komu słuchać jego przysięgi.

— Powiedz pan, żem nie przysiągł, bo mi sumienie pierwszej przysięgi łamać nie dozwala, jednego mam i znam pana, najjaśniejszego Jana Kazimierza...

Miller, który trochę po polsku rozumiał i przewąchał, że Sadowski źle mu tłumaczy, podał kubek nalany miodem starcowi i rzekł, nagląc:

— Na! pij za zdrowie Karola Gustawa.

Starzec odsunął czarkę.

— Nie piję nic — rzekł śmiało.

Sadowski wmieszał się między nich znowu.

— Chory, pić nie może — dodał żywo.

— Przecież go własny miód nie struje! — naglił generał. — A no! szlachcic polski! *Vivat Carolus Gustavus!*

Starzec spojrzał na wnuczkę, widać było, że gdyby nie ona, byłby innemi odpowiedział słowy, ale się wstrzymał i, odwracając do Sadowskiego, jął prosić.

— Panie pułkowniku! — rzekł — wytłumaczcie mnie, stary jestem, pić nie mogę.

— Generale, dajcie pokój starcowi.

Dziewczęciu łzy w oczach stały, oburzona, zarumieniła się i jakoby skoczyć chciała przeciw urągającemu Szwedowi, tak zabłysły jej oczy.

— Niech pije, — rzekł generał — niech pije lurę, którą nam dał, a jeśli nie spełni za zdrowie króla, to nieprzyjaciel, okuć go każę i za wojskiem powlokę...

— Pij pan, — mówił Sadowski — nie gniewaj go.

— Nie mogę pić i nie będę pił, — stanowczo odparł starzec, prostując się i przyciskając ku sobie wnuczkę — wasz Karol Gustaw rabuś i najezdnik, ja go nie znam za pana.

Sadowski pogardliwie ruszył ramionami.

— Co on tam szczeka? — spytał Miller.

— Mówi, że stary i pić nie może.

— A co mi waży jego zdrowie! Pij szlachcic polski, skurczypałka! — zagrzmiał, śmiejąc się.

Starzec popchnął czarkę, którą mu nastawiał gwałtownie Miller, z oburzeniem niewysłowionem, które się wylało całe w jego spojrzeniu.

— To buntownik! — krzyknął Szwed. — He! związać go i do obozu!

— Generale! — rzekł Sadowski, chwytając go za rę-

kę — tym sposobem obchodząc się, nie zjednamy sobie Polaków dla sprawy Karola Gustawa.

— Bierz ich djabeł! I bez ich łaski królować on tu będzie.

— Stary, uchodź! — rzekł Sadowski — uchodź i skryj się...

Ruszył się szlachcic, ale mu generał drogę zaparł i cisnął go o krzesło, wołając po szwedzku:

— Siedź! Hej! ludzi! Niech go związą, tego buntownika! Albo nie, to pij za zdrowie Karola Gustawa.

Wejhard całej tej scenie przypatrywał się obojętnie, nie mieszając się do niej; z ławy, na której siedział, spoglądał na dzieweczkę, muskał wąsa i śmiał się trochę, niewiadomo, z Millera złości, czy z kłopotu starca. Na Sadowskim widać było oburzenie i niecierpliwość, bo zębami zgrzytał.

— Uchodź! — powtarzał staremu — uchodź, póki czas.

— Wola Boża, — odparł szlachcic — niech sobie robi ze mną, co chce, a ty, poczciwy człowiecze, nie daj się pastwić nad biednem mojem dziecięciem, masz może siostry, masz matkę w swoim kraju... ocal ją tylko...

Hanna przeraźliwie krzyknęła, uwiesiła się na szyi starcowi i płakała jak dziecię, co chwila powtarzając:

— O Boże! ratuj nas! Boże! ratuj!

Wtem drzwi się otworzyły, wszedł pan Komorowski, dowódca polski, człek słabego ducha i poniewolny partyzant dziś szwedzki, który właśnie z Millerem szedł pod Częstochowę; choć ani on, ani jego podkomendni nie chcieli pomagać Szwedom przeciwko miejscu świętemu, ale ciągnieni rozkazem, musieli powiększać na oko siły Millera, zapowiedziawszy mu wszakże, że się bić nie będą.

Komorowski ubrany był po polsku, twarz zresztą jego zdradzała Polaka; na widok przybywającego starzec rzucił się z krzesła i krzyknął:

— Jeśli w Boga wierzysz, pułkowniku! ratuj nas!

— A to wy, panie Lassoto, w tych opalach! — odpowiedział Komorowski i obrócił się z marsem do Szweda, odzywając się po łacinie:

— Panie generale, to mój stary znajomy, starzec bezsilny, godziż się go tak nękać, także to pięknie dotrzymujecie nam obietnic króla, który zapewnia bezpieczeństwo wszystkim?

— A wy zapomnieliście uniwersałów! — odparł Szwed —

to buntownik, czemu pić nie chce za zdrowie Karola Gustawa?

— Panie Janie, a czemuż bo u licha nie pijesz za zdrowie króla, choćby z jezuicką restrykcją...

Stary się wzdrygnął.

— I nigdy pić nie będę — rzekł — za pustoszyciela i ciemiężcę.

Tymczasem Miller nieco ochłonął, wrócił pod piec i spojrzawszy na dzieweczkę, rzekł trochę udobruchany:

— No! no! nie bójcie się, to były żarty żołnierskie, powiedzcie mu, żem sobie żartował, niech siedzi spokojny, nic mu się nie stanie!

Ale uśmiechem zdradnym dokończył tych słów, i Wejhard z Sadowskim porozumieli, że to nie był ostatek, ale początek prześladowania. Generał dolewał sobie młodego miodu bez miary, poił przytomnych, posadził Komorowskiego nad dzbanem, począł śpiewać, a coraz to spojrzał na Hannę.

— Waćpan znasz i tego szlachetkę? — spytał Komorowskiego.

— Znam go dawno, nawet jesteśmy sobie trochę krewni — odparł pułkownik, wymyślając powinowactwo, którem zresztą cała szlachta polska związana była z końca w koniec kraju, bo któż z kim nie miał koligacji?

Miller się namarszczył i urwał rozmowę, więcej o nic nie pytając. Podano wieczerzę niewykwintną wcale; był krupnik z półgęska, zasypany kaszą jaglaną, kluski z serem i stara kura pieczona, a w dodatku ten sam miód, co wprzódy. Miller go już zapijał, nie wykrzywiając się, i znać było, że sobie nim dobrze dogodził, bo się chwiał na nogach, oczyma krwawemi przewracał dziko i śmiał się co chwila. W czasie wieczerzy, gdy wszyscy przy misach byli zajęci, odwiódł Wejharda na stronę.

— Słuchaj, hrabio, — rzekł, — jutro rano szlachcica w kij związać i do obozu razem z wnuczką; — rozumiesz, dasz rozkazy stosowne.

— Dobrze! dobrze! — obojętny odparł Wejhard.

Sadowski podsłuchał jednem uchem tej krótkiej rozmowy i szepnął kilka słów Komorowskiemu. Pułkownik polski uczuł mocno millerowskie barbarzyństwo, ale nie dał znać po sobie tego; wziął starca pod rękę i razem z wnuczką wyprowadził ich do bokówki.

— Każ zaprząc wózek, — rzekł mu pocichu — i, nie zwlekając, uchodź. Miller cię jutro związać kazał.

— Widzisz moje kalectwo, — z westchnieniem odparł Lassota — a wiedzieć musisz ubóstwo, jak i dokądże uciekać?

— Jużciż zostało ci parę koni i o parę talarów nie tak już trudno; choć noc, znacie zapewne okoliczne drogi, zabieraj się z tem, co masz droższego, i uciekaj. Wiem, — rzekł Komorowski, zapobiegając — że się sam śmierci i prześladowania nie boisz, żeś mężny, choć złamany, ale to o dziecię twoje chodzi, nie o ciebie. Miller wszystkiego dopuścić się może.

Lassota pobladł i zadrżał.

— Ha! wola Boża! — rzekł — więc muszę jechać, każcie mnie swoim kilku przeprowadzić poza obozy, żeby Szwedzi nas nie pochwycili.

— To ja z Sadowskim obmyślę, — szybko odpowiedział Komorowski — a żywo, panie Janie, żywo!

— Dokądże? radźcie mi!

— A choćby do Częstochowy! — rzekł Komorowski, — idziemy wprawdzie na nią, siłą, musem ciągnieni, ale żebyśmy tę twierdzę zdobyć mieli, nie tuszę.

— Jakto! wy! idziecie na Jasną Górę?

— Tak tak! Ale, panie Janie, na rany Chrystusa, to nie pora gawędzić, uwijaj się i jedź.

— Przeznaczenie to widać, żebym jeszcze brata przed śmiercią zobaczył, — dodał cicho starzec — wiecie, że mam rodzonego u paulinów w Częstochowie.

— Tem lepiej, panie Janie, więc żywo i ruszajcie, póki czas.

W pół godziny później wózek stał zaprzężony za ogrodem, stary Jakób powoził a Lassota z wnuczką usiedli i puścili się manowcami ubocznemi ku Częstochowie. Kilku żołnierzy polskich przeprowadzili ich daleko za obóz szwedzki.

Miller kazał w izbie nasłać słomy i rozgościł w niej na nocleg, pewien, że rozkazy jego spełnione zostaną, nie pytając już więcej o gospodarza. Wejhard i Sadowski układali się przy nim, ale nim do snu poszli, Szwed pozdejmował ze ścian szablę i zbroję Lassoty, popatrzył na nie, popróbował i zabrać ją kazał, krucyfiks tylko pozostał.

Wejhard odłożył do rana spełnienie rozkazu względem Lassoty, ale gdy się przebudził o świcie i przypomniał da-

ne polecenie Millera, dowiedział się zarazem, że szlachcic z wnuczką wczoraj jeszcze uszli w nocy.

Generał, zasłyszawszy o tem, począł się gniewać na hrabiego i podejrzewał mocno Komorowskiego o ułatwienie ucieczki, ale mu nic nie powiedział. Kilku tylko żołnierzy wysłał w pogoń, na różne trakty, obiecując sowitą nagrodę za pochwycenie zbiegów, a sam z komendą swoją powoli wyruszył ku Częstochowie.

IX.

Tegoż dnia spotkał oddział szwedzki poseł od Stanisława Warszyckiego, kasztelana krakowskiego, niegdyś dobrze znajomego Wejhardowi, ale dziś w przeciwnym stojącego obozie, z listem do niego wyprawiony.

Zakonnicy błagali kasztelana o opiekę, a Warszycki postanowił spróbować wszelkich środków i prośbami usiłował zmiękczyć Czecha, katolika, aby nie napadał Częstochowy i myśl jej Szwedom odradził.

Wejhard odebrał pismo i przeczytał je z miną zwycięzcy; prośba ta świadczyła o przestrachu, jaki rozsiewał, uśmiechnął się połechtany nią, ale się razem do zemsty rozżarzył. Posłańcem był jeden z księży paulinów, Hiacynt Rudnicki, profes, młody człowiek wielkiego zapału i gorliwości, na którego twarzy malowała się niezachwiana ufność w Bogu i odwaga niezłomna. Wrzeszczewic spojrzał nań tylko i pogardliwie odparł:

— Powiedzcie kasztelanowi, niech rusza, jeśli mu się podoba, na odsiecz świętemu miejscu przez nabożeństwo, bo wojsko królewskie nadciąga, i burzy, którąście na głowy wasze naprowadzili sami, nic teraz odwrócić nie może...

Chciał coś mówić Rudnicki, ale Wejhard odwrócił się od niego.

Miał i drugie pismo od zakonników do Sadowskiego Rudnicki, bo znano go ze szlachetniejszego charakteru, i choć był luteranin, nie wahali się paulini prosić go o radę i opiekę.

Zakonnik wypatrzył chwilę, gdy pułkownik Sadowski był sam jeden, i podkradł się ku niemu z pismem przeora.

Zmarszczył się Czech, rozpieczętowując list, przeczytał z uwagą i po chwili milczenia rzekł do oczekującego profesa:

— Niema żadnej rady, któraby od was wojsko już prze-

ciw Częstochowie odwróciła i musicie się poddać; poddała się cała Polska. Jedno tylko, żeby waszą ufność zawdzięczyć, powiem wam. Opierajcie się, jak możecie, nie drażniąc nieprzyjaciela zuchwalstwem, traktujcie a traktujcie, zwlekając, podawajcie coraz nowe warunki, wymyślajcie sobie powody przeciągnienia i starajcie tymczasem wyforsować jak najdogodniejsze artykuły, nic nadto nie widzę, poddać się trzeba, starajcie się jak najmniej szkodować.

To powiedziawszy, Sadowski pożegnał żywo Rudnickiego, który śpiesznie odszedł.

List paulinów tyle tylko sprawił, że Sadowski w ciągu drogi usiłował wszelkiemi sposoby zrazić Millera od przedsięwziętego zdobywania Częstochowy, obawiając się gwałtownego charakteru jego, w razie zdobycia. Ile razy Miller, zahartowany do niewczasu, ale lubiący wygódki, klął słotę i zimno, Sadowski wpół żartem, wpół serjo, radził mu się wrócić, obiecując sam z księciem heskim i Wejhardem dobyć tego, jak oni zwali, kurnika.

— Wielka ci sława przyjdzie z tego, panie generale! — powtarzał Millerowi — jeśli dobędziesz klasztoru i zwyciężysz mnichów, a cóż za wstyd okrutny, jeśli ci się nie dadzą!

— Jakto być może! — krzyczał w pasji generał. — Ja zniszczę ich ze szczętem... Kamień nie zostanie na kamieniu...

Wejhard, przeciwnie, podbudzał Millera i łatwem malował mu zdobycie, a z Sadowskim spierał się do zniecierpliwienia; ale jako człowiek przedewszystkiem dbający o okazanie dobrego wychowania i, jak to wówczas zwano, polityk, nawet gniew okazywał tylko grzecznem, choć bolesnem szyderstwem.

Wysłani na wszystkie strony w pogoń żołnierze za panem Lassotą popowracali z uwiadomieniem, że szlachcic ku Częstochowie się wykradł, ale tak jechał pośpiesznie, mając kilkanaście godzin przed nimi, że go dopędzić i schwytać nie było sposobu.

Wojsko szwedzkie, połączone z oddziałem księcia heskiego, powolnie posuwało się ku Częstochowie.

X.

Tymczasem do klasztoru tulił się, kto mógł, pod opiekę Najświętszej Panny Królowej; okolica wyludniała się przed Szwedami, szlachta płynęła tłumnie na Jasną Górę, a brama otwierała się na każde wezwanie przed wylęknionymi zbiegami. Mieszczono ich jak było można; podwórce wszystkie zawalały wozy, konie i lud mnogi. Codziennie przybiegali posłańcy z najdziwniejszemi nowinami do klasztoru, a przeor o każdym kroku Millera był uwiadomiony, i choć siły szwedzkie przesadzano, on się ich wcale nie lękał. Przyjaźni klasztorowi sąsiedzi nadsyłali, śpiesząc i korzystając z chwili wolnej, zapasy żywności ogromne, broń i ludzi; jeden kasztelan Warszycki dwanaście sporych dział dostarczył, które w samą porę nadciągnęły.

Księża, jakkolwiek wszyscy jednomyślnie postanowili się bronić, w miarę zbliżania się niebezpieczeństwa, widząc postrach szlachty, która się tu zbiegała, owiani bojaźnią powszechną, wyraźnie tracili serce. Kordecki z litością spoglądał na przerażonych, bo w jego duszy nie postało zwątpienie; owszem, w miarę jak się groźne zbliżały tłumy, nabierał ducha, ożywiał się i zdawał w dwójnasób nabywać powagi wodza i przezorności dowódcy. Dnie całe spędzał w podwórcu i na murach, noce na modlitwie i czujnej straży, ciągle czynny, zawsze wesół i pogodnej twarzy, niósł z sobą ufność, rozsiewał spokój, pocieszał i wskazując nieustannie na niebo, podnosząc myśli do cudu, kazał weń ufać i wierzyć.

Modlitwa była jego wielką zbroją bojową i nią jak żelazem obwarowywał piersi słabszych, dźwigając umysły, rozgrzewając serca; od ziemskich trosk wiodąc je do śmiałego wejrzenia na przyszłość pogodną. Zimna rachuba nie miała do niego przystępu, olbrzymiemi rozmiary, posiłki niebieskie i potęgę zapału, natchnienia, wiary, oceniał; gdzie mu czego zabrakło, dopełniał niemi.

Mimowolnie widok jego ufności i wytrwania przeważny wpływ wywierał nawet na najsłabszych; gdy się oddalił, szemrano i stękano może, obawiano się i przepowiadano zgubę, lecz zaledwie się ukazał, przemówił, odezwał, uśmiechnął, bojaźń jak mgła rozpierzchła się cudownie, wstępowało w serca męstwo i nadzieja.

Korzystano w klasztorze z chwili swobodnej jeszcze, by się potężniej obwarować i przygotować do boju; ruch był

nieustanny dniem i nocą; lecz wśród tych zajęć paulini nie opuszczali żadnej z modlitw, do których byli obowiązani, i chór północny, i jutrznie z największą odbywały się ścisłością.

— Módlmy się, — powtarzał przeor — żołnierz ostrzy broń przed walką, my zaostrzajmy ducha, który jest bronią naszą, módlmy się i czuwajmy.

Przypomnijmy tu, że zakon paulinów, nazwany od świętego Pawła, pierwszego pustelnika, choć z czasem, upłynionym od założenia jego w wieku XIII, nieco w zachowaniu ścisłej reguły pierwotnej mógł zwolnieć, był jednak jednym z najostrzejszych. Przypominanie nieustanne ostatniej godziny śmierci było jednym ze środków, których reguła dla podniesienia ducha w zakonie użyła. Ta myśl śmierci panowała całemu życiu zakonnika; niektóre klasztory na szkaplerzu białym nosiły nawet znamię śmierci, wyszytą głowę trupią, czego jednak w Polsce nie zachowywano, ale to godło znikomości powtarzało się często w kościele i klasztorze i uderzało oczy co chwila. Ostre posty, włosiennice, praca ręczna pustelników niegdyś, dziś zakonników już tylko, przygotowywały nieustannie do zgonu.

W refektarzu pod wielkim krzyżem, który zajmował główną ścianę naprzeciw stołu przeora, leżała trupia głowa, którą wszyscy bracia całowali, nim do stołu zasiedli; a lektor, pobłogosławiwszy stół, kończył słowy:

— Pamiętajcie na godzinę śmierci, a nigdy nie dopuścicie się złego.

W każdej celi stało na klęczniku pod krucyfiksem to przypomnienie śmierci. Gdy przyjmowano profesów do zakonu, na uroczystych obłóczynach kładziono go w pokrytą całunem trumnę, a chór zakonników śpiewał nad nim:

— Panie, nie pomnij grzechów jego w godzinie strasznego sądu...

I przerażające *De profundis* dzieliło go na wieki od świata, przenosiło w to pośrednie stanowisko swobody i zrzeczenia się siebie, na którem żywot cały był tylko przygotowaniem do śmierci.

Potem zkolei przychodzili wszyscy bracia przed trumnę nowego zakonnika i, kropiąc go wodą święconą, wołali mu:

— Bracie! — umarłeś światu, żyjesz Bogu!

W ostatku śpiewano: *Libera* i modlono się, jak za umarłego: *Panie, nakłoń uszy Twoje...*

Ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma powstawał z trumny zakonnik nowym, rzec można, człowiekiem, bo wielka, straszna, niepojęta jest siła modlitwy!

Zakonnicy i w XVII wieku jeszcze od głównych przepisów reguły św. Augustyna nie byli wolni; modlitwy nocne, włosiennice i paski, dyscypliny, posty, spowiadanie chorych, grzebanie umarłych nieustannie wprawiały ich w to zaparcie się ciała, które jest najpiękniejszem zwycięstwem na ziemi, bo ze wszystkich najtrudniejszem. Kordecki, pilnujący reguły ze ścisłością, którą przechodził wszystkich poprzedników swoich, od czasu jak stał po dwakroć na czele zgromadzenia, podniósł go na duchu i umocnił w poświęceniu. Natchniony, jak ci wielcy mężowie, co pierwsi byli założycielami zgromadzeń pustelniczych i zakonnych, owiany pobożnością, wyzuty, rzec można, z ciała, które podbił duszy, ani sobie, ani drugim nie przebaczał. Ale surowość jego była ojcowską i łagodną, nikogo milej i serdeczniej nad niego nie słuchano; bo proroczem wejrzeniem zawsze zajrzał w głąb człowieka, i uczucie a myśl skłonniejsze ku światu wnet, jak czujny ogrodnik gałąź pochyloną, troskliwą podnosił ręką.

W miarę, jak się zbliżali Szwedzi, szły razem z zapałem i pośpiechem dopełniane przygotowania obrony, wspierane gorącą modlitwą. Długie godziny pobożnego zachwytu usposabiały ludzi do poświęceń, wznosiły ich ponad ziemię i marne rachuby zacierały w ich oczach. Wszystko potężniało i rosło w ożawionem wejrzeniu pobożnych... a strach odlatywał, jak dym wlokąc się po ziemi. Pomimo tego potrzeba było największej pilności, czuwania i pracy nieustannej, by utrzymać męstwo trzódce zebranej bojaźnią, spędzonej postrachem; szlachta, mieszczanie, przybylcy siali popłoch co godzina nowy, a przeor codziennie chwast ten z serc wyrywać musiał.

W środę, dnia siedemnastego listopada, ku wieczorowi, pomimo że klasztor już był zbiegami napełniony, usłyszano pukanie do bramy, i ksiądz Piotr Lassota z polecenia przeora, dodany furtjanowi do straży wrót pierwszych, otworzyć kazał wzywającym przytułku.

Maleńki wózek ukazał się na moście, szedł przodem przed nim ksiądz Hiacynt Rudnicki, wracający z Wielunia i nieprzyjacielskigo obozu, za nim Michał Chlebowski z tegoż klasztoru wysłany, a na wózku jechał Jan Lassota

z wnuczką Hanną... Na koniach jego spędzonych i bokami robiących znać było pośpiesznie przebytą niemałą drogę.

Zakonnicy powitali się uroczystem: *Memento mori*, westchnieniem i kilku słowami, a ksiądz Piotr Lassota pobladł, ujrzawszy brata i jego wnuczkę, których się najmniej spodziewał. Oczom swoim zdawał się nie wierzyć, żywo przybiegł do wózka i więcej okazywał przestrachu, niż radości; ścisnął rękę pana Jana, pocałował dziewczę w czoło i załamując dłonie, zawołał:

— A! i ty tu, bracie! Jakimże losem! Jakimże trafem!

— Opowiem ci, co mnie tu zagnało, lecz wprzódy daj mi kątek, bym spoczął trochę, czuję się złamany drogą, wiesz moje cierpienia, miarkuj, jak mi ich przybyło w wilgotną porę, niewygodnie jadąc dniem i nocą, dla ocalenia tego dziecięcia.

Ksiądz Piotr chciał coś mówić, ale zbladła twarz brata, jego lice schorzałe nie dozwoliło mu; Hanna wołała szybko:

— Kochany księże Piotrze, daj kątek dziaduniowi, biedny ledwie się tu przywlókł, jęczał całą drogę...

Oniemiały, zamyślony, pośpieszył przodem ksiądz Piotr, zapomniawszy bramy i straży, prowadząc wózek brata, i w odległym dziedzińcu, w wielkiem skrzydle zabudowań klasztornych, wychodzącem ku murom okolnym, wskazał izdebkę, wśród mnóstwa już przez szlachtę pozajmowanych mieszkań. Gdy z pomocą ludzi paralityka złożono na słomie i pierwsze jego zaspokojono potrzeby, dwie łzy puściły się z oczów zamyślonemu kapłanowi.

— Czego płaczesz? — spytał go Jan — wszakże i my tu bezpieczni pod opieką Matki Bożej.

— Wiesz-że, gdzie jesteś, — odparł ksiądz Lassota — oto pod jednym dachem z tym, któremuś nie przebaczył.

— Jakto? — schwycił się Jan, porywając na nogi i opierając o ścianę. — Jakto? Krzysztoporski tutaj? Ja z nim?... Puszczajcie mnie! Wolę wpaść w niewolę Szweda...

I podniósł się cały drżący, a Hanna objęła go rękami, zachodząc się od płaczu.

— Uspokój się, bracie, nic on ci tu uczynić złego nie może! Lecz musiałem wcześnie oznajmić ci, że go znajdziesz...

— Krzysztoporski tu! Krzysztoporski tu! ja z nim, — powtarzał Jan Lassota, rozdzierając na sobie odzienie. — Puszczajcie mnie, pojadę dziś, zaraz, zostać tu nie mogę...

— Na Boga, uspokój się, bracie, — zawołał ksiądz Las-

sota powolniej, — chciałem, byś odrazu połknął tę gorycz i przeniósł ten cios po chrześcijańsku.

— I będę patrzył na niego, na tego, co mi wydarł wszystko, co zabił tych, których kochałem, na wroga, na ciemiężcę mojego!

— Bracie, wszyscyśmy dzieci Chrystusowe...

— Ja tu nie pozostanę, — zerwał się powtórnie starzec — nie, nie! nie chcę, nie mogę! Jadę, Hanno, prowadź mnie, jedźmy...

Gdy to mówił i wciąż silił się ruszyć z okiem zaiskrzonem, z usty drżącemi, przeor ukazał się we drzwiach z pogodnem swojem obliczem.

— Kogóż to nam Bóg sprowadził? — zapytał księdza Lassotę.

— To biedny brat mój, ojcze — rzekł ksiądz Piotr...

— Dlaczegóż chce jechać! — cicho i łagodnie wymówił Kordecki, którego uszów doszły ostatnie słowa starca.

Ksiądz Piotr spuścił głowę i, jak zwykle, zmieszany, zarumienił się tylko, a szlachcic drżący i zburzony podniósł głos zaraz.

— Proszę mnie wypuścić — rzekł, nalegając, do księdza Kordeckiego. — Przybyłem tu, nie wiedząc, że z najsroższym wrogiem moim pod jedno schroniłem się skrzydło, z wrogiem, co mi prześladowaniem odjął jedyne skarby moje: żonę, córkę... co nas nękał i chleba pozbawił, co i tu spokojności nie da, ojcze, każ mnie wypuścić...

— Moje dziecko, — odezwał się przeor poważnie — tu niema wrogów i nieprzyjaciół, tu są dzieci jednej matki, nieszczęśliwi a mężni jej obrońcy; nie rozumiem cię...

— Mówcie za mną, bracie, — w najwyższem uniesieniu zawołał z rozpaczą starzec.

Przeor go przeżegnał.

— Bóg z tobą, — rzekł — Bóg z tobą, nie godzi się tak nienawidzieć i tak mściwie i wstrętliwie na brata poglądać; uspokój się, uspokój... Wjechać tu wolno każdemu, lecz wynijść stąd nikt nie może...

Bezsilny upadł pan Lassota na słomę i począł miotać się, a Kordecki, zbliżając do niego, rzekł z uczuciem:

— Wiek powinien cię był uczynić skłonniejszym do przebaczenia; pomiarkuj się, nikt ci tu pod opieką moją złego i przykrości najmniejszej wyrządzić nie może. Nie pytam nawet o imię prześladowcy, nie chcę go wiedzieć, lecz jam tu starszy, ja opiekun wszystkich i nie dam nic uczynić...

— Wypuśćcie mnie, wypuśćcie... — powtarzał z rodzajem obłąkania Jan Lassota.

— Szwedzi nadchodzą, mógłbyś wpaść w ich ręce, ani wiesz, czego żądasz w rozjątrzeniu i gniewie. Bóg z tobą! — dodał znowu, żegnając go, Kordecki. — Zaufaj mi, proszę, nikt tu ani słowem, ani ręką, ani wejrzeniem nawet cię nie dotknie.

— Ale ja będę patrzył na niego, a widok jego serce mi krwawić będzie!... — wołał starzec.

Przeor nic już nie odpowiedzał, szepnął kilka słów księdzu Piotrowi Lassocie, zostawił go z bratem, a sam odszedł śpiesznym krokiem do celi.

W korytarzach wielki był ścisk szlachty i zakonników około księdza Rudnickiego i Chlebowskiego, a po twarzach dopytujących znać było, jakim przestrachem słowa przybyłych przejmowały. Kordecki szedł przeciw nim zachmurzony, a raczej smutny, widząc taką słabość ducha w otaczających, lecz niezachwiany tem wcale. Zbliżył się Rudnicki, chcąc mówić po ucałowaniu ręki przeora.

— Proszę do celi mojej — rzekł Kordecki i powiódł księży za sobą, a tłum rozbiegł się po klasztorze, niosąc nowy przestrach z sobą...

— Cóż mi powiecie? — spytał przeor — czy odpisał nam Wejhard na list mój i kasztelana?

— Nie, — rzekł profes z westchnieniem — wymówił tylko kilka słów szyderskich...

— Tegom się spodziewał, a Sadowski?

— Dał radę bezsilną, zwlekać, traktować i najlepsze tylko wytargować sobie warunki poddania.

— Poddania! — powtórzył Kordecki z dziwnym wyrazem. — Cóż mi pisze ksiądz przeor z Wielunia?

— To zapewne, co i ustnie polecił mi powiedzieć — przerwał ksiądz Chlebowski. — Widzieliśmy oczyma własnemi siły szwedzkie i najlepiej o nich sądzić możemy, dziewięć zgórą tysięcy ludu, dziewiętnaście dział wielkich, cały do nich przybór, żołnierz wytrawny, wodzowie dojrzali. Z Millerem idą: książę heski, Sadowski, Seweryn Kaliński, Wejhard i Zbrożek... Oprzeć się takiej potędze niepodobna.

— Powiedz mi, ojcze, — spytał niewzruszony Kordecki — czy sądzisz, że jest co niepodobnego Bogu!

Na te słowa ksiądz Chlebowski zamilkł i skłonił głowę.

— Cóż więcej przynieśliście? — rzekł przeor.

— Ksiądz przeor wieluński usilnie was prosi, abyście z drobnemi siłami waszemi nie narażali świętego miejsca na zniszczenie oporem bezskutecznym; pierwszego nawet impetu Szwedów klasztor znieść nie jest w stanie. Kraj cały już się im poddał, nie pozostaje nam jak tylko wyprosić sobie co najlepsze punkta i przyjąć załogę.

— O punkta zawsze czas się będzie układać, — odpowiedział Kordecki — lecz dlaczego nie mamy ufać więcej Bogu, a mniej liczbie? Zgodnem ojców wszystkich zdaniem postanowiliśmy się bronić i bronić będziemy. Na układy zawsze czas...

— Może później nie czas będzie traktować, gdy Szwedzi Częstochowę zdobędą, — rzekł zcicha ksiądz Chlebowski — żołnierz puści się rozbestwiony...

— Bracie, — odparł przeor — nigdy Bóg nie opuścił tego, kto mu gorąco ufał wiarą żywą; tysiące mamy przykładów, a serce wasze powiedzieć wam powinno, czy i my godni cudu, jeśli nie uczynkami, to wiarą, lub obojgiem. Braciom śmierci nie godzi się lękać, a życie swoje cenić nad cześć Marji; com powiedział, to się stanie! Bronić się musimy do ostatka. Takie jest natchnienie Boże! wola wszystkich tutejszych zakonników; nie rozsiewajcie więc strachu, nie grożcie nieprzyjacielem, ale ufajcie w Bogu, a pracujmy...

To mówiąc, złożył list odebrany na stole i pośpieszył do Zamojskiego i Czarnieckiego na radę, a zakonnicy odeszli do cel im przeznaczonych.

Późno w noc przyskoczył posłaniec z uwiadomieniem, że Szwedzi o dwie mile od Częstochowy położyli się obozem i nazajutrz przybędą.

XI.

Na czwartek ksiądz Kordecki uroczyste zapowiedział nabożeństwo przed ołtarzem Najświętszej Orędowniczki; kościół i kaplica przedstawiały obraz dziwnej piękności, godzien owych czasów. Myśl męczeństwa, jak jasna auerola, opromieniała głowy starców, dzieci, niewiast i żołnierzy, pod sklepieniem kościelnem zgromadzonych. Gorące były modły wszystkich, jak zwykle w chwili niebezpieczeństwa; na większej części twarzy osiadł przestrach chwilami i łzy z powiek wyciskał; jedni krzyżem leżeli, drudzy klęczeli w po-

korze, inni jakby ust otworzyć nie mogli, siedzieli na ziemi z głowami spuszczonemi, w ogłupieniu i odrętwieniu, które chwilami przerywała krótka natchniona modlitwa.

Wśród ciszy wznosił się z chóru głos zakonników, śpiew chwały, i jak wstęga rozwijał splotami jasnemi: w powietrzu muzyka brzmiała, kadzidła sinemi kłęby leciały pod sklepienia... a szmer modlitwy z westchnieniem zmieszany w przestankach śpiewu szumiał jak las stary o wschodzie słońca.

Wtem ksiądz Kordecki wszedł na kazalnicę, pomodlił się i odezwał słowami Pisma Świętego:

„Melius est nos mori in bello, quam videre mala gentis nostrae et Sanctorum, sicut autem voluntas fuerit in coelo, sic fiat..."

Nie był to mówca owych czasów, napuszony i wyuczony, ale natchniony kapłan, którego wymowa płynęła z serca strumieniem wezbranym; to też, gdy, zagrzawszy oziębłych, głos wzniósł do Matki Najświętszej z błagalną modlitwą, do krwawych ran Jej Syna, wszechmocność Bożą, wielkość i potęgę Pana panów malując, schylone głowy dźwignęły się wszystkie i zatętniły serca. Żołnierze uczuli się mężnymi przeciwko tysiącom, starcy odmłodnieli odwagą, siła klasztorna wydała się w oczach wszystkich olbrzymią, bo ją zwiększyły zastępy aniołów, i nadzieja napełniła dusze zwątpiałych.

Po mszy nastąpiły suplikacje, te wołania strapionych tak wymowne a tak proste, których najwyszukańsza nie zastąpi modlitwa, rozległ się kościół powtarzaniem: *Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!*

I ze wszystkiego nabożeństwa to może najgoręcej odśpiewane zostało: kapłan wziął z ołtarza wystawiony Przenajświętszy Sakrament, rozstąpił się lud, panowie Zamojski i Czarniecki ujęli celebrującego pod ręce i procesja poszła ku drzwiom kościelnym, a za nią falą potoczyli się wszyscy...

Tak w powolnym pochodzie ze śpiewem, wśród bicia dzwonów i odgłosu uroczystej tłumu modlitwy, dokoła murów obniesiono Monstrancję, zakreślając nią jakby czarowny pas, który miał bronić Częstochowy. Ilekroć zbliżali się do dział, które zimne jeszcze paszcze zwracały na pustą okolicę, do kupy broni, kul i bomb, stawali wszyscy, kapłan występował i święcił te narzędzia śmierci, w Imię Boga zastępów.

Piękny to był obrzęd i widok wspaniały, któremu słońce jesienne, wychylając się z za chmur, towarzyszyło promieniem jasności, z góry także zdając się błogosławić wierze tej garści ludu, co w ciasnych murach miała się bronić stokroć potężniejszemu nieprzyjacielowi.

Była to uroczystość jedyna i równie z mową przeora podniosła ducha w oblężonych, bo on ją także obmyślił. Jeszcze się nie skończył obchód, gdy nagle wszystek lud zastanowił się, spoglądając w stronę Częstochówki.

Wojsko szwedzkie zajmowało w tej chwili wioskę i poczynało rozsiewać się po wzgórzach, zapełniając jakby mrowiskiem ruchomem przed chwilą puste jeszcze drogi i pola. Na ten widok krzyk się wyrwał z piersi wszystkich; wszyscy poklękli, a Kordecki rozpoczął śpiewać:

Przed oczy Twoje Panie...

Te pokutne wyrazy znalazły odgłos w sercach wszystkich; każdy uczuł, że ma co złożyć przed Bogiem, i śpiewał gorąco przejęty. Orszak wśród bicia wszystkich dzwonów i odgłosów muzyki, towarzyszącej pieśni, powoli zsunął się nazad do kościoła, gdzie się miało dokończyć nabożeństwo.

Wszyscy rozeszli się wkrótce, jedni do mieszkań, drudzy w dziedzińce, inni na mury; a Kordecki śpieszył rozstawiać ludzi, opatrywać działa, polecać jednym czujność, w drugich wlewać odwagę, weselem swem, pogodą twarzy i męstwem zbrojąc wszystkich.

Widok z murów był zajmujący i ożywiony; szwedzkie wojsko, jak szarańcza, rozsypało się u podnóża góry i obejmowało ją zewsząd. Widać było proporce z trzema koronami i cyframi Karola Gustawa, halabardy połyskujące, pierzaste kapelusze Szwedów, wodzów na koniach w błyszczących zbrojach i jasnych sukniach galonowanych, przy nich towarzyszących im dla rozpoznania miejsca Polaków, którzy powolniej i jakby gwałtem ciągnieni szli, okiem przerażonem spoglądając na Jasną Górę. Po drogach wlokły się działa, prochy, wozy z namiotami i kulami; wiatr powiewający z tej strony krzyk nawet gawiedzi i odgłosy trębaczy niekiedy do twierdzy donosił. Jakaś kupka jezdnych odjeżdżała i opatrywała mury zdaleka, opasły Szwed jej przewodniczył, kilku innych jechali za nim.

Polacy stanęli obozem opodal ku miasteczku i oddzielili się widocznie od wojsk Karola Gustawa. Tymczasem Szwedzi już opanowali Częstochówkę i od południa leżący folwark klasztorny zajęli w oczach Kordeckiego.

— Dałbym do nich ognia — rzekł pan Zamojski.

— Nie, — odpowiedział przeor — pierwszym nam kroków nieprzyjacielskich rozpoczynać nie przystoi, niech oni zaczną, a na nich spadnie krew przelana.

Wtem gwałtownie dobijać się zaczęto do wrót: furtjan przybiegł z doniesieniem, że Polak jakiś, poseł od Millera, z listem przybył.

— Wpuścić go, — rzekł Kordecki, a sam pośpieszył do bramy pierwszej.

Tu wąsaty towarzysz z chorągwi Gołyńskiego wręczył mu list dowódcy, a zarazem przyszła wieść, że Szwedzi w folwarku klasztornym zabili rządcę tamtejszego Jana Konopskiego. Był to pierwszy krok nieprzyjacielski.

— A zatem, księże przeorze, dobrodzieju, *cognoscimus inimicos*, — rzekł pan Zamojski — niech się nam nie uwijają tak blisko pod nosem, za odpowiedź dać ognia.

— Słusznie, — rzekł Kordecki — oni pierwsi niewinną krew przeleli — i, wstępując na mury, krzyżem wielkim przeżegnał działa, wołając:

— W Imię Boże!

Na to hasło wydano rozkaz wystrzału i pierwszy grzmot dział rozległ się jak grom silny po dolinie; kule przeszyły powietrze, a gdy dym nieco opadł, ujrzeli stojący na murach popłoch, który w Szwedach zrobili; millerowscy bowiem wcale się tak śmiałej nie spodziewali zaczepki.

Ogień działowy nieprzerwanie aż do oczyszczenia Jasnej Góry z nieprzyjaciela trwał ciągle, i wśród huku wystrzałów czytano list Millera. List to był widać jeszcze w nadziei łatwego i rychłego poddania się klasztoru, tchnął niby radą przyjazną, a groził zdaleka tylko. Rozkazywał Miller natychmiast wysłać do siebie zakonników dla traktowania o warunki, oznajmując, że przybył zająć Częstochowę na imię Karola Gustawa. Obiecywał łaskę swego króla, poszanowanie świętości, wiary, obrzędów, własności wszelkiej; „lecz jeśli, kończył, opierać się będziecie śmieli, gdy już cała Polska zajęta, będę zmuszony nastąpić na was siłą i wówczas biada wam. Życzę raczej nie myśleć nawet o oporze próżnym."

Przeor z uśmiechem złożył odczytany list na stole.

Wtem wprowadzono dwóch z komendy Gołyńskiego Polaków, przysłanych od generała z prośbą, aby ognia dawać przestano i umówiono się o zawieszenie broni. Oznajmił o nich brat Paweł furtjan, który ich chwilę poprzedził.

Brat Paweł, pokornie wchodzący na zgromadzenie, był jednym z najżarliwszych, choć najmniej znaczących członków zakonu; prawdziwie powołany do niego, z niskiego stanu wyszedłszy, pracował i modlił się z taką gorliwością, na jaką tylko natchnieni prostaczkowie zdobyć się mogą. Mały, niepozorny, czarniawy, ale silny i krzepki i zawsze gotów do pracy, dopełniał i obowiązków stanu, i nakazów przełożonego z zapałem nadzwyczajnym. Cały dzień przy robocie, nigdy nie stęknął ani się zniecierpliwił, a przeora uważając za świętego, czcząc go jak wyższą od siebie istotę, gdy mu sił zabrakło, gdy na duchu podupadł, szedł do niego i dla pokrzepienia prosił o ojcowskie błogosławieństwo. Nikt nad brata Pawła nieustanniej nie nosił włosiennicy, i gdy inni ją tylko na adwent i wielki post chowali, on ani jej, ani paska żelaznego do snu nawet nie zrzucał; noce pędził klęczący, dnie na pracy ciągłej, w posługach ostatnich, które mu były najmilsze, z rozrzewnieniem oczekując dnia, gdy go osądzą godnym wyniesienia z braciszka na dostojność kapłana. Takim był brat Paweł, wzór tych prostaczków świętych, których jako skromnych pracowników w winnicy Pańskiej tylu zapisały karty dziejów zakonnych w Polsce.

Wszedł on do sali i ze skrzywioną kwaśną twarzą wymienił dwóch Polaków przybyłych, a na rozkaz przeora drzwi im szeroko otworzył, sam oddalając się śpiesznie.

Dwaj panowie towarzysze weszli z rumieńcem na twarzy, zafrasowani widocznie i zmieszani swem położeniem. Obaj byli lat średnich, jeden rodem z Wielkiej Polski, znać wojak od młodu; drugi nowy jeszcze, w pierwszem polu, trzymał się za panem bratem i nastawiał tylko miną, niewiele wiedząc, jak sobie dać rady.

Przeor przyjął ich, okazując zadziwienie.

— Kochani panowie! — rzekł, — a cóż to ja widzę? Polaków z Najświętszą Panną Częstochowską wojujących! Czyście katolicy?

— Katolicy jesteśmy, — odpowiedział odważniejszy — i Bóg widzi, jak nas to boli, że ze Szwedem tu przybyliśmy; wojować wcale nie myślimy, ani wojującym pomagać, ale stać musimy.

— Taki to skutek płochego rzucania się, — zawołał Kordecki — przystaliście do Szweda, a Szwed was na Matkę prowadzi.

— Nie zapomnieliśmy czci winnej miejscu świętemu,

wielebny ojcze, — rzekł znowu pierwszy — i wojować nie myślimy, uchowaj Boże...

— To więc z zimną krwią i założonemi rękoma patrzeć będziecie, jak z nami Szwedzi borukać się będą?

Towarzysz westchnął.

— Wstyd, wstyd! — dodał przeor — mało wiary w nas! Opuściliście ojca-króla, porzuciliście sprawę ojczyzny-matki, związaliście się z najezdnikami, jacyżeście synowie tej Rzeczypospolitej?

Wielkie widać było pomieszanie na twarzach posłów, gdy drugi, bełkocząc, począł prosić o zawieszenie broni, nie wiedząc już, z której beczki zacząć.

Kordecki spojrzał na Zamojskiego, który obok siedział i do mowy gotować się zdawał; na Czarnieckiego potem, który tarł łysinę i wąsy targał niecierpliwie.

— Niechże panowie Szwedzi ustąpią z folwarku, — odparł po chwili — a my ognia dawać przestaniemy.

Spojrzeli po sobie towarzysze, jakby się radzili, kto z nich pójdzie, i młodszy oddalił się szybko; drugi pozostał, użalając się na swój los i położenie Polaków, usiłując przemówić do przytomnych i zbratać się z nimi, ale napróżno, bo wszyscy od niego jak od zapowietrzonego się usuwali.

Przeor jednak przyjął go, jak przystało, i kielichem, i miską; aż i drugi powrócił z oznajmieniem, że Miller z folwarku ustępować nie myśli.

— Wola wasza, więc i ja nie ustąpię i strzelać każę — odpowiedział przełożony i tem ich pożegnał.

Posłowie odeszli smutni i przejęci; sumienie odzywało się do nich, grożąc, zbudzone raz pierwszy słowami Kordeckiego.

Działa grzmiały do nocy.

XII.

Noc ta nie uśpiła nikogo ani w twierdzy, ani w obozie. Ruch, gwar i rozpalone ognie świadczyły, że sen nie zamknął powiek przybyszom znużonym; na wysokiej wieżycy kościelnej, z rozkazu przeora zapalony gorzał, świecąc daleko, kaganiec, jakby wzywał pomocy i ratunku.

We wszystkich oknach płonęły światła, a obóz Millera połyskał mnogiemi ogniskami, rozrzuconemi w różnych kierunkach i ukazującemi stanowiska oddziałów. Niebo było

pochmurne, działa odzywały się do ciemnego mroku, ale coraz rzadziej i w dłuższych przestankach.

Kordecki na południowej kortynie przechadzał się po blankach z Zamojskim.

— Mieczniku, — mówił — uczycie mnie wojny!

— Pan Bóg to, nie ja, was uczy, — odparł Zamojski — lepszy to nauczyciel ode mnie.

— Widzę, że jeszcze jedną ofiarę spełnić nam potrzeba.

— Wojna żyje ofiarami — odparł miecznik z westchnieniem.

— Powiedzcie raczej, że wszystko, co żyje, ofiarą tylko utrzymuje życie; tam tylko żywot, gdzie ofiara, ale tu nie o tem mowa. Widzicie stąd nasz folwark; mozoły tam naszych wieśniaków, bogate zapasy zboża, chleba, darów Bożych, a Szwed sobie w nich pościela snopki naszym potem zlane i cieszy się, że się niemi przeżywi. Cóż wy na to?

— Spalićby potrzeba — rzekł Zamojski.

— A! widzę ja to od rana, a rozkazu nie daję, — odparł przeor zcicha z boleścią wyraźną — tak to kosztuje pracę ludzką i dary Boże niszczyć. O! nie nasza to rzecz wojna, nie nasza, panie mieczniku! Niech rzucą bomby, ja na ten ogień patrzeć nie chcę, zbyt mnie wiele on kosztuje.

To mówiąc, śpiesznie odszedł, a Zamojski zawołał Wachlera, Niemca od dział, do siebie.

Niemiec to był całą gębą, bo i brzuchaty, i gębaty, serca w nim ani za grosz, ręce do pracy niechętne. Z potrzeby tylko wzięli go księża, bo nikt go nie lubił. Cały Boży dzień ujadało się to nieznośne Niemczysko za karm, za płacę, za nagrody, za wygody; a przyszło robić, niechętnie i dumnie, mrucząc, posługiwał. Od czasu przyjścia Szwedów jeszcze się stał mniej ochotny i gderliwszy, i rzekłbyś, patrzał tylko, którędy do nich droga. Z Polakami zawsze nadęty, niebardzo posłuszny, postępował jak z czemś niższem od siebie, nabożny był tylko w niedzielę, a wesoły do pieniędzy; ale że znał swoją sztukę, musiano go trzymać, choć to była plama załogi częstochowskiej.

Cóż począć, gdy się czasem obejść bez takich pomocników nie można? Ujmowano go datkiem, jadłem, darem, obietnicą, choć niejednego chętka brała ten kawał mięsa przez mury przerzucić. Wachler, mrucząc po swojemu, podszedł do pana miecznika.

— Macie przygotowane bomby ogniste, widzicie to świa-

tło na folwarku? — rzekł mu Zamojski — rzucić ogień i spalić stodoły i gumna.

Niemiec spojrzał, ruszył ramionami i stanął jak słup.

— Słyszysz waść? — rzekł Zamojski.

— Po nocy! — odmruknął nareszcie Niemiec.

— Po nocy, zaraz, wołać kanonierów, działa sztyftować i ognia, nie czekając.

Chciał się choćby pospierać Niemczysko, ale przy świetle stojącej w strzelnicy latarni ujrzał twarz Zamojskiego i wzrok jego groźnie rozkazujący; szepnął coś niezrozumiale i zajął się spełnieniem rozporządzeń.

Nie odszedł miecznik, aż pierwsza bomba, kreśląc ogniste koło w powietrzu, padła w zabudowania folwarczne; za nią, jakby wyścigając się, leciały inne, mierząc wszystkie na dachy brogów i zabudowań, z których natychmiast buchnął płomień i czarne, drobne postacie Szwedów rojem sypać się poczęły. Wiatr dął od wschodu i niósł płachty ogniste w pola tak, że nawet pozostała z pierwszego wejhardowskiego ognia kaplica Św. Barbary nie zajęła się od tego pożaru. Ogień, szerząc się, rozwidniał obozowiska Szwedów w nieładzie będące i miasteczko, którego Fary wieża, na tle nieba ciemnem, błyszcząco się malowała ze swym krzyżem, kaplica też Św. Jakóba, klasztor, wszystko odbitemi blaski gorzeć się zdawało; pozostała tylko w cieniach część murów północna i północno-zachodnia. Grzmiały działa do dwunastej, popłoch i ruch w obozie był wielki, aż wreszcie pożar, nie mając co niszczyć, ustawać począł i strzelanie przerwano.

W chórze śpiewali zakonnicy.

Po zabudowaniach klasztornych szlachta pierwszą tę noc oblężenia przebyła w strachu i niepokoju największym: modlili się jedni, przysłuchiwali drudzy, niektórzy wchodzili na mury, poglądali na zniszczenie i tęskno dumali o jutrze. Przeor, wyszedłszy z chóru, udał się pocichu za mury ku stronie północnej, bo mu pożar folwarku, z przeciwnych baszt widoczny jeszcze, był przykrym nad miarę widokiem; obszedł część kortyny, a potem zstąpił w podwórze i począł oglądać wszystkie twierdzy zakątki, wszędzie witany hasłem...

A hasło było dnia tego: Marja Panna — Paweł święty.

Świeciło się jeszcze w mieszkaniu, które zajął pan Jan Lassota, i tu Kordecki kroki swe zwrócił, zapukał, gdyż wprzód jeszcze jęk głuchy i mowa niewyraźna oznajmiły mu, że nie spano. Wszedł więc i zastał na pościeli starca

z głową schyloną, ze wzrokiem martwym; przy nim Hanna siedziała płacząca na niskim pieńku, który jej za stołeczek służył. Blade światełko migającej lampy rozwidniało sklepioną izdebkę, smutną, nagą i pustą. Starzec podniósł głowę ku przeorowi, sądząc, że wchodzi brat jego, ale ujrzawszy Kordeckiego, spuścił ją znowu, jakby mu mówił milczeniem, że obcy nie był mu pożądanym gościem. Kordecki nie zważał na to i usiadł przy pościeli.

— Bracie mój, — rzekł — cierpisz, widzę to, chciałbym cię pocieszyć, chciałbym ci dodać odwagi i wytrwałości.

— Jakże nie mam cierpieć? — odparł po chwili Lassota. — Widzisz, mój ojcze, to dziecko; tyle mi tylko zostało na świecie, resztę wszystko wydarł nieprzyjaciel; czuję przychodzącą śmierć i tej ostatniej drogiej istoty nie mam komu zostawić...

— A Bóg, mój bracie, a Bóg?

— Bóg o mnie zapomniał.

— Cóż mówisz, stary! Co mówisz? Pomiarkuj się, nie Bóg o tobie, ty chyba zapomniałeś o Nim?

Lassota zmilczał posępnie.

— Nie chciałbym ci się naprzykrzać, panie Janie, — mówił dalej przeor — ale jako gospodarz tutejszy, dla zapobieżenia niemiłych spotkań, radbym wiedzieć, co cię tak boli, kogo to masz wrogiem?

— Alboż nie wiecie jeszcze?

— Nie pytałem nikogo; nie ulży wam to bólu, gdy mi się zwierzycie? Spróbujcie...

— Chciałbym, nie wiem, czy potrafię... — spojrzał na wnuczkę.

— A naprzód — rzekł przeor, — wiedzcie, że niema straszniejszego bólu w duszy nad ten, jaki zadaje nienawiść, jest to trucizna, której kropla psuje w nas wszystko wielkie i święte; z nią się ani modlić, ani kochać Boga ni ludzi nie można; wszystko kwaśnieje od niej w duszy i w ocet się zmienia. Starajcie się podnieść do Boga i darować winy, a ujrzycie jak lekko odetchniecie potem, jako nadzieja i spokój wstąpią w duszę waszą.

— Darować! przebaczyć! — zawołał stary. — O! nie mogę, nie mogę... darować boleści lat kilkudziesięciu, darować moje cierpienia, wszystko, com przebył w Imię Boga potrafiłbym może, bylem go nie widział, ale przebaczyć, co ucierpieli drudzy, ci, których kochałem, których mi wydarli... nigdy, nigdy!

Przeor pomilczał chwilę.

— Wszystko — rzekł — przebaczyć potrzeba, wszystko, jak Bóg przebaczył i darował, chcesz-li, by ci było przebaczono.

— Wiem, — rzekł powoli szlachcic, podnosząc głowę i na rękach ją spierając — bo powtarzam codzień słowa modlitwy, ale ich winy przebaczyć nie mogę, nie mogę...

— I dlatego cierpisz — mówił Kordecki.

— Można darować upokorzonym, ale zuchwałym i urągającym?...

— Powtarzam ci, mój bracie, jeśli kiedy, to nad grobem trzeba wszystko i wszystkim przebaczyć. Chrystus dla nas przykładem, on modlił się za zbójców swoich, gdy go katowali, i przebaczył on nie tylko mękę swoją, ale cierpienie swej Matki...

Szlachcic boleśnie jęknął, spojrzał na wnuczkę i dwie łzy zbiegły mu po zżółkłej twarzy, której policzki ceglany rumieniec choroby zapalał.

— Posłuchaj mnie, ojcze, — rzekł po chwili, widząc, że Hanna odeszła do pierwszej izdebki, — trzeba, żebyście poznali życie moje, a osądzicie, czym winien, że przebaczyć nie umiem, życie to niepowszednie. Wiecie może od brata mojego, żeśmy nie byli ubodzy, nie! Bóg dał kawał ziemi pięknej i chleba dostatkiem, i imię poczciwe i konsyderację u ludzi. Było nas tylko dwóch u ojca, ale młodszego wcześnie przeznaczono i oddano do klasztoru, bo matka kochała mnie tylko i pieściła nad miarę. Stare to dzieje, ojcze; ja dziś starzec siwy, ale to były najszczęśliwsze życia chwile, bo spokojne, bo wesołe, a bez troski na przyszłość. Wychowałem się poczęści w domu, poczęści w szkołach u jezuitów, a potem, gdy mi Pan Bóg ojca odebrał, powróciłem matce w gospodarstwie pomagać. Byłem już dorosły, ale pstro w głowie, jak u każdego młokosa, a do tego jedynaka, bom się już za takiego uważał. Wszystko mi dogadzało; z psami, z końmi, z wesołymi towarzyszami uganiałem się dnie i noce od kniei do kniei, rzadko nawet, czego mi dziś Bóg widzi żal okrutnie, do starej zaglądając matki. Niewielkąm też był jej pomocą; tylko że na mnie spojrzała kiedy niekiedy i pocałowała w głowę, a choć sama jedna długie dnie wysiadywała nad swoją książką pobożną i różańcem, nie poskarżyła się nigdy. Jam z młodości szumiał i szumiał. Jakoś, nie wiem już poco, zaniósł mnie interes do Sandomierza, gdziem musiał kilkanaście dni przebawić, a i tu znaleźli

się koło mnie towarzysze do hulanki. Wypadło tak, że podczas mojej bytności najbogatszy z tamtejszych mieszczan, niejaki Franciszek Gallar, wyprawiał starszej swej córce wesele. A jak to za owych czasów bywało, na wesele prosili kto żyw, i kogo gdzie spotkali, bo i z ulicy uboż, i szlachta znajoma i nieznajoma nawet cisnęli się do otwartego domu kupca. Odbywało się to po staroświecku z maszkarami, z błaznami, z muzyką, z wielkim stołem i wielkim strojem, a trwało dni dziesięć. Że to jakoś było blisko domu, w którym stałem, a moi przyjaciele już tych Gallarów znali dawniej, pociągnęli i mnie na bankiet weselny. Ot! jak czasem całe życie ludzkie od jednego zawisło kroku (i starzec westchnął ciężko), ale mi nie żal, nie, nie żal. Starsza córka Gallarowa szła za szlachcica, bo to był mieszczanin bogaty co się zowie, kupiec wielki i mówił o sobie jakoby był wygnańcem, *religionis causa* z jakiegoś tam niemieckiego kraju, gdzie katolików prześladowano, opowiadał też, że był szlachcicem i dla musu się tylko udał do handlu. Bóg tam zresztą wie jego niemieckie szlachectwo. To pewna, że i sam był personat, okazała i poważna figura, i familja jego wyglądała gdyby coś lepszego niż prości mieszczanie. Osobliwie też obie córki były piękne, bom podobno mówił, że ich miał dwie, starsza, co już szła zamąż za pana Otrębowskiego z Przewałowa, była śliczna jak obrazek, ale młodsza świeciła się gdyby gwiazda między tem mieszczaństwem. I tak mnie zaraz za serce chwyciło to dziewczę, żem i rozumu zbył i głowy, i zapomniał się o sobie. Już tedy wesela pilnowałem do końca i poznałem się bliżej z Gallarami, którzy zamożnego szlachcica przyjmowali z dystynkcją, uczciwie i jak się należało. Konstancja było imię młodszej, szła ze mną w taniec raz wraz i uśmiechała się do mnie; jeszczem innych od niej odsadzał, aż mało do bójki i szabel nie przyszło, i tak mignęły mi się te dni weselne, gdyby z bicza trzasł. — Ale ostatniego dnia nie obeszło się bez awantury. Już to ja widział zrazu, że koło niej ćma gachów się kręciła, alem ich rozpędził łatwo, bo to byli mieszczańczuki; tylko się jeden pozostał wąsacz, z szabelką, szlachcic gołopięta, niejaki Krzysztoporski. Ten się nie dał zjeść w kaszy i kroku mi nie ustępował. Starliśmy się raz i drugi na słowa cierpkie, przemówili ostro, ale mnie jakoś przyjaciele odciągnęli od bójki, dla domu to czyniąc, bo Gallar stary był człowiek poważny i przykroby mu było, żebyśmy się popłatali, a do tego *omen* zły dla nowożeńców. Mój tedy antago-

nista nie ustępował wcale, a Konstancja, choć się zdawała dla mnie bardzo przyjazna i szła ze mną tańcować, i mówiła bardzo pięknie, uważałem, że bylem się odsunął, to jednako i z tym Krzysztoporskim śmieszkowała i gziła się. Jakoś to mnie po sercu drapało, ale nic... Tu i wesele się kończy, a ja w Sandomierzu siedzę, i matka pisze — powracaj, a ja już od Gallarów ani krokiem; tu rano, tu i wieczór, skrzypki za sobą prowadzę, a oni przyjmują ochotnie.

Tylko ze wsi szlachetka uparty siedzi na nosie i siedzi, ani wykurzyć; i co odstąpię, to on do panny. Nareszcie tak dni jeszcze z dziesięć po weselu przeskakawszy, trzeba było do domu, bo się i pieniądze wyszastało, i u Żydków jeszcze napożyczało. Matka, choć wiedziała o wszystkiem, bom miał przy sobie starszego sługę, co jej donosił każdą rzecz, nic mi nie powiedziała; ale gdy wkrótce potem znowu do Sandomierza się siodłam, już nie wycierpiała i mówi mi otwarcie — myślisz, że to ja nic nie wiem, otóż z tej Gallarowej imprezy nic nie będzie. A ja matce do nóg i taki odrazu, że bez niej żyć nie mogę. Było tam dosyć sporu i próśb, ale jak to serce macierzyńskie miękkie dla syna ulubionego, a ja wołałem, że do Kozaków pójdę, jeśli mi się żenić nie pozwoli i począłem jej jeszcze wmawiać szlachectwo Gallarów, jakoś się rozpłakała, umitygowała — i pojechałem.

Tu znowu z miesiąc czasu spędziłem na biesiadach już otwarcie konkurując, ale mi ten Krzysztoporski nie ustępował. Tedy bez ceremonji wyzwałem go na rękę, aleśmy się porąbali napróżno, bo skoro odleżał i wylizał się, ja do panny aż i on z drugiej strony; a Konstancja póki sam, to do mnie oczy zawraca, jakeśmy we dwóch, to jakby nie wiedziała, kogo sobie wybrać. Człek to był przystojny i śmiałek, a żywego języka, co się kobietom podoba. Jużem to ja konotował, że z tego pociechy nie będzie, ale jakby na mnie czary rzucono, bo nawet matka moja i ludzie mówili generalnie, że pewnie mi coś w winie zadano, odrazu tak *primo impetu* rozmiłowałem się, ani na to rady. Tymczasem *in tractu* tych starań o pannę matka moja umarła, Panie świeć nad jej duszą i domieść ją zbawienia wiekuistego; ja zostałem panem swojej woli. Ale żałoba rok i sześć niedziel trwała; więcem już bez muzyki dojeżdżał do panny i wprost oświadczyłem się Gallarowi, który to przyjął dobrze i zaraz mi podziękował za zaszczyt jego familji uczyniony. Panna, przy której zawsze ów Krzysztoporski siedział, trochę popłakała, jam to miał za zwyczajne ceremonje, i pierścionki za-

mieniliśmy, a ślub odłożony został po wyjściu żałoby. A jakoś też zaraz ludzie mówili, że w żałobie zaręczyny niedobrze wróżą, ale się na to nie zważało wówczas.

Ile razy przyjadę bywało do Gallarów, jest mój gach koło panny, a czasem zjadę zcicha, to siedzą jedno podle drugiego i szepczą coś poufale; już to mnie okropnie po sercu krajało, żem go drugi raz chciał wyzwać, ale rodzice, pomiarkowawszy się, dom mu wypowiedzieli. Z tego już tak byłem szczęśliwy, żem do reszty głowę utracił. Tymczasem stary Gallar chodził koło mnie, różnemi racjami dowiadując się o majętność, chcąc niby zapewnienia losu dla córki, — ze swej strony złote góry obiecując; majątek mój był czysty, w ziemi, a jego w szkatułce i w gębie; ale się to wówczas wszystkiemu wierzyło. Dosyć, że jak począł mi ukazywać, iż, broń Boże śmierci mojej, córkę krewni wyzują ze wszystkiego, a to i owo przywodzić dla skonwinkowania, tak ja, rozmiłowany, ruszyłem głupi wspaniałomyślnością i, znajcie szlachcica, zapisałem całą majętność moją, jakby sprzedając ją, przyszłej żonie, a nic sobie nie ekscypując i nie zostawując. Wkrótce potem i żałoba się skończyła, a ja zawiózł Konstancję na wieś, ożeniwszy się. Kilka miesięcy upłynęło szczęśliwie, alem się rychło postrzegł, że z piękną twarzą nie takiem sobie szczęście kupił, jak mi się widziało. Żona moja, do miasta i do rozrywek przywykła, do skrzypów, skoków i gwaru, nudziła się, ani czem zająć chciała. Gospodarstwo matczyne szło wniwecz; ażeby ją zabawić, trzeba było nieustannie sprowadzać muzyki i szaleć. Już mnie to dojadło, myślałem, że się przecie kiedyś skończy, ale gdzie tam, co dalej, to lepiej. A do tego żona posmutniała i ani ją rozkołysać, ani ją rozbawić. Tymczasem Bóg dał córkę, myślę już znowu, otóż ją do domu przywiąże, ale i to nie, jak była, tak została; dziecię z mamką poszło do czeladnej izby, a pani, gdy pozdrowiała, to ją wieź do Sandomierza, to sprawuj w domu bankiety, czy jest czy niema za co.

Aż tu i Krzysztoporski się zjawia; tu jest, tu go niema, pokaże się i zniknie, i donoszą mi już ludzie, że liściki biegają. Źle, trzeba radzić; jadę do starych Gallarów; ale Niemiec to sobie lekko waży, pół śmiechem, pół niedowiarstwem mnie zbywa i poczyna, jakby nie znał się do tego, co szlachcicowi winien. Jejmość w tąż swoje, a gdym przyszedł do wymówek, ona w gniew; jam także nie z kamienia, dość, że przemówiliśmy się raz i drugi, i trzeci, a coraz kwaśniej z sobą. Aż jednego razu powracam do domu, niema. —

Gdzie? do Sandomierza. Już mnie ten Sandomierz kością w gardle siedział; bez zapytania, bez wiedzy mojej, ale że to do rodziców — nie śmiałem nic powiedzieć i jadę za nią. Tu mnie przyjmują kwaśno, do żony nie dopuszczają i znowu najrzałem Krzysztoporskiego. Już nie żartem wziąłem się do rodziców i do niego, ale hałasu narobiwszy, przepędziwszy piekielnego gacha, gdym chciał żonę odebrać, nie dają. Odjechałem do domu, gdzie mi córeczka pozostała; myślę, przegniewa się i przyjedzie, aż mija miesiąc, drugi i słyszę w konsystorzu machinacje o rozwód! Aż mnie krew oblała, bo tu żal i sromota; ja znowu do niej, ale gdzie tam! Pozamykano i dają mi znać, że stary Gallar nie żartem koło sprawy chodzi; a ludzie, com ich przepłacał, powiadają, że Krzysztoporski taki tam nieustannie koło niej.

Cóż długo mówić? rozstaliśmy się, musiałem, rad nierad, na rozwód pozwolić, bo mi już i to życie dojadło; jejmość zaraz, nie czekając, wybrała się za Krzysztoporskiego. Jeno się to stało, aż z innej beczki poczęli, i do majątku mi się biorą. Majątek był wprost zaprzedany, ani się wywikłać; przeczyć swojej robocie *ignominia*, kondyktu okazać niepodobna; na łascem został. Krzysztoporski goły, ona bez serca... Toczyła się jednak sprawa, toczyła i przegrałem ją, naciągawszy się po sądach, natraciwszy zdrowia, spokoju i życia. Jużem i postarzał, a tylko mi córka została jedyną pociechą, bo i ubóstwo przyszło i późny żal, a przyjaciele, jak wymiótł, przed biedą pierzchnęli wszyscy.

Krzysztoporski, pamiętny sadła, com mu zalał za skórę, zajadle na mnie powstawał, odebrawszy mi żonę, zagarnąwszy majątek, jeszcze na sławie mi szkodził, gdzie tylko mógł ujmował. Już tego dalej ścierpieć nie mogłem, bo srogi ból był w sercu, i znowu wyzwałem go na rękę. Po długich ceregielach stanął, ale cóż? mnie z gniewu ręka drżała, on miał całą głowę i obciął mnie tylko. Wyleżałem, wykurowałem się i z reszty pozostałej majętności żyłem, jakem mógł, a i córka podrastała. Choć mi się ciężko za mój afekt wypłaciła Konstancja, jeszcze dla niej zostało jakieś w sercu uczucie, jak do matki dziecięcia mojego, zresztą Bóg wie!

Tu dochodzą mnie wieści, że i ona nieszczęśliwa, Pan Bóg jej oddał za moje. Krzysztoporski był w początku dobrym mężem, ale potem gdyby bisurman jaki obchodzić się z nią począł. Już jak to tam było, to było, a żal mi się zrobiło kobieciska; wielem przez nią wycierpiał, przecież miałem ją zawsze za żonę i anim myślał o innej, choć wiek był

po temu i trafiały mi się dobre partje, ale taki serce znarowione ciągnęło ku niej. Jeden, drugi z sąsiadów zaczęli mi prawić dziwne rzeczy o losie pani Krzysztoporskiej, aż mnie niecierpliwość porywała, ale myślę sobie z początku: a mnie co do tego? Jednakże z drugiej strony była to matka mojego dziecka. I tak i owak myślałem, rozbierałem, rzucałem się, nie wiedząc, co począć, aż słyszę, a tu już ją Krzysztoporski zamknął w domu i jak w więzieniu trzyma, że biedna kobieta szaleje. Tu już i wytrwać było trudno: zebrałem ludzi, kilku ubogich krewniaków, uzbroiliśmy się dobrze, porachowali z czasem i nocką do dworu pana Krzysztoporskiego zajeżdżamy.

Kilkanaście lat było, jak jej nie widziałem w oczy, a jednak coś mi w piersi zatłukło, gdym pod dom podjeżdżał... Ciemno było i cicho a pusto, obeszliśmy domostwo, wszyscy spali, w jednej tylko izdebce na górce świeciło się mdłe światełko.

Miałem ja z sobą człowieka, co mnie tam prowadził, ten wwiódł nas do izby Krzysztoporskiego, że gdyśmy go już otoczyli, dopiero się zbudził, krzyknął na służbę (a ci już byli wprzód powiązani) i za oręż pochwycił, aleśmy od niego odebrali szable i rusznice. Naówczas, stanąwszy przed nim jak mściciel, spytałem go o wydartą mi żonę, co z nią uczynił i mierząc do niego jak do psa, rozkazałem, by mi ukazał, gdzie była, i wytłumaczył się jak się z nią obchodzi. Nie moja rzecz, rzekłem, słuchać cię liczby, którą sąd ludzki i Boży weźmie z ciebie, ale ścierpieć nie mogę, by ta, która była żoną moją, znosiła niewolę; jeśli więc okaże się nieprawdą, co na cię mówią, jam winien, żem ci spokój zamącił; jeśliś winien, ja tę sprawiedliwość opieszałą przedstawiam...

Na te słowa pobladł Krzysztoporski, ale schwytany musiał wreszcie wieść do żony; ażem zdrętwiał, gdym ją ujrzał na kłódki i klucze zamkniętą w górnej izdebce, samą jedną, w podartej sukienczynie, z włosem rozczochranym. Siedziała na ziemi tak wymizerowana, blada i straszna, że, gdybym nie wiedział o niej, jużbym jej nie poznał. Włos mi na głowie stanął. A byłać to przecie matka jego syna, bo mu zaraz w rok po świętokradzkiem małżeństwie dała następcę; wymógł na niej zapisy majątku, który mnie wydarli, a obawiając się widać zalotności jej — bo była do zbytku rozmiłowana w sobie i lekka niewiasta, tak ją niegodziwie zamknął.

Kobieta zrazu się przelękła napadu tego i mnie nie poznała. Powiedziałem jej, z czem przyszedłem, żeby ją bronić i niegodziwego ciemiężcę upokorzyć; popatrzała się na mnie i zalała łzami, padła mi do nóg, milczała długo, nareszcie głos jej powrócił.

— Zbawco mój, — zawołała — jam ciebie nie była warta, byłam winna, wielem była winna! Bóg mnie pokarał, za resztę grzechów moich sama odpokutuję. Niegodnam cieszyć się dziećmi, niegodnam żyć z niemi, grzesznica wielka! Bóg mnie w tej niewoli i zamknięciu oświecił i poruszył, dziękuję ci, że wyzwalasz mnie, abym resztę życia spędzić mogła na pokucie.

— Gdzież chcesz iść? — spytałem, widząc, że się wybiera.

— Gdzie mnie oczy nie ujrzą ludzkie i Bóg jeden widzieć będzie — odpowiedziała. — Ale pozwólcie mi wprzód pożegnać i choć niegodnej, pobłogosławić dziecię moje.

Zeszliśmy z nią do alkierza, gdzie spał syn, którego, płacząc, ucałowała i pożegnała; potem mi się jeszcze do nóg rzuciła raz drugi, prosząc, abym jej winę przebaczył i wymógłszy na mnie, że jej szukać więcej nie będę, uszła zaraz nocą.

— Cóż się z nią stało? — zapytał przeor.

— Odtąd jej nie widziałem, — kończył szlachcic powolnie — ale nie tu jeszcze koniec historji. Odeszliśmy Krzysztoporskiego we wściekłości i gniewie, którego pohamować nie mógł; łajał mnie, aż do tego przywiódł, żem go wypłazował. Jakoś wkrótce potem umarł mu syn jedynak, a jak się to stało, wściekłej jeszcze obrócił zemstę swoją na mnie. Pozostała mi córka, którą wydać chciałem za uczciwego młodziana z sąsiedztwa. Krzysztoporski póty chodził, póki mi nie przeszkodził. Usunął się on, ale znalazłem jej drugiego i temu ją z błogosławieństwem poślubiłem. Nie skończyło się prześladowanie; taiłem przed córką historję matki, by jej życia nie zatruwać, mówiłem zawsze, że umarła. Krzysztoporski widać o tem uwiadomiony, wszystko opisawszy najszkaradniej, wybrał chwilę, by biednej kobiecie przesłać te czernidła, właśnie, gdy wydawszy na świat córkę, leżała jeszcze chora... Przeczytała, rozbolała się i umarła... Pozostało mi po niej tylko to wnuczę i...

Tu przeorowi przerwał słuchanie grzmot dział, lecz nim powstał, ścisnął za rękę starca i rzekł:

— Bóg długo czeka na upamiętanie, a my wierzyć po-

winniśmy w Jego sprawiedliwość. Można mieć żal w sercu, ale nienawiści nie godzi się. Zły człowiek więcej godzien litości, niż gniewu; a na wszystkie rany duszy jedno jest tylko lekarstwo — modlitwa...

Tu powstał Kordecki, błogosławiąc uśpionej wnuczce starca, która, znużona podróżą, w pierwszej izdebce oparłszy się o ścianę, zdrzemnęła... Grom dział wywołał przeora na mury.

XIII.

Noc cała zeszła bezsennie; jeszcze się nie byli oswoili zakonnicy i szlachta z wojną, która ich żelaznem opasała kołem; jeszcze każdy szelest, każdy krzyk ich przerażał, zdawało im się, że słyszą szturm, że widzą zdobycie; brzask wschodzącego dnia zastał wszystkich na nogach.

Stosownie do rozkazów przeora, pomimo zajęcia nowego, które mnożyła walka, nic nie zmieniło się w nabożeństwie, w obyczajach zakonnych; dzwony ozwały się o swojej godzinie, zwołując na mszę do kaplicy Najświętszej Panny, gdzie odśpiewywano godzinki i prymarję.

Gdy się to dzieje, Szwedzi plączą się dokoła i po wczorajszym popłochu, po spędzonej także bezsennie nocy, wygnani pożarem z folwarku, szukają stanowisk nowych i zabierają do silniejszego natarcia. Z murów widać oddziały rozchodzące się w różne strony i zabierające do sypania bateryj robotników. Główne ognisko, które za przewodnictwem Wejharda w początku się było położyło poza spalonym folwarkiem, przeciwko wrót prawie zamkowych, przeniosło się na stronę przeciwną i część wojsk silniejsza przeszła, okrążając z nieufnością górę, od południa na wschodo-północ. Przy kościołku Św. Barbary zostali tylko książę heski z pułkownikiem Sadowskim, u pogorzelisk prawie folwarcznych się szykując. Miller, po wczorajszym oględzie twierdzy, zrozumiał, lub może miał to od szpiegów, że północna i wschodnio-północna część murów była słabsza od innych (w istocie tak było); tu więc sam przyparłszy się do Częstochówki, nieopodal od figury Zbawiciela stojącej na pochyłości, obrał nowe stanowisko i zamyślał sypać baterje dla dział, które z sobą przyprowadził. Część twierdzy z tej strony dachami gontowemi klasztoru górująca, zwrócona ku niemu, dawała nadzieję, że ją łatwo potrafi kulami ognistemi zapalić.

Działa zaledwie były ustawione na dylach, które z pogorzelisk powywlekano i jako tako obrzucono ziemią, ledwie Miller przeszedł tu i żołnierza swego rozłożył, natychmiast grad kul sypnął się na klasztor. Generał nazywał to dzień dobry dla zakonników, a Wejhard nie przestawał utrzymywać, że byle ich trochę nastraszono, zaraz się poddadzą. Kaliński potakiwał zdaniu hrabiego, Sadowski uśmiechał się, milcząc i ruszając ramionami.

Dzwony właśnie na prymarję zwoływały, gdy grom dział i gdzie niegdzie padające nieszkodliwie kule bezsilne popłoch wielki zrządziły w podwórzach. Na pierwszą zabłąkaną kulę, co się potoczyła po bruku, okiem podziwu i strachu, rozbiegając się, wszyscy poglądali zdaleka. Kordecki, który obchodził stanowiska, wobec wszystkich, zbliżył się do miejsca, gdzie upadła, podniósł ją i głośno się odezwał:

— Złożym ją na ołtarzu Bogarodzicy, ofiarując Jej boleść naszą.

To mówiąc, wziął ją w połę habitu i poniósł do kaplicy.

Z murów też już się odzywały działa jasnogórskie, odpowiedź na dzień dobry niosąc Millerowi. Jego wojska, wczorajszemi stratami nieuleknione jeszcze, cisnęły się tłumami od wschodu do północy, szykując się i stanowiąc; pierwszy wystrzał w tę stronę przerzedził ich szeregi; widać było jak się rozbiegać, mieszać i rozsypywać zaczęli, cisnąc na zgliszcza wioski. Kilka tam jeszcze domostw, szop i stodół stało niedopalonych i Miller kazał do nich cofnąć swoim, którzy pod dachami broń swą i rynsztunek składać poczęli. Sam obrawszy kwaterę w chacie nieobalonej, rozsyłał starszyznę, by pilniejsze poczynić rozporządzenia sił, wystawionych przez chwilę na ogień twierdzy i w nieładzie rozproszonych.

Zdawało się, że Szwedzi, korzystając z dalszych domostw niedopalonej Częstochówki, tu się rozłożyć przy nich myślą i sam miecznik, zobaczywszy to, plasnął aż w ręce:

— Rychtować armaty na budowle, — rzekł szybko — puścić na nie bomby ogniste... Jeszcze i to spalić musimy.

Przeor, który stał za nim, nic już nie rzekł, ale widać było, że bolał.

— Wola Boża! — odezwał się po chwilce — wola Boża!

Dano chwilę Szwedom, żeby się bezpieczniej roztasowali po budynkach, których dachy słomiane łatwą były pastwą płomieniom; po niejakim czasie, gdy sądzić było można, że

już się w szopach rozgościli, część dział z twierdzy puściła kule ogniste...

Jakby cudem wzniecony pożar rozgorzał natychmiast; płomień z dymem wypędził żołnierza i z murów ujrzano go uciekającego żywiej niż przyszedł; broń złożona w szopach, której pochwycić, uciekając, nie mogli, po chwili rozżarzona strzelać poczęła do swoich. Żołdacy rozpierzchli się na wszystkie strony i kupami podbiegając bliżej murów, padali od kul Jasnej Góry. Widać było przestrach, zamieszanie i złość Millera, trąby żywo zaczęły zwoływać ludzi; mundury szwedzkie uściełały górę... biegali, mijali się, uciekali ku dołowi...

— Dzięki Bogu, — rzekł pan Zamojski — udało się, jakeśmy chcieli: Szwedzi wyparowani z budynków, strata w ich szeregach znaczna... Dobrze i to na początek; nie chwaląc się, rozporządziłem, jak należało; niedarmom Karlińskiego całą noc czytał.

Obrócił się do przeora z uśmiechem zadowolenia, ale na twarzy kapłana wyczytał smutek.

— Cóż to, wasza przewielebność, witacie pomyślność twarzą tak posępną?

— Czyż pomyślność taka może radować kapłana? — odparł Kordecki — konieczność tylko czyni z nas żołnierzy, a widok tych umarłych w grzechu... w złości, z przekleństwy na ustach, jak nie ma boleć i smucić?

— Na to wojna, — rzekł Zamojski — lecz jeśli myślicie tak opłakiwać każdą nieprzyjaciela stratę...

W tej chwili uwaga ich odwrócona została sceną szczególniejszą; z fosy pod murami klasztoru wysunęła się postać niewieścia, w płachtach białych, jakby mara z grobu wstająca; ze śmiechem poczęła witać Szwedów i kłaniała się im od ust, wskazując na bramę klasztoru, na kościół i mury.

— A to nasza żebraczka! — rzekł przeor — dziwna rzecz, jak ją to wszystko nie zastrasza, nie schroniła się nawet do klasztoru.

Kostucha wyszła ze swej kryjówki śmiało, i w oczach wszystkich poczęła, powolnym krokiem obchodząc mury od strony północnej, coraz się schylać ku ziemi, jakby co zbierała, chociaż ogień Szwedów, acz nie zawsze dosięgający murów, z tego właśnie boku był najżywszy. Kule padały tu i owdzie, nawpół w ziemię wryte, niektóre bezsilnie zostały na wierzchu, inne, od murów odskoczywszy, toczyły się ku

fosom z kontreskarpów. Wśród nich Konstancja spokojnym krokiem szła, śpiewając i, zawiesiwszy płachtę u pasa, jak kobiety, co na grzyby wychodzą, poczęła podnosić kule, zbierać je i w fartuch składać.

Zamojski stał osłupiały.

— Wielka dla nas nauka, — rzekł ze zdumieniem — jak się tu nam chlubić z męstwa! ona go więcej ma od nas, i więcej wiary, niżeli my wszyscy. Patrzcie, jak śmiało idzie i zbiera, aż Szwedzi posłupieli.

Kordecki łzy miał w oczach, serce mu biło.

— Tak nieulękli, tak ufni, tak weseli powinniśmy być wszyscy — rzekł powoli.

Wtem znać ją postrzeżono z obozów, ukazało się kilku jeźdźców; widać było po strojach, po osiodłaniu koni, po rzędach i uzbrojeniu, że to byli polscy żołnierze.

Kordecki się oburzył...

— I oni! — zawołał — i oni na Częstochowę! na matkę dzieci! o zgrozo!

Jeźdźcy zbliżali się ku murom, na ich czele jechał barczysty, słuszny mężczyzna, w czerwonym żupanie i piaskowym kontuszu, z kołczanem u boku, łukiem na plecach, z szablą dobytą i krzykiem na ustach... Głos jego nie dochodził patrzących, ale znać było, że zachęcał i prowadził pod mury. Widać Miller czy Wejhard, spoiwszy biedaka, użyli go za przewódcę, chcąc Polaków jego przykładem przywieść do czynnego udziału w częstochowskim szturmie.

Z oburzeniem patrzali wszyscy z murów na tę kawalkatę ciurów zapewne opiłych; przeor ręce złożył, modlić się począł, a oczy zakrył.

— Dzieci! dzieci własne! na matkę! — powtarzał z łkaniem...

Jeździec zbliżał się coraz pod mury ze swoim orszakiem; z szeregów polskich ten, ów wyrywał się za przewódcą, wywijając szablami, kłusowali ku górze. Naprzeciw nich stała zdumiona Konstancja z fartuchem kul już pełnym, kiwając głową, grożąc na nosie, pokazując obraz N. Panny, na murze zewnętrznym odmalowany.

Wtem wystrzał z murów obalił dowódcę tej wycieczki, padł na ziemię z koniem razem; otoczyli go kilku bliższych, popatrzyli, ale widać zabity był w miejscu, a kule świstały, bo natychmiast pierzchnęli wszyscy i żwawo do obozu zmykać poczęli.

— Módlmy się za grzeszną jego duszę — szepnął przeor.

Wszyscy uklękli...

XIV.

Miller, niedługo w szopie na częstochowieckich zgliszczach posiedziawszy, musiał się z niej wybierać, rozkazawszy nieco opodal, na rumowiskach namiot swój rozbić. Na twarzy jego malował się gniew i upokorzenie tem gwałtowniejsze, że sobie poczynał jak z mnichami, a znalazł w nich ostrożność, przebiegłość i znajomość rzeczy najlepszych żołnierzy. Z każdego opuszczenia się jego i błędu korzystano natychmiast, a poczynione ofiary oznajmywały, że klasztor myśli się bronić do upadłego. Chodził i mruczał; Wejhard, który go tu sprowadził, nie pokazywał się teraz; wysyłał po niego, wściekając się, posłańców, aż nareszcie hrabia, nie mając powodu i wymówki, przybyć musiał.

Miller spotkał go zaraz wyrzutami.

— Widzicie, — rzekł ze złością — tu co innego wcale się święci, to się zabiera na zapalczywą obronę, tracimy czas i ludzi...

— Prawdziwie, nie pojmuję, — rzekł Wejhard łagodnie — oni się bronić nie mogą, targują się tak tylko o poddanie, o warunki...

— A, śliczny mi targ, — zawołał Miller — w zadatku patrz, co trupa!

— Przypadek! przypadek! — rzekł Wrzeszczewic.

— Co? i spalenie folwarku! i tych szop, i ci pobici — to wszystko ma być przypadek!

— Ale, powtarzam generałowi, mnisi bronić się tak długo nie mogą, — zawołał Wejhard — z czem? ze stu kilkudziesięciu ludźmi, przeciwko dziewięciu tysiącom? ani biegłych dowódców nie mają. Wysilili się dzisiaj, trochę im też szczęście, trochę nieostrożność nasza posłużyła i po wszystkiem...

Miller odwrócił się z gniewem.

— Ale to tak trwać nie może! — odezwał się, wysapawszy — potrzeba skończyć..

— Skończymy, generale, niech Kaliński jedzie do klasztoru i pocznie się z nimi targować.

Miller wskazał tylko ręką Kalińskiemu klasztor.

— Ruszaj, pułkowniku, — rzekł — a żwawo, i przynoś mi punkta od mnichów, nie, to klasztor w perzynę obrócę.

Pan starosta bracławski, któremu wcale nie smakowały kule świstające dokoła klasztoru i szwedzkie, i częstochowskie, kwaśną dosyć zrobił minę, ale grać rolę statysty i mieć

sobie powierzone traktowanie pochlebiało mu; zresztą Miller wymówek nie cierpiał, potrzeba było słuchać.

Kaliński siadł na konia, przodem na jakie dwieście kroków jednego i drugiego żołnierza wyprawiwszy z białą chorągwią i okrążywszy poza kapliczką Św. Jakóba, ostrożnie zbliżył się ku bramie. Kule świstały tymczasem, a w drodze, z powodu ich nieregularnego biegu, tysiąc uwag moralnych czynił sobie pan starosta, czując dreszcz, przechodzący poza skórą. Kaliński był człowiekiem bez siły i charakteru, bojaźliwym a dumnym, pragnącym wzniesienia i płaszczącym dla niego; wymownym kłamcą i wzorowym pochlebcą; właśnie podobnego mu do traktowania potrzebowali Szwedzi...

Na wezwanie trębacza otwarła się furtka i starosta, z oczami zawiązanemi, wprowadzony został sam jeden wewnątrz twierdzy.

W milczeniu prowadzono go kurytarzami i gdy chustka opadła mu z czoła, znalazł się w definitorjum naprzeciw krzyża i obrazu Matki Boskiej. Przeor siedział w krześle, kilku zakonników w stallach, kilku szlachty stali zboku. Kaliński miał zupełnie pozór obwinionego, którego stawią przed trybunałem. Spłoszony przez chwilę i nieuspokojony jeszcze po przejażdżce, opamiętał się rychło i odezwał słodkiem powitaniem.

Ukłon zbyt grzeczny, by serdeczność zwiastował, odpowiedział mu na nie.

— Przychodzę tu już raz drugi, — odezwał się starosta — ojcowie kochani, przychodzę z radą, z serdecznem napomnieniem. Nie myślcie, by nas, Polaków, nie kosztowało, co czynimy, ale przekonani jesteśmy, że się poświęcamy dla waszego dobra. Nasza tu przytomność, tyle nas samych bolejąca, jest jakby ochroną od okropności, jakieby was od Szwedów spotkać mogły, gdybyśmy my między nimi a wami nie pośredniczyli, nie stali...

— Ale o cóż idzie, panie starosto? — spytał zimnem zagadnieniem, przerywając czułą mowę, Kordecki.

— O cóż ma iść, jeśli nie o prędkie poddanie — kończył Kaliński łagodnie i z pozorem głębokiego uczucia. — Zaklinam was, nie narażajcie się. Jest-li to podobna, w kilkuset ludzi, przypuszczam nawet w tysiąc żołnierza, oprzeć się takiej sile? Zmiłujcie się sami nad sobą, chciejcie zimniejszem okiem wejrzeć w to, co czynicie... Nie znacie Millera, nie macie pojęcia potęgi Karola Gustawa... nie wierzycie może, że cała mu już Polska przysięgła...

— O! nie cała, panie starosto, — oburzył się ksiądz Kordecki — i da Bóg odprzysięgną się go tak rychło, jak mu przysięgali pośpiesznie nowi jego poddani.

Starosta zarumienił się, ale, jakby tego nie brał wcale do siebie, mówił dalej:

— Nie znacie Millera, jest to wódz najbieglejszy, pełen przebiegłości, umiejętności, doświadczenia, energji, dowcipu... Łagodnie z nim postępując, dobry i łaskawy, przyjaciel Polaków największy.

Pan Zamojski mimowolnie się rozśmiał.

— Ta przyjaźń — rzekł nawiasem — jawna i dowodów nie potrzebuje, pełne są generalskie wozy polskich pamiątek; tak nas kocha, że zewsząd coś zabiera...

— To są potwarze! to są potwarze! — odparł starosta z ruchem deklamatorskim — to żołnierz winien, nie wódz.

— Za żołnierza wódz odpowiada — rzucił miecznik.

— Wojna! czasy takie! — kończył, nie zważając, Kaliński. — Powtarzam, Miller jest wódz wielki. Jego myślą ubezpieczenie Polski od najazdów, bo taka wola dobrotliwego monarchy naszego Karola Gustawa, — potrzebuje się tu umocnić na granicach Śląska i musi zająć Częstochowę, jedynie dla dobra całego kraju naszego. Poddanie się wasze jest nieuchronnem, ale może być dwojakie: dobrowolne, a zatem łaskawe ze strony jego, lub zmuszone, więc gniewne i mściwe. Jeśli go rozdrażnimy...

— Nie mieszajmy spraw, panie starosto, — przerwał przeor poważnie — raczcie mówić o nas zosobna...

Jakby nie słyszał, Kaliński ciągnął dalej:

— Jeśli go rozdrażnicie, stanie się srogim i nieubłaganym; ogniem i mieczem mścić się będzie. *Parcere subjectis, sed debellare superbos*, to prawidło wojenne. Wierzcie mi, ojcowie, chwili niema do stracenia.

Wysłuchał tej mowy Kordecki dosyć cierpliwie, a gdy Kaliński skończył, odezwał się łagodnie:

— Jakiem to prawem napadnięta została Częstochowa, powiedzcie mi, miłościwy panie, skąd na to przyszły rozkazy?

— Jakto? — zawołał Kaliński zdumiony — jakiem prawem, pytacie!...

— Bo my tej napaści nie pojmujemy i zrozumieć jej powodu nie możemy. Król j. m. szwedzki, — dodał z przyciskiem — nie tylko że tego nie rozkazał, ale wola jego była, żebyśmy zostali spokojni i bezpieczni; weźmijcie i czytajcie.

To mówiąc, podał staroście papier z wielką pieczęcią Karola Gustawa.

— Co to jest? co to? — zdumiony, chwytając w drżące ręce podane pismo, zawołał Kaliński.

Był to list Karola Gustawa, dany dnia 30 września w Kazimierzu pod Krakowem, zapewniający Częstochowie bezpieczeństwo od najazdów i napaści wojsk szwedzkich.

— Generał ma zapewne późniejsze rozkazy! — odparł, przeczytawszy, poseł.

— Ale, że my o nich nie wiemy — rzekł Kordecki — i sądzim, że późniejsze pierwszym obietnicom przeciwne być nie mogą, mamy więc Millera za rabusia i napastnika.

Starosta się ofuknął, zaperzony.

— To więc cała wasza odpowiedź? — rzekł po chwili.

— Cała i bardzo prosta — odpowiedział przełożony.

— Poślijcież sobie z nią zakonników swoich, — zawołał starosta — bo ja jej nie poniosę.

— Ojcowie? którzy się z was ofiarują? — spytał przeor.

Wszyscy prawie przytomni okazali gotowość, a z nich dwaj, Tomicki i Mielecki, wskazani zostali przez przeora i natychmiast, odebrawszy instrukcję, wyszli do obozu. Kaliński, usiłując jeszcze kilkakroć i różnemi sposoby niepokonanych zakonników straszyć, odszedł nakoniec kwaśny i gniewny.

— Wkrótce tu inaczej przyjdziemy! — zamruczał dumnie, zatrzaskując drzwi sali.

Gdy białe suknie paulinów ukazały się od twierdzy, Miller, który swoich szykował właśnie, na wskazanych mu przez Wejharda mnichów spojrzał z triumfem i dumą.

— A przecież — rzekł — idą, opamiętali się nareszcie.

Wejhard tylko się uśmiechnął.

— Byłem tego pewny, generale, opierać się myśli nawet nie mają, to proste i jasne niepodobieństwo.

Wysłano zaraz kilku żołnierzy i wkrótce ojciec Marceli Tomicki stanął przed Szwedem, który, siedząc na pniaku pokrytym kobiercem z herbami polskiemi, zabierał się uroczyste dać posłuchanie.

— No, cóż powiecie? — spytał, spoglądając na nich wzrokiem pańskim i onieśmielić pragnącym.

— Przyszliśmy — odparł ksiądz Tomicki — wyrazić waszej ekscelencji podziwienie nasze: nie możemy pojąć, co znaczą pierwszy i drugi teraz napad tak gwałtowny na klasztor nasz, wbrew wyraźnej woli króla j. m. szwedzkiego, które-

go listy zapewniają nam spokój i bezpieczeństwo. Nie możemy w was uznać wodza szwedzkiego, gdy idziecie przeciwko rozkazom wyższym; a tem mniej traktować z wami nie możemy, zastanawiając się...

Jeszcze tych słów nie dokończył ksiądz Tomicki, gdy Miller, jak piorunem rażony, z siedzenia się pochwycił.

— Co to jest? — krzyknął — słyszysz, hrabio (na Wejharda spadło wszystko, on stał jak osłupiały). Wy śmiecie mi to powiedzeć, że nie chcecie traktować ze mną! że mnie nie uznajecie wodzem! Wiecie, że władza moja jest nieograniczona niczem, że z buntownikami mogę się wszędzie rozprawiać i karcić ich, jak mi się podoba, i że gdybym was obu na suchej wierzbie powiesić kazał, włosby mi za to nie spadł z głowy.

— Panie generale, — rzekł Tomicki — nie buntujemy się wcale, nie przez zuchwalstwo to mówimy, jątrzyć was zapewne anibyśmy chcieli, ani pora; ale rzecz jest wielkiej wagi, potrzebuje namysłu, wymaga ostrożności. Mamy listy bezpieczeństwa, które składamy, mamy wyraźną wolę monarchy...

— A jaż to jego woli nie jestem dla was wiarogodnym tłumaczem? — zawołał Miller w gniewie.

Zakonnicy zmilkli, generał odwrócił się ze złością od nich i rzekł:

— Idźcie sobie! idźcie, ale zapowiadam wam, że tu kamień na kamieniu nie zostanie, ani się wasze bałwochwalskie świętości obronią moim działom. Precz!

Tak odprawiwszy mnichów, wpadł na Wejharda.

— Słyszałeś, hrabio, — zakrzyczał z gniewnym śmiechem — słyszałeś to zuchwalstwo wygolonych pałek, ja się mam przed nimi tłumaczyć! ja usprawiedliwiać z tego, co czynię! To nie są mnisi, to nie bojaźliwi starce, jakimiście mi ich wyobrażali, nie zdziecinniali ludzie, ale przebiegli i chytrzy zwodziciele i oszusty...

Ogień tymczasem w ciągu tych parlamentacyj z obu stron nie ustawał, ale dziwnym skutkiem położenia wojsk i klasztoru, śpiesznego urządzenia się Szwedów kule ich dnia tego rzadko dosięgały twierdzy jasnogórskiej, żadnej w niej nie czyniąc szkody, a oblężeni puszkarzami swymi, jakkolwiek mniej doskonałymi, spaliwszy w nocy folwark, z rana ostatki Częstochówki, kładli trupa co chwila. Nie można tego jednak było wcale przypicywać Wachlerowi, który niechętnie koło dział chodził, mruczał, poglądając na

potęgę szwedzką, źle wróżąc klasztorowi, z musu tylko spełniając rozkazy.

Już się zbliżał wieczór, gdy generał, wydyszawszy się, wyłajawszy wkoło, kto mu się na oczy nawinął, kazał szukać w skrzyni papierów ordynansu królewskiego, polecającego mu zająć Częstochowę, Bolesławice, Wieluń i Krzepice razem. List to był dawnej daty, bo Szwedzi nie od dziś w Krzepicach i Wieluniu siedzieli, a zatem poprzedzał później wydany dla paulinów w Kazimierzu; ale nie został odwołany. Zawsze do posyłek używając Polaków, Miller i tym razem niejakiego Kuklinowskiego z regimentu konnego pchnął z nim do klasztoru, choć się ten nieco od honoru poselstwa wymawiał i składał różnemi racjami, byle nie iść do Częstochowy — kazano jednak, musiał.

XV.

Była już noc prawie, gdy list ten doszedł do rąk Kordeckiego; znajdował się on w swej celi z kilku zakonnikami, miecznikiem, panem Czarnieckim i Michałowskim. Działa z obu stron o zmierzchu ustawać poczęły, a rozkaz przeora, aby poprzestać ognia, jak skoro Szwedzi niepokoić twierdzę ustaną, ściśle i ochotnie spełniony został.

Profes Rudnicki przyniósł pismo i wprowadził Kuklinowskiego, którego nie odprawiono, zsyłając się spóźnioną porą i odkładając na jutro.

— Ho! zobaczymy też, co nam generał pisze! — rzekł, rozpieczętowując, Kordecki.

— Ciekawym, — dodał pan Zamojski — ale *timeo Danaos et dona ferentes*, choćby się lizał, niebardzo mu wierzyć. — Cóż to ja widzę! — zawołał, rzuciwszy okiem na papier, — wszak ci to wyraźny rozkaz króla jmości zajęcia Częstochowy. A co, księże przeorze, nie mówiłem, żeście się źle wzięli i że z tej beczki nie należało poczynać, otóż zbili nas z tropu! Skonwinkowali, patrzcie! *stat* czarno na białem, zająć Częstochowę! a co teraz poczniemy?

Wszyscy zdawali się mocno zafrasowani, tylko przeor się uśmiechnął.

— Bynajmniej to nie konwinkuje — rzekł spokojnie.

— Wy się śmiejecie, ojcze, a to *calamitas*, bo nie zaprzeczycie, że nas spędził ze stanowiska.

— Nie, kochany miecznikuku.

— Jakto? Mówicie, niema rozkazu królewskiego, a on wam okazuje rozkaz jego, a w dodatku przysłał go *in originali*, chyba zażądacie, żeby był w aktach grodzkich poświadczony!

— Juściż to prawda! — dorzucił pan Piotr — cale to nie moja rzecz; bić się to ale, a w te korowody z nimi wchodzić, nicpotem. Każcie na każdy list ognia dać: posłańców nie puszczać, bo to wszystko szpiegi; traktacje wszelkie suspendować i siec... taka moja rada.

— Dlaczegóż, panie Pietrze, nie mamy używać wszelkiej broni godziwej, jaka się trafia? — zapytał Kordecki — i owszem słowami z nimi walczyć, mniej się może krwi przeleje.

— Ba! ale nas temi chytrościami pokonają,... pismo to niebezpieczna rzecz...

— Nie! panie mieczniku, nie, panie Pietrze, przy pomocy Bożej i tego się nie ulękniemy.

— Ależ naprzykład tu, argument niepokonany, jak go zgryźć?

— Bardzo łatwo.

— Przynajmniej ja w pokorze ducha niemożność uznaję — rzekł, kłaniając się, Zamojski.

— A taka rzecz prosta i jasna — mówił z uśmiechem przeor, wskazując na kartę. — Częstochowa to miasto — Częstochowa, rozumiecie mnie; klasztor, czyż nie wiecie, że się zowie zawsze i wszędzie Jasną Górą — po całym świecie słynąc nazwaniem *Clarus mons*. Niechże sobie Miller zajmuje Częstochowę, a Jasnej Góry mu nie damy...

Ze wszystkich ust razem wyrwał się okrzyk radosny.

— Doskonale i wybornie, księże przeorze dobrodzieju! ślijmyż mu zaraz zwycięską odpowiedź.

— Czekajcie, nie mamy czego śpieszyć, — odparł zakonnik — dziś już noc, dobrze nam i kilka godzin mieć w zysku, jutro, i to nierychło poślemy do niego z listem. Musimy godzinę każdą cenić, bo ta chwila życiem ludzkiem się płaci; zwlekać, marudzić, targować, na tem rzecz...

Z uszanowaniem w milczeniu znowu spojrzeli na przeora przytomni i słowem mu się nikt nie sprzeciwił, trafiał do przekonania wszystkich.

— A teraz — dodał Kordecki do szlachty — pójdźmy mury obejrzeć i żołnierza pokrzepić.

To mówiąc, narzucił swój płaszcz i, poprzedzając gości, ruszył ze swej celi ku korytarzom w podwórce, od strony

północnej zaczynając przegląd hetmański, z wodza powagą, natchnieniem, z rezygnacją kapłana, męstwem żołnierza.

Działa już wszystkie milczały; rozpalone ich paszcze dymiły tylko jeszcze wśród chłodu nocy, okrywając się parą jakby ze znużenia; przy nich leżał lud, puszkarze pod namiotami, jedni modląc się na różańcach, drudzy pożywając posiłek wieczorny, inni gwarząc o wypadkach dnia tego. Żadna śmierć nie zasmuciła początku walki w twierdzy, a choć Miller silił się wyłom zrobić w słabszych murach od północy, jeszcze i jednej nie skruszył dotąd cegiełki. W jednem miejscu weselszy śmiech i gwar ludzi zastanowił przeora; jakaś postać w ciemności, na mur się prawie wdrapawszy, rzucała coś żołnierzom. Przelękły Zamojski, widząc kogoś z zewnątrz się dobywającego, poskoczył z wołaniem:

— Kto to? co to jest?

Głowa w płachty uwinięta odpowiedziała mu z za muru:

— Sługa Matki Boskiej! nic to, mieczniku dobrodzieju! nic! to ja! stara sługa N. Panny Częstochowskiej, przyniosłam żołnierzom trochę szwedzkich gruszek, sama już nie ukąszę ich, bo zębów nie mam, oni niech się pożywią.

— Jakie to gruszki szwedzkie? — podchwycił Zamojski.

Żołnierze się śmiali i zbierali po blankowaniu rozsypane kule różnego kalibru, które stara żebraczka rzucała im, uzbierawszy ich od rana dobry zapas. Przeor nadszedł i twarz mu się rozpogodziła.

— To nasza ranna, którąśmy to widzieli pod murami, pomocnica. Widzicie, a w amunicję nas opatruje; weźcie, weźcie, od przybytku głowa nie boli, i to dar Boży; kto wie, jak długo pociągnie oblężenie, zapas nie szkodzi.

— Ale jakże się na mur wdrapała? — spytał miecznik.

— Bóg to wie, — odpowiedział Kordecki — źle tylko, że może nieprzyjacielowi wskazać drogę.

— Nie bójcie się, nie bójcie, Szwed tu nie wlezie, — rzekła Kostucha — to moja chata, a ja swojego kąta obronię... Po murze iść jak po wschodkach, a tu i bramka jeszcze i gzymsy... nic osobliwego nie dokazałam. Brat Paweł puścić nie chciał, że późno, musiałam tędy oddać, co się zebrało... Dobranoc panom, bo mnie czas odpocząć, życzę spokojnej nocy! Szwedzi śpią — sza! nie budźmy licha, kiedy śpi... luli, luli!

Głos schodził, słabnął i ustał...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LVII

J. I. KRASZEWSKI

KORDECKI

OBRONA CZĘSTOCHOWY

CZĘŚĆ II

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

ODBITO NA PAPIERZE KRAJOWYM Z FABRYKI PAPIERU I TEKTUR „PILICA"

I.

W niedzielę i święto Ofiarowania Najświętszej Panny oblężenie nie mogło przerwać nabożeństwa uroczystego, które przeor rozporządził wcześnie ze zwykłą wystawnością, bo to był dzień patronki, dzień Jej pamiątką uzacniony, który wśród niebezpieczeństwa obchodzić chciano gorliwiej jeszcze niż zwyczajnie.

Kordecki sam śpiewał mszę wielką przed ołtarzem Marji, z tem świętem przejęciem, z tym zapałem ognistym, co jak iskra rozpala, kogo dotknie; i gdy dnia tego przypadające we Mszy Świętej słowa odśpiewywał:

Concupiscit et deficit anima mea in atria Domini: cor meum et caro mea exultaverunt in Deum vivum...

„Dusza moja pożąda i omdlewa, pragnąc wnijść do domu Bożego, serce moje i ciało drżą z radości do Boga żywego."

Znać było, że wyrazy te płynęły mu z duszy, że ich zimno nie powtórzyły usta, ale się wyrwały z uczuciem, z uniesieniem, z zapałem...

I mury kościoła drżały od śpiewu, od muzyki, od dzwonów bicia, a Szwed jakby zawstydzony milczał; znać Polacy będący w obozie powiedzieli mu o święcie, które sami beze mszy nawet obchodzili może.

Ksiądz Jan Stradomski miał dnia tego rzewne kazanie, które poruszyło serca wszystkich i wlało męstwo w zlęknionych, potrzebujących nieustannej podniety, aby duch ich nie opuścił. Twarz Kordeckiego jasna, ufna, blaskiem wiary świecąca, była drugą mową całą, była najlepszym bodźcem do odwagi... Na jego ramionach leżały losy tylu ludzi, świętości tak drogich, a on stał spokojny.

Z wołaniem do Boga: Święty! znowu wyszli wszyscy obejść mury z Przenajświętszym Sakramentem; wysunęły się chorągwie, powiały z wiatrami wizerunki Świętych,

srebrny krzyż dźwignął nad strzelnice, wysypał się za niemi lud gromadnie.

Szwedzi patrzali w zdumieniu, osłupieniu, jak na coś niepojętego dla nich, na ten spokój modlitwy po wczorajszym dział grzmocie; śpiewy przejmowały ich jakimś niepojętym strachem. Gorzej było w obozie polskim: tu zgryzota sumienia, tu żal ciężki panował; wszyscy z odkrytemi głowy witali procesję daleką, czując przytomność Bożą na tych uświęconych murach. Ich dłonie, skalane podniesieniem oręża na świętości własne, ciężyły bezwładnie, nie mogąc złożyć się do modlitwy, spadały ku ziemi; czoła pokutniczo kłoniły się, przyklękały kolana, dreszcz przejmował, a ze śpiewem, co ich dochodził, zdawali się słyszeć przekleństwo, odrzucenie, wyrok skazujący ich na wyłączenie z bratniego grona, które krzyż łączył...

Milczenie głuche, przeciągłe, grobowe, westchnieniami tylko przerywane, panowało nad tą częścią obozu; szwedzkie bluźnierstwa, śmiechy bezbożnych, co urągali uroczystości, nie mogąc jej dzielić, wobec tej arki, którą niesiono na postrach Filistynów, miotane obelgi i przekleństwa protestantów, najboleśniej Polakom czuć się dawały; — widzieli dziś, komu rękę podali, kogo posiłkowali i przeciw komu: poznawali, że samobójcy targnęli się na siebie samych, na to, co mieli najdroższego w świecie — wiarę!

Ktoby naówczas spojrzał na Polaków w obozie szwedzkim stojących, na pobladłe ich twarze, na zmartwiałe usta, chmurne czoła, nie wróżyłby Gustawowi długiego związku z nimi. Wobec religijnego obrządku odskoczyły od siebie te dwie związane, ale niezrosłe części nieforemnej całości i groźno patrzały jak wrogi; Wejhard nawet, nie Polak, katolik tylko, udając wesele, czuł się niespokojnym; dźwięk dzwonów i śpiew zdawały mu się czynić wyrzuty.

Miller także patrzał, niecierpliwił się trochę, ale mu to było obojętne; żartowaćby był chciał, a żart mu nie szedł, bo za czary jakieś uważał ten obchód, a czarów się obawiał. Odwracał głowę, krył oczy, rzucał się niespokojny, rad, żeby to rychlej ustało.

— No! długoż ci mnisi pod pozorem nabożeństwa zwodzić i nudzić mnie będą? — zawołał w ostatku zniecierpliwiony, — każę dać ognia do ich chorągwi i bałwochwalczych obrazów. Czemu mi nie przysyłają odpowiedzi. A! tyś katolik, — odwrócił się do Wejharda z przekąsem — powiedzże, długo to jeszcze potrwa?

— Skończy się około południa — odpowiedział hrabia poważnie.

Ale i południe nadeszło, a z klasztoru śpiewy, dzwonów dźwięki dochodziły, procesja krążyła jeszcze, powiewały chorągwie.

Gdy tak pobożnie za świętem Ciałem umęczonego Boga idą wszyscy dokoła murów, ledwie chorzy i niedołęgi pozostali po izbach, stary Lassota wywlókł się także z wnuczką swoją, a Krzysztoporski w tłumie szlachty siwą, olysiałą głową, ponurą i groźną twarzą górował. Wzrok jego zasępiony brwią nawisłą, a zimny i chmurny, ciężko obracał się dokoła; szedł, ale się nie modlił, jakby mu kamień usta nacisnął. Postać to była poważna, lecz straszna; starzec z wyrazem siły i niepokonanej woli na czole, ustami dumnemi, silnemi barki i ruchami gwałtownemi jak dusza. Znać było w rysach, znać w marszczkach głębokich, że silne namiętności życie jego przepaliły, że cierpiał, używał i bolał, a walczył, nie poddając się do końca. Ciężka szablica wlokła się za nim, brząkając po bruku, jakby się na niego skarżyła; jedną ręką trzymał się w bok, drugą niósł pogniecioną czapkę z pióropuszem.

Oblicze to, podniesione nad tłum wzrostem Krzysztoporskiego, przerażało zamarłym na niem wyrazem uporu i samowoli. Znać myślą był gdzie indziej, bo wzrok błądził nieuważny, szklany, to tu, to owdzie zwracając się, z jedną ciągle dziką obojętnością, z duszy nawierzch wypędzoną.

Opodal nieco szedł Lassota, złamany wiekiem, sparty na wnuczce, takim jakeśmy go widzieli w jego ubogiej chatce, tylko na twarz dziwny występował rumieniec, bo czuł, choć nie widział jeszcze, nieprzyjaciela swojego w tłumie. I chciał się modlić, a zrywała mu się w ustach poczęta modlitwa, drgnął, ile razy go kto dotknął, na każdy szelest głowę odwracał, słowa marły na wargach, oko z księgi zbiegało na lud, z ludu na księgę. Hanna podtrzymywała go i śpiewała pieśń szybko, żywo, jakby nią chciała myśl jakąś w sobie przygłuszyć, czegoś zapomnieć, do czegoś się ośmielić.

Podniesiona głowa Krzysztoporskiego, wciąż z obojętnem wejrzeniem, stała nad tłumem i długo, długo wzrok jego szklany nie objawiał nic, krom jednostajnego cierpienia; nagle oczy jego zaiskrzyły się, zabłysły jak ogniem piorunowym, głowa rzuciła się na ramiona, wargi zatrzęsły konwulsyjnie, i włos pozostały na czaszce zdawał najeżać; ręka ścisnęła szablę, posunął się żywo — i stanął. Ale lud

popychał go z sobą i unosił dalej. Szedł, ale już inaczej, krokiem urywanym, namiętnym, jakby go co pędziło i wstrzymywało. Oczy utkwione w jedno miejsce znijść z niego nie mogły — zobaczył Lassotę, a przy nim dziecię, pociechę, nadzieję! On nie miał nikogo, on był sam jeden; jego życie płynęło jak rdzą zakrwawiony strumień, wśród błot zapadłych. Tamtemu Bóg promieniem jasnym ustroił czoło zmarszczone; jemu wszystko odebrał i zostawił go samym, znękanym, zbolałym. Chęć zemsty przeleciała po głowie, złość i gniew obudziły się w sercu, ale oko padło mimowolnie na Ciało Chrystusa... na świętość.

I czy raz pierwszy w duszy jego obudziło się coś niepojętego, ręka opuściła szablę, wzrok upadł na ziemię, piersi ulżyło westchnienie. Zastanowił się i tłum go popychał, a wzrok jego znowu padł na żywego Boga; Krzysztoporski uczuł się świętokradcą, idąc z uczuciem zemsty za tym, który wszystko zabójcom swoim przebaczył. Ale to była chwila tylko, chwila, jak promyk słońca w zimie, przelotna i krótka, i Krzysztoporski znowu zapłonął gniewem, znów chwycił oręż, znów oko krwawe, posępne, straszne żądzą zemsty, zwrócił na starca, jakby go niem chciał pożreć.

I rzekłbyś, że tę potęgę wzroku uczuł schorzały starzec, zadrżał także, zaniepokoił się, zatrzymał, siły go opuszczały; odwrócił oczy i wrogie wejrzenia spotkały się z sobą. Zwarli się jak mieczami, jakby barki z barkami się ścięły. Nic odmalować nie potrafi tej chwili krótkiej, w której ich oczy same stoczyły z sobą walkę śmiertelną; wlepili je w siebie, jakby się wyzywali, a żaden ustąpić nie chciał, i stali oba i patrzali, a jedli się wzajemnie. Całe życie, cała siła ich zbiegła do zakrwawionych oczów; uczuli jakby życie przez nie uciekało, i po walce złamani zostali i bezsilni. Krzysztoporski stał wryty, wnuczka ciągnęła starca; on pierwszy wrócił do modlitwy ustami, choć jej jeszcze zakrwawione serce nie rozumiało długo, pierwszy on przebaczył w imię Boże.

Nikt nie spostrzegł tego dramatu jednej chwili, nikt, a raczej jedne tylko obce oczy. Stara żebraczka, którą wpuszczono do twierdzy na nabożeństwo z resztą kul, co ich wczoraj przez mur przerzucić nie mogła, — szła także za procesją, ale ze zmienioną twarzą. Wzrok jej osmutniały i niespokojny wyszukał w tłumie tych dwóch ludzi i wracał ku nim nieustannie. Śmiech, co jej usta wyginał zwykle, zbiegł z warg zmarszczonych, które posępny wyraz przy-

brały. Szła i patrzała, a oczy jej radeby się rozedrzeć na dwoje; to padały na starca, to na Krzysztoporskiego, z litością i strachem naprzemian; to na Hannę, na którą z niewysłowionym miłości poglądała wyrazem. Długo tak szła aż pod drzwi kościelne, i gdy się dwaj nieprzyjaciele zwarli oczyma, zadrżała, odwróciła się, poznała, co w ich duszy się działo, stanęła, jak przykuta, w miejscu i już nie powróciła do kaplicy. Sparła się o mur i pozostała przy nim, coś szepcząc, czegoś się miotając dziwnie; lecz, że ją zdawna miano za szaloną, nikt na to nie zważał.

Wszyscy wyszli z kościoła, i dopiero wówczas w puste jego mury, kadzidłem i modlitwą świeżą przesiąkłe, wstąpiła powoli żebraczka, wprost idąc przed obraz Bogarodzicy Tu padła krzyżem na posadzkę i tak została, dopóki jej zakrystjan wyjść nie rozkazał, zamykając kaplicę.

Tymczasem Miller czekał i złościł się bezsilnie, aż wreszcie nierychło przyniesiono mu list przeora. Wiemy już jego odpowiedź. Wejhard, który na widok posłańca nadbiegł, spodziewając się triumfu, punktów ugody lub czegoś podobnego, czytał list generałowi. Szwed poskoczył z miejsca, usłyszawszy odpowiedź przeora, choć była pokorna i uszanowania pełna; ale ten spokój mnichów, to ich zaufanie wobec ogromnych sił szwedzkich, ta śmiałość wśród otaczającego niebezpieczeństwa, którego nie zdawali się widzieć i uznawać, w głowie mu się nie mieściła.

— To szaleńcy! — zawołał.

— To tylko mnichy, — rzekł Wejhard — gdyby tam był choć jeden żołnierz, nauczyłby ich, co im grozi.

List Kordeckiego czytano. Przeor przybrał w nim nową dla siebie postać dyplomaty-kapłana; wywijał się, jak mógł, z millerowskich zagadnień: „Naszem powołaniem — pisał,— jest nie wybierać królów, ale naznaczonym od Boga dotrwać w raz poświęconej wierze.

— O! to już co innego! — rzekł Szwed — nie uznają znowu króla szwedzkiego, buntownicy!

„Wybranym — czytał Wejhard, zakąsając wargi — dochowujemy niezłomnie posłuszeństwa i wierności wszyscy, z tem miejscem świętem (które dotychczas zawsze, jako w protekcji, tak w weneracji wielkiej królów zostawało), nie ręką orężną (gdyż to nie nasza jest potencji królów przeciwić się), ale naszą zakonnością napomnieni do tego. Widzieliśmy orydnans króla j. m. szwedzkiego, ale ponieważ

prezydjum dostateczne mamy, którym wszelkie najazdy swawolnych..."

— *Incursio insolentium!* — zakrzyknął Miller zajadle, biorąc to do siebie i czytającemu każąc powtarzać Wejhardowi — ha! mnie to tak częstują i waści, panie hrabio, czytajmy dalej!...

Gdy Wejhard doszedł do miejsca, w którem przeor różnicę Częstochowy od Jasnej Góry położył, Miller począł się znowu srożyć, rzucać i łajać i nie dał już kończyć czytania listu.

— Słyszysz, — rzekł do posłańca — chytrym mnichom za całą odpowiedź ponieś słowa moje, zniszczenie ich czeka! w gruz i popioły ich ten kurnik obrócę.

To mówiąc, odegnał go i natychmiast siadł na koń, gotując się całą siłę wywrzeć na klasztor.

II.

Dzień to był straszny dla oblężonych, ale Kordecki zaraz po nabożeństwie sam stanął na murach i w natchnieniu, rozpłomieniony wiarą, kierował obroną, którą potrafił uczynić dalszym ciągiem modlitwy. Zamojski — co się spodziewał dowodzić i był pewien, że jego znajomość sztuki rycerskiej wielką tu będzie pomocą, Czarniecki i inni szlachta uznali hetmana w przeorze. Nikt ust nie śmiał otworzyć. Inny to był już człowiek, i potęga jego słowa, jego skinienia tak była wielka, że jej nikt, nawet miłość własna wojaków starych sprzeciwić się nie mogła. Pogodna była twarz jego, wzrost zdawał olbrzymieć, głos dwoić, myśl obejmowała wszystko i przewidywała, jak widzeniem przyszłości, to, co się stać miało.

Jeszcze się Szwedzi nie byli zgarnęli do usypanych naprędce pięciu swoich bateryj, z których żywy ogień postanowił Miller zwrócić na klasztor, w nadziei, że go zapali, a już po dachach wszystkich, po drewnianych budowach ludzie, woda, haki, mokre opony i stróżowie byli gotowi. Kordecki sam to wszystko przysposobił zawczasu. Miecznik, spoglądając z podziwieniem i czcią, milczący, stanął pod rozkazy przeora.

Jemu dostało się strzec baszty i części kortyny północnej. Czarnieckiemu dowództwo nad ludźmi, ustawionymi na północo-wschodzie. Moszyński wziął wydział od wschodu,

Skórzewski i Krzysztoporski od południa i południo-wschodu. Lud czerniał na murach dokoła; do dział gotowych niewiasty, dzieci, księża sami nosili kule, zataczali kamienie i drzewo. W dziedzińcach szybko wdziewano zbroje, opatrywano rusznice i szczęk oręża zewsząd słyszeć się dawał.

Tymczasem z rozkazu przeora, dla dodania serca żołnierzom i jakby na urągowisko Szwedowi, na górnej wieżycy zabrzmiała muzyka klasztorna starą pieśnią wojenną: Boga Rodzica Dziewica.

Kto żyw, z przejęciem wtórował, aż po okolicy rozległ się ten hymn i uderzył znowu uszy i serca Polaków u Szweda będących, którzy mu wtórować nie mogli. Oni niewarci już byli śpiewać Bogarodzicy.

— Wszystko wpogotowiu! — wołał Kordecki — ale nie nasza rzecz poczynać, czekajmy, niech Szwedzi pierwsi się odezwą; pomnijmy, że się im tylko bronimy.

I pieśń wśród ciszy rozlewała się daleko, wspaniale, jak rzeka srebrzysta; każdy stał w miejscu, spoglądał i czekał. W obozie Szweda widać było ruch wielki, trąby i kotły zwoływały lud pod chorągwie, starszyzna przelatywała na koniach, hufce ściśnięte przechodziły na stanowiska, w baterjach świeżo posypanych cclowano działa; Miller, otoczony pułkownikami z księciem heskim, Sadowskim i Wejhardem stał na wzgórku i patrzał.

Pięć bateryj, w ciągu nocy przygotowanych, zagrażało Jasnej Górze: pierwsza naprzeciw samego klasztoru, na dachy jego zdawała się wymierzoną, druga, czterodziałowa, nieco dalej ku Częstochowie posuniona była; trzecia, największa zboku od dwóch pierwszych z północy wymierzona, bardzo mocno z koszów plecionych zbita, którą Szwedzi przez te dni przygotowali, wodą polewana i obmarzła, najstraszniejszy miała pozór; w niej dział osiem stały obwarowane szańcem twardym i podniosłym; dwie ostatnie ustawiono od kościoła Św. Barbary i od zachodu.

Chwila oczekiwania przerażająca była dla żołnierza w Częstochowie, szczęściem, niedługo potrwała: Szwed szybko się gotował. Kordecki chodził, zachęcał, rozgrzewał i ukląkł wreszcie na stopniach bastjonu, wołając:

— Módlmy się, Zdrowaś Marja!

Cicha modlitwa, która kończyła głośną Bogarodzicę, poprzedziła wystrzał szwedzki; ale razem z nią odezwała się znowu muzyka starą pieśnią kościelną, która serca podniosła.

Zadymiły baterje, huk rozległ się straszliwy i bomby, kule, granaty, karkasy, z ogniem, ze śmiercią wzleciały nad mury klasztorne.

— Teraz w Imię Boże, ognia! — zawołał przeor, wznosząc do góry krzyżem Pańskim uzbrojoną rękę — ognia!

Odpowiedziały razem działa jasnogórskie, a na mury posunęli się zewsząd żołnierze, bo i piechota szwedzka, minąwszy strzał działowy, biegła do szturmu. Na dachach gorzały bomby rzucone, ale ogień gasili stróżowie, w podwórcach kule padały gradem, mijając żołnierza; jedne, źle skierowane, przenosiły klasztor i kościół, drugie ich nie dosięgały. Śpiew na chwałę Marji brzmiał ciągle i głuszył chwilami rozlegające się po górach strzałów grzmoty. Przeor z krzyżem szedł i śpiewał, zastanawiając się przy zlęknionych, błogosławiąc mężnych. Gdy po pierwszej chwili przestrachu, po kilku wystrzałach szwedzkich nieszkodliwych, nikt nie padł, a wszyscy, jakby cudem, ujrzeli się cali, z nowym zapałem każdy się rzucił do walki. Działa, na baterjach ustawione, z fortecy dość szczęśliwie napastowano kulami, a z ręcznej strzelby rażono bliżej się podkradającą piechotę.

Wśród tego zgiełku wojennego nieustraszona żebraczka, która przed chwilą wyszła z posłańcem za mury, przechadzała się spokojnie, jakgdyby wśród lasu zbierała jagody lub grzyby, kule szwedzkie do fartucha gromadząc. Strzelano do niej napróżno, nic jej ulęknąć nie mogło, powolnym krokiem szła dalej, zastanawiała się, wracała, wcale nie zważając na świszczące nad nią kule.

Zajadłość Szwedów, którzy wysilali się na pokonanie tej garści, a dopiąć nawet nie mogli, by ją nabawili strachem, dochodziła do najwyższego stopnia; w przestankach odzywająca się jeszcze muzyka dokuczała im jak naigrawanie i szyderstwo. Miller rozsyłał rozkazy, gniewny, rozgorączkowany i dziwiąc się, że karkasy nie zapalały dachów, mieniał puszkarzy, bezcześcił swoich ludzi, łajał Wejharda. Wszystko napróżno; w kilku miejscach błysnął pożądany płomyk, ale, zaledwie się ukazawszy, gasnął, i dym tylko działowy otaczał twierdzę. Szwedzi padali od kul Jasnej Góry z dział i śmigownic miotanych, a tak celnie mierzonych losem, choć niemi niewprawne kierowały ręce, że ilekroć pokusili się Szwedzi ku górze, odparci zostali ze znaczną szkodą. Słabe mury północne wytrzymywały nadspodziewanie.

Tak przeszły szybko godziny do wieczora, wśród huku

dział, wśród muzyki na wieży, wśród krzątania w obozie i klasztorze; Miller wysiał się na gęste strzały, Kordecki mu odpowiadał powolniej ale ciągle i bronił od rzuconego ognia. Większa część ludu jasnogórskiego ze śpiewem ochoczym spełniała poruczone sobie prace; wszyscy prawie mieli u pasa lub na szyi różańce, na piersi blaszane obrazki N. Panny, a w ustach chwałę patronki.

Szlachta stała na wyznaczonych miejscach, kierując obroną i ludem z gorliwością niezwalczoną; bojaźliwsi tylko, słabi starce, niewiasty i dzieci w głębi zabudowań klęczeli na modlitwie. Mnisi, którzy nie mieli wyznaczonych stanowisk i dozoru, szli tymczasem, jak innych dni, na nabożeństwo o zwykłej godzinie, dzwon ich zwoływał w chwilach regułą zakonną opisanych; a chór napełniały razem głosy modlitwy i wrzawa niedalekiego boju, od którego trzęsły się okna i chwiać zdawały mury. Niekiedy padająca kula, która za sobą odłam ściany niosła, trzask łamiącej się krokwi na dachu, wołanie stróżów, chlust wody przerywały silniej jednostajną psalmodję mnichów.

Kordecki był razem wszędzie: i na modlitwie z braćmi, i na murach z żołnierzem; rzekłbyś, że się podwajał. Głos jego brzmiał donośnie na wszystkie strony, a pogodne oblicze ukazywało niespodzianie, przewodnicząc do śpiewu i do boju. Chwilami tylko wpadał w głębokie zamyślenie, prorocze, posępne, jakgdyby postrzegał przed sobą wszystkie przyszłości klęski i ofiary, jakby go duch przenosił w cięższe jeszcze czasy, którym i wodzów, i proroków zabraknąć miało; niekiedy łza zabłysła mu na oku; ale prędko spaliła ją na licu odwaga, i mnich-wódz, z przytomnością żołnierza, co wzrósł w bojach, znowu wydawał rozkazy, znów zachęcał i kierował.

Noc nadchodząca uśmierzyła napaść i dozwoliła zwolnić obronę. Szwedzi, ufni w siły swoje i przewagę, chcieli swobodnie odpocząć, a zakonnicy radzi byli, że się opamiętają po całodniowym gwarze. Obóz jeszcze szumiał, jak oddalająca się chmura. Między wodzami, których zwołano na radę, znać było waśń jakąś i rozsianie niechęci. Miller w duchu obwiniał o wszystko Wejharda, który go namówił rzucić się na ten, jak go nazywał, kurnik; widział już, że z mnichami tak łatwo, jak sądził, mu nie pójdzie, wstydził się odstąpić z niczem. Myślał, że, przyszedłszy, zagarnie, zbogaci się i wróci, a tu zabierało się na formalne i długie oblężenie, w którem bez dział szturmowych obejść się było trudno.

Dzień ubiegły dowiódł mu silniej jeszcze, że małe jego polowe działa nie podołają tym murom i odwadze, że zakonników huk i stukot, groźby i łajania nie zastraszą. Wejhard, prześladowany wymówkami, widocznie unikał Millera, który nań kwaśno spoglądał. Sadowski, milcząc, spełniał, co mu było polecone, bez zbytku gorliwości, ale ściśle. Kaliński zajmował się ciągle to przypochlebianiem Wejhardowi, to na wszelki wypadek usiłując sobie pozyskać względy Millera, przed którym się płaszczył, starał na każde jego zawołanie okazywać gotowość. Miller kwaśny był i zły ciągle, mieszkał w chłodnym namiocie, pił miód i niewyśmienite wino własne, nie miał co jeść, bo się był jeszcze nie usposobił w potrzebne na stół zapasy; słoty dojmowały mu, a najgorzej cierpiał na tem, że walczył z mnichami i odrazu ich nie pożył. Zaraz tegoż wieczora wysłano gońca do Krakowa po burzące działa wielkie, których konieczna okazała się potrzeba. Wejhard napróżno usiłował jeszcze dowieść, że się bez tego obejdzie.

Ponuro zszedł wieczór w obozie; choć flasze i szklanki krążyły, choć hrabia starał się rozbawić i poweselić Szweda, ten milczał zasępiony.

— Trochę cierpliwości, panie generale, — rzekł wkońcu urażony ciągłemi wymówkami — mówiłem i mówię, że to długo potrwać nie może, mnisi na kolanach łaski błagać będą; zresztą znajdziemy na nich sposoby.

— Tak! gdy wielkie działa nadejdą.

— I bez tych dział się obejdzie, — znacząco odparł Wejhard — zobaczymy.

— I bez dział? — spytał Miller — a cóż je zastąpi?

— Są różne sposoby prowadzenia wojny — tajemniczo rzekł hrabia.

— Naprzykład? — spytał Horn, gubernator krzepicki, milczący Szwed, który Wejharda nie lubił — naprzykład, hrabio? chciejże nas nauczyć.

— Nie potrzebuję ich wyliczać, — odparł Czech — wszakże wszyscy zarówno wiemy, że tylko kulami się wojuje. Więcej teraz powiedzieć nie mogę.

— Miller ręką machnął i rozśmiał się szydersko.

— Obiecujesz nam zawsze złote góry, które się kończą na śliskich i skalistych, tak i tu. Już teraz nie dam ci wiary. Częstochowa daleko mi się inaczej zbliska wydała.

Wejhard umyślnie przerwał i coś do Kalińskiego przemówił, spojrzał na zegarek znacząco, skinął na starostę

i obaj oddalili się do swoich namiotów. Tu, gdy stanęli, zbliżył się do pułkownika i spytał go pocichu:

— A co? idzie?

— Powoli, jak zwyczajnie w początku.

— Dajcież mi tego Niemca, niech się z nim rozmówię.

— Każemy go zawołać.

Klasnął w dłonie Kaliński, wszedł pacholik i wyprawiono go, coś mu szepnąwszy.

Wejhard chodził żywo po namiocie i zdawał się niecierpliwie marzyć; gdy we drzwiach płotek się podniósł i wszedł mały, niepoczesny człowiek, z oczyma pod czołem zaklęsłemi, z twarzą płaską a szeroką, jak u Tatara, szeroki w plecach, silny, a w rysach mający coś odraźliwego i przykrego.

Wejhard obejrzał go wprzód bacznie i odezwał się do niego po niemiecku:

— Kto ty jesteś?

— Do usług waszych, panie pułkowniku, Niemiec, rodem z Prus Książęcych, w służbie króla j. m. szwedzkiego, oddziału ks. heskiego.

— Jak ci imię?

— Nathan Purbach.

— W jakiej służysz broni?

— W piechocie.

— To ty się podejmujesz zawiązać w klasztorze stosunki i przeciągnąć Niemca puszkarza na naszą stronę?

— Ja to tak mówiłem pułkownikowi, — wskazał na Kalińskiego — że mógłbym spróbować. W twierdzy jest mój krewniak, Wachler, przy działach, wiem, że jemu tam między Polakami nie musi smakować, możnaby pogadać.

— Jakże się możesz do niego przybliżyć?

— Jak? — rzekł, uśmiechając się, Purbach — ja tego jeszcze sam nie wiem, trzeba nocą podkraść się pod mury na rozmowę. Wachler w namiotku koło dział, noce ciemne; wiem trochę, z której strony go szukać.

— Potrzebujesz pieniędzy? — spytał, kusząc, Wejhard.

— A cóż bez nich zrobić? — odparł, ruszając ramionami, Niemiec.

— Noc ciemna, próbuj, — rzekł, zbliżając się, Wejhard i dając mu kilka talarów — daj mi zaraz znać, co uczynisz, o tem zaś nikomu, ani ks. heskiemu, ani starszyźnie twojej ani słowa. Nagrodę sowitą będziesz miał ode mnie. Wachler niech tak działami kieruje, żeby nam nie szkodziły, niech powie, gdzie mury są najsłabsze, z której strony przez furt-

kę wpuścić nas może do twierdzy. Jeśliby załogi nie namówił do poddania, może działa pozagwożdżać i do nas uciekać. Zresztą wiadomo, o co chodzi. Idź i powracaj rychło.

Niemiec powoli przeliczył pieniądze łakomem okiem, pokiwał głową i znikł w ciemności, podniósłszy zasłonę namiotu.

Noc była jesienna, choć oczy wykol, chmurna i wietrzna, tylko w obozie Szwedów paliły się ognie rozpierzchłe, i mury Jasnej Góry, z polecenia przeora, aby się pod nie nie skradali nocą nieprzyjaciele, gdzie niegdzie oświecone zostały; na wieży także wywieszony był wielki kaganiec, który zdala bardzo mógł być widziany, acz słabe światełko rzucał, miotał nim wicher i kiedy niekiedy jak blada tylko ukazywał się gwiazdeczka.

Nathan, wyszedłszy z namiotu, schował grosz do skórzanego mieszka, podumał, obejrzał się i od Św. Jakóba począł powoli podkradać ku górze. Kilka razy własne go straże wstrzymały, ale, poznawszy, puszczono dalej. Rzucił okiem na mury i widząc je oświecone, a ludzi nigdzie widocznych, wstrzymał się, rozmyślając, jak sobie począć. Po chwili, gdy nic nie gasło, a czas upływał, począł nie wprost już pod mury się zbliżać, ale powolnie kryć się za pagórki, za kłody drzewa popalonego, za cegłę, kupami gruzów leżącą, pełznąc cicho a ostrożnie. Lecz, gdy się już pod fosę i mury przywlókł, niepodobieństwo było ruszać dalej i cokolwiek bądź poczynać, bo na nich stali wszędzie ludzie przeciw strzelnic, paliły się ognie i, postrzeżony, byłby życiem przypłacił. Wiedząc już stanowisko Wachlera, pełznął dalej pod bastjon północno-wschodni, przy którym była i furtka potajemna, w fosę wychodząca, i schronienie starej żebraczki. Tu światło jakoś było przygasło na murach i cicho dokoła. Przytuliwszy się do ziemi, lazł dalej posel, potrafił spuścić się w fosę, a nic nad sobą nie słysząc i nie widząc nikogo na murze, pół głosem począł wołać:

— Wachler? Wachler?

Tuż przy nim coś się zaruszało, ale głos mu żaden nie odpowiedział; powtórzył pytanie i po długim przestanku znajomą mową odpowiedziano pocichu:

— Wer da? kto tam?

— Wachler? — powtórzył dla upewnienia się Nathan.

— Ja! ja! ale któż tam u licha woła? i skąd?

— Tst! Nathan Purbach!

— Co ty tu u licha robisz?

— Możnaż mówić?
— Mów, tylko niegłośno, co cię tu przyniosło?
— Służę, służę w regimencie ks. heskiego.
— Jakżeś ty tu przyszedł?
— Na brzuchu! wczoraj mi jeszcze o tobie powiedzieli... A co? jak tam u was?
— Bieda i głupstwo! — rzekł z murów puszkarz. — Was tam tysiące, nas tu garstka, a bronić się każą!
— Można mówić? — spytał trwożliwie Purbach.
— Mówcie śmiało.
— Poco wy Polakom pomagacie? — ostrożnie i z wahaniem rzekł Niemiec. — Porozumiejcie się no z nami, będziecie mieli za co ręce zaczepić!
Wachler milczał.
— A! ba! — rzekł po chwili — tu u nas dziwy, jutroby ksiądz generał wiedział o wszystkiem.
— Śmiej się z tego! jakże to być może?
— Nie wiesz nic! to czarownik jakiś!
A po namyśle dodał:
— No! a jakby tak, to wieleż zapłacą?
— Gadaj, co chcesz?
Wtem od dołu z fosy dał się słyszeć śmiech, który z pod nóg Nathana, z ziemi się zdawał dobywać; a w górze zagrzmiało pytanie:
— Wachler? gdzie jest Wachler?
Rozmowa została przerwana i cisza głęboka znowu. Ksiądz Kordecki z Czarnieckim, poprzedzani pochodnią, niesioną przez braciszka Pawła, przeszli powolnie obok zmieszanego puszkarza. Ten tak miał wywróconą twarz, zmienione rysy i drżący był cały, że aż przeor się zastanowił.
— Co to ci? — spytał.
— Nic, — odparł, bełkocząc, Niemiec — trochęm niezdrów.
— Idźże do brata aptekarza, on ci zaraz poradzi, na twojem miejscu postawim tymczasem innego.
Ale Wachler w śmiertelnym strachu, by tym sposobem zdrady nie odkryto, począł się wymawiać i, udając gorliwość wielką, nie chciał opuścić stanowiska.
— Zdaje mi się, — rzekł pośpiesznie — zdaje mi się, że słyszałem jakiś szmer koło murów, nocą najwięcej pilnować się potrzeba. Odejść nie można!
Przeor bacznie popatrzał na niego i nie uszło oka jego zmieszanie Niemca, postał chwilę i rzekł:

— Słuchaj, Wachler, najlepsze podobno na wszystkie choroby lekarstwo spokojne sumienie i poczciwość. Klasztor potrafi cię wynagrodzić za twoją pracę...

To powiedziawszy i jeszcze raz wymierzywszy nań oko, którego błysku znieść nie mógł Wachler, przeor pociągnął dalej.

— Coś ja tego Niemca nie lubię — rzekł do pana Czarnieckiego pocichu.

— A któżby Niemca lubił? — odparł szlachcic, ruszając ramionami. — Przyznam się waszej przewielebności, że co do mnie, jakkolwiek kotem ze wszystkich stworzeń najwięcej się brzydzę, wolę jednak kota niż Niemca.

— Przecież to ludzie i bracia...

— Jużciż to prawda, według prawa Chrystusowego takby być powinno; ale że się nam ci braciszkowie nie udali, i to pewna.

Przybywali ku wrotom i zcicha zbliżyli się do braciszka Pawła, który, nie mając nic do czynienia, bo brama była spuszczona, zaryglowana i straż w niej, a zwód podniesiony, wyręczał koło dział uśpionego i znużonego żołnierza; z różańcem w ręku, z odkrytą głową klęcząc, modląc się i stróżując. Szelest kroków nadchodzących obudził go, odwrócił się i ujrzał Kordeckiego, podniósł szybko, szczerwieniony i zmieszany, jakby na złym schwytany uczynku.

— A co u was słychać, bracie? — spytał, uśmiechając się, przeor.

— Cóż to i wy także, bracie Pawle, żołnierujecie? — dodał Czarniecki.

— A cóż, panie, człek rad, że się na cokolwiek przydać może.

Wtem, uszedłszy po blankowaniu kroków kilkanaście, spotkali ojca Tomickiego, któremu powierzone było oświetlenie murów; on też ciągle je obchodził, pilnując, by ognie nie pogasły.

Ten minął ich, pozdrawiając po klasztornemu, a Kordecki, widząc wszędzie ruch i pilność, rozrzewniony zawołał:

— Bóg łaskaw, obronimy się! z takimi ludźmi i cudu niebo nie poskąpi!

Czarniecki milczał.

— Obronimy się czy nie, księże przeorze, — rzekł, wyczekawszy trochę — ale bronić się musimy do ostatka i będzie na co patrzeć, czego słuchać!

Wtem na zawrocie kortyny, u bastjonu, nowy ich spotkał widok: postawiony tu Janasz Węgrzyn, najemny żołdak, ale człek żołnierskiego ducha i wiary mocnej, siedział na kupie powrozów i dumał czegoś zasmucony. Przed nim lud jego spał, on sam czuwał za wszystkich... Ujrzawszy Kordeckiego, począł oczy przecierać i po tym mimowolnym ruchu domyślił się przeor, że ten wielki, barczysty olbrzym płakał.

— Co ci jest, Janasz? — spytał troskliwie ojcowskim głosem przełożony.

— Co mi jest? nic, ojcze, nic! — odrzekł żołnierz, przybierając się do śmiechu.

— Płakałeś?

— Ja? nie, nie...

— Nie kłam, moje dziecko...

— Łzy te mi wilgoć i mgła wycisnęła.

— Nie oszukasz mnie przecie, co to ci jest? może ci czego braknie?

— Nie, ojcze kochany, — powtórzył, całując rękę przeora, żołnierz — a chcecie całej prawdy, ot tak coś przyszło na myśl, i człowiek, jak kobieta, poczuł łzy, nim się ich zawstydał.

— Przecież nie wyszły ci z powiek bez przyczyny?

— Co mam przed wami taić, nie są to łzy gniewu, ani wstydu... Ot, wśród ciszy, wśród nocy, ten wiatr tęskno szumiący od gór naszych, od stepów z nad Teisy, przyniósł mi wspomnienie mojego kraju, moich braci. Człek się całe życie włóczył po świecie i nigdy poza siebie nie obejrzał, a czegoś tak się tęskno zrobiło, tak za swoimi ciężko! Nie wiedzieć co! dzieciństwo. To ta baba wszystkiemu winna!

— Jaka baba? — zapytał Czarniecki niecierpliwie.

— A! żeby ją kula nie minęła, — rzekł Janasz, odzyskując żołnierski obyczaj — jakeśmy się tu jeszcze przed pierwszem najściem przyrządzali do boju, ta żebraczka mi przepowiedziała, że zginę...

— Wstydziłbyś się wierzyć na wiatr rzuconemu słowu! — ofuknął go Kordecki.

— Juściż zapewnę, że to słowo, ale czegóż we mnie tak głęboko uwięzło, że się go pozbyć nie mogę.

— Pomódl się i odpędź te myśli.

— Modlę się codzień, modliłem i teraz; a kiedy mi Pan Bóg dał spotkać was, księże przeorze dobrodzieju, pozwólcież się o jedną łaskę prosić?

— No! cóż to znowu za łaska! chętnie.

— Jeśliby mnie zabili...

— Porzućże to...

— No, ale nic nie szkodzi to przypuścić, wszakże chodzi to po ludziach; każcie mnie, ojcze, pochować gdzie na górze wysoko, żeby choć wiatr doniósł do mnie jaki głos rodzinny... i poślijcie starej matce jaki grosz, co tam zostanie po mnie.

— Wstydź się! wstydź! a żołnierz — podchwycił Czarniecki — co to o tem myśleć, drugim jeszcze serce popsujesz...

A Kordecki dorzucił łagodniej:

— Zapewne, odegnaj te myśli, ale uchowaj Boże nieszczęścia, pewnie stanie się, jak pragniesz... nie zapomnim o tobie...

Janasz w rękę pocałował przeora i zamilkł. Poszli dalej.

Jedna część kortyny powierzona była Mikołajowi Krzysztoporskiemu i na niej znalazł go przeor z Czarnieckim, chodzącego wielkim krokiem, zadumanego, ponurego a groźnego. Kordecki w jego twarzy znalazł ślad dnia upłynionego; smutniejsza, surowsza była niż zwykle i widocznie zmieniona uczuciem.

— Wy tutaj? — zapytał go.

— Na stanowisku, — odparł szlachcic — noc nudna i długa, czekam dnia i Szweda; nie wiem, czemuby się i w nocy nie bić!

— Dość ich będziemy mieli i za dnia, nie wywołujcie.

— A wam, panie bracie, — śmiejąc się, zawołał Czarniecki — już tęskno, prochu powąchawszy.

— O! tęskno, — odpowiedział Krzysztoporski — póki człek nie kosztuje wojny, to się wzdraga, ale poczuwszy ją, radby, żeby już nie ustawała.

— Dobra krew! — szepnął sobie pan Piotr — ale do jutra niedaleko.

— Nie pójdziecie spocząć? — rzekł Kordecki — mury dobrze strzeżone.

— Nie, nie, chcę tu zostać. Spać nie mogę, od lat kilku oka prawie nie zmrużam; wolę tu być, niż w dusznej izbie. Pilność nie szkodzi, ludzie pośpią się łatwo, a Szwed jednem okiem tylko drzemie.

Obeszli, krążąc, tak dokoła fortecy i wszędzie znajdowali lud w gotowości, światła pozapalane, czujność i baczność. Kordecki, uspokojony, przeżegnawszy wszystkie cztery

strony twierdzy, zszedł z panem Czarnieckim schodkami w podwórze. I tu było życie: chodziły straże i wczorajsze okruchy murów zbierano, a gdzie się ściana osypała, gdzie szkodę zrządziły kule, już ją starano się naprawić i umocnić nadwerężone części.

— Poczciwy lud nasz, — mówił przeor, odchodząc — ale mu jednej cnoty braknie i nam też wszystkim, cośmy z łona tego ludu wyszli — wytrwania! W pierwszej chwili jak piorun gorący jesteśmy i silni, lecz stałości niema. Jutro, za dni kilka, ujrzycie tych gorliwych słabnących na duchu i opadających na siłach. Bóg dał nam serca tylko, a to głowa daje wytrwanie; uczucie nas samo popycha i póki je mamy, bohaterujemy, ale co się nie uczyni w pierwszej chwili, nie rachuj na drugą. To mnie kłopocze, jeśli się oblężenie pociągnie.

— Święte słowa, — dodał pan Piotr — ale Bóg da, że się zmieni, a może nie jest tak powszechne, jak sądzicie... Tak to mówią i na Tatarów, że ich zawsze cierpliwością pokonać można, bo nie dostoją, skoro z pierwszego razu im się nie uda; tylko Rusina nie przestoisz, już to i Karliński napisał.

— A wytrwanie to wielka cnota! — z westchnieniem rzekł Kordecki.

III.

Jak tylko rozwidniało, szwedzkie działa odezwały się znowu, zajadle gęstemi kulami rzucając na klasztor; Kordecki, który zawsze oczekiwał, by nieprzyjaciel pierwszy poczynał, odpowiedział ogniem z twierdzy na wszystkie strony wymierzonym. Ludzie po przetrwanym szczęśliwie dniu wczorajszym, który w początku taką ich nabawił bojaźnią, a skończył się bez ofiar, z zapałem tem większym brali się do obrony. Wachler tylko niedbale koło swoich dział się krzątał i licho je celował, i powoli strzelał, a mruczał ciągle. Gdy go kto dozierał, sprawiał się jeszcze jako tako, zostawiony sam sobie, zaraz ręce zakładał.

Nie uszło to oka tych, co nadzór mieli nad strzelbą, i pan Zamojski kilka razy go ofuknął, ale dojdź z Niemcem sprawy, on swoje, ten swoje; ledwie się odwrócił starszy, Wachler się znów ociągał. Niewiele też szkody kule z tej strony zrządziły nieprzyjacielowi. Z innych zato pilniej szło

i lepiej. Co chwila widać było zmieniających stanowiska Szwedów, bo im na nich dokuczano; najwięcej kręcili się około bateryj, które wzmacniali, sypali, oblewali wodą, aby ich kule łacno nie nabrały. Kierował tą robotą pułkownik de Fossis, inżynier, przyjaciel Wejharda, człowiek biegły w swej sztuce, ale jak to się trafia u tych, którym Bóg da rozum, a serca i uczucia poskąpi, człek bez wiary i bez poszanowania dla niej u drugich. Reforma już wiele naówczas podobnych wychowała ludzi; de Fossis był ciekawem swojego wieku zjawiskiem. Z równą gorliwością, jak drudzy nawracają, on wywracał wiarę w każdym, z kim go życie na chwilę bodaj zetknęło, i było to jego ciągłą pracą, usiłowaniem, rzekłbyś celem jedynym. Chwycił tylko gdzieś filozofów, a nie pojął ich dobrze; zostało mu z nich tylko przekonanie, że cała prawda jest w słowach ludzkich, a życia tyle, co tutaj. Ostrożnie swoje niedowiarstwo w świat popychał, bo wiedział, że różnowierców nowej fazy, a cóż dopiero o ateuszach mówić, sami kalwiniści i luteranie palili, wyganiali, prześladowali; mimo to jednak, zaczepiony, tak był pewien swego, iż się wstrzymać nie mógł od wydania najaw z sceptycyzmem i niewiarą. Wszystko u niego, czego palcem nie dotknął, było baśnią i przesądem, a tak daleko posuwał wątpienie, że niekiedy szału prawie dochodziło.

Można miarkować, jakim być musiał moralnie człowiek tak usposobiony umysłowie; cała nauka życia dla niego zamykała się w dwóch słowach: Rachuj i korzystaj. Na tej podstawie spoczywały jego zasady moralności. Złe i dobre, szlachetne i niepoczciwe, piękne i szkaradne nie czyniły na nim wrażenia żadnego, póki nie zmierzył go do potrzeby chwili i nie porachował, jakie skutki mieć może.

Takim był de Fossis, przyjaciel Wejharda, prawa ręka Millera, człek zresztą wyćwiczony w swojem rzemiośle, dowcipu niemałego, a w obejściu rzadkiej łatwości; i nie dziw, nie miał czegoby bronił, prócz niedowiarstwa, reszta przekonań i czynności była dlań obojętna. Za prawidło miał: nie mieszaj się w cudze sprawy, każdy sobie, każdy dla siebie. I szło mu dobrze, choć sami protestanci patrzali nań ukosem, że na wszelką wiarę był obojętny, i oburzali się, gdy raz podchmielony rzekł, kończąc rozmowę:

— Dajcie mi los u Turka, to się zbisurmanię.

Wejhard, którego płochemu umysłowi ta pozorna moc charakteru wyższością się zdawała, związał się z nim dość

ściśle. Przez niego, on sam już nie mogąc, bo był wiarę stracił, zagrzewał Millera do oblężenia i wytrwania pod Częstochową, okazując mu dostanie jej niechybnem i łatwem. De Fossis pierwszych dni zaraz obejrzał położenie góry, ustawił naprędce baterje; teraz poprawiał zakreślone szańce i radził użyć ludzi dla podsadzenia miny pod część wschodnio-północną murów, gdzie istotnie były najsłabsze. Niedostatek tylko ludzi zdatnych do tej roboty wstrzymywał Szwedów, póki się naradzili, skąd ich dostać.

W klasztorze, gradem kul osypanym, nie było wielkiej szkody, choć postrach szerzył się powoli, jak potajemnie zapuszczony ogień. Kule zwijały się cudownie, jakby ręka Bożej Matki wszelką im siłę odbierała; staczały się w podwórce, leżały po brukach, służąc później do obrony.

Na gontowych dachach, wśród suchego drzewa, ogniste pociski nie potrafiły tak pożądanego Szwedom rozniecić pożaru; napróżno się wysilali, by klasztor zapalić, i dnia tego nie udało się jeszcze. Kilka kul, przeniósłszy przez mury, padły z drugiej strony twierdzy, gdzie nikogo nie raziły, inne w samym klasztorze, ledwo zarysowały ślady przejścia po grubych jego ścianach; jedna odbita od komina, wpadłszy oknem do izby pani Jaroszewskiej, gdy matka z krzykiem na widok jej leciała ku kolebce dziecięcia, na którą groźny pocisk zdawał się mierzyć, stoczyła się powolnie i stanęła pod biegunem kołyski. Na widok tej łaski Bożej dla siebie pani Jaroszewska, pochwyciwszy dziecię, pobiegła złożyć je u ołtarza Najświętszej Panny.

Rozrzewnienie, zapał, męstwo były we wszystkich, a duch zdawał się przelewać z wodza na tych, którymi kierował.

Kordecki, oddalając się tylko na modlitwę, resztę dnia stał na murach.

Już zmierzchało, gdy u bramy brat Paweł posłyszał znajomy głos żebraczki Konstancji.

— A co ty tam powiesz? — spytał, rzucając różaniec.

— Nic, braciszku! proszę mnie tylko wpuścić do klasztoru; trochę się kul uzbierało i tęskno mi za Matką Najświętszą, żeby Jej się pokłonić. Puśćcie mnie, proszę — całą noc, cały dzień w fosie siedziałam wśród huku i łoskotu, teraz mi się chce pomodlić, a za to wam zapłacę kulami i o Szwedach coś powiem; niebawem pójdę nazad, bo mi trzeba pilnować swojej baszty, tać to i ja teraz żołnierz.

Powoli, rozpatrzywszy się, że sama jedna była, brat Pa-

wał z uśmiechem otworzył staruszce i zaraz pilno za nią zaryglował. Kostucha pokłoniła mu się i wedle zwyczaju koniec jego szkaplerza ucałowała, okręciła się szybko i żywo rzuciwszy kule pod nogi, poszła do kościoła. Wkrótce wysunęła się z niego.

Z okiem zaiskrzonem a łzawem, pod murami się ciągnąc, zdawała czegoś szukać i poglądać; wtem Krzysztoporski, który na swojej kortynie wartował, groźno ją zastanowił.

— Kto ty taka i dokąd idziesz?

Na dźwięk tego głosu, ponury i gniewny, cofnęła się stara i zadrżała.

— Czego się podkradasz i taisz? — rzekł dowódca.

— Idę pod murem, bo się opierać muszę — zasłaniając twarz, odparła starucha.

Aż ktoś z załogi poświadczył, że ją znano i Krzysztoporski odwrócił się od niej, więcej już nie wstrzymując.

Żywo szła dalej Kostucha, ale w podwórcach, choć dobrze znajoma, trafić nie mogła, gdzie chciała; podsuwała się pod okna, pod drzwi, podsłuchiwała głosów i nigdzie nie zdawała zaspokojoną. Wtem zdala ukazał się ksiądz Piotr Lassota i stara, coś podumawszy, poszła wślad za nim, w pewnej trzymając się odległości.

Ksiądz Piotr poszedł do brata, a żebraczka przytuliła się do drzwi mieszkania, przysiadła przy ścianie, przyłożyła ucho do niej, przylgnęła cała, osłaniając chustami, jakgdyby drzemała.

Wtem na próg wyszła Hanna i ta nieforemna kupa łachmanów ożywiła się na widok dziewczęcia, głowa wychudła z pod chust się wysunęła ze szczególnem zajęciem, z pragnieniem, z jakąś miłością pałającą w wejrzeniu, które zwróciła ku Hannie. Zbliżyć się do niej jednak nie śmiała, tylko drżąc, powoli posuwała się po ziemi, nie mogąc nawet ust otworzyć.

— Moja piękna panienko, — słodząc głos, jak mogła, odezwała się wreszcie — moja śliczna panienko, może wam w czem posłużyć, może wam czem pomóc?

— Dziękuję ci, staruszko, — odpowiedziała Hanna z miłym uśmiechem, wdzięcznym głosem, którego stara słuchała jakby w zachwyceniu — nic mi nie potrzeba, wyszłam tylko, bo tam mój dziad z księdzem Piotrem rozmawiają pocichu, nie chcę im przeszkadzać. A tyś, matko, tutejsza?

— Tutejsza! moje złote jabłuszko, mój kwiateczku ró-

żany, moje słoneczko jasne — biedna żebraczka i sługa Matki Boskiej.

— Więc ci może jałmużny, albo chleba?

— O! nie, nie, — odpowiedziała szybko stara i po chwili poprawiła się — tak, tak... chleba... drobny mały kawałeczek, jeśli łaska twoja, mój śliczny aniołeczku...

Hanna pobiegła szybko i wróciła z chlebem do starej, a gdy się zbliżyła do niej, drżały Konstancji ręce i chwyciła dłoń Hanny, białe jej paluszki do ust cisnąc z wdzięcznością, jakby ten chleb życie jej dawał, jakby go rok nie jadła.

Hanna aż zapłonęła wzruszona cała, sama nie wiedząc, czemu to nagłe żebraczki ku niej zbliżenie, jej łzy, jej uczucie onieśmieliły ją i zmieszały; wychwyciła rękę.

— A! biedna, toś ty była taka głodna! — zawołała.

— Głodna! o! głodna! — odpowiedziała Konstancja — ty nie wiesz, mój aniołku, coś mi dała z tym chleba kawałkiem: życie, pociechę, radość, szczęście...

— Jakto! czyż cię tu nikt nie pożałuje, nie pokarmi? — mówiła Hanna — przychodź tu codzień, moja staruszko, a ja się z tobą moim podzielę chętnie, pomodlisz się za to za duszę mojej matki, za dziada mojego zdrowie.

— Pomodlę się gorąco! pomodlę — odparła żywo Konstancja, po ziemi pełznąc ku nogom dziewczynki, z wzrokiem w nią wlepionym jak w tęczę. — Będę się modlić u Matki Boskiej ołtarza, że wam szczęście i spokój wymodlę...

— Dziad bardzo mi słaby, — mówiła dalej Hanna — na nogi zapada coraz gorzej, smutny, popłakuje często, a tu jeszcze i strach ciągły nie pomoże mu.

— Matka Boża was pocieszy.

— A! ale mnie tam wołają! — odwróciła się Hanna.

— Pozwolisz mi przyjść jutro, — zawołała żebraczka — pozwolisz, złoty aniołeczku, nie dla chleba, ale...

— Dobrze, dobrze, przyjdź jutro!

To mówiąc, znikła Hanna. Konstancja ów chleba kawałek przycisnęła do piersi, poczęła całować, zawijać go w chusty i chować naprzód do torby, potem położyła go sobie na sercu i zdjęła jeszcze, i chwyciła, jakby go kto jej wydzierał.

Potem zerwała się na nogi i żywo pobiegła do kościoła. Kościół stał ciągle otworem dzień cały i część nocy nawet; lampy płonęły na ołtarzach, dwóch zakonników odmawiali modlitwy na cześć Marji i śpiewali pieśni. Mrok już padł we wnętrza budowy milczącej, wśród której te kilka świateł

mglisto płonących, te modły cicho szemrane miały coś w sobie pogrzebowego. Żebraczka poszła do ołtarza Matki Boskiej, padła przed nim, powstała i przełamując chleb Hanny na dwoje, większą jego połowę położyła na stopniach, modląc się gorąco.

Rzekłbyś, że skarb swój największy podzieliła z Bogiem.

Jęk tylko jakiś wyrwał się z jej piersi, wybiegła, całując swoją resztkę chleba, pieszcząc się z nią i pośpieszyła do bramy. Lecąc tak żywo, uderzyła się o idącego w przeciwną stronę Janasza Węgrzyna, który ją powitał przekleństwem.

— A, babo szalona, — zawołał — to ty latasz po nocy gdyby wiedźma jaka, stójno, poczekaj, mam ci coś powiedzieć, o coś się zapytać, stój!

Dumna jak królowa, odwróciła się do niego starucha, cisnąc ciągle swój chleba kawałek do wyschłej piersi i zdawała się inną kobietą, tak ją ten skarb czynił poważną i szczęśliwą.

— Czego to chcesz? — zapytała.

— Czego! a wiesz ty, nieszczęśliwa, że od tej pory, jakeś mi powiedziała, że mnie kula nie minie, spać ani jeść nie mogę; licho ci nadało tę głupią przepowiednię; powiedz mi, wytłumacz, skąd ci to przyszło?

— Albo-żem ci to mówiła? — spytała zdziwiona.

— Jakże nie! jeszcze przeczysz?

— Nie przeczę, ale nic nie pamiętam.

— Skądże ci się to wzięło?

— Ja nie wiem.

— Więc to czcze tylko słowo?

— Czcze! a jestże czcze słowo na świecie? — spytała z uśmiechem. — Jedno mówi serce, drugie mówi głowa, inne jakiś głos wewnętrzny... a niema czczego słowa. Bóg wiele słów dyktuje, a wszystkie słyszy! Gotuj się na śmierć! gotuj się na śmierć!

Janasz aż się za głowę pochwycił.

— Więc muszę umrzeć?

— Umrzesz czy nie, a nie zaszkodzi ci o śmierci pomyśleć. Był ktoś w Częstochowie, co na ciebie płakał, a łzy idą daleko, wysoko; a jęk idzie szeroko, a Bóg wszystkiego słucha...

— Skądże ty to wszystko wiesz, babo! — mów! przeklęta! mów! — zagniewał się Janasz.

— Wiatr mi mówił, ściany szeptały, nic nie wiem, ktoś

płakał i ktoś przestał płakać, i leży tam, gdzie i ty położysz głowę, biedaku; w surowej ziemi, pod darnią zieloną. O! nie tak to źle umrzeć, jak ci się zdaje! spokojnie, cicho! i wszystko skończone, a żyć!!!

To mówiąc, jakby sobie swój chleb przypomniała, ucałowała go znowu, zaśmiała się wesoło, poskoczyła i znikła w ciemnościach.

IV.

Nazajutrz nieprzerwany ogień wszystkich bateryj i kule, na dachy klasztorne padające nieustannie, spocząć nie dały na chwilę; od rana potrzeba było zacząć ubezpieczać się od ognia i oddawać Szwedom niepokój, który tu zrządzali. Po wczesnej mszy i suplikacjach, muzyce grać rozkazawszy ciągle na wieży, dla dodania serca, Kordecki w płaszczu swym, w białej sukni, chodził, rozporządzał, zagrzewał, umacniał słowem i przykładem; szlachta dotrzymywała mu dotąd dobrze męstwem i ufnością w Bogu. Osobliwie też Zamojski, który często przemawiał do ludu i okazać swą wysoką umiejętność sztuki wojennej miał zręczność, nie ustawał w pracy. Czarniecki na powierzonej mu części murów dumał posępniejszy; w poczciwem jego sercu roiły się olbrzymie marzenia i plany; niepokój jakiś, na twarzy widoczny, oznajmiał, że dumał głęboko; trochę też i czynność gorąca pana Zamojskiego spać mu nie dawała; chciał się także odznaczyć, jeśli nie tak uczoną strategją, to mężnem sercem. Stawał, poglądał, coś ważył, coś myślał i szukać się zdawał oczyma przeora, którego w ostatku się doczekał. Aż mu rozjaśniało lice, gdy go postrzegł i, krecąc wąsa, pośpieszył ku niemu z pogodniejszą twarzą, z uśmiechem szerokim.

— Na stanowisku! księże przeorze! wodzu, na stanowisku! stajemy i witamy cię.

— Niech was Bóg błogosławi, niech wam Bóg nagradza.

— Nigdym tak waszej przewielebności nie czekał, jak dnia dzisiejszego, bo mi myśl po sercu chodzi i muszę ją wyspowiadać — jak grzech mi ciąży.

— A! cóż to znowu? kochany panie Pietrze — odezwał się z uśmiechem Kordecki.

— Odejdźmy tylko nieco na stronę, żeby nas nikt nie słyszał, a chciejcieno posłuchać mnie bacznie... Oto tak! Szwed widocznie ma nas za bajbardzo, trzeba mu to wybić z głowy, żeby nas inaczej przecie uważał, niech się lepiej

lęka! Przeszłej nocy dobrze opatrywałem ich obóz, z wieczora ze wszystkich stron wychodziłem mu się przyglądnąć; nie mają najmniejszej ostrożności i żartują z nas sobie, nie licząc nawet jasnogórzan za żołnierzy. Ich kohorty podsuwają się pod same mury, bez straży, bez podjazdów, nie dbając na nas wcale. Bóg to widocznie tak ich zaślepił, a nam trzeba przy tem upiec swoją pieczeń.

— Jakim sposobem? — spytał przeor.

— Jak? najłatwiej! Oto biorę ludzi ochoczych, wysuwam się bramką od wschodu, pocichu przechodzę czaty (jeśli są!) i ztyłu na oddział ich napadam, który w rogu od wschodopółnocy leży, ognie paląc, pijąc i hulając noc całą; nic łatwiejszego, nic pewniejszego. Nim oni za broń pochwycą, my ich pobijemy...

Kordecki się zarumienił.

— Takich mi ludzi dawaj! — zawołał, ręce podnosząc do góry — takiej wiary, takich serc, a nasz kraj nie padnie ofiarą pierwszego zdobywcy, co się o niego pokusi. Wśród zwątpienia, rozpaczy, spodlenia, jak kwiat wśród chwastów, rosną jeszcze wielkie dusze. Idźcie, idźcie w Imię Boże, panie Pietrze, ale ostrożnie, bo życie ludzkie drogie!

— A zatem mam pozwolenie zajęcia się wycieczką — podchwycił radośnie szlachcic.

— A nie poradziłby się o to pana Zamojskiego? — spytał przeor po chwili.

Czarniecki zagryzł usta, widać mu to było nie po myśli, ale żywo odparł:

— A i owszem, i owszem, chodźmy.

Podeszli kilkanaście kroków, pan miecznik coś rachował, stojąc, czy może nową mowę układał w myśli na jaki wypadek, odwrócił się, powitali.

— A! coś nowego! — spytał, poglądając po twarzach widocznie myślą rozjaśnionych.

— Nieprawdaż, — zaczął Czarniecki — że Szwedzi z nas sobie żartują, panie mieczniku, myślą nas postraszyć jak dzieci i jak z dziećmi wojować: w nocy, z wieczora, samiście to widzieć musieli, ani dbają, idą spać bez straży, lub hulaj dusza w obozie. Możnaby ich trochę nauczyć rozumu nocną wycieczką z klasztoru, noce ciemne, Szwed nieopatrzny, a nam, dzięki Bogu, serca nie brak.

Zamojski aż w ręce splasnął.

— W to mi graj, panie Pietrze, — rzekł — zeszliśmy się na myśl jedną, z tą różnicą, żem ja jeszcze strategicznie roz-

ważał i plany kreślił, gdy myśl ta już z serca waszego wybiegła żywa i calusieńka... Plan wyśmienity. No! a skądże uczynimy wycieczkę?

— Ze wschodniej strony, przez furtkę wschodnią,— rzekł Czarniecki — obejdę oddział, który leży naprzeciw Częstochówki, i tył im zajmę.

— Przewybornie! a teraz *de executione* radźmy, panie Pietrze, — przerwał Zamojski — wszak pójdziemy z ochotnikiem, któż wodzem, kto żołnierzem i wiele nas?

Wtem przeor im przerwał.

— Do takiej imprezy nie bierzcie jeno tych, co się sami nastręczą; komu Bóg natchnie iść, niech idzie, nie zapraszać nikogo, ja z murów patrzeć, żegnać i modlić się będę, a nie wstanę dopóki Bóg mi was nie powróci, mężne dzieci sławnej matki!

Natychmiast wśród łoskotu wystrzałów i muzyki brzmienia, mieszających się z sobą, poszli panowie dowódcy zbierać głosy na wycieczkę.

W początku zamiar ten kilkuset śmiałków wobec kilkutysięcznego nieprzyjacielskiego wojska zdawał się tak zuchwały, tak dziwny, tak niebezpieczny większej liczbie, że wszyscy go przyjęli niedowierzaniem; ale pan Piotr dobył z piersi głosu, co umiał przekonywać.

— Co u licha, — rzekł prosto po szlachecku a dobitnie— a toć jak orzech zgryźć rzecz łatwa! ledwiebym nie rzekł, że w niej niebezpieczeństwa niema. Wczoraj jeszcze mógł się pod mury podkraść pan Hiacynt Brzuchański i wieści nam przynieść z miasteczka, a mybyśmy nocką nie mogli ich obejść i trochę przetrzepać. Pójdziem, chluśniem i powrócim. Ot tak, a zatem komu Pan Bóg dał wolę, kto łaskaw, ze mną.

A Zamojski dodał:

— *Sed quid tentare nocebit! Tendit ad ardua virtus!* tak, panowie bracia, herkulesowemi czyny herkulesowej dobija się sławy, a kto nie uczynił nic głośnego, ten głośnym nie będzie. *Dei Matris Patrocinium* zbroi nas i osłania, *stant angeli ad dextram defensorum ejus,* i świętego domu Jej, czegóż tu się obawiać?

— Obawiać! nie, — przerwał Moszyński — ale rachować potrzeba, zginąć nic strasznego, ale sprawę zgubić można. Może ten ich bezpieczny sen jest udaniem, ich nieopatrzność — rachubą? Nuż zginą wszyscy, nie straciż na tem Częstochowa, gdy pozbawiona zostanie najwaleczniejszych

swych obrońców; nie należyż całych sił zachować na obwarowanie fortecy?

— Źle bo jegomość rachujesz! — rzekł, ujmując się za myśl swoją, Czarniecki — zuchwalstwo jest jedynym naszym orężem i ocaleniem; zuchwalstwem tylko zrobić coś możemy. Co czynimy, niepodobnem jest do wiary, więc w to bić, nie rachować na zimno, potrzeba szaleć.

Okrzyk pochwały, który się i samemu panu Moszyńskiemu wyrwał, powitał gorące przemówienie Czarnieckiego.

— A kto ze mną, w Imię Matki Bożej? — spytał dowódca.

— Ja pierwszy! — podchwycił Zamojski.

— Nie, kochany mieczniku, — wstrzymał go przeor — dwóch wodzów na los oddać nie mogę, wy musicie zostać ze mną.

— Jakto! ja miałbym zostać?

— Tak być musi! — rzekł przeor.

— Rozkaz?

— Wyraźny rozkaz.

— Ha! to go muszę słuchać z rezygnacją, — westchnął miecznik — ale powiem wam, że mi nigdy drożej posłuszeństwo nie kosztowało.

Czarnieckiemu w oczach błysło i pobiegł.

Zaledwie wezwanie jego rozeszło się po ludziach, gdy zewsząd głosy towarzyszyć mu się oświadczyły, i wkrótce liczba ich już była dostateczna; nie tyle tu bowiem liku, co doboru potrzebowano.

Nadszedł i Janasz Węgrzyn.

— A i mnie z sobą weźmiecie? — rzekł posępnie.

— Co? przecież śmierci się boisz?—zawołał ktoś zboku.

— Bać się nie boję, ale mi ten głupi strach kością w gardle siadł; mam zginąć, to co prędzej, to lepiej, więc i ja z wami.

Przeor ze łzami pobłogosławił tę kupkę, która w dziedzińcu już zebrana naradzała się, szemrała, zbroiła i umawiała, wśród padających zewsząd kul szwedzkich i łoskotu łamiących się murów. W zajęciu tą nową wycieczką, wśród przygotowań i planów dzień spłynął szybko, a przeznaczeni do niej niecierpliwili się, wyglądając ciemności.

Coraz to pan Czarniecki wychodził na mur, spojrzał na niebo, na słonko i pokiwał głową, jakby wymawiał dniowi, że na złość mu trwa tak długo. Z południa, gdy jeszcze waży, rozmyśla i już wcześnie zwycięża, nagle posłyszał, że go

ktoś zlekka trącił w ramię; odwrócił się, była to stara żebraczka. Powitała go z uśmiechem i ukłonem do ziemi.

— Czego chcesz, moja kochana? — rzekł, podkasując połę kontusza i myśląc dobywać sakiewki.

— Nie jałmużny, — odpowiedziała pocichu — nie, nie. Wszak nocą macie iść na obóz szwedzki.

— Co! już i żebracy o tem wiedzą?

Stara się zaśmiała.

— Alboż to ja nie służka Matki Boskiej, żeby ze mną robić tajemnice? Otóż posłuchajcie mnie: jak skoro do fosy zejdziecie furtą, zcicha trzy razy klaśnijcie w dłonie, ja się do was przystawię.

— A ty nam poco?

— Zobaczycie! czasem się i mały przydać może! Ja nocuję w fosie zewnątrz murów, w dzień przychodzę do miasteczka i z miasteczka, kilka razy przez obozy. Poprowadzę was tak między Św. Jakóbem a baterją, że żywa dusza nie postrzeże i wpadniecie ztyłu na plecy Szwedowi śpiącemu, że się nie opamięta, skąd nań ten piorun zleciał!

— A to śliczna wycieczka, której baba wodzem! — zaśmiał się pan Piotr.

— No! no! śmiejcie się sobie, jak chcecie, panie Czarniecki, — wesoło odpowiedziała Konstancja — nie ja to, ale Bóg was prowadzić będzie. Więc pamiętajcie.

— Ha! nie odrzucam i tej pomocy, — rzekł odważny wojak — *mirabilia!* Jakże nam tu nie walczyć, gdy i to biedactwo ma tyle męstwa w duszy, stojąc nad grobem.

Mrok padał, ognie szwedzkie, zdaleka widne, znaczyły doskonalę miejsca, w których się obóz rozłożył: tak byli nieopatrzeni, tak pewni siebie, że, jak skoro działa wieczorem spoczęły, rozkładać się, noclegować, pić i hulać, a potem usypiać poczęli, bez zwykłych w takich razach ubezpieczeń. Millerowi ani się śniło, by wystraszeni mnisi z garścią ludu napadać go śmieli we własnym obozie! Tymczasem mała kupka odważnych, uzbrojona w żelazne pancerze, rusznice, hełmy, pałasze i kosy nawet, pod wodzą Czarnieckiego zbierała się już w podwórcu. Coraz to z głębi ciemności nocnej wychodził orężny żołnierz i stawał, pomnażając liczbę ochotnika. Gromadka ta nie miała wcale pozoru żołnierzy dzisiejszych, dobranych i ubranych jednakowo; każdy odziany był i zbrojny po swojemu, każdy przypasywał doświadczeńszy miecz pradziadowski, karabelę, co mu do ręki przypadała, którą był nawykł machać i płatać; wdziewał hełm wy-

godny, opasywał pierś pancerzem, dobranym do niego. Na wielu z tych zbroi połyskiwały krzyże mosiężne, zwykła ozdoba XVII wieku w Polsce i dziś jeszcze na wykopanych widoczna; bo gdzie ten znak rdza wyjadła, cztery po nim otwory zostały. Inni mieli na szyi blachy z wizerunkami Matki Boskiej, inni różańce pozawieszali na szyi, brzęczące na zbroi, lub ztyłu i zprzodu wiszące szkaplerze z imieniem Marji. Garść ta śmiałków, oświecona kilku pochodniami, dziwnie się malowniczo przedstawiała ze swą rozmaitością stroju, twarzy, zbroi. Czarniecki przeglądał każdego zosobna: ciężko zbrojnym ulżył nieco, rozkazał nie obciążać ładunkami i zbytkiem zawadnego oręża, szable pobrano pod pachy, aby nie brzęczały, pozakasywano kontusze do kolan, i już wszyscy byli wpogotowiu, gdy Kordecki nadszedł z krzyżem w ręku.

— Wszystko — odezwał się — poczynajmy od Boga, pomódlmy się naprzód, bracia, ucałujcie ten krzyż, za który walczycie.

To mówiąc, podniósł ręce i z natchnieniem począł modlitwę, którą skończył przeżegnaniem. Wszyscy potem, od Czarnieckiego do ostatniego ciury, ucałowali znak zbawienia, a gdy maleńka furtka, ukryta w fosie, otwierała się i wypuszczała w milczeniu idących mężnych obrońców Częstochowy, przeor nad nią na murach ukląkł na kamieniu i w zachwycie jakimś pozostał obcy wszystkiemu, co się wkoło niego działo. Wśród ciszy szli wszyscy fosą do miejsca, w którem przez kontr-eskarpy wydobyć się z niej mieli; i nim pan Czarniecki klasnął w dłonie, już Konstancja pokazała się na przedzie z kijem w ręku, wiodąc wycieczkę i szepcząc Zdrowaś Marja. Sam zresztą naczelnik, nie spuszczając się na nią całkowicie, miarkował kierunek, aby obejść Szwedów. Szli tak dobre ćwierć godziny, gdy Konstancja rzuciła się na ziemię i zdawała chwytać coś pod nogami, wołając cicho o pomoc, wszyscy podbiegli ku niej z przestrachem. Jakiś człowiek (było to jeszcze niedaleko murów) leżał na ziemi, szamocząc się, ale mu żebraczka tak silnie ręką zatkała gębę, że krzyczeć nie mógł; natychmiast chwycono go, zakneblowano i, związawszy, rzucono w fosę do powrotu, a wycieczka poszła dalej.

Przestrach chwilowy zmienił się w niecierpliwe pragnienie walki; Janasz Węgrzyn nadewszystko przodkował, jakby chciał mierzyć się ze śmiercią, jakby jej szukał i pragnął. Na lewo już pomijali Szwedów, chętka brała spróbować,

mając ich pod ręką, ale Czarniecki ciągnął dalej i dopiero, tył im wziąwszy, miał rozpocząć utarczkę. Ten czas powolnego i ostrożnego przejścia wśród ciemności wydał się wiekiem ludziom słabszego serca, co niepewności więcej bali się niż nieprzyjaciela. Nie dawano znaku do boju; lecz coraz a coraz zwracano na lewo powolnie i widać było, że minąwszy część śpiących po namiotach i szałasach Szwedów, wkrótce uderzyć miano. W obozie było cicho i bezpiecznie, nigdzie czat, nigdzie posunionej straży; żołnierz opiły wylegał się na mokrej ziemi, na garści słomy, osłaniając od wilżącego deszczu. Nagle żebraczka im znikła z oczów, a Czarniecki wyjął szablę z pochew: błysła w powietrzu i z krzykiem:

— Jezus, Marja, Józef!

Z tem hasłem śmierci w ustach mężni żołnierze rzucili się na bliższych żołdaków, o których się prawie oparli....

Kilkadziesiąt strzałów razem zagrzmiało w powietrzu długiemi pasy płomienia i nic nie potrafi odmalować obrazu, jaki przedstawiła część obozu szwedzkiego, schwycona tak niespodzianie. Ludzie porywali się ze snu, sami nie wiedząc, co się stało, nie umiejąc rozpoznać, dokąd uciekać mieli, i wprost na strzały Czarnieckiego się kierując.

Janasz, z jedną szablą już krwawą i ociekłą, rznął się w obóz nieprzyjacielski, jak szalony; straciwszy nakrycie głowy, opętany bojem, niesyty zabójstwa, gnał w prawo i lewo rozpierzchłych Szwedów, tego po łbie, tego po krzyżach, innego po ręku płatając. Wpadł do namiotów i mordował uśpionych, deptał nogami, rozbijał piersią powstających.

Popłoch rozchodził się w całej tej części obozu, którą objęli jasnogórcy: przytykała ona do namiotu Millera i lud coraz się szerzej rozbudzać zaczął dokoła, tak że wycieczka znalazła się wkrótce wśród przeważnej zewsząd siły szwedzkiej, jak w wieńcu męczeńskim. Ale z nią była przytomność i męstwo; tu niespodziana napaść siała postrach a napad nie od strony klasztoru, ale ze środka samego obozu, zdawał się jakąś obcą odsieczą. Gdzie niegdzie wśród krzyków, wrzawy ozwał się bęben krótko i rozbity ucichł, ówdzie piszczałka i trąba zaczęły zwoływać i umilkły.

A za panem Piotrem jak rzeka leżeli trupem posłani Szwedzi; on szybko, żywo, rznął się przez nich ku klasztorowi. W drodze napadli na dwa działa i natychmiast je zagwoździli. Tuż przy maleńkiej baterji był namiot pułkowni-

ka de Fossis, który z wieczora, nadowodziwszy u Wejharda o nicości przyszłej człowieka i przesądach ludzi obiecujących im inne życie, legł spać z uśmiechem zadowolenia. Janasz wpadł do jego namiotu i miecz utopił w piersi bezbożnej; oczy tylko otwarły się straszliwie, głowa podźwignęła konwulsyjnie, ręce zadrgały, jakby szukał miecza, i nieszczęśliwy upadł wiecznym snem do ziemi przykuty.

Janasz szedł dalej a dalej, rzucał się w strony i niepamiętny kierunku, ani trzymając kupy, pojedyńczo na swoją rękę rzeź sobie sprawiał. Długo mu się to udawało, aż Szwed wpół nagi zaskoczył go i wzięli się za barki szamotać. Jak dwa wilki wściekłe zżarli się z sobą, zębami, nogami, rękoma; wtem wystrzał zboku obu ich na ziemię obalił, poskoczyli Czarnieckiego ludzie, chcąc ratować Węgrzyna, ale już ducha wyzionął i ręką tylko wskazał na klasztor.

Wycieczka biegła coraz żywiej do fos i furty, bo za nią rozbudzony obóz cały ruszał się, kupił, opamiętywał i gonił. Miller, ze snu się porwawszy, skoczył na konia z Hornem i ufny w swoją siłę, poznawszy, że to robota klasztorna, pędził za wycieczką. Zatrzymał go namiot pułkownika de Fossis, którego chciał zbudzić, by działa na śmiałków wymierzono: de Fossis leżał, we krwi swej się brocząc. Generał za głowę się pochwycił.

— Ognia! ognia! — krzyczał, ale dwa działa, które szkodzić mogły uciekającym, zagwożdżone były na głucho.

Horn, który, jak Miller, niecierpliwił się i oburzał tem zuchwalstwem garści ludu, puścił się konno naprzód, pomimo ciemności i zawałów, z podniesioną szablą mierząc na wodza, gdy któryś z ostatnich i już minionych Polaków przyskoczył i ciął go silnie kosą w piersi. Horn zachwiał się, chwycił oburącz i upadł z koniem razem, postrzelony jednocześnie.

Miller nadbiegł, gdy już leżał na ziemi, i zatrzymał się wściekły, nie mogąc rzec słowa, drżący od gniewu, zdumienia i jakiegoś panicznego strachu, który uczuł, widząc ulubieńca silnie rannego. Krzyknął, dając rozkaz ścigania, i rozporządziwszy ratunek dla Horna, sam śpiesznie zawrócił się ku namiotowi. Już też co żyło zerwało się ze snu i biegło, chwytając muszkiety; bębny biły larum, trąby grały, ognie się zapalały, a nasi śmiałkowie, ku twierdzy przerzynając się, coraz żywszym śpieszyli krokiem... Czarniecczycy jako hasło powtarzali, zbierając się: Jezus, Marja, Józef. Z tym okrzykiem zwycięskim dobili się do murów twierdzy,

spuścili w fosę i furtka otworzyła, i wszyscy prawie, co się byli puścili na tę niebezpieczną wycieczkę, wrócili nazad cali i zagrzani na duchu, jakby ognistą kąpielą nabrawszy sił nowych.

Kordecki klęczał i modlił się jeszcze; całując kraj jego szaty, Czarniecki, który z wzruszenia i zapału nic powiedzieć nie mógł, obudził przeora z tego pobożnego zachwycenia.

— Otóż macie nas nazad — rzekł pan Piotr — i szczęśliwie...

— A! Bogu niech będą dzięki... lecz ofiary?... kto zginął?

— Jednegośmy tylko podobno stracili, biedaka Węgrzyna.

— Biedaczysko! Bóg mu oznajmił zgon przeczuciem; módlmy się za jego duszę...

Wtem nadbiegł Zamojski.

— A co? — zapytał gorąco.

— Wszystko dobrze, jak z masłem poszło. Popatrzcieno na Szwedów, cośmy im za sztukę spłatali, kręcą się jak w ukropie.

W istocie widok obozu z murów przedstawił jakby mrowisko, w które padnie gałąź drzewa: migały wszędzie drobne ognie i wśród ciemności poruszały się żywo w różnych kierunkach ku podnóżu góry; znać Szwedzi, nie wiedząc dobrze, co to było z nimi, obawiając się jeszcze, ze stanowisk bliższych na dalsze i niższe się cofali: stawili czaty i rozpalali ogniska: lud biegał, ruszał się i szumiał.

— O! jak to Bóg wielki — krzyknął z uniesieniem Zamojski, biegnąc do dział, których Wachler strzegł, nawpół śpiący. — Ognie ich posłużą nam za cel; Niemcze, celuj i pal do obozu...

Niemiec chwycił się, acz niechętnie, z posłania pod namiotkiem, spojrzał na Zamojskiego, pomruczał, ale, widząc że nie przelewki, posłuchać musiał i działa poczęły grzmieć z bliższych stanowisk, do reszty płosząc Szwedów.

V.

Wschodzący dzień oświecił obraz zamieszania i nieładu; jak świt objechał Miller swój lud, policzył straty, z których go najwięcej bolała śmierć pułkownika de Fossis i śmiertelna rana Horna; kazał pościągać trupa, działa zagwożdżone

zdjąć z baterji, nowe na ich miejsca naprowadzić i jął się z całą złością i gniewem, do jakich doprowadziło go to zuchwalstwo, nowego szturmu. Działa, nie ustając na chwilę, biły do murów, ale napróżno; bo szkoda nie była ani tak wielką, ani tak widoczną, żeby go pocieszyć miała. Wejhard, dowiedziawszy się o śmierci de Fossis i ranie Horna dopiero nazajutrz, gdyż nocnego alarmu, stojąc opodal w innej stronie, nie słyszał nawet, pobiegł ku Millerowemu stanowisku, ale mu w oczy zajrzeć nie śmiał... Miller byłby znów wszystko na niego zrzucił i miarkował, że generał wściekać się musi.

W istocie Szwed był tak straszny, jak każdy w bezsilnej złości szatan; czując swoją potęgę, wyższość, umiejętność, nie potrafić ani dobyć, ani zniszczyć tego kurnika, którego bronili wieśniacy, szlachta i księża! Wszystkie laury wodza tracił tu nadaremnie, w nierównym i wstydliwym boju. Było czego oszaleć! To też szalał opasły wódz i, chodząc po swoim namiocie, coraz powtarzał:

— Żebym tu głowę miał położyć, nie ustąpię, aż zdobędę!

Po działa burzące posławszy do Krakowa, gnał posłańca za posłańcem, aby dniem i nocą wieziono je co prędzej. Tymczasem dano mu znać, że górnicy z Olkusza przypędzeni do robienia miny, którą chciano od północy podłożyć pod mury, przybyli. De Fossis miał tą robotą kierować, plan był już gotowy, ale komu innemu teraz i to mniej świadomemu pozostało jego wykonanie.

Spędzono nieszczęśliwych górników, którzy pod strażą, jak więźniowie trzymani, stali smutni i przelękli. Jeden tylko pomiędzy nimi, starzec silny, barczysty, górujący całą głową, z włosem posiwiałym, sparty na kiju, z dumą na twarzy, a z wzgardą poglądał na Szwedów, jakby ich wejrzeniem miał pobić, nie mogąc dłonią. Reszta, znużona, stała i leżała na ziemi, raczej niewolników niż posiłku mając postać. W zamieszaniu rannem rozkazał Miller prowadzić ich ku górze i wyznaczyć robotę, ale około południa znać mu dano, że olkuscy górnicy opierają się i nie chcą miny rozpoczynać.

Sądząc, że to tylko niewyrozumienie jakie, lub trudność w robocie, posłano do nich Polaka, aby się z nimi porozumiał. Był to pan Kuklinowski, chętny służka Szwedów.

Zastał ich otoczonych żołnierzem, na ziemi leżących,

z pospuszczanemi głowami, tylko starzec ciągle na kiju sparty o swej sile się trzymał i na wodza wyglądał.

— Ho! do roboty! rozpoczynajcie górę! — zakrzyczał Kuklinowski.

— Albośmy to Szwedzi, czy zdrajcy, jak ty, — zawołał oburzony starzec — żebyśmy mieli na Matkę Najświętszą ręce podnosić.

— Co! jakto?

— A! tak ci to, — żywiej jeszcze rzekł stary — chcecie nas pozabijać, to pozabijajcie sobie, lepiej zginąć od was, niż w piekle gorzeć przez wieczność; nie będziemy robić i po wszystkiem.

Kuklinowski spojrzał i szybko odjechał, dając o tem znać generałowi; Miller, ledwie uszom wierząc, zakrzyczał:

— Wieszać łajdaków! wieszać!

— Ale — zawołał Kuklinowski, stojący blisko — jak ich powiesimy, to któż będzie minę robił?

— Wziąć tylko jednego, co tam ich buntuje, na próbę, a reszta się upokorzy, — powtórzył generał — a nie, to dziesiątego na stryczek!

Kaliński wystąpił.

— Pozwólcie mi do nich pójść, panie generale.

— Idź, mości starosto, ale ich nie proś, nieposłusznych na gałąź, jak psów wywieszam.

Staroście podano konia, pośpieszył do górników. Stali w miejscu jak przedtem, i spojrzawszy na te chmurne oblicza ludzi, zwrócone ku kaplicy Matki Boskiej z czcią, pobożnością, z przestrachem wiernych jej dzieci, starosta uczuł jakby wstyd, coś nakształt zgryzoty, naukę wielką, którą odpędził od siebie. Prędko ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, rzekł łagodnie:

— No! do roboty, dzieci! co to wy sobie myślicie? Nie znacie generała? nagrodzi za robotę, ale ukarze nieposłusznych; już wyrok śmierci wydany na was; kto do młota się nie weźmie, pójdzie na szubienicę!

— A no! to i wieszajcie, — odparł starzec dumnie — czegóż czekać?

— Co to wam w głowie?

— Co w głowie? to, że Szwedowi heretykowi przeciw Matce Jezusowej nie będziemy pomagać, jak wy, panowie szlachta...

Zarumienił się Kaliński.

— Ty, starcze! — krzyknął — pierwszy pójdziesz na szubienicę!

— I Chrystus wisiał, — rzekł górnik spokojnie — a szubienica za Bożą sprawę nie hańbi!

Kaliński stanął wryty, słów mu nie stało, myśli mu brakło przeciw temu bohaterskiemu starcowi, który tak zimno, tak mężnie urągał się śmierci. Znać było po twarzach reszty, że on sam tylko ich trzymał, więc kazał zaraz porwać Jana Waćka, starszego górnika, i odwieść na stronę.

— A wy — odezwał się do reszty — czy także robić nie myślicie i czekacie aż dziesiątego wieszać zacznę?

Ktoś się odezwał:

— Wieszajcie i nas! — Inni milczeli.

— Do roboty! — krzyknął Kaliński; a Szwedzi, stojący wokół, prętami poczęli bić górników, którzy stali niemo i ponuro. Jeden ukląkł uderzony.

— Nie mam siły Jana, Panie Boże odpuść, róbmy, bracia, póki siłują nas, nie my to, ale szwedzka przemoc winna będzie.

— Nie, nie! — rzekł drugi — pójdziemy, gdzie i Jan, niech nas wieszają.

Szwedzi ciągle smagali i gnębili, a żaden jeszcze za młot nie chwycił. Kaliński zagrał z innego tonu.

— Co chcecie, żeby wam za to zapłacono? — zapytał.

— My się sami okupim, czem mamy, byleście nas nie brali.

— No! to wiedzcie, że was śmierć czeka!

Krzyki bitych, zamieszanie, które powstało, nie dozwoliło dłużej mówić Kalińskiemu; rozkazawszy Szwedom pędzić do roboty siłą, postawiwszy dozorców, starosta pobiegł do Millera chmurny i niespokojny.

Sumienie mówiło, walczył z niem.

W drodze spotkał żołdaków, wiodących Jana Waćka ze związanemi wtył rękoma. Górnik spojrzał w twarz staroście, nie prosząc mu się, nie mówiąc słowa; jeszcze zdając mu się urągać, szedł bez postrachu, bez łzy na śmierć, której oczekiwał. Kalińskiego przemogło to męstwo tak wielkie i rozkazał go puścić.

— Idź, — rzekł — idź, uciekaj!

Górnik nic nie odpowiedział, uczuwszy ręce wolne, bo mu je zaraz rozwiązano, obejrzał się i zawrócił w stronę, z której go wiedziono, do towarzyszów swoich. Kaliński nie miał czasu i nie chciał oglądać się na niego. A tymczasem

stary Waćek poszedł do miny, którą rozpoczynali, płacząc, olkuscy robotnicy pod razami Szwedów; stanął na pagórku, ręce złożywszy.

— Ej! bracia, słyszycie, — zawołał — a toż na was patrzy Bóg i Matka Jego Przenajświętsza! a wam nie wstyd małego serca, a wam nie żal pracować przeciwko Częstochowie? Niech biją i zabijają, rzućcie młoty i nie róbcie.

Kilku się wstrzymali z płaczem:

— Co my poradzimy przeciwko sile? przeciwko tylu?

— Niech katują! — zawołał górnik — prędzej u Pana Boga pomstę wywołają. A co to wy? cierpieć nie umiecie? komuż to, jak nie nam, dać przykład? niech biją, cierpmy.

Wtem, chwyciwszy go za kołnierz, żołdak przerwał mu mowę: starzec się nie bronił, powleczono go ku ogorzałym belkom niedalekiego rozrzuconego domostwa; zwróciły się oczy braci na ten widok straszny. Jan Waćek szedł na śmierć, a nigdy może męczeństwo nie było zniesione duszą silniejszą, stalszym umysłem. Szwedzi, nie czekając, zarzucili pętlę na belkę i uwiązawszy stryczek do szyi Jana, podnieśli go... Oczy wszystkich spoczywały na nim, Kordecki zdala stał na murze i odmawiał wieczorne modlitwy za umarłych, dając mu rozgrzeszenie... bo widział i czuł, że człowiek ten za swoją wiarę umiera.

W chwili, gdy pętla szwedzka zadrgała na szyi górnika, wszyscy jego bracia rzucili młoty o ziemię i bicie żołnierzy nie potrafiło na nich wymóc roboty.

— Gińmy, jak on! gińmy, jak on! — wołać zaczęli.

Szwedzi patrzali na to w głupiem podziwieniu, dla nich było to niepojętem; jeden tylko litościwszy odciął nieszczęśliwego wisielca, którego ciało upadło bezwładne na ziemię. Olkuszanie rzucili się twarzą na kamienie i płakali.

Tak minął cały dzień prawie i plagi szwedzkie nie mogły ich do roboty przymusić; znękani, zbici, gwałtem parci, dopiero dni następnych, znużeni, na siłach upadłszy, poczęli robotę, ale tak niechętną! tak ciężką, tak łzawą i smutną, jakiej jeszcze świat nie widział.

VI.

Zdziwili się wracający z wycieczki pan Czarniecki i jego towarzysze, nie znalazłszy za powrotem owego więźnia związanego z zakneblowaną gębą, którego w fosę rzucili; knebel tylko i sznury zostały w miejscu, gdzie leżał, —

a Nathan, gdyż to on był, uszedł cało; schwytanie zaś jego chwilowe nie tylko że nie posłużyło, ale raczej zaszkodziło oblężonym.

Wypadkiem zostawiono go pod basztą, u której stał Wachler, a Niemiec, uwolniwszy się od zapychającego mu gębę, naprędce uwiązanego kłaka, począł jęczeć i cichym wywoływać głosem Wachlera. Usłyszał to puszkarz, pochylił się za mur i zawołał Nathana. Odpowiedziano mu.

— Cóż ty tu robisz? chyba nie wiesz, że nasi poszli na wasz obóz?

— Gdzie zaś nie wiem! onić to mnie schwycili, związali i rzucili tutaj, żem ledwie teraz knebel z gęby wykrztusił; wrócą i porwą mnie, bo dobrze sznurami opasali — ratuj, bracie, ratuj...

— A jakże ja cię tu poratuję? wlazłeś sam, sam wyłaź!

— Zlituj się, oni mnie zabiją, męczyć będą... i twoje ze mną przepadnie, szedłem do ciebie właśnie, — wołał Nathan — obiecują ci dwieście talarów, jeśli ułatwisz poddanie.

Wachler milczał i myślał.

— Cicho — rzekł, — cicho leż, milcz, zobaczę, może cię potrafię wyratować.

To mówiąc, podniósł się nieco, popatrzył na mury i krokiem cichym złodzieja spuścił wdół ku furtce, którą wyszła wycieczka.

Strach dodawał mu szybkości i zwinności.

Wybiegł; posłuchał, zbliżył się do Niemca i oderwał sznur, wiążący Nathanowi ręce.

— Idź, idź, uciekaj, a pamiętaj, żem ci życie ocalił!

— Nim powrócą, mamy czas, — rzekł żywo Nathan — twierdzę zdobyć muszą; jeśli do tego dopomożesz, masz dwieście talarów i życie darowane.

— Patrzą na mnie i pilnują dobrze.

— Ależ musicie mieć niechętnych, tchórzów, znieś się z nimi, byleście tylko furtę nam otworzyli, reszta już nasza rzecz.

Wachler głową pokiwał.

— Zobaczymy, — rzekł — zobaczymy.

— Gdzież i jak rozmówimy się? — żywo mówił posłaniec — drugi raz nie będę się już śmiał podkraść.

— O północku dam ci znak wywieszoną czerwoną latarką... Jeśli ją zobaczysz na prawo od baszty, przychodź śmiało... Ja tu sam nocą na stanowisku u dział, nikt nie przeszkodzi.

— Do jutra...

Nathan wyrwał się jak oparzony, a Wachler pośpieszył furtką nazad do twierdzy.

Nazajutrz Niemiec zszedł rankiem w podwórzec do ludzi i Zamojski pierwszy spostrzegł, że co dawniej milczał jak kamień, to teraz gardłował ciągle między tłumem, narzekając na upór księży i groźnie malując siły szwedzkie. Opieszale szedł do roboty, a gorąco narzekał. Wpadło to i innym w oko, że skutkiem może głośnych Niemca przemówień ci, co niewiele mieli odwagi, i tę tracić zaczynali. Postrach między ludem rozszerzony, stopniami przeszedł do szlachty. Twarze blade obracały się z trwogą na wszystkie strony, jakby już Szwed miał się pokazać na murach; poczęto szeptać tajemnie i częste schadzki u baszty Niemca postrzegano dnia tego i następnych.

A Szwedzi wciąż strzelali do twierdzy, a górnicy olkuscy opieszale twardą rąbali opokę, którą ledwie dotąd napoczęli, niechętną ręką i sercem biorąc się do niej. Miller wszystkich pędził, na wszystkich się gniewał, a w głębi najwięcej sam na siebie, że tu przyszedł. Wejhard milczał, knując zdradę. Zdawało im się, że co chwila powinni byli ujrzeć posłów z klasztoru, przynoszących warunki poddania, ale nikt się nie ukazywał. Nathan tylko z rana po wycieczce przyszedł do namiotu Wejharda, blady i posiniałemi okryty plamami.

— Co to się stało? — spytał go hrabia.

— Co? nieszczęście, — rzekł Niemiec — wczoraj właśnie podkradłem się pod mury, gdy ta szalona wychodziła zgraja, anim się opatrzył, jak mnie pochwycili.

— Jakto? byłeś w ich ręku? i jakżeś się uwolnił?

— Cudem! i nie bez szwanku, jak jw. pan widzisz — rzekł Nathan — to są dowody, że służę gorliwie (wskazywał na sińce i obdarcia). Zakneblowano mi gębę i związanego jak psa, rzucono w fosę.

— I któż cię ratował?

— Cudem, panie, bom z knebla wygryzł się jakoś, Wachler się do mnie furtką wyrwał i rozwiązał mnie.

— Mówiłżeś z nim?

— Mówiłem, obiecuje wszystko, ale chce dużo pieniędzy.

— Cóż powiada o wojsku, o murach, wszakżeś go pytać musiał?

— Nie było tam czasu na długą rozmowę, ledwieśmy słów kilka przemówić do siebie mogli. Ale mi zaręczył, że

niechętnych wiele, że przeor tylko i kilku upartych mnichów wszystkich trzymają i zmuszają do obrony, bez czegoby się pewnie poddali.

Wejhard chodził po namiocie.

— Będziesz-że się z nim widział?

— Dziś lub jutro.

— Idź i spocznij. — Odwrócił się do Kalińskiego.

— Starosto, — rzekł — tobie wypadnie jeszcze raz pójść do klasztoru, nie w charakterze posła od nas, ale przyjaciela i doradcy; tyś wymowny (Wejhard znał potęgę pochlebstwa) i Polak, łatwiej ich przekonasz o szaleństwie...

— Jeśli każecie? — rzekł połechtany starosta. — Nie wątpię, że generał się na to zgodzi, chodźmy do niego.

Nie było blisko do namiotu Millera, konno aż przejechać musieli do niego. Zastali generała nad stołem, jako tako ustawionym w ogromnym jego namiocie, wśród posępnej pijackiej biesiady. Widać, że przedmiotem rozmowy była wycieczka nocy ostatniej, która, dowodząc Szwedom ich nieopatrzności, generałowi jego niedbalstwa, dwakroć ich wobec tych, których mieli za nieuków, upokarzała. Namiot wodza przedstawiał obraz godzien wejrzenia, oryginalnością swoją. Otwarty od przodu, patrzał na twierdzę, otoczoną dymami i odstrzeliwającą się zajadle.

Po dolinie i wzgórzu rozsypany był żołnierz szwedzki; krzyk bojowy, huk dział, trąby i bębny, odzywające się w różnych kierunkach, wtórowały biesiadzie. Stół, nakryty kilku obrusami różnego pochodzenia, ozdobionemi szlakiem, szytym w herby domów polskich, a gdzie niegdzie w krzyże, dowodzące, że nie szczędzono ołtarzy Pańskich, zalegały srebra staroświeckie niemieckiej trybowanej roboty; a na każdej z tych sztuk bogatych inne znamię rodowe świadczyło, że były owocem rabunku. Były tam ogromne półmiski pańskie i kubek szlachecki, jedynak pieszczony, co stał niedawno w szafie za szkłem w spokojnym gdzieś dworku; potężne puhary misternych kształtów i owe sztućce podróżne z figurkami na rękojeściach, które dawniej każdy przy sobie nosił i ulubionemi stroił je napisami i godłami. Książę heski, Sadowski i kilku Polaków, pułkownicy szwedzcy stół dokoła obsiadali. Gdy wszedł Wejhard z Kalińskim, Miller się namarszczył, bo go za pierwszą przyczynę tych trudów i niesmaków uważał, i zaraz na pierwszym wstępie pokazał

mu wiszącą jeszcze opodal na belce pętlę, na której skonał stary górnik olkuski.

— Ot, widzicie, jaka to tu wojna, wieszać potrzeba sprzymierzeńców tych, których obiecywaliście nam u ludu.

Wejhard ramionami ruszył i usiadł.

— Ha! — rzekł — to są chwilowe nieprzyjemności, ale przecież idzie.

— Ślicznie idzie w istocie, — odpowiedział Sadowski — noc dzisiejsza dowodem.

— To wina nasza, — przerwał Miller — zdawało nam się, że wojujemy z mnichami, a tam są tędzy żołnierze! Nauka nie pójdzie w las, przyjdą i działa z Krakowa.

— Wszystko to nie będzie potrzebnem — rzekł po chwili Wejhard.

— Wy mi zawsze nie wiedzieć co obiecujecie.

— Twierdza ostatkiem goni, bliska poddania.

— Tak jest, gdyśmy tu szli, mówiliście, że dnia pierwszego poddać się miała.

— Teraz to trochę pewniejsze, generale, — rzekł ciszej Wejhard — wiem, że wszyscy są już do ostatka znużeni walką, zniechęceni i radziby to skończyć.

— Tak, a jednak parlamentarzy nie przysyłają.

— Potrzeba znać sytuację wewnętrzną twierdzy — tajemniczo rzekł Czech. — Naprzykład?

— Tam kilku utrzymuje kilkuset w uporze.

Miller splunął z niechęcią.

— Przyszedłem właśnie prosić generała, żebyś pozwolił z radą i namową wysłać starostę bracławskiego, jestem pewny, że ich przekona i przyniesie nam punkta, które się już gotują. Mnisi tylko cokolwiek uparci, załoga bije się zmuszona...

Miller się rozśmiał.

— Niech idzie starosta, kiedy ma ochotę, ale ja wolę traktować kulami niż parlamentarzami; moi posłowie to krakowskie działa.

Wszyscy milczeli.

— Jak na mnichów, — krzyknął Miller, stukając pięścią o stół — dobrze sobie radzą, na szatana! jeszcześmy nigdzie takiego nie spotkali oporu... kule ich nasze nie biorą... dachów im nawet zapalić nie umiemy. Jeszcze śmieli garścią robić na nas wycieczkę, to rzeczy niepojęte! straty wielkie, cała ich mysza dziura tego nie warta! ale pomszczę się straszliwie, wytnę ich do nogi i to gniazdo zniszczę ze szczę-

tem. De Fossis zabity! Horn ranny śmiertelnie, mówią doktorowie, kilkudziesiąt na placu poległo, u nich ani jednego trupa; myśmy dziś wyszli na mnichów i partaczy.

Mówił, pił i wstrząsał się z gniewu...

— A tu, — dodał — użyjże ludzi do robót, to ich wieszać potrzeba, żeby zmusić do kopania góry!! A jesień ciężka, a lud mój marznie i choruje, a zima za pasem! ślicznieśmy się tu wparli!

Wejhard milczał.

— Pozwoli generał pójść panu staroście? — spytał, dawszy mu się wygadać.

— A! jeśli chce, niech rusza! — obojętnie rzekł Miller — z Bogiem, ale ja sobie z tego nic nie obiecuję.

— Ja dawniej i lepiej znam Polskę, — rzekł Wejhard — u nich najgwałtowniejsze wybuchy, z przeproszeniem panów, — dodał, postrzegając pułkowników polskich — sąsiadują ze zwątpieniem i rozpaczą, gdy się najmocniej rwą, najbliżsi są poddania, i dzisiejsza wycieczka dowodzi tylko desperacji.

Niektórzy z Sadowskim potwierdzili to postrzeżenie hrabiego, inni milczeli; starosta, na znak Wejharda, powstał i wyszedł zaraz, a biesiada ciągnęła się dalej i pijatyka wkrótce zawróciła głowy wodzom, którzy, szydząc, skarżąc się, śmiejąc, grożąc i złorzecząc Polsce a klnąc wojnę, zaleli sobie wkrótce resztę serca i myśli.

VII.

Kaliński z trębaczem i białą chorągwią śpieszył znowu do klasztoru, i mało co poczekawszy u furty, przez brata Pawła, po oznajmieniu przeorowi, przyjęty został i wpuszczony zwykłym sposobem. Za nim wcisnęła się żebraczka Konstancja, która większą część dnia spędzała za murami, na chwilę za wchodzącymi wbiegając do klasztoru.

Postać jej więcej niż kiedy wyrażała to obłąkanie wesołe, na które patrzeć tak smutno i ciężko. Z uśmiechem wyprzedziła starostę, który kroczył z miną poważną, i gdy mu już wchodzącemu do klasztoru oczy rozwiązano, pokłoniła się nisko.

— Do nóg upadam jaśnie wielmożnego Szweda, — zawołała — do nóg upadam.

— Co to za baba? — spytał brata Pawła Kaliński.

— E! to sobie kobiecina biedna, sługa Najświętszej Panny; tak ją tu nazywają...

— Tak! tak! — szybko pochwyciła Konstancja — i bardzo się cieszę, że pan tak często chodzi do nas.

— Alboż co? — spytał starosta.

— A! — z uśmiechem kończyła stara — bo już ja wiem, co tu pana do nas sprowadza. O! o! ja to wiem! Jaśnie wielmożny Szwed chce się, widzę, nawrócić! Chwała Bogu! Tu już, panie, i Tatarów, i Turków, i wszelkiego heretyctwa siła się nawróciła, to i pana przyjmą, byle ze skruchą...

— Co ona plecie ta opętana! — z oburzeniem odezwał się Kaliński — albo to ja nie Polak i nie katolik?

— Może Bóg da, że i to przyjdzie! — mówiła sobie Konstancja — ale dotąd, co to mi za katolik, co z Najświętszą Panną wojnę prowadzi.

Kaliński zarumienił się i ramionami tylko ruszył.

— A ja jaśnie wielmożnemu Szwedowi powiem, — ciągnęła dalej żebraczka — który tu ksiądz najlepszy do dyscypliny, to ksiądz Paweł; do spowiedzi niema lepszego jak ksiądz Mielecki, nałaje, to prawda, ale tak sumienie wypatroszy, jak potrzeba... a do...

— Ale dajże mi pokój, babo! — krzyknął Kaliński z gniewem.

Brat Paweł umierał ze śmiechu, pragnąc go utaić, baba nie puszczała posła.

— Już niech każdy poświadczy, że prawdę mówię,—wołała — brat Paweł dyscyplinuje siebie dobrze, a coby to dopiero było, jakby się do cudzych pleców dobrał. Od tegobym życzyła j. w. Szwedowi rozpocząć nawrócenie.

Kaliński wytrzymać nie mógł i śpieszniej coraz pędził kurytarzem, ale żwawiej jeszcze biegła przodem żebraczka.

— Nawrócicie się, nawrócicie, to wam z oczów patrzy, — wołała ciągle — nie wstydźcież się, toć to nie grzech! tylko co prędzej, to lepiej, bo widzę, że wam we środku djabeł siadł i wierci, i kręci: jeśli go nie wypędzą, to was rozedmie wniwecz... dla djabła niema lepszego sposobu nad dyscyplinę...

Brat Paweł buchnął ogromnym śmiechem, nie mogąc go już utaić, a Kaliński łajał, ale wtem i przeor wyszedł naprzeciw starosty, a Konstancja, spostrzegłszy go, ukłoniła się, zakręciła i znikła.

Ledwie odeszła kilka kroków, twarz jej, tak dziwnie wesoła, zmieniła się zupełnie: smutek głęboki, nieuleczony,

ciężki, osiadł na jej czole i ustach... dobyła kawałek chleba z torby, pocałowała go, schowała i śpiesznym krokiem pobiegła pod okno Lassoty; przysiadła na ziemi, sparła się na ręku i zadumała.

Tymczasem przeor do definitorjum wprowadził Kalińskiego, wiedząc o jego przybyciu, bo mu od furty znać o tem dano; tu już zgromadzeni byli umyślnie ojcowie i szlachta, aby wobec nich mógł z nimi pomówić. Kordecki spodziewał się podpory w towarzyszach. Lecz o jakże się myślił! oprócz Zamojskiego, który ochoczo życie swoje i syna ważył, wyjąwszy Czarnieckiego, który śmierć wcześnie liczył za prawdopodobne zakończenie swej pracy przy oblężeniu, prócz kilku jeszcze, reszta nie miała ducha, co ich ożywiał. I nie dziw! niewielu w cud uwierzyć może, bo niewielu są go warci. Z samych duchownych część znaczna trzymała się tylko Kordeckiego siłą i zagrzewana stawała gorąco; — zostawiona sobie, chłodła. Przy przeorze wszyscy wotowali za wojną, sami wzdychali i w długie noce, słuchając bicia dział i krzyków, strach ich przejmował blady; drżały serca, biły piersi niespokojnym oddechem, modlitwę szeptali nie o zwycięstwo, o pokój tylko.

Mnisi to byli, a inna zaprzątała ich wojna, ta nieustanna wojna z sobą, z ciałem, z myślą, z wątpliwością — z tem wszystkiem, co się zowie szatanem, a co nigdy, najświętszemu z ludzi nie daje pokoju. Inni nie mieli męstwa, bo im je wlewała liczba i szczęście, a przeciwność i osamotnienie je wydzierały. Dla nich potrzeba było zwycięstw, by wzbudzić odwagę, a Polska upadała wszędzie; a wieść skąd przyszła, to głosiła klęski, to opowiadała niedolę i opłakana a krwawa leciała osłoniona szatą żałobną. Skądże dobyć się miało męstwo dwustu ludziom wśród tysiąców, mnichom, szlachcie i wieśniakom, garści na wyspie jasnogórskiej, wśród oceanu szwedzkich żołnierzy.

Stan umysłów ludu, księży i szlachty w Częstochowie cały zależał od Kordeckiego, cały na nim spoczywał; gdyby ciągle nie utrzymywał ducha, wszyscyby upadli. Ale najlżejsza przeciwność obalała dzieło pobożnego przeora, a rozwaga zimna, trochę samotności, zbliżenie się dwóch bojaźliwszych święty ten zapał rozpędzały.

Oprócz kilku wymienionych, każdy potajemnie przewidywał poddanie i myślał jak je najmniej strasznem uczynić, uważając za nieuchronne, bolejąc nad tem, co cicho zwano uporem Kordeckiego. Nie jeden co wstrząśniony mową jego,

głośno podnosił rękę i przysięgał do tchu ostatniego walczyć w obronie świętego miejsca; wróciwszy do izby sam siebie nie poznawał, sam sobie się dziwił, gdy spojrzawszy w serce, znalazł je tak zmienionem.

W niższych rzędach obrońców Częstochowy, nad którymi pracował, by je zniechęcić, Wachler, toż samo rozszerzało się zwątpienie; ludzie to byli po większej części zgromadzeni nagle, bez wyboru, których oddalenie od domów, niepokój o nie i sam widok Szwedów w takiej liczbie, a słuch, że cała Polska już się im pokłoniła, czynił bojaźliwymi. Wprawdzie i tu głos Kordeckiego, stara wiara i pobożność wyrabiały chwilowe męstwo i do poświęceń gotowość; ale jakże łatwo onieśmielić głos, gdzie odwaga cudem tworzyć się musiała!

Najemnicy Niemcy, Węgrzy i Ślązacy, stanowiący główną część załogi, wprawniejszą w żołnierkę i umiejętniejszą w swem rzemiośle, nadzieją tylko zapłaty, darami i groźbą utrzymywani byli. Położenie więc klasztoru zależało zupełnie od wodzów, od nieustannej ich baczności, od pilnego wglądania co chwila nie tylko w stan murów twierdzy, ale w stan serc i umysłów. Ileż to niepokoju, ile trosk codziennych, ile obawy przetrwać było potrzeba, jak czytać w twarzach, jak podsłuchiwać uczucia, by iskra zgubna nie zapłonęła w przygotowanych na jej przyjęcie umysłach!

Nie była więc całkiem fałszywą rachuba Wejharda i Kalińskiego, którzy liczyli na to, że przypomnienie stanu Polski i stanu twierdzy, zamkniętej oblężeniem, przydać się im mogło. Taki był cel wysłania starosty, który dziś zamierzał sobie być nie parlamentarzem Millera, nie urzędowym posłem, ale jako Polak i obywatel, szedł do obłąkanych współbraci. Stosowną też do tego przybrał twarz i postawę. Na korytarzach rozgniewany przez żebraczkę rychło ochłonął i zgromadziwszy myśli, z całą usilnością, na jaką się tylko mógł zdobyć, postanowił użyć swych argumentów. Przyjmowano go jednak jako posła, co było widocznem z uroczystego wszystkich zebrania, ale zaraz na wstępie zrzucił z siebie ten charakter, witając przeora słodziuchną miną, pokorą i grzecznością wyszukaną.

— Rad jestem, — rzekł z uśmiechem — że mogę u waszej przewielebności odetchnąć; nie przychodzę tu wcale jako poseł, ale jako współobywatel, brat, jako Polak, między swymi spędzić chwilę swobodną; a jeśli się ona na co wam

przyda, będę bardzo szczęśliwy; proszę mnie tylko dziś nie mieć za millerowskiego posłańca, bo nim wcale nie jestem.

— Tem lepiej, — odpowiedział Kordecki, wskazując mu siedzenie — bo poselstwo do nas byłoby nadaremne po tylu silnych przemówieniach kulami, które stają za najlepsze argumenta, a przecież, jak widzicie, upartych nie przekonały.

Starosta, unikając zaczepki i mowy o drażliwym przedmiocie, umyślnie obrócił ją na inny przedmiot.

— Nie uwierzycie — rzekł, — jakie to ciężkie położenie nas Polaków w tem wojsku szwedzkiem; ale to konieczność! niestety! żelazna konieczność. Jesteśmy widzami wojny z bólem serca, a w dodatku nikomu na nic nie przydatni, chyba tylko, że powiększamy ciżbę.

Wszyscy milczeli, a on mówił dalej ze swym uśmiechem dobrodusznym.

— To też podwójnie dziś miło znaleźć się między swoimi, spocząć trochę i zapomnieć o nieszczęściach kraju, co na nas to jarzmo włożyły.

Milczano jeszcze, starosta z nikogo ani potakiwania, ani oporu wydobyć nie mógł, wiedział, jaki skutek sprawiają słowa jego, bo ani twarz, ani usta nie objawiały go dotąd. Przykre to było położenie, obracał głową, szukał, do czegoby się uczepić, znaleźć nie mógł. Baczniejszy rzut oka byłby mu oznajmił, że ubolewanie to zręczne znalazło odgłos w umysłach wielu; ale przytomność przeora i poważne a śledcze wejrzenie jego tamowało objawienie tego, co się w sercach kryło. Kaliński mówił dalej:

— Prawdziwie od zgonu Zygmunta Augusta nasza Polska widocznie dążyła do upadku: oczy to nasze widzą, serca czują; a każdy, jak umie, ją rabuje.

— Szkoda, — przerwał Kordecki — że nie możemy się zgodzić na jedno lekarstwo; każdy ją do siebie ciągnie, każdy do niej przyczaja, i jak z dziecięciem Salomona sądu, wkońcu z nią być może... Ale Bóg łaskaw i wielki.

— A! to też prawda, w Bogu jednym nadzieja nasza — rzekł pobożnie Kaliński — w Bogu, co jej daje takich synów, takich bohaterów, jak wy, księże przeorze... ludzi godnych uwielbienia i lepszej, nadewszystko szczęśliwszej sprawy.

To pochlebstwo, wprost i niezręcznie rzucone, żadnego nie sprawiło skutku. Kordecki rzucił okiem na krzyż Zbawiciela, jakby mu ofiarował boleść swoją, i milczał.

— Można wam oddać tę sprawiedliwość, — kończył starosta — której i nieprzyjacielowi nie skąpię, że z niczego

potrafiliście wyrobić rzecz wielką i dokazujecie cudów. Gdybyż to na co, prócz gloryfikacji waszej, przydać się mogło— rzekł ciszej.

— Jakto? — żywo się ofuknął przeor, którego to słowo do niecierpliwości, wprędce pohamowanej jednak, przywiodło. — Wy myślicie, że mi o mizerną, o lichą, znikomą, o ludzką sławę idzie? A! jakże się grubo mylicie, panie starosto! jakże się mylicie!

— Pewnie, — przerwał Zamojski — ksiądz przeor z nami wszystkimi powiedzieć może z głębi serca: *Non est mortale quod opto*. Nie idzie tu o sławę lichą i o poklask ludzi, ale o wiarę, o duszę, obowiązek, o stokroć wyższe i potężniejsze pobudki czynów naszych. *Lex Dei vera est* — począł, unosząc się pan miecznik — temu prawu posłuszni, czynimy, cośmy powinni.

— A to też z uwielbieniem patrzymy wszyscy — rzekł Kaliński — na stracone usiłowania wasze i daremną pracę!

— Dlaczego daremną, — spytał pan Czarniecki — nic nie jest daremnego, zda się choć dobry przykład.

— Daremną, — powtórzył Kaliński — bo stoicie szlachetnie przy sprawie zgubionej, jak Kato.

— Czyjaż to sprawa zgubiona? — posępnie spytał Kordecki — sprawa Boża i sprawiedliwości?

— Nie spierajmy się, księże przeorze, — zawołał Kaliński, zawsze słodko i przymilająco — lecz pozwólcie mi mówić: wy, oddawna zamknięci w klasztorze, oddani modlitwom, zagrzebani w pobożnej kontemplacji Boga, nie wiecie i nie widzicie, co się wkoło was dzieje. Dla was bieg rzeczy ziemskich jest obcy, my, cośmy się do niego wmieszali, co z tym potokiem płyniemy, jaśniej widzimy stan Polski i *inexorabile* jej *fatum*. Tak! potrzeba się rozstać ze słodką myślą wierności Janowi Kazimierzowi, bo Jan Kazimierz Polskę zgubił i gubi...

Zamojski wzdrygnął się, ale nie przerwał.

— Od Zygmunta III, — mówił poważnie Kaliński — którego na tron powołało przywiązanie nasze do krwi jagiellońskiej, przywiązanie tak ślepe, żeśmy jej szukali w zmieszanej z inną, byle choć kroplę mieć jej na tronie; wszystko szło opak i na zgubę. Zygmunt III był obcy, nigdy się nie stał naszym, nigdy nie zjednoczył z Polską; obcy umysłem, sercem, nałogami, niewczesnem lub nieumiejętnem ubieganiem się za władzą absolutną, wywołał opór, niesnaski, rozdwojenia i pierwszy skłonił nas ku upadkowi. Władysław

IV trzymał jeszcze ręką silną, ale niepewną tego, co czynia, na pochyłości góry losy państwa; Jan Kazimierz ze swą niestałością, ze swym płochym umysłem, do ostatka nas przywiódł. Stan kraju okropny: car z jednej, Szwed z drugiej, Kozacy, właśni poddani z trzeciej szarpią nas strony; w środku zamęt nierozplątany. Komuż to wszystko przypisać, jeżeli nie jemu.

— Samym sobie! — przerwał przeor — sobie tylko! cóż winien monarcha, któremu nieustannie wiążą ręce, pod pozorem, by ich na własnych poddanych nie użył, który spogląda tylko, skąd mu zawieje rokosz, i wojować musi nie z nieprzyjacielem tylko, ale z poddanymi swymi. Daliżeście im siły potrzebne do dzieł wielkich? daliżeście im serca wasze?

— Dlaczegóż nigdy tak źle jak teraz nie było? — podchwycił starosta — dlaczego nawet za ojca i brata nie widzieliśmy tych klęsk bez ratunku, dzisiejszych? Tu nie los sam i nie my, ale głowa narodu jest winna. Pierwszym dla nas kraj być powinien, a gdy sternik na przepaście prowadzi, okrętu raczej niżeli sternika patrzeć winniśmy. Żal mi z serca Jana Kazimierza, boleję nad losem jego, jako człowieka, ale nie żałuję go jako króla i z przekonania idę z Karolem Gustawem. Król, co zkolei dwie rzucił na łup stolice, którego opuściło wojsko, lud, wodzowie, już winien być musi.

— O sroga Boża karo! — zawołał przełożony — i to mówi poddany, syn to na ojca tak się odzywa!

— Jestem naprzód synem kraju, — rzekł Kaliński — boleję, ale patrzę, płaczę, ale wybieram, gdzie zbawienie. Dziś najmniejszej niema wątpliwości, że z Janem Kazimierzem trzymając, wszyscybyśmy na Spiż pójść powinni, płakać, lamentować i coraz dalej uciekać. Ale Bóg łaskaw dał nam we wrogu obrońcę, cudem swej dobroci, podporę, opiekuna, nowego i silnego króla.

Kordecki zżymnął się, milczał. Zamojski ręce ścisnął. Czarniecki się żywo przechadzał, jakby mu ciężko było w miejscu wytrwać; reszta zgromadzenia wymową Kalińskiego zdawała się zdumiona razem i zajęta.

— Palec to Boży widoczny, — mówił dalej starosta — cała Polska zwraca się ku temu obrońcy i poddaje mu zgodnie: wojska, województwa, wodzowie, panowie, miasta, zamki, lud garną się pod jego opiekę. Polska w tej chwili w jego rękach. Wy jedni, jak wyspa wśród morza, stoicie,

opierając się sile, oczywistości, rachubie i, rzekłbym, rozumowi, gdybym nie umiał cenić uczuć pięknych i świętych, ale czczych i do niczego nie wiodących, które was ożywiają.

Kordecki jeszcze milczał, a Kaliński, którego oka nie uchodziło, że wiele uczynił kilku słowami, pośpiesznie ciągnął dalej:

— Rozumiem to, że zakonników wiąże przysięga złożona królowi silniej niż innych, bo sądzicie w pobożności swej, że jej życiem nawet broniąc, dotrzymać powinniście. Ale przysięga o tyle tylko obowiązuje, o ile jest z obu stron dotrzymana, a Jan Kazimierz ją złamał, opuścił nas i uciekł; sam się zrzekł, czego utrzymać nie mógł, sam się wyzuł i powiedział, wychodząc z Krakowa: „Róbcie, co wam się zda lepiej". Jakoż miljony, cały naród uznał się swobodnym od przysięgi. I dziś może być heroizmem, ale jest szaleństwem stać przy Janie Kazimierzu, który już królem nie jest *de facto* i *de jure*. Szanuję to obłąkanie, ale go podzielać nie mogę.

— Obłąkanie! — szeptał, chodząc, Czarniecki — gadzina, gadzina! a jak słodko argumentuje! niepoczciwe licho!

Kordecki wstrzymał się widocznie.

— Nie chcę być doradcą, — z westchnieniem mówił Kaliński — bo rady odrzucacie, choć z serca pochodzą, ale wobec tego, co się dzieje, inaczej jak rychłego poddania radzić wam się nie godzi. Jedni, nie zwyciężycie wszystkich, król Karol Gustaw, którego sobie malujecie jakąś straszną poczwarą, obiecuje dla Polski być ojcem; wszystkie prawa wasze potwierdza, wszystkie zachowuje swobody; katolickiej wiary niszczyć nie myśli, nie prześladuje, owszem narówni z własną opiekować się nią przyrzeka. Kto wie, czy dla nas nie nawróci się, jak Jagiełło? Jego zamiary względem Jasnej Góry są ojcowskie; nie opanować ją, ale bronić jej pragnie; chce ją umocnić załogą. Jeśli zniszczona zostanie, wy sami tylko temu winni będziecie.

— Co za troskliwość ojcowska! — mruczał Czarniecki.

Przeor, zadumany, milczał, okiem mierząc twarze wszystkich, a między szlachtą już widocznie zwątpienie i bojaźń widać było. Niektórzy szeptali między sobą znacząco i gdyby ich Kordeckiego nie wstrzymywała przytomność, znać, że gotowi byli traktować z Kalińskim.

— W istocie — rzekł odważniejszy Moszyński — wszyscy to poniekąd czujemy, co pan starosta *tam facunde* powiada, wszyscy to czujemy, ale cóż, kiedy bo Millera strach...

— Tak! tak! — dodał pan Jan Skórzewski — gdyby choć dobre przynajmniej wyjednać warunki...

Kalińskiego oczy zabłysły radością; szlachta się odzywała, przeor zdawał milczeć umyślnie i tylko wyglądać, jak przystąpić od siebie do traktowania. Starosta widział się już u celu i mówił dalej żywo:

— Z generałem, między nami mówiąc, łatwa sprawa, jego pieniędzmi ująć najłatwiej; a co raz podpisze, tego dochowa, dać mu okup, na który się złożycie łatwo i po wszystkiem...

— Ale kościoła, skarbcu nie poszanuje — odezwał się Moszyński.

— Co się tyczy kościoła, jest dekret królewski, który całość jego zabezpiecza, — rzekł Kaliński — nie poważy się go przestąpić Miller, do jednej rzeczy mógłby się tylko przypytać, do dzwonów, miedzi i śpiżu, ale i to mu zapłacić można, porozumiawszy się z dowódcą artylerji: to jego sprawa i zarobek.

— A bezpieczeństwo osób? — coraz więcej ośmielony milczeniem Kordeckiego, spytał Skórzewski.

— O! za to ręczyć mogę, — odparł starosta — zresztą *optare* z dwojga złego, mniejsze zawsze wybrać należy. Szwed, wchodząc jako przyjaciel inaczej, jako wróg inaczej sobie postąpi; rozjątrzony, szturmem biorąc twierdzę, nic oszczędzać nie będzie.

Niektórzy zadrżeli ze strachu, starosta, korzystając z usposobienia, rzekł:

— I gdyby chciał, to żołnierza nie utrzyma, skoro rozjadły na mury, a przez mury do twierdzy wpadnie... O! naówczas biada wam, bo wściekły będzie i mściwy, a dość go rozdrażniliście.

— Ale wy, panie starosto, — przerwał Moszyński — co macie ucho łaskawe u niego, czy nie moglibyście...

Kordecki cierpiał i słuchał, zdawał się twarzą nie przeciwić tym mowom, jakoby ludzi próbował, a gdy coraz większa liczba szlachty i kilku zakonników ku Kalińskiemu się już zbliżyła, gdy starosta zwycięzca rozpromieniał, widząc skutek swej mowy, i gotował zbierać jej owoce, powstał dopiero ze zgrozą na twarzy, której odmalować niepodobna; płomień miał w oczach, a czoło oblekło się wyrazem oburzenia.

— A — zawołał, wznosząc ręce — ludzie małej wiary, ludzie słabi i biedni, jakże to was lada wiatr nagina, gdzie

zechce! I jakże kraj niema ginąć, jak się do upadku nie chylić, gdy dziś bohaterowie w obronie świętości waszych, jutro je gotowiście dla kilku słów miodowych oddać sami w ręce wroga. Słuchałem cię, panie — obrócił się do Kalińskiego — z cierpliwością, ze zdumieniem. Zwykli Polacy kłaść winę swoją na barki cudze i dziś się to tak dzieje! Król wam winien! a któż go opuścił? Kto mu wojska odmówił? kogo miał przy sobie wiernym w nieszczęściu? kto robił związki dla żołdu po obozach? kto zrywał sejmy, gdy ojczyzna gwałtu rady wołała? Nie król, nie król, ale my sami... Kto Ruś oburzył, jeśli nie my, obejściem z nią nie braterskiem, ale pańskiem? Kto pierwszy, jeśli nie zdrada wwiodła Karola Gustawa? Wierzcie, jeśli chcecie, że zginąć musimy, ale Bóg silniejszy jest nad wszystkich, Bóg zwycięstwa, Bóg siły i sprawiedliwości. Karze, ale się lituje Bóg. Wygnańcy wracają, padają zwycięzcy. Nie cieszcie się za wcześnie; obietnice Szwedów wielkie, patrzcie ich owoców. Z przysięgi nikt nas nie może rozwiązać krom śmierci, nie jesteśmy i nie będziemy poddanymi Karola Gustawa, króla obcej nam wiary i nieprzyjaciela naszej... A! panie starosto, żal mi cię, bo to tylko widzisz, co cię zbliska otacza, a ślepy jesteś na resztę. Podnieś się a spójrz w świat i Polskę z myślą Bożą, inaczej i jaśniej zobaczysz...

To rzekłszy i wstrzymując wybuch pobożnego gniewu, który go przejmował, Kordecki jął żegnać starostę, aby się pobyć gościa, co siał przestrach i zwątpienie.

— Zmierzcha, — rzekł — powrót z twierdzy do obozu mógłby być niebezpiecznym po nocy, zatrzymywać zaś przez noc nie śmiemy, bośmy tu oblężeni, ściśnieni i nie mielibyśmy czem przyjąć godnie tak znakomitego gościa.

Kaliński chwycił za czapkę, oglądając się dokoła po twarzach i śledząc skutków, jakie sprawiła mowa jego, lecz pożegnany szybko odejść musiał, Zamojski dumnym wzrokiem odwiódł go do drzwi, a Czarniecki odstąpił, żeby uniknąć zbliżenia przy rozstaniu.

Oddano go w ręce brata Pawła, który uradowanego i upokorzonego razem, odprowadził do bramy. Ledwie się przez nią dostał na pole, gdy jadący przed nim z białą chorągwią żołnierz od szwedzkiej kuli poległ. Można miarkować, z jakim przestrachem uchodził starosta do obozu.

Z okien sali, w której jeszcze wszyscy zgromadzeni byli, jedni szepcząc niespokojnie, drudzy milcząc ponuro, a Czar-

niecki niecierpliwie łajał, ujrzał przeor wyjazd starosty i wystrzał, który powalił o ziemię biednego żołnierza.

— Patrzcie, — rzekł, wskazując na to — nie jest-li to palec Boży i przestroga! Przyszedł sypać niezgodę między nami i kula go śmiercią przestrzegła, że nie same doczesne rzeczy w rachunek życia wchodzić powinny. Cóż strach, co słabość nasza wobec sumienia, wiary i Boga? Bracia! korzmy się i pokutujmy, bośmy słabi jak dzieci, — wołał przeor — widziałem, jakeście chciwie chwytali słowa wężowe, słowa kusiciela, który jak dzieci straszył was i jak dzieci nakłaniał, gdzie chciał, widziałem serca wasze i płaczę. Dopóki tak niestali, a tak niewierni będziemy Bogu i sobie, jakże kraj niema płynąć krwią i łzami? Opamiętajcie się ludzie małego serca i wierzcie Bogu; większych on zwycięstw dokonał. Oto ubożuchny Syn przybrany cieśli z dwunastu prostaczkami, bez oręża krom słowa, podbił świat cały, a nie mógłby nas obronić?

— Lecz czy zechce? — cicho spytał Moszyński.

— Zechce, jeśli mu uwierzym, odrzuci małowiernych! ale tu i ludzka rachuba nawet tyle przestrachu płonnego wzbudzać w was nie powinna. Musimy się obronić i obronim się. Zimą sama odpędzi Millera, posiłki mogą nadejść od króla.

— Od króla, który ich sam nie ma? — rzekł pan Skórzewski.

— Bóg mu je da.

— Ale strzeżonego pan Bóg strzeże — dodał szlachcic.

— Wstyd słuchać takiej mowy, żal na nią odpowiadać. Zamknęliście się tu, ufając opiece Matki Bożej, ufajcież Jej do końca, a włos wam z głowy nie spadnie. Niedowiarków tylko, a nieszczerych Bóg ukarać może. Módlcie się, pracujcie i ufajcie.

Chciano coś mówić jeszcze, ale przeor wyszedł z sali. To wyjście powiodło za sobą mnichów, a szlachtę rozdzieliło na kilka kupek różnych jak zdania. Jedni już o traktowaniu zamyślali, drudzy jeszcze o obronie, inni chcieli przekonywać to, co zwali uporem Kordeckiego. Zamojski, który stale podzielał wiarę przeora, stał i milczał, gotując się na wspaniałą mowę; ale właśnie, gdy ją miał rozpocząć i już łacińskie wyrzucił założenie: *Tempus edax rerum...*, słuchacze mu się rozbiegli, tylko ksiądz Mielecki, mimo idący, usłyszawszy to zdanie, uśmiechnął się i dorzucił do niego drugie:

— *Tempora praeterunt more fluentis aquae,* napisano na zegarku księdza przeora, — rzekł żartobliwie — wszystko to minie, a co sobie u Pana Boga wysłużym, to nasze...

I tak się rozeszli.

VIII.

Wachler pracował silnie około knującej się zdrady, zmawiając się z Nathanem, który nocą podchodził pod basztę z poselstwy wejhardowemi; siał strach między łatwowiernym ludem i włócząc się od kortyny do kortyny, od baszty do baszty, w czasie gdy nikogo z główniejszych wodzów nie było, jednych zyskiwał sobie obietnicami, drugich postrachem. Niemal połowa załogi ujętą już była i przystała na poddanie się Szwedowi, upatrując zbawienia swego w Wachlerze. Niemiec, widząc, że mu się nad nadzieję wiedzie, aż zhardział, i już tylko wyglądał sposobnej chwili, żeby furtę oblegającym otworzyć: coraz mniej słuchał starszych, coraz opieszalej chodził około dział swoich, wcześnie się Szwedom wysługując. Oni tymczasem, nie doczekawszy się dział z Krakowa, bo te złemi drogi szły bardzo powolnie, szturmowali, jakiemi mogli, nie tylko dniem, ale już i nocą nie dając spokoju Jasnej Górze. Bezsenność, znużenie, nieustanna praca na dachach i murach, ciągła walka z tak przemagającą siłą do reszty wyzuła z odwagi lud najemny i większą część szlachty.

Już sieć zdrady zasnuta potajemnie od załogi poczynała rozszerzać się między schronionych w twierdzy. Kilku ludzi szepnęło coś o tem bojaźliwszej szlachcie, tchórze podali ręce. Znać też było ze zwolnionej obrony, z twarzy bladych i ostygłych, że początkowy zapał wygasał. Kordecki pierwszy to postrzegł, a raczej przeczuł.

Zamojski w podwładnych także doznawał tego oporu bezwładnej masy, która sobą kierować nie dawała; potrzeba było powtarzać rozkazy i większa ich część zostawała niespełnioną, lub nawpół tylko i niechętnie dokonaną. Najlepsze chęci dowódców rozbijały się o obojętność coraz widoczniejszą ludu. Czarniecki gniewał się i rzucał niecierpliwie, a czekan podnosząc, nieraz już chciał karcić, ale go Kordecki wstrzymywał jeszcze, wmawiając, że gwałt zraża raczej, niż jedna serca. Dla wszystkich wytrwałych widoczniejszą co chwila stawała się uknuta zdrada i niechęć załogi, ale nici do odkrycia spisku pochwycić nie było można.

Nazajutrz po bytności Kalińskiego, który wrażenie, jakie uczynił, potrafił odmalować i przedstawić w obozie potężnem, oblężeni ukazali się na murach bezsilni, potrwożeni, jakby już czekali rychło ich Szwedzi zagarną.

Rano wcisnęła się do klasztoru Konstancja i z niezwykłym pośpiechem krocząc, naprzód poszła do kaplicy na prymarję, potem pod Hanny okienko. Tu próżno wyjścia dziewczęcia czekała: Lassota był chory, Hanna wybiec nie mogła. Jakby sobie coś nagle przypomniała, ucałowawszy mur, zerwała się staruszka i popędziła w dziedziniec. Widocznie szukała tu kogoś; wtem znany głos przeora i biała jego suknia zwróciła ją ku niemu, pośpieszyła naprzeciw Kordeckiego, ze smutną twarzą idącego od kościoła na mury.

— Ojcze! — zawołała zadyszana, całując habit jego — czy pozwolicie biednej grzesznicy powiedzieć sobie słowo?

— Mów, dziecko moje, cóż ci to potrzeba?

— Mnie nic, ale mam coś ważnego do powiedzenia waszej przewielebności, — odpowiedziała Konstancja — tylko nie tu... nie trzeba, żeby nas słyszano.

— Wszak nikt nas nie słucha.

— O! mury uszy mają, gdy idzie o życie i losy ludzkie.

Przeor wyszedł z nią na środek dziedzińca, gdzie nikt rozmowy posłyszeć nie mógł, a stara poczęła ostrożnie i cicho:

— O tem miałam księdzu przeorowi powiedzieć, że się w twierdzy knuje zdrada.

— Jakże ty o tem wiesz? — zapytał niewzruszony Kordecki.

— Ja nocuję w furcie za murami, a w nocy słyszę, jak się ktoś podkrada i rozmawia tu, tylko z kim dojść nie mogłam.

— Jak ci się zdaje, któż to być może?...

— Zdaje mi się, że szwargoczą po niemiecku, ale trudno ich było zrozumieć i podchwycić. To pewna, że znoszą się Szwedzi z załogą, jak Bóg Bogiem prawda, niech ksiądz przeor ratuje i radzi.

— Niewieleżeś mnie nauczyła — rzekł Kordecki — i ja sam czegoś się domniemywałem; ale gdzież te rozmowy? w którem miejscu?

— Różnie, najczęściej od wschodnio-południowej strony, mój ojcze...

— A! a! Wachler! — szepnął przeor do siebie — dawno mi ten Niemiec podejrzany. Bóg ci zapłać, stara, poczciwa

sługo Matki Boskiej; idź, a nie mów nikomu... Pan Bóg ci nagrodzi twoją pracę.

To mówiąc, przeor żywiej pośpieszył na mury, wszedł na nie i prosto dążył do Czarnieckiego, który z obuszkiem latał i ludzi opieszałych do dział spędzał i do strzelnic; a już mu się i ofukiwali niektórzy i nie słuchało wielu, jakby rozkazów nie rozumieli. Czarniecki był w gniewie i furji, biegał od jednego do drugiego, posyłał szlachtę, a leniwszym się nawet po uszach dostawało. Kordecki odwołał go na stronę.

— Panie Pietrze, — rzekł — chodźcie-no z Zamojskim na radę do mnie, chwili niema do stracenia, zdrada się knuje, potrzeba o sobie myśleć.

Czarniecki aż się za głowę pochwycił, ale pomiarkował, że ten ruch zdradzić go może i udał, że czapki poprawia, ramionami rzucił, a choć stary, biegiem pośpieszył po pana miecznika; słowo mu tylko szepnął w ucho i razem żywo zwrócili się do klasztoru. Po drodze ściągnięto tych, którym więcej wierzono i już wchodzili w korytarze, gdy trąbka ozwała się u wrót pierwszych, zwiastując jakiegoś posłańca. Brat Paweł nadbiegł zdyszany i ucałował rękę przeora.

— A kto tam?

— Wczorajszy starosta, — rzekł braciszek — co z nim robić? chce pomówić.

— Zobaczyć, jak wczorajsze nasienie zeszło! — rzekł Kordecki — no, przyjmiemy go w bramie, wpuszczaj, bracie, i wstrzymaj go w swojej izbie.

To mówiąc, puściwszy przodem furtjana, poszli sami do bramy także i zastali już w ciasnej celce brata Pawła Kalińskiego uśmiechnionego, pełnego nadziei i zdającego wybierać się z nimi do wnętrza klasztoru.

— Daruj, panie, że cię tu tylko przyjmiemy, — rzekł Kordecki — czas nasz, godziny policzone, obrona i nabożeństwo zabierają, nie możemy korzystać z miłej jego prezencji. Co rozkażecie, panie starosto?

— Nic, chciałem się tylko dowiedzieć, póki pora jeszcze, czy nie mogę wam na co być przydatnym, ofiaruję się chętnie do pośredniczenia z Millerem.

— My jeszcze dzięki Bogu o tem nie myślimy — odpowiedział przeor.

— A! to bardzo winszuję, — odparł starosta — ale jeszcze raz pozwólcie sobie powiedzieć, źle radzicie, źle czynicie...

— Zostawcie nam z łaski swej pieczę o sobie — kwaśno a dumnie rzekł Zamojski.

— *Stat pro ratione voluntas,* — podchwycił Kaliński, odprawiony z kwitkiem — jeśli tak gardzicie moją dobrą chęcią, nie będę więcej natrętnym.

I zniechęcony odwrócił się szybko, myśląc, że go wstrzymają, gdy ich tak zastraszy, ale nikt o tem nie myślał i Kaliński wyszedł tak żywo z bramy, że jeszcze brat Paweł nie pośpiał zaryglować za nim, a już mu odryglowywać było potrzeba.

— A teraz do klasztoru, — zawołał przeor — kto ma Boga i wiarę w sercu, radźcie i pomóżcie.

W milczeniu przeszli dziedziniec i zgromadzili się wszyscy w celi przeora; tu już niespokojni otoczyli go kołem. Postawiono u drzwi Rudnickiego profesa, aby pilnował i nikogo nie wpuszczał bez oznajmienia, a przeor tak począł:

— *Periculum in mora,* zdradę mamy w klasztorze dojrzewającą; choć nie wiem spełna kto, co i jak, ale Bóg dopomoże i dowiemy się z Jego łaski reszty. Nieprzyjaciel ma związki z naszymi, nocne schadzki i zmowy pod murami, trzeba to przerwać, ukarać... Powiedzcie naprzód, nie podejrzewacie kogo?

— Wszystkich — rzekł gorąco Czarniecki — a zwłaszcza Niemców szołdrów. Już ja to widzę jasno, że jakieś licho się plecie, bo ani posłuszeństwa, ani ochoty, jak uciął od dni kilku.

— I ja postrzegam toż samo, — rzekł Zamojski — lecz nikogo mianować nie mogę i nie umiem, niemal wszyscy z załogi muszą być w spisku, od kilku dni nie wymodlić, nie wybić, nie wyłajać posłuszeństwa. Jak z kamienia idzie, ruszają się niechętnie, *servum pecus,* serca gdzie indziej, strzelają miękko, a ledwie z oka spuściwszy, już w podwórcu rady, szepty i jakieś konszachty.

— Jawno tedy, że zdrada jest — rzekł przeor — i wola Boża, może niesprawiedliwy jestem, ale mi coś mówi, że Wachler puszkarz jej sprawcą i głową.

Na te słowa wszyscy, jakby nagle światłem olśnieni, zawołali:

— Niechybnie on.

— Widziałem go, jak omamiał ludzi.

— Po nocach się włóczy i szepcze.

— Zewsząd do niego chodzą...

— Pozostaje nam sprawdzić to i zapobiec złemu — kończył przeor.

— Zawołać go tu, — rzekł Zamojski — zlęknie się.

— Taka była i myśl moja pierwsza, — odparł Kordecki — zasiądźcie wszyscy... pójdą po niego.

I wnet Rudnicki wysłał braciszka po Niemca, którego pozorem odebrania płacy zwabić miano.

Niespokój tymczasem wielki opanował przytomnych, twarze były zmienione, przestrach każdemu czuć się dawał, bo niebezpieczeństwo tajemniczością swą olbrzymiało w ich oczach; krzyki na murach zdawały się oznajmywać nieprzyjaciela, huk kul, wyrwanie miną wyłomu; przeor tylko zatopiony w myślach siedział milczący.

Wtem drzwi się otworzyły szeroko i wpuszczono Wachlera. Na widok siedzącej dokoła stołu starszyzny i przeora, którzy jakby go sądzić mieli, wszyscy surowemi twarzami zaraz się obrócili do niego, Niemiec zbladł jak chusta, zabełkotał niezrozumiale i chciał się nazad cofnąć za drzwi, jakby mu przyszła myśl ucieczki. Pomiarkował jednak, że wydałby się tem jednem i nadrabiając odwagą, postąpił krok, ale wejrzenie Kordeckiego, który z niego oka nie spuszczał i wzrok badający w nim topił, zmieszało go znowu, głowę pochylił, chciał się zawrócić, sam nie wiedział, co robił.

Głuche milczenie panowało w celi, wszyscy za przeorem wzrokiem go ścigali; pod wejrzeniami temi jak pod strzałami, coraz bardziej tracąc przytomność, zdrajca gwałtownie do drzwi się rzucił, złorzecząc.

— Wachler! — zawołał łagodnie przeor — odpowiadaj na zapytanie.

— Co, na co? na co ja mam odpowiadać? — bełkotał niezrozumiale puszkarz.

— Z kim, kiedy i jak ułożyłeś się o zdradę i poddanie Częstochowy?

Na te słowa, rzekłbyś, że piorun uderzył w Niemca, stał wryty, osłupiały, zdrętwiały. Pan Czarniecki przyskoczył ku niemu.

— Tak jest, szoldro jakiś! wszystko wiadomo! nie myśl mi się zapierać, a chcesz li życie unieść całe, mów mi tu zaraz prawdę; nie, to zaraz na gotową szubienicę!

Wachler padł na kolana i ręce złożył drżący, nim usta otworzył, już uznał się winnym. Pozostało go wybadać...

Przeor za ten cud dzięki Bogu składał.

Krzysztoporski posunął się ku niemu groźny, surowy, spełniając urząd indagatora, wziął kartę ze stołu i udawał, że z niej czyta.

— Mów — rzekł — jacy są spólnicy twojej zbrodni?

— Ja... darujcie... ja nic nie wiem... ja... Nathan...

I jąkając się, przerywając co chwila łzami, składając ręce, w obawie śmierci, którą uważał za niechybną, Wachler opowiedział, jak go skusił Nathan, jakie z sobą mieli zmomy i że już stanął układ o otworzenie furty i wpuszczenie nocą Szwedów.

Wszyscy zadrżeli.

Spisek, jak zaraza niewidocznie się rozchodząca i szerząca dotknieniem, oddechem, spojrzeniem niemal, jak posłaniec strachu, przez czas krótki rozpostarł się ogromnie. Cała niemal załoga cudzoziemska, wszyscy najemnicy, kilku nawet szlachty należeli do niego. Wejhard uwiadomiony o liczbie, umawiał się, rachował na nich. Niewysłowionym strachem to cudowne odkrycie mającej już wybuchnąć zmowy przejęło wszystkich, jeden Kordecki pozostał niewzruszony, odnosząc to, jak wszystko, do Boga. Wyprowadzono Wachlera pod strażą i osadzono tymczasem w celi pustej, na jego miejscu innego do dział wyznaczywszy.

Zamojski, Czarniecki, Krzysztoporski, kilku innych świeckich i księży pozostali radzić, co czynić pozostawało. Czarniecki przebaczyć nie chciał.

— Niemca, ojcze przeorze dobrodzieju,—rzekł żwawo— na murach koło baszty powiesić, niech dynda *ad salutare exemplum*, od tego nie odstępuję, potrzebne dla postrachu...

Wszyscy poszli za jego zdaniem, oprócz Kordeckiego.

— Dość będzie go wygnać z fortecy, — rzekł — a z nim i głównych spólników jego...

— I samym się pozostać? — spytał Zamojski — to być nie może.

— Gdy tylko przewódcę ukarzemy, reszta — pochwycił Czarniecki — kajać się musi, aby tylko Niemca powiesić, *rogo et obsecro*. Reszty tych trutniów z oka nie spuścim i pilnować będziemy.

— Niechętnym zresztą — rzekł Krzysztoporski — podwoić płacę, zachęcić ich nagrodą, a strzec ciągle my i księża nieodstępnie będziemy przy działach i na murach, dniem i nocą. Wszystkie stanowiska obsadzone być mogą przez pół szlachtę i księżmi co młodszymi i silniejszymi; na nikogo się nie spuszczać i nikomu nie ufać... oto moja rada.

— I na nowo wziąć przysięgę z załogi, że do ostatniej kropli krwi bronić się będą — zawołał Zamojski.

— Ale co z Niemcem zrobić?

— Puścić go i wypędzić — rzekł przeor.

— Jakto? żeby o stanie fortecy, murów, o duchu załogi i o wszystkich okolicznościach, tyczących się nas, dał nieprzyjacielowi wiadomość? to być nie może!

— Puścić! — powtórzył Kordecki — wiedzą oni i bez niego, jak się mamy; wieszać go nie pozwolę, dość i tak ludu ginie, zostawmy go zgryzotom sumienia i oddajmy Szwedowi, którego pokochał...

— *Magnanimitus* piękna ale zbyteczna, — odezwał się Czarniecki — gdyby tak na mnie, dyndałby szołdra na murach, spólnikówbym przećwiczył co dziesiątego i takby służyli aż miło.

— Ale pamiętajcie, panie Pietrze, żeśmy nie żołnierze a księża, karać nie nasza rzecz; niech truteń idzie precz z ula, dość dla niego kary. Co się tyczy załogi, dobra była rada p. Zamojskiego; przebaczyć musim i pilnować będziem. Każcie, proszę, zwołać wszystkich w podwórze, trzeba się z nimi rozmówić.

Już po twierdzy, gdy postrzeżono długą nieobecność Wachlera, wezwanego do klasztoru, trwoga szerzyć się zaczynała; spiskowi domyślali się odkrycia występku i obawiali kary. Przeczuwając coś, biegli przerażeni, niepewni, co z sobą czynić mieli, ale ich z oka nie spuszczano. Gdy posłyszano rozkaz, żeby się wszystek lud zgromadził w podwórzu, pobladły twarze winnych i zabiły serca. Kilku chcieli uciekać furtką, dwóch poczęli się już spuszczać z murów; reszta, objęta, posłuszną być musiała i szła jak na ścięcie. W towarzystwie kilku księży i dowódców przeor z krzyżem w ręku wyszedł do zgromadzonych, spojrzał po twarzach zlękłych żołdaków i tak się odezwał:

— Uknuto zdradę, ale Bóg ją odkrył, wiemy, kto do spisku należał, bo przewódca jego schwytany, jest w ręku naszym. Niech Bóg ukarze lub przebaczy tym, którzy przeciwko Niemu, przeciw przysiędze swojej i sumieniu postąpili, my obłąkanych sumieniu własnemu zostawujemy. Słuchajcie i korzcie się, dzieci moje! Głowa tej niepoczciwej zdrady przeciwko miejscu świętemu odepchniętą zostanie i wyłączoną z pomiędzy nas; wy macie czas opamiętać się i nagrodzić gorliwością złe, któreście uczynić zamierzali. Nieszczęsna bojaźń oślepiła was; myślicież, że wpuszczając

tu Szweda, bylibyście osłonili się od mordu, współbraci tylko na rzeź i okup swój wydając? Nie — padlibyście razem z nimi. Ale Bóg nie chciał zguby wszystkich, bo opieka Jego wyraźna czuwa nad nami.

Czarniecki, nie mogąc wytrwać, przerwał:

— Słowem, ksiądz przeor przebacza na ten raz niepoczciwość waszą, ale na znak najmniejszej złej woli, na najlżejsze podejrzenie żołnierskiem i szlacheckiem słowem upewniam, że zdrajcom przepuszczono nie będzie i powywieszać ich każem. A zatem posłuszeństwo nadal.

— Rozporządźcie według myśli waszej, — odezwał się Kordecki do Zamojskiego i pana Piotra — potrzeba podejrzanych oddać pod dozór najmocniejszy.

— Przeliczyć piechotę, — rzekł Zamojski żywo — rozdzielimy ją na oddziały, do każdego stanowiska dziesięciu szlachty i dziesięciu zakonników dodamy dla pilności...

— Płacę waszą—dodał Kordecki—powiększam w dwójnasób i dziś ją zgóry wypłacić polecę; ale mi złożycie przysięgę, że do ostatniej kropli krwi bronić będziecie tego przytułku Matki Bożej, gdzie się schronił ostatek wiary przed napaścią heretyków. Idźcie Boga prosić o przebaczenie, za mną do kościoła!

To mówiąc, zwrócił się ku murom, wiodąc tłum za sobą milczący, na którego twarzach różne i dziwne malowały się uczucia. Przebaczenie to gorzej kary zgromiło i upokorzyło; wstyd i gniew na tych, co przywiedli do zdrady, przejęły obłąkanych; jęli się żywo tłumaczyć i uniewinniać, jedni na drugich składając winę, wszyscy na Wachlera, otoczyli przeora i gwarnie poprzysięgali wierność i posłuszeństwo.

— Myśmy niewinni! ojcze! to Niemiec! wciągnęli nas, zdurzyli!

— Ja nie należałem — mówił inny.

— Jam do końca ich gromił...

— Ja chciałem nawet donieść, ojcze przełożony...

— Co było, stało się, opłakiwać potrzeba, że i tu, w tej gromadce musiała być zdrada. Do kościoła, twarzą przed ołtarzem Matki Boskiej padnijcie, Ją o przebaczenie proście, boście Ją obrazili, módlcie się, żałujcie i poprawcie.

To mówiąc, prowadził ich przed ołtarz i wszystek ten tłum wylękły i niespokojny ukląkł pokornie, nową zagrzany gorliwością, pragnąc co rychlej zmazać występek swój męstwem i pracą.

Dwóch księży wyznaczono do odebrania nowej przysięgi po nabożeństwie. Kordecki tymczasem kazał dzwonić do definitorjum i wszystkim tu zebrać się zakonnikom.

— Ojcowie, — rzekł do zgromadzonych — w wielkich razach wielkich należy użyć środków; nie dosyć pracowaliśmy jeszcze, Matka Boża chce z nas mieć stróżów pilniejszych i prawdziwych żołnierzy. Zdrada uknuta groziła nam przed godziną wydaniem w ręce nieprzyjaciela na rzeź i rabunek; Opatrzność ją wskazała i wyrwała jej żądło, umiejmy się na przyszłość od niebezpieczeństw podobnych obwarować. Czterdziestu z nas silniejszych i młodszych na cztery stanowiska rozdzielić się musi, by z oka już nie spuszczać puszkarzy i załogi. Starsi tylko odtąd, których wiek uwalnia, zostaną obowiązani do chóru północnego, młodsi, mieniając się, na dzienne i nocne modlitwy, wedle reguły naszej pilnować ich będą... Nie wzdragajmy się pracy na chwałę Bożą, nie skarżmy się i nie frasujmy. W tej chwili oczy kraju całego zwrócone są na Jasną Górę, myśmy od Boga wyznaczonym przykładem, myśmy szkopułem, o który się rozbije moc Szweda...

Wszyscy skłonili głowy, nikt od rozporządzeń nie śmiał się wymawiać.

— Działa i zapasy powierzam w dozór ojcu Piotrowi (Lassocie). Nie chciałeś wojny, ale ją znosisz mężnem sercem, pracując gorliwie; oddaję ci, co mamy w tej chwili najdroższego, bo narzędzie naszej obrony... Wy starsi, ojcowie Ignacy i Kazimierzu, do gaszenia ogniów z ludźmi przeznaczeni jesteście, bo wam ciężkoby było do boju, a i tu pilność konieczna, a samej czeladzi zaufać już nie można. O. Marceli (Dobrosz) z ojcem Małachowskim wezmą na się ogólny dozór murów i stanowisk, inspekcję całej twierdzy. Dotąd ufaliśmy szczęściu i opiece Matki Bożej, której nowy dowód dziś mamy, ale przy ufności należy też z nas każdemu, siebie nie szczędząc, pracować z ludem.

— Ojcowie, bracia! — zawołał w ostatku Kordecki — na macierzyński żywot Najświętszej Marji Panny, który nosił Zbawiciela świata, na mękę Syna Bożego i cierniową Jego koronę, na zbawienie wasze, na życie przyszłe, zaklinam was, proszę, błagam, nie upadajcie na duchu. Wielki i potężny Pan Zastępów, ufajmy Mu! myśmy wśród tej nieszczęśliwej krainy przykładem, otuchą dla tych, co jeszcze w zginienie ostatnie nie wierzą i zmartwychwstania oczekują! Kto wie, czy w tej garści mnichów bezsilnych nie spo-

czywają losy Rzeczypospolitej, czy my nie jesteśmy punktem, od którego zmieni się szczęście nieprzyjaciół naszych. Nie opuszczajmy sprawy, którą przysięgliśmy bronić, ze strachu, z braku wiary, dla mizernego spokoju doczesnego... a wielkie będzie dzieło wasze... Kto się nie czuje na siłach, bracia mili, niech powie, niech się usunie; pożałuję go jako obłąkanego brata, ale mu przebaczę; nam potrzeba mężnych i wytrwałych...

Na to wezwanie nikt nie odpowiedział, owszem, wszyscy niemal wołali:

— Co każesz, spełnim ochotnie, życie nasze w ręku Boga. Praca nie oderwie nas od modlitwy, bo dusza zakonnika zawsze się modlić powinna i może.

— Za mną więc, kto siły w sobie czuje, za mną, bracia.

I wyszli procesjonalnie po dwóch, a Kordecki powiódł ich wprost na mury, ochoczy, rozjaśniony, promieniejący nową odwagą, którą wszystkich natchnąć umiał. Zastali całą szlachtę zgromadzoną w podwórcu i oczekującą na nowe rozporządzenia, słuch o zdradzie już się był rozszedł wszędzie i wzbudził przerażenie największe: kobiety, starcy, dzieci, kto tylko schronił się do Częstochowy, wysypali się wszyscy w dziedzińce i ze łzami otoczyli przeora, jak tylko go postrzegli.

— Ojcze, nie opuszczaj nas, nie oddawaj w ręce nieprzyjaciół, zdrada, nieszczęście!

— Co się stało? — wołali inni — gdzie zdrada, wskażcie nam winnych!

— Nic, nic, dzieci moje, bądźcie spokojni i wracajcie do swych zatrudnień; kto dźwignie broń, kto użytecznym być może, na mury z nami, reszta módlcie się i siedźcie — waszym orężem modlitwa. Nie obawiajcie się, Bóg łaskaw!

— A! zmiłujcie się, — zawołała jedna z niewiast, całując ręce przeora — nie pozwalajcie oddawać nas Szwedowi...

— Nie! nie! będziemy się bronić do upadłego, — odparł Kordecki — nic wam nie grozi, rozchodźcie się i nie trwóżcie, a kto pomóc może, niech rąk nie żałuje... Wy, panowie bracia, — obrócił się do szlachty — wraz z nami na stanowiska; złożyliście w murach twierdzy, coście mieli najdroższego, żony i dzieci wasze, brońcież ich z nami razem.

Tu jął wyznaczać dowódców, a każda kupka szlachty i zakonników poszła strzec swej dzielnicy na kortynie. Pan Zygmunt Moszyński z ojcem Hilarym Sławoszewskim stać mieli od wschodo-północy u tej baszty, której Wachler pil-

nował wprzódy; od zachodu polecono straż Mikołajowi Krzysztoporskiemu i ojcu Ignacemu Mieleckiemu, mnichowi-żołnierzowi, który jeszcze dawnego nie zabył rzemiosła; od wschodo-południa był pan Piotr Czarniecki i ksiądz Adam Stypulski, od zachodo-południa Jan Skórzewski i ojciec Daniel Rychtalski.

Pobłogosławieni przez przeora rozeszli się wszyscy z nową gorliwością do pracy, ksiądz Piotr Lassota, mający prochy i działa w dozorze, był także nocnym stróżem ogniów na murach i wieży. Panu miecznikowi Zamojskiemu z ojcem Ludwikiem Czarnieckim, bratem pana Piotra, milczącym, ale zimnowytrwałego charakteru mężem, zwierzchnia władza oddana została, nad którą kierunek przeorowi powierzali chętnie wszyscy, czując jego wyższość nad sobą. Mury nowy całkiem przedstawiały widok, jakgdyby załoga świeża, lud krzepki i nie znużony jeszcze wszedł na nie, bo duch nowy ożywiał każdego, i wodzowie poczuli, jednocząc się z nim, że znowu serca biły zgodnie i silnie; że załoga wróciła do spójnej, potężnej całości z nimi. Zwątpienie już na żadnej nie ukazywało się twarzy; każdy patrzał skinienia, biegł, garnął się, leciał, starał pociągnąć za sobą drugich i okazać, że nic dla niego trudnem nie będzie. Białe habity paulinów po raz pierwszy gęsto powiewały na murach i przy działach, i mężowie zakonni z różańcem w ręku, z krzyżami w dłoni, oparli się o oręż, czoło pobożne podnosząc przeciwko nieprzyjacielowi z zimną pogardą śmierci. To rozporządzenie przeora wielki zaraz i widoczny sprawiło skutek; bo dozór księży i szlachty nieustanny ogarnął duchem ufności i męstwa lud, który sam sobie zostawiony wątpił i trwożył się bez przyczyny.

Pod pilną pieczą starszych, pod okiem kapłanów, każdy dreszcz potajemny, każde słowo bojaźliwe wnet uleczone być mogły i zdawało się, że nic nie potrafi pożyć chrztem przebaczenia umocnionych żołnierzy. Ale słabe! słabe są serca ludzkie.

IX.

Pozostało rozrządzić losem Wachlera, a spór był wielki między szlachtą i zakonnikami o niego. Przeor chciał go koniecznie wygnać, dowodząc Szwedom, że jeden zdrajca nic dla nich nie znaczy, że gardzą podobnemi spiskami i nie

obawiają się nawet tego, co o stanie twierdzy powiedzieć im może. Zamojski życzył go zatrzymać w więzieniu do końca oblężenia, a Czarniecki uparcie dopraszał się o powieszenie. Martwy ze strachu, gotował się na śmierć zdrajca i ochłonąwszy nieco z pierwszego odrętwienia, wpadał w złość, miotając się bezsilnym gniewem, rzucając do drzwi i okien, grożąc murom Szwedami i pomstą Wejharda. Około południa otworzyły się drzwi i Wachler myślał, że go już powiodą na stracenie, upatrywał tylko kata. Ukazał mu się brat Paweł furtjan, a za nim dwóch pachołków...

— Chodź! — zawołali na Niemca.

Przelękły chwycił się za kraty okna i wrzeszczeć począł, wzywając ratunku, tak że go oderwać musiano gwałtem i gwałtem pociągniono do bramy. Bronił się jeszcze w dziedzińcu, aż gdy ujrzał, że go do wrót prowadzą, nieco ochłonął. Niepewien jednak jeszcze, co z nim zrobią, aż do otwarcia furty, ujrzawszy się swobodnym, bo go tylko pogardliwie wypchnięto za mury, wśród świstu kul, odzyskał przytomność i szybko uciekać zaczął ku obozowi szwedzkiemu.

Wejhard właśnie rozmawiał z Nathanem i budowali sobie łatwe zamki na lodzie, że jutro Częstochowę zdradą owładną, i hrabia już w myśli triumfował nad Millerem, który go dotąd obwiniał o zwodne łudzenie fałszami i karmienie urojoną nadzieją, gdy niespodzianie ukazał się u drzwi namiotu wylękły, blady, odarty, zdyszany Wachler.

Nathan osłupiał z podziwienia.

— Co to się stało? — zawołał.

Wachler padł na ziemię znużony.

— Co to za człowiek? — spytał Wejhard.

— A! to nasz puszkarz z Jasnej Góry!

— Cóż tu robi po dniu?

— Nie rozumiem, dopytać się go potrzeba.

Ale długo słowa z niego dobyć nie było można; aż wreszcie, bolejąc naprzód nad stratą manatków, w twierdzy pozostałych, nad swojem nieszczęściem, klnąc Nathana i podmowę jego, począł gadać; ale mówił jakby sam do siebie, nie zważając na Wejharda, a rozżalając się nad położeniem własnem. Był to rodzaj obłąkania, ostatek strachu i obudzona żałość nad stratami, wyrażające się z całą siłą niepohamowanego egoizmu.

Wejhard, porozumiawszy łatwo, że zamiary jego na niczem spełzły, zasępił się, rzucił ramionami z gniewu i wszedł

do głębi namiotu, zostawując Nathana ze zbiegiem. Ale wprędce powrócił nazad.

— Wstrzymać go tu, — rzekł do swoich ludzi — dać mu przytułek, człowiek ten zdać się nam może.

Stał już koń osiodłany, skoczył nań hrabia i pośpieszył do Millera.

Miller był przy górnikach, co minę kopali, potem ruszył objeżdżać Jasną Górę, po raz może dziesiąty upatrując na murach, gdzieby się łatwiej wyłom dał zrobić, i w ten punkt chcąc wszystkie działa swoje skierować. W pierwszej chwili, przybywszy, lekce sobie ważył twierdzę i jej obrońców, gniew też nim miotał, gdy tyle czasu tracił na dobycie tego, jak go nazywał, kurnika; dziś już widząc, że z ludem mężnym, z żołnierzem wprawnym i z mocnym dosyć zamkiem ma do czynienia, uważniej działać poczynał. Wycieczka z Częstochowy nauczyła go, że nie z samymi mnichami prowadzi wojnę.

Zobaczywszy Wejharda podjeżdżającego, który mu zawsze krew psuł, odwrócił się z widoczną niechęcią. Hrabia miał dobrą minę, choć w sercu był zły i smutny, postanowił inaczej rzecz malować, niż była, i z Wachlera uczynić Millerowi rzecz wielką, a sobie zasługę. Panując doskonale nad wyrazem twarzy, rozjaśnił ją i pozdrowił generała bardzo wesoło.

— A co? poddają się? — rzekł Miller, szydząc.

— Poddadzą — odparł Wejhard z uśmiechem tajemniczym.

— Jakoż są i znaki przepowiednie! strzelają!

— Są znaki i bardzo widoczne!

— Nie moglibyście wytłumaczyć mi, jakie?

— Zdaje mi się, że kiedy im najlepsi puszkarze uciekają z twierdzy... to coś znaczy.

— Gdzież? jacy? — odwrócił się Szwed.

— Jednego już mamy.

— Gdzież jest?

— U mnie, zwabiłem go nadzieją dobrej zapłaty i mnisi już na tej baszcie (wskazał palcem) nie mają kogo przy działach postawić. Mniej jednym umiejętnym człowiekiem i to wiele; a co lepiej, przynosi nam szczegółowe wiadomości o stanie ducha i murów: załoga niechętna, buntują się ludzie, mnisi tylko i szlachta za łeb ich trzymają; co chwila można się spodziewać, że nam bramy otworzą.

Z niedowierzaniem słuchał generał opowiadania i głową kiwał.

— A jednak — rzekł — od tej baszty opuszczonej dobrego ognia na nas dają!

— A! oczywiście, — odparł Wejhard — muszą się maskować i to już pewnie postawili, co mieli najlepszego; ale zawsze odebraliśmy im prawą rękę, jest to cudzoziemiec. Polacy z szablą w ręku a w polu zuchy, ale u dział a w kąt zaparci na długo, nie wytrzymają, pośpią się zaraz lub pokłócą.

— No, i gdzież ten Niemiec tak ważny? — spytał wódz.

— U mnie w namiocie.

— Nacóżeście go sobie przywłaszczyli? — rzekł posępnie Miller — dawajcie nam go tutaj.

— Każę go odstawić do waszej kwatery, panie generale, teraz jeszcze nie przyszedł do siebie, bo uciekającego gonili podobno wystrzałami i ledwie z życiem uszedł.

— Jakto? uciekł tak w biały dzień?

I pokiwał głową Miller z niedowierzaniem.

Wtem dwa białe habity zakonne ukazały się zdaleka od twierdzy. Wejhard pierwszy je spostrzegł i, korzystając z tego, odwróciwszy się zaraz, jakby ich nie widział, mówił:

— To pewna, że ta ucieczka dobrze nam wróży i niechybnie dziś parlamentarzy od nich mieć będziemy, twierdza się podda.

To rzekłszy, uskoczył nabok w stronę przeciwną, a Miller nierychło potem postrzegł sam zbliżających się księży.

— A! a! zgadł ten lis, jeśli ich nie widział, — rzekł, zacierając ręce — przecież może skończy się ten wstyd; rozrachujemy z papistami! — Twarz mu się rozśmiała z radości. — Boć wstyd — szeptał sam do siebie — tak długo tysiącom z kupką mnichów się targać.

I rozkazał Wejharda nazad przywołać, bo mnisi się zbliżali, chciał go mieć do pomocy; zsiadł z konia, rzucił się na podesłany dywdyk i czekał. Posłańcy już byli o kilka kroków. Ich postawy pokorne, twarze frasobliwe i blade zdawały się dowodzić, że przyszli w istocie prosić a błagać przebaczenia. Byli to ksiądz Dobrosz i Stawiski.

Już samo ich ukazanie się usposabiało Millera do dobrego humoru, czas był piękny, a dotąd trwały mgły i słoty; generał zjadł smaczno śniadanie i jakoś mu się twarz śmiała. Ujrzawszy paulinów, powitał ich grzecznie łaciną, której trochę umiał.

— A co? dokuczyło wam, nie wasza rzecz, — rzekł, przeciwko zwyczajowi uprzejmie się kłaniając — pomiarkowaliście się.

Mnisi pokornie powitanie mu oddali.

— Panie generale, — rzekł ksiądz Dobrosz — istotnie, wojna nie nasze rzemiosło, radzibyśmy jej co najprędzej poprzestać, ale cóż robić z musu.

— Poddajcież się! — zawołał Miller — niema na to innej rady. Częstochowę mieć musimy.

— Ale warunki? — spytał ksiądz Dobrosz.

— No, spiszcie mi swoje, a pogadamy, — dodał Szwed — ja tymczasem moje przygotować każę. I nie obawiajcie się mnie, jak wilka, bomci to i ja człowiek, a niektórzy nawet mówią, że niezgorszy.

To mówiąc, skinął na pachołę swoje, żeby podał wina i prosił nawet ojców wypić za swoje zdrowie. Tak niezwykłe przyjęcie przejmowało ich zdziwieniem; nie wiedzieli, że Miller mógł być tak uprzejmym i miłym. Tymczasem zbliżył się i Wejhard nie bez wahania i całkiem w innej postaci, niżeli przed chwilą z Millerem rozmawiał; rzucił wejrzenie ostre i groźne na mnichów, ani ich pozdrawiając, ani się do nich odezwawszy. Ojciec Dobrosz skłonił mu się nisko, on pogardliwie odwrócił z pańską dumą.

— Prawdę mówiłeś, — rzekł generał, obracając się do niego — dobry z ciebie prorok, hrabio, otóż i są.

Wejhard milczał, wiedział on może lepiej od Millera, że ci posłowie nowe zwłoki zwiastują, nowem są sidłem; obawiał się przytem, by o Wachlerze całej nie powiedzieli prawdy i dlatego starał się ich pozbyć co najprędzej.

Miller jednak nie odstąpił od poczęstowania, usiłując okazać ludzkim, grzecznym, powolnym i skarbiąc, jak sądził, serca mnichów.

Odprawieni z tem, aby punkta swoje przynieśli, wrócili niebawiąc do klasztoru. Przeor czekał na nich u furty; sam bowiem wysłał ich, chcąc wygrać na czasie, postanowił zaś, sił swych szczędząc, traktowaniem przeciągać o ile możności. Wejhard wiedział, a raczej domyślał się, na czem to się skończy, ale mówić nie chciał, uwodząc Millera rychłem poddaniem.

— A co? — spytał Kordecki powracających.

— Nowa całkiem rzeczy postać, — odparł, śmiejąc się, ksiądz Dobrosz — jak my pokorni, tak on grzeczny; nie fukał, nie groził, nie bił, nie łajał, ale częstował, pił zdrowie

nasze, kazał wychylać swoje, jakby chciał nas z sobą oswoić, ośmielić i zbliżyć do siebie. Ale na biedę tej słodyczy wierzyć trudno.

— No? a o Wachlerze?

— Cicho o nim, ani słowa.

— A Wejharda widzieliście?

— Posępny, groźny.

— Nie dziw, robota się, dzięki Bogu, nie udała. Cóż wam powiedział Miller?

— Przynieście nam punkta swoje.

— Zapewne! — zaśmiał się Kordecki — a nużby się na nie zgodził, wpadlibyśmy w matnię. Nam tylko uciśnionym o godziny chodzi, które liczymy. Jutro więc posłać wypadnie znowu, prosząc, by nam dał swoje warunki. Aby dalej, aby dalej, a Bóg na końcu okaże moc swoją.

To mówiąc, weselszy, poszedł z nimi do klasztoru. Ojciec Dobrosz, nie znużony, udał się zaraz na mury, towarzyszyć w dozorze panu Małachowskiemu, a ksiądz Stawiski na wieczorne nabożeństwo do chóru.

X.

W izdebce Lassoty cicho było i smutno; starzec, wstrząśniony ucieczką z domu i doznanemi wrażeniami, codziennie przestraszany pogłoskami, które to poddanie się, to szturmy, to zdrady wróżyły, leżał, nie wstając z pościeli. Przy nim siedziała nieodstępna Hanna, to go ciesząc, to z nim płacząc. Rzadko tylko biedne dziecko wybiegło z rana do kościoła, śpiesząc z modlitwą, by do dziada wrócić; a wieczorem, gdy czasem brat pana Jana, ksiądz Piotr, nadszedł na chwilę, wymykała się stanąć na progu sieni, odetchnąć świeżem powietrzem i podumać swobodniej. Przy starcu i westchnąć się obawiała, aby go nie zastraszyć i nie przysporzyć mu boleści. Owszem, zmyślała wesele, uśmiechała się, podskakiwała, opowiadając mu baśnie, jak dziecięciu.

Wieczorem prawie codzień przychodziła też pod ścianę stara żebraczka, siadała i czekała na ukazanie się Hanny.

I dziewczę osamotnione oswoiło się z nią prędko, a nie mając nikogo, przywiązało się do Kostuchy. Stara przynosiła jej świeże wieści, które ubierała po swojemu, aby nie wystraszyć jej zbytecznie, i z dziennych wypadków pogadanki. Czasem rozpytywała Hannę o jej życie, o dziada,

o dom, a gdy dziewczę poczęło malować spokojne ubóstwo swoje i dworek, i ogródek, i wiejskie życie jak wianek różany wonne, barwne i jak on z liścia, kwiata i ciernia złożone, to się starucha rozkwiliła nieraz i jakby ją to za serce chwytało, poczynała płakać i śmiać się naprzemian, przysuwała nieznacznie do dziecka, czepiała się jej sukienki, całowała po nogach; ów ułamek chleba od pierwszego wieczora z piersi jej nie schodził, a jeszcze niczem za niego wywdzięczyć się nie mogła, i to ją bolało widać.

Ale czemże mogła wywdzięczyć się żebraczka. Chodziła, dumała, długo nadaremnie. Jednego dnia oddała dziecięciu medalik z Najświętszą Panną, po który aż do Częstochowy, do miasteczka przez obóz szwedzki, wśród kul i żołnierstwa chodziła; teraz już nie wiedziała, co przynieść swej Hannie. I wieczorem wkradła się biedna do szklarni klasztornej, w której ojcowie hodowali trochę zieleni i kwiatów, dla przystrajania ołtarza na święta; narwała szybko w fartuch, co jej pod rękę wpadło, i z tą zdobyczą przybiegła żywo pod okienko.

Hanna była przy dziadzie, a nie mając co, opowiadała mu o żebraczce, która tak dziwnie do niej się przywiązała. Stary słuchał i zdawał się niespokojny; ta tak nagła, tak silna wdzięczność za chleba kawałek zdawała mu się niezwyczajna; postanowił brata zapytać o starą kobietę, którą wszyscy znali w Częstochowie, a Hanna poświadczała o tem, bo widziała, jak ją każdy przechodzący witał.

Posłyszawszy szelest u okna, dziewczę wybiegło i w progu spotkało z kwiatami staruszkę.

— Naż ci, moje dziecko drogie, — szybko odezwała się Konstancja, całując róg jej sukienki — schowaj, bo zdaje mi się, że ksiądz Piotr idzie, a to kradzione...

Zawinęła się i wymknęła szybko, jakoż i ksiądz Lassota wchodził na próg, zobaczył zaraz kwiatki u Hanny i spytał ją, skąd ich dostała.

— A! to ta staruszka mi przyniosła — odpowiedziało zaskoczone dziecię.

I weszli razem do izdebki Jana.

— Właśnie o tę starą żebraczkę miałem się ciebie spytać, bracie, — podnosząc się z łoża, rzekł chory — bo to coś ekstraordynaryjnego, przywiązała się do Handzi i codzień do niej przychodzi; przyniosła jej pozawczoraj medalik, dziś widzę kwiatki. Co to za kobieta?

I stary, mówiąc to, dźwigał się, a oczy mu jaśniały jakby ciekawością i przestrachem jakimś.

— Dawno ona tu w Częstochowie? — dodał żywiej.

— Doprawdy, że nie wiem, — odpowiedział ksiądz Piotr — to tylko pewna, że osobliwsze z niej stworzenie, zdaje się, że ma umysł cokolwiek pomieszany; jałmużny nie bierze, lub rozdaje ją między ubogich, nocuje i teraz w fosie pod gołem niebem, a kule nam szwedzkie, od murów odbite, zbiera i przynosi codziennie. Czasem aż do zbytku wesoła, ale spokojne to pomieszanie, nikomu nie szkodzi; stara pobożna i stateczna, obawiać się jej niema czego. Zowią ją tu sługą Matki Boskiej, to i ona tak się najczęściej tytułuje.

Lassota zamilkł i powoli opadł na łóżko; rozmowa w inny zeszła przedmiot: mówiono o oblężeniu, o zdradzie, o nowych przeora rozporządzeniach; a że to gorąco zajmowało wszystkich, zapomniano o starej. Izba, w której mieszkał Jan Lassota, szczególnem trafu zrządzeniem wychodziła oknem i drzwiami ku tej części murów właśnie, na której Krzysztoporski z o. Mieleckim dozór mieli. Z blankowania łatwo było widzieć drzwi izdebki, kto do niej wchodził lub wychodził, a Krzysztoporski często też wpatrywał się w piękną Hannę, której twarzyczka zdawała się coraz to nowy budzić w nim niepokój, nową jakąś wywoływać zgryzotę. Patrzał na nią jakby mimowolnie, odwracał się, potęgą woli panując sobie, i znowu poglądał chciwie. Parę razy przemknęła mu się i stara Konstancja, na której z Handzią rozmowy i pieszczoty, ukrywszy się za węgieł bastjonu, z gniewem się wpatrywał. Wszyscy postrzegli po niejakim czasie odmianę w tym człowieku. Dumny, groźny, surowy i milczący zawsze, zdawał się teraz dwakroć jeszcze zajadlejszym do boju, szukał niebezpieczeństwa, narażał się na nie, a dniem i nocą pracując, jakby się chciał złamać pracą, pokonać trudem; gdy inni spoczywali, chodził, sam pełniąc straże. I wśród głuchej nocy, gdy po murach wiatr jesienny szeleścił, gdy krzyki warty i chód jej powolny uszu tylko dochodziły, stawał z założonemi rękoma naprzeciw okna Lassoty, w którem się zawsze przy chorym świeciło, zgrzytał zębami, nieraz pięść ściśnioną wyciągając ku niemu w ciemności.

Ojciec Mielecki, wesół z natury i rubacha, wcale był nierad towarzyszowi, z którym ani się rozmówić, ani pośmiać nie było można; ten ledwie słowo konieczne wybąknął, odwracał się zaraz i milczał. Ale cóż było robić? począł praco-

wać nad udobruchaniem pana Krzysztoporskiego, choć mu szło jak z kamienia.

Żebraczka była przedmiotem szczególnej baczności Krzysztoporskiego; poglądał na nią jak na niepokojącą zagadkę; spytał nawet parę razy księdza Mieleckiego, który mu tyle powiedział, co ksiądz Lassota bratu; nic nie dowiedziawszy się, z oka jej jednak nie spuszczał. Dziwił się, że ją tak puszczano samopas z klasztoru i do klasztoru swobodnie o każdej godzinie, a gdy rozmawiała z Handzią, nadstawiał i wytężał ucha, rzucając się niespokojnie. Szukał potem zręczności, żeby się zbliżyć do tej tajemniczej postaci, ale jak on jej szukał, ona zdawała go unikać. Ledwo postrzegła zdaleka, wsuwała się to do kościoła, to do bramy, to do mieszkań śpiesząc. Napróżno usiłował się z nią spotkać; zawsze mu się wyślizgiwała.

Nareszcie dnia tego, gdy rzuciwszy kwiatki, odbiegła, szybko uchodząc od księdza Lassoty, Krzysztoporski zaparł jej drogę i wpatrując się chmurnem okiem w odartą żebraczkę, zawołał grzmiąco:

— Stój! dokąd?

— To ja! — drżącym głosem w początku odpowiedziała schwytana, lecz, jakby przypomniała sobie zaraz swoją wesołość zwykłą, dodała raźniej: — sługa Matki Boskiej, stara żebraczka, czego pan ode mnie chcesz? kule już poodawałam...

— Dokądże się tak po złodziejsku wymykasz? — spytał, okiem ją mierząc, Krzysztoporski, ona tymczasem wstrząśnieniem głowy chustę sobie na oczy zarzuciła, żeby jej w twarz nie mógł spojrzeć.

— E! puść-że bo, panie, nie mam czasu — idę do kościoła!

Szlachcic ciągle się wpatrywał, ale gdy miał w oczy zajrzeć, wyrwała się od niego, wołając:

— Cóżto? czy już w Częstochowie sługi Matki Boskiej nie znają? czy co? Co to ja Szwed przebrany! Nie, kochanku, — dodała z przymuszonym śmiechem — nie jestem Szwedem, ani heretykiem.

Ojciec Mielecki, który z murów patrzał na to, zawołał w tej chwili:

— E! panie Krzysztoporski, co się tam darmo frasujecie! To nasza żebraczka, dajcie jej pokój, to Konstancja!

Na to imię Krzysztoporski szybko zdarł jej chustę

z twarzy, a stara, wyszczerzając żółte zęby i nagle udając wesołość szaloną, krzyknęła ze śmiechem trupiej głowy.

— A co? buziaczka mego chciałeś zobaczyć? piękny? nieprawda? cha! cha! wstydziłbyś się, stary szpaku, panienki po ulicach zaczepiać!

— To ona! to ona! — odezwał się, gwałtownie odskakując z poruszeniem wstrętu i podziwienia, szlachcic.

— Aha! dopieroś poznał sługę Matki Boskiej, dopieroś się przekonał. Cha! cha! prawda, że ładna? kochanku, piękniejsze w trumnie gniją!

Zawróciła się i podrygując a skacząc, odeszła.

— Cóżeście wy od niej chcieli, — zapytał ojciec Mielecki — to nasza dobrodziejka; kule nam nosi, szpieguje, Szwedów tropi, a wczoraj olkuskich górników tak nastraszyła, wyszedłszy nocą z klasztoru do nich z kazaniem, że rzuciwszy młoty, choć się Szweda bali, jeszcze gorzej zlękli się starej i pouciekali przebojem.

Ale mnich-wojak nie dopytał słowa od Krzysztoporskiego, szlachcic wszedł na mur milczący i zamyślony, sparł się na strzelnicy, okiem zbłąkanem rzucając na daleki kraj. Paulin widział, że coś dziwnego działo się w duszy tego człowieka, i odstąpił. Chwila tak upłynęła, aż zbudzony Krzysztoporski chwycił stempel i począł sam działo czyścić; zrzucił z siebie zbroję, zrzucił suknię, zdjął hełm, odpasał miecz, rozdział się do koszuli, jakby mu wewnątrz ogień jaki dojmował i nużąc się do bezsilności, całą noc przetrwał w stanie jakiegoś obłąkania i szału, który nim konwulsyjnie miotał.

Nie mogąc pojąć, co mu się stało, ksiądz Ignacy ruszył ramionami i począł się modlić.

— Ani chybi — rzekł w sobie — obłąkanie być musi dla niektórych zaraźliwe, jeno na nią popatrzał, jakby go szatan opętał. Jeśli tak długo potrwa, żeby tylko nie potrzeba było egzorcyzmu. Bo uważam, że się i nie modli nigdy, i na zbroi ani krzyża, ani obrazka, ani różańca. Zła sprawa... muszę na niego pilnie baczyć; żołnierz dobry, ale coś mu jest. Czy go tam co tak gryzie wewnątrz, jakiś robak?... I milczy: ani słowa z niego dobyć, ani się kiedy rozmarszczy.

To powiedziawszy, ksiądz Mielecki głową pokiwał, sparł się na działo i różaniec rozpuściwszy, odmówił pacierz na intencję towarzysza.

XI.

Noc była, a noc jesienna, nie uśmiechająca się ziemi słodkim spoczynkiem; nie kołysząca pieśnią rozkoszną i wonią rozkwitłego świata dzieci Bożych; nie gwiaździsta a oczów tysiącem czuwająca nad czarną ziemicą, ale chmurna, czarna, straszna, co to jak zajrzysz, przepaściste ciemności; a na tle głuchego milczenia wrą wichry, jakby szatany w powietrzu pasowały się z sobą o jakieś nieszczęśliwe dusze... I słychać jakby jęki, jakby śmiechy i stękanie, i westchnienia, i kwilenie dzieci, i groźne huki ze świata tajemnic... Trzeba wielkiego hartu duszy i ciała, żeby na nas pora taka nie czyniła wrażenia; nawet w ciepłej izbie, u jasnego komina, coś tęsknego uciska serce; cóż dopiero pod gołem niebem, na powietrzu, gdzie każde wichru szarpnięcie, każdy głos burzy w piersi się odbija, gdy tajemnicze głosy stworzenia łapie ucho, a każdy jęk niebios w rozdrażnionej odzywa się duszy.

Przy baszcie swej siedział ksiądz Mielecki, z żołnierza zakonnik, z zakonnika żołnierz znowu, Krzysztoporski się przechadzał; pierwszy powolnie spuszczał paciorkę po paciorce różańca, a z niemi modlitwy swoje do skarbnicy niebieskiej, drugi biegał, rozdziawszy się wpół nagi z piersią odsłonioną, miotał po murach i stękał.

Przed nimi dokoła czarno było, jakby kirem oblókł się świat cały, straże tylko porozpalały ognie, przy szwedzkim obozie daleko; a na wieży płonął, jak zawsze, wzywający napróżno odsieczy kaganiec, na murach gdzie niegdzie gorzały, wartując, latarnie, a z kaplicy koło janitorjum blady połysk lampy, gorejącej wiecznie przy obrazie, przez okno mdłym się wybijał promykiem, mrugając, rozpalając się i przygasając, jakby chciał skonać, a nie mógł. Te błyski wśród ciemności zdawały się zawieszone w powietrzu, nie rozeznawałeś ziemi od niebios i twierdza, rzekłbyś, wisiała z niemi w czarnych obłokach.

Straże ponuro, posępnie, smutno odzywały się z hasłem pobożnem; jedne wołały:

— Ratuj, Marjo — drugie im odpowiadały pobożnem: *memento mori:* pamiętaj na śmierć... I jakby klasztor był ogromnym katafalkiem, a wszyscy stali u łoża konającego, lub nad trumną zmarłego, tak było smutno i straszno.

Ksiądz Mielecki modlił się, modlił, z pod oka coraz spojrzał na towarzysza, a Boga prosił, żeby go uspokoił. Bo tam

w tej nagiej i nie mającej chłodu piersi widocznie ogień jakiś gorzał namiętny, choć głowę już przyprószyła siwizna.

Ta namiętność tak gwałtowna zagadką była dla księdza Mieleckiego.

Skończywszy modlitwy, nie wytrwał stary żołnierz, rozpoczął rozmowę westchnieniem naprzód, którego nie usłyszał Krzysztoporski. Zakaszlał zakonnik i drugi raz westchnął głośniej, i tego nie uważał, ciągle przechadzką zajęty szlachcic; aż nareszcie ojciec Ignacy powstał i kaptur zasuwając na głowę, okrytą czapeczką, odezwał się:

— Starość nie radość, panie Mikołaju, nie otulał się człowiek tak zamłodu, gdy za ś. p. Zygmunta III szliśmy pod Smoleńsk.

— Byłeś, ojcze, pod Smoleńskiem?

— A jakże, byłem, i jeszcze noszę pamiątkę bojarzyna, co mnie skubnął przez głowę, za com mu z nasypką oddał;— no! a ktoby to powiedział, że się z szablą uwijało niezgorzej! teraz tylko z różańcem. Ależ to wam nie zimno?

Uśmiechnął się Krzysztoporski.

— Myślicie? mnie gorąco.

— To chyba choroba, bo na dworze wiatr ostry; mam pod habitem kożuszynę, a czuję go dobrze.

— A ja wcale nie.

— Cóż to wam, panie Mikołaju?

Krzysztoporski zwrócił oczy na światełko z izdebki Lassoty, wlepił je i, westchnąwszy, poszedł dalej, ale wróciwszy do miejsca, stanął.

— Wiecie, ojcze Ignacy, — rzekł — że mi w życiu dwa razy tylko było zimno.

— No, i kiedyż to? — rad rozmowie, spytał Mielecki.

— Tobie, ojcze, toby się to mówić nie powinno — z gorzkim śmiechem rzekł szlachcic.

— A dlaczegóż?

— Tyś mnich, a ja dziś jeszcze, ot jak widzicie mnie starym... — Nie dokończył.

— Mnich, zachciałeś waść; alboż to mnich na spowiedzi wszystkiego nie słucha?

— Ależ bo ja się nie myślę spowiadać! — odfuknął Krzysztoporski.

— I to źle, boby ci to nie zaszkodziło, widzi mi się.

— Nie, nie, jeszcze na spowiedź moją nie czas.

— Tak! a potem być może już nie czas!

— Mniejsza o to, — mruknął szlachcic — Bóg lepszy od ludzi.

Ksiądz Mielecki zamilkł, a Krzysztoporski zaraz dodał, jakby potrzebując wywnętrzenia.

— No, chcesz jegomość wiedzieć, kiedy mi w życiu było zimno, to powiem.

— Jak się wam podoba.

— Otóż raz, kiedym się ożenił,—rzekł Krzysztoporski— a drugi raz, gdy mi żonę odbierano.

— Jakto? odbierano? — zapytał ksiądz.

— A tak, odbierano i odebrano! — odpowiedział stary... — bo poszła ode mnie w świat...

Ksiądz znowu zmilczał, ale pan Mikołaj już miał gwałtowną chętkę dokończenia reszty i zawołał:

— No, wywołałeś biedę, księże, to słuchajże i reszty.

Byleście co nicpotem mi nie gadali, bo to, jakem powiedział, słucha się, ale tylko na spowiedzi.

— E! jużciż pleść nie będę! choć to o kobiecie mowa, ależ nie już i słuchać wam nie można, że się kochało? a kochałem, księżuniu, kobietę stworzoną na męki ludzkie, na potępienie i desperację. Szatan to był i anioł w jednem ciele.

— Tylko, mój panie Mikołaju, — przerwał ojciec Ignacy — ani szatanów, ani aniołów do tego nie kładźcie, *non misceantur sacra profanis.* Co to kobiecie do anioła!

— No! a jednak to tak było, inaczej powiedzieć nie można, — żywo dodał Krzysztoporski — bo i zła, i dobra, i twoja, i nie twoja: dziś cię kocha, że życie, zdaje się, dałaby za ciebie, jutro, patrz, przysunął się nowy gaszek, uśmiecha się nowemu, oczyma go kole, aż z niego wysączy szał, pasję... Dziś twoja do łez, jutro z ciebie szydzi do śmiechu, i kat ją mógł zrozumieć.

— No, to ją tam porzucić było, pókiś się nie ożenił!

— A tak! porzucić, gdybyż to można! dałby człek życia kawał, żeby się odczepić! Ale cię wiązała jak łańcuchem, i płakał człowiek, i wstydał się, i powracał. Dziś już lat temu wiele dziesiątków ubiegło, wspomnę a jeszcze goreję, i gniew a zazdrość mnie pali.

— Przeżegnajcie się krzyżem świętym, — rzekł ojciec Mielecki — to wyraźne opętanie.

— Dobrzeście powiedzieli, było to w istocie opętanie: człek się nieposiadał, moc jakaś władła nim i pętała go.

— Byłoż się modlić i odżegnać.

— Bóg i modlitwie odmawiał skutku, o! i tegom w nieszczęściu próbował.

— Trzeba było nie ustawać, a modlić się.

— Kochałem ją dziewką, kochałem zamężną.

— A toż zbrodnia! — zawołał ojciec Ignacy.

— Wiem o tem, ojcze, ale to było opętanie: czlek się samego nie znał, odebrałem ją mężowi wreszcie, wyrobiłem rozwód i wziąłem za żonę.

Mnich się przeżegnał, patrząc z pod kaptura na Krzysztoporskiego okiem bojaźliwego zdziwienia.

— Ale — dodał pan Mikołaj — szatan, co mnie do tego prowadził, srogo chłostać począł. Gdym ją wydarł mężowi, poczęła mnie męczyć zalotnością swoją, jak męczyła pierwszego, i doprowadzała do wściekłości. Nikt, nikt oprzeć się jej nie mógł — kogo chciała, uwiodła, oszaliła.

— No, musiała to być nicpotem kobieta! zła i zepsuta; ale...

— Ale to był szatan, — zawołał Krzysztoporski — to był szatan, bo kto ją raz pokochał, tego potem pasja i miłość nie opuszczały do śmierci. Doprowadziła mnie do tego, żem ją zamknąć musiał, bom był zazdrosny jak bisurman i szalałem, ażem się mścić począł nad tą okrutnicą.

— Straszneż to mi opowiadacie dzieje.

— Posłuchajcież do dna. Pierwszy mąż dowiedział się o jej losie; nie wytrzymał, napadł mnie nocką i uwolnił z więzienia. Uszła i jużem jej więcej nie widział. No! alem się nad nim pomścił.

— A cóżeś zyskał na zemście, oślepły człowieku? — spytał ksiądz Mielecki.

— Prawda! zyskałem jeszcze większe pragnienie zemsty! — zaśmiał się szlachcic gorzko. — Alem musiał się mścić, bom głowy nie miał i dziś jej nie mam jeszcze. Jej córka, córka z pierwszego małżeństwa umarła. Bóg wie, może i z mojej przyczyny! wydarłem mu majątek, przyprowadziłem do ubóstwa.

— A lepiejże ci z tem? — powtórzył zakonnik.

— Lepiej! któż wie! — a była chwilka triumfu! alem i ja ujrzał nad sobą rękę Bożą; jedyny syn mój umarł; nie zostało mi nic, krom mojej złości; nieprzyjaciel całego mego życia ostał się przecie, żyje i ma pociechę jeszcze... ma światełko, co mu świeci.

Słów tych z gniewem, z zazdrością domówił Krzysztoporski; ksiądz Mielecki obrócił się do niego łagodnie i rzekł:

— Widzicie, Bóg nigdy nie błogosławi zemście.

— Ojcze, — gwałtownie przerwał stary szlachcic — wyście przeżyli lata wasze w pokoju i świętości, wy tego zrozumieć nie możecie, ale są chwile, w których potrzeba zemsty dochodzi do szału.

— Człek winien się bronić modlitwą.

— Modliłem się, modlę i modlitwy nie rozumiem, jak kamień od muru odpada od mojego serca.

— Kropla wody nieustanna kamień wyżłobi.

— A znajdźcież mi tę wody kroplę! — zawołał z wykrzykiem Krzysztoporski. — Nie! nie! serce to twardsze od opoki, nic go nie weźmie! nic go nie przebije!

To rzekłszy, szlachcic stanął znowu, popatrzał w okno Lassoty, zżymnął się, zadrżał, zacisnął pięści, zagryzł usta, z których kropla krwi wytrysła, i mówił do siebie, jakby się zagrzewał:

— Jam wszystko stracił! on ma pociechę — ja nic nie mam, on ma nadzieję, otuchę, radość! tak być nie może, czemże on lepszy ode mnie; umrę, ale się zemszczę!

Ojciec Mielecki, przestraszony wywołanemi zeznaniami i wspomnieniami szlachcica, z gorączkowym niepokojem opowiedzianemi, usunął się nieco, nie chcąc ich więcej rozdrażniać, i począł znowu się modlić, żeby zatrzeć w sobie wrażenie doznane; chciał się obmyć z błota, które na niego prysnęło.

Po chwili uderzyła godzina północnego chóru; dzwon się odezwał i ksiądz Ignacy zszedł z murów, śpiesząc do kościoła. Krzysztoporski, jak tylko się go pozbył, obejrzał, że go nikt nie śledzi, podszedł szybko pod izdebkę Lassoty. Oczy mu się iskrzyły, twarz pałała, nastawiał ucha, ale nic nie słyszał, a ujrzał tylko przy mdłem światełku kaganka dziewczę siedzące u łoża starca, który spoczywał snem łagodnym i orzeźwiającym. Handzia, która się była zdrzemnęła, także ze złożonemi na piersiach rękoma, jakby ją sen ujął wśród modlitwy, zdawała się zatopiona w jakiemś widzeniu niebieskiem, w rajskich marzeń zachwycie, usta jej uśmiechały się słodko, twarz tchnęła spokojem nie naszego świata.

Nigdy zjadliwszej nienawiści okiem nie spojrzał człowiek na człowieka, jak w tej chwili stary Krzysztoporski na starca i Hannę; byłby ich, zdaje się, pożarł wzrokiem, gdyby mógł, byłby zabił; i czy to potęga wzroku nienawistnego, czy inny powód jaki, Hanna wśród snu spokojnego porwała

się nagle z krzykiem boleści, starzec obudził się przestraszony.

— Co ci to, Handziu? co ci to, dziecię moje?

— Nic, nic, dziaduniu... tak... wśród snu, wśród marzenia o naszej chatynce, o matce mojej, o ogródku, o wiosce naszej, o nie wiem czem, coś mi się przyśniło strasznego i obudziłam się z krzykiem... a! i przerwałam ci sen.

— To nic, to nic, ja nie spałem — rzekł stary.

— Jakto nie?

— Nie, nie, tylko oczy miałem zmrużone; kładnij się, proszę cię, dobry moment spokoju, póki nie strzelają... zaśnij.

— Ja? ja spałam dowoli w dzień, mnie się spać nie chce.

— Biedne dziecię! ty się zabijasz przy mnie!

— O! mój dziadziu! — i klękła, całując wyschłą jego rękę.

Krzysztoporski odskoczył żywo i pobiegł na mury.

XII.

Dość rano wyprawił przeor znowu, choć tęsknie i smutno, tych samych posłów co wczoraj. Zamojski utrzymywał go w tej myśli zwlekania traktowaniem, dla zyskania na czasie. Miano zawsze nadzieję w Janie Kazimierzu i znanej pobożności jego dla świętego miejsca: oczekiwano posiłków, odsieczy od kasztelana kijowskiego może, polegając na staraniach Stanisława Warszyckiego, na naleganiach prowincjała Broniewskiego, na uczuciu szlachty polskiej, która wieści o oblężeniu Jasnej Góry przyjąć nie mogła obojętnie; w ostatku zima nadchodząca powinna była Szwedów odpędzić. Czas więc zyskując, kupowano choć słabą nadzieję. Jeden pan Czarniecki nie był tak dalece za traktowaniem.

— Co tam! — mówił do przeora ze zwykłą rubasznością szlachecką — wodę warzyć, woda będzie, nie chcemy się poddać, a filutujemy, to jakoś nie po polsku, coś z rakuska.

Pan Zamojski był wcale przeciwnego zdania, a Kordecki, nic nie mówiąc, poszedł za radą jego; jako zakonnik wstręt miał do podobnych wykrętów, jako wódz widział ich potrzebę. Wypuszczając za bramę dla traktowania księdza Dobrosza i Stawiskiego, przeor zażądał od Millera zakładników, i nie bez przyczyny, lękał się bowiem, aby w ostatku

zwłokami zniecierpliwiony generał nie mścił się za nie na posłach. Miller zgodził się na przysłanie dwóch starszych. Już wychodzili księża, gdy od szwedzkiego obozu jeden tylko ukazał się zakładnik, ale z chodu i miny znać było, że podstawiono przybranego ciurę.

— A widzicie, — rzekł pan Czarniecki — tu się jakieś licho kroi, czemu nikogo ze swej starszyzny dać nam nie chce?

— Nacóż zakładnicy? — odparł sam ksiądz Dobrosz — tyle razy posyłani byliśmy, a nic się nam przecie nie stało, i teraz cali powrócimy; wreszcie gdyby co i zamierzał złego, albo to myślicie, że nie podołamy chociażby męczeństwu?

Te wyrazy, wymówione z prostotą i uśmiechem, potwierdził cichem spojrzeniem ksiądz Stawiski. Wyszli oba zakonnicy rześko i odważnie, a przeor, który zawsze zdawał się mieć prorocze widzenie przyszłości, przeżegnał ich smutnie, jakby z tego kroku, do którego zmuszała go potrzeba, zmartwień i zawikłań się spodziewał; odwrócił się potem, przeszedł milczący na bok i rzekł do pana Zamojskiego.

— O! panie mieczniku, codzień, co godzina powtarzam, nie nasza to rzecz wojna!

— Tem większa zasługa, że ją dla Boga prowadzicie.

— Wszystko to dobrze — przerwał pan Czarniecki, — ale traktować ze Szwedami, nicpotem, strzelać do nich, to ale...

Pan Zamojski z wysokości statysty i rycerza spojrzał na szlachcica z uśmiechem, zaprawnym drobiną politowania.

— *Inter incudem et malleum positi*, cóż robić mamy? — mówił dalej — *omnibus modis* bronić się musimy, *ense et capite*. Ale do końca *nil desperandum*.

Pan Czarniecki ruszył sobie ramionami, także z rodzajem litości.

— Bić i milczeć, — rzekł zcicha — toby była moja rada. A kropić ich, a gęsto...

— Ależ i spocząć potrzeba! — rzekł przeor — jeśli nie nam, którym Bóg niezwykłych sił dla sprawy swej użyczać raczy, to ludziom, którzy tej siły od Boga, co wmość, panie Pietrze, nie mają; a tymczasem da Pan *felicem eventum*.

Działa milczały na murach i to właśnie pobudzało zły humor pana Czarnieckiego, pokiwał głową i odszedł niechętny.

Księża, wysłani z twierdzy, dążyli ku namiotom Millera, który na nich niecierpliwie oczekiwał, z całą wystawą

zbroi, ludu, wodzów, siły, na jaką mógł się tu zdobyć, by im potęgę swoją i majestat ukazać. Uśmiech nadziei wypogadzał mu twarz, ale obok stojący Wejhard chmurny był jak noc i milczący.

— No, cóż mi przynosicie? — spytał generał księży.

— Przeor sam warunków zakreślać wam nie chce i nie może, — rzekł ksiądz Dobrosz żywo — zdaje mu się, że stosowniej byłoby, gdybyście mu je dali, oświadczając, czego sobie życzycie.

— Tem lepiej — odparł Miller, nie domyślając się bynajmniej, że tu tylko o czas chodziło. — Pułkowniku, — rzekł do Wejharda — każcie spisać warunki, a wy, ojcowie, rozgośćcie się, proszę, tymczasem.

Paulini skłonili się i stali w milczeniu, gdy generał właśnie śniadanie podać rozkazywał i do stołu a kufla ich zaprosił, ale że to był piątek, a stół Millera cały z mięsem, zakonnicy postem się od bankietu wymówili.

— A prawda, że to u was post! — zawołał Miller z uśmiechem — jak dłużej w Polsce pogościm, to lepiej o tem pamiętać będziemy. Wy i ryby pewnie w klasztorze nie macie? U mnie tu jej do zbytku, zaniesiecie więc przeorowi razem z warunkami kilka pięknych szczupaków, niech przyjmie jedno i drugie.

Mnisi znowu w milczeniu pokłonili się tylko.

— Widzicie, — rzekł dalej generał — że choć sam nie poszczę, post szanować umiem, a kiedy wam z tem lepiej, cóż mi do tego, pośćcie sobie, mój brzuch na tem nie ucierpi.

To mówiąc, roześmiał się i wypił za zdrowie paulinów, zmuszając ich, aby choć po małym kieliszku za zdrowie jego wychylili. Ze wstrętem musiał to uczynić ksiądz Dobrosz, a ksiądz Stawiski, który nigdy nic nie pił, przeprosił generała. Dzikiemi i podziwionemi oczyma patrzali wszyscy na paulinów, którzy wśród tego obozu, wystawieni na nienawistne i złośliwe spojrzenia a szepty, byli jak w ukropie. Tylko Miller miły był dla nich a przystępny i wesoły, odwracając rozmowę od rzeczy przykrych i drażliwych, począł rozpytywać o obojętne, nic chcąc ich widzieć opuszczonych a milczących. Tymczasem pod dyktowaniem Wejharda pisarz notował punkty, które wkrótce generałowi przyniesiono; on spojrzał na nie i oddał zaraz księdzu Dobroszowi, a przypomniawszy sobie obiecaną rybę, zawołał jeszcze żołnierza i sześć szczupaków ogromnych nieść kazał za paulinami, którzy wkrótce, pożegnawszy go, odeszli.

Zdziwił się wielce ksiądz Kordecki, gdy ujrzał brzemię jakieś na ramionach niosącego żołdaka, postępującego za księżmi, a za otwarciem bramy poznawszy szczupaki, roześmiał się wesoło.

— Trafił właśnie, że piątek adwentowy o grzankach odbywamy — rzekł, spoglądając na rybę. — No, to i chwała Bogu; my i o suchym chlebie wytrwamy przywyklejsi, a panowie szlachta uraczą się szwedzkim darem, jeśli nie zatruty.

— A warunki? — dodał.

— Oto i one — z westchnieniem wyjmując je z sukni, rzekł ksiądz Dobrosz. — Generał jak wczoraj, choć go do rany przyłożyć, ale czy to długo potrwa?

— Dobra i chwila, bracia kochani! Śpieszę do definitorjum, — rzekł przeor — chodźcie za mną.

Szlachta, ujrzawszy punkty w ręku przeora, pośpieszyła za nim do sali, do której wtoczyli się i starsi zgromadzenia, i co było niezajętych nabożeństwem i pilnością około murów.

Ksiądz Dobrosz czytać począł, były to prawie też same co wprzódy wymagania; wyrzec się Jana Kazimierza, za co zapowiedziano w nagrodę bezpieczeństwo osób, własności, opiekę wiary i swobodne spełnianie obrzędów; zamek zdać szwedzkiej załodze ze 150 ludzi, którą zakonnicy opłacać będą obowiązani, żołnierz miał sobie sam baraki sklecić przy murach, a oficerów do klasztoru przyjąć miano, szlachcie i żołnierzowi dozwalano swobodnie wynijść za glejtami i powrócić do domów, toż panu Zamojskiemu z jego rodziną, ale wprzód powinien był odprzysiąc się Jana Kazimierza.

Miecznik wąsa pokręcił i pokiwał głową tylko, słysząc ten warunek.

— *Malum supra omne malum* — rzekł cicho do siebie.

Ksiądz Dobrosz czytał dalej: przeor podpisze kapitulację, bramy otworzą i wpuszczą naprzód generała ze świtą dla obejrzenia twierdzy; załoga wyjdzie nie przetrząsana.

— A! dojadło mu pod gołem niebem! — odezwał się Czarniecki — że się pierwszy prosi pod dach.

— No, i cóż teraz robić? — spytał przeor.

— *Cunctando!* — szybko podchwycił Zamojski — czas zyskiwać, a zatem nowych mu posłów, nowe targi i warunki, a *summa summarum* — nic.

— Ale wreszcie postrzegąż się, nie w ciemię ich bito, — mruknął Czarniecki — że to *modulamina suspecta.*

— No! to wówczas, jak się postrzegą, — odparł miecznik — radzić sobie będziemy, a tymczasem, aby dalej, aby dalej; dzień zyskać dla znużonego żołnierza, i to dobrze, a któż wie, może odsiecz jaka nadejdzie.

— Ba! odsieczy, — rzekł pan Piotr — chyba od Pana Boga się spodziewać, z mieczem ognistym, bo od ludzi, wątpię. Ma każdy dziś o czem myśleć i komu się oganiać, a my sobie i sami *favente Deo* rady damy, tylko mojem zdaniem bić a bić, i nie ustawać.

— Ale waszmość nie wybijesz w półtorasta dziesięciu tysięcy.

— Powoli? czemu nie! — odparł sobie pan Czarniecki — ciupać, ciupać pomaleńku i Boga chwalić, ziarnko do ziarnka...

— Ślicznie to mówicie, — odezwał się zkolei przeor — ale nie od rzeczy i pana miecznika rada, bo krwi ludzkiej oszczędza, a krew nam przelewać...

— *Necessitas frangit legem*, — zacytował pan Piotr — płakać nad koniecznością, a bić, a bić Szwedów.

— No! ale tymczasem i traktować pozwolicie, bo i to *necessitas*, tymczasem dziury w murze pozatykamy, a lud trochę odetchnie, to się żwawiej potem weźmie do boju — rzekł Kordecki.

— Otóż na to nie zgoda, — zawołał stary szlachcic — bo dla żołnierza i dla konia niema jak praca ciągła, aby się zastał, to z nim źle. Człek w boju krzepi się i nabiera siły, a skoro mu dać drzemać, patrz on już i odrętwiał, i znów go musisz na nowo rozruchiwać.

Uśmiechnęli się niektórzy, zwłaszcza statysta nasz pan miecznik. Czarniecki, swoim zwyczajem zżymając ramionami, odszedł na stronę, widząc, że niema po sobie nikogo, a Zamojski, korzystając z milczenia, dodał:

— No! tak! stanęło, wysłać im nowych posłów i mitrężyć.

— Zgoda! zgoda! — rzekł przeor — ale ksiądz Dobrosz i Stawiski pomęczeni, trzeba kogo na odmianę. Kto z ochotą?

Spojrzał przełożony po swoich braciach i oczyma wskazywał z brzegu księdza Błeszyńskiego i Małachowskiego. Ci natychmiast ruszyli z miejsc swoich.

— Idźcie i traktujcie, — mówił do nich — idźcie w Imię Boże, ale nie spuszczajcie z pamięci, że nic kończyć, do niczego się nie zobowiązywać w imieniu naszem nie możecie.

Znajdziecie w sercach waszych środki przeciw groźbie, jeśliby nią ustraszyć was chciano, przeciwko ułudnym namowom i sidłom nieprzyjaciela, a pomnijcie, że tu noga Szweda postać nie może. Jak tylko zbliżą się rzeczy ku końcowi, wymawiajcie się, że sami nic stanowić nie macie prawa.

Księża słuchali w milczeniu; wybór obu ich był szczęśliwy, choć zdawał się trafem tylko; oba posłannicy byli mocnego i wytrawnego charakteru, woli silnej i gotowi na poświęcenia wszelkie. Ksiądz Błeszyński w sile wieku, zdrowia i rozumu, zdawał się jednym z tych ludzi, co się niczego nie boją, bo czują w sobie potęgę do pokonania wszystkiego, jeśli nie dłonią, to duszą; krzepki ciałem, miał w niem męskiego i chrześcijańskiego ducha; prawdziwy kapłan i *miles christianus*, z chciwością prawie przewidywał męczeństwo i wieńce cierniowe, pożądając ich nadewszystko.

Ksiądz Małachowski, choć z pozoru słabowitszy, choć milczący, cały w sobie, skupił także wielką siłę i wytrwałość w znakomitem dla świata sercu; religijny zapał nadawał mu ten hart bierny, który się pożyć nie daje, choć się dopiero uderzeniem objawia, a którego często braknie najsilniejszym. Błeszyński dałby się umorzyć z uśmiechem i śpiewem, Małachowski w milczeniu, ze łzami; pierwszy byłby psalm nucił na stosie, drugi na nim zajętyby był duszą swoją i cichą modlitwą, zawsze wątpiąc o sobie, a im bliższy doskonałości, tem goręcej jej pragnący, tem bojaźliwszy, by jej skaza jaka nie dotknęła...

Takimi byli wybrani losem, a raczej okiem przeora, które w duszach i przyszłości czytało. Pobłogosławieni przez niego włożeniem rąk uroczystem, natychmiast przywdzieli płaszcze i wyszli do obozu.

Miller już na nich czekał, konno wyjechawszy przed namioty, i za sobą wwiódł ich do szałasu.

— No! — rzekł — dość już tych ceregielów, przynieśliście mi punkty podpisane?

— Nie, — odparł ksiądz Błeszyński — aleśmy przyszli o nie pomówić z waszą ekscelencją.

— Jakto? jeszcze mówić! — zawołał generał, marszcząc się — mogąż być dogodniejsze? Czegóż stoicie? Co wam w głowie?

Nieulękniony wybuchem gniewu hamującego się jeszcze, ale już widocznego, ksiądz Błeszyński odezwał się śmiało:

— Przeciwko punktom tym nie mamy nic krom jednego tylko.

— No! a toż jaki? — żywo spytał Miller.

— Przysięga świętą jest dla nas, — mówił Błeszyński — wyrzec się Jana Kazimierza, złamać złożoną mu raz, nie możemy.

— On nie jest już waszym królem, — wybuchnął Szwed, stukając pięścią o stół — co to za mowa! Co za myśli?

— Jeśli on nie jest, nie jest nim i kto inny — cicho począł ksiądz Małachowski. — Mamy przecie prawa fundamentalne, na których stoi państwo, mamy prawo elekcji, bez zachowania tych form nikt królem u nas być nie może; jeśli Karol Gustaw wybrany zostanie i przez prymasa obwołany, będziemy go słuchać święcie.

— Słyszysz, mnichu! — zakrzyczał Miller, uderzając po mieczu — prawo nasze to siła, to szabla, waszych praw nie znamy, nie wiemy i żartujemy z nich sobie, zwycięzcy rządzimy siłą, nie prawem! Nie przysięgaliśmy na prawa wasze!

— Ale dla nas siła jest tylko przemocą, a prawo prawem zawsze, — odparł ksiądz Małachowski — wchodzić w polityczne zajścia i sprawy świata, nie nasza to rzecz; obowiązani jesteśmy panującym wiary dochować. Dla nas Jan Kazimierz, choć wygnaniec, panuje dotąd, póki inny obrany nie zostanie...

— Wszyscy jednak odstąpili waszego Jana, wszyscy się go wyrzekli.

— Nie dla nas to przykład, — rzekł Błeszyński — my zakonnicy święcie i Bogu, i królowi dochować musimy przysięgi, choćby krew za nią przelać przyszło.

— Ha! — zawołał generał — to taka odpowiedź wasza!... Chcecie krew przelewać? Dobrze! Będziecie jej mieli do pasa, pokażę ja wam siłę moją i Karola Gustawa, zmuszę, jeżeli nie chcecie słuchać dobrego słowa.

I rozżarty coraz widoczniej, chodził po namiocie, gniew nim miotał; sądził się u celu, a znów odepchnięto go od niego.

— To są zwłoki, to są matactwa, to są szalbierstwa niegodne! Macie moc kończyć ze mną?

— Traktować, ale nie kończyć — rzekł Błeszyński.

— Więc pocóżeście przyszli?

— Traktować! — powtórzył cierpliwie pierwszy.

— Cóżto? żarty sobie stroicie ze mnie? — krzyknął, rozjadając się coraz, Miller.

Ale ojcowie stali wobec płomiennych wybuchów jego

gniewu zimni, poważni, wytrwali jak skała, o którą się morze rozbija.

— Raczcie się uspokoić i nie gniewać na nas,—odezwał się po chwili Małachowski — posłowie, niesiemy, co nam nieść kazano.

— Posłowie! posłowie! — ze śmiechem szyderskim odparł wzgardliwie Miller. — Dobrze! zostaniecie tu u mnie, panowie posłowie! A wy i wasze życia będziecie mi zakładem końca tej głupiej sprawy. Żal mi, żem dotąd wam pobłażał i zbyt był powolnym. Jeśli nie skończy się rychło to matactwo, głowy wasze padną.

Bynajmniej nie zmieszani groźbą paulini spojrzeli tylko po sobie, a ksiądz Błeszyński nieznacznie się uśmiechnął z dumą jakąś ochoczą; postrzegł to na nieszczęście Miller i wpadł w sroższe jeszcze gniewy, sądząc, że śmieją urągać z niego.

— Ty się śmiejesz, — zawołał, przyskakując do Błeszyńskiego — śmiejesz się, mnichu, wygolona pałko, myślisz, żem obowiązany szanować kapłaństwo wasze, że się nie poważę! Co wy dla mnie! proch marny! za wasze życie włos mi z głowy nie spadnie; wyście buntownicy i spiskowi, każę was dziś jeszcze obwiesić.

Na to paulini nie mogli już odpowiedzieć i zamilkli; przywołany zaraz oficer pieszego regimentu wziął ich pod straż i wyprowadził z namiotu w obóz, między żołdactwo; a trębacza wyprawiono zwiastować klasztorowi, aby przysyłano natychmiast umocowanych do traktowania ostatecznie, gdyż inaczej spadną głowy posłów, których jakby na żarty i zwłokę wyznaczono tylko. W dodatku obwieścić kazał Miller, że jeśli się jedno działo odezwie z klasztoru, jeden wystrzał da słyszeć, księży natychmiast powiesić każe. Wśród tej pasji i gniewu, który miotał Szwedem, nadbiegł Wejhard, a zobaczywszy, co się działo, pochwalił bardzo przedsięwzięte przez generała środki; nadjechał i Sadowski, ale ten, zapytany o zdanie, zmilczał znacząco i szybko się usunął z widocznym wstrętem.

Tymczasem księża Błeszyński i Małachowski, wiedzeni przez oficera do obozu, wystawieni zostali umyślnie na niesłychane obelgi i znęcanie szui wojskowej. Był to tylko początek ich męczeństwa. Urągowiska z nich samych, z ich sukni, z kapłańskiego charakteru niczemby były, gdyby nie srogie bluźnierstwa, jakiemi ich karmiono, gdyby nie miotanie się na świętości, których świadkami pomimowolnymi,

a bezsilnymi czynili ich heretycy. Otoczono ich zaraz kołem, i jak dzieci bawią się bezbronnym owadem, tak żołdacy poczęli się znęcać nad cierpliwymi kapłanami.

Jedni targali ich, bili; drudzy kładli na oczy hełmy i dawali w ręce berdysze jako wojakom; popychali, plwali, słowem, nie było rodzaju szyderstwa i przykrości, poniżenia i sromoty, nie było uczynku i wyrazu, którychby na nich nie spróbowano. Ale cierpliwość ich święta przemogła wszystko. Ksiądz Błeszyński chciał się modlić, wyrwano mu różaniec i zdeptano go nogami. Małachowski zakrył się kapturem i natychmiast zrzucono mu go z głowy. Ani przysiąść, ani spocząć, ani jeść nie dali im Szwedzi; a wkońcu dla bezpieczeństwa, by nie uciekli, kazano ich powiązać sznurami i tak porzucono na wilgotnej ziemi, wśród obozu.

O! niema nic straszniejszego nad rozbestwionego żołdaka; jest to coś okrutniejszego nad zwierzę, bo ono zabija, ale nie męczy wymyślnie; żołnierz katuje z dziką rozkoszą. Tu jeszcze różnica wiary ostrzyła uczucie nienawiści, a pomsta za zabitych towarzyszów do znęcania pobudzała. Szczęściem dla męczenników, nie rozdzielono ich i pozostawiono razem, mogli więc jeśli nie słowem, to wejrzeniem wzajemnie pobudzać się do wytrwania, choć dotąd duch w nich nie osłabł.

Rzuceni na pastwę najpodlejszym ciurom, najemnikom Karola Gustawa, w jednej godzinie, w pierwszej po uwięzieniu swem chwili, doznali więcej, niżeli w swych marzeniach męczeństwa spodziewać się mogli — śmierci tylko brakło, a ta była najlżejsza do zniesienia.

Miller ze swoją starszyzną, pewien już będąc, że twierdza odstrzeliwać się nie ośmieli, postąpili ku niej, usiłując korzystać z groźby i trwogi.

XIII.

Jak skoro doszła Kordeckiego wieść o uwięzieniu braci, łatwo się domyślił, co ich tam czekało w niewoli u Szweda; ukląkł biedny i zapłakał, aż miecznik musiał trzeźwić go słowy, wystawując, że Miller, jakkolwiek okrutny i samowładny, zbrodni się nad nimi nie dopuści, boby ta po całym polskim gruchnęła kraju i zaszkodziła sprawie Karola Gustawa.

— Zresztą, — dodał zaraz — macie mnie, jeśli chcecie,

w gotowości do traktowania, ja sam pójściem gotów, by ich uwolnić, niech tylko Miller da przyzwoitego zakładnika.

— Wy! — zawołał przeor — prawa ręka i wódz Jasnej Góry! zlitujcie się! to być nie może!

— Pozwólcie mi tylko, pójdę chętnie, Bogiem się świadczę. Zyszczemy na czasie, zresztą ja może lepiej, może inaczej z Millerem od zakonników mówić potrafię. Byle tylko dał zakładnika, gotów jestem tej chwili...

To mówiąc, z rzeźkością lat młodych wyskoczył i posłał od siebie z wrót trębacza, wzywając, aby mu odpowiedniego znaczenia zakładnika dano, że sam do Millera przybyć zamyśla.

Ale to śpieszne postanowienie mężnego człowieka, stojącego na czele obrońców Częstochowy, we wszystkich znalazło opór. Przeor biegł sam odwodzić od niego, też i pani Zamojska, poważna matrona, której pośpieszono dać znać o tem, przybiegła z synem do męża.

Piękna to była postać, typ owej polskiej niewiasty lat starych, jakich twarze dziś tylko już na popękanych widzimy płótnach: wysoka, poważna, silna i czerstwa, ale skromna i powolna, w oczach miała wyraz potęgi ducha, zarazem i tego pobożnego posłuszeństwa, które znamionowało kobiety nasze. Towarzyszka żywota i myśli męża, nie śpieszyła mu odradzać poświęcenia, ale się raczej dowiedzieć o nim i odwrócić niebezpieczeństwo, jeśliby było nieużyteczne, uwagą, łagodnem przypomnieniem wszystkich obowiązków. Wiedziała, że miecznik rady jej nie odrzuci. Pan Stefan, młodzieniec lat dwudziestu kilku, szedł, wiodąc matkę z uszanowaniem dziecięcia, z posłuszeństwem syna; nie miałby prawa nic ojcu powiedzieć, miał prawo, pokazując mu się, przypomnieć.

Właśnie pan miecznik wydał rozkazy i wysłał trębacza, gdy, powracając, spotkał żonę.

— Co to, Teklusiu, — rzekł, trochę zafrasowany — jejmość już ktoś nastraszył?

— Nie, panie Stefanie, — odpowiedziała spokojnie — nie takiż to ze mnie tchórz, choć w czepku chodzę, bym się lada czego zlękła. Ale cóż to tak nagle postanowiliście, nic mi o tem przecie nie wspominałeś.

— Bo to tak przyszło, serce moje, jak z procy. Ot, wiesz, ksiądz Błeszyński z Małachowskim uwięzieni przez Szweda, chcą tam koniecznie kogoś z pełną mocą do traktowania; jużciż kiedy ci księża cierpią, i nam z założonemi rękoma

stać się nie godzi; jak cię kocham, moja duszko, — dodał — to koniecznie potrzebne.

— Czyż koniecznie potrzebne? — spytała, spoglądając mu w oczy — czy tylko tak pan Stefan gorąco wziął do serca?

— Ale, wierzaj mi, Teklusiu, tak jest.

— Już się nie przeciwię, uchowaj Boże, ani odradzam, co potrzeba i co sumienie lub poczciwość każe, rób, aleś ty i tu potrzebny. Naco się narażać? wiedząc, żeś tu wodzem i głową, oni cię pewnie zatrzymają.

Wtem i przeor nadszedł.

— Panie miecznik! — wołał — nic z tego nie będzie, ja cię nie puszczę.

— Ale pozwólcież i mnie trochę udziału w dobrej sprawie, — rzekł Zamojski — wszystkobyście na siebie samych wzięli; a i mnież się chce listka z waszego wieńca!

— Wieńca, mój dobrodzieju, innego nad ten, który mi brat Jacek wygolił na głowie, nie żądam, — rzekł Kordecki — Bóg widzi, odstąpię wam i całego, ale poco to narażanie się bez korzyści!

Pani miecznikowa milczała, widać w niej było walkę uczuć żony i matki z uczuciem bohaterskiem poświęcenia i powinności.

— Kiedy tak ksiądz przeor mówi, — dorzuciła po chwili — no, to i ja śmielej ci powiem, panie Stefanie, choć kobiecą głową, żebyś nie szedł. Na zakładnika was oszukają, a chybaby Wejharda lub Sadowskiego dali, inaczej iść tam nie powinieneś; potrzebniejszyś ty tu wszystkim.

Aż nadbiegł i zdyszany pan Piotr Czarniecki.

— E! do kata, — wołał zdaleka — co znowu się święci? Co waści, panie miecznik, w głowie? do obozu szwedzkiego się zachciało; a toć was te niegodjasze zamkną, ani chybi. To traktowanie całe, ja w to ciągle biję, nicpotem, nicpotem; poco traktować? chyba kulami. Fe! fe! albo to my Niemcy? Rznąć do nich gęsto i po wszystkiem. Proszę państwa, z pozwoleniem, że użyję trochę grubjańskiego porównania, gdy kłapouchy wlezą do ogrodu, czy z niemi traktują?

Pomimo powagi tej sceny wszyscy się rozśmiali. Czarniecki obrócił się do przeora:

— A co, ojcze, nieprawdaż? księży zatrzymali i teraz grożą im, i nam będą po nosie pstryczki dawać. Ot już jak wałem opasują nas te bestje, to nicpotem — te... a tu

strzelić do nich wara! bo na księżach mścić się będą; to tu wściec się przyjdzie.

Pan miecznik, któremu chodziło o uniewinnienie się, bo posłów radził, oparł się.

— Czekajcież, — rzekł — nic niema straconego jeszcze, zobaczycie, ja sam idę do nich i księży uwolnię, beze mnie też się obejdziecie łatwo, a juściż nie powieszą!

Miecznikowa milczała, przeor ruszył ramionami.

— Nie pójdziesz waść, panie mieczniku, — rzekł stanowczo — ja tu wódz i hetman, nie pozwalam i kwita! księży uwolnimy i bez tego, z Bożą pomocą, choć Bóg widzi jako mnie serce o nich boli, ale tak rychło rady na to nie damy— trocha cierpliwości.

Wtem i trębacz jasnogórski powrócił, a zaraz i od Millera wysłany za nim zbliżył się zakładnik, dowodzący, jak sobie lekceważono pana Zamojskiego, bo to był opiły Szwedzisko, co się ledwie na nogach trzymał, i że dla nałogu użyć go inaczej niepodobna było, a radzi się go byli pozbyć, więc go do twierdzy słali. Jak tylko zobaczył go Kordecki, odprawił zaraz, nie umiejąc oznaki przelotnego gniewu utaić, a pan Czarniecki, zbliżając się do furty, jak to był gorączka, zawołał sam do Szweda:

— A szołdro jakiś! (było to u niego najbrzydsze połajanie) zakładnikiem za pana Zamojskiego nie może być jeno hrabia Wejhard lub Sadowski, a nie ty, opoju, ciebie za pachołka-byśmy nie przyjęli! Idź do krocset...

I nie zważając, czy Szwed rozumie go czy nie, plunął i zamknął mu furtę przed nosem.

Opiły przybysz posłuchał, jak się słucha drzew szumu, dosłyszawszy nazwisk tylko, popatrzał obałwanionym wzrokiem, zawrócił się i powoli, mrucząc, kroczył nazad, skąd przyszedł.

W klasztorze między zakonnikami, z powodu uwięzienia Błeszyńskiego i Małachowskiego, panował smutek i strapienie. Wszyscy ubolewali nad ich losem, choć go jeszcze nie znali, domyślając się tylko; groźba, że ich zatrzymają, myśl, że uprowadzić z sobą mogą, że narażono ich na niewolę i wygnanie, dręczyła wszystkich. Starsi przecie, widząc konieczność tego kroku, ten wybuch żalu powszechnego uwagami zdrowemi uśmierzali.

Krom wielkiego strapienia wszystkich, był i inny powód niepokoju powszechnego, z przyczyny pochwycenia zakonników. Szwedzi, zapowiedziawszy, że za pierwszym wystrza-

łem twierdzy powieszą mnichów, korzystali z tego fortelu wojennego. Wejhard był pomysłu twórcą. Skutkiem pierwszej chwili popłochu, w której zaniemiały działa jasnogórskie, a lud na murach, w obawie o życie księży, stanął wryty, — Szwedzi opasali górę i poczęli rwać się ku jej wierzchołkowi, jakby na strasznego lwa, któremu zęby i pazury odjęto. Widać było ruch skwapliwy przy szańcach, które z podwójną gorliwością sypano na strzał działowy od murów; Olkuszanie i wieśniacy, spędzeni do miny, poczęli ją dobywać i rozszerzać z pośpiechem. Obóz cały widocznie się okazywał zajęty myślą korzystania z tej chwili bezbronności klasztoru: zataczano działa, namioty obwarowywano wałami, a piechota i rajtary podskakiwali pod same prawie kortyny, ze wszystkich stron je opasując.

Na nikim to takiego nie uczyniło wrażenia, jak na panu Czarnieckim. Zamojski patrzał poważnie i rachował; a pan Piotr uniesiony wpadł do celi przeora cały w płomieniach i, ręce podnosząc, zawołał:

— Ojcze! dobrodzieju! łaskawco! jak nie każesz do nich dać ognia, to zwarjujemy i my, i ludzie nasi; taż to sceny się dzieją pod nosem naszym bezkarnie: Szwedzi podłażą pod same mury, latają, krzyczą, naigrawają się; a tu nie można strzelić! Jeśli tak dłużej potrwa — no, to ja o abszyt proszę.

— Ale, mój kochany panie Pietrze,—odpowiedział Kordecki — trzebaż choć pomyśleć, co robić; nie godzi się pozbawiać zakonu dwóch godnych i gorliwych pracowników, nie namyśliwszy się dobrze.

— A ja głowę stracę — wołał pan Piotr — i o nic nie proszę księdza przeora, tylko ze mną na mur: zobaczycie, posłyszycie i przekonacie się, że tu więcej niż anielskiej cierpliwości potrzeba, żeby tych psów nie powitać kulą i prochem. Świętyby nie ścierpiał...

Przeor, dogadzając woli pana Czarnieckiego, który był mocno wzruszony, poszedł z nim na blankowanie, i w istocie widok, jaki mu się tu przedstawił w ostatnich dnia blaskach, był przykry i upokarzający. Twierdza milczała jak zamarła, ludzie stali u dział, szlachta i księża wzdychali lub niecierpliwili się tylko, Szwed podsuwał pod górę, otaczał ją i słychać było bębnów bicie, trąby i hasła; kopacze biegali z rydlami, z faszyną, z koszami na plecach, z kijmi i dylami, działa posuwały się na nowoobrane stanowiska; wodzowie przelatywali na koniach z jednej strony na drugą,

a ciury i szuja ze śmielszymi harcownikami podbiegali pod sam prawie mur z głośnem wołaniem i krzykiem:

— Poddawajcie się, klasztorni! lub mnichów waszych pobijemy, powiesimy. Oto już szubienicę stawią dla nich. Nie obroni was Matka Boska Częstochowska — krzyczeli drudzy po polsku. Inni ze śmiechem strzelali, jak do wróbli, do ukazujących się na murach głów załogi.

— A co! księże przeorze, a co! — zawołał Czarniecki — te psy poszalały, a ja, Bóg widzi, nie wytrzymam, każcie mnie zamknąć, czy co...

— Panie Pietrze, — rzekł Kordecki — niech szaleją, my wytrwajmy, przystoi żołnierzowi Matki Boskiej umiarkowanie.

— Jużciż i ja, księże przeorze, kocham Matkę Boską, nie chwaląc się, ale chybaby mi Ona sama zakazała pod obedjencją, tobym nie strzelił, a tak stać, patrzeć, słuchać i milczeć, to oszaleć przyjdzie.

— To idźcież, panie Pietrze, do siebie i doprawdy zamknijcie się może, bo dziś, dopóki się nie naradzim i nie westchniemy do Boga, nic nie poczniemy przeciwko nim. Trudno strzelić, kiedy to wystrzał w piersi brata.

— No, to ja sobie pójdę — rzekł pan Piotr, czapkę na uszy nasunął i uszedł, ruszając ramionami, a wzdychał tak, że go po całej linji słychać było, i oglądał się to na działa, to na ludzi, to na przeora, czy go napowrót nie zawezwie.

Gdy Szwedzi tak harcują i krzyczą, nagle ujrzano ich, jak pierzchnęli trochę i o paręset kroków, jakby pomiarkowawszy się, cofnęli, stanęli. Z fosy wyszła przeciwko nim wysoka postać biała, o kiju, której płachtą białą wiatr rozwiewał daleko i długo. Przesądni Szwedzi wzięli żebraczkę za jakieś zjawisko; lecz po chwili, widząc, że ta postać zbliża się ku nim i poznawszy starą żebraczkę, którą prawie codzień widywali, jęli się znów przysuwać.

Kostucha wzięła kij na ramię, ręką się w bok podparła i wyprzedzając ich ku fortecy, poczęła jak buławą hetmańską machać swoim koszturem.

— A nu! — wołała — na mury panowie! na mury! najlepsza sprawa nie zwlekać! kiedy nie strzelają, bezpieczniuteńko i chwalebnie!

To mówiąc, rozśmiała się.

Kilku Polaków, co tam byli w tej kupie między hałastrą, dla gróźb wysłani, zawstydzili się, zafrasowali i stanęli.

— Na mury, panowie, — wołała Konstancja — a prędzej, wszak to z mnichami do czynienia, nie bójcie się, ja wam hetmanię!

Czy to wstyd tej śmiałej baby, czy inna myśl jaka odpędziła natychmiast Polaków, którzy powoli odciągać jedni drugich poczęli; Konstancja, obejrzawszy się dokoła, jęła się zbierać kule po ziemi i po chwili ukryła w fosie znowu, a już też i zmierzch padać poczynał.

XIV.

Przez cały ten dzień Krzysztoporski chodził niemy na swoim wydziale murów, jakby myśl jaką w sercu powziętą dojrzewał; nie odzywał się do księdza Mieleckiego, nie spojrzał, co się wkoło niego działo, nie dowiadywał, jak inni, i jakby go już nic walka nie obchodziła, to w okno Lassoty, to za mury spoglądał. Ku wieczorowi zszedł, pochodził w podwórcu; okrążył linję murów, zajrzał do dwóch izb swoich i powrócił nazad... Mieszkanie, które sobie sam wybrał pan Krzysztoporski, było sklepioną komnatą pod niemiecką basztą narożną; wykuty w szkarpie grubej przytykał do niej alkierzyk mały z jedną strzelnicą, pusty, wilgotny i oddawna niezamieszkany. Grube drzwi dębowe na potężnych zawiasach dzieliły izbę od alkierzyka. Nie wiedzieć poco, poszedł dnia tego po wschodkach do tej kryjówki, rzucił tam słomy trochę, obejrzał ją ze świecą i, wychodząc, próbował, czy drzwi się zamykają, usiłując klucz dobrać do zardzewiałego zamka. Po chwili rozmysłu rzucił klucz i podjął go znowu, wahał się i szedł, wracał, odtrącił nareszcie żelastwo, które był wyszukał, światło zagasił i na mur się wdrapał znowu. Naprożno ojciec Mielecki chciał go rozruszać, rozchmurzyć, usiłowania były nadaremne, chodził tak, aż dopóki go z innymi na radę nie wezwano.

Ksiądz przeor z zakonnikami i bracią szlachtą już szumnie a głośno, jak to u nas zwykła, radzili w definitorjum, a ściany sali rozlegały się huczną rozprawą, w której niemal wszyscy mówili, a nikt słuchać nie chciał. Zdania były wielce podzielone.

Jedni chcieli bronić się, poświęcając mnichów, w przekonaniu, że się im Szwed nic uczynić nie odważy; drudzy radzili czekać jeszcze, rachując na zimę, inni przebąkiwali o królu, o kasztelanie kijowskim, inni rozpaczali i podda-

wać się chcieli. Pan Zamojski myślał, milczał, pan Czarniecki się niecierpliwił, aż mu wargi drżały.

— Co tu myśleć, co tu radzić — wołał głośno — co się stało, to się stało, nam bić się i po wszystkiem.

— Nie, nie, panie Pietrze, kochana gorączko, — przerwał Kordecki — naprzód musimy wszystkie środki ocalenia ich wyczerpać. Mówicie, że Szwed nie odważy się na nich nastąpić, a czemużby to? alboż mało szlachty powieszał i postrzelał, alboż mało pościnał kapłanów i złupił kościołów? Nie świętość go wstrzyma pewnie. A drogie to nam życie i musimy ich oszczędzać, aby niepotrzebnie nie padli ofiarą. Dzień i drugi, zdaniem wszystkich, Szwedzi, podsuwając się, nic nam bardzo złego uczynić nie mogą; działa nasze, skoro się z konieczności odezwą, poprawią to i odepchną ich znowu... Tymczasem starajmy się ich ocalić.

Pan Czarniecki usunął się milczący, włożył ręce w kieszeń i odszedł na stronę. Zamojski perorował, dowodząc potrzeby, żeby go puszczono dla traktowania, ale na to zgody nie było i szlachta okrzyknęła:

— To być nie może, panie mieczniku, całość i bezpieczeństwo klasztoru nie pozwalają i my nie pozwalamy!

— Ani ja, — rzekł przeor powolnie — z Bożą pomocą damy sobie rady i bez tego; jutro wyślemy kogo dla rozmowy, upamięta się Miller. A zresztą w mocy to Chrystusowej, co będzie, to będzie, wyczerpiemy wprzód sposoby ratowania ich, a potem zrobim, co powinność każe.

Ledwie tych słów kończył, wysforował się pan Płaza, jeden ze szlachty schronionej w twierdzy, na którego twarzy malowało się dziwne wysilenie; widać było, że z czemś wystąpił, na co mu niełatwo przyszło się zdobyć: i z wielkiem pomieszaniem począł:

— Za pozwoleniem waszej przewielebności, to więc widzę, że o zdaniu się niema mowy?

— Jakto? o zdaniu? — spytał przeor.

— Bo jest nas tu wielu — kończył, trochę ośmielony Płaza, — cośmy tej myśli, że inaczej nie będzie, tylko potrzeba zdać się Szwedowi i łaski jego prosić. Co to już darmo bronić, czego obronić niepodobna! Nieszczęście! król nas opuścił, uciekli wszyscy. Chan nawet rewokował traktaty, nie wojować nam z losem, lepiej prosić o warunki dogodne i spełnić wolę Bożą...

Zapłomieniła się oburzeniem twarz Kordeckiego i powstał jak stary rzymski senator z kurulskiego krzesła, jak

kapłan prorok, aż dokoła rozstąpił się przed nim lud wszystek, gdyby popchnięty niewidzialną siłą; — wzniósł ręce do nieba, oczy ku niebu i zawołał przejęty:

— I wy to synowie tych ojców, co w boju zrodzili się, zrośli, pomarli, co nigdy nie wątpili o zwycięstwie, co nie ulękli się niczego, wy, potomkowie niezwalczonych, których Tatarowie i Niemcy nie pożyli; wy mówicie dziś o poddaniu i poniżeniu przed nieprzyjacielem, na chwilę zwycięskim. Takżeśmy to już upadli? To zwątpienie, ten postrach nikczemny, który śmiecie wyrzec już głośno, gubił nas i gubi! I nie wstyd wam nie mieć odwagi na śmierć chrześcijańską, a kochać nędzne życie nad ziemię swą, króla, swoją cześć i sławę! I nie wstyd wam drżeć jawnie i mówić o strachu. Widzę! widzę! — kończył uniesiony — ten postrach dzisiejszy, jak zepsuta krwi kropla popłynie i w przyszłe pokolenia, zlękniemy się, gdy odwagi tylko będzie potrzeba; niezgody i kłótnie miotać nami będą; będziemy się chlubić naddziadami, nie mogąc sobą — i legniem pogardzeni w barłogu Łazarza. Małoż jeszcze mieliście cudów, że o cudach wątpicie? Nie obroniłaż was już Matka Boska, nie opieramyż się stokroć większemu, silniejszemu wrogowi, my, garść starców bezsilnych? Trzebaż, by mnichy dawali wam przykład wytrwania i wiary?

Płaza cofnął się i pobladł, jak piorunem rażony, ale, odzyskując fantazję i siłę, szepnął:

— To proszęż nas wypuścić...

Ale go wnet zahukano tak, że słowo jego nie doszło nawet uszu Kordeckiego, a pan Czarniecki zaraz mu na kark wsiadł:

— Co to, waćpan oszalał? — zakrzyczał — kto waćpanu dał prawo mówić, w czyjem to imieniu androny prawisz? I waćpan nie spalisz się, tak mówiąc?

— Ale bo... ale bo — bąkał Płaza, — Szwed taki silny.

— Wypuścim waści do Szweda po oblężeniu, jeśli się podoba — kończył Czarniecki, — smakuje ci Szwed, że silny, pokłoń że się i djabłu, bo silniejszy jeszcze od niego!

Argument był za twardy do zgryzienia, choć niebardzo przyprawny.

Ciż sami, co przed chwilą pana Płazę popychali i do odezwania się skłonili, teraz odstąpili go; obejrzał się, chciał, by go kto poparł, nie było za nim nikogo, skonfundowany, wlazł w kątek.

Przeor tak mówił dalej:

— Wiary, wiary! wołam i wołać nie przestanę — zgody i wiary daj nam, Panie! To słowa wielkie, w nich oręż potężny. Módlmy się o nie, pracujmy na nie, uczmy dzieci w kolebce tych dwu słów tajemniczych, zgody i wiary, wiary i zgody! Nie opuści Bóg, jeno zwątpiałych i zwaśnionych! Bo rozpacz i swary są znakiem, że w nas duch Boży nie mieszka. Dopóty Bóg z nami, póki wiary, póki zgody!

A pan Zamojski dodał:

— Wszyscyśmy tu przyszli nie po co, tylko, by życie położyć w ofierze dla czci Marji i dać dowód, że nie cały jeszcze kraj zwątpił i ręce po więzy szwedzkie wyciąga. Więc ofiary raz uczynionej nie cofajmy z ołtarza. Życie nasze, jeśli się Bogu podoba, niech idzie na pomnożenie chwały Jego, a zażąda-li ode mnie wyrostka tego, jedynego mojego dziecięcia, oddam mu go — rzekł, wskazując na syna — i idącego na śmierć poczciwą pobłogosławię.

Pan Czarniecki rzucił się ku miecznikowi.

— Kochany panie Stefanie — krzyknął, — mówisz złotem, każże walić z dział i zaraz na mury, w imię Matki Boskiej.

— O tem dopiero jutro pomówimy — zamknął przeor.

I burzliwa z początku narada skończyła się milczeniem; nikt już głosu nie podnosił, stanęło tylko na tem, by wysłać do Millera, starać się o wydanie księży, a gdyby odmówiono, zdawszy się na wolę Bożą, bronić do upadłego.

Z tem się wszyscy rozeszli i przeor zadumany do chóru na modlitwę pośpieszył, Zamojski z innymi na mury, gdzie dziś z powodu podkradania się Szwedów wielka pilność była potrzebną i podwójnemi ogniami oświecić je musiano dokoła, żeby nikt bliżej podsunąć się nie mógł. I nikt, krom starców a dzieci, nie usnął w klasztorze, bo lękliwsi co chwila oczekiwali szturmu, niespodzianego napadu i zdobycia; mężniejsi pełnili powinność. Jak cienie po murach przesuwali się zakonnicy i szlachta, witając hasłem i kilku słowy cichemi; gdzie niegdzie szczęknęła broń, odezwało się głębokie westchnienie, a zegar na wieży bił powolnie ciemnej nocy godziny.

Jak na brzask, ujrzano wielkie zamieszanie w obozie szwedzkim, ale trudno było w początku zmiarkować, co ono znaczyło; jedni w niem odsiecz widzieć chcieli, drudzy zdjęcie oblężenia, inni jakiś postrach paniczny, a najzdrowiej sądzący — zamach na twierdzę. Niektórzy opowiadali, że dostrzegli od Krakowa drogą idący oddział, który Szwedzi

przyjęli okrzykami radości, że sam Miller go witał, że jakaś potem ochocza nastąpiła wrzawa. Czekano rozwidnienia, żeby lepiej o powodzie rozruchu tego osądzić. Gdy o tem oznajmiono Kordeckiemu na wszelki wypadek, wybiegł zaraz, chcąc własnemi oczyma to widzieć, bo się obawiał napaści niespodzianej; ale z gwaru, szumu i wrzawy nic wyrozumieć nie było można.

Wtem też i dzień mglisty rozjaśniać się począł, posępne słońce weszło gdzieś niewidzialne za obłokami i białą powłoką okryło świat, jakby sinemi dymy osnuty. A już i pod furtą klasztorną grzmiała trąbka szwedzka i parlamentarz przybywał.

Był to wspomniany już przez nas dawniej Polak Kuklinowski, zawadjak i służbista, zawsze gotów z posługą, byle przy niej był gotowy kufel i miska; na twarzy jego widać było jakąś radość, a radość sprzymierzeńca szwedzkiego źle zwiastowała. Przeor czekał na niego w drugiej bramie, nie chcąc go puszczać dalej, a rad będąc prędzej się coś dowiedzieć; przy nim był tylko nieodstępny miecznik i dwóch starszych zakonników, definitor i kaznodzieja.

Rotmistrz, poświstując, zbliżył się, gdyż mu oczu nie zawiązywano, a że to był rubacha i zawadjak, tak też bez ogródki począł:

— A co, księże przeorze, pora już przecie kończyć! co to sobie myślicie?

Na tę mowę zuchwałą i głupią nie było co odpowiadać, zwłaszcza, że pan Kuklinowski we łbie się mieć zdawał. Zamojski ruszył tylko ramionami wzgardliwie.

— Czego jeszcze czekacie, — rzekł Kuklinowski — żebyśmy w perzynę obrócili ten kurnik? ten murowany kopiec, który, gdyby nie litość j. w. Millera nad waszem zaślepieniem, dawnoby już w gruzach leżał!

— Dziękujemy za litość, — rzekł, uśmiechając się, przeor — zawsze to piękne uczucie, ale...

— Księże przeorze, — kończył Kuklinowski — tu niema co długo bajdurzyć, poddać się i kwita. Czego czekacie? posiłków?

— No, a gdyby posiłków?

— Od kogo, od pana Czarnieckiego?

— Nicby nie było dziwnego, gdyby i stamtąd przyszły!

— Cha! cha! — zaśmiał się rotmistrz — spojrzyjcież, spojrzyjcież — i wskazał przez okno poza mury.

Widok z okna był smutny, choć ożywiony: przeciągała

pod fortecą, pod ośmiu rozwiniętemi chorągwiami, piechota polska Czarnieckiego, łatwo ją było poznać.

— To oddział Wolfa! — zakrzyknął pan Zamojski. — Co to jest? on z wami?

Kordecki popatrzył posępnie z rezygnacją, ale ani się wzruszył zbytnio, ani nadto zadziwił.

— Kraków się poddał — hałaśno odezwał się z triumfem Kuklinowski, jakby go sam wziął — a ot i pan Wolf, co stał w Siewierzu bezpieczny, otoczony i tu przyprowadzony został, króla niema, wojska niema, wodzowie głowy pochowali, kraj zawojowany, w czemże teraz nadzieja wasza?

— W Bogu! — rzekł jednem słowem przeor, któremu to wszystko nie odebrało odwagi.

— Jakto? poszalelibyście do tego stopnia, że myślelibyście jeszcze się opierać? — śmiejąc się, odparł rotmistrz.

Wszyscy milczeli. Kuklinowski słupiał.

— Cóż to jest? szał? delirjum? obłąkanie? — zawołał po chwili.—Traktujcie i ratujcie się, jam Polak, ja za wami mówię, bo mi was żal.

Kordecki gorzko się uśmiechnął.

— No, cóż mi każecie odpowiedzieć Millerowi, który mnie posłał?

— Żeśmy Wolfa chorągwie widzieli, że wiemy już o wzięciu Krakowa i że modlimy się za króla jegomości.

— A traktowanie rozpoczęte?

— Mamyż jeszcze traktować — dumnie rzekł przeor — z tym, który prawa powszechne narodów, prawa wojny, szanowane w chrześcijańskim, a nawet w pogańskim świecie zwyczaje poniewiera? dla którego posłowie nawet nie są święci, który ich więzi i znieważa! Powiedz mu waść, że będziemy traktowali, gdy posłów naszych wypuści.

Kuklinowski chciał mówić, ale Kordecki pożegnał go i odwrócił się zasępiony, ale nie pokonany; polecił go odprowadzić do furty, a sam z panem Zamojskim pośpieszył wewnątrz twierdzy, gdzie widok regimentów Wolfa, polskich chorągwi w mocy Szweda i wieść o poddaniu się Krakowa niewysłowione uczyniła wrażenie. Zastał już na wszystkich podwórcach jednych klęczących na modlitwie, płaczących drugich, łamiących ręce i wyrzekających, innych cicho szepczących coś z zajęciem; gwar wszędzie, każdy radził i mówił coś innego, a na twarzach ciżby był wyraz rozpaczy, strachu, zwątpienia. Pan Czarniecki w czapeczce od

hełmu, w kaftanie łosiowym z pod zbroi, z założonemi wtył rękoma, z głową spuszczoną, chodził i mruczał:

— Po wszystkiem, teraz trutnie i bić się nie zechcą!

Kobiety z dziećmi małemi na ręku, kapłani starzy, czeladź, wszystko się było wytoczyło na mury w podwórza, poczepiało u baszt i jak w chwili pożaru, znajomi i nieznajomi witali się, pytali, rozmawiali z sobą, zwierzali sobie, użalali.

Wtem, wśród tego zgiełku myśli i głosów, stanął Kordecki, zsunął kaptur, który mu twarz zakrywał, i odezwał się:

— Dzieci kochane! Kraków się poddał, Szwedzi zdradą Wolfa wzięli, król opuszczony na Spiżu, Polska zawojowana, oto kres nieszczęść naszych; chwila kary Bożej za grzechy bliska końca. Kiedy się sroży plaga gniewu Wszechmocnego, najbliżej zlitowanie! Jeszcze chwila, a słońce zabłyśnie. Dziś nam Bóg powierzył najpiękniejsze stanowisko, i chciał nas słabych a ułomnych mieć przykładem całemu narodowi. My jedni stale, poczciwie opieramy się Szwedom, i wytrwamy, wiary nie złamawszy, do końca; korzmy się przed ołtarzem, błagając Boga, módlmy się a czuwajmy zgodni. I zwyciężym!!

To mówiąc, wskazał na obraz, odmalowany na zewnętrznej ścianie kaplicy, dodając:

— To nasza chorągiew, to zwycięstwo nasze... uciekajmy się pod Jej obronę, a nie traćmy nadziei. Czemuż nie mogę jej wlać w serca wasze!... O Boże! daj mi siłę... Módlmy się, módlmy...

Domawiał tych słów, a tłum, jak stał, tak sypnął się ku janitorjum, ku kaplicy, z zapałem, z pośpiechem, z popędem niewypowiedzianym, jakby gwałtowne modlitwy pragnienie pędziło go ku ołtarzowi; i jak na puszczy Izraelici rzucili się czerpać z płynącego pod laską Mojżeszową zdroju, tu wszyscy pobiegli przed obraz Matki i Patronki. Muzyka na wieżycy zagrała: *Salve regina!*

Wielka, o wielka jest modlitwy potęga, bo ducha podnosi, bo nas oczyszcza, bo nas tajemniczo przemienia. Gdy wśród śpiewów, grzmotu kotłów i trąb, organów dźwięku, woni kadzideł jednym głosem wielkim zaśpiewał cały lud, aż się sklepienia wstrzęsły, aż echo daleko rozeszło za mury; stanęli Wolfowi piechotyńce naprzeciw kaplicy Bożej Matki, zdjęli hełmy z czoła zasępionego, poklękli i skłonili chorągwie...

Biedni pojmańcy — ich serce było u ołtarza, a broń ku niemu zwrócona!

Zaledwie Szwedzi to ujrzeli, gdy już regimenta millerowskie pędziły dalej modlących się Polaków, i mało kto spostrzegł to przyklęknienie, które objawiało w użytych przeciw Częstochowie żołnierzach synów Królowej, co tu panowała.

Miller z Wejhardem sądzili, że uwięzienie posłów, ukazanie Wolfa, wieść o poddaniu Krakowa, o wyjściu Czarnieckiego do Budzynia przyśpieszy, znagli poddanie. — Nareszcie, myślał hrabia, zwyciężamy! i już się zemstą cieszył, już w myśli upokarzał dumnych mnichów, którzy śmieli go nie słuchać. Wielkie było zdumienie w obozie, gdy Kuklinowski powrócił z odpowiedzią:

— Niech posłów uwolnią.

Miller się pochwycił z siedzenia.

— Zaraz — rzekł — ja ich uwolnię, gdy na szubienicę pójdą. Co oni mi śmieją prawić o prawach wojny; alboż to twierdza, ta ich lisia jama, ta buda, alboż to żołnierze i wodzowie, alboż to posły?

I rozśmiał się ze złością, a rozgniewał znowu namiętniej i kazał otaczać, zbliżać pod twierdzę, opasywać ją jak najściślej, krzykami, postrzałami uciemiężając mnichów, którzy się bronić nie mogli.

Sam co chwila niecierpliwszy i chmurniejszy, całą swą złość na Wejharda wywierał, zawsze jeszcze przypisując mu wszystek wstyd i klęski swoje.

— Gdyby nie ty, panie hrabio, — mówił — byłbym swobodnie i wygodnie w Prusach się wylegał, gdzie i kraj lepszy i przynajmniej cośbyśmy do tej pory zrobili, a tu stoim i sromotnie targamy się z mnichami, którym rady dać nie możemy.

— Ale, panie generale, jesteśmy u celu! — powtarzał Wejhard.

— Gdzież ten cel? racz mi go wskazać.

— Wszakże niemal wzięliśmy Częstochowę, już *ultimis spirat*... za kilka godzin się podda. Wachler zaręcza, że i prochu nie mają i załoga ręce wyciąga; byle najmniej jej pomóc, to się zda.

— Czemuż się nie zdaje?

— Szturm przypuścić — rzekł Wejhard.

Rozśmiał się Miller.

— Nie zrobiwszy wyłomu! nie zasypawszy fosy?

— Baterja od północy pracuje nad wyłomem.

— Przecież go dotąd nie zrobiła, mur gruby i kule, gdyby powarjowane, nie wiedzieć dokąd lecą... gdyby nie wstyd, jużbym odstąpił; tu jest coś niepojętego...

— Istotnie, byłoby to wstydem dla wojsk j. k. mości. Wittemberg wziął Kraków, a Miller nie podołał Częstochowie, i pan Kordecki lepiej sobie dał rady od pana Czarnieckiego, co zęby zjadł na wojaczce. Wiesz, panie generale, cobyś utracił, odchodząc? Maszże wyobrażenie skarbów tego miejsca?

— Mówiłeś mi o nich, mój hrabio, dosyta, ale jak poddanie Częstochowy wróżysz codzień, a jednak go nie widać, tak i tu musisz bałamucić trochę.

— Na własne widziałem to oczy! — zawołał Wejhard, łechtając chciwość Szweda, którą znał za panującą jego namiętność. — Ołtarze są niemal całe srebrne, okryte klejnotami od stropu do posadzki, skarbiec pełen złota i drogości, naczyń kościelnych, pereł mnóstwo... Posągi nawet lane są z kruszców kosztownych, a lekko licząc, kilkakroć sto tysięcy talarów znaleźć się powinno gotówką. Nie liczę już drobniejszych przyjemności i dogodności...

Miller słuchał, i rozwidniło się na jego twarzy, poczynał się uśmiechać. Wtem podano mu list od Kordeckiego; przeor w nim jak przez Kuklinowskiego naglił o uwolnienie posłów: „Gdybyś, mówił wkońcu, na ich życie (czego nie sądzim) nastąpił, zdajemy się wszyscy na wolę Bożą, bez której włos nie spadnie z głowy; niech umrą, jeśli śmiercią swoją mają okupić swobodę, której wszyscy oblężeni do ostatka tchu bronić nie przestaną!"

Zastanowił się wódz stary, i na wojaku ta dumna w nieszczęściu moc niepokonanego ducha zrobiła nareszcie wrażenie, ale przelotne jak błyskawica; zagrał zaraz w nim gniew miłości własnej piosenką.

— Przywołać tu jednego z tych mnichów! — krzyknął do ordynansa.

I za chwilę skrępowanego, bladego, wycieńczonego wprowadzono księdza Błeszyńskiego, który stanął przed generałem niemy, ponury, ale niezgięty. Cała noc urągań, bezsenności, widok szwedzkich heretyckich porywów na świętości wiary, słowy i ręką targających się, wielce zmieniły kapłana, złamały ciało jego, chwiał się na nogach i pot zimny oblewał mu czoło, dusza podniosła się tylko ku Bogu.

Miller był jednym z tych ludzi, na których cierpienie

robi to wrażenie, co krew rozlana w boju — rozjusza; uśmiechnął się, ujrzawszy księdza w tym stanie i wskazując mu na klasztor, rzekł:

— Idź do swego przeora, a powiedz mu, coś widział w obozie moim, niech się poddają, póki pozwalam się poddać; a powracaj tu, bo inaczej towarzysz twój wisieć będzie, klnę się honorem żołnierskim, jeśli nie powrócisz, zginie.

XV.

Braciszek Paweł na bramie pacierz odmawiał klęczący, gdy ujrzał z żołnierzem szwedzkim na powrozie wiedzionego księdza Błeszyńskiego, bladego i ledwie mogącego utrzymać się na nogach; po sukni nawet znać było, co wycierpiał, bo na niej i błoto, i sznury, i szarpanie żołnierzy zostawiły ślady. Jakgdyby Bóg wysłuchał gorącej jego modlitwy, bo się właśnie z innymi na tę intencję modlił, ukazał się ksiądz Błeszyński. Poskoczył braciszek otworzyć, ale posmutniał, zobaczywszy, że Błeszyński był sam jeden i w takim opłakanym stanie.

— A wracacie dzięki Bogu! — rzekł, wznosząc ręce — biegnę z tą wesołą nowiną do księdza przeora, gdzież ojciec Zacharjasz?

— Nie cieszcie się bardzo z mojego powrotu, bracie Pawle! — rzekł ksiądz — wróciłem tylko posłem szwedzkim... a ojciec Zacharjasz został między niewiernymi.

— Jakto? więc... więc was jeszcze nie uwolnili?

— Daj mi odetchnąć! — i rzucił się przybyły na ławę w izdebce furtjana. — A! bodaj to — rzekł — bodaj każdemu swojem się parać! Jakże mi żal tych chwil spokojnych, w celi mojej spędzonych, w chórze, w kościele... życie zakonne to raj ziemski, trzebaż nam je było zamienić na wojnę i walki...

— A! cicho! cicho! — odrzekł brat Paweł z prostotą i zapałem dziecięcia — jeszcze kto usłyszy, że narzekacie! To ksiądz przeor kazał... i na chwałę Matki Boskiej cierpimy; co tu szemrać; nie rozpaczajcie, wrócą czasy spokojne. A możebyście się czem posilili?

Ale ksiądz Błeszyński spuścił głowę i milczał, spoczywał... Jeszcze wrzawa obozu tętniła mu w uszach, jeszcze ten tłum szalony wirował mu przed oczyma, i zdało mu się, że go ktoś szarpie, że go wiodą... Mimo tych mar strasznych,

znużenie było tak wielkie, że usnął, siedząc. Zobaczył to brat Paweł i posłał dać znać przeorowi, że Bleszyński przyszedł, ale osłabły jak siadł, nie wstaje snem ujęty.

Wszyscy się więc potoczyli dla widzenia z nim do bramy, a trzask wchodzących zbudził ze snu zakonnika, który krzyknął i obłąkanym powiódł wzrokiem po znajomych twarzach.

— Jakto? — rzekł nieoprzytomniony jeszcze — jestem tu, w klasztorze? cóż to było?

— Uspokójcież się, uspokójcie, — zawołał Kordecki, siadając przy nim — dzięki Bogu, że was widzimy... a coście wycierpieli, ofiarujcie Bogu.

— Prawda, — rzekł Bleszyński, wiodąc ręką po czole — wycierpiałem wiele, a Bóg wie, co mi jeszcze zostało do wypicia... może śmierć.

— Jakto? mówcież! a ojciec Zacharjasz?

— Ja wcale nie jestem uwolniony — rzekł Bleszyński — ani on... tamten jeszcze w więzach, a ja tylko posłem od Millera tutaj. Noc i dzień przebyliśmy okropne, napatrzywszy się, nasłuchawszy, nacierpiawszy urągowiska, bicia i obelg, i bluźnierstw, że nam się to wiekiem zdało! Szwedzi wymyślnie znęcali się nad nami. Służyliśmy im za zabawkę nocną, a oka żaden z nas nie zmrużył, bo oba związani, przyparci do ściany spalonego budynku, prócz mokrej ziemi nie mieliśmy lec na czem. W ostatku śmiercią nam grożą. Dziś rano wysłał mnie Miller, zapowiadając, że jeśli nie wrócę, ojciec Zacharjasz powieszony zostanie, na co się zaklął. I nie trudno wierzyć, że zrobić to gotów.

— Jakto? musicie znowu powracać?

— Wrócę zaraz! — rzekł Bleszyński — wrócę, wola Boża, nie obawiam się śmierci, gorsza męczarni godzina w tej jaskini zbójeckiej. I przyszedłem — dodał z westchnieniem — nie pomnożyć waszą odwagę, ale jej odjąć...

— Wy! wy! ojcze Bleszyński? — spytał zdziwiony Kordecki.

— Ja... tak jest... sumienie mi to każe. Ogrom sił szwedzkich, wprawni wodzowie i wojsko, wszystkie drogi odsieczy przecięte... cóż na to poradzim? Miller zaklął się zdobyć koniecznie i zdobędzie Jasną Górę, a wówczas!... a! nie chcę pomyśleć nawet, co się stanie! Święte to miejsce, które poddaniem tylko ocalić możemy, będzie legowiskiem heretyków i placem ich świętokradzkiego igrzyska.

— Ojcze! — rzekł przeor smutno — samiście byli za

obroną, mogłoż jednej nocy cierpienie tak zmienić zdanie wasze?

— Nie cierpienie to mnie zmogło, ale oczywistość; chybaby Bóg zesłał aniołów swoich, inaczej obronić się niepodobna; samo usiłowanie o to w pośmiewisko nas poda. Głód jeden zmusi do poddania. Czyńcie, co się wam podoba, bo i życie moje oddaję na wolę waszą i nie wzdragam się cierpieć, ale widziałem oczyma własnemi potęgę Szwedów; znam garść naszych niesfornych wieśniaków, w którą co chwila ducha wlewać potrzeba, bo go co chwila traci; — i świadczę się Bogiem, że nie dla siebie to mówię, ale dla was! Traktujcie i poddawajcie się, lub czyńcie...

— Jak Bóg natchnie — przerwał zamyślony przeor z westchnieniem. — Tak, — dodał, poglądając na pana Zamojskiego znacząco — traktować potrzeba, traktować będziemy, ale nie przymuszeni nożem na gardle, nie postrachem parci, nie złapani w matnię jak żacy, traktować będziemy godnie i jak na nas przystało. Niech Miller wyda was naprzód, niech nie postępuje z nami jak z dziećmi, które groźbą brać można, a naówczas pomówimy.

Z wyraźną niechęcią przeor słów tych domawiał, wyrywały mu się one, jakby przemocą wyciśnięte, jakby z wzdrygnieniem wewnętrznem.

— Co wy na to, panie mieczniku?

— Ja, zawsze i wszędzie godzę się na zdanie wasze, księże przeorze, — odparł Zamojski — bo zawsze i wszędzie to zdanie najlepsze i najzdrowsze; piszcie do Millera w ten sposób.

— Nim się to uczyni, ojcze Błeszyński, chodźcie z nami — rzekł Kordecki — do kaplicy i klasztoru, odzyskacie siły, patrząc w oblicze świętej Patronki, a ducha wam doda męstwo braci.

— Ja na śmierć gotów jestem, a Bóg świadkiem, że się jej nie boję, — odrzekł zakonnik — ale mi srogi żal Jasnej Góry, żeby ją w kupę gruzu nie zmieniła ta tłuszcza siepaczy.

— Ojcze! ojcze! a Pan Bóg? — spytał surowo Kordecki, zawsze swoją śpiewając piosnkę.

— A czyżeśmy warci cudu?

— My nie; ale święte Jego ołtarze.

— Ma on ich wiele po świecie, a gdy ołtarz burzyć dozwala, to na karę ludzi. Jemu chwałę wiekuistą śpiewają archaniołowie.

Ze spuszczoną głową, wolnym krokiem, wybladły więzień szedł powoli, a tu go wszyscy otaczać poczęli pytaniami, użaleniem, ciekawością narzucając się natrętną. Odzyskał przytomność i trochę siły zakonnik. Widząc się między swoimi, nie chciał nadaremnie straszyć zamkniętych w twierdzy, a na zapytania ich odpowiedział tylko, że z listem przyszedł i z listem powróci.

Ten powrót, który Błeszyński uważał za konieczność, bo nim ocalał życie Małachowskiemu, wielu się wydał czem był w istocie — heroizmem; największe bowiem podobieństwo było, że oba poginą. Tak choć jeden mógł ocaleć; ale ksiądz Błeszyński dał słowo i pragnął męczeństwa.

Wielkie znów były narady, wielka wrzawa w definitorjum. Płaza, przewódca tchórzów, wystąpił powtórnie z radą poddania klasztoru, ale go Kordecki wprost ofuknął.

— Szukałeś tu waść — rzekł mu — schronienia, siedźże spokojnie, módl się i czyń, co ci czynić dadzą dla wspólnej obrony, a nie mieszaj się do tego, o co cię nie pytają. Ja tu jeden jestem naczelnikiem i wodzem, ja rządzę i rozporządzam, ja Bogu i ludziom za to, co czynię, odpowiem.

Usunęli się więc znowu bojaźliwi i już nie odzywali, a ksiądz Błeszyński z listem powrócił do obozu.

Ledwie kilka upłynęło godzin, aż i ksiądz Małachowski za nim się zjawił, w innej postaci, lecz niemniej znękany swą niewolą; sił mu nie brakło, bo je oburzenie podwajało, cały w płomieniach, wstrząsał się, zżymał i pioruny Boże wyzywał na Szwedów.

— Nowy poseł — rzekł Kordecki, ujrzawszy go w swojej celi, gdzie się zgromadzała rada wojenna, i wyciągnieniem ręki powitał ojca Zacharjasza.

— Co nam przynosisz, ojcze?

— Toż samo, co ksiądz Błeszyński, też słowa, też rozkazy, z dodatkiem, że, jeżeli się nie poddacie, jutro śmierć nam... Miller na to przysiągł.

Kordecki stanął wryty i wszyscy zamilkli.

— Nic nie pisze? — spytał.

— Nic. Dwa tylko polecił mi rzec słowa: jeśli się nie podda Częstochowa, wezmę ją szturmem, ale wprzód wy, przewrotni posłańce, wisieć będziecie.

Uśmiechnął się przeor dumnie i śmiało.

— Bogu dzięki! — rzekł.

Wszyscy się zdumieli temu wykrzyknikowi.

— Śmiercią — mówił Kordecki — nie może was ukarać,

boby oburzył wszystkich Polaków w obozie, a gdyby to i uczynił, wy, męczennicy, bylibyście może zbawcami Polski, a krew wasza odrodzenia i oswobodzenia stałaby się zakładem. Ale nie.., nie! czuje dusza moja, że nie padniecie ofiarą! Nie! Słowa Millera są dla mnie dowodem siły naszej! Dlategom rzekł: Bogu dzięki! Gdyby zdobycie było łatwe, pocóżby groził, pocóżby szukał takich sposobów dla zmuszenia nas? Nie widzicież, że te fortele jak na dłoni ukazują, iż nas pokonać siłą nie umie.

Pogodniejszy wyraz twarzy wszystkich zwiastował, że zrozumieli przeora...; on kończył:

— Powiedzcie mi, ojcze Zacharjaszu, a obłąkane owieczki, kwarciani i inni Polacy, czy wspomagają Szweda?

— Stoją tylko, płaczą i patrzą, — odpowiedział ksiądz Małachowski — ale i to zgroza, i to okropnie, że patrzeć mogą, a oręż im się nie zapali w rękach, a dusza z nich nie skoczy! Wiecie, co to jest obóz szwedzki. Nie! nie! wy go tylko widzicie zdaleka z różnofarbnem, wesołem, jasnem zbożyszczem ludzi, a w środku... to piekło!

I wstrząsnął się ze zgrozą i przeżegnał.

— Co jest w świecie rozpusty i brudu, to się tam zlało jak do rynsztoka... Ale siła wielka i męstwo szatańskie, bo opiłe bestje, bydło bezrozumne, jak bydło idzie na śmierć.

— Takie wojsko — odezwał się Kordecki — nie może zdobyć kraju! — może go opanować zdradą, strachem, może chwilowo go zalać, ale go zagarnąć — nigdy! Niema tam siły, niema żywota, niema myśli. Ślepa odwaga żołdaków, umiejętność wodzów nie dosyć! to nie są ludzie przeznaczenia, bo idą bez Boga. Karę Bóg tylko domierzył sromotną i pokazał, kto niezgodnych zwycięży nas może, — ale to pierzchnie jak obłok w dzień letni, gdy wybije godzina.

Nikt nie odpowiedział.

— Ojcze, — dodał przeor — gdy spoczniecie, zanieście mu odpowiedź jedną, niech was uwolni, a będziemy traktować; powiedzcie mu, że życie nasze i wy, i my wszyscy poświęcim chętnie za sprawę świętą... Niech się stanie wola Boża.

Wniosek przeora, który z gróźb przewidział brak siły, trafił do przekonania wszystkich: milczeli nawpół ubezpieczeni, wpół uspokojeni nadzieją, że Szwed mnichów wyda i traktowanie się rozpocznie.

Dopiero po wyjściu wszystkich, gdy Kordecki sam z sobą pozostał, trzeba go było widzieć, by mieć pojęcie potęgi

ducha tego, który walczył ze zwątpieniem zewsząd mu wlewanem słowy i czynami... Z bohatera, z wodza, u stóp krzyża, przed którym pokląkł w pokorze, stawał się pokornym kapłanem, drżącym w obliczu Boga grzesznikiem. Ogrom odpowiedzialności, ciążącej na jego ramionach, przerażał go; truchlało serce, drżał cały, płakał i modlił się. A gdyby godziło się choć zdala święte i boskie z ludzkiem porównać cierpieniem, rzekłbym, że tak upadał na duchu Chrystus Pan, gdy się zbliżała męki Jego godzina, choć znieść był gotów męczeństwo.

Kordecki mężny przy ludziach, sam z sobą trwożył się nieraz; ten ogrom szwedzkiej siły, te zgodne wszystkich rady poddania się, to kraju nieszczęście miotały jego duszą... Ale gdy pomyślał, że Jasną Górę splamią heretycy, że po wiek wieki powiedzą ludzie, zaświadczą dzieje, iż Kordecki i paulini Szwedom skarb ten wydali; gdy nieprzyjaciela wspomniał, wszystko, co on uczynił na ziemi polskiej przeciwko jej synom, na jej zgubę, — męstwo się odzywało, oburzała dusza, zrywał się z modlitwy i wołał:

— Lepiej umrzeć w obronie!

Walczył w nim człowiek słaby z nieśmiertelnego ducha popędem; duch czuł, że wszędzie i wszystko potęgą swą złamać powinien; człowiek rachował, ważył i widział same niepodobieństwa. Lecz gdy wspomniał na cuda, które Bóg Chrystus uczynił po wszystkim świecie, gdy pomyślał o opiece Marji, królowej nieba, gdy zliczył chóry zastępów anielskich i siły niewidoczne a potężne niebios... mężniał i krzepił się. I tak naprzemiany łzy z odwagą, zwątpienie z męczeństwem i wytrwałością biły się w sercu jego. Ale Bóg sam widział walkę, ludzie widzieli wodza-kapłana, mężnego i nieugiętego, który na wszystkie namowy, wieści, postrachy odpowiadał stale:

— Nie podda się Częstochowa.

Dwóch tylko ludzi, w wielkiej liczbie oblężonych, dorównywali mu duchem: miecznik Zamojski i Czarniecki, reszta, z różnem usposobieniem, przechodziła ze strachu do zuchwalstwa, kryła bojaźń milczeniem, lub objawiała ją bezwstydnie, wierzyła w klęskę i starała się ją zmniejszyć, oczekując z rezygnacją lub rozpaczą. Lecz wielki, wielki jest wpływ choćby jednego człowieka, co słowem, jak dłonią olbrzyma, dźwiga serca i podnosi wysoko; czują ludzie wyższość, podbici nią milczą i wstyd im zeznać się słabymi w obliczu siły; pną się do niego, choć pozornie chcąc

mu dorównać. Taki był wpływ Kordeckiego, którego ukazania się dość było, by zmienić szmery niechętne, czasem w zawstydzone milczenie, czasem w chwilowy zapał.

Szlachta radaby się była bronić, ale wieść o wzięciu Krakowa, a zagarnieniu Wolfa, o pobycie stałym króla na Spiżu i o mniemanych rakuskich posiłkach, których więcej się obawiano, niżeli im ufano — odejmowały wszelką nadzieję; wszyscy wołali: *Finis Poloniae* i łamali ręce sam na sam, choć się krzepili dla drugich. Cóż powiedzieć o ludzie, co szedł zmuszony lub zapłacony do walki, nie podniesiony do niej sercem jeszcze, u którego każdy posłuch znajdował wiarę; zarówno chan Tatarów, idący w pomoc Janowi Kazimierzowi, jak rzeź połowy Polski przez Szwedów uknuta... Lud codzień się wahał i oddawał to nadziei niepewnej, to bezmiernej rozpaczy, drętwiał znużony, lub szedł walczyć jakby szałem zdjęty... Chwilami przed obrazem mężniał w kościele, podnosił się do gotowości męczeństwa, ale to były — chwile tylko. Takie to zbiorowisko ludzi, taką garść miał pod sobą Kordecki i z nią, potężną duszą, a wiarą, bronił się kilkutysięcznej sile, staremu wodzowi, co życie spędził w boju, zdradzie, przemocy i groźbom...

XVI.

Kordecki szedł korytarzami do klasztoru następującego ranka, gdy starzec zapłakany upadł przed nim na kolana; cofnął się zakonnik zlękniony i zdziwiony.

— Co ci jest? — spytał — czego chcecie?

— A! — zawołał stary, zachodząc się od rzewnego płaczu — nieszczęście wielkie, nieszczęście — ja mówić nie mogę, spytajcie — spytajcie!! Tuż za nim wślad biegł ksiądz Piotr Lassota, zmieniony, łamiąc ręce.

— Co to jest? ubiegli twierdzę! zdrada! co się stało? — spytał przeor strwożony.

— Nie, nie,—przerywanym głosem rzekł ksiądz Piotr— nieszczęście, zbrodnia...

— Zbrodnia! tu! ale mówcież, Bóg z wami, co się stało? umarli męczennicy nasi?...

— Nic, nic, to nasze tylko nieszczęście.

— Cóż się stać mogło? zabito kogo?

— Zabito czy porwano, nie wiemy — rzekł ksiądz Piotr Lassota... — Widzieliście Hannę, wnuczkę naszą...

— A! i cóż się jej stać mogło?

— Znikła! zginęła! wczoraj wieczorem poszła do kaplicy... i nie powróciła.

— Przysięgam, to Krzysztoporski, to zemsta jego nade mną! — zawołał starzec — to on, to ręka jego...

— To być nie może, — odparł przeor zadziwiony — tu, przy ołtarzu Boga, wobec niebezpieczeństwa; taka zbrodnia! to niepodobna! Ale jakże się to stało.

Oba Lassotowie nie byli w stanie opowiedzieć, nadbiegł przecie ktoś trzeci, sąsiadka Lassotów, pani Jadwiga Jaroszewska i ta lepiej rzecz opisać mogła.

— Handzia, — odezwała się — bo stoimy przeze drzwi tylko, często wieczorami chodziła do kaplicy, gdy stary pan Lassota usnął; otóż i wczoraj, nawet widziałam, kiedy wychodziła, a już mrok gęsty padał, pobiegła sama i czekali jej, czekali, ani śladu... nie powróciła.

— Może gdzie omdlała, potrzeba szukać.

— A! obiegliśmy cały klasztor, przetrzęśli wszystkie kątki, nigdzie wieści, nigdzie śladu.

— Gdyby była zabita, przypadkiem czy umyślnie, byłby znak jakiś...

— To Krzysztoporski, — powtórzył starzec, łamiąc ręce — nieszczęście mnie tu przywiodło; jakem go tylko ujrzał, zaraz mi się serce ścisnęło... czułem moją zgubę. Czemużem lepiej nie skrył się gdzie w lasy... i nie umarł z nią razem z głodu... nieszczęśliwe dziecię... może ją Szwedom wydali...

I padł na ziemię, zachodził się a płakał; ksiądz Piotr chciał cieszyć, ale jak pocieszać było? Kordecki sam ujął pod rękę i chciał zaprowadzić do mieszkania, ale starzec już wrócić nie mógł tam, gdzie był z wnuczką wprzódy, dobijało go wspomnienie, zaprowadzono go do celi księdza Piotra.

Tymczasem Kordecki, który przypuścić nawet nie mógł takiej zemsty i nie śmiał o nią obwiniać Krzysztoporskiego, dziwnemi rozbijał się domysły i poszedł, surowo milcząc, na mury. Chciał spojrzeć w oczy obwinionemu i wyczytać przez nie, co się działo w jego duszy. Jeszcze nie doszedł do baszty, w której spodziewał się znaleźć, gdy go spotkał na drodze.

Krzysztoporski był chmurny, dziki jak zawsze i zbłąkane miał wejrzenie, zadumę smutną na czole, troskę w duszy widoczną, ale dnia tego udana czy prawdziwa radość

błyskała mu ze źrenic; zdawał się jakby uspokojony, jakby nasycony. Pierwszy powitał przeora, który milczącem badał go wejrzeniem.

— Zszedłem tylko na chwilę z murów, żeby zobaczyć zapasy prochu nasze, ale ojciec Mielecki na stanowisku, wracam zaraz, on mi świadek, że dzień i noc na czatach, ani z nich schodzę.

Przeor patrzał jeszcze, Krzysztoporski mówił dalej:

— Na pierwszy znak do boju jesteśmy w gotowości.

— Słyszeliście o wypadku? — spytał Kordecki.

— O jakim? — dosyć spokojnie, ale spuszczając wdół oczy, odparł szlachcic. — O księdzu Małachowskim i Błeszyńskim?

— Nie, o wnuczce pana Lassoty.

Krzysztoporski wargę odął i brwi namarszczył.

— A cóż to się stało? — spytał.

— Znikła! — rzekł Kordecki — rzecz niepojęta.

— Może zabita — cicho szepnął szlachcic.

— Wszak od tego nieszczęsnego traktowania nie strzelają...

— A któż wie, może się gdzie utopiła, — rzekł Krzysztoporski — spadła z murów, zresztą tyle tu hałastry.

Przeor uważał nań bacznie, ale szlachcic w niczem zwykłego swego pozoru nie zmienił; że obojętnie to przyjmował, nie było dziwna.

— Panie Mikołaju, — odezwał się po chwili namysłu przełożony — wiemy, że Lassota i wy byliście śmiertelnymi nieprzyjaciółmi...

— Byliśmy? Jesteśmy! — odparł — ale cóż z tego, ojcze?

— Wiecie, że was wszyscy o to zniknienie posądzą?

— Czuję, że tak być musi.

— Jesteście spokojni na sumieniu? możecie przysiąc, że to nie wasza robota?

— Aby człowieka o zbrodnię posądzić, trzeba czegoś więcej, niż nieprzyjaźni, potrzeba dowodów... a tu dowodów niema i być nie może.

— Jakżeto wiecie? — spytał, chwytając, przeor.

— Bo mi to dziś nie w głowie, — rzekł Krzysztoporski zimno — nie taję, żem rad, iż Lassota cierpi i jam cierpiał z jego ręki, ale to sprawa nie moja. Zresztą, cóżbym z nią uczynił. Wiecie może, że to wnuczka mojej żony.

— Panie Mikołaju, Bóg nie szczęści nienawiści.

— Ale Bóg nie wymaga darowania winy, gdy za nią żalu niema!

— Owszem.

Krzysztoporski odwrócił się trochę i zmilkł, ruszając tylko ramionami.

— Co mi tam! — rzekł po chwilce — niech sobie posądzają... jam niewinien.

— Stoicie na murach naprzeciw mieszkania Lassoty, widzieć musieliście, jak wychodziła, nie macież poznaków, posądzenia na kogo?

— Ja na obóz szwedzki patrzę, nie na czyjeś tam okna.

To mówiąc, zwrócił się na mur, a przeor odszedł, wzdychając.

A tuż leciała szalona, z rozczochranym włosem, z rozwinionemi chusty, jak piorun pędząc, żebraczka i wołała głosem wielkim:

— Sprawiedliwości! sprawiedliwości! kryminał, pod bokiem Matki Boskiej zbrodnia.

Minęła przeora, pobiegła pod okno Lassoty, zajrzała w nie, po świeżym wilgotnym popatrzała bruku, po drzwiach i pędem ode drzwi ruszyła w dziedziniec. Tu obróciła się, obejrzała, zobaczyła Krzysztoporskiego na murze, załamała ręce.

— On! — zawołała donośnie — on!

I suchym wskazała nań palcem.

Krzysztoporski, który to usłyszał, wzdrygnął się mimowoli, obrócił — usta zaciął tylko. Stara nazad za przeorem śpieszyła, ale wpół drogi, miarkując się, zawróciła znowu, zapuściła chustą, opamiętała i powolniej, powolniej coraz poszła usiąść pod oknem Lassotów. Tu wyjęła swój chleba kawałek zawinięty starannie, poczęła go całować i płakać, jakby naradzać z sobą i cicho szeptać.

— Nie, nie, to być nie może, on jej zabić nie mógł, on wydać jej nie mógł, ona się znajdzie, tu gdzieś ją skryć musiał. O! czuję, to jego sprawa! Biedne dziecko, za cóż ty pokutujesz jeszcze, za stare grzechy czyjeś, za dawne sprawy i zemsty! Ale Matka Boska ulituje się, to być nie może... ja ją odkryję. Biedne dziecko! — powtarzała — tak zginąć marnie! A! i ten biedniejszy może starzec... lepiejby mu śmierć, niż to ostatnie sieroctwo.

Płakała długo, aż jakaś otucha wstąpiła w serce, i ujrzawszy, że się jej łzom i szałowi ludzie podziwiać za-

czynają, zdobyła się jakby cudem na swoją wesołość codzienną, na skoki, na śmiech, oszukała wszystkich... zakręciła się i uciekła.

XVII.

Zdziwił się wielce Miller, zobaczywszy powracającego ojca Zacharjasza z miną niezmienioną, z twarzą tąż samą, z jaką był odszedł, ani upokorzonego, ani znękanego, ani śpieszącego, coby wieść nową dowodziło i upragnione poddanie. Błeszyński modlił się cicho i wzywał tylko chwili śmierci, bo ją mieli oba za nieuchronną.

Chmurną brwią i gniewem tem straszniejszym, że zaciętym, już nie wybuchającym nazewnątrz, przyjął Miller przyprowadzonych do siebie księży. Otaczali generała wodzowie, książę heski, który na niego spoglądał zgóry i unikał z nim rozmowy; Sadowski, milczący i nie kryjący swego wstrętu dla naczelnika, Wejhard naprzemiany pochlebny, uśmiechnięty, tajemniczy, polityk, zręcznie umiejący poddać myśl swoją, nie przyznając się do niej.

Był wieczór, a namiot Millera obszerny, w którym wedle zwyczaju dla starszyzny zastawiono stoły, przedstawiał widok malowniczy... oświecały go lampy kościelne i świece woskowe wyraźnie w zakrystjach jakichś, jakby z katafalku zerwane, w lichtarzach ciężkich i wielkich; między obrusami znać było znowu bogato szyte ołtarzowe opony; na ścianach wisiały zbroje, miecze i oręże, bogate polskie kołczany, przepyszne kobierce herbowne, po bokach leżały aksamitne siodła z rzędami złocistemi, sadzonemi i różny sprzęt, widoczny owoc grabieży. Starszyzna siedziała na kulbakach, na obozowych tłumokach, na ławach zbitych naprędce; słudzy krzątali się z wieczerzą; kilku grało w karty i kości w milczeniu, niekiedy przerywając sobie przekleństwem; dzbany i flasze krążyły. Wejhard był wszędzie; to coś szepnął, to się uśmiechnął, to podrwił z nieprzytomnych, a pochlebił każdemu, a sadził się na umizgi. Miller sapał milczący na uboczu, spojrzał, gdy wprowadzono księży, i wskazał na nich.

— Jutro rano szubienica, — krzyknął — nie chcieliście pokoju, zburzę to gniazdo papistów i bałwochwalców, a wam śmierć.

Błeszyński i Małachowski, już przygotowani do wyroku,

ani się ulękli, ani nawet prosili i żaden nie rzekł słowa. Wejhard poglądał na nich z szyderską radością, Sadowski z politowaniem, inni nawet zajęci gracze popodnosili głowy, radzi zobaczyć, jakie wyrok śmierci uczyni na nich wrażenie.

— Spisać dekret, — rzekł Miller — postawić szubienicę, a jutro rano niech ich powieszą.

Czekał, czy się nie odezwą, milczeli; on gniew w sobie warzył i buchać nim poczynał, kilku Polaków przytomnych stali zboku, poglądając po sobie, ale dziwnie zmieniły się ich twarze, coś poszeptali i wyszli.

— Gotujcie się na śmierć — powtórzył generał.

— Gotowiśmy i dziś za wiarę, kraj i króla naszego umierać — odpowiedział Małachowski.

W drzwiach namiotu usłyszeli jeszcze tę odpowiedź odchodzący Polacy. Miller skinął ręką.

— Niech ich odprowadzą; wystawić szubienicę, a dekret posłać do klasztoru, może ksiądz przeor zechce się z murów widowisku przypatrzeć, zbliżyć ją do twierdzy.

Jakkolwiek Wejhard stale potakiwał i podmuchiwał Millerowi najgwałtowniejsze środki i ten także miał za skuteczniejszy nad inne, sądząc, że Jasna Góra upokorzyć się musi, ocalając swe dzieci poddaniem, i on nawet wobec wszystkich nie śmiał ust otworzyć, tak widocznie ten wyrok śmierci wypiętnował się oburzeniem na twarzach przytomnych. Po oddaleniu się mnichów pierwszy książę heski odezwał się odniechcenia.

— Tym sposobem nie zrobimy tu przyjaciół dla Karola Gustawa.

— A w dodatku, będzie to — dodał, przechadzając się, Sadowski — złamaniem wyraźnych obietnic króla, bo uniwersały zaręczają bezpieczeństwo osób...

— Tylko nie buntowników! — podchwycił Miller.

— To są kapłani, — rzekł książę heski — ale zresztą, rób sobie, generale, co ci się podoba.

Wejhard milczał, szukał w nim sprzymierzeńca Miller, ale zgrabny hrabia, jak ujrzał, że wiatr z innej strony, wynalazłszy pilny powód jakiś, zakręcił się i uszedł.

Do wieczerzy wszyscy zasiedli milczący. Po chwili książę heski znów obojętnie mruknął.

— Powiedzno mi, generale, czy istotnie myślisz tych dwóch zakonników powiesić?

— A czemuż nie miałbym tego zrobić?

— Możesz, to pewna, ale do czego się to przyda?

— Ha! zobaczymy.

— Tylu Polaków niechętnych mamy z sobą, są to sprzymierzeńcy siłą pędzeni tylko, cóż będzie potem?

— Albo się to ich lękamy!!

— Lękamy? nie, zapewne, ale trochę przecie oszczędzać ich nie zawadzi.

Miller ramionami tylko ruszył.

— To gawiedź przelękła, którą strachem prowadzić potrzeba, poznają, że Szwed nie przebacza.

— O tem już wiedzą podobno.

Rozmowa się urwała i nikt więcej nie przemówił za zakonnikami. W obozie polskim, który szwedzkim był otoczony, bo Miller swoim pomocnikom nie wierzył, wielkie wrażenie zrobiła przyniesiona wiadomość o wyroku śmierci, zapadłym na mnichów częstochowskich. Wieczorem przyszli, potwierdzając ją, pułkownicy z namiotu Millera, którzy byli świadkami jego gniewu i groźby.

Już i tak fizjognomja obozu Polaków połączonych ze Szwedami, którzy nic wprawdzie nie działali, bo się od współuczestnictwa w tem oblężeniu wymówili zgóry, ale zmuszeni byli towarzyszyć oblegającym, niewesoła była i wcale nieraźna. Stali oni nieczynni, sercem wiedzeni gdzie indziej; cześć Matki Boskiej zmuszała ich ująć się za nią, siła nie dozwalała; potrzeba było milczeć z założonemi rękoma, patrzeć na zuchwałe targanie się ludzi obcej wiary i z duszą zranioną boleć, a nie ruszać krokiem. Dnie długie spędzali na bezczynnych narzekaniach, na domysłach, na obwinianiu wzajemnem, na kłótniach i wyrzutach czynionych starszyźnie, na którą całą biedę zwalono. Jedni ciągle mieli na ustach jakieś uniewinniające ich przyczyny przejścia do Szwedów, bo czuli się winnymi; drudzy, zagłuszyć pragnąc głos sumienia w sobie, hulali szalenie a smutnie; inni w milczeniu posępnem, z głowy spuszczonemi, poglądali obojętnie na wszystko, co ich otaczało. Mała garść w Szwedach widziała zbawienie Polski. Lecz byli i tacy, co tylko liczbą przemożeni, za liczbą poszedłszy, uciekać nie mogąc, narzekali na siebie, na drugich i klęli Szwedów otwarcie, co wlazło. Najmniej takich, jak Kaliński statystów, otwarcie i skrycie sprzyjali Szwedom dla wywyższenia i przyszłych korzyści osobistych.

W namiocie Mikołaja z Karmina Karmińskiego zgromadzili się właśnie Polacy: Kuklinowski, Trupski i kilku in-

nych; siedzieli oni posępni, grzejąc się u nanieconego ognia, dumając o rodzinach, o kraju i jego losach przyszłych, o sobie i położeniu, w jakie wpadli, gdy Krzeczowski, dowódca jazdy, i pułkownik Jan Zbrożek wpadli żywo, oba poruszeni i prawie w rozpaczy. Za nimi wślad nadbiegł Adam Komorowski. Wszyscy oni trzej należeli do tych, co się możniejszym uwieść dali, przechodząc na stronę szwedzką i szczerze już żałowali sromotnego poddania się. Krzeczowski wyglądał tylko chwili, by ze swymi odstąpić od najezdników. Zbrożek klął panów i łajał, a Komorowski knował spisek, chcąc się z tej matni wydobyć. Wszyscy trzej zaognieni, pozrzucali z siebie opończe i Zbrożek pierwszy zawołał:

— Otóż i doczekaliśmy się, że Miller wieszać poczyna! Póki tylko hołotę, tych olkuskich górników, na szubienicę wlókł, jak sobie chce; ale zasmakowawszy, bierze się już do zakonników... do szlachty!

— Albo co? — spytał Karmiński.

— Czyż nie wiecie? — wszak Miller skazał już na szubienicę dwóch zakonników z Jasnej Góry, Małachowskiego i Bleszyńskiego, których zachwycił przeciw wszystkim prawom; a karze ich za to, że przeor twierdzy nie poddaje!

— Jakto? — poczęli pytać inni.

— Ot, tak, jak wam mówię, jutro dekret się ma spełnić, księży Szwedzi powieszą.

Wszyscy na tę wieść stanęli jak osłupieli, spojrzeli po sobie, widać było na twarzach oburzenie, gniew, niechęć.

— A my to ścierpieć musimy! — zawołał Zbrożek — ha! samiśmy temu winni, było lepiej ginąć od Szweda, niżeli psu temu pomagać, teraz dawszy się ująć w jarzmo, orzmy grób własny. — I padł na siedzenie. — Tak — dodał poruszony — wczoraj poczęli od chłopów, dziś mnichom, szlachcie takiej jak i my, a jutro może nam. Tak będzie z zakonnikami, z nami, z obietnicami Karola Gustawa, z prawami naszemi, a potem z ziemią naszą i ze wszystkiem. *Vae victis* mówili starzy, ale gdybyż choć zwyciężonym, tutaj *vae subjectis*... wszystkim biada.

— Ale to być nie może, — przerwał Komorowski — żebyśmy my to ścierpieć mieli, dosyć, że już nas splamili, ciągnąc tu z sobą, chce jeszcze zbezcześcić nas, czyniąc niemymi świadkami zbrodni, a więc spólnikami jej!... to być nie może.

Powstali i inni, a Stępkowski zawołał:

— Możemy nie pozwolić na to, idźmy do Millera i manifestujmy się.

— Tak! albo to sejmik srodzki, panie cześniku? — zapytał Zbrożek — gdzież tu nasz manifest przyjmą?

— Przepraszam, — przerwał Komorowski — przyjąć muszą; jeśli nie *ad acta*, to do głowy; powiemy mu, że tego nie zniesiem, położym manifesta nie nasze, ale Karola Gustawa i zreflektujemy go, że tym sposobem nie podbiją Polski, ale to, co mają, stracą! To niegodziwość! to rozbój! nie jesteśmy w lesie!

— Narazim się tylko na wstyd nowy, — rzekł Zbrożek— poszliśmy w niewolę, znośmyż ją; wszystko to przewidzieć było łatwo, woleliśmy poddać się niżeli bić, dźwigajmyż niewolę i srom do miljona djabłów.

Zamilkli, a smutnej zadumy i zgryzoty wyraz zawisł na czołach posępnych.

— Ha! — rzekł Karmiński — nie wyrzekliśmy się przecie praw naszych, poddając, mamy je zapewnione; jeśli Miller braci naszych kapłanów powiesi sromotnie, pójdziemy wszyscy precz i od króla, i od niego.

Zbrożek gorzko się uśmiechnął.

— Oho! — rzekł — nie czas się cofać! pijmy piwo, któregośmy sami nawarzyli sobie. Nie czas!

— Jakto? zawsze czas, — zawołał Karmiński — idźmy jutro wszyscy do niego, a powiedzmy mu śmiało prawdę: niech zdobywa, niech wojuje, ale zachwyconych zdradą nie znieważa, lub wara! Polska się ocknie.

— Już znieważył, — odparł Zbrożek — wiecie, jaką noc spędzili w obozie, wiecie, co z nimi czynili żołdacy. Święta suknia i oblicze kapłana Bożego poniewierało się w steku hultajstwa. A to słudzy patronki królestwa naszego! a to bracia nasi!

Karmiński pochwycił z kołka szablę i przypasał ją.

— Idźmy wręcz do Millera, — rzekł — idźmy zaraz, natychmiast, jutro odejdzie oburzenie nasze, minie nas szał poczciwy, serca się wyziębią, rozmyślimy i strusim, gotowiśmy patrzeć na zbrodnię, lub za późno będzie, by jej zapobiec... kto Polak a katolik, za mną...

— Jam nie katolik, — odezwał się Trupski — ale co to ma do tego? idę, jeśli nie o kapłanów, to o szlachtę i braci się upomnieć.

— Panowie — rzekł Komorowski — i ja z wami, kto

się jeszcze serca i czucia w tem zaprzedaniu babilońskiem nie pozbył, z nami!

— Wszyscy! wszyscy! — zawołała starszyzna i tłumnie wytoczyła się razem z namiotu, lecąc przez zdziwione żołnierstwa szeregi do obozowiska millerowskiego. Noc już była, generał ucztował jeszcze, gdy mu znać dali, że tłum Polaków z krzykiem idzie na jego namioty.

— Wpuścić — rzekł z uśmiechem — panów Polaków, pewnie sobie podochocili i chcą mojem winem dokończyć za zdrowie Karola Gustawa.

Wtem podniósł się u drzwi płotek i weszli wszyscy posłannicy, a Miller poznał zaraz, że nie o *vivat Carolus Gustavus* chodziło, bo oczy mieli łzawe a gniewem zapalone, miny dumne, postawy męskie i twarze posępne.

— Panie generale, — rzekł Adam Komorowski — przyszliśmy do was zapytać, czy prawda to, żeś wydał wyrok śmierci na zakonników jasnogórskich?

— Tak jest! — odparł Miller dumnie — a wy jakiem prawem pytacie mnie o to?

— Prawem ludzkości, prawem obietnic Karola Gustawa, — rzekł śmiało Komorowski — to są szlachta i bracia nasi, to są, co więcej, kapłani naszej wiary, którą przyrzekliście opiekować się i szanować.

— To są buntownicy! — krzyknął generał.

— To są posłowie! — przerwał Zbrożek — i jako tacy szanowani być powinni!

— Wy będziecie mnie uczyć, co mam czynić! — zawołał w gniewie Miller — wy, podwładni moi!

I nastawił się, jakby chciał rzucić na nich.

— Mospanie generale, — odezwał się Komorowski — to nie Szwecja wasza i nie wasze regularne wojsko, ale szlacheckie, w którem jest i siła orężna i znaczenie reprezentacji narodowej razem. Mamy prawo spytać, co robisz, boś na placu boju tylko wodzem naszym. Jeśli dopuścisz się gardła na mnichach, odstępujemy cię wszyscy.

— Przysięgliście! — mruknął zdumiony generał.

— Zmuszeni może, a niechętni pewnie... a wyż to nie łamiecie przysięgi? słowa Karola Gustawa, który przyrzekł szanować prawa nasze, prawo nie dozwala u nas świeckiej władzy tknąć kapłana.

Miller rozsierdził się i krzyczał:

— Potoście przyszli do mnie?

— Poto, generale, i zapowiadamy ci, że ich powiesić nie

damy, choćby do boju przyjść miało — rzekł stanowczo Komorowski. — Wieszając ich, powiesisz sprawę swego króla, a żaden z nas jej pewnie odcinać drugi raz nie będzie. Nie jesteśmy niewolnikami, ale sprzymierzeńcami waszymi.

To powiedziawszy, Komorowski, nie skłoniwszy się nawet, odszedł, a za nim reszta. Miller się rozśmiał, ale śmiech to był gorzki; widział poniewczasie, że za daleko zabrnął, a wstyd mu się było cofać.

— Książę heski — rzekł zcicha po wyjściu Polaków.

— A co, generale? nawarzyłeś sobie piwa, jakże to teraz się skończy?

— Skończy się, że ich powieszę, — odparł uparty Szwed — com powiedział, to się stanie.

— Nie powiesisz ich, — rzekł książę heski — bo to istotnie szkodliwemby było sprawie naszej; szukaj tylko furtki, którąbyś się wycofał.

— Cofać się nie będę, Polaków się nie boję, u nich wszystko na gębie, znam już tych krzykaczy! — mówił gniewnie generał — będą gadać wiele, pokłócą się i nic nie zrobią.

— Ba! czasem przecie nie tylko krzyczą, ale się i biją! — przebąknął Sadowski — i dobrze...

— A, kiedy wszyscy jesteście tego zdania, żeby mnichów uwolnić i Polaków nie drażnić, czemuż z was nikt mi tego wprzódy nie mówił. Wejhard pierwszy ten dekret doradził, jako najlepszy na nich sposób!

Książę heski, który z wielu innymi niecierpiał Wejharda, ruszył wzgardliwie ramionami.

— Generale, powinieneś był do tej pory przekonać się, co warte rady hrabiego.

— Cofać się nie mogę — zawołał generał do siebie, szukając już w myśli sposobu wycofania się. — Polacy pohałasują i umilkną, jak zawsze.

— Trafia się to, — rzekł któryś z pułkowników — ale do ostatka ich doprowadzać i szukać, jakby umyślnie, co najbardziej rozjątrzyć może, nie polityczna...

A Sadowski dodał:

— Jeśli wieść o tem gruchnie, a rozniosą ją szybko niechętni, cały naród powstać może przeciwko nam; już samo to oblężenie nieszczęśliwe popsuło sprawę króla, a co dopiero krok taki? Od czasu przyjścia naszego zmieniły się twarze, humory i serca Polaków dla nas. Bóg wie, jaki skutek mieć będzie to niebezpieczne postanowienie!

— Ale jakże chcecie! żebym się tak wprost, z pieca na łeb cofał, — rzekł zniecierpliwiony dowódca — radźcie zresztą!

Nikt z radą nie pośpieszał. Miller w widoczniejszem coraz pomieszaniu i gniewie chodzić począł, a powoli pułkownicy, za hełmy i kapelusze wziąwszy, wyśliznęli się z namiotu.

Nazajutrz rano znacznie już opadł był gniew Millera, pozostał frasunek; noc zrodziła uwagi nad skutkami zamierzonego kroku.

Ale jak się cofnąć było?

Z rozkazu wodza już naprzeciw klasztoru poczęto budować ogromną szubienicę, której widok przerażał załogę, zakonników i szlachtę.

Dano znać Millerowi. Kazał swoim zobaczyć, co robią Polacy. Obóz polski cały był pod bronią, na koniach i w milczeniu zdawał się oczekiwać na coś. Szwedzi obchodzili, patrzali, pytali, nikt do nich słowa nie rzekł. Na przodzie wodzowie w zbrojach i hełmach, koszulach i misiurkach, za nimi towarzysze i czeladź stali w gotowości. Miller zawahał się i spowolniał bardzo; posłał do klasztoru, żeby się poddawano, odebrał odpowiedź, że póki mnichów nie powróci, traktować nawet nie będą; podumał i kazał odłożyć spełnienie wyroku. Widocznem już było dla wszystkich, że zakonnicy sprawę swoją wygrali; Miller dekret wczorajszy starał się w żart obrócić i śmiał się ze strachu, którego narobił, nic nie mówiąc o własnej bojaźni. Posłał nawet około południa Kuklinowskiego, zapraszając zakonników do swojego stołu; ale wysłuchawszy tego osobliwszego wezwania, ksiądz Małachowski odpowiedział poważnie:

— Skazani już na szubienicę przestępcy niegodni jesteśmy zasiadać u stołu z panem generałem.

— Jakto? nie pójdziecie!

— Nie pójdziemy! — odpowiedzieli oba.

Miller zjadł tę odpowiedź w żarcie, skrzywił się, ręką machnął, a dowiedziawszy się, że Polacy z koni już zsiedli, jeść podawać rozkazał. Nikt ze starszyzny polskiej, oprócz wiernego Kalińskiego, nie przyszedł dnia tego do Millera, warzyli sobie w kociołkach i garnuszkach kaszę. Obiad był smutny i milczący, a nikt nie zagadnął o mnichach, o dekrecie, o Polakach; mówiono o rzeczach obojętnych, potem nadeszły puhary, gra, szał i wszyscy zapomnieli prędko o chwilowym niepokoju. W obozie był tylko dany rozkaz

otaczania twierdzy, opasywania jej, a że się bronić i odstrzeliwać nie mogli zakonnicy, bo pamiętali groźbę, że za pierwszym strzałem posłów powieszać miano, polecono drapać się nawet na mur, zarzucać fosy i stanowiska coraz bliższe zajmować.

XVIII.

Przez cały ten dzień jednakże i w ciągu traktowania o uwięzionych Szwedzi z dział nie dawali ognia, Jasna Góra milczała, wojsko krzątało się, przybliżało, naigrawało i żywym łańcuchem obejmowało oblężonych. Kto wie, czy stan ten zawieszenia niebezpieczeństwa, choć krwi oszczędzał, nie był cięższy do zniesienia od samej walki dni poprzedzających? Potrzeba było milczeć, słuchając obelg, patrząc na postępy Szweda, który górę zajmował, rozsypywał się po niej, oblegał zewszą fosy, upatrywał miejsc słabszych i jątrzył załogę łajaniem, szyderstwem, rzucaniem kamieni i wystrzałami ręcznej broni.

Pan Czarniecki uciekł z murów, bo nie mógł znieść tego widoku. Zamojski chodził z zaciętemi usty, obłąkany prawie od gniewu; załoga nawet i mnisi czuli w sobie niepodobną do powstrzymania ochotę do boju... Widok szubienicy, o której przeznaczeniu wiedziano, jeszcze bardziej rozjątrzył wszystkich i wzmógł oburzenie, ale wnet dano znać z miasteczka, że odłożono spełnienie dekretu i poseł przybył, żądając znów zdania się twierdzy.

Kordecki samem tem naleganiem i postrachami coraz mocniej przekonany, że zdobyć jej siłą nie mogą, gdy tak kołaczą o traktaty nieustannie, odpowiedział, jak wyżej wspomniano, zawsze jedną śpiewkę.

— Oddajcie nam wprzód posłów, potem zobaczymy.

Odłożenie spełnienia wyroku i poruszenie Polaków, o którem zaraz w twierdzy wiedziano, dodało otuchy, okazując, że ksiądz Małachowski z Błeszyńskim bezpieczni są przynajmniej od śmierci.

Pozostawało mieć się na ciągłej baczności, pilnować, stać i czekać.

Z południa pan Czarniecki, który do ścian izby przywykły nie był, ale i na murach bezczynny pozostać nie umiał, wyszedł, jak mówił, trochę się przewietrzyć, a że go coś ciągnęło ku Szwedom, powoli, z bratem księdzem Lu-

dwikiem rozmawiając, wstąpił na mur. Ale zaledwie tu wstąpił, aż się wzdrygnął; bo prawie pod samemi fosami i murami zwijała się gawiedź ze strzelbami i coraz to się który przymierzył do załogi jak do wróbla, lub kamieniem w łeb na zakonnika cisnął.

Kilku ciurów polskich, wychowańców kirchy, śpiewali pieśni heretyckie, naigrawając się kościołowi i obrazowi; głosy ich dochodziły do murów. Pijany jeden wreszcie żołdak podszedł aż pod samą basztę, u której stał Czarniecki, zmierzył do niego i wypalił, kula świsnęła mimo ucha panu Piotrowi; ale w tejże chwili prawie rozjątrzeni częstochowscy, na całej linji dali z dział ognia i szwedzkie ciury, jak muchy zjadłe spłoszone, chmurą rozsypali się po górze całej. Kordecki z Zamojskim na odgłos ten wybiegli.

— Co to jest! wszak rozejm! — zawołał przeor — na Boga! — co robicie?

— Ha! rozejm, — krzyknął puszkarz Polak — a psia wiara sami poczęli, bo jeden strzelił do pana Piotra Czarnieckiego, juściż nie damy się im zabijać bezkarnie.

Nie było rady: pan Piotr zagrzany już się zwijał po swojemu i jak tylko z jednej strony dano ognia, zewsząd na znak ten odezwały się działa niecierpliwe, śmigownice i organki na murach. Potrzeba było naówczas widzieć Szwedów, jak kilkodniowem milczeniem twierdzy oswojeni, nagle przepłoszeni teraz, cofali się i śpiesznie do stóp góry uchodzili. Trąby zwoływały zbiegów; ładu i porządku nie było w popłochu, a kule częstochowian jakby spoczynkiem sił nabrały nowych, miotły żołnierza, wywracały budy i jedna z nich straszyła szubienicę świeżo wystawioną. Inne waliły w ludzi spędzonych do sypania szańców i redut, w nieszczęśliwych górników i bliżej stojącą piechotę szwedzką.

Miller w początku rozjadł się jak zwyczajnie, gdy ogień usłyszał, chciał zaraz wieszać mnichów, ale też Polacy siedli na koń zbrojni, jakgdyby znaku tego tylko czekali. W obozie wrzawa, gwar, bieganina, klątwy i niepojęte zamieszanie. Szwedzi śpiesznie się cofali do dawnego obozu, a kule za nimi: tu namiot upadnie, tam szereg ludzi rozsypie się wylękły i nie cały powróci do porządku, tam działo nacelowane strzaskane drzewa obala, i ziemia zasunie mu paszczę. Trwało to długą chwilę.

Czarniecki zwijał się jak ryba w wodzie, wesół, rad, ochoczy; Zamojski wstrzymywał więcej przekonaniem, niż uczuciem, przeor milczał. Nareszcie gdy się góra oczyściła,

ustał ogień za danym przez Kordeckiego znakiem i do przednich czat wysłano gońca z kartką do Millera, tłumacząc mu, kto spokoju zerwanego był przyczyną.

— „Więzicie posłów, — pisał przełożony — rozejmy zrywacie zdradą, podkradacie się pod mury na ufnych wam a prawych nieprzyjaciół; możemże w takim stanie rzeczy traktować z wami? Co ręczy za dochowanie warunków, gdy wszystko, co zwyczaj i prawo uświęciło, depczecie? Traktuje się z dotrzymującym po rycersku danego słowa nieprzyjacielem, nie z takim, który gorzej Tatara wszystkie umowy gwałci".

Zmarszczył się Miller na niegrzeczne pismo, posłał wyśledzić, kto strzelał, przyprowadzono mu opiłego rajtara, kazano go ukarać i na tem się skończyło dnia tego. Ale Miller poznawać zaczynał, że postępowanie jego złe przynosiło owoce; mnisi zyskali na oczyszczenie góry z dokuczliwych natrętów, bo Szwedzi pierzchnęli w dolinę, całą następną noc w strachu napaści i pilnem czuwaniu pędząc. Późno w noc generał namyślał się i radził, już do rady nie wzywając niefortunnego Wejharda; działa burzące z Krakowa nie nadchodziły, polowe niewielką były mu pomocą, traktowanie i groźby na mało się dotąd zdały; potrzeba było więc innych chwytać się środków. Nie było już mowy o wieszaniu, a Sadowski, korzystając z usposobienia Millera, z niepewności, w jakiej zostawał, poddał myśl uwolnienia zakonników.

— Więcej ich tem sobie zjednacie, — rzekł — niżeli ustraszycie groźbą. Strach to i obawa szwedzkiego okrucieństwa jest największą przeszkodą do poddania się nieprzyjaciela. Pokażcie im sprzymierzeńca, obchodźcie się z nimi ludzko, a zmienicie ich, wówczas załoga i zakonnicy nie potrafią się opierać.

Książę heski był tegoż zdania, ale Wejhard, który przyszedł nieproszony na radę, bardzo się sprzeciwił wnioskowi; szczęście, że Wejharda pomysły już bardzo były podejrzane Millerowi i jeszcze go więcej skłoniło to, naprzekór hrabiemu, dla umartwienia, postąpić przeciw jego myśli. Stanęło więc znowu na tem i Miller przyzwalał, żeby zakonników uwolnić.

Wejhard tylko zakrzyknął:

— Generale, gubicie najlepszą sprawę!

— O radę już was nie proszę, — odparł Szwed dumnie — dość jej słuchałem.

Wrzeszczewic odszedł niby rozgniewany — ale wysłał Kalińskiego na zwiady i do rady, a nie mogąc sam, działał przez niego.

Ksiądz Błeszyński i Małachowski siedzieli na suchym pniaku wśród gawiedzi, która im nie dawała się modlić i wzajemnie się przed sobą z rana wyspowiadawszy, czekali śmierci, której pewni byli. Zaproszeni do stołu, wzięli to za rodzaj szyderstwa i niemniej wyglądali spełnienia dekretu. Żołnierz szwedzki, w którym starego rycerskiego ducha nie było, który uczuć nie umiał wielkości tych ludzi, w prostocie gotowych na męczeństwo, idących skromnie jak dzieci na śmierć bezczesną — chodził wkoło nich naumyślnie, śpiewając, popychając jednego, to drugiego, podnosząc im blisko twarzy dymiące głownie, niby dla ogrzania, targając za kaptury, by odsłonić nagie głowy, szarpiąc za szkaplerze i nieustannie ich niepokojąc. Oni to wszystko znosili w milczeniu, z krwią zimną i rezygnacją bohaterów Chrystusowych.

Wtem zbliżył się Sadowski, z wesołą twarzą, kręcąc wąsa. Myśleli, że miał rozkaz prowadzić ich na śmierć: wstali, spojrzeli na klasztor, jakby go żegnali i ojciec Błeszyński ukląkł.

— Miło mi — odezwał się po polsku Sadowski — zwiastować wam dobrą nowinę.

— Nie szydźcie z nas, — zawołał Małachowski żywo — nie godzi się to mężom rycerskim, weźcie życie, ale nie dręczcie ducha, to męka gorsza śmierci.

— Nie szydzę nigdy, — rzekł Sadowski łagodnie — alem przyszedł istotnie zwiastować wam, żeście wolni.

— Wolni! — powtórzyli oba z niedowierzaniem i zdumieniem, a potem z żywą radością i ojciec Małachowski zbliżył się szybko ku zwiastunowi dobrej nowiny. — Jakto!

— Tak jest! — generał Miller wybacza wam upór i szyderskie traktowanie wasze, które było jakby dziecinną igraszką; idźcie i powiedzcie Kordeckiemu, niech się podda. Te słowa polecił mi wam od niego zwiastować; oprzeć się nie możecie, nacóż rozjątrzać silniejszego nieprzyjaciela?

Ale zaledwie im oswobodzenie ogłosił, już go tak jak nie słuchali ojcowie, oba zabierali się iść co żywiej do klasztoru, aby ich jeszcze nie podchwycono, lub nie zmieniono rozkazu. Małachowski tylko pożegnał ukłonem Sadowskiego i oba, podniósłszy habitów, wziąwszy kije w ręce, odżyli i śpiesznie puścili się do Jasnej Góry.

Wojsko przeprowadzało ich ciekawemi oczyma.

Uszedłszy kilkaset kroków, spotkali strzaskaną szubienicę, która dla ich męczeństwa zgotowana była, i każdy z nich wziął drzazgę na pamiątkę uniknionej niemal cudownie śmierci. Już i z murów widziała częstochowska załoga idących księży i głośny, wesoły okrzyk rozległ się na blankach, a zdala widać było Kordeckiego, którego wyciągnione ręce zdawały się błogosławić i witać.

Brat Paweł płakał, stojąc z kluczykami u furty; rzucił on habit, który łatał (gdyż to było zwykłe wolnych chwil jego zajęcie — cały klasztor obszywał, modląc się w swojej izdebce); upadł na ziemię, gdy ich zobaczył, ucałował ojców suknie i, ściskając, prowadził do klasztoru w uniesieniu i zapale niepohamowanym. Tu ich przyjęto jak męczenników i bohaterów. O piękna to była chwila, gdy po przecierpianych boleściach oklask poczciwych powitał zwycięzców i musiało w nich zadrżeć serce ludzkie, choćby nie biło światu i dumie, bo w oklasku tłumu był głos Boży! Mylą się ludzie, lecz lud się nie myli, on nic nie wie, dowieść swojego wstrętu i swej miłości nie może, ale gdy kogo kocha, kiedy się kim brzydzi, głos Boży jest w tym pociągu lub wstręcie.

Łzami witano zakonników, którzy się pokornie zakłopotani wymawiali, jak mogli, od tej owacji; zwycięstwo ich, wytrwałość, męstwo, gotowość na śmierć była przykładem i podnietą dla oblężonych, przeor przyjął ich jak ojciec i brat, dziękując Bogu, że mógł powitać żywych z koroną męczeństwa.

— Nie mówcie mi nic, — rzekł na wstępie — wiem, że potęga szwedzka jeszcze na was wrażenie czyni, że będziecie mnie skłaniać do poddania; zostawcie to bracławskiemu staroście i jemu podobnym; a razem pójdźmy przed ołtarz naszej Orędowniczki.—To była zawsze pierwsza i ostatnia myśl Kordeckiego.—Módlcie się, by prosić, módlcie, by dziękować, módlcie, gdyście cierpieli i gdy cierpicie, módlcie się, wierzcie a pracujcie!!! a zawsze się módlcie, czynem, usty, sercem, myślą, życiem całem.

Nim doszli do kaplicy, co zapytań, co ciekawych badań wycierpieć musieli zakonnicy o Millerze, o wojsku, o obozie. Próżno przeor natrętnych odpychał.

— To potem, to potem, wprzód się potrzeba pokłonić gospodyni naszej.

Zaśpiewano więc litanję loretańską do Królowej polskiej...

Dzisiejsza pobożność uśmiecha się podobno z litością nad tą formą religijnego uniesienia, którą tak lubili ojcowie nasi; piękna to przecież modlitwa! Z jak szczerym zapałem wyrywały się z duszy te urywane wykrzyki, te pochwalne słowa, któremi strojono obraz Bogarodzicy.

Po odśpiewaniu litanji zaprowadzono przybyłych do refektarza, gdzie za nimi szlachta hurmem się zaraz wciskać poczęła; wszyscy ciekawi byli historji dwóch zakonników, ciekawi poznać z ich ust bliżej Millera, obóz szwedzki i polski, siły ich i rolę, jaką tam grali rodacy obłąkani, niby na uwięzi przyprowadzeni niewolnicy, co się bić nie śmieli, a na bój z braćmi patrzali suchem okiem i nieczynną dłonią.

Dwaj księża, przejęci potęgą nieprzyjaciela, mimowolnie ją malowali i marszczył się Zamojski, widząc jak powoli wielkie czyni wrażenie opowiadanie ich na przytomnych. Przeor, to także postrzegłszy, ujął za rękę ojca Małachowskiego i rzekł zcicha:

— Dajcie już pokój potędze szwedzkiej, a idźcie spocząć!

I tak z głodną ciekawością, niewiele zaspokojoną urywkowemi kilku słowy, rozeszli się wszyscy.

Koniec części drugiej.

POWIEŚCI HISTORYCZNE Tom LVIII

J. I. KRASZEWSKI

KORDECKI

OBRONA CZĘSTOCHOWY

CZĘŚĆ III

1929

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

ODBITO NA PAPIERZE KRAJOWYM Z FABRYKI PAPIERU I TEKTUR „PILICA"

I.

Wśród ogólnego niepokoju zniknienie Hanny, któreby w innych okolicznościach zajęło wszystkich, utonęło niepostrzeżone prawie; kilka osób tylko nad niem bolało, innym nie zostawało czasu i pomyśleć nawet o tem; grożące niebezpieczeństwo, czuwanie ciągłe każdego zwracało do bliżej obchodzących go przedmiotów: myślano o losie twierdzy, o napaści spodziewanej, o siłach do obrony. Stary Lassota w celi brata łał łzy bezsilnie, modlił się i narzekał, a brat pocieszał słowy, co często więcej jeszcze boleść rozraniły, nie mogąc jej złagodzić. Jestże pociecha na takie straty? Niekiedy stary się zrywał, chciał iść, walczyć i dusić wroga swego, któremu przypisywał to nieszczęście, to znowu wzywał śmierci, to wymyślnie dręczył się przypuszczeniami o losie wnuczki i wzdrygał na to, co ją spotkać mogło, jeśli żyła. Uczyniono pilne poszukiwanie w twierdzy, wysłano poza obręb jej szpiegów, czy do obozu wypuszczonym kto nie był, czy z murów żywej lub zabitej nie zrzucono; ale śladu żadnego odkryć niepodobna było.

Codziennie Konstancja przychodziła pod puste okienko, siadała, płakała; całowała swój suchy chleba kawałek, a potem mrokiem poczynała krążyć po zakątkach klasztornych, śledząc utraconej dzieweczki; rozpytywała ludzi, badała ścian i bruków napróżno. Wedle raz uczynionego ślubu, codzień na noc schodziła w fosę i tam na chłodzie, sparta o jaką cegłę odbitą od muru, zasypiała. Zmieniła tylko od niejakiego czasu stanowisko i pod basztą, na której stał Krzysztoporski, nocleg sobie obrała. Całą noc z uchem natężonem na głos najlżejszy zdawała się podsłuchiwać, czekać, śledzić, pilnować; potem rano nazad wchodziła do klasztoru, odnosiła znalezione kule i nowiny obozowe i rozpoczynała włóczęgę po zabudowaniach, jednego nie mijając

kątka. Nie było nikogo, żeby nie spróbowała go wybadać, z kimby nie mówiła o tym pamiętnym wieczorze zniknienia Hanny. Ale prócz kilku, co ją już mrokiem widzieli przesuwającą się do kościoła, nikt nie postrzegł jej więcej potem, a żaden krzyk, żaden głos nie świadczył o spełnionym gwałcie. Stara żebraczka stale prawie przesiadywać zaczęła naprzeciw baszty Krzysztoporskiego, śledząc jego kroki; i ona także ścigała go podejrzeniem, postanawiała nie spuszczać z oka. Szlachcic wszakże nic po sobie poznać nie dawał, nie zmieniwszy się wcale ani na humorze, ani w postępowaniu zwyczajnem. Przeor polecił księdzu Mieleckiemu, aby go w długich samotnych godzinach badać próbował i nawracał na lepszą drogę; ale ojciec Ignacy nic z nim poradzić nie mógł; słowa odbijały się od niego, myśl począć nie mogła z żadnej strony. Krzysztoporski, żołnierz tęgi, gorliwy na murach dowódca, zresztą ponury i skryty, niechętnie się wywnętrzał, a jeszcze mniej nawracania słuchał. Mówił czasem o życiu przyszłem, o sobie; ale za nic chwycić nie dawał: ksiądz prawił swoje, on swoje. Zkolei on i ksiądz Mielecki, ten dla modlitwy, on dla spoczynku krótkiego i posiłku, schodzili z powierzonej im baszty i naówczas tylko tracili się z oczu, zresztą Krzysztoporski ani na chwilę nie odchodził. Stara żebraczka napróżno uparcie za nim goniła wzrokiem: widziała go zawsze tylko słupem stojącego na murze z założonemi rękami, z dumnie podniesioną głową. Niezwalczona jednak kilkodniową próżną strażą, potajemnie co wieczór wracała do drzwi dawnego mieszkania Lassoty, tu w zagłębieniu muru siadała w kątku ciemnym i z wlepionemi w Krzysztoporskiego oczyma, nieporuszona, spędzała długie, do nocy późnej godziny. Szlachcic zdawał się jej nie widzieć. Często też dowiadywała się stara do celi księdza Piotra, ale nigdy nie wchodziła do niej; posłuchała pode drzwiami, zrobiła krzyżyk w powietrzu, postała chwilę i uchodziła szybko; jeśli głos starca ją doszedł, drżała, jakby ją ta boleść przejmowała do głębi i jeszcze gorliwiej potem biegła tropić kroki nieprzyjaciela...

W klasztorze ledwie kto wspomniał o tym dziwnym wypadku, który wobec wielkich zaprzątnień o losy Jasnej Góry mignął niepostrzeżony. Kobiety najwięcej o nim mówiły, a żebraczka wkradała się między nie, prosząc jałmużny, roznosząc medaliki i obrazki i usiłując podsłuchać, co też o tem sądziły.

I tego wieczora, gdy posłów wypuszczono z obozu, na-

trafiła na kupkę gwarzących niewiast, które, począwszy od historji szubienicy, strzaskanej kulą klasztorną, rozwodziły się nad strachami, nad powieściami o Szwedach, aż wreszcie przyszły do Hanny.

Była tam pani Jaroszewska, cała zawsze zajęta swojem dziecięciem i niezmiernie przelękniona, pani Skórzewska i żona tego szlachcica Płazy, który promotorem był do poddania się i strachu. Żona pana Płazy, imieniem Agnieszka, mówiła najgłośniej i rozprawiała najżywiej. Niebardzo już młoda, nie nazbyt też piękna, choć miała ślady wdzięków straconych na twarzy starannie pielęgnowane, chuda i słuszna, ubrana zawsze dość brudno i niedbale, choć z pretensją do stroju, błyskotkami, wyglądała raczej na Cygankę, niżeli na żonę szlachcica, jakim był pan Płaza. Bóg też wie, skąd ją wziął pan Płaza! jedni mówili, że gdzieś poznał w mieście i wdową już pojął po jakimś rzemieślniku, drudzy utrzymywali, że u niego wprzódy służyła, nim się z nią ożenił. Znać też było pochodzenie na jejmości, bo bardzo się nosiła ze swą godnością obywatelki i pani, o której co chwila przebąkiwała. W obejściu jej, ruchu, mowie, zdala trąciło coś podłego; śmiała, swarliwa, mimo czterdziestówki natarczywie zalotna, miała powierzchowność dla wszystkich prawie odstręczającą. Nie było plotki w klasztorze, nie było wieści, o którejby nie wiedziała pani Płazina, którąby, opowiadając, nie ubrała po swojemu na czarno. W każdym uczynku, jak go poczęła rozbierać i rozdzierać, wyszukać musiała coś niskiego, brudnego, jaki powód nikczemny; rzekłbyś, że to była barwa, którą do swojej chciała odziać, co ją otaczało. Pomimo to, pan Płaza tak ją z temi wszystkiemi wadami miłował, że nawet na niepotrzebne zaloty zamykał oczy i za złe jej mieć się nie zdawał, że jego poczciwe imię tak nabakier nosiła. Otóż i pani Jaroszewska, bardzo zacna niewiasta, i pani Skórzewska, uczciwa matka rodziny, obie niebardzo chętnem okiem poglądały na Płazinę, o której wiedziały, co zacz była i skąd wyszła; nierade były jej towarzystwu, ale jak się od niej uwolnić i odkaraskać? Gdzieś nie posiał, wyrosła, napróżno ją kwaśno przyjmowano, rozsiadała się szeroko, gwałtem poczynała rozmowę, do każdej się wmieszała, i choć ją czasem grzecznie, pięknie odsunięto, wracała zawsze nie zrażona. A że to w klasztorze, w samotni, człowiek każdy nie był wybredny na towarzystwo, musiały panie żyć jako tako

z sąsiadką i choć ze wstrętem, czasem ją do siebie przypuścić.

Zgadało się tedy o Hannie, a pani Jaroszewska poczęła, cisnąc swego Jaśka do piersi, ubolewać nad jej losem.

— Takież to było śliczne, — mówiła — pobożne, miłe jak aniołek. Bóg widzi, że ile razy przyszła a zagadała, to mi się potem czegoś aż słodko zrobiło, jakby mnie czysty duch nawiedził... I gdzie to się mogło podziać?

— Już to prawda, — odparła pani Skórzewska — że to niepojęta historja; nawet mój mąż powiada, że nic podobnego w życiu nie słyszał. To okropnie pomyśleć, żeby też tu, w klasztorze, nie było bezpieczeństwa!

A pani Płazina ruszyła ramionami.

— Co za dziw! tyle ludzi, różnej różności! Bóg wie, co za jednych, po mnie aż ciarki chodzą, gdy trzy kroki wieczorem w dziedziniec samej zrobić przyjdzie!

— Ale gdzieżby ją tak utajono? — mówiła pani Jaroszewska.

— Właśnie i mój mąż powiada, że to rzecz niepojęta — dodała pani Skórzewska.

— Albo to mało kątków w klasztorze, a taki nie wszędzie bo patrzali, — poderwała Płazina — zresztą, czy to jej nie mogli za mury wyrzucić. To już darmo i mówić o tem.

Zebraczka słuchała zdaleka.

— Ja się dziwuję, — kończyła Płazina — że nawet o tem gadają. A! zginęła, to zginęła, co to za dziw, w takiem zamieszaniu, tyle tu ludzisków różnych nacyj, Bóg wie jakich przybłędów.

— Ależ to — Chryste Panie! pod bokiem Matki Boskiej, u jej ołtarza, to ujść nie może bezkarnie!

— Właśnie i mój mąż to powiada zawsze, — kiwając głową, dodała Skórzewska — to okropnie!

— A najlepiej o tem i nie mówić, — żywo jakoś przerwała Płazina — no, cóż wreszcie tak wielkiego? zginęła! mało to ludzi ginie, może zabita! kto to może wiedzieć!

Żebraczka, która pilnie nastawiła ucha, spojrzała na Płazinę, i gdy się panie porozchodziły, posunęła się o kilka kroków, idąc za nią, jakby ją śledziła, chcąc widać dowiedzieć się, gdzie mieszkała

Nierychło dostała się do miejsca, bo pożegnawszy sąsiadki, pani Płazina powoli bardzo ciągnęła sobie ku domowi, a po drodze nie było, kogoby nie zaczepiła. Kłaniała się żołnierzom, zagadywała do ludzi klasztornych, poczy-

nała rozmowę niemal z każdym, uśmiechała się, wyciągała na gawędki, poprawując to czepek, to katankę. Mijając Krzysztoporskiego, który stał na murze, pani Jagnieszka tylko okiem rzuciła i potajemnie mrugnęła na niego, na co on nie odpowiedział ani skinieniem i poszła dalej, przyśpieszając kroku. Żebraczka, kierując się drugą stroną podwórza, pociągnęła za nią, upatrzyła drzwi i powróciła nazad. W podwórzu spotkała księdza Kordeckiego, który właśnie z dwoma zakonnikami kierował się ku baszcie pana Krzysztoporskiego; to ją zastanowiło.

Przeor, zbliżywszy się pod mur, wezwał dowódcę.

— A co? możeście znużeni, moglibyście spocząć, — rzekł do niego — zejdźcie do mnie, proszę.

Krzysztoporski zawahał się chwileczkę i zszedł po wschodkach szybko.

— Bracie, — odezwał się przeor — złe to nasienie nienawiść, a z którego ziarna i żniwo nicpotem. Radbym nic nie wiedział i niczemu nie wierzył, ale wszyscy uparcie na was intrygują, żeście sprawcą tego nieszczęścia pana Lassoty.

— Księże przeorze, — odparł z niechęcią i zmuszonym śmiechem Krzysztoporski — dobrze ludziom gadać, ale niechże pokażą dowody.

— Mam nadzieję, żeście niewinni, bo takiej zbrodni dla zemsty nie pojmuję, a pod ołtarzem Boga w takiej chwili spełniona, straszną karę pociągnęłaby za sobą. Bóg cierpliwy, ale sprawiedliwy — *patiens quia aeternus, patiens sed justus.*

Nie zmieszał się widocznie szlachcic.

— Czegoż ode mnie żądacie, księże przeorze?

— Podejrzenie trwa, oczyśćcie się z niego...

— Jakże się mam oczyścić?

— Są ludzie, — cicho i z zakłopotaniem pewnem wyrzekł Kordecki — są ludzie, co uprowadzonego dziecka aż w izbie waszej szukaćby chcieli...

— Jest to obelga dla mnie, — rzekł Krzysztoporski — ale ją znieść muszę, chodźmy!

I powiódł, przodem idąc, do mieszkania swojego pod basztę. Przeor sam tylko poszedł za nim. Żebraczka, która się zastanowiła, wślad aż do drzwi się przysunęła. Po wschodkach spuścił się Kordecki do ubogiej izby dowódcy, która była pusta i smutna: trochę słomy w kącie, na niej rzucony kilimek, siodło, rusznica, dzban, misa na stole —

sprzęt cały. Drzwi do izdebki drugiej były zamknięte, spojrzał przeor na nie, a Krzysztoporski pośpieszył je otworzyć, torując drogę przełożonemu.

— I tu spojrzyjcie, — rzekł — a poświadczcie nieprzyjaciołom niewinność moją.

Zakonnik milczał, spojrzał, odwrócił się i z przejęciem, z uczuciem wziął rękę Krzysztoporskiego.

— Bracie! bracie! pomnijcie na dzień sądu strasznego! na wieczność, na Boga, nie gubcie duszy dla chwili... Jest-li w tobie nienawiść jeszcze, odpędźcie ją krzyżem świętym i pokutą a skruchą.

— Zdaje mi się, że niewinność moja dostatecznie wyjaśniona, — rzekł szlachcic z dumą — zresztą, Bóg nas osądzi.

— Rzekłeś! Bóg osądzi, — dodał przeor — ale osądzi srogo winnych i zatwardziałych w grzechu. Chcecie wiedzieć, jakie przekonanie wynoszę z tej izby, w której śladu występku nie znalazłem, i z mowy twojej...

— Widzicie moją niewinność...

— Widzę, żeś winien! — rzekł przeor. — Kto mi to mówi, nie wiem, ale czuję, że masz ten występek na sumieniu; sąd ludzki przekonać cię nie może, niema dowodów, ale Bóg!

Krzysztoporski raz pierwszy pobladł, zmieszał się widocznie, strasznie — zachwiał, zgrzytnął zębami, uśmiechnął się szydersko.

— Winien! — zawołał — winien! no! tom winien! Myślcie, jak chcecie, mnie dość mojego sumienia.

— Wkrótce nie dosyć, ale go ci będzie nadto — odparł przeor i wyszedł.

Krzysztoporski wychwycił się za nim i, jak obłąkany, jakby szukając, na kim się pomścić, biegł milczący, nie wiedząc dokąd, wpadł na mur i osunął się na ławę przy baszcie; głos go opuścił, wzrok zasunął, zdrętwiał i osłupiał.

II.

Nazajutrz po uwolnieniu zakonników poseł posła gonił do klasztoru, a wszyscy w imię uczynionej łaski (bo tak zwał Miller darowane uwięzionym życie) domagali się zdania twierdzy. A wszyscy z jedną odchodzili odpowiedzią:

— Naradzi się zgromadzenie, da znać przeor.

Kordecki zwlekał, każdą godzinę, w ten sposób uzyskaną, licząc za wielkie zwycięstwo; w duszy miał przekona-

nie, że coś nagłego, niespodziewanego odpędzi Szwedów od Jasnej Góry, wygna ich z Polski całej. Zamojski był także za przeciąganiem traktowania, jeden Czarniecki chciał walczyć, ale się już z tem nie odzywał. W pół dnia posłano do kwatery generała z prośbą, aby dwóch zakonników pozwolił wysłać do Karola Gustawa, pod tę porę znajdującego się w Mogile pod Krakowem, dla wyproszenia u niego innych, spodziewano się, dogodniejszych warunków, w istocie znowu dla zyskania czasu.

Miller, w tej prośbie dopatrzywszy celu zwłoki, boby tymczasowo zawieszenie broni nastąpić musiało, odparł, że na to nie pozwoli; że ma sam pełną władzę do umawiania się z nimi, a gdy punkty ułożone i przyjęte zostaną, obowiązuje się ratyfikację ich przez króla podpisaną i opieczętowaną zakonnikom dostarczyć. Pod pozorem tej odpowiedzi wyprawiono znów do klasztoru Kalińskiego, który w przybranej roli troskliwego o dobro Częstochowy człowieka i gorliwego o całość miejsca świętego katolika przybył na Jasną Górę. Przeor świadkami rozmowy z nim chciał mieć, jak zawsze, przedniejszych szlachty i braci; wprowadzono go więc do definitorjum, gdzie, na jakie stało oblężonych, przygotowano przyjęcie dla pana starosty. Kaliński, dumniejszy niż kiedy, mówniejszy i śmielszy, z pewną powagą zasiadł krzesło i począł mowę. Powtarzał w niej znane nam już argumenty.

— To szaleństwo, — mówił — to jakieś obłąkanie na was padło, opieracie się już, dzięki powolności Millera, dłużej od Krakowa, choć z garścią tak małą! Czyż nie dość? Wyglądacie posiłków? skąd? od chana? — I rozśmiał się szydersko. — Denhoff i Wolf są w ręku króla szwedzkiego, cała mu się Polska poddała; ci jedni w pomoc wam przyjść jeszcze mogli; wojsko kasztelana kijowskiego rozpierzchło, przerażone, działa pozabierane, żołnierz wylękły! Miller dla waszego jedynie dobra skłania się traktować, ale jak skoro, mówię wam to poufnie, działa burzące z Krakowa nadciągną, nie pozostanie najmniejszej nadziei kapitulacji i układów. Myślcież, że wszędzie zwycięski Szwed tu tylko da się odeprzeć i ustąpi sromotnie? Możeż to być? Nie jest li to z waszej strony zarozumiałość ślepa?...

— Panie starosto, — odparł Zamojski — Polska się jeszcze nie opamiętała.

Na te słowa Kaliński wprost rzucił się na Zamojskiego, z dziwnie imponującą miną i ostremi słowy:

— Mości panie Zamojski, to nie polski sejmik, żeby tu słowy szermować i gębą bić króla szwedzkiego; myśmy także Polacy, dbamy o kraj i jego losy, a przecież, widząc stan nasz i położenie, oddaliśmy się pod protekcję Karola Gustawa. Porzuć waszmość złe i zgubne rady, któremi to miejsce święte o zagładę przyprawisz, któremi obłąkujesz łatwowiernych zakonników. Możeszże waszmość ze Strzelcza swego powrócić szkody, które wojsko szwedzkie zgromadzeniu i szlachcie przy zdobyciu uczyni? Te szkody, na kilka mil dokoła sięgające, na wasze padną sumienie. Możeszże waszmość własnemi siły nieprzyjaciela odeprzeć? Chcesz li mieć na duszy krew tylu, gdy się żołnierz rozzuchwali, i sukni, wieku, ani stanu patrzeć nie będzie. Innej, innej, nie pana Zamojskiego rady szukajcie, ojcowie, a radźcie rychło, póki Szwed się nie rozjuszy; dziś jeszcze tylko traficie z nim zgodą do końca.

— Mospanie Kaliński — odparł tymże tonem Zamojski, i chciał, wrąc gniewem, dać naukę staroście, ale przeor za rękę go ujął i przerwał mu:

— Wszystko to, co mówicie, wiemy dawno, rady pana Zamojskiego szanujemy, ale największym doradcą naszym jest Pan Bóg i Matka Jego, do nich więc, za upór nasz, obróćcie wymówki swoje, jeśli chcecie. A o nasze dobro nie frasujcie się tak gorliwie.

Kaliński spadł nieco z dumnego tonu mowy, ale nadrabiając fantazją — rzekł jeszcze:

— A! jak sobie chcecie! zawsze Kasandrom licho! Nie trzeba prorokować nieszczęść, bo ludzie w nie nie uwierzą aż poczują. Róbcie więc po swojemu, mnie do tego nic; ja ręce umywam.

— Nie umywajcie rąk jak Piłat — rzekł Zamojski, — abyście jak on winni nie byli.

I już-by może przyszło od tych słów do żywszej kłótni, gdyby nie zapukano do drzwi definitorjum, a brat Paweł, pod pachą trzymając stary habit Kordeckiego, który łatał, drugą podał list od Szwedów przysłany. Porwał go zaraz u drzwi Kaliński, że był otwarty, rzucił nań okiem.

— Ha! to zapewne są działa z Krakowa, lub wkrótce nadejdą, bo oto i list do was Wittemberga.

W istocie było to pismo naczelnego wodza, który poddać się nakazywał, nieposłusznym groził, a ręczył, że Szwedzi zdrady żadnej na szkodę Częstochowy nie knują. Prze-

czytał Kordecki i zamyślił się, jakby rady w sobie szukał, obrócił do paulinów i po chwili rzekł do Kalińskiego:

— Wszakżem oddawna do traktowania się skłaniał. Któż winien, że je barbarzyńskiem postępowaniem zerwał Miller.

— A kto go rozdrażnił? — spytał Kaliński.

— Chyba pokora nasza! — odparł Kordecki.

— Powiedzcie, umyślne podstępy...

— Panie starosto, do kogo to stosujesz? — zawrzał Zamojski znowu — podstępem tylko idą Szwedzi i szwedcy zwolennicy.

— Nie mam tu co mówić i robić — wstając, zawinął się starosta. — Róbcie jak wam lepiej, lecz pomnijcie, że Miller nie przebaczy zwyciężonym, a zwyciężyć musi.

To rzekłszy, wyszedł, a gwar po nim i wrzawa, wzbudzone słowy jego, powstały. Wszyscy bojaźliwsi naglili przeora, aby traktował; nie mógł się im opierać, spojrzał na Zamojskiego w sposób znaczący i rzekł:

— Będziemy traktowali, ale chcecież, bym, ratując was, wpuścił tu lutrów, kalwinów i katolików, co się, żyjąc z nimi, ich bluźnierstw pouczyli.

— Niech Bóg uchowa od tego nieszczęścia.

— Chcecież, by święty nasz ołtarz zbezcześcili i splamili?

Zamilkli razem.

— I ja pragnę pokoju, zgody, układów, ale mogęż przystać na to, bym świętości nasze, jak Judasz Chrystusa, wydał za srebrnik spokojności? Godziż się, ocalając życie, sprzedać Boga i miejsce, w którem tyle cudów zlewał na niewdzięcznych?

Nikt nie ośmielił się odpowiedzieć.

— Uspokójcie się, dzieci, — ciągnął dalej Kordecki — będę traktował, będę czynił, co można, co sumienie pozwala...

Na tem stanęło, a przeor wyszedł do swej celi, dla pisania listu do Millera.

Kaliński powrócił triumfujący, jak zwykle; spotkał Wejharda w pół drogi niecierpliwego i ciekawego:

— A co, starosto? — spytał.

— Cóż? dałem mnichom pieprzu! — odparł, śmiejąc się, poseł — wyłajałem Zamojskiego, bo to on tam wszystkiego sprawcą i doradcą, i takiegom im napędził strachu, że się pewnie do wieczora poddadzą.

Wejhard, znający chętne samochwalstwo Kalińskiego i próżną jego butę, ruszył ramionami nieznacznie.

— A parlamentarze? — spytał.

— Tylko co ich nie widać.

— Ale nie bałamucisz, panie starosto? — rzekł Wejhard.

— Albożem kiedy zwiódł was? — rzekł urażony nieco Kaliński.—Przerażeni, przelękli, głodni, ledwie duch w nich; jeden Zamojski, że wie, czem dla niego pachnie oddać się Szwedowi, ze strachu gotów się bić, ale go tam ani chybi związą i w ręce nam wydadzą, a sami będą prosić zmiłowania.

— Myślicie tak?

— Pewien jestem.

— No, idźmyż pocieszyć Millera.

I pojechali razem, a wślad prawie za nimi przyszedł i list Kordeckiego; ledwie że Kaliński sprawił się ze swego poselstwa, już i kartę od przednich czat przyniesiono. Triumfująco spojrzał na nią starosta i wąsa zawinął, jakby mówił:

— A co! niegrackom się spisał?

Wtem Miller, rozwinąwszy list, spojrzawszy nań, namarszczył się i rzucił nim o stół.

— To znowu żarty! znowu zwłoki!

— Jakto być może, po moich przekonaniach, perswazji, gdy tak zdawali się skonwinkowani...

— Zawsze oni jedni! — rzekł Szwed — uparci a krnąbrni, jeszcze im jakieś widać świtają nadzieje, chyba nie widzą, co koło nich?

— Sto razy im to przecie mówiliśmy...

— Nie wierzą!

Miller się zadumał znudzony.

— Ot przeczytajcie sami — rzekł, — co piszą... że im ich załoga wystarcza, a nowej nie potrzebują, jakbym ja ich pytał, jak im lepiej? krętacze! A dodatek miły — dołożył, kwaśno się uśmiechając, wódz, że naszego wyznania ludzi, a nawet katolików, co służyli przeciwko Jasnej Górze, wpuścić do niej nie mogą. Wykręt papistów, zasłaniają się świętością, ale dość już tego błazeństwa, dość, jutro więc szturm do klasztoru...

To mówiąc, powstał i wydano natychmiast rozkazy rozpoczęcia kroków zaczepnych na jutro, nie wysyłając już żadnej do klasztoru na list odpowiedzi. Miller wargę podgryzł, wąsa zakąsił, siadł na koń, wołać kazał puszkarzy,

rozdać ładunki i zebrawszy radę wojenną, o świcie uderzyć. Kaliński z Wejhardem, pospuszczawszy trochę nosy, odjechali na stanowisko.

Jeśli kto, to Wejhard do ostatniej był przywiedziony niecierpliwości; pierwszy tej wyprawy doradca, bo bez niego byłaby odłożoną, a zatem niespełnioną została, musiał dźwigać na sobie wszystkie gniewy Millera; a cokolwiek wojsko ucierpiało, jemu na kark zrzucano. Obietnica jego każda, na nieszczęście, zwodną była, czas się coraz przewlekał, grudzień poczynał, z nim mrozy, słoty, zimno dokuczliwe i pora nie do wojny. Potrzeba było kończyć, niepodobna odstępować ze wstydem, a siłą twierdza zdawała nie do wzięcia, bo działa polowe Millera nie starczyły, a Polacy nie chcieli mu pomagać. Wedle nauki militarnej, twierdza jasnogórska śmiało, jak ją zwał Miller, kurnikiem zdawać się mogła; a podług rachub ludzkich, już się zdać była powinna, jednakże stała niedobyta, nienaruszona, nikt nie pojmował jak i czemu. Jakiś zabobonny przestrach, znużenie, bojaźń niewysłowiona opanowały Szwedów. Niemało do tego przyczyniały się wieczorne rozmowy Polaków. To, co mówili o świętości i sile tego miejsca, Szwedzi pojmowali czarami; a czary w owym wieku dla wielu straszniejszemi były od Boga; ludzie przestawali już wierzyć w niego, a bali się jeszcze czarów. Sam Miller, nie wydając się z tem, już coś rozmyślał o czarach, bo pojąć mu było trudno, jak bez nich garść ludzi starych, słabych, znużonych przelękłych, osamotnionych stawić mogła czoło potężnemu wojsku.

Nazajutrz rano zagrzmiały znowu szwedzkie działa z obozu, otoczyło wojsko mury, a bomby poczęły lecieć na klasztor; wszyscy niespodzianie zbudzeni wybiegli z krzykiem i płaczem, a sama nawet załoga na chwilę zmieszana została tą napaścią o brzasku. Kordecki był gotów; na pierwszy wystrzał działowy pobiegł na mury z krzyżem w ręku i przeżegnał nim cztery świata strony, obszedł powolnie swoich, a ujrzawszy, że kule hałasne bardzo szkody nie czynią wielkiej, wydał rozkazy, żeby się tylko bliżej podstępującym Szwedom ze śmigownic i organków odstrzeliwano, wielkich dział nie tykając.

— Patrzcie, dzieci! — mówił do zebranych — jak Matka Boska szatą swoją osłania nas; ot kule nad głowami naszemi lecą bez szkody i przenoszą mury, lub padają bezsilne, chwała Pani niebios, chwała!

Wtem pan Czarniecki przypadł.

— Co jegomość dobrodziej najlepszego robisz? A tożeś nie kazał z dział strzelać! Czy to prawda? Czemuż? Czy prochu mało?

— Kto wie, na jak długo potrzebować go będziemy — odpowiedział Kordecki, — a nie widzę konieczności odstrzeliwania się działom; kule ich szkody nam nie czynią; dość odpychać podchodzących bliżej z ręcznej broni; gdy się Szwed ośmieli i hurmem cisnąć zacznie, wówczas z dział odepchniemy. To tylko jeszcze początek, panie Piotrze, strachy na Lachy.

— No! wola wasza, rozkazanie pańskie jak hetmańskie, czyńcie wedle natchnienia, ja śpieszę do moich ludzi, żeby choć na organkach dobrze grali, kiedy innego instrumentu użyć nie można.

I pobiegł chyżo na swoje stanowisko.

Szwed niebardzo śpiesznie i nie tak jak wprzód ochotnie następował, strzelał tylko z dział, w nadziei, że zapali dachy, że zniszczy mur i zrobi wyłom, ale nadaremnie. Czy to nieumiejętność puszkarzy, czy cud Boży: kule warczały w powietrzu, lecz spadały nieszkodliwie; wrzał Miller i bił swoich, ale już niejeden odpowiedział własną myślą jego.

— Cóż na to poradzić? to czary! to czary!

Nie chciał wódz dozwolić rozszerzyć się tej myśli i przyjmował ją śmiechem lub oburzeniem, pomimo to jednak coraz większej nabierała siły. Niektórzy ze Szwedów szli już widocznie niechętni, inni cofali się i wywijali od napadu na klasztorne mury; widać było zrażenie, bojaźń jakąś potajemną. Samemu Millerowi dziwne wieści do uszu dochodziły; śmiał się z nich ciągle, ale niespokojnem już okiem mierzył Częstochowę.

Jedni mu mówili, że widzieli nad klasztorem we mgłach rannych postać niewieścią, płaszczem jasnym osłaniającą twierdzę i odbijającą kule; drudzy powiadali o starcu, zjawiającym się nocą pod murami; inni jeszcze utrzymywali, że niewiastę i starca nad blankami, w powietrzu przesuwających się widzieli. Pogłoski te coraz większej nabierały wiary, przechodząc z ust do ust, świadczono się tem, to owem, co na swe oczy widział i przestrach powoli ogarniał wszystkich. Kilku starszyzny tegoż dnia powtórzyli Millerowi wieści podobne, a skutek ich na wojsku był aż nadto widoczny — szemrało i szło z musu, zukosa spozierając tylko na twierdzę, milczącą cierpliwie, odstrzeliwającą się

niekiedy i jakby niewidzialną bronioną potęgą. Samo dział umilknienie zdawało się podstępem, zdradnem jakiemś wyrachowaniem. Generał, objechawszy swe wojska i górę dokoła, powrócił do namiotu zamyślony więcej niż kiedy, sam wątpiąc o wszystkiem, bo rachubą ludzką nie mogąc pojąć, co się wkoło niego działo.

Jakaś straszliwa atmosfera tajemniczości, cudu otaczała nieprzywykłego do niej wojaka; czuł, że ma do czynienia nie z siłą zwykłą żołnierzy, ale z władzą niepochwyconą, niewidzialną, niezbadaną, której dostrzec nie mógł, z którą walka była próżnym wysiłkiem. Sto razy w duszy powtórzył wszystkie, jakie umiał, przekleństwa na Wejharda, który go tu przywiódł i naraził na wstyd niechybny, ale cofać się, tak daleko zabrnąwszy, było niepodobna. Dałby był wiele za rozkaz, coby go stąd odwołał; a tu trzeba było kończyć, trzeba było iść dalej a dalej.

Z kim? i jak? trudne zostawało pytanie. W starszyźnie obojętność widział, niekiedy spotykał opór, bo książę heski, Sadowski i kilku innych, niewiele ceniąc posiadanie Częstochowy, uważając straty, na jakie zdobycie narażało, spóźnioną porę, w ostatku wrażenie, jakie na Polakach szturm do świętego miejsca miał sprawić, byli temu przeciwni; u ludu zaś ta myśl czarów a dziwowisk sprawiała bojaźń niewysłowioną; niektórzy z oficerów nawet czuli już na sobie zaraźliwą jej siłę. Jeden Wejhard stał przy swojem i obiecywał kapitulację, a Kaliński drugi gadał o nieuchronnem poddaniu, ale nikt im nie wierzył.

III.

Konstancja, jak tylko kule polatywać zaczęły, wybiegła z klasztoru na stanowisko swoje, zbierać szwedzkie orzechy, jak je nazywała. Ale jakże zmieniona! Trudno ją dziś było poznać, dawny szał całkiem ją prawie opuścił; opuściła drwiąca wesołość, smutek ponury zastąpił jej miejsce. Starzy znajomi przypisywali to niepokojowi o świętą górę i jej losy; strachu jednak wcale po niej widać nie było, bo się zwijała pod kulami prawie i urągała śmierci. Ale wieczorem, odnosząc zebrane orzechy, gdy witała braciszka Pawła u furty, to nie po staremu piosenką lub żarcikiem, ale jakiemś głuchem westchnieniem. W jej wejrzeniu pozostało dawne obłąkanie, ale usta już wymówić nie mogły

tych szyderczych słów, któremi wprzódy tak ochoczo odstrzeliwała się wszystkim; niekiedy tylko jakby sobie przypomniała potrzebę utrzymania w swojej roli, rozśmiała się, zachciała pobaraszkować, ale wnet ucięła.

— Co to się stało naszej starej słudze Matki Boskiej? — mówili ludzie z załogi — wszak to spoważniała, gdyby inna kobieta.

— Jużci to ją gryźć musi ten Szwed, trudno, żeby się nam wyszczerzała po dawnemu, mając go za pasem.

— Kostucho! — wołali — Kostucho! co tam słychać?

— Nic, panie Walenty, jeno tylko, że ci się Szwedzi kłaniają i proszą z sobą razem do Abrahama na ciepłe piwko.

— A przeklęta, — odparł żołnierz z załogi — pocóż mi ją było pytać, znalazła język w gębie na odpowiedź; gotowa wyprorokować jak Janaszowi... Już to nigdy nikomu nic dobrego nie zapowiedziała, taka natura.

— To jej lepiej nie pytać.

I dali jej pokój, a Konstancja szła dalej, rozdając kule po murach.

— Naści, Jaśku, te kule szczęśliwe, dobrze strzelasz, otóż masz gościńca, lada trutniowi ich nie dam skosztować, a pilnuj dobrze roboty około folwarku Matki Boskiej, żeby się gospodyni nie pogniewała.

— Na i tobie, Pietrze, wiesz, że taka kula, co od Szweda, to najlepsza, tylko, jak nią będziesz miał strzelać, przeżegnaj się...

I tak dalej idąc, po jednej, po dwie każdemu z ludzi dawszy, schodziła potem wschodkami, ku kaplicy się zwracając; tu krzyżem legła, pomodliła się i szła naprzeciw izby Lassotów usiąść, a patrzeć na obroty pana Krzysztoporskiego. Od ostatniego jednak wieczora, gdyśmy ją widzieli podsłuchującą rozmowy pani Płazinej, czegoś się uwiązała do niej i zaraz potem starała się ją wśród podwórza zaczepić dawną wesołością swoją, pociągnąć usiłując gadatliwą babę.

— Dobrywieczór pięknej pani, — rzekła, kłaniając się nisko — wszystkiego dobra życzę jaśnie wielmożnej pani.

Nazwanie piękną i jasną wstrzymało panią Płazinę, trafiając w jej słabość, nadęła się jejmość i stanęła poważnie.

— Bóg zapłać, moja kochana, chodź za mną, to ci kawał chleba dać każę.

Stara powlokła się, przysuwając do rozmowy, którą rozpocząć pragnęła.

— Cóżto, że jw. pani dotąd nie widziałam, wszak to podobno tu od początku oblężenia?

— A tak ci, moja kochana, ale ja w kąciku sobie siedzę i nie włóczę się między tę drobną szlachtę...

— Sprawiedliwie pani powiada, tu takiej różności nazbierało się, siła wszelkiego narodu, a zaraz widać, że to jw. pani nie przystoi lada z kim się bratać.

— A ty tutejsza, moja kochana?

— O! mnie tu znają od lat trzydziestu, sługa Matki Boskiej, Kostucha, teraz zostałam chorążym w naszej załodze i wojuję ze Szwedami.

Płazina się rozśmiała.

— Jakto? hę! to i ty wojujesz?

— Jak zwykle starszyzna! ja im kule daję, sama się schowam, a oni strzelają. Alboż to baba ma już w kącie siedzieć?... Orzeszki im noszę...

— Jakie orzeszki?

— Kule to się rozumie, jw. pani.

— Gdzież je bierzesz?

— A, za twierdzą.

— To ty wychodzisz?

— Wchodzę i wychodzę, kiedy chcę, mnie wolno, i do miasteczka czasem idę, może jw. pani czego potrzeba?

— Nie! nie! ja mam wszystkiego poddostatkiem, pytałam się tak tylko z ciekawości.

— A jw. pani daleko stąd mieszka?

— O! kilkanaście mil.

Tak gawędząc, szła stara aż pod izbę pani Płazinej, ale tu jej nie wpuszczono; poszła jejmość po chleb sama i wyniosła go żebraczce.

— Czyż to jw. pani i sługi nie masz, że mi sama nawet wynosisz? albożem ja tego warta — zakrzyknęła Konstancja.

— To bo takie nieszczęście — odparła szlachcianka, — że nas tu ledwie samych przytulili, gdzież było myśleć jeszcze o sługach, choć to ja do tego nie przywykłam z maleńka, żeby sobie służyć sama.

— To zaraz widać! a możebym ja jw. pani czasem choć wody przyniosła, posłużyła czy co?

Pani Płazina zamyśliła się i rzekła:

— Już to prawda, dobrzeby to było, bo i ludzie mojego męża wszyscy na murach cały czas.

— Jeśli jw. pani pozwoli, jeśli jest dzbanek...

Znów podumała Płazina i powiedziała:

— To potem, potem — a zbywszy ją, odprawiła ode drzwi.

Konstancja długo bardzo snuła się około tego mieszkania, jakby je opatrywała; nareszcie odeszła ku Krzysztoporskiemu i stanęła tu na czatach.

Szlachcic od ostatnich odwiedzin przeora siedział jak przybity na ławie, ni ręką, ni głową nie biorąc się do boju, kule przyjmował jakby ich nie słyszał, poruszał się machinalnie i bezprzytomnie; ksiądz Mielecki jak mógł go zastępował.

— Co to waszeci, — pytał go — czy nie chory?

Ale Krzysztoporski nie odpowiadał nic, a w nocy jak utrapieniec po murach się wałęsał, do dowództwa, do obrony jednak wcale nie odzyskując ochoty.

Naprzeciw Szwedów stanie, piersi nadstawi, oko gdzieś puści i stoi nieruchomy; gwizdnie kula jedna, druga, aż go Mielecki szarpnie.

— Co to waszeci jest? czyś szalony?

— Hę? — pyta Krzysztoporski, osłupiałą wlepiając źrenicę w niego, i nic mu nie odpowie.

Z liczby osób, które najbardziej zdawało się zajmować zniknienie dzieweczki, był Stefanek Zamojski, syn miecznika, chłopak pod wąsem, który w początku bardzo latał, gdy się zrobiło to zamieszanie. Państwo Zamojscy stali w zabudowaniu klasztornem tak, że ich okna wychodziły w podwórze od okna Lassotów. Syn miecznika, towarzysząc mu na mury i razem doglądając matki, często się przez dziedziniec przechadzał i często widywał dziewczynę z żebraczką; skłonił się jej kilka razy, przemówił słów parę, jak to bywa w takich razach, że się znajomości łatwo zawiązują, a młodemu oku piękna twarzyczka nie ujdzie. Stara Kostucha, napatrzywszy, że się rad przechadzał podle okienka, zaraz poszła pytać, kto to taki? i nie uspokoiła się, aż jej powiedzieli, że to miecznikowicz Zamojski. Pokiwawszy głową, dała stara pokój, ale tegoż wieczora przestrzegła Handzię, żeby nie wyglądała, jak Stefanek przechodzić będzie, bo się ludzie mogą śmiać z tego.

Hanna zarumieniła się bardzo, zaczęła wymawiać przed starą, ta zrąb jej sukni całować, i tak, popłakawszy się, rozeszły. Teraz, błądząc po podwórkach, spotkała Kostucha miecznikowicza i wstrzymała go.

— Paniczyku, kochanku!!

Zamojski stanął, szukając grosza.

— E! nie o jałmużnę tu chodzi, Bóg zapłać!

Chłopiec się zastanowił i wzrok w nią wlepił badawczy. Był to dorodny młodzian, jak to dawniejsza młódź cała, raźna, kwitnąca, krew z mlekiem, co to jej ani myśl brudna, ani żadne zwierzęce nie skalało pragnienie; nie zwiędniał przed czasem, aż miło było na niego spojrzeć, aż wesoło z nim pomówić, bo jak twarz, uczucia były świeże i myśli czyste i serce poczciwe. Syn posłuszny i pokorny dla rodziców, choćby mógł zapragnąć większej swobody, nie wyrywał się do niej, a rygor, w jakim zostawał u ojca, przyjmował wdzięcznie, bo wiedział, że ta opieka rodzicielska, choć czasem ciężka, zawsze w skutkach zbawienna; matki czułe serce płaciło mu zresztą z naddatkiem maleńkie przykrostki życia. Prawda, że miecznik uważał go zawsze za młokosa, ale sposobił na męża, chciał posłuszeństwa, bo nauka jego była na całe życie potrzebna, a zamłodu nieugięta dusza podwójnie cierpi, gdy w gorzkich życia kolejach ulegać będzie musiała.

Stara popatrzyła zbliska, uważnie na chłopaka, a potem, wskazując mu okno mieszkania Lassotów:

— Szkoda jej! — rzekła — szkoda!

Stefan się zarumienił, zmieszał.

— Nie trap się, kochanku, — przerwała staruszka — a cóż to za dziw, że ty jej żałujesz, kiedy ja także obca, com ją ledwie znała, a płaczę.

Młodzieniec milczał.

— Czegoż chcecie? — spytał wreszcie.

— Jak wam imię? — przerwała żebraczka.

— Stefan.

— Dobre i poczciwe imię, był król tego imienia, bardzo tęgi człowiek. Wiecie co, panie Stefanie, ona za mury nie wyszła, to pewno, ani ją tu zabito. Byłby ślad świętokradztwa...

— Gdzież być może?

— Otóż to Bóg wie jeden, Krzysztoporski drugi, i ktoś może trzeci...

— On? mówicie?

— On, on, — odparła stara — już ja śledzę i dochodzę, ale sama nie dam rady, ot wiecie co? pomóżcie mi... Patrzajcie pilno we dnie na Krzysztoporskiego i na... szlachciankę tu jedną... na Płazinę. Płazów okna z waszego pię-

tra, przez dachy stajen widać. Nie widzieliście, kto tam do nich chodzi?

— Do Płazów? Nie mam ja tam czasu patrzeć.

— A Krzysztoporskiego u nich nie widzieliście kiedy?

— Był, zdaje się, parę razy.

— Z samym, czy z samą?

— Raz z nim, drugi raz, przypominam sobie, coś z Płaziną szeptali...

— A kiedyż to było, przed zniknieniem?

— O! tego już nie pamiętam!

— Oj! żebyżeście choć teraz popatrzyć chcieli, a powiedzieli mi, czy z sobą konszachtów jakich nie mają.

— Chętnie, moja poczciwa starucho! Ale my podobno nic nie zrobimy.

I sięgnął do worka skwapliwie.

— Dajcie mi pokój, paniczyku, ze swoją jałmużną, najlepsza jałmużna to dobre słowo... Spójrzcie czasem i pomyślcie o biedaczce Handzi, to mi stanie za złoto. A jeśli co odkryjecie, jak wam się myśl jaka przez głowę przewinie, nie róbcie hałasu, ino mi ją powiedzcie.

To powiedziawszy, odeszła, zostawując go zdumionym tą troskliwością; po chwili odszedł on do matki, ona do księdza Lassoty się zbliżyła.

— Mój księżuniu, a co? — odezwała się — niema śladu?

— Jakiego?

— A! o tej biedaczce.

— Niema! a niema! — odpowiedział ksiądz — głowę łamiemy, a tu stary kona i niema go nawet popilnować komu z miłosierdzia. Bardzo, bardzo brak nam tego aniołka.

— A! a komużby go brak nie było! — zawołała stara — ja cudza, a płaczę, a chodzę jak oszalała.

Ksiądz Lassota z litością się uśmiechnął, pomyślawszy:

— Dawnoś ty już taka, moje serce!

— Powiedzcie mi jeszcze, księżuniu, — rzekła ciszej, wstrzymując go za habit — gdzie stoją szlachta Płazowie?

— Gdzie? a to ci naco?

— Nic, tak sobie, ale gdzie?

— Stoją na dole za stajniami, gdzie dawniej była stolarnia i skład przed oblężeniem.

— A wiele tam izb?

— Do czegoż ci to wiedzieć?

— Zachcieliście, zwyczajnie świta we łbie! ale nie bójcie się, mówcie, wszystko to na dobre wyjść może.

— Cóż mają Płazowie do naszej Handzi?

— Ot, nie pytajcie, a mówcie lepiej, ile tam izb i jakie? Ksiądz Lassota ruszył ramionami.

— Prawda, że ci w głowie pstro, moja stara!

— No, to pstro, ale powiedz, ile izb, albo to ci szkodzi, jegomościuniu, dobrodziejeczku kochany.

— Lepiejbyś się pomodliła i poszła spać! — odparł, śmiejąc się, ksiądz Piotr i tak ją odprawił.

Kostucha, widząc, że ją o nieprzytomność i bałamucenie posądził, ukłoniła mu się i odeszła, pomyślawszy: — Dowiem się ja od braciszka Pawła. — I pociągnęła do furty, przy której nie był, gdy wchodziła, bo go zastępował Rudnicki, a on odnosił habit połatany księdzu przeorowi.

Teraz już wrócił do swojej izdebki, wśród stuku a huku dział i śmigownic szyjąc i śpiewając na całe gardło: *Omni die, die Mariae...*

I na stoliku rozłożywszy przed sobą suknię księdza Stradomskiego, z igłą w ręku, ze wzrokiem w nią wlepionym, zdawał się myśleć głęboko, jak ją na połach zregulować, by śladu nie było podarcia, gdy Kostucha drzwi otworzyła.

— Dobrywieczór, księże Pawle...

— Ba! żebyż to księże — wesoło odpowiedział zagadniony — ale to tylko braciszku!

— No, i to przyjdzie.

— A igły są?

— Są, i jakie paradne, chodziłam umyślnie do samej Brzuchańskiej i mówiłam, żeby dała prawdziwych norymberskich dla was; nawet bałam się, tu idąc, oddać ich księdzu Rudnickiemu.

— Co ty wszystkich dziś księżysz! — odezwał się, śmiejąc, brat Paweł — on taki ksiądz, jak ja... Prawda, że profes, ale wszystkoż jeszcze bez kaptura... No! dajże mi te igły, daj, — niecierpliwiej dodał — byle tylko dogodne, jakich mi potrzeba, a uchaż dobre?

— Ale nie dam, aż mi coś powiecie.

— Oho! jest szust, a cóż ci powiedzeć, może którędy dusza wychodzi z człowieka?

— Ale nie, księże Pawle...

— Zawsze mi się przypochlebiasz tym księdzem! Jak wie, z której beczki zacząć, no i cóż ci tam tak wiedzieć pilno?

— Proszę księdza Pawła, ci państwo Płazowie, wszak ich ksiądz zna?

— Płazów? ha? a! wiem, wiem, pozawczoraj zaszyłem mu fałd w żupanie, co się był opruł, ślicznie mnie o to prosił, no, i cóż Płazowie?

— Oni podobno bardzo licho mieszkają?

— Co? gdzie? licho? dlaczego licho? ot to! mają dwie izby porządne, gdzie była stolarnia brata Antoniego, a w dodatku śpiżarnie naprzeciw, a ze śpiżarni jeszcze na strychu izdebinę w murach na składzik...

— Izdebinę, mówicie? — spytała staruszka.

— Ale ba! dawajno igły, możeś zgubiła?

— Ot są, ale gdzież ta izdebina?

— Ot! gdzie? okienkiem na dziedzińczyk przeciw murów od zachodu! Jakbyś to nie wiedziała! Co się tak rozpytujesz? czy kraść myślisz?

Stara zaniemiała, ksiądz Paweł spojrzał.

— Cóż to tobie do tego?

— A tam kule szwedzkie mogą dojść? — spytała.

— Czemu nie? drogi nie pytają, a jak pani Płazinej faskę z masłem rozbiją, niestraszna ruina i niewielki lament.

Stara podumała i odeszła, brat Paweł rozpoczął śpiew i łataninę księdza Stradomskiego i zamyślił się, zamyślił, boć było o czem: trzeci raz jedne dziury zaklejał.

IV.

Na drugi dzień po rozpoczęciu na nowo kroków wojennych już nie mógł wytrzymać pan Czarniecki, śmigownicami tylko i organkami opędzając się hałastrze, a na wielkie działa spoczywające patrząc; zakasał poły, pokręcił wąsa i ruszył do księdza przeora.

Tu znalazł i Zamojskiego.

— Księże przeorze dobrodzieju,—rzekł na progu—trzymaliśmy jak mogli, ale dalej chyba nas każesz powiązać; pozwól dawać ognia z dział, bo Szwedzi jak muchy na miód pakują się nam pod nos, cierpliwości nie staje; *attandem* znowu ich możemy kropnąć bez pozwolenia, bo w człeku krew nie woda, gra; a nieposłuszeństwo *tempore hostilitatis* nicpotem, więc lepiej nam pozwól!

— Chyba w ostateczności, — odparł przeor — zawsze

z pana Piotra gorączka. Nie życzyłbym się śpieszyć; pamiętajmy, że się bronimy tylko, żeśmy z mnichów żołnierze... śmierci niczyjej nie pragniem, byle nam pokój...

— Otóż to, — rzekł Czarniecki — ażeby nam pokój dali, to ich tłuc potrzeba *et fortiter*.

— Ale nigdy na życie ich nastawać nie powinniśmy, byle się opędzić; nie zapominajcie, że gdy kusze okazały się w wojnach XII wieku zbyt śmiertelnem narzędziem, to koncyljum lateraneńskie użycia ich zakazało, aż w następnych dopiero krucjatach, gdy z niewiernymi do czynienia przyszło...

— Ojcze a dobrodzieju, tu nie o kusze idzie, całkiem inna sprawa! Co nam tam do lateraneńskiego koncyljum... Przytem a toć to niewierni, ba gorzej, bo odstępcy... więc pozwalacie huknąć?

— Na miły Bóg, kochany panie Pietrze, bez tej zawziętości, bez tej szparkości. Ja wódz wasz i ojciec, proszę! każde biedne ludzkie życie, co tu się zakończy, na mojem sumieniu, nie obarczajcie go!

Czarniecki głową pokręcił, ramionami ruszył, szukał widocznie argumentu, a nareszcie rzekł cicho:

— Stań się wola Twoja! Jednakże nieuchronna rzecz, że nam strzelać przyjdzie; Szwedzi nas opasują, gruchoczą nam mury, a my mamyż stać i patrzeć?

— No, to sobie strzelajcie — odparł przeor, a Zamojski dodał:

— Dawać ognia, dawać ognia, więcej dla strachu, niż żeby padali... bo drażnić i tak podrażnionego nieprzyjaciela niepolityczna i szkodliwa. Już i tak Miller, patrząc na swego Horna, którego kosą nasi tak dobrze podcięli, złością się zajada.

— Wszak tylko po brzuchu go drasnęli! — zawołał pan Piotr — co u licha! i jeszcze się skarży.

— Niemniej pewno ducha wyzionie.

— Zdaje mi się, że to sztuka Janasza Węgrzyna, który niech w Bogu odpoczywa, bo żołnierz był dobry, a ja na mury pośpieszę.

— I ja z wami, — dorzucił Zamojski, chwytając czapkę — czas mi do moich.

— Zapewne, chodźcie, chodźcie a żywo, załodze ducha dodacie, nie szkodzi!

Ale na ten raz przynajmniej załoga ducha nie potrzebowała, nabrała go spoczynkiem, wlał widok szubienicy, obu-

rzenie, rozgrzewały się serca ciągłem zapatrywaniem na niezmordowane męstwo Kordeckiego. — I dzień to nie był bez ofiar, niestety! Jakgdyby wszystko miało być cudownem w tem oblężeniu pamiętnem, nawet kule, rażące ludzi w twierdzy, zdawały się ręką niewidzialną skierowane ku jakimś niepojętym celom. Wprzód jeszcze czterech Janów (między nimi Jan czyli Janasz Węgrzyn) padli od kul szwedzkich; dnia tego trzech znowu młodzieży imieniem Janów działa nieprzyjacielskie położyły trupem. Ktoś to postrzegł i uwagę zrobił, aż co było Janów na murze zbiegać poczęło, a że to imię u nas pospolite, znalazło się dosyć przepłoszonych. Dano znać Kordeckiemu, wyszedł śpiesznie, znalazł w podwórcu jeszcze owych wylękłych Janów, nie wiedzących, co począć z sobą; zbliżył się do nich i spytał:

— Czegoście to z murów zeszli, kochani bracia?

Żaden do strachu przyznać się nie śmiał.

— Wiem, — kończył powolnie — wiem, że bojaźń was ogarnęła! Zamiast zazdrościć korony Janów męczenników, wy unikacie śmierci wybranych, woląc życie mizerne strachem przedłużyć, niż żyć na łonie Bożem i w pamięci ludzkiej. Cóż za dziwny objął was przestrach? Nie jest li to najwyższem szczęściem polec w obronie wiary i kraju. Idźcie, jeśli chcecie, wstyd wasz ukryć, myśląc, że losu z ręki Bożej wyznaczonego unikniecie... idźcie i płaczcie nad słabością waszą...

Ale po tych kilku słowach nowy duch w nich wstąpił: zawstydzeni, zagrzani, ruszać się, rozbiegać na stanowiska poczęli i odważnie dotrwali w boju. Dzień ten ze wszech miar szczęśliwym był zresztą dla oblężonych. Kule Szwedów, czy to że się już byli przejęli mniemanemi czarami mnichów i źle je kierowali, czy cudem łaski Bożej, ciągle leciały ponad mury, lub padały w podwórce i trzech tylko ludzi ubiły. Ogień zaś twierdzy był przeciwnie nadzwyczaj trafny.

Ciągle na myśli mając owe czary, ciągle o nich prawiąc, obawiając się ich coraz mocniej, Szwedzi nieopatrznie, tchórzliwie, przymusem tylko działali. Na baterji północnowschodniej z pośpiechu czy z nieopatrzności proch rozsypany pięciu puszkarzom oczy wysmalił, a cekwart, stojący przed nią, w tejże chwili z działa ubity został. Wypadek ten gorzej jeszcze ich potrwożył, tak że mimo poduszczeń Millera, mimo dodawanego ducha i wódki, ku końcowi dnia ogień zwolniał widocznie i był raczej postrachem samym,

niż niebezpieczeństwem. Oficerowie nawet unikali zbliżenia się do murów, popychając naprzód żołnierza, a żołdacy szli opieszale, spędzeni, odstępowali szybko. Wyłomu pożądanego zrobić było niepodobna. Miller, który i sam od tego przesądnego strachu nie był wolny, choć się wyśmiewał z tchórzów, odjechał zawczasu i ciężko zadumał pod namiotem. Wejhard tylko dojeżdżał, pędził, groził, zachęcał i wiodąc za sobą wszędzie Wachlera, który mu słabsze miejsca wskazywał, chciał coś dokazać, a nie mógł. Jakkolwiek niedowiarek, przecież się jeszcze nie wyrzekłszy katolicyzmu i w głębi pamiętny wiary swojego dzieciństwa, począł i on wątpić o sile ludzkiej, a przypuszczać jakąś inną, potężniejszą. Kaliński także milczał i stojąc zboku, już nawet w rady się nie wdawał; pocieszał tylko, powtarzając:

— Niechno działa z Krakowa nadejdą.

— Jeśli tak celnie, jak te, strzelać będą, — odezwał się Wejhard — niewiele na nich zyskamy. To coś niepojętego, panie starosto.

— Istotnie, panie hrabio, to jakieś czary.

— Któżby w nie mógł nie wierzyć, — odparł pan Seweryn — a hrabia?

— Ja! nie wiem tak dalece, *sunt, non sunt!* to wątpliwa!

— Zdaniem wielu uczonych — ciągnął dalej Kaliński — a zwłaszcza autora *Młota na czarownice.*

Ale Wejhard nie słuchał już, coś ważył i myślał.

— Nie jest li to rzecz niepojęta ten opór i nasze mazgajstwo!! Wziąwszy Poznań, Kalisz, Kraków, Warszawę, stanąć przy Częstochowie?

— Rzecz jest istotnie zastanowienia godna, ale też zima, ale...

— Żadne ale nie służy, silniejsi jesteśmy niż wprzódy, czemuż tu bezsilni?

Ruszył ramionami i pojechali nieodstępni towarzysze do Millera, jemu ducha poddawać. Tu zastali nową rzecz: czaty rozsypane dokoła i podjazdy szwedzkie schwyciły wracającego z Prus pana Piotra Sladkowskiego, podkomorzego rawskiego, i przywiodły go do obozu. Pan podkomorzy jechał sobie spokojnie, nie dbając na Szwedów, bo sądził, że jako adherent szwedzki wszędzie będzie miał wolny pas. Ale ciury, którzy się radzi byli obłowić, a myśleli, że to jaki poseł lub szpieg, wzięli pana podkomorzego z całym jego dworem i przywlekli przed Millera.

Był to człek, jak mówią, kuty na cztery nogi; ze Szwedami mówił po szwedzku, z Polakami po polsku, a sercem po staremu ciągnął do swoich więcej. Gdy więc Miller jął go rozpytywać, począł się skarżyć i wynosić swoje przywiązanie do Szwedów.

— Panie generale, — rzekł z oburzeniem — cóż-to? czy bezpieczeństwa w kraju niema dla nas, poddanych króla jmci Karola Gustawa I. Jakto mnie śmieli zatrzymać pańscy żołdacy?

— Co waszmość chcesz? to wojenny czas!

— Ale ja człek spokojny.

— A któż waszmości wiedział, coś za jeden?

— Pokazywałem pas Duglass'a?

— Oni bo czytać nie umieją; niewieleś na tem ucierpiał, że trochę zboczyłeś, a dla mnie to się dobrze stało.

— I postraszyli mnie i zmitrężyli mi drogę.

— A ja mówię, że to się dobrze stało; waćpan świeży człowiek, zrobisz mi tę grzeczność i pójdziesz jutro do tych upartych mnichów. Ja z nimi głowę tracę, a mam litość nad nimi, dawnobym mógł ich zniszczyć z kretesem, a żal mi. Powiesz im waszmość, żeby nie szaleli, że cała Polska nasza, że się poddać muszą.

— Ale, panie generale, cóż ja tam poradzę.

— Poradzisz waćpan, poradzisz, poświadczysz, co się dzieje, nakłonisz ich, waćpanu lepiej uwierzą.

Pan Sladkowski, dziwnie jakoś brwiami ruszywszy, wąsa pokręcił.

— Wszak w Prusiech wszystko dobrze? wszak Szwedzi wszędzie górą.

— A jakże! panie generale, a jakże! tak jest! — powtórzył Sladkowski.

— No! powiesz im to wszystko... powiesz i przemówisz z dobrą radą, żeby się poddali.

— Prawdę powiedziawszy, jestem nawet dawno znajomy księdzu Kordeckiemu...

— Tem lepiej, więcej da wiary waszmości. Hola! — klasnął Miller w ręce — teraz muszę waszmości przyjąć i kazać ci dać kwaterę w Częstochowie.

Zaprzątnięto się tedy przyjęciem pana Sladkowskiego, ale gdy go poczęli badać o swoich, o fortunę oręża szwedzkiego, o to i owo, prawił im banialuki i androny, plątał się, bałamucił i nadewszystko zaklinał, że był wiernym bardzo poddanym króla Karola, choć niewiele mógł wiedzieć, bo

jeździł na Żoławy za interesem własnym, unikał posterunków i wybierał kraj spokojny. Miller, widząc go tak jakoś nie zaopatrzonym w nowiny, pożałował nawet, że go do klasztoru posłać umyślił, ale pomyślał sobie: — Lepiej taki, że nowego człowieka zobaczą a od niego co posłyszą, niech jedzie.

Kaliński uprzejmie się ofiarował do towarzystwa, ale podkomorzy grzecznie odmówił, dowodząc, że sam na sam z księdzem Kordeckim jakoś to lepiej pójdzie. Wejhard odjechał z nową nadzieją, a Sladkowskiego rajtarowie zawiedli do miasteczka Częstochowy, gdzie u Hiacynta Brzuchańskiego dano mu mieszkanie. Nazajutrz rano miał po niego przysłać Miller, dodać mu trębacza i wyprawić na Jasną Górę. Ledwie się uwolnił od Szwedów podkomorzy i poczuł swobodnym, rozmarszczyło mu się czoło i jął rozpytywać gospodarza ostrożnie.

Dowiedział się wszystkiego, co się tknęło oblężenia i z weselszą twarzą do snu poszedł.

V.

Nazajutrz rano, był to siódmy grudnia, wigilja do Niepokalanego Poczęcia Marji Panny. Przeor od rana w nowej sukni, zbliżeniem święta rozjaśniony, poddawał ciągle nadziei, mówiąc do swoich:

— Matka Boska na dzień swój da nam otuchę i radość, ale wszyscy dziś pośćmy po staremu, jak to pościli ojcowie nasi, suchotami dzień cały do wieczora, wieczorem grzanką chleba i trochą piwa posilimy się i tak oczekiwać będziemy uroczystości.

Wszyscy tedy, aż do starców i dzieci, pościć postanowili tak, że nawet po kuchniach ognia nie rozpalano. Szwed rano nieochoczo brał się do dział i nierychło przebudził, a w klasztorze sposobiono się do obrony, gdy trębacz dał znać o pośle. Był to pan podkomorzy Sladkowski, któremu Miller dał wprzódy naukę, jak i co ma mówić; polecił mu naglić mnichów, aby co rychlej dla własnego bezpieczeństwa poddawali się, a podkomorzy, zaklinając się na swą miłość dla Karola Gustawa, wszystko spełnić przyrzekł.

Zaprowadzono go do księdza przeora, który z niemałem powitał go zdziwieniem.

— A co waszmość tu porabiasz — spytał. — Czy także ze Szwedami?

— Jeśli nie z ochoty i dobrej woli, to z musu, księże przeorze; wczorajszego dnia, wyobraźcie sobie, jechałem spokojniuteniczko z Prus do Żoław, gdzie do panów Weslów miałem interes, aż tu rajtary szwedzkie, niech ich Bóg pokarze, ułapili mnie jadącego drogą i dostawili jak włóczęgę jakiego do obozu.

— Otóż to przyjaciele Szwedzi — rzekł Kordecki.

— Kwitowałbym z przyjaźni, ale cóż robić; a Miller, jak mnie wzięli, kazał, niby to lepszy od drugich, świeży człowiek, iść waćpanów namawiać do poddania, dowodząc... ale to już wiecie zapewne.

— Ba! i sto razy nam to powtórzono, — rzekł przeor — kochany podkomorzy, a nie macie tam co nowego i lepszego od tej starej piosenki o Karolu Gustawie.

Sladkowski się bacznie obejrzał; stali obok pan Zamojski, Czarniecki, dwóch jeszcze szlachty, ze trzech księży; pocmokał i zdawał się wahać.

— Ej! kiedy to widzicie z tym djabłem Szwedem nie żartować.

— Możecie nam przecie zaufać, — przerwał Kordecki— a macież co nowego?

— Ba, możeby się nalazło! — z uśmiechem odparł Sladkowski.

— No, to mówcie, a śmiało, a naprzód siadajcie, my dziś pościm wigilję na chwałę Matki Boskiej szczerym postem, ale dla was znajdziemy co przekąsić.

— Albo to ja także nie chwalca Matki Boskiej, — żywo zawołał podkomorzy — nie róbcież mnie heretykiem, ja z wami z suchotami, jak i wy wszyscy, księże przeorze.

Kordecki się uradował, aż mu oczy zabłysły.

— Ej! — rzekł — gdyby tak wszyscy i wszędzie razem szli a śmiało.

— Nie bylibyśmy sobą, — przerwał Sladkowski — u nas niezgodą życie stoi, a to pokaranie Boże...

— Prawda, ale mówcież, proszę, co tam mówić macie.

— Długo tak mówić nie mam co: minęła szwedzka godzina, — pocichu szeptał Sladkowski — poczęło się wszystko dla nich na nice obracać: albo się bardzo mylę, albo dziś właśnie zawiązuje się przeciwko nim konfederacja. Spotykałem dużo ludzi po drodze, od Krakowa, od Małopolski, nowiny zewsząd jedne, noga się Szwedom powija.

Kordecki złożył ręce, wstał żywo i zawołał ze łzami:

— Bogu dziękować! Bogu dziękować! ale mów — rzekł,

miarkując się i zbliżając ciekawie do Sladkowskiego—mów, mój podkomorzy.

— Od Krakowa słychać, — kończył przybyły — że nasi już radziby się do swojego rodzonego pana wrócić i powoli ku temu mierzą, bo im ci złote góry naobiecywali, a i ołowianych nie dają. Pieniędzy Szwed nie ma, skoro tylko Kraków wziął, zaraz zmienił *facies;* już nie dysymuluje, ani publicznej, ani prywatnej własności nie szczędzi; w Wielkiej Polsce, ba i w Małej, i po całym kraju nie myślą wcale bronić nas, jak to solennie przyrzekali, ale razem z Kozakami łapią i grabią... Wojska ich szlacheckie majętności najeżdżają, łupią klasztory i kościoły, zabijają, gwałtują. I kwarciani już sobie coś myślą, na to patrząc, bo i oni nie kto, tylko szlachta jak i drudzy.

— Byłożby to prawdą! — zawołał Zamojski uradowany — łaska Boża! lepsze upamiętanie, choć późno...

— Tylko cicho, cicho, — mówił Sladkowski — nawet *inter nos,* nasi już raz Szwedom potłukli *certissime...*

Kordecki uśmiechnął się.

— Ależ to przynajmniej nie fałsze nam z za rękawa trzęsiecie?...

— Bóg widzi, że prawda szczera. Wczoraj w wielkim byłem kłopocie, gdy mnie Miller o nowiny zagadnął, bo się przed nimi z tem nie wygadywać. Zbywałem ni tem ni owem, ale wam mówię, jak jest; jeśli Bóg dał potrzymać się dotąd, potrzymacie i dłużej, a Szwed niechybnie odstąpić musi, bo go w plecy połaskoczą...

— A cóż o królu jegomości słychać?

— Jeszcze go nieboraka nie wyciągnęli z tej dziury, ale chybaby Bóg niełaskaw, żeby, widząc starania wszystkich, nie poszedł z nami! pójdzie i powoli do kupy się zebrawszy...

— Utniemy, utniemy, jak Bóg miły, Szwedom po tebinkach — przerwał, wyrzucając czapkę, pan Piotr Czarniecki. — Ot! i przy nas sława, żeśmy pierwsi uwierzyli w siebie, to jest, prawdą a Bogiem mówiąc, przy księdzu przeorze.

— Dajcie mi pokój! żadnej ja sławy nie chcę, — ofuknął Kordecki — prócz sławy sługi Bożego... ale mówcież-no, mówcie, panie podkomorzy, bo aż serce rośnie was słuchać.

— Wittemberg trzymał w Krakowie deputatów od wojska i z niczem ich odprawił, ba i sami poszli, powąchawszy, że ich pieniędzmi ze sreber kościelnych kontentować mia-

no. Koniecpolszczycy tylko co prędzej przyszli, coś tam zachwycili grosza, reszta tylko obietnice. Jakoś opatrzyli się wczas, że tych pieniędzy brać się im nie godziło, bo słyszeli niezmierny skwierk ubogich zakonników, księży, mniszek, u których zakrystje pozabierano. I szwedzka owa pierwsza skromność bardzo się odmieniła, nieskrycie już, ale jawnie, nie tylko kościoły, ale i domy szlacheckie z wielkiej dla nas przyjaźni rabują.

— Można się tego było spodziewać! — rzekł przeor.

— A z kmieci — ciągnął dalej Sladkowski — bez braku i miłosierdzia, eksakcje nieznośne, pieniądze i strawne wyciągają, czego i kupczykowie krakowscy, Żydzi, po niemiecku przebrawszy się, Szwedom dopomagają; a Wittemberg nie tylko ich nie karze, ale jeszcze do tych usług animuje.

— A dosyćże tego wstydu i spodlenia! — krzyknął Zamojski — na rany Chrystusowe! a dosyć! Czyż i na to będziemy, jak trusie, milczeli, żeby coś nie oberwać, żeby się nie bić i wolimy być plazowani przez gałganów, niż w poczciwej walce życie położyć!

— To też się rzeczy bardzo odniedawna zmieniły, — mówił podkomorzy rawski — jak się wszyscy postrzegli, że co się spodziewali opieki, to dostali wypiekę. Deputaci wojskowi, nie czekając ćwierci, poszli, słyszę, z Krakowa precz ku Słomnikom. Już tam ich próżno trochę gładszy Duglass chciał hamować poniewczasie. I panowie hetmani o ojczyźnie myślą i wszyscy takoż gromadzą się i radzą, by nieproszonych pozbyć z domu gości.

— Więc i my możemy mieć nadzieję, że o nas nie zapomną! — rzekł w uniesieniu Kordecki.

— Gruchnęła, słyszałem, wieść koło Krakowa o oblężeniu, gdy po działa przysłał Miller (mówili mi to na drodze, zwłaszcza pan Stocki od Krakowa jadący), wielu się naradzało, czy nie iść tu w sukurs, ale stanęło na tem, że Matka Najświętsza sama swej rezydencji obroni...

— I ludzka pomoc nie byłaby zbyteczną, — rzekł Zamojski — jeśli nie miejscu, to krajowi, który patrzy i uczy się z czynów lepszych, co ma dalej poczynać...

— Z tem wszystkiem — zakłopotawszy się, nagle przerwał, jakby opamiętywając, Sladkowski — co mam powiedzieć Szwedowi, który mnie tu posłał?

— To, cośmy mu zawsze odpowiadali, — rzekł Kordecki — że załogę mamy, jak to sam wie *propria experientia*, dostateczną; cudzej nie przyjmiemy, a dla traktowania pro-

simy, żebyśmy mogli wysłać dwu zakonników do samego króla szwedzkiego.

— Trzebaż przecie, żebym i ja co zrobił, — niespokojnie przerwał podkomorzy — bo mnie gotowi, uchowaj Boże, podejrzewać... wymyślcie co, panie mieczniku.

— Kiedy wam już komedję grać przyszło, — odparł Zamojski z niejakim wstrętem — ułóżcież sobie sami dialog, własną inwencją lepiej spamiętacie.

Sladkowski zamyślił się nieco i rzekł:

— Ha! co będzie, to będzie, powiem mu, żeście uparci, kiedy on armatami nie pokonał, trudno, żebym ja racjami was zmógł, a tymczasem — dodał — zwlekajcie a zwlekajcie, może się i króla naszego rodzonego doczekacie.

— Króla!... daj to Boże! — westchnął Kordecki — nie on to nas opuścił, aleśmy my go rzucili; ujrzawszy swoją Polskę w ręku Szweda, wyrzekł się nas jak złych dzieci; a! gdyby powrócił, inaczejby poszło wszystko... ale otucha w Bogu.

— I w dłoni naszej — dodał pan Piotr Czarniecki, brzękając o szablisko. — Gdyby się nam tylko zbyć fałszywych przyjaciół, nieprzyjaciołom rady damy.

Wtem i pan Sladkowski żegnać się począł i odchodził, a nowiny błyskawicą z ust do ust poleciały po załodze. Wszyscy je wzięli za dar Matki Bożej, w wigilję Jej święta przysłany obrońcom czci Jej i ołtarza. Sladkowski wprost udał się do Millera, któremu stawił się smutny i zmęczony.

— No, cóżeś tam waszmość począł z mnichami? — spytał ciekawie dowódca.

— A cóż! twarde głowy, — rzekł Sladkowski z niechęcią — ani z nimi gadać, ani ich przekonać, wzięli mnie zwyczajnie za waszego posła, a wiedząc o głośnem mojem przywiązania do Karola Gustawa Pierwszego, ani słuchać nie chcieli, com im prawił, darmo ochrypłem.

— Jakże? to i wam nie wierzą? Ale cóż myślą? w co ufają?

— Prawdę rzec, panie generale, najwięcej ufają w opiece Najświętszej Panny.

Szwed splunął ze złością.

— Głupi bałwochwalcy! głupi papiści! — zawołał.

— A potem — kończył Sladkowski — nie wiem w co zresztą, ale zdają się dobrej myśli i serca nie tracą...

— To rzecz niepojęta! widział kto co podobnego! — wpół do siebie zamruczał generał. — Dwóchset ludzi w ob-

murowanym kurniku miałoby się urągać dziewięciu tysiącom! To coś nadludzkiego... to szaleństwo...

— Przytem — rzekł Sladkowski — mnichy zatwardziali, dumni... ani gadać z nimi nie można...

— A Zamojski?

— Zamojskiego ledwie widziałem.

— Daliż wam mówić, — przy ludziach, czy sam na sam!

— A! była ich tam kupka, ale starszyzny...

— No! więc chcą wojny! rzezi! gruzów! będą je mieli i krwawą wojnę — wykrzyknął znowu Miller. — Co chwila dział się spodziewam z Krakowa, dziś odebrałem wiadomość, że są już blisko, a idzie ich sześć ciężkich i tysiąc dwieście piechoty eskortuje; tem ich przecie zgniotę.

— Ani chybi, panie generale, — rzekł podkomorzy — tylko piechoty brakło, prawdę powiedzieć, i większych dział; jak te zagrają, zaraz się wyłom zrobi, a byle trochę mur nadwerężyć, zaraz się poddadzą.

W tem słodkiem marzeniu zostawiając Millera, Sladkowski wyjechał z pasem od niego do miasteczka i stanął na chwilę znowu u pana Hiacynta Brzuchańskiego, mieszczanina częstochowskiego. Męczyło go to, że nie mógł dać wiedzieć do klasztoru o idącej piechocie i działach, ale jak było teraz do twierdzy się dostać? Spojrzał na swojego gospodarza. Pan Hiacynt, inaczej pan Jacek Brzuchański, jak wszyscy mieszczanie ówcześni, miał niepoczesną powierzchowność, zbiedniony, wytuzany, zmęczony szwedzką stacją, wychudły, wyglądał jak z krzyża zdjęty. Obejrzał go pan podkomorzy bacznie, a z tej miny sądząc tchórzem i przyjacielem Szweda, nie wiedział co począć. Wtem pan Jacek do stóp mu się ukłonił.

— Jw. panie — rzekł — prawda to, żeście byli u naszych ojców i dobrodziejów, jak się tam biedaki mają w klasztorze?

— Byłem! at! zachcieliście, jakże się dobrze mieć mają w tych opałach! poszaleli, nie chcą się poddać!

Mieszczanin ruszył ramionami, pokiwał głową.

— Alboby to było co lepszego, jakby się poddali?

Sladkowski patrzał w oczy bacznie; nareszcie oburącz chwyciwszy odwagę i polecając się Matce Boskiej, rzekł:

— Słuchaj-no waszeć, jak tam waści zowią?

— Jacek Brzuchański, jw. panie, mieszczanin częstochowski i malarz.

— O! i malarz waść! i malarz! — Obejrzał go jeszcze;

zbliżył się i rzekł pocichu: — Pytaliście o ojców, chcecie im służyć?

— Ja? — rzekł, śmiejąc się, pan Jacek — co i pytać! to nie pierwszyzna!

— Kochasz waść Matkę Boską?

— Jw. panie, a któżby jej nie kochał? — zdaje się, ja nie żaden zdrajca, Szwedzi mi ot tu siedli! (pokazał na gardło), na rożniebym ich piekł.

— A może kto słyszy?

— Nikogusieńko niema.

— Pójdźno jednak, obejrzyj. Każ mi konie kulbaczyć, na wsiadaniu się rozmówimy.

Pan Jacek, którego już piekło, pobiegł, powrócił chyżo z błyszczącem okiem, a uczuwszy potrzebę upewnienia pana Sladkowskiego, który się zdawał powątpiewać o nim, szepnął mu:

— Od czasu, jak się poczęło oblężenie, sześć razy już byłem w klasztorze z nowinami.

— Jak?

— Przebieram się za Szweda.

— Z waści Szwed niepoczesny.

— Jest ich różnego gatunku.

— A skądże odzienie?

— Mam tu opoja w domu, to go zetnę miodem, że leży, gdyby kłoda, a sam, wdziawszy jego hajdawery i zbroję, choć mi w nich jak krowie w chomącie, idę pod mur...

— No! kiedyś waść taki, pójdźże jeszcze raz.

— Jutro zaraz, raniuteńko, bo rankiem najlepiej, póki Szwedzi oczy przetrą, ale z czemże? Prawdą a Bogiem już od dwóch dni leżą u mnie listy z konwentu krakowskiego od ojca Antoniego Paszkowskiego do ojca przeora... to razem się i to zaniesie.

— Powiedz im, że sześć dział z Krakowa i tysiąc dwieście piechoty już blisko, niech o sobie myślą, a mają się na baczności.

Tak się obrachował pan Sladkowski, że ledwie to powiedział, zaraz na koń i poleciał co tchu w swoją drogę, mimo obozu...

VI.

Ranek w dzień Niepokalanego Poczęcia N. Panny Marji, wielkie święto i odpust w Częstochowie, jakby dla dodania wesela uroczystemu obchodowi, ukazał się jasny i pogodny. Przymrozek pobielał dachy i pola, a słońce, rozbiwszy mgły gęste, wstało błyszczące, miłem, niespodzianem ciepłem ogrzało ziemię zastygłą. Lekkie tylko obłoczki uciekały z wiatrami, ostatnie gońce ciemnych chmur, co się już za widnokrąg ku Olsztynowi skryły.

W obozie ten sam zakręt i ruch, co dnia poprzedniego; w klasztorze święto, jakgdyby Szwedów nie było i goreją od brzasku lampy po ołtarzach, wonne kadzidła rozchodzą się pod sklepieniami sinemi obłoki, księża śpiewają hymny:

Qualem Maria te canam
O Virgo, flos o Virginum....

Lud korzy się przed obrazem. Jak na tej modlitwie wszyscy są pobożni, wszyscy zdają się Bogiem i niebem oddychać; czemuż to tylko chwila w życiu przelotna!

Kordecki miał mszę ranną, bez swej infuły, bez pastorału, jak prosty kapłan, bo później zamiast nich, trzeba było wziąć hełm i laskę wodza, i modląc się stać w obronie twierdzy. Tylko na wielką mszę, na uroczystą sumę, musiał wystąpić jako opat w oznakach swej godności i przełożeństwa, a kto na niego spojrzał, tak widział spokojnym w Bogu, że pomyśleć musiał:

— On czuje, że nas nie zwyciężą!

Lud powoli przywykał wierzyć Kordeckiemu, bo nigdy żadne jego nie zawiodło słowo, wszyscy się raczej na niego, niż na Zamojskiego oglądali, on tu hetmanił, a buławą jego był prosty krzyż drewniany.

Wszystko przysposobionem było tak, żeby nabożeństwo nie cierpiało wcale na położeniu oblężonych, by było świetne jak zawsze; pielgrzymów tylko brakło. Kaplica była pełna, ale kościół nie tak nabity i dziedzińce próżne, a działa towarzyszyły muzyce na wieży i śpiewom w chórze i głośnym organom swym hukiem posępnym i złowrogim.

Gdy się to dzieje w kościele, na murach chodzą ludzie, koleją się mieniając do kościoła; każdy był na mszy, pokląkł przed obrazem w to wielkie święto i powrócił rzeźwiejszy, dopiero po duchownym posiłku kosztując pokarmu; post bowiem dawny polski, wigilję oznaczający, kończył się

dopiero z nabożeństwem i lud go jeszcze do dziś dnia w ten sposób zachowuje. Stał na murze pan Czarniecki, koronkę odmawiał, wąsa kręcił i przysłuchiwał się, rychło na wotywę zasygnują; gdy pijany szwedzki żołnierz począł się zbliżać pod mur, wzięto go zaraz na cel z rusznic, ale rychło postrzeżono, że coś białego krył za nadrą i mrugi a migi różne czynił.

— Albo to psi figiel szwedzki, albo to poseł — rzekł pan Piotr — dopuścić go.

Aż tu, gdy się zbliżył lepiej i poczęli twarz rozpatrywać, mimo przyczepionych wąsów, poznali pana Jacka; ten nawinął papiery na kamień i cisnął je na mur, udając wcale nieźle zuchowatego żołdaka, gdy prawdziwi Szwedzi z za figury wypadli nań z krzykiem i wrzawą. Chciał nadrobić miną, chciał potem uciekać, ale mu się nieborakowi nie udało, bo co najgorzej języka tych szołdrów nie umiał, i tak go w oczach Czarnieckiego wzięli, który aż za czuprynę się pochwycił, nie mogąc go ani obronić, ani odstrzelić, bo się bał, żeby i panu Jackowi się nie dostało. Szczęściem papiery, które niósł, były już w klasztorze; a z niemi Czarniecki pobiegł do zakrystji.

— A co nowego?

— Aj! źle, dobrodzieju! Jacka malarza złapali, gdy papiery na mur rzucał, ale otóż i one.

— Nic mu się nie stanie, żal mi biedaka, bo go poturbują, — rzekł przeor — ale go ani obwieszą, ani zabiją.

— A co wiedzieć, czy tego nie zrobią?

— Nie zrobią! — powtórzył przeor. — Najświętsza Panna go obroni, wiele Jej wizerunków rozeszło się z rąk jego po świecie. To dzień Jej chwały, ona go ocali, ale dawajcie-no te pisma.

Wtem uderzono we wszystkie dzwony na sumę, lud cisnąć się począł co żyw do kościoła. W obozie polskim znowu oczy zwrócone na świątynię — oni bez nabożeństwa, bez oblicza Bożego, odepchnięci, wygnańcy; schwyciło ich za serce, bo co to pobożnemu posłyszeć dzwony, pomyśleć, że się tam modlą, a nie móc pójść z wiernymi razem! Prawda, mówią, że wszędzie Bóg przyjmie cichą modlitwę, ale jaka dla człowieka różnica, modlić się na sam, a z braćmi! Tu jak wilgotne drzewo gorejesz powoli, tam w ognisku płomień cię ogarnia, pobożność cudza podnosi, skupiają się westchnienia, zlewa się pieśń w jedną i czujesz Boga, że cię usłyszał. I Polakom u Szweda serce za-

biło do dzwonów, zatęsknili za kościołem. Fara w miasteczku była zamknięta.

— A! — mówili — czemuż my tam pójść nie możemy.

— Czemużbyśmy nie poszli? — rzekł któryś.

— Bo nas nie wpuszczą.

— Puszczą, wszak do kościoła!

— Próbujmy.

I tak gromkiem co było poczciwszych nuż przez szwedzki obóz do bramy.

— Ojcze Pawle (bo go niemal każdy znał), puść do ołtarza Matki Boskiej.

Ojciec Paweł wyjrzał i rzekł:

— E! to tak! wczoraj to zęby na nas ostrzyli, sposobów szukali, a dziś, puść, ojcze Pawle. Przyszła koza do woza, ale z tego nie będzie nic, niegodni jesteście, módlcie się sobie do szwedzkiej chorągwi. Jeszcze mi będziecie co szpiegować dla Millera.

— Ojcze Pawle, a godziż się to tak braci czernić?

— Darujcie, kochani braciszkowie, ale ja w was swoich nie widzę, bo u was nie Imię Marji na chorągwiach powiewa, ale szwedzkie korony.

— Dajcie znać księdzu przeorowi, wszak na sumę dzwonią, każe nas wpuścić.

— Prawda na sumę, ale nie dla was.

— Prosimy, ojcze Pawle!

— No! no! kiedy tak prosicie, postójcież, pójdę do przeora.

I wszedł do zakrystji. Kordecki listy jeszcze czytał, gdy mu ksiądz Paweł doniósł o kwarcianych.

— Puszczać! — zawołał — bronić chwały Bożej, zamykać kościół chociażby grzesznikom, a czy to się godzi? puszczaj, bracie, puszczaj co rychlej!

— Na Boga! — krzyknie ksiądz Mielecki, który się do mszy ubierał — a może to szpiegi i zdrajcy!

— I ci nam nie zaszkodzą, gdy idą w imię Marji, Ona nie dopuści, otwieraj furtę i prowadź prosto do kościoła.

— Ale, księże przeorze — rzekł Mielecki.

— Myśmy przed wszystkiem kapłani, mój ojcze, — odpowiedział Kordecki — a sił niebieskich nie przemogą oni ani zdradą, ani siłą ludzką.

Puszczono tedy kwarcianych pokolei, imiona ich spisując, aż nadszedł jeden, czarny jakiś, nosa płaskiego, ust szerokich, smagławy, ale mu mimo tego z maleńkich oczu

poczciwie patrzało; coś miał wszakże tak cudzoziemskiego w sobie, że się aż brat Paweł żachnął.

— A! a waszmość kto taki? — spytał.

— Azulewicz, Mehmed Azulewicz.

— To Tatar! — rzekł któryś z kwarcianych.

— Co? Tatar! — zakrzyknął ksiądz Paweł, porywając się — ratujcie! a wy tu poco?

Rozśmiał się Tatarzyn, białe zęby pokazał, ale i duszę w tym uśmiechu.

— Tatar, nie Tatar, ale taki Polak jak i drudzy, choć nie katolik, puśćcie i mnie, przynajmniej z poczciwymi ludźmi pogadam, a może — dodał — żałować tego nie będziecie.

I jakąś taką miał poczciwą twarz, że brat Paweł, choć się sobą borukał, nie wiedząc, co począć, nie chciał go od furty odegnać. — Ale cóż przeor na to powie? — rzekł zcicha.

— Puśćcie go, to nasz! poczciwy człowiek! — zawołało kilku — ot, zachciało mu się widzieć waszą twierdzę, bo mu serce gra, że się w niej tak dobrze bronicie; nie odpychajcie go, albo to zapomnieliście, że Tatarzy najlepsi sprzymierzeńcy nasi?

— A to prawda! — rzekł brat Paweł — ale jednakże wypadałoby spytać przeora.

— Na moje słowo — odezwał się Komorowski — puśćcie go, niech i on zobaczy nasze nabożeństwo.

I przekonany, a raczej zmiękczony brat Paweł drzwi mu otworzył.

Wnet po klasztorze gruchnęło od ucha do ucha:

— Tatar przyszedł, Tatar!

Po nabożeństwie wszyscy cisnąć się zaczęli ku niemu, aby go zobaczyć i Kordecki z ciekawości zbliżył się.

Pan Azulewicz (był to sobie bardzo a bardzo poczciwy Litwinisko) chodził po blankach w czasie nabożeństwa; gdzie drudzy czapkę zdejmowali, i on ją uchylił, zresztą rozpatrywał się, a nikt mu patrzeć nie bronił, oglądał się i dziwował.

Trochę zniespokojony tym oglądem Kordecki podszedł ku niemu z innymi.

— Panie Azulewicz, — rzekł — chodźcie do nas, przekąsić, co Bóg dał.

— Dziękuję księdzu przeorowi.

— Znajdziemy coś i dla was.

— Już ja jadłem z rana; najlepiej nakarmiliście mnie ufnością, z jaką tu wpuszczony zostałem, dziękuję wam za nią szczerem sercem. Jużciż to i Tatarzy litewscy jednej matki dzieci z wami; nie myślcie, byśmy bardzo Szweda kochali. Chciałem i ja widzieć cuda wasze, nasze mułły nie potrafiliby nic podobnego. Dziw! dziw! takiej obronić się potędze.

— Nie naszą to siłą, — odparł Kordecki — jest ktoś wyższy i większy, co nas wspomaga.

Tatar głowę skłonił i rzekł z uniesieniem:

— Niema Boga ino Bóg...

Resztę formuły zjadł przez grzeczność i w duchu jej tylko dokończył.

— Brońcie się — dodał — a obronicie!

Na to słowo głośno wyrzeczone poczęli się cisnąć do niego.

— Tak! tak! — rzekł Azulewicz — mury dobre, lud jest i ochoczy, żywności i prochów nie brak nic, za co się macie poddawać?

— Jakże myślicie? potrafim się utrzymać? — spytał Kordecki.

— Jeśli tak, jakeście zaczęli, dokończycie, to niezawodna! Ani myślcie o poddaniu, podpiszą wam warunki, jakie zażądacie, a złupią was potem do szczętu. Szwed przysięga nie dla siebie, dla ludzi, aby ich złapał; patrzcie, jak po kraju pustoszą, choć całość jego oprzysięgali...

— Wiemy już o działach burzących, które idą na nas z Krakowa i o piechocie, co im towarzyszy, — odezwał się Kordecki — ale wola Boża!

— Nie strachajcie się ino! Działa nie zawsze trafnie biją, tu już dowody macie, że im pod górę strzelać się nie udaje; piechota przyjdzie, to ją taki strach opanuje, jak tutejszych, a mróz, deszcz, szrony zwalą z nóg.

Kordecki tylko że Tatara nie uściskał, a pan Czarniecki, słuchający zdaleka, chciał zaraz wypić z nim za pomyślność oręża jasnogórzan, ale Azulewicz nic nie pił.

Kwarciani odchodzili i on się z nimi wysunął.

Ta przypadkowa bytność jego, nowiny przyniesione przez Sadkowskiego, listy księdza Antoniego Paszkowskiego z Krakowa, w których donosił o szwedzkich w stolicy wiarołomstwach i zdzierstwach, tak poddały ochoty do boju, że mimo dział z Krakowa i piechoty, wszyscy wołali, że się do śmierci bić i bronić będą.

— Samo święto, motlitwa i pieśni swą władzą tajemniczą przyczyniły się do wzbudzenia nowej w oblężonych odwagi. Możnaż bo słuchać tych potężnych wyrazów naszej modlitwy codziennej, podnoszących do niebios, stawiających człowieka wyżej świata i śmierci, wyżej mocy ziemskiej, a nie uczuć w sobie, że piekło nawet nie przemoże tych, których Bóg osłania!

Gdy wśród nieszpornych modłów przyszedł psalm, odmawiany dnia tego (CXXVI), jakże natchniony poeta do serc wszystkich przemawiał nieśmiertelnemi wyrazy, co, wyrzeczone przed wieki, jęk piersi ludzkich zawsze najdobitniej malują, wlewając otuchę, głosząc łaskę nieprzebraną Boga dla grzesznika, zwiastując miłosierdzie. I brzmiały pod sklepieniem, jakby dla uciśnionych umyślnie zastosowane słowa:

„Surgite postquam sederitis, qui manducate panem doloris...

Beatus vir qui implevit desiderium suum ex ipsis; non confundetur, cum loquetur inimicis suis in porta.“

(„Wstańcie po spoczynku, wy co spożywacie chleb boleści...

Szczęśliwy mąż co napełnił kołczan swój strzałami temi, nie będzie upokorzony, gdy z nieprzyjacielem stanie u bram swoich“).

I powtórzone pierwsze słowa pieśni brzmiały także prawdą wieczną:

„Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt qui aedificant eam“.

(„Jeśli Bóg sam nie wzniesie domostwa, próżno pracują, budując go, ludzie“).

Czuli wszyscy, że tylko przez wiarę, przez opiekę Bożą silnymi być mogą; zapominali, że ich otaczały działpaszcze, setne wrogów chorągwie i nieprzyjacielskie zastępy.

Matka Boża niebieskim płaszczem spokoju otulała owce swoje!

VII.

W dzień ten uroczysty mało kto ze znajdujących się w twierdzy nie był na nabożeństwie, mury nieledwie porzucone broniła opieka Boża; ani przyszło Szwedom na myśl w tej chwili przypaść na nie. Uważano, że dźwięk

dzwonów, śpiewy i muzyka, od czasu jak między nich puszczono wieści o czarach, robiły dziwne na żołnierstwie wrażenie. Zdawało im się, jakby to wszystko oznajmywało jakieś przygotowanie do niewidzialnego na nich działania. I nietyle może huk dział jasnogórskich, co dźwięk trąb, śpiewów a dzwonów wystraszał. Niespokojnem okiem poglądali na górę, szli ku niej opornie, a gdy obok nich padali niektórzy od postrzałów, patrzali jakby niedowierzając, że od kul polegli i szukali śladów innego rodzaju śmierci.

Pobożni i opieszali, wszyscy dnia tego zeszli się przed ołtarze; jeden może Krzysztoporski pozostał na murach, a gdy osierocony Lassota o kulach wlókł się do kościoła, pan Mikołaj z za węgła bastjonu patrzał tylko na kaplicę, jak w tęczę; rzekłbyś, że się obawiał władzy, która tam mieszkała.

Ojciec Mielecki ciągnął go z sobą, odpowiedział mu:

— Ja się i tu pomodlę, źle wszystkim mury opuszczać.

Ksiądz Ignacy głową pokiwał.

— Źle i to, — rzekł — kiedy żołnierz Matki Boskiej do swej Pani w taki dzień się nie modli, ej! panie Mikołaju, porachuj się z sumieniem, coś ci ono swędzi!

Roześmiał się stary dumnie, krzywo, dziko:

— Dajcie mi, plecho, pokój — rzekł, — co ci tam do mojego sumienia, gorzej będzie, jak wam grzbiet zaswędzi od szwedzkich razów.

Ksiądz Mielecki odwrócił się, ruszył ramionami i poszedł, zostawując go samego.

A gdy się rozeszli żołnierze, przemknęła się pani Płazina mimo stanowiska, uśmiechnęła się, pogroziła; Krzysztoporski namarszczył na nią groźnie i poszła.

Do kościoła!! W kościele nie modlitwa jej była w głowie: policzyła wszystkich, obejrzała suknie, oceniła stroje, temu kiwnęła głową, drugiego zawabiła okiem, trzeciemu się uśmiechnęła, a książkę wziąwszy nawywrót, udawała, że czyta, choć oczyma i myślą biegała kto wie gdzie. Gdy wzrok jej padł na starego Lassotę, obejrzała go też uważnie, jakby pragnęła poznać, lub się go obawiała.

Konstancja, klęcząc u drzwi, żadnego jej obrotu nie straciła z oka; każde ruszenie zapisała w pamięci i czatowała na nią jak na pastwę; potem rzuciła się krzyżem na zimną posadzkę.

— Matko Boża — modliła się po swojemu myślą i sło-

wy cichemi. — Matko Boża, ty jedna wiesz boleści moje, jam na twoim ołtarzu złożyła pociechę, której nie jestem godna; powróć stratę starcowi, pociesz jego siwiznę, nie daj zwycięstwa tym, co ufają w siebie, a ześlij politowanie na sługi swoje... Matko Boska, zmiłuj się nad nami!...

I łzami zwilżyła kamień kościelny.

Długo tak, długo leżała na modlitwie, aż się całe skończyło nabożeństwo, i wszyscy rozchodzić poczęli, potem o kiju pociągnęła się ku pustej izdebce Lassoty, ku murom.

Chciała się spotkać ze Stefankiem, ale ten był przy ojcu czy matce; chciała pomówić z Płaziną, ale ta, dobrawszy sobie towarzyszek, poleciała zajrzeć w oczy kwarcianym i opatrywała Tatara.

Siadła więc stara u muru pod okienkiem, gdzie śliczne owe dziecię chleb jej dawało, i tak pozostała do wieczora. Już się miało na zmierzch, gdy nagle powstała, pomyślała chwilę, i jakby coś postanowiwszy, poszła wprost tam, gdzie stał Krzysztoporski.

Był sam jeden. Ksiądz Mielecki śpiewał nieszpory w kościele. Na widok żebraczki, jakby go niepokój jakiś ogarnął, zbliżył się do wschodków, wiodących na mur, i chciwie w niej zatopił oczy.

Ona podeszła śmiało ku niemu.

— Mikołaju! — zawołała znajomym mu głosem, na który się wdrygnął... — nie omyliłeś się, cień to znajomej tobie! cień zgryzot twojego sumienia..., to ja!

Krzysztoporski drżał jak przykuty do miejsca.

— Widzisz, — mówiła stara — co ze mną uczyniła pokuta: obłąkaną, szaloną żebraczkę, pośmiewisko ludzi... Ale w duszy dała mi spokój...

— To ona! to ona! — dziko, oglądając się, powtarzał szlachcic zdumiony.

— Tak, to ja, żona dwóch mężów, zła matka, zła żona, zła córka, grzesznica... Wielem ci winna, wiele! Tyś mi był tyranem, ale niewola u ciebie upamiętała szaloną. I gdy przyszła chwila oswobodzenia, znalazła mnie gotową do pokuty... widzisz pokutę... Szalona w życiu, postanowiłam szaleństwo okazywać do śmierci i być pośmiewiskiem ludzi, niepamiętna w dostatkach na nędzę, postanowiłam jej skosztować i wypić ją do dna, rozkosznica, zabiłam ciało zalotnicy głodem i włosiennicą! Niegodna żona, wyrzekłam się świata, rodziny, aby siebie ukarać, a Boga przebłagać; nie mam domu, schronienia, dachu, codzień napraszam się

śmierci... Widać pokuta nie skończona jeszcze... Bóg do siebie wziąć mnie nie chce.

— O! szaleliśmy, panie Mikołaju... Kiedyż to i tobie przyjdzie opamiętanie!

— Idź sobie! idź sobie precz! — zawołał Krzysztoporski stłumionym głosem... — Czego mnie prześladujesz? To głos twój, a postać straszna, inna... idź, maro!

— Nie mara jestem! nie! żywa żona twoja, pokutnica u świętych progów! Mikołaju! Wiecznież mścić się będziesz? wiecznie nienawidzieć! wiecznie potępienia szukać? Nie dość ci grzechów starych i twoich, i tych, do których mnie wiodłeś, jeszcze chcesz głębszego piekła!

— Idź precz! idź precz! — coraz głośniej ze wściekłością prawie wołał Krzysztoporski — idź, lub strzelę...

— Strzelaj! o! strzelaj! zginąć to mi niewielkie nieszczęście!... Coś zrobił z Hanną, wnuczką moją.

— Ja? z Hanną? ja! kto ci to... — nie dokończył, odszedł kilka kroków i zawrócił znowu.

— Precz, włóczęgo! precz mi, maro!

— Nie pójdę! nie! będę cię prześladować, nękać, nie dam ci spokoju, musisz mi Hannę powrócić... Nie mnie, nie mnie, bom ja się dzieci wyrzekła, za grzechy moje ofiarując je Bogu, nie będąc godna ich piastować i niemi się cieszyć; nie mnie, bo ona nigdy wiedzieć nie będzie, kto jej jestem... ale jemu...

— Jemu! jeszcze ma litość nad nim! a nade mną — nikt.

— Nad tobą nikt — nie zlitują się Bóg ni ludzie, boś mściwy jak szatan... boś zgniły na duszy...

Krzysztoporski się rozśmiał.

— Dziś wszyscy się modlili, padali czołem, tyś stał i milczał i śmiał się... Nikt ci nie da litości ziarnka, boś ty jej nie dał nikomu... Oddaj mu Hannę...

— Jemu! Czego ty chcesz ode mnie! Idź precz, kobieto!

— Chciałbyś? nie pójdę... nie dam ci dnia ani nocy... oddaj mu Hannę... zły starcze...

Krzysztoporski w ostatnim gniewie i rodzaju obłąkania porwał za muszkiet, w głowie mu się zawracało.

— Stara! strzelę!

Konstancja rozśmiała się swoim obłąkanym głosem dawnym i uszła.

On pozostał, cały się trzęsąc, zgrzytając zębami i miotając się jak w chorobie. Ojciec Mielecki, który w tej chwili nadszedł, znalazł go tak dziwnie poruszonym, że nie

mógł pojąć, co mu się stało. Na widok księdza rzucił muszkiet przecie, usiadł i zwiesił łysą głowę na ręce...

Ucichło, noc czarna trochę przyniosła spokoju. Ksiądz Mielecki odszedł znowu do północnego chóru... Krzysztoporski pozostał, chodził rozogniony i niespokojny. Wśród szumu wichrów ciągle mu brzmiały słowa: Oddaj mu Hannę!... — oddaj mu Hannę!...

Konstancja, umieściwszy się w fosie pod murem, powtarzała te wyrazy drażniące go nieznośnie.

Jak tylko ksiądz Mielecki powrócił, szlachcic zszedł do izby swojej, której małe okienko w fosie było skryte. Ale i tu, ledwo zabłysło światełko w kraciastej strzelnicy, ukazała się twarz pomarszczona Konstancji, która po cegłach wybitych wdrapała się na mury, zaśmiały jej oczy zagasłe, otwarły usta zapadłe i głos począł powtarzać: Oddaj mu Hannę!

Krzysztoporski, jakgdyby go męczyli szatani, rozpłomieniony chwycił rusznicę z kąta, zmierzył i dał ognia... Ale łatwo jej było się uchylić, i jeszcze się dym nie rozszedł po izbie, głos znowu odezwał się znany: — Oddaj mu Hannę! zbrodniarzu! oddaj mu Hannę!

Stary zagasił światło i wyrwał się na mur.

Tu znowu głos ten prześladował go do ranka.

Nazajutrz rano Krzysztoporski w gorączce i szale leżał na pościeli...

VIII.

Działa grzmieć poczynały; Szwedzi, nie dając poznać, że wielkie dwudziestoczterofuntowe kartauny i kolubryny nadeszły im z Krakowa, powolnie strzelali do klasztoru, ustawiając je tak, aby z Jasnej Góry widać ich nie było, chcąc potem nagle paszczami tych strasznych pomocników gwałtowny ogień rozpocząć. Wszystkie teraz nadzieje Millera były na tych działach i Wejhard podtrzymywał je znowu, kręcąc się koło generała, potakując jego marzeniom, ręcząc, że za pierwszym wystrzałem poddadzą się zakonnicy. Miller milczał wzgardliwie. Napróżno usiłował go sobie znowu pozyskać niezwykłą gorliwością Wrzeszczewic; kręcił się, zabiegał, pracował; generał to obojętnie przyjmował, przypisując mu zawsze swoje strapienia i zawody.

Nierychło wielkie owe śpiże ustawić potrafiono, wzięło

to całe dwa dni czasu, choć dniem i nocą pracowano. Zasłaniając tymczasem robotę, z mniejszych puszczano kule ze sznurami i szmatami smolnemi dla zapalenia dachów, ale straż i woda stały na nich ciągle; ledwie się płomyk ukazał, wnet go zalano.

Przysposobiono co chyżej baterje z koszów, a nawet z worków wełną nabitych, dla wielkich dział krakowskich. Cóż gdy i tu Millera wściekłość porywała, bo rachując na zasoby jego, Wittemberg nie przysłał mu prochów, a działa wielkie tyle ich brały, że zapas generała nie na długo mógł wystarczyć. Cała nadzieja była w tem, że po jednym dniu szturmu albo się oblężeni zdadzą, albo się wyłom zrobi. Wachler ukazywał, gdzie mury były najsłabsze.

Kordecki ze starszyzną jasnogórską wiedział już o nadciągających kartaunach, ale nie miał potrzeby głosić o nich załodze, by ją niemi więcej ustraszać; naradziwszy się więc pocichu, rozkazawszy co słabsze miejsca przygotować na wypadek wyłomu, aby natychmiast mógł być zarzucony, czekał spokojnie woli Bożej.

Ale przez dwa dni milczeli owi zastraszający przybysze; ustawiano je, sposobiono im łoża, sypano baterje, zwożono prochy i kule, urządzano dylowanie, a że umarzłej ziemi niełatwo było ruszyć, szła robota opornie.

Tymczasem smolne wieńce, kagańce, kule ogniste leciały na klasztor, aby zakryć przed zakonnikami gotującą się na nich niespodzianą napaść, stokroć od wszystkich poprzednich niebezpieczniejszą.

W klasztorze spokój i pilność. Tak czwartek i piątek minęły, w sobotę rano wszyscy byli na jutrzni, gdy potężnym głosem ryknęły kolubry ustawione już przeciw murom kościelnym. Kordecki był w chórze, zadrgnęło mu serce, słysząc ten huk straszliwy, ale nie z bojaźni — trwożył się o męstwo swoich towarzyszów, pewien będąc, że sam łaską Bożą wsparty wytrzyma. Czarniecki pierwszy, za nim Zamojski wypadli na mur. A tu już załoga przerażona stała zlękła, jakby ostatnią godzinę wybiły jej działa. Po trzy kartauny nieustannie zionęły ogień i kule od strony północy i południa. Pan Piotr, któremu odgłos ten dodawał serca, Zamojski, co się umiał podwajać czynnością, rozdzielili się, przewodnicząc ludowi do zagrożonych ścian. Widok dwóch mężnych wodzów, nie tracących odwagi, zawstydził, rozochocił, każdy chciał dowieść, że niebezpieczeństwem gardzi.

— Kto żyw na mury! Kto żyw na mury! — rozlegało się wszędzie.

I dzieci, kobiety, niedołęgi biegli, niosąc kamienie, ziemię, belki na zabijanie wyłomów w kortynie; wyrostki zbierali upadłe szwedzkie pociski i, dziwiąc się ich ogromowi, odnosili puszkarzom.

Zamojski posłał po syna. Matka go żegnała, tuląc a błogosławiąc jedyne dziecko; ale stary wojak zażądał mieć u swego boku, i młodzian przyszedł ochotnie.

— Nikt z nas od poświęcenia życia niewolny, — rzekł mu ojciec — dajemy przykład... Stój, Stefanie, na murach i służ, jak możesz.

Za dzieckiem i matka przybiegła, z podziwieniem ujrzeli wszyscy dostojną matronę, stającą u boku męża i syna. Niepierwszy to był przykład podobny, ale łzy z oczu wycisnął, gdy poważna matka jęła w jedwabnej swej sukni razem z ludem znosić z podwórców kamienie i ziemię.

Obejrzał się Zamojski, łza zakręciła mu w oku, w sercu podwoił się zapał...

Dzwony biły, muzyka śpiewała... Widok bohaterskiej garści był cudowny. Ten lud pobożnem uniesiony uczuciem i zagrzany odwagą nieludzką, ci mężowie pomieszani z kmieciem w obronie wspólnej świętości; a obok w kaplicy w przestankach gromów rozlegający się donośnie śpiew nieustraszonych mnichów i modły bezsilnych. Najbojaźliwsi nawet nabierali serca i palili się w tem ognisku, Czarniecki wołał:

— Czemuż i ja tu nie mam syna, czemuż nie mam z sobę żony, i oniby dali taki przykład, jak Zamojski! Ten człowiek we wszystkiem mnie prześciga!

Kordecki jeszcze się modlił, zdał swą władzę na dwóch dowódców, leżał krzyżem... To także był bój, ściągał on pomoc z niebios...

Po mszy, po loretańskiej litanji wystawiono Przenajświętszy Sakrament, i Święty Boże rozległo się szeroko jękiem błagalnym... Przeor zbliżył się do ołtarza, ujął w ręce złocistą Zygmuntowską Monstrancję i szedł za kościół.

Dokąd? — On z Panem panów, z Bogiem dokoła twierdzy przechodzi, wojując chórami aniołów, które mu towarzyszyły. Z za dymów ujrzeli Szwedzi krzyż złocisty i chorągwie, i księży białym pasem idących za murami. Kordecki ze łzą w oku, z Bogiem na sercu, jak męczennik, idący na stracenie za wiarę, powolnie postępował wśród dział

grzmotu. Za nim nieliczni towarzysze, bo reszta była na murach i przy działach, szli równie podniesieni duchem jak on; niebezpieczeństwo ich upajało... Wszędzie po drodze procesja, padali na twarz przed Bogiem obrońcy klasztoru... Kordecki błogosławił. Kule wzlatywały nad jego opromienioną głową; a gdy się zbliżył ku ścianie południowej, ogromne złomy murów, cegieł i gruzu poczęły się sypać na procesję. Nie zastanowił się Kordecki, czuł on, że idzie z wszechmocnym i wśród rumowisk, wśród strzałów przeciągnął spokojnie i cało...

Żadnego z ludzi ani padające dokoła cegły, ani kule, ani murów oblamy nie zadrasnęły nawet. Obszedłszy dokoła, przeor i jego towarzysze wrócili do kościoła, gdzie wystawiono Przenajświętszy Sakrament, aby Bóg, nieustanną błagany modlitwą, zlitował się nad nimi. Oprócz czuwających tu kilku starców, wszyscy zresztą wyszli do dział, do baszt, na kortyny. Sam przeor, chcąc rękoma służyć i być przykładem, począł znosić w połach habitu kamień i ziemię nakopaną.

— Ojcze przeorze, — zawołał, ujrzawszy to, Zamojski — do czego to czynicie? obejdziemy się bez was, lepsza nam wasza modlitwa...

— Modlitwa modlitwą, a praca pracą, — odpowiedział powolnie Kordecki — niech i moje słabe ręce na coś się przydadzą, znają się one z robotą od dzieciństwa, bo nie próżnowały.

I zcicha westchnął, musiał młodość wspomnieć.

Starszyzna niespokojnie oglądała się na strony; mury w wielu miejscach pękały, kule, coraz lepiej kierowane, tu i owdzie więzły w ścianach, rozbijały długie okna, wyszczerbiały szczyty; każdy krzyk zwracał oczy, oznajmiając jakąś stratę.

Między dwiema mocnemi basztami, kortyna, na którą całą swą siłę wywarli Szwedzi, choć od wierzchu nadtłuczona, od spodu jednak wytrzymywała; łatano ją worami ziemi, drzewem, gruzem i co się znalazło pod ręką. Trzech tylko ludzi stracili oblężeni, kilka koni w stajniach zabiły kule, a między niemi wierzchowca Krzysztoporskiego; dwa koła armatnie zdruzgotano od północy.

Po tym pierwszym wybuchu, który trwał do południa, trąbka zwykła parlamentarzy zagrała u bram. Kordecki wystąpił na galerję.

— Chcecie się poddać? — zapytał trębacz szwedzki — chcecie się poddać?

— Musimy się namyśleć do jutra — odparł przeor — dajcie nam czas do rana.

Trębacz odjechał z odpowiedzią. Miller, zwiedziony raz jeszcze, bo poddania pragnął, myślał, że mu się już upokorzą.

— A cóż? — spytał swego posła.

— Proszą o czas do jutra.

— Chcą swojej zguby! — zakrzyczał — więc ognia! ognia!

Po wszystkich baterjach rozlegał się ten rozkaz zniszczenia i śmierci, stanęli u dział puszkarze, poczęły lecieć kule.

Przeor stał z Zamojskim w miejscu, gdzie się najbardziej obawiano wyłomu, od północnej strony; kierowali wytrwale działami twierdzy, odpowiadającemi powolnie na wysilony ogień Millera. U dział tych był puszkarz Niemiec, druh Wahlera, niejaki Halmer, Niemczynem zwany, który tylko że obowiązek swój pełnił; los przyjaciela ustraszał go nieco, wziął się był raźniej do dzieła, ale już znowu ostygał. Zamojski kilka razy go upominał, nadaremnie; kule powierzonych mu armat padały zdaje się umyślnie skierowane tak, żeby szkody Szwedom nie czyniły. Na częste strofowania odpowiadał ponuro:

— Alboż wszystkie trafiać mogą? Szwedzi lepsi od nas strzelce, a widzicie, jak chybiają.

Zamojski znowu dnia tego zagrzewał go, jak mógł, Niemiec pomrukiwał, a swoje robił, aż uprosił miecznik Kordeckiego, żeby do Niemca przyszedł.

Przeor popatrzał na niego, a widząc jawną opieszałość i niechęć, uderzył po ramieniu Halmera.

— Bracie? czy ci co Szwedzi obiecali za to, żebyś ich oszczędzał?

— Mnie? mnie? — spytał Niemiec trochę przelękły.

— Tak, tobie! — powiedz mi, może i my na podobną zdobędziemy się nagrodę...

— Co ode mnie chcecie, — opamiętywając się, rzekł po chwili Niemczyn — Pan Bóg kule nosi.

— Jeżeli się nie poprawisz, gniew też Boży dotknąć cię może.

Ruszył ramionami puszkarz, stanął w milczeniu, a przeor, zostawiając go myślom własnym, odstąpił z Zamojskim.

Lecz zaledwie odeszli kilka kroków, gdy krzyk dał się słyszeć, kula padła niedaleko Niemczyna, rozpękła się i obłam jej silnie w nogę uderzył przekupionego puszkarza, który powalił się, chwytając za miejsce zranione. Wszyscy go natychmiast otoczyli, jęto się opatrywać ranę, bo skwierczał strasznie, ale okazała się tylko silna kontuzja.

Kordecki sam przykląkł, rozwinął szmaty, przyłożył plaster z rozmarynu i wina. A tu i braciszek Jacenty aptekarz już z szarpią i słoikami biegł do niego. Troskliwe staranie wszystkich, pokora, z jaką sam przełożony pierwszy pośpieszył na posługę cierpiącemu, łzy mu wycisnęły z oczów... odważył się spojrzeć na nogę swoją, przekonał się, że znak tylko siny na niej pozostał od uderzenia, spróbował stąpić i począł gorąco prosić, żeby mu dozwolono na nogi powstać. Rozżarzony gniew malował się na jego twarzy, posunął się ku działom, w milczeniu spojrzał na dylowanie pod niemi, kazał je podnieść wyżej, kwadrans przyłożył, ważkę obejrzał; dał ognia... Pierwsza wypuszczona kula zabiła puszkarza na baterji nieprzyjacielskiej, pan Zamojski w ręce klasnął; drugą wysadzono wóz z prochem... Szwedzi stanęli stropieni... właśnie prochu im brakło! Miecznik, nie posiadając się z radości, dobył sakwy i odliczywszy na dłoni kilka sztuk złota, wsunął je w ręce Niemczykowi, ale ten, dziękując za nie, zlekka odsunął datek.

— Za to nie godzi się brać zapłaty, że się spełnia powinność, choć późno — dodał pocichu.

Zagrzany zemstą i gniewem nie dał się odnieść, nie spoczął, dopóki wszystkich dział łoża nie poprawił i nie rozpatrzył ich kierunku.

Dzień się ku zachodowi nachylał z wielką oblężonych pociechą, bo ciężki był dla nich i długi; był to pierwszy prawdziwie srogiej napaści i widocznie grożącego niebezpieczeństwa. Szwedzi jawnie gotowali się do szturmu, co po drabinach, po kozłach przyrządzonych i innych przyborach poznać było łatwo, zawiodły ich jednak nadzieje. Jakkolwiek szkody zrządzone w klasztorze i znużenie było wielkie, choć trzysta kilkadziesiąt kul narachowano wypuszczonych na klasztor, ranne nabożeństwo, dobry przykład starszych, gorliwość przeora dodawały serca. Już Szwed układał się na spoczynek po tem wysileniu, a w klasztorze spokoju nie było; tu trzeba było szczerby w murach załatać, na jutro się sposobić i czuwać.

Pan Piotr Czarniecki nad wszystkich był rozegrzany

i wesół: chodził, kręcił się, żartował, wydawał rozkazy z uśmiechem, uczył się działa mierzyć, ludem kierował, ściskał, zachęcał, słodził trud dobrem słowem i podziałem pracy. Ile razy kula klasztorna szarpnęła szeregu Szwedów, tyle razy plasnął w ręce, podskoczył i cieszył się jak dziecię, przemawiając dobitnie, jakby go nieprzyjaciel mógł słyszeć.

Już zmierzchło, gdy Niemczyn Halmer przyszedł do niego o kiju; wiemy, że pan Czarniecki Niemców zgoła nie lubił; i zobaczywszy go kulejącego, miał już ochotę powiedzieć: — A dobrze ci tak, szołdro. — Ale mu puszkarz przerwał te wyrazy na ustach.

— Wiem, — rzekł tajemniczo — tylko tego nikomu nie mówcie, od kogo macie — że jutro od zachodu będą bić; Wahler im rozgadał, że tam mur najsłabszy da się ująć, zasposóbcie się z tamtej strony.

— Pan Jezus przy dziecięciu! skądże ta gorliwość, — zawołał Czarniecki — ale nie bałamucisz, Niemczuniu, kochanku...

— Jutro zobaczycie i przekonacie się...

Pan Piotr głową pokręcił, Niemiec się zbliżył i palcem na obozowisko wskazał.

— Widzicie, — dodał — jak się Szwedzi u namiotów grzeją, ognie sobie porozpalali wygodnie... albo to nie można z dział do ognia uderzyć i trochę ich przepłoszyć?

— Otóż to mi człowiek, choć Niemiec! — zawołał pan Piotr — w to mi graj! zaraz im tu zaśpiewam na dobranoc, dobry jesteś do rady.

I z młodzieńczą ochotą posunął się do dział żywo, poczęli je zaraz z Niemcem razem nastawiać i gdy najmniej spodziewali się Szwedzi, strzał z twierdzy rozpędził ich od ogni i zmieszał spoczynek.

Kordecki na pierwszy odgłos przybiegł na mury.

— Co to jest, panie Czarniecki?

— Nic, mości księże przeorze, igraszka, Szwedzi z nas kpią, musieliśmy im pokazać, że z nami po dziecinnemu wojować nie można. Gdzież to kto widział, żeby nieprzyjaciel pod działami twierdzy ognia sobie rozniecał; grzeją się jakby w domu, musieliśmy ich trochę moresu nauczyć. Niech marzną, kiedy na Matkę Boską nastają.

— Ale, panie Pietrze, toć noc i wamby wytchnąć się godziło.

— A waszmość to odpoczywasz? — spytał Czarniecki —

prawda, że nie? — Otóż i my za jego przykładem dziś przynajmniej spać nie będziemy. Mamy dosyć do roboty.

— Cóż takiego?

— Bo? ot to poczciwe Niemczysko.

— Co, poczciwy Niemiec? — rzekł, śmiejąc się, przeor — i pan to mówisz, kochany panie Pietrze! cóż za szczęśliwa odmiana?

— Pokazuje się, że są ekscepcje... długo naszem powietrzem oddychał, poszło mu to na zdrowie, wypoczciwiał... Otóż Halmer mi mówi, że z Wachlera namowy, jutro od zachodu uderzą, trzeba zachód umocnić.

— No! to potrzebujecie rąk, a więc i mnie z sobą weźcie, — ochotnie odezwał się Kordecki — bylem północnego chóru nie chybił, służę, do czego mnie użyjecie.

— Wasza rzecz kierować a modlić się, nasza spełniać rozkazy, — odparł pan Piotr — będźcie spokojni, tylko mi dacie ludzi.

— Nie zawadzi, — rzekł Kordecki — gdy i ja z wami będę; słowem was rozgrzeję, zaśpiewamy sobie razem piosnkę jaką pobożną.

— A! uchowaj Boże! Szwedziby naszą krzątaninę wyszpiegowali, a tego nam wcale nie trzeba... cicho! sza! i swoje zrobić.

— No! to pomodlim się pocichu!

— Tak, godzinki do Opatrzności...

Gawędzili tak, a działa kilka razy po całej linji ścian zagrzmiały, dopóki pomarzli Szwedzi nie wygasili ogniów przy namiotach roznieconych i nie usunęli się trochę w dolinę.

IX.

W obozie dzień to był samych dziwów dla Millera, który co chwila utwierdzał się w przekonaniu, że jakaś siła, co ją zwał czarami, wspomagała zakonników. Ludzie jego, choć się z tem głośno nie odzywali, wszyscy wierzyli w owe czary częstochowskie: Polacy im ciągle mówili o sile świętości, a w naszą świętość nie wierząc, sprawę Bożą przypisywali mocy nieczystej. Od dawniej oblegających przeszła już ta myśl odbierająca im odwagę do nowej piechoty i puszkarzy nowych. Gruntowali się w niej nieustannie szwankami, jakie ponosili; mimo wysileń, mimo potęgi

swojej, było coś uderzająco niepojętego w szczęśliwym oporze małej twierdzy, ledwie słabo obsadzonej, takiemu wojsku, wodzom i działom. Kolubryny i kartauny, ogromnemi kulami bijąc w ściany klasztoru i mury obwodowe, niewiele przez dzień zrządziły im uszczerbku, a Miller musiał już rachować, na ile dni podobnego ognia prochy mu wystarczą. Posłano po nie znowu aż do Krakowa, oprócz strat w ludziach, w starszyźnie, śmielej wdzierającej się pod mury dla zachęcenia, strat, które były bardzo znaczne, poniesiono szkodę wielką przez wysadzenie wozu z prochem, który był dla nich tak drogi.

Rada wojenna, zebrana w namiocie Millera, smutną miała postać; siedzieli pułkownicy chmurni, znużeni, zawstydzeni, generał ledwie się odzywał; Wejhard wsunął się, stanął w kącie na uboczu, niebardzo życząc sobie podbudzać gniew dowódcy. Rada i robota zarówno szły opornie. Co dalej? szturmować? ale czy na długo prochów wystarczy?

Z szyderskim uśmiechem na ustach, który źle pokrywał wewnętrzny niepokój, Miller siedział, gryząc wąsa, ruszając się niekiedy żywo, jakby coś pomyślał i mówił do siebie; to się przechadzał, to na ławę upadał. Książę heski, flegmatyk, poglądał na niego, rzucając z kubka kośćmi o stół dla zabawy; bo nikomu gra nie była w głowie.

— No, panowie, — odezwał się Miller — a co będzie dalej?

— Albo nie zaczynać, — rzekł książę heski — albo, począwszy, kończyć potrzeba; ale jak?

— Kończyć! kończyć! dobrze to mówić! i jaćbym rad! żołnierz się nudzi chłodem, głodem, zimą, a ci mnisi utrapieńcy.

— Wyznajcie, — przerwał heski — że się dzielnie bronią, aż miło patrzeć.

— Matacze! zuchwalcy! — wołał generał — ale to darmo!

— Panie generale, — odezwał się Sadowski — za coś potrzeba liczyć fanatyzm ich i załogi, człowiek się nim podwaja; z takimi ludźmi walczyć nam chłodnym i rozważnym prawie niepodobna.

— Ba! — rzekł Miller — jeszcze i to dodaj (przerwał sobie śmiechem szyderskim niby), że tu są czary widoczne; nasi żołnierze mocno w to uwierzyli.

— Czary! — rozśmiał się Sadowski — to tylko imię inne, rzecz taż sama...

— Ale cóż powiecie, że nieustannie prawią o pokazują-

cych się w powietrzu postaciach, o jakichś zjawiskach. Naco tu długo szukać czarów, wszystkie nasze klęski niemi się chyba dadzą tłumaczyć, kilka tysięcy walecznego wojska, zwycięzców, walczą z dwomaset włóczęgów i zbieraniny, walczą tyle tygodni — i darmo!

— A na Boga! — zawołał z kąta Wejhard — tegoby jeszcze nie stawało, żebyśmy i my sobie temi obozowemi plotkami głowy nabijali. Cóżto za dziwy? pan generał był ci zanadto powolnym, zbyt wspaniałomyślnym i miałeś mało dział... wlekło się traktowanie, potem słabe napady... ale dzielniej uderzywszy...

— A dzień dzisiejszy?

— Ogień był źle skierowany!

— Znajdzie się przyczyna.

— Panie generale, wzięto ich z północy i południa, a tu właśnie przeciwnie — od wschodu należało się wysilić; trzeba było wszystkie działa na jedną ścianę użyć i burzyć nie budowle, po których nam nic, ale jedną kortynę wszystkiemi kartaunami.

— Dobra rada, hrabio, szkoda, że późna!

— W sam czas, Wachler zbieg klasztorny...

— Szpieg pański — dodał Miller, przerywając.

— Jak go chcecie, zwijcie — zaręcza, że zachodnia ściana nie wytrzyma i dnia pod ciągłym ogniem. Tu się obrócić; do tego mamy w klasztorze puszkarza u dział ich przekupionego; traktujemy tajemnie z załogą... Wodzowie się nie poddadzą; ale motłoch nastraszywszy i nadzieją łupu ująwszy.

Miller, niecierpliwiąc się, ramionami zżymał.

— Waćpan jesteś papista, — odparł — a mówisz o ujęciu ludu katolickiego nadzieją łupu tego, co za świętość uważają!

— No! to ująć ich nadzieją nagrody innej — ocalenia życia...

— Z motłochem się wiązać brudna sprawa! zdobędę i bez tego pomocnika, któregobym się wstydził. Takie spiski zawsze i sromotne, i zawodne, pan to wiesz najlepiej.

Wejhard się zmarszczył.

— Przecież — rzekł — z łaski mojego Wachlera wiemy o zachodniej ścianie.

— Zgoda na tę ścianę zachodnią, ale kto wie, może i na nią próżno dzień stracimy, a co gorzej, prochu dosyć; — od zachodu jednak ani kościołowi nie zagrozim, ani...

— Panie generale, tu o kortynę chodzi, nie o kościół.

— Zgoda więc jeszcze raz, z zachodu! Każ, hrabio, wcześnie działa przewieźć, dylowanie porobić, szańce sypać noc całą. Żeby się nasz lud nie zamęczał, bo mu i tak dosyć, spędzić koniecznie z wiosek, z Rądzin, ze Mstowa, ze Dzbowa, skąd chcecie i gotować baterję... Jutro po nabożeństwie uderzym.

Że tego nabożeństwa u lutrów nie bywało dotąd w niedzielę, mocno mu się zdziwił Sadowski, który miał religijnego ducha; on, książę heski katolik i Wejhard spojrzeli na Millera.

— Albo to myślicie, że i my wiary, i nabożeństwa nie mamy, — zawołał Miller, czytając zdziwienie w ich oczach— predykant jest, w szopie zgromadzim lud, potrzeba, żeby im wybił z głowy te czary, o których tak w obozie głośno. Na duchu upadli. Fanatyzm na fanatyzm, i my też swoich zagrzejemy na papistów. Ale wara potem, gdy do szturmu przyjdzie! Dadzą się we znaki!

W obozie radzili, w klasztorze noc cała zeszła na przygotowywaniu się w cichości.

Światełka tylko drobne robocie przyświecają; cisza — ledwie rozkaz jaki donośniejszym nieco ozwie się głosem i słychać łoskot upadających kamieni, sypiącej się ziemi; wrą w kotłach wody, a kto żyw cegłę nosi i muruje koło ściany, żeby wierzchy jej wzmocnić. Mularze i nie mularze noszą cegłę, obrywy wczorajszych ruin, rozbierają wewnątrz przymurki i szkarpy stare, a dodają obwodowym ścianom. Nie brak tu ochotnika, bo i szlachta z czeladzią cegłę nosi, nosi wodę, wapno rozrabia, i kobiety się kręcą, posługując. Kordecki usiadł na kupie kamieni, różaniec w ręku i głośno się modli, niekiedy ustanie, weźmie jaki ciężar, przyniesie go ukradkiem niepostrzeżony, położy i znowu usiędzie, niby dziecię, które unika oka starszych, zabronioną chwytając zabawkę. Inni księża noszą otwarcie kamień i wodę; wtem uderzyła godzina północnego chóru i wszyscy odeszli i słychać z kościoła szmer czuwających na modlitwie. Wśród nocy i ciemności jak ten odgłos ma w sobie coś uroczystego: niby szum lasu, co z niebem rozmawia, niby wielkie morze, co od wieków gra pieśń smętną a tajemniczą. Starcy się modlą — świat zasypia; oni jedni kołaczą do nieba westchnieniem za śpiących w grzechu, za znużonych żywotem, za obojętnych dla Boga. Słabe światło kilku żółtych świec

oblewa twarze pokryte tęsknotą, zapałem, smutkiem, rozjaśnione weselem, przyobleczone skruchą.

Dziś jeszcze dodaje temu obrazowi straszliwej uroczystości śmierć, która ich otacza.

Na dole, pod nimi, w kościele, stoją trzy ubogie trumienki białe poległych, trzema czarnemi całunami pokryte. To już zwyciężcy... tamci wojują jeszcze! Na dole wśród cieniów widać blade twarze żołnierzy, świecące wśród ciasnych ram ostatniego ich przytułku; obok na całunie trupie głowy i kości; w górze w białych płaszczach modlą się bracia śmierci za żywych i umarłych: za nich, za siebie, za wszystkich. Amen! rozległo się i szmer odchodzących słychać w gmachu osamotnionym; umarli pozostali sami na straży, a przy nich jeden tylko mnich zakapturzony powoli odmawia poważne wyrazy, łańcuchem tęsknoty łączące dwa światy.

Dominus custodit te, Dominus protectio tua, super manum dextram tuam. Per diem sol non uret te, neque luna per noctem. Dominus custodit te ab omni malo, custodit animam tuam Dominus...

(„Pan strzeże ciebie, Pan opieką twoją, nad prawicą twą. Za dnia słońce nie będzie ci dopiekać, ni księżyc przyświecać nocą. Pan strzeże cię od wszelkiego złego, Pan duszy twej strzeże...").

Nad pracującymi jeszcze powstał ranek mglisty, powolnie z osłon wilgotnych rozwijając świat senny, smutny, szary, jesienny. Na murach stali jeszcze ludzie, ale już dzieło nocy było szczęśliwie dokonane. Przeor, co pierwszy kamień położył z krzyżem świętym, ostatnią też cegłę przeżegnał.

— Na chwałę Twoją, Panie, na upokorzenie nieprzyjaciół wiary świętej.

— Amen! — odkrywając głowy, odezwali się wszyscy.

I szedł wzdłuż ściany, kropiąc mury wodą święconą, a modląc się.

Cóżby na to powiedzieli ludzie, którzy wierzą tylko w potęgę kul i w siłę pięści, spojrzawszy na wiarę, z jaką krople wody rzucał na głazy, pewien, że je pokrzepi rosą niebieską, że je spoi i uświęci. Coby to rzekli rachmistrze i matematycy i ludzie oręża, widząc, z jakiem uspokojeniem bezpieczeństwa stanął lud za tą tarczą słów i rosy?

A przecież, choć niepojęte, choć nieodgadnione i słowa miały siłę, i woda ta moc miała; — mocą modlitwy, co Bo-

ga z niebios sprowadza potężniejszego nad wszystkich. A śmiech szyderski, a zdumione niedowiarka oko nie odjęły temu dziełu Pana, pobłogosławionemu z niebios, mocy niebieskiej.

X.

Błysnęła niedziela i Szwedzi raz pierwszy po przybyciu pod Częstochowę uczuli potrzebę modlitwy; Miller sam ich poprowadził i rozkazał wcześnie posłusznemu predykantowi, żeby im starał się wybić z głowy dziwny postrach, dziwnie upartą myśl czarów, przeciw którym szli niechętni a ręce im opadały. Całe wojsko niemal zatoczyło się pod szopy i namioty, w których naprędce nakryto stoły i postawiono krzyże. Kilku katolików spoglądali zdala na to osobliwsze nabożeństwo, w którem nie było namaszczenia naszych uroczystych obrzędów: raczej tęsknota za wiarą, niż sama objawiła się wiara. Pobożność lutrów zimna była jak nauka, która ją natchnęła, mówił predykant rozumnie, pięknie, moralnie, ale to był człowiek, mówiący do ludzi głosem chłodnym rozumu, nie kapłan, natchniony posłannik Boży, otoczony tajemnicą i świętością.

Tu wszystko tłumaczono, wszystko mieć chciano jasnem, dowiedzionem, obrachowanem, pewnem; a do tej tak niby oczyszczonej duchownej strawy przyłożywszy usta, czułeś, że cię nakarmić nie mogła, bo była czczą i pustą, bo człowieka nasycić chciała ludzkiem, gdy on boskiego pragnie.

W Częstochowie brzmiały dzwony, śpiewy i organy, lud padał na twarz ze starą pieśnią rzewną, prostą a wielką, przed tajemnicą ołtarza. Tu wszystko osłaniała tajemnica i słowo kapłana wiodło przez nią wprost na jasne stropy niebios, do Boga. Tu inaczej biły serca, wzdychały piersi, modliły się usta; tu cud otaczał, Chrystus umierał, krew jego lała się na świat i potęga dobrowolnego męczeństwa łamała ziemskie i piekielne mocy.

Jeszcze się było *Święty Boże!* nie skończyło i nie odśpiewano — *Przed oczy Twoje Panie,* a już z zachodu, jak Niemiec wyprorokował, kupili się Szwedzi. Pan Zamojski widział sokolim wzrokiem między nimi Wejharda i Wachlera, jak wskazywali na mury, jak kierowali działa, i uśmiechnął się do pana Czarnieckiego.

— A co — rzekł radośnie pan Piotr, który szklankę grzanego piwa kończył, a co, mieczniku dobrodzieju, niedobrze-

śmy zrobili, że mur podwoili przez noc, ot jak się szołdry krzątają... psubraty...

— *Crimen atro carbone notandum,* — odparł poważnie miecznik — to widocznie była zdrada, *inchoata, sed feliciter,* przez nas za łaską Bożą unikniona. Oczywiście, wiedzieli, co się u nas dzieje, ale *in opere bellico,* cała rzecz na tem, by zapobiec.

— I zapobiegliśmy.

— *Insipiens a se ipso occiditur!* sami tu zęby potracą i głowy, a nie dadzą rady.

— Ognia! dawajcie ognia, a raźnie! — wołał pan Czarniecki.

— Nie wywołujmy wilka z lasu!

— Ze strzelbą na ramieniu kpię ja z wilka.

Wtem i działa potężnie się odzywać poczęły, ale naprędce zrobione baterje, ustawienie ich liche, kierowanie niedbałe niewiele w początku zastraszały.. Strzelali i co chwila przerywali ogień, kierując kartauny na nowo. Ogromne ich kule to się w mur pakowały, niewiele mu szkodząc, to po dziedzińcach rozbijały bruki, to gdzieś krokiew nadłamywały z wielkim trzaskiem a małą stratą.

Miller kazał sobie rozbić namiocik, patrzał i gotował się dowodzić do szturmu, ale do południa i dobrze po południu mur ani się nadszczerbił, ledwie go gdzie niegdzie skrobnęli. Zestawili działa inaczej — toż samo, puszkarze poglądali po sobie, oczyma mówiąc:

— A co? szatana taki mają!

Wejhard lata i krzyczy, wodzi Wachlera, grozi, płaci, mur, jak stał, tak stoi. Po kilku godzinach różnych próbek postrzegł już Miller, że się na nic nie przydadzą, że jeśli nie weźmie strachem, nie weźmie i siłą. Umyślnie posłuchał Wejharda, aby mu miał czem dokuczać i posłał zaraz po niego; miał minę gniewną razem i szyderską.

— A co, hrabio! wyłom?

— Robimy go.

— Jak myślicie, wiele też miesięcy robić go będziemy?

Na to pytanie Wejhard z niecierpliwością odparł:

— To rzecz puszkarzy, nie moja.

— Czary, nie czary, — łagodząc się, ciągnął dalej Miller — powiem ci, hrabio, to coś dziwnego; mamy szpiegów, mamy zdrajców, zmowy, wiemy, z której strony mury słabsze, a jak się weźmiemy do rzeczy, ani ukąsić. No, cóż dalej poczniemy?

— Panie generale, to do mnie nie należy.

— Przepraszam, hrabio, tyś mnie tu sprowadził pod ten kurnik zaklęty, na tę lisią jamę, tyś mi zaręczył, że dość huknąć, by się poddali. No, cóż dalej?

Wejhard kręcił się, jak w ukropie.

— Nie moja wina, że żołnierza pies opętał czarami jakiemiś, ręki się podnieść boją... to z polskiego obozu nanoszą im tych strachów... Wszyscy aż do starszyzny potracili głowy, cóż z nimi począć?

— Czy to i do mnie przymówka?

— Niech Bóg uchowa, — szybko poprawił się Wejhard — ale mnie to boli, że pokutuję bez winy.

— A któż tedy winien? ja? — spytał Miller.

— Któżby to mógł pomyśleć nawet?

— Życie zjadłem w boju, dobywałem dosyć fortec, wiele widziałem dobywanych, nic podobnego mi się nie trafiło... Bez wody, bez rzeki, bez jeziora, bez nadzwyczajnych skał i ścian, prosty okop z przymurkiem jak na żarty! Jest się czego wstydzić! A z kim do czynienia? z mnichami, krocset djabłów, panie hrabio, wolałbym tu nie przychodzić!

— Jużciż odejść tak z kwitkiem nie możemy.

— A! i to pytanie! — dodał stary wódz — z tego, co dotąd widzę, nie o wielebym się zakładał.

— Jakto! — zakrzyczał Wejhard — dozwoliłbyś, generale, uzuchwalić się im, dać przykład całej Polsce. Na Boga! toby było zgubne!

— A mogęż stać tu pod Częstochową?

— Ale tu kilku dni dosyć.

— Cóżeśmy uchybili, że tyle czasu stoimy darmo?

— Bez parlamentacji, bez próbek, wprost każcie zasypywać fosę, sprowadzić tarany, drabiny i do szturmu! Walić mury, tłuc, strzelać i na mur siłą!

— Tęgi z hrabiego projekcista! ale pomów z żołnierzem, któremu głodno w brzuchu, zimno w pięty, a strach za plecami, czy tego dokona. Ognia nawet w nocy rozpalić nie można, żeby się rozgrzać... a w dodatku (uśmiechnął się niby) czary!

— Ale cóż te czary, generale, to bzdurstwo, to dziecińśtwo!

— Wybijże je z głowy gawiedzi, — rzekł Miller — a po chwili: — Któż wie, coś to tam i prawdy w tem być może? Są rzeczy niepojęte, sam to widzę.

Wejhard się uśmiechnął. Miller naperzył.

— Waćpan, widzę, w nic nie wierzysz.

— We wszystko prócz czarów.

— Do zobaczenia! — i pożegnał go skinieniem, a sam siadł pod namiotem, zdala patrząc na kościół, na mury, na swoich, smutnie zamyślony.

— Dwóchset ludzi! mnichów garść — mówił w sobie — i ten gołębnik! co u licha! miałżebym moje laury położyć na tem śmiecisku? To oszaleć można! to coś niepojętego! ten mi mówi, że w nic nie wierzy. Darmoby wszystkich szał ten nie opętał... jest coś — jest... siła niewidzialna... Działa, ludzie, wojska, sztuka, doświadczenie, wszystko na nic. Śmiech ludziom odejść z niczem. Nie ścierpię tego! Całą siłą! całą siłą! Ha! jak dziś, jak wczoraj! i cała siła na darmo!

Rzucił ręką ku murom.

— Wściec się potrzeba! żeby szczerba, żeby dziura.... jak z żelaza! To kłamca ten Niemiec... od wschodu byłbym przynajmniej kościół zniszczył i obalił, niechby runął tylko bok jeden, poddaliby się. Wejhard ma rozum pałacowy, nie wojenny, to dworski liżyłapa, zwiódł mnie i zwodzi. On wszystkiego przyczyną..

Z gniewem, ze złością patrzał jeszcze Miller na swoich, którzy szli, nie idąc, wracali; strzelali bezskutecznie i zdawali pędzeni nagwałt, zbliżać do twierdzy. Tysiące drobnych przeszkód nieustannie przerywały szturmy przedsiębrane: tam łoże armatnie się zepsuło, obsunęła kartauna, owdzie wóz z prochem zagrzązł, kula klasztorna zabiła puszkarza, dano rozkaz niezrozumiale i spełniono niezręcznie, słowem wszystko szło nicpotem; a żołnierz na wszystko jednem odpowiadł słowem: czary! czary! — Ciury szwedzkie, Finlandczycy i tak już byli znużeni tym bojem bezkorzystnym, a w ciągu nocy niepokojem i chłodem, że Miller im nazajutrz dać musiał wypoczynek. Śnieg już chwilami poczynał ziemię pokrywać, mróz chwytał, robota każda stawała się coraz cięższą, generał odstąpić nie chciał; w nocy jeszcze stężała ziemia na ćwierć łokcia. Żołnierze głośno sarkali i przeklinali.

Złożono znowu radę wojenną; każdy z pułkowników zdanie swoje objawił, jeden Wejhard nic mówić nie chciał. Książę heski radził natychmiast ustąpić, Sadowski chciał później świeże wojsko przysłać, jeśliby koniecznie szło o posiadanie Częstochowy, a samym przed zimą uciekać; inni

wymyślali różne środki zdobycia, nie mogące się zastosować; Miller wysłuchał wszystkiego w milczeniu.

— Uchodzić! — rzekł — nie, to być nie może, przyszliśmy, trzeba swoje zrobić. Spędzić ludzi, sypać szańce nowe, fosy ziemią zarzucać, nie czekać wyłomu, próbować strachu...

— Ziemi zamarzłej nie ukąsić — rzekł ktoś.

— My jej nie będziemy kopać, na to ludzi ze wsi zbierzemy, niech sobie robią, co chcą.

Wszyscy zamilkli, widząc upór Millera; on już dawał rozkazy, Wejhard tylko cicho szepnął:

— Istotnie rozporządzenie generała doskonałe.

— Obejdę się bez pochwał — odparł Szwed ponuro.

Czech usunął się kwaśny. W Częstochowie przez mieszczan, choć przepłoszonych trochę przypadkiem Brzuchańskiego, choć wylękłych przez kwarcianych do kościoła chodzących, dowiedziano się zaraz o zamiarach Millera. Kordecki, nie tracąc serca, wytrzymawszy tyle, spodziewał się i reszcie podołać; wezwał także swoich wiernych a stałych i radził.

Wszyscy jednomyślnie nad środkami tylko odparcia szturmu namyślali się. Pan Zamojski, który od początku oblężenia wziął z bibljoteczki klasztornej Karlińskiego *) i nosił go pod pachą, począł sypać sposobami obrony najwymyślniejszemi jak z rękawa. Czarniecki słuchał i wzdychał, bo mu tego zazdrościł, a czytać nie bardzo lubił.

— Wszystko to dobrze, — rzekł po chwili — ale tak na mój rozum, co tylko kole, bije, siecze, odpycha, pali, smali, piecze, a co pod ręką, wszystko na nich dobre, użyjemy, co się nawinie. Dziś nam dali fryszt, korzystajmy z niego, przysposabiajmy się.

— A Bogu dziękujmy.

— To swoją drogą zawsze — rzekł Czarniecki.

Zamojski trochę był markotny, że długie jego czytanie

*) Jest to niewielka książeczka wielkiej wartości, dla dziejów wojny, języka i obyczajów, za mało dotąd znajoma. Nosi tytuł: *Spraw y postępków rycerskich, y przewagi, opisanie krótkie, z naukami w tej zacnej zabawie potrzebnemi. Lwów* 1599. 4-to. Przypisana Hieronymowi Sieniawskiemu przez Stanisł. Karlińskiego Medyka i Alchimistę, ale i żołnierza dobrego. Są to niektóre szczegóły jego awanturniczego żywota... Język przecudny. *P. A .*

w łeb wzięło kilku słowami pana Czarnieckiego, a że, kochając się, wyścigali zawsze i emulowali z sobą, jął znowu liczyć sposoby odpychania.

Czarniecki wąsa kręcił, wzdychał, słuchał; aż mu i dokuczyło.

— Więc tu panowie sobie radźcie, swadźcie, — rzekł — a ja pobiegnę na mur i każę tymczasem znosić, co się trafi.

Przeor nic nie powiedział; postrzegł Zamojski także, że tu więcej czynu i ręki niż słów potrzeba, rzucił książeczkę i zawołał:

— Macie słuszność, panie Pietrze, do roboty!

— Ot tak, kochany mieczniku! — radośnie wykrzyknął Czarniecki — na mur, sposóbmy co jest, potem sobie przy kominku spokojnym czasem przeczytamy książkę, co też ona pisze, a teraz... a! zachcieliście, nie święci garnki lepią.

Ze zwołanym ludem stanęli zaraz do roboty.

Co było gdzie pozostałego rumowiska, kamienia, dylów, kutych drągów, zębatych kruków, żelastwa, broni, drzewa różnego, wszystko poczęto ściągać, aby na wypadek zbliżenia się do fos nieprzyjaciela powitać go uczciwie. W dziedzińcu ustawiono kotły do grzania wody i smoły, mającej się zlać na oblegających.

Żołnierz trochę odpoczął, a kobiety i czeladź posługiwała; rozdzielono te nowe środki oporu tak, żeby je mieć wszędzie pod ręką; najwięcej tam, gdzie nadkruszenie murów i płytkość fosy spodziewać się napadu dozwalała. Cały dzień Boży na tem upłynął.

Nad wieczór przyszła ze swej kryjówki Konstancja do klasztoru i przyniosła wiadomość o przygotowaniach Szwedów, spędzeniu ludzi z Rądzin, Dzbowa i ze Mstowa, którzy z płaczem i jękiem, opierając się, jak mogli, szli pod płazami żołdaków, kopać szańce i ziemię nosić bryłami. Żebraczka wlokła z sobą podarek zwykły, fartuch kul pełen; a rozdzieliwszy je pomiędzy załogę, posunęła się zwykłym trybem naprzód pod basztę Krzysztoporskiego, u której go nie znalazła, bo chory jeszcze leżał, potem powitać puste okienko, z którego na nią patrzała Hanna, nareszcie ku mieszkaniu Płazinej.

W mieszkaniu szlachcianki znalazła ją za stolikiem nad kufelkiem w towarzystwie drugiej jakiejś kobiety; szeptały coś z sobą tajemniczo na ucho. Zobaczywszy starą, Płazina ofuknęła ją, zamknęła drzwi i odpędziła precz. Konstancja nie zrażona poszła zaraz w drugi dziedziniec, na

który wychodziło okienko z górnej izdebki, i stanęła tu tak, żeby z niego widzianą być mogła. Długo kręciła się, chodziła, ale nic nie widziała, coby ją na ślad jaki naprowadzić mogło. W okienku na górze tylko maleńkie odchuchane kółko, wśród zamrożonej szyby, mówiło, że tam ktoś siedział.

Smutna powlokła się nazad pod basztę i zdziwiona ujrzała na niej Krzysztoporskiego, który wywlókł się, nie mogąc znieść zamknięcia, ale blady był i złamany, a oczy mu się iskrzyły jak ślepie wilcze po nocy. Ona, zobaczywszy go, siadła na wschodkach.

— E! dobrywieczór, panie Mikołaju!

Zmilczał stary, choć się wzdrygnął.

— A co Hanna? myślicie, że już śladu nie mamy, że nie wiemy, gdzie ona?

Zastanowił się Krzysztoporski.

— Idź precz, stara, idź... nie męcz mnie do ostatka, dość wzięłaś życia.

— Upamiętajże się, a nie dość ty nabrałeś zdrowia i żywota ludziom? Hannę odzyskamy, a ty na starość wstyd i hańbę nosić będziesz.

Krzysztoporski przywlókł się bliżej wschodków.

— Pójdziesz ty precz? — spytał ze złością.

— Precz! wszakżem to ukochana twoja — rozśmiała się stara — ulubiona Kostusia... spojrzyj i poznaj, to ja.... której rozplatałeś i splatałeś kosy, całowałeś usta i oczy... o! to ja!

— Nie... nie — rozśmiał się gorączkowo starzec — nie, pamiętam tamtą... Gdybyś nią była, jeszczebyś bałamuciła do ostatniego ciura szwedzkiego i zawracała głowy głupcom, coby ci wierzyli.

— A któż mnie pierwszy zalotności nauczył?

Przerwała się rozmowa.

— Idź sobie! daj mi pokój! — wołał pan Mikołaj.

— Jak ty drugim, tak ja tobie, żona twoja zostanę z tobą.

Rozjadł się Krzysztoporski.

— Idź, opętana, do djabła!

— Nie bluźń i nie warcz, panie Mikołaju, jeśli ja, to i ty, oboje razem, oboje... oddaj Hannę... oddaj Hannę, ty wiesz, żem uparta, nie odejdę.

— Jam jej nie widział, ja nie wiem!

— Kłamiesz! ty i Płazina wiecie o tem.

Na te słowa chory i drżący szlachcic siły odzyskał i za

muszkiet pochwycił, widocznie przestraszony; ale Konstancja, nie czekając strzału, uciekła i wprost pobiegła do przeora.

— Ojcze! dobrodzieju! — zawołała, całując jego szkaplerz — każcie szukać Hanny, wnuczki Lassotowej, u Płazinej, a prędko... bo jej gotowi co zadać!

XI.

Po jasnych dniach poprzedzających nastąpiły zwykłe u nas mgliste i ponure; drobny deszcz, mrok, śnieżek gęsto prószący, niezgłębione ciemności białe obwisły nad obozem i twierdzą. Oblężeni nie mogli rozpatrzeć się o kilka kroków, nie mogli wiedzieć o przygotowaniach nieprzyjaciela, jego obrotach, zbliżaniu się i strzelać nawet na los musieli.

Nazajutrz od rana tak nieprzejrzany obłok otulił górę całą i obozowisko, że jasnogórzanie i Szwedzi wśród tej mgły rady sobie dać nie mogli; deszczyk wilgotny, drobny, cienki, zimny do kości przejmował Szwedów. Na zamku przestrach znowu, pora ta zdawała się szczególniej sprzyjać Szwedom, kroki ich okrywała tajemnicą. Miller też radował się wielce ze mgły i korzystać chciał z niej co najprędzej, by zasypywać przekopy i dobywać klasztoru.

Tylko co wydano rozkazy, gdy Miller o kilka kroków posłyszał wystrzał i krzyki; zdawało mu się, że to był jęk jego siostrzeńca, od którego ledwie się oddalił. Nie pojmował, co mogło być przyczyną wypadku, spiął konia, przybiegł na miejsce.

Młody człowiek leżał śmiertelnie kulą w brzuch ugodzony. Zakrwawiły się oczy dowódcy.

— Co to jest? — zaryczał, widząc ukochane swe dziecię w tym stanie, i rzucił zwoływać lekarzy.

Ale lekarzem śmierć była; młody chłopak obrócił się do niego, rękę wyciągnął drżącą, uśmiechnął i skonał.

Miller włosy rwał z głowy, żołnierze stali odrętwieni... strzał to nie mógł być klasztorny. Szwed jakiś wśród tej mgły, którą się tak bardzo cieszył, oczyszczając nabitą śmigownicę, wypalił z niej, sądząc, że do klasztoru mierzy, a zabił biednego wyrostka. Żalu, gniewu, wściekłości dowódcy odmalować niepodobna; dla niego to, dla zabitego dziedzica zbierał on po Polsce skarby łupieżą i krwią zbryzgane,

jego jak syna kochał i za syna przysposobił, wszędzie chciał go mieć przy sobie, aby z oczów nie tracić ulubieńca, zasłaniać go od niebezpieczeństwa, otulać i pieścić; chwila jedna zerwała węzeł, który Szweda łączył jeszcze ze społecznością i światem. Martwy z bólu i obłąkania, powstał Miller, ucałowawszy zimną twarz siostrzana i pięść wyciągnął ku klasztorowi z groźbą okropną.

— Gdzie jest ten, co strzelił? — spytał zimniej.

Wskazano winowajcę.

— Rozstrzelać — rzekł chłodno i odwrócił się. Siadł na konia, poleciał.

— Sypać szańce, zarzucać fosy.

Zbliżył się ku murom; one milczały, za niemi tylko stał lud i modlił się.

— A Szwedzi powtarzali coraz uparciej: — Czary, czary! i wieść o zgonie młodego wojaka poszła po obozie, opowiadana w sposób taki, że stwierdziła przekonanie o jakichś czarnoksięskich mnichów sztukach.

Wejhard dowiedział się o wypadku i schwycił za głowę.

— Teraz mi się już nie pokazywać Millerowi — rzekł i pośpieszył z Kalińskim i Wachlerem pod twierdzę także.

Mgła nie rozbiła się na chwilę, a wśród tego złowrogiego mroku ledwie o krok widzieć się było można. Zaczęto strzelać z obozu ku twierdzy, Jasna Góra milczała. Nareszcie jakby z chmur wychodzący ukazał się lud ściśnięty w szereg, który pędzono na przekopy. Wtem Konstancja wysunęła się z nich i stanęła na kontreskarpie w swych płachtach, z kijem podniesionym, jakby szydząc ze Szwedów, co się groźną linją posuwali ku niej. Zobaczyli ją żołnierze i zwolnili kroku, szmer poszedł po linji.

— Kobieta jakaś! kobieta!

Kilku śmiałków strzelili, ona uprzejmie skłoniła im się i palcem zapraszała ku sobie.

Już myślą czarów opanowani Finlandczycy, którzy im wierzyć najskłonniejsi byli, stanęli; trąby napróżno grały do szturmu — jak wryci nie ruszali z miejsca. A tu i szereg ich zaciemniał przed oczyma oblężonych i wszystkie działa zwrócone ku nim błysły, zadymiły, poczynając sypać kul gradem na przyzastanowionych Szwedów. Co było na przodzie odważniejszej starszyzny padło rzędem, żołnierz się spłoszył i cofać począł.

— Czary! czary! — wołali jak poszaleni.

Miller bił i pędził.

Wtem noc nagle się robić poczęła i krótki dzień mroczył coraz bardziej; działa forteczne coraz dalej sięgały, pierwsze linje przebiwszy. Nie było sposobu iść dalej, trąby dały znak do odwrotu. Wiatr jakby zasłony z góry na chwilę mgły uniósł i rozdarł, wdali ukazując pracowników u szańców, z rydlami, motykami, schylonych nad robotą pod strażą szwedzką. Czarniecki rozkazał strzelać do nich.

Ale mrok coraz stawał się gęstszy, noc zdawała lecieć skrzydłami ptasiemi, coraz ciemniej, ciemniej, ciemniej, tylko wśród bielejących tu i owdzie płat śnieżnych czernieje kupka ludu, ruszającego się jak mrowie. Naoślep już klasztorne działa celują sercem raczej niż okiem, widzą popłoch... a potem cisza... i tak dzień się skończył.

W klasztorze zadzwoniono na Anioł Pański.

Napaść ta była od południa, ze strony, w którą kościół odwraca się do murów i wrót dobrze obwarowanych, choć Szwedzi mieli ją za słabsze od kortyny. Noc zeszła na czuwaniu niespokojnem... wszyscy stali na murach w oczekiwaniu. Nikomu nie było tajno, co się działo w szwedzkim obozie, zabicie millerowskiego siostrzeńca, jego gniew i zaklęcia, że twierdzę zdobędzie i zniszczy, przerażać poczynały. Sen uciekał z powiek, latarnie słabo świeciły na murach wśród mgły nieprzebitej, ludzie jak cienie suwali się dokoła. Hasło powtarzano zcicha: w Bogu nadzieja.

— Bóg niech będzie pochwalony!

Z temi słowy w ustach, z różańcem w dłoni chodzili dowódcy powolnemi kroki, spodziewając się nocnej napaści; lecz napróżno, Szwed o niej nie myślał. Nierychło opieszały dzień zaświtał, lecz taki jak wczoraj gęstą mgłą osuty, rzekłbyś, że się owinął nieprzejrzystemi szaty; ni nieba, ni ziemi, ni świata, jasno, a nic nie widać. Tuman jak dym gęsty wszystko osłania, powiększa postrach, przeraża, bo tajemnicą otacza.

Kordecki zasępiony na jutrznię do chóru przyszedł, a po skończonych modlitwach:

— Bracia — odezwał się — nieczyste są serca nasze, niegorące modlitwy, Bóg odwraca się od nas i upomina! módlmy się lepiej... Znać zesłabła w nas wiara. Mgły stały się sprzymierzeńcem nieprzyjaciela, w nich zamknięci, jesteśmy jak ślepi... biada nam, jeśli to potrwa. Siła ludzka nie pomoże na to; innej tu potrzeba pomocy. Czemuż, gdy modlitwy Jozuego słońce wstrzymały, naszeby nie umiały mgły rozpędzić?

Widać było po twarzy ojców zwątpienie i podziw wielki.

— Wiary! wiary! — zawołał Kordecki — a ruszym nią góry i opoki! wiary a zwyciężym! to oręż nieprzełamany, to zbroja nieskruszona. Nie możemy wszyscy leżeć na modlitwie, bo musimy walczyć. Niech jeden z nas zastąpi wszystkich gorącą nieustanną modlitwą do Boga, niech egzorcyzmem i słowy błogosławieństwa rozpędza mgły szkodliwe, niech błogosławi działa i oręże nasze, niech za nas błaga i jęczy. Ojcze Stawiski, to będzie wasze dzieło, wznieście się duchem pod tron Wszechmocnego i módlcie się za nas, my pójdziemy pracować... Błogosławcie we cztery świata strony, a pierzchnie mrok i tumany szatańską nagromadzone siłą, bo wiara panuje wszystkiemu.

Ksiądz Stawiski, blady, poważny starzec, powstał, zniżył głowę i w milczeniu przyjął rozkaz przeora. Inni ojcowie westchnęli tylko. Kordecki, wyznaczywszy przeciwko mgłom bojownika, jakby do najprostszej pracy, zszedł z chóru spokojny.

— A to co za licho? — rzekł pan Czarniecki, widząc nagle z mglistych mroków wyłażącą dziwną jakąś wysoką budowę, która, powolnie poruszając się, ku murom zbliżała.

Zamojski spojrzał także i uśmiechnął się.

— To się zowie w języku wojennym...

— Ale do czego to służy? — spytał niecierpliwie pan Piotr — jużciż nie do bicia masła?

— Do rozbijania murów i włażenia na nie.

— No, to nie czekając i nie definjując, walmy do tego rusztowania... Kasprze kochanku, rychtuj mi na te kozły, czy jak się tam to zowie, a gracko, dostaniesz ode mnie, co zechcesz.

Kasper począł działo podnosić, bo się machina zbliżała, dano ognia i wielki taran czy balista, który wlekli żołnierze i lud okoliczny z końmi i wołami razem, począł trzaskać; ponowiono strzały i nim skutek ujrzano za dymem, już łom drzewa i krzyk ludu dał znać, że Kasper trafił. Czarniecki aż go w czoło pocałował.

— Otoś mi chwat, — rzekł — naści! — i oddał mu woreczek swój szlachecki..! a teraz do tej gawiedzi.

Gęstemi strzały walono do reszty już złamaną machinę, około której kupili się Szwedy z krzykiem i przekleństwy. Chciano dźwignąć co było zepsute i spoić na nowo, ale okazało się, że kule szczęśliwie najistotniejsze części ta-

ranu: drągi, haki, kloce zębate, śruby i sznury zgniotły i zniszczyły; niektóre kawały poodlatywały daleko i pokaleczyły żołdaków, belki przybiły ludzi, co machinę ciągnęli... Szwedzi popatrzali, przybiegli starsi i znow uszeptali między sobą. — Czary! czary. I powoli odstąpili.

Dano znać Millerowi, który opodal siedział tyłem do twierdzy obrócony, machnął ręką tylko — róbcie, co chcecie. I słowa nie rzekł więcej. Groźne jego czoło więcej od rozkazu mówiło, wzięli się więc do budowy drugiego tarana, a tymczasem starano się o jakąkolwiek przewagę, ale nadaremnie.

XII.

Nazajutrz rano, do pierwszej myśli wróciwszy, ale na inną obracając się stronę, Szwed znowu rzucał kulami od wschodu. Stąd w istocie obawiać się było można wielkich szkód, jeśli nie dla klasztoru, to dla kościoła, którego okna i facjata zwracała się w tym kierunku.

Nieustanność szturmów, niepokój ciągły, wrzawa, strachy co chwila nowe, pomimo usilności Kordeckiego, wlewającego odwagę w swoich ludzi, musiały zwątlić najwytrwalszych nawet. Większa część twarzy pochmurniała, nawet mnisi, życiem niezwykłem zmęczeni, zwiesili głowy na piersi i nikt jeszcze nie śmiał powiedzieć, że mu tchu braknie, że cierpi; ale wszyscy czytali sobie w oczach wyraz niewysłowionego znużenia. Nikt krzepiącej nie zachował nadziei. Klasztor zwyciężał dotąd, ale go wycieńczało zwycięstwo; przeor to nawet widział; miał nadzieję w odsieczy, nadzieję w zimie, nadzieję w znużeniu Szwedów... i wszystkie dotąd zawodziły.

Zwątpienie, rozpacz niemal obojętną na śmierć lub życie, zimną, milczącą, bladą spotykałeś wszędzie.

Szlachta znowu skupiała się i naradzała potajemnie; załoga szemrała, śmielsi już narzekali i powiew rozpaczy obejmował chłodem swym serca. Już i kościół, i kaplica stały pustką, izby pełne były naradzających się swarliwie.

Tymczasem modlitwy zwycięsko mgły rozbiły; niewidzialna ręka zdawała się rozszarpywać grube osłony tumanów, rozrywała je i zrzucała na widnokręgu krańce, a niebieski błękit z pod nich i jasne okazało się słońce.

Pod twierdzą kupami leżeli ostatnich dni pobici Szwe-

dzi, niektórych śnieg już poprószył, inni czernieli jeszcze; koło nich krzątali się żywi, to odzierając z sukni, to zabierając na wozy. Starszyzna wybierała upadłych towarzyszów broni, by im cześć oddać ostatnią i żałobne wozy pociągnęły z szeregiem trumien ku Krzepicom.

Poszło tam z honorami wojskowemi, z muzyką i spuszczonemi chorągwiami ciało millerowskiego siostrzeńca, w prostej wieśniaczej trumnie, na wozie kmiecym szukać spoczynku na ziemi najazdem zgwałconej, która grób pochłonęła, karząc niepamięcią; za nim orszakiem pociągnęła jazda szwedzka.

Kordecki patrząc na to, zapłakał.

— Tyle krwi, tyle ofiar, a! miły Boże, — zawołał do ks. Stradomskiego, stojącego przy nim — dla ludzkich fantazyj, dla sławy zdobywcy, dla próżnego liścia lauru; a gdy przyjdzie na wiekuistego państwa pracować zdobycie, o jak to każdemu ciężko! Najechali ziemię naszą i zawojowali sobie — groby! niech im Bóg przebaczy, niech nie pamięta.

Nic nie odpowiedział ksiądz Stradomski, i w milczeniu zeszli z wyżyny, na której stali, do klasztoru.

Tu spotkali zakonników i szlachtę z bladem obliczem skupiającą się umyślnie przeciw Kordeckiemu. W tych gromadkach dwie twarze uderzyły przeora. Byli to tylko co do twierdzy wpuszczeni pan Aleksander Jaroszewski, który pod opieką Jasnej Góry miał żonę i synka, i pan Ciesielski, którego dwie siostry zakonnice dominikanki od powodzi szwedzkiej się skryły. Oba, zasłyszawszy, co się dzieje na Jasnej Górze, zaczęli niespokoić się o swoich i zbiegli do Millera naprzód, żeby im dozwolił wyprowadzić kobiety, bo pewni byli, że nieustannemi szturmami twierdza wzięta zostanie, i padnie łupem rozjadłych i rozbestwionych Szwedów.

Rano dnia tego dopuścił ich do siebie Miller, a wysłuchawszy prośby, rzekł:

— Idźcie, moi panowie, ale to się na nic nie zda.

— Jakto? — zawołał pan Jaroszewski — musi mi wydać żonę i dzieci, a panu Ciesielskiemu siostry.

— Nie wyda, — odparł wódz — toby wystraszyło do reszty zamkniętych w twierdzy; jabym bardzo był rad temu, ale Kordecki ma rozum, nie zrobi tego. Nie trzeba było kryć się przed Szwedem... a dziś za późno.

Pan Jaroszewski, jak był żywy bardzo i przywiązany do żony i synka, a pan Ciesielski, co dość łatwo tchórzył, ale

w takim razie miną nadrabiał, gdy był w strachu, oburzyli się oba.

— To być nie może, panie generale, muszą nam wydać naszych! Toby była tyranja!

— Zobaczycie, — rzekł zimno generał — idźcie...

Jakoż poszli, a po drodze nie omieszkali w twierdzy rozsiać popłochu, i przeor zaraz postrzegł się, że ich przybycie nie było mu na rękę. Nim od bram do niego się przebili, już napletli dziwów, nastraszyli bojaźliwych i zachwiali odważnymi nawet. Według nich twierdza co chwila mogła, musiała być zdobyta; Szwed zaklął się, że nikomu życia nie daruje; kobiety, starce, dzieci mieli paść ofiarą, a na gruzach sól rozsypać obiecywano.

Płacz, lament rozległ się po całej górze.

Na to właśnie nadchodził Kordecki, spojrzał surowo, a w tem jak stali w korytarzu pan Jaroszewski i pan Ciesielski do niego:

— Księże przeorze, — rzekł pierwszy z ukłonem—przyjechałem po żonę.

— A ja po siostry.

— Cóżto się stało, że je wywozić myślicie, — odparł Kordecki zimno i z nieukontentowaniem — czy to już Pana Boga niema nad nami i Matki Boskiej w Częstochowie. Cóż nowego im grozi?

— Co grozi? juściż to jawna i oczywista, że twierdza zostanie zdobyta i zniszczona.

— Kto to panu zaręczył?

— Ale dość policzyć, księże przeorze, co naszych, a co Szwedów.

— Licz sobie, kiedy chcesz, waszmość się boisz, a my się nie boimy; tobie straszni, a nam nie.

Pan Jaroszewski osłupiał.

— Zresztą, — rzekł — jak sobie ksiądz przeor chce, ale ja siebie patrzę, i o żonę proszę...

— A ja o siostry.

— Zawołać braciszka Pawła! — rzekł przeor chłodno.

Wszyscy milczeli, czekając, co z tego będzie; przybyli sądzili, że im kobiety puszczą, aż i brat krawiec przybiegł ze szkaplerzem na ręku i spojrzał ognisto na wszystkich, ze łzami prawie na przeora, przed którym się nachylił skwapliwie.

— Wiesz, bracie, jakie jest rozkazanie u wrót? — spytał go Kordecki.

— Wiem, ojcze przeorze: wpuszczać pojedyńczo, kto zażąda, a nie wypuszczać, chyba za wyraźnem zezwoleniem waszem.

— Tego rozkazania strzeżcie mi najpilniej i nadal — dodał przeor.

— Będzie spełnione święcie.

— Cóż więc, gwałtem myślicie tu zatrzymywać? — oburzył się pan Jaroszewski.

— Nie was — odpowiedział przeor spokojnie — ale kto przed oblężeniem się tu schronił, gdyby dziś uchodził, popłochby rozsiał niepotrzebny, za jednym zechcą wszyscy; zatem kto tu jest, ten dobędzie do końca.

— Księże przeorze, tu o życie chodzi! macie prawo rozporządzać swojem i swoich podwładnych, ale nie naszem...

— Wszyscy tu moi podwładni dzisiaj, — odparł zimno i stanowczo zakonnik — Bóg nas rozsądzi; co czynię, robię z przekonania o koniecznej potrzebie i z natchnienia Bożego. Będą wszyscy cali, jeśli zaufamy Panu, nie obawiajcie się.

Dwaj przybyli zmieszali się, nie wiedzieli, co począć, spoglądali po sobie, stali. Przeor już odszedł, został Zamojski.

— To, czego żądacie, — rzekł im, na długą gotując się oracyę — nie podobnem jest *et contra consuetudinem belli. Submissionem* winniśmy wszyscy wodzowi, rozkaz i wola jego święta. Nie obawiajcie się jednak, nic się tu złego nie stanie nikomu; *Deo adjuvante* pokonamy *hostem,* chociaż *potentem,* czemu nie podoła oręż, podoła modlitwa. Tu daremnie — dodał — i prosić, i grozić! — Niemniej mi droga żona moja i dziecko jedyne, przecież je tu skryłem i wywozić nie myślę.

— Wolno wam czynić, co się podoba, ale i my też swój rozum i wolę mamy.

— Jak się oblężenie skończy, zrobicie, co się wam podoba.

Pan Aleksander Jaroszewski począł krzyczeć i hałasować, Ciesielski mu pomagać; miecznik wziął pierwszego za rękę.

— Będę — rzekł ostro — zmuszony kazać was za mur wyprowadzić, nie czyńcie mi tu burdy i idźcie sobie z Bogiem.

— Ale to tyranja niewidziana, to ucisk swobody szlacheckiej.

Rozśmiał się pan Zamojski.

— Ojcze Pawle, — odezwał się — ci panowie już się widzieli ze swemi, zostać, zdaje się, nie pragną, my czasu nie mamy, każcie ichmościom furtkę otworzyć.

Napróżno oba poczęli wołać hałaśnie i po sejmikowemu się odgrażać, na nic się to nie przydało; pan Piotr Czarniecki dodał im kilku ludzi i jak niepyszni musieli z twierdzy ustąpić.

Miller spotkał ich nieopodal.

— A co tam? — spytał z uśmiechem.

— Nie puszczają! — zawołali.

— Mówiłem wam to wprzódy! — I machnął ręką.

Oba panowie poszli do znajomych sobie kwarcianych po radę i znikli.

Wypadek ten oburzył wielu w klasztorze; szlachta, nie przywykła do posłuszeństwa, krzyczała na gwałt, kobiety płakały, księża nawet szemrali. Ksiądz Lassota wbiegł, oznajmując przeorowi, co się święci, że refektarz pełen i bodaj czy nie bunt się jawny gotuje. Kordecki szybko ruszył, biorąc z sobą po drodze księdza Stradomskiego: ale już w refektarzu jedni tylko księża się zostali, szlachta się rozpierzchła.

Zakonnicy stali jak powarzeni, milczący, chmurni, gotowali się coś mówić i obawiali rozpocząć. Przeor wyczytał myśl w ich twarzach i stanął. Wtem ksiądz Błeszyński wystąpił naprzód.

— Ojcze prezorze, — rzekł — długo milczeliśmy, długo czekali na posiłki i nadzieje, ale gdy to wszystko marne dymy, czas i nam głos podnieść. Nie zaprzeczajcie, żeśmy czynili, co mogli w obronie miejsca tego, i życie gotowi byli dać w ofierze; ale łudzić się dłużej niepodobna.

— Tak jest, — dodał ksiądz Małachowski — pozostaliśmy sami, posiłek przybyć nie może, zguba jawna i oczywista. Przeznaczył nam Bóg upokorzenie zwyciężonych, nie opierajmy mu się.

— Ojcze przeorze, — dorzucił ksiądz Dobrosz — dzisiejszy postępek wasz, który mógł być wedle praw wojny (my ich nie znamy), oburzył i zniechęcił do reszty szlachtę, strwożeni wszyscy, nas garść mała, sami nic nie zrobim. Na Boga zaklinamy was, myślmy o poddaniu się...

Tu i inni ośmieleni mówić poczęli.

— Ojcze przeorze, czas wyjść z tych omamień, kraj cały w ręku Szweda, król nas opuścił, świat o nas zapomniał;

Polska nie jest już Polską lat starych... Czas prosić o warunki.

— To zdanie wasze? — spytał smutnie Kordecki.

— To myśl i pragnienie wszystkich... zapał i wiara nie pomogą przeciw wyraźnej woli Bożej.

— Do definitorjum! — odezwał się przeor — niech dzwonek zwoła na radę!

Rzekł i wyszedł pierwszy.

Jeszcze sala była pusta, gdy ukląkł w niej przed krzyżem Zbawiciela świata i, leżąc u nóg jego, trupią głowę obyczajem zakonnym pocałował; długą chwilę pozostał tak na modlitwie gorącej, potem podniósł się, całując rany nóg, rąk i boku Chrystusowego... Zakonnicy sypali się już do definitorjum, zasiadali swe miejsca, przeor zajął swoje; twarz jego była pogodna, chwilę podumał, powlókł po nich wzrokiem, i tak mówić począł:

— Przeraża was, zakonnych ludzi, bracia moi, niebezpieczeństwo wojenne. Wielkie to zaiste i groźne niebezpieczeństwo, ale nie takie, żebyśmy dla niego zachwiać się mieli w postanowieniu bronienia miejsca świętego i spełnienia obowiązku. Królowie polscy powierzyli nam straż tej świętej góry; chcecie ją, stróże wiarołomni, oddać nieprzyjacielowi... wola wasza! Zdajcie na ręce kacerzy, co macie najświętszego i najdroższego dla ocalenia życia, ja was sądzić nie będę. — Bóg i ludzie osądzą! Nie godzi się jednak, by to miejsce pozostało bez czci i sługi, bez nabożeństwa, niepodobna, żeby wszyscy hańbą okryci opuścili ten ołtarz, jak zbiegi niewierne, którzy wzięli zapłatę wczesną, a gdy przyszła chwila niebezpieczeństwa, uszli sromotnie. Powiedzcie więc, bracia, którzy z was zostać tu zechcą, i zdać się na wolę Szweda, ja z pozostałymi, nie mogąc ani sromoty znieść naszej, ani żeby kacerze bluźniercy splamili ten przybytek— ustąpię, pójdę... Zostawuję wam wolę, czyńcie, jak się wam zda...

Proste były słowa przeora, choć goryczą zaprawne; wymówił ostatnie ze łzami, zabłyszy one na powiekach, jak krople rosy niebieskiej; ręce wyciągnął ku nim i oczy, pytając... Wystąpcie i mówcie!

Ale nikt się nie odezwał, rumieniec wstydu oblewał twarze, milczeli wszyscy.

— Przecież chcieliście poddania, mówcież więc, ja wam będę posłuszny. Ojcze Stradomski, tyś pierwszy.

Kaznodzieja nic nie odpowiedział; pytał zkolei wszyst-

kich, nikt odezwać się nie śmiał, tylko rzęsistemi kroplami pot oblewał ich czoła, a wzrok utopili w ziemię.

— Nikt z was teraz nie śmie okazać strachu, któregoście byli pełni przed chwilą — rzekł łagodnie. — Opamiętajcie się, bracia, i uczcie z chwilowej bojaźni, jak upaść łatwo, jak trzeba czuwać nad sobą. Na Boga! — podniósł głos — czemże dziś jest straszniejsze od wczora? wytrzymaliśmy tyle napaści stale, nic nie dokazał nieprzyjaciel, boim się więc zwycięstwa naszego? Widzicie, że załoga, uzbrojenie, zapasy wystarczają nam przy pomocy Bożej; przyjdą może i posiłki, słyszeliście, że Polska cała ze zgrozą obudziła się ze snu i zdrętwienia; król wróci do kraju, przypomną sobie ludzie, że my jedni trwaliśmy! Nie dawajmy ucha poszeptom bojaźliwych i krótko widzących ludzi... niech się lękają, myśmy wyżsi być powinni nad strach ten ziemski i płochy...

Mówił i nikt mu nie przerwał; a wtem braciszek Paweł zapukał do drzwi z listem w ręku.

— Konstancja list ten na wałach w śniegu znalazła. Cudownie to pismo dla dodania otuchy przybyło, jakgdyby modłami Kordeckiego wywołane; pisał je niejaki Jan Maj, Sandomierzanin, do brata w Sieradzkiem, ktoś poczciwy podrzucił. Były to wieści o Tatarach idących wielkiemi zastępy w pomoc Kazimierzowi. Przeor odczytał i oddał księdzu Stradomskiemu.

— Bóg łaskaw, — rzekł — dajcie czytać małowiernym, niech się w postrachu utulą.

To mówiąc, wyszedł, zostawując księży zawstydzonych i niespokojnych. Nie było wymówek wzajemnych, ani nowego szemrania, westchnęli tylko i rozeszli się z uczuciem wiary, z pragnieniem poprawy; każdy ważąc i poświęcając chętnie swe życie.

Ale ze szlachtą nie tak poszło łatwo: tu przeor nie mógł każdego zosobna ani razem wszystkich, zgromadziwszy, zawstydzić, upokorzyć i wlać sił, których brakło; strach głośniej mówił nad wszystko w świecie, do tych zwłaszcza, co tu mieli żony i dzieci, a obawiali się rzezi i gwałtu. Ranny napad Jaroszewskiego, łzy samej pani, postrach panien Ciesielskich rozeszły się po całym klasztorze. Chcieli szlachta z zakonnikami razem zmusić przeora do poddania, ale po naradzie w definitorjum ojcowie paulini usunęli się i sami znajomych na drogę męstwa zwracali, nie chcąc już pomagać szlachcie. Kilku ze starszyzny, mając na czele Zamojskie-

go i Czarnieckiego, trzymali się niezachwianym umysłem, reszta burzyła się, a było tego z pięćdziesiąt rodzin. Biegali oni jak poparzeni, lamentując, radząc, narzekając na nieszczęśliwą godzinę, w której się tu schronili. Pani Płazina w tej zawierusze miała wyborne pole nagadać się, nabiegać, nazaczepiać co młodszych i nanosić plotek, tak że zapomniała nawet o swej jaśniewielmożności i państwie. Godny jej małżonek pan Płaza, jakiś Mrowkowski i kilku innych przewódców na serjo zbierali wota do poddania się i gotowali iść do Kordeckiego. Ale Czarniecki, który to poczęści przewąchał, rozkazał zgromadzić się ludziom załogi, rozdał wszystkim po szklanicy miodu, przyrzekł sowitą gratyfikację i poprostu rzekł do nich:

— Moi kochani, coś tu u nas śmierdzi zdradą, panowie bracia szlachta zaczynają tchórzyć i myślą o poddaniu. Ksiądz przeor o tem słuchać nie chce, a nas większa część postanowiliśmy trzymać się do upadłego. Otóż chciałem wam powiedzieć tylko to, że który z was miałby ochotę zwąchać się z tchórzami, straci odwagę, a mówić będzie o poddaniu, albo wejdzie w jakie konszachty, to mu, tak mi Panie Boże dopomóż, jak psu, własną ręką w łeb wypalę. Macie więc wóz i przewóz, jak się, da Bóg, ta szwedzka robota skończy, każdy otrzyma podwójną płacę roczną w nagrodę; kto co złego pomyśli lub zamierzy, zginie nie od Szweda, ale ode mnie. Znacie mnie, że jestem słowny; a teraz na mury i zwijać mi się gracko.

Załoga poszła rześko, i już w niej pomocnika nie mieli bojaźliwi, co się na niej opierać chcieli. Kordecki, choć nie wiedział, co się stało, gdy się stało, pochwalił. Zamojski tylko trochę się namarszczył, bo gotował piękną bardzo mowę do załogi, a ta już była niepotrzebna. Trzeba wyznać, że ruchawość pana Czarnieckiego, jego zwycięska wycieczka, jego skromne a poczciwe krzątanie się około obrony klasztoru trochę spać nie dawały panu miecznikowi. Nie żeby, uchowaj Boże, zazdrościł tych usług Czarnieckiemu, ale że mimo pracy swojej chciwy dobra człowiek pragnął go gorliwością prześcignąć. I nieraz pani miecznikowa widziała go po nocach, gdy na chwilę zszedł z murów do niej się dowiedzieć, tak zadumanego głęboko, jakby losy świata ważył w ręku. Był to skutek podobny temu, jaki laury Miltjada czyniły na Temistoklesie.

— Co u licha! — mówił sobie pan Zamojski — to niepodobna, żebym i ja też czego nie dokazał. Co kto zrobi, to

on; wszędzie mnie wyprzedzi, wszędzie drogę zabieży, wszędzie znajduję go już po capstrzyku, gdy ja dopiero się gotował z myślą moją. Tak być nie może. Juściżem ja wódz naczelny po księdzu przeorze, muszę także się z czem popisać.

I dumał tak poczciwy miecznik dni całe i noce, a zobaczymy, że niedarmo.

XIII.

Szwed, spróbowawszy ze wszystkich stron, zostawił południową na sam ostatek; tu była brama główna ze wzwodem, tu ponad kortyny wysuwały się wysoko mury kościelne. Postanowiono więc wziąć z dwóch boków kościół i kaplicę N. Panny, ogień skierować na nie i zmusić gorliwych o całość przybytku zakonników do poddania, grożąc zniszczeniem zupełnem. Miller miał tę myśl od początku, odwodzono go od niej; wyczerpawszy środki, postanowił przyprowadzić ją do skutku, i zaraz dnia następującego po nowych przysposabianiach na węgle wschodnio-południowym rozpoczął czynny ogień.

Była to godzina chóru, zakonnicy wszyscy znajdowali się na nabożeństwie swojem; szmer modlitwy rozlegał się w kościele, gdy szwedzkie działa, wymierzone na samą świątynię, strzelać poczęły.

Miller wiele rachował na słabość murów długiemi oknami przeciętych i kierowano kartauny tak, aby podciąć u dołu mury i obalić je. Straszliwy huk zagłuszył modlitwę, ale jej nie przerwał; wtem usłyszano na dachu kościelnym druzgocące się krokwie i belki. Blady przestrach ogarnął starców, ale przytomność przeora, który się modlił nieulękły, nie dozwoliła uciekać... Ogień działowy co chwila stawał się żywszy, zdala dochodziły krzyki i łoskot niepokojący.

Wtem zdało się jakby gmach cały miał runąć i ziemia rozstępowała pod nim; wszyscy zakonnicy, oprócz przeora, na ziemię upadli; dym, pył, kurzawa, gruzy napełniły przybytek... kula od kościoła Św. Barbary puszczona, rozbiwszy okno, z częścią muru ponad głowami mnichów, przeleciała w sam środek gmachu. W tej samej prawie chwili druga, w bok kaplicy w ścianę janitorjum uderzywszy, okna w niej połamała. Chwila to była okropna i popłoch niewyrażony, dalekie krzyki Szwedów, jęk bolesny zakonników zwięk-

szały się razem z wrzawą boju i hałasem strzałów, wszyscy uciekać zaczęli, wołając:

— Matko Boża! Matko Boża! zmiłuj się nad nami!

Kordecki powolnie, ostatni zszedł z chóru i wstrzymał zbiegów spłoszonych.

— Tu miejsce nasze, tu! u Jej ołtarza... korzmy się i ufajmy, a nic nas nie dotknie...

Grzmiały działa, waliły się z wyżyny nadwątlonych cegieł ostatki, padały szyby okien i ramy, gdy przeor, uciekających zwoławszy głosem potężnym, uklęknąć im kazał. Święty Boże! rozległo się wśród huku strzałów. I działa zdawały się posłuszne modlitwie; drżeli mnisi, oczekując nowego wystrzału, ale już kula żadna nie śmiała przerwać pobożnego śpiewu. Dokończywszy pieśni, śpiesznie rozbiegli się paulini, Kordecki zamykał szereg, niezlękniony, poważny, zadumany, wtem za szkaplerz pochwycił go braciszek Paweł wylękniony i blady.

— Ojcze przeorze — brama!

— Cóż w bramie? jużciż nie Szwedzi?

— Nie, ale wzwód strzaskano, kula przebiła sklepienie i pogruchotała muszkiety wiszące w izbie Kaspra.

— Znać już nie będą nam potrzebne — chłodno odpowiedział Kordecki.

Zamojski już był obejrzał tę szkodę i kierował odwetem, celując działa z narożnej baszty.

Szkód znacznych nie było, na dachach, w części połamanych, ogień się nie wszczął, kule padające nadszczerbiły murów, ale nic nie obaliły. Szwedzi około południa musieli wstrzymać ogień, bo ich wielkie kartauny do ciągłego strzelania zbyt wiele brały prochu, a nie było go poddostatkiem, musiano oszczędzać; z trafnego zaś strzału do kościoła i kaplicy wnoszono, że zakonnicy dosyć przerażeni być muszą. Czekano parlamentarzy, ale napróżno; nikt z klasztoru nie przybył; spodziewano się do wieczora, wyglądano, noc nadeszła, a twierdza nie dała znaku życia.

Ale w niej, niestety, nie tyle było odwagi i wytrwałości, ileby spodziewać się można. Strach znowu, rannemi kulami podbudzony, grał we wszystkich sercach, Kordecki udawał, że go nie widzi długo, wreszcie schadzki, namowy i szemrania szlachty w oczy skakać poczynały. U pana Płazy narada ciągła od rana do nocy, i coby mieli na mury pójść z innymi, to zasiędą u kuflów, straszą się Szwedami, lub opowiadają jacy to oni dla upokorzonych łaskawi, a na-

wet grzeczni. Jeden drugiego zachęca, aby iść do przeora i naglić o traktaty.

— To ksiądz, zwyczajnie ksiądz, — rzekł pan Płaza — nic nie rozumie, panu Zamojskiemu teraz w głowie desperacja, że go Szwedzi prześladować będą, a Czarniecki, wiadomo, choć go zwiąż, to się bić będzie; wszyscy zacietrzewieni, pod nosem nie widzą, że lada chwila Szwed zdobędzie Jasną Górę.

— Co tu długo gadać — rzekł drugi — tu o naszą skórę chodzi, myśmy się tu schronili dla bezpieczeństwa, nie żeby głowami przypłacić i żonki Szwedowi oddać, albo niech nas puszczą, albo niech się poddaje! — Już kiedy kule kościoła nie szczędzą, — rzekł trzeci — niedługo tu i nam się osiedzieć!

— Do przeora! do przeora! — zawołali wszyscy i wyszli gromadnie, hurmem przeciw księdzu Kordeckiemu.

Nie zastali go nigdzie w twierdzy i musieli szukać aż w celi, bo dysponował właśnie coś z powodu rannej szkody kościoła, gdy szum w korytarzu oznajmił cisnącą się szlachtę. P. Płaza po przedzie. Przeor poznał z jego twarzy o co chodzi; szlachcic naprzód popchnięty rad nierad z perorą:

— Przyszliśmy — rzekł, pokłoniwszy się — spytać waszej przewielebności, co myślicie i czego czekacie z tą zwłoką, gdy niema odrobiny nadziei żadnego posiłku, nieprzyjaciel panem wszędzie, trzeba się ratować, trzeba poddawać, bo niema co bałamucić... darmo, mości przeorze, — przyszła godzina...

Kordecki twarz łagodną zmienił wyrazem surowym i chłodnym, stanął przed nim jak sędzia.

— Nie na wszystko, czego żądamy, — rzekł — Szwed się godzi, bo na skalanie świętego miejsca przez kacerzy my zezwolić nie możemy. Wy, miłościwi panowie, znużeni pracą, jak się wam wydaje, niepowodzeniem, chcecie układów, ale pomyślcie, czy i poddanie klęską nie będzie? Wiemy, jak dotrzymali obietnic w Krakowie... Nie naglijcie o poddanie, abyśmy my przez was niegodnymi świętego miejsca uznani nie byli. Gorsze upokorzenie od wojny.

— Ale, księże przeorze, — przerwał Płaza — tu o nas chodzi!

— Wcale nie o was, — odpowiedział przeor — naprzód o ołtarz, potem o nas wszystkich, a nie o was tylko, a poddać się nie poddam.

— Więc nas z żonami wypuśćcie!

— Nie prosiłem, byście przyszli, owszem samiście się tu wpraszali, nie cofajcież się; chociażeście mi raczej zawadą niż pomocą, ale was uwolnić nie mogę, załogę i poczciwy ludbym strwożył.

— Więc będziemy zmuszeni... — rzekł, poczynając, inny...

— Siedzieć spokojnie — dodał Kordecki — i nie odbiegać od drugich; wiedzcie bowiem, że ani was puszczę, ani się poddam.

Na te słowa, wyrzeczone stanowczo, nie było co odpowiedzieć; chciał pan Płaza mruknąć coś jeszcze.

— Dzwonią do chóru, — rzekł szybko przeor — modlitwa zbawieniem naszem, nie przerywajcie mi jej, proszę.

Poszli tedy jak zmyci, w dziedzińcu czekała reszta szlachty na swoich deputatów.

— A co? — spytali — coście wskórali?

— Dostaliśmy po nosie, niema co i mówić więcej, to hetman, nie przeor! nie da on sobie rozkazywać. Nie wiem, co nas tu wpędziło, a teraz siedzieć mus.

— Ale cóż to będzie? — co to będzie? — zawołały kobiety.

Tchórze rozeszli się pocichu.

XIV.

Nad brzegiem stawu, w kruchym i wątłym jeszcze lodzie przerąbawszy płonki, Polacy, co ze Szwedem byli, a od wojaczki wymówiwszy się, spoczywali, łowili sobie rybę na adwent. Nudno bo to było żołnierzowi stać, prochu wąchać, strzałów słuchać, Szweda pod nosem mieć, a szabli nie dobywać i nie mieć z kim się potuzać. Tu niby przyjaciele, tam Matka Boska i bracia, a ręce gdyby związane. Niejeden klął, na czem świat stał, ale głową muru nie przebić; patrzali, ziewali, grali, śpiewali, niejeden z desperacji, opończą otuliwszy się, spać kładł, spał noc, zjadł i spał znowu, i spał aż puchł od tego odpoczynku; drudzy włóczyli się po mieszczanach częstochowskich na gawędy, na piwo i miód, na wspólne wzdychanie. I choć to łyczaki, ale gdy niema do wyboru jeno Szwed albo mieszczanin, woli szlachcic mieszczanina, wolałby w ostatku Żyda, bo z nimi się rozgadać można.

Otóż kilku z tych biedaków, że to był post, a nie było co robić, dostawszy niewodu w miasteczku, włoków i sieci,

poszli do stawu i takie miejsce wybrali sobie doskonałe, że za pierwszem zarzuceniem coś bardzo wielkiego i ciężkiego złowili.

— A juściż to nie ryba, kiedy aż niewód pęka! — zawołali ci, co ciągnęli.

— Nuże zobaczymy co to! I jak poczęli kijmi, hakami, siekierami borukać się z tym cudownym potworem, aż na wierzch dobyli kilka zkolei beczek sporych dobrze zadnionych, a niezmiernie ciężkich.

Zbiegło się tedy ciekawych dosyć, a tu zaraz i starszyzna, nuż zasmolone solanki odbijać. Aż kiedy spojrzą wewnątrz! pateny, wota, monstrancje, kielichy, trybularze, ampułki, srebra kościelne... popatrzyli i ręce im opadły.

— O! cóżeśmy to najlepszego zrobili! dzień biały, a tu Szwed za pasem, szpiega dosyć, co tu począć? Zabrać kościelne, niechże Bóg uchowa! dać wziąć rabusiom nielepiej, więc co najprędzej chować i ukrywać, nim się Miller dowie.

Tak się też stało, siedli zaraz w kilku na koń, wzięli beczki na wozy i do księdza Rychtalskiego z tą zdobyczą. Na przypadek tylko, co było nie święconego, kilka naczyń zostawili, gdyby się bardzo Miller napierał, aby mu czem gębę zatkać. Ledwie się to stało, a już generał wiedział o wszystkiem.

Co to Szwedowi srebro! jak mu powiedzieli o połowie, poleciał zaraz Wejhard na miejsce przysłużyć się co najrychlej, i zapłacić z cudzej kieszeni za wszystkie strapienia. Stanął w miejscu, ale tu tylko niewód leżał mokry jeszcze, kilka płotek, trochę klepki i wiele traw a muszli dobytych ze dna.

— Gdzie srebra? — rozbiegli się Szwedzi — gdzie srebra? — srebra?

Nikt o nich nie wiedział. Poszli do starszych, potem do towarzyszów, ale srebra, jakby je znów utopił w wodę; nikt powiedzieć o nich, nikt wydać ich nie chciał. Szwedom znowu przy kwarcianych nie wypadało bardzo chciwymi się pokazać.

Powiedzieli, że Miller, dla większego bezpieczeństwa, chciał srebra zabrać na schowanie, ale sreber ani śladu.

Generał pokwaśniał bardzo, posłaniec gnał posłańca, śledzono, pytano, dokuczano, nudzono, nadaremnie; musiał Trupski i Zbrożek zostawione na przypadek kilkaset grzywien odwieźć Millerowi. Był to łom jakiś, czyjaś ofiara jeszcze nieużyta na potrzebę kościelną, Miller rzucił się na

zdobycz, skrzywił, gdy ją zobaczył, przecież i tego nie odrzucił.

Wejhard już motał sobie jakieś na srebro projekta.

W klasztorze pan Jaroszewski już był, z polecenia kwarcianych rzucił kartkę uwiadamiającą zakonników o połowie sreber i skryciu ich w miejscu bezpiecznem; przeor ani się uląkł, ani zabolał, ani zadziwił.

— Srebro, — rzekł — to mniejsza, Bóg dał, Bóg wziął, byle ołtarz stał nienaruszony.

W namiocie Millera tymczasem osnuwano nową robotę; posłano żądać rozejmu, zakonnicy nań zezwolili, bo radzi byli spocząć, a Wejhard nalegał, poddając gwałtem myśl swoją, zaręczając, że wyborna i skuteczna, bo wszystkie takie były, póki ich nie spróbowano.

— Panie generale, — rzekł — myśl trafna...

— Trafna? prosimy o nią.

— Mnisi — mówił żywo niezrażony hrabia — są chciwi nad miarę i łakomi; posłać do nich, ofiarując im oddać srebra, jeśli się poddadzą. Będziemy w Jasnej Górze mieć ich dziesięć razy tyle.

— Istotnie, to może niezgorsza siatka na mnichów — mruknął Miller... Cóż więcej?

— Wymawiają się, że nie mogą przyjąć na dowódcę twierdzy człowieka obcej wiary, a mnie czynią bluźniercą, i dają mi także ekskluzję, więc im j. m. księcia heskiego zaproponować. Byle tylko wejść, zrobi się potem, co zechce.

— Nigdy hrabiemu nie brak planów, — odparł Miller — ale dzisiejsze nad wszystkie (uśmiechnął się szydersko). A zatem pokornie im zaproponujemy: że nie chcemy niszczyć miejsca świętego (trochęśmy tylko przez nieuwagę kościoła nadbili), że własności nie ruszym, srebra powrócim i j. ks. m. Hesji uczynim komendantem. Prawdziwie, jeśli się i na to ne zgodzą, to już chyba...

— Poszaleliby — zawołał Wejhard.

— Jakże chcecie, — ze śmiechem rzekł książę heski — żeby się poddali, kiedy im się powodzi, i w dodatku mają czary, które staną za dziesięć tysięcy żołnierza!

— Czary! — zawołał rozgniewany Miller — książę to mnie prześladujesz, że i ja w nie wierzę, ale nie sąż to rzeczy niepojęte?

— Rzeczy niepojęte niekoniecznie muszą być czarami.

— Nigdy wojska szwedzkie takich klęsk, a jeszcze od

takiej garści nie poniosły, niema dnia, żebyśmy nie mieli zabitych ludzi, koni, zrzuconych dział...

— Jabym był zdania, żebyśmy się im ukłonili i poszli na zimowe leże, — odparł książę heski — toby było najrozumniej; królowi Karolowi niewiele idzie o jeden lichy zameczek nad granicą, a tracić tyle ludzi.

— Ale wstyd, mości książę.

— A! wstyd trzeba zjeść! — rzekł książę heski.

— Niechże go je hrabia, który nas tu sprowadził — odpowiedział Miller.

Wejhard się wymknął, śmiejąc, niby nie zrozumiał.

Nazajutrz posłowie znowu, któż jeśli nie pan Kaliński? Już się go w klasztorze obawiali i nudzili nim, ale jak było nie przyjąć pana starosty, który przychodzi *qua* przyjaciel, protektor i pośrednik? Wprowadzono go do celi przeora, podano wina, zeszło się zakonników dosyć. Zamojski pamiętny kłótni ostatniej pójść nie chciał, Czarniecki wolał z nim zostać na murze.

Starosta długo smażył przemowę i racje, długo zajeżdżał z prawa i z lewa, wychwalając Millera, wielbiąc Karola Gustawa, unosząc się nad sercem Wejharda, nareszcie *ad rem* przystąpił, a że to był człowiek wysoce ceniący bezinteresowność, bo sam nigdy się na nią zdobyć nie mógł, począł od sreber.

Przeor się zlekka uśmiechnął.

— O srebra te — rzekł — jesteśmy spokojni, są one w ręku kwarcianych pod waszem, panie starosto, dowództwem zostających, nie ulegają więc żadnemu niebezpieczeństwu — nie mogły w lepsze dostać się ręce. To, co u Millera, wątpię, żebyśmy zobaczyli, ale mniejsza i o to.

— Generał powróci wszystko co do odrobiny.

— Prawdziwie, wspaniałomyślność wielka, oddać nam naszą własność! — rzekł Kordecki szydersko.

— Zdobycz — podchwycił starosta.

— Zdobycz kościelną! a! niechże się nią cieszy — nie pierwsza to.

— Ale Miller daje wam przytem złote warunki, niepodobna, żebyście ich nie przyjęli, księże przeorze. Bójcie się Boga, gubicie się... Dowódcą wyznacza księcia Hesji, własność zapewnia; zapewnia...

— A kto zapewni za Millera? — spytał cicho Kordecki.

— Jakto? i jemu nie wierzycie?

— Patrzcie, panie starosto, co się dzieje w Polsce, a nie

zdziwicie się temu. Wittemberg większy pan i starszy od niego dowódca, a co zrobił z Krakowem; popytajcie piechoty Wolffa, oni wam powiedzą, jak dochowano przysiąg.

Starosta, zawstydzony, westchnął ciężko.

— A! — rzekł — zapewne srogi to los ulegać prawu zwycięzcy, cóż gdy nieuchronny.

— Nie mówcie tego słowa, — odparł przeor — nic niema niepodobnego Bogu, wierze i zgodzie: wrócim do swoich praw i króla.

— Daj Boże! — zawołał starosta, zamyślając się — ale byćże to może?

— Będzie! — żywo rzekł zakonnik.

Zamilkli na chwilę.

— Cóż odniosę Millerowi? — spytał Kaliński.

— Odnieście mu to raz jeszcze, co już słyszał nie raz: zostaniemy wierni królowi naszemu, nasze bezpieczeństwo nas tylko obchodzi, twierdza jest naszą, a my w niej panami. Przy obcej załodze, upadłaby chwała Boża, stawszy się teatrem wojny, przestałaby być Jasna Góra celem pielgrzymek i miejscem nieustającej czci Matki Boga żywego. Jeśli kiedy do kapitulacji przyjdzie, o czem wątpię, — dodał przeor — będziemy żądali dowódcy Polaka i to takiego, którego sobie wybierzemy sami. Co się tyczy sreber, wy najlepiej wiecie, panie starosto, że są bezpieczne, bo zostają w ręku Polaków i katolików, a na ich czci i wierze polegamy spokojni.

— Ubolewam nad losem waszym, — odezwał się starosta — ale cóż, gdy was przekonać niepodobna.

— Tak, niepodobna, — powtórzył stanowczo Kordecki— chcemy dać przykład sługom ołtarza i synom kraju tego i umrzeć bodaj za wiarę, za kraj i króla!

— Miller poprzysiągł zdobyć Częstochowę.

— Myśmy przysięgli bronić jej do ostatka, wszystko, nawet przysięgi w ręku Boga.

— Wiecie, że nowych sprowadził górników, że spędził ludzi i minami was wysadzi.

— Niech wysadza! — rzekł przeor spokojnie.

— Klasztor, kościół, domy, wy, wszystko wyleci w powietrze.

— Stanie się, jak Bóg zechce — odpowiedział niezłamany zakonnik.

Po tych słowach, widząc, że nadaremnieby pracował,

Kaliński klasztor opuścił, a odpowiedź, którą przyniósł Millerowi, zdziwiła go i zasmuciła. Nic na nią nie rzekł.

— Do jutra! — szepnął tylko.

Sam pozostawszy, chodził jak zbłąkany; wszystko to, co zniósł pod Częstochową — snem, urojeniem, marą mu się wydawało; całe to oblężenie, zapasy z garścią bohaterów, usiłowanie marne, bój, traktowanie miały w sobie tyle cudowności, że nawet zimny umysł jego ją uczuł.

— Czary! — powtarzał, chodząc — tak! to chyba czary! to siła niepojęta! tu oszaleć przyjdzie.

Zawołał cekwarta.

— Są ludzie z Olkusza?

— Są, generale.

— Dzień i noc robić minę od północy, gdzie wskazano, koło ludzi straż postawić.

— Skała twarda, idzie powoli.

Miller ręką machnął.

— Jeśli ludzi mało, dać ich więcej, posłać konnicę, niech spędzą.

— W minie wiele ich razem pracować nie może.

— Rozpocząć razem dwie, trzy, cztery, od wschodu północy, naprzeciw baszty, na węgle, z północy pod kortynę...

I tak cekwarta odprawił.

— Mnichy, — wołał, znowu zostawszy sam — wolałbym żołnierzy... Odejść i odejść ze wstydem, jeszcze w chwili, gdy podobno Polska się poczyna targać w swych więzach. Nie! nie! musimy wziąć twierdzę i w perzynę obrócić świętość bałwochwalców, gniazdo czarowników! Siłą, zdradą, działami, miną, choćby pół ludu tu legło, wezmę Częstochowę!

XV.

Z murów klasztornych widać było przybycie powtórne olkuskich górników i domyśleć się było łatwo rozpoczęcia miny; Kaliński też zapowiedział wysadzenie w powietrze, i cały znów klasztor nowy miał powód przestrachu. Szlachta jednak iść już sama do przeora nie śmiała; lament jej wszakże ciągle było słychać; lada huk wszystkim się zdawało, że lecą w powietrze, niektórzy od północnej strony powynosili się ku kościołowi i bramie, nocy nie dosypiali, a dnie spędzali, włócząc się, jak obłąkani po najdalszych podwórzach.

Miller nasyłał jeszcze ciurów z polskiego obozu, żeby załodze w uszy krzyczeli, podchodząc pod mury:

— Jeśli się nie poddacie do dwóch dni, klasztor z wami wyleci w powietrze!

Była narada jak dodać odwagi i uspokoić biednych, ale Kordecki innego nie znalazł środka, nad swój zwyczajny — wiary i zgody!! Zamojski, któremu laury pana Czarnieckiego nie dawały spoczynku, enigmatycznie się tylko odzywał:

— Poradzi się na to jutro!

— Jak? — pytał niespokojny pan Piotr.

— Pozwólcie, niech to do jutra przy mnie zostanie, i spuśćcie się na mnie...

Przeor zezwolił. Czarniecki kwaśno przyjął tajemnicę, ale cóż było robić z upartym miecznikiem; pokręcił wąsa i westchnął.

Tymczasem od rana dnia następnego Kordecki nie mógł się pokazać w podwórzu, żeby go nie otaczali z błaganiem, prośbami, łzami. Łatwo mu było odepchnąć szlachtę, dumnie przemawiającą do niego, ale co poradzić z płaczącymi? O brzasku wyszedłszy z janitorjum, zastał już zgromadzone umyślnie wszystkie kobiety, a na ich czele panią Jaroszewską z małym synkiem na ręku. Napad ten niewieści widocznie go zmieszał, a tu już kołem opasały go żony, córki i powinowate szlachty zgromadzonej w twierdzy.

— Ojcze przeorze, nie gub nas i dzieci naszych! Szwed miny podsadza, zginiemy wszyscy!! — Płacz rozległ się po podwórzu.

Stanął Kordecki, jakby czyjej pomocy wzywał.

— Moje dzieci, — rzekł do pani Jaroszewskiej — czy słyszeliście kiedy, żeby nieprzyjaciel mocny, gdy ma co począć, wprzód tem straszył? Sami to pomiarkować możecie, że właśnie dlatego, iż nas Szwed minami straszy, widać podsadzić ich nie może. Stwardnieje mu opoka za łaską Orędowniczki naszej, opadną ręce, odejdzie ze wstydem. Nie trwóżcie się, nie płaczcie, nie obawiajcie! Więcej męstwa matkom i córkom polskim mieć należy, więcej odwagi pod płaszczem Częstochowskiej N. Panny.

— Zginiemy! zginiemy! — jęczały wszystkie.

— Myślicie, że poddać się bezpieczniej? — mówił Kordecki — spytajcie tych, co Szwedom zawierzyli. Ani o siebie, ani o dziatki spokojnebyście być nie mogły, ani o mienie wasze, ani o mężów; dziękujcie Bogu, że wam dał schro-

nienie, módlcie się, a do spraw naszych nie mieszajcie, proszę, zostawcie nam ten kłopot.

To mówiąc, przeor uszedł szybko i rzucił kobiety w lamentach i niepokojach, a szlachtę, co za murem stała i czekała odpowiedzi, w zamieszaniu. Wszyscy się powoli rozeszli, narzekając.

W klasztorze widocznie coś tajemniczo się przygotowywało: pan Czarniecki bardzo niespokojny oglądał się, przewąchiwał, zrozumieć nie mógł, bo o niczem nie wiedział; a tu ludzie biegali, przyrządzali broń, czyścili zbroje, szeptali między sobą.

— Co to u licha? — mówił do siebie — czy już i mnie wyłączają nieufni? coś się gotuje. Zobaczymy przecie... a beze mnie! beze mnie!

Zamojski, czegoś niesłychanie wesół, z twarzą jasną jak słońce biegał i zwijał się cały ranek, odziany, opięty pancerzem, w czepcu od hełmu, w drucianej koszuli; schwycił go przecie na drodze oburącz pan Czarniecki, bo już dłużej wytrzymać nie mógł.

— Panie mieczniku, — rzekł — dość już tego, wczoraj coś mi cedziłeś przez zęby o dniu dzisiejszym, dziś widzę jakieś aparaty do czegoś, i nic nie wiem. Pókiż to tego będzie? czy już i mnie nie wierzycie, a to się pogniewamy doprawdy, co u licha?

— Kochany panie Pietrze, — odpowiedział, uśmiechając się, Zamojski — wszystkobyście chcieli zrobić sami, dozwólcież i mnie coś obmyślić i począć, mnie się także chce pokazać, że ja tu niedarmo jem chleb częstochowski.

— No! a ja to będę stał z założonemi rękami, przecieżbym się na coś może zdał.

— Chcecie, żebym wam powiedział, taić nie myślę — ale zgóry powiadam, że wy musicie w twierdzy pozostać!

— O! a wy to się kędyś wynosicie, patrzajcie!

— Ja robię wycieczkę.

— Jakto? o białym dniu?

— O dniu białym — triumfując nieco, rzekł Zamojski i podnosząc głowę wysoko, jakby mówił: — A co? widzisz waszeć com zacz!

Czarniecki widocznie pochmurniał, głową potrząsł, wąsa pomiętosił.

— I ksiądz przeor wie o tem?

— Dotąd nie, myślę, że byłby przeciwny, dobrałem sobie odważnych ludzi kupkę, i z południa myślę wyskoczyć.

— Tak! — powtórzył kilka razy Czarniecki — i beze mnie!

— Przypomnijcieno sobie, czemuście mnie także z sobą nie wzięli, mogę zginąć, na was cała obrona klasztoru, niepodobna, żebyśmy szli oba. Bądźcież sprawiedliwi, wy swoje już zrobiliście, niechże i ja skosztuję szwedzkiego mięsa.

— Tak! tak! ani słowa — niechętnie mruczał pan Piotr. — Ślicznie obmyślano! są racje, ale ekskludować mnie od tej uczty, panie mieczniku, nie po kawalersku! nie!

Pomimo że Czarniecki był chmurny, uściskali się jednak.

— Daruj, panie Pietrze, nie gniewaj się, — mówił Zamojski — wy to najlepiej wiecie, co to za męka siedzieć tak, patrzeć na Szweda, a nie ruszać się; wy swoje zrobiliście.

— Ba! kiedy to co było — zawołał Czarniecki — a w dodatku robiłem wycieczkę po nocy, wykradliśmy się jak złodzieje; a tu po dniu! Aj! aj! mieczniku, djabelnego spłatałeś mi figla, a ja głupi, żem się nie domyślił. Ale stało się.

Zamojski zacierał ręce i śmiał się ochoczo, a taki był rad, że drżał jak dziecię, któremu nową pan rodzic przywiezie zabawkę; zato pan Piotr chodził zasępiony i urażony, choć się z resentymentem ukrywał jak mógł.

Nadszedł przeor i bystrem okiem zmierzył obu.

— Co to, panie Pietrze, tak kuso poglądacie mi coś, a pan miecznik czegoś się śmieje.

— Wielka rzecz! bankiet sobie sprawia i nie lada! a nikogo nań nie zaprasza! Cała moja nadzieja, że mu to ksiądz przeor z głowy wybije.

— No! cóż to takiego?

— Popytajcieno, co zamyśla!

Zamojski już sam podstąpił do Kordeckiego.

— Ot, figielkam splatał panu Czarnieckiemu; jemuby się chciało wszystko samemu pomyślić i zrobić, a tu coś się uplotło bez niego, kwaśno tedy przyjął. Ale na rany Chrystusowe! nie trzeba być tak zazdrosnym!

— Ależ ja o niczem nie wiem — spytał przeor niespokojny.

— Cała rzecz, dłużej się z tem taić niema czego; dziś z południa robię wycieczkę na Szwedów; ludzie gotowi, obmyślano wszystko; wpadniemy jak piorun na zajętych około miny, dopadniemy może dział, żeby je zagwoździć jak pan Czarniecki; co się nawinie nasieczem i powrócimy.

Kordecki stanął zdziwiony tą myślą tak śmiałą, a Czarniecki ciągle powtarzał zcicha:

— Licho go nie wzięło! po dniu! po dniu!

— Ale to niebezpieczeństwo wielkie, waćpan zginąć możesz i ludzi potracić — zawołał przeor.

— Napróżnobyście mnie od tego odwodzili, rzecz gotowa, obrachowana i stanie się, jak mówię. Szwedzi nie spodziewają się wcale, zobaczycie, że się uda; pójdzie jak z płatka.

— Ej, panie mieczniku, zastanówcie się.

— Zastanawiałem się i zrobię.

— A w dodatku! — odezwał się pan Piotr — i mnie z sobą brać nie chcą!

— Nużbyśmy oba zginęli lub w niewolę byli wzięci, któżby został do pomocy księdzu przeorowi?

— Obu nie puszczę! — przerwał stanowczo Kordecki — to daremna rzecz!... dość i jednego narazić! ale zlituj się, mieczniku, miarkuj...

— Wymiarkowane...

— A nuż Szwedzi?

— Proszę mi serca nie odbierać, — przerwał Zamojski— żebym też i ja wycieczki nie zrobił! Dość siedziałem za piecem.

Przeor podniósł oczy, westchnął i z rozczuleniem uścisnął Zamojskiego.

— Niech cię Bóg prowadzi, kiedy natchnął, — odezwał się — czemuż Polska nie ma więcej takich synów! Zdaliby się na te czasy zwątpienia i obojętności! Niestety! wyście tylko wyjątkami!

Zamojski przerwał rozczulenie i wykrzyknik:

— Panie Pietrze, wy działa wykierujcie dobrze zawczasu, a jeśliby się za nami pogoń puściła, przyjmijcie ją gościnnie, nie żałujcie prochu.

— To się rozumie, — odpowiedział Czarniecki — ale wam taki darować nie mogę, że mnie z sobą wziąć nie chcecie.

— Panie Pietrze, sam widzisz, że to niepodobna.

Mówili jeszcze, a pan Zamojski w cichości lud swój zbierał, oglądał, rozkazy dawał, krzątał się. Nie wiedzący o niczem szlachta patrzali z podziwieniem, nie mogąc pojąć, na co się to przysposabia.

Około południa, furtą od strony wschodniej dobrze w fosie ukrytą i kamieniami zawaloną, wyprowadzono naprzód przeszło stu piechoty, różnego ochotnika, do przekopu. Zamojski czekał, żeby Szwedzi obiadować siedli: nieco

się od murów oddalili za baterje swoje. Gdy się to stało, bo nic nie domyślając się, zwolniwszy ognia, który żywy, dla niedostatku prochu i długo utrzymywany być nie mógł, rajtary i piechota cofnęli się do obozu. Nastąpiła zwykła chwila spoczynku.

Zamojski, wziąwszy na siebie świętości, zstępował ku przekopowi, a tu na niego uzbrojony już czekał syn i pani miecznikowa. Pożegnanie ich krótkie, rozczulające było mocą duszy obojga. W milczeniu pocałował w czoło miecznik swoją Teklusię i z wesołą twarzą rzekł:

— Bóg z nami, moja jejmość, nie traćcie serca, kogo chce Wszechmocny ocali, a przedewszystkiem powinność!

— Niechże Bóg uchowa, żebym cię od niej miała odwodzić, panie Stefanie, — odpowiedziała matrona z męską dumą odwagi — żal mi tylko, że z wami niebezpieczeństwa podzielać nie mogę. A jednak, pamiętaj jegomość, że masz żonę i syna... nie zapędzaj się zbytecznie. I tu jesteś potrzebny i wszędzie.

Łzy puściły się z oczu żony i matki, żegnała męża i syna, dwie najdroższe na ziemi istoty; w ręku trzymając krzyżyk z partykułu drzewa żywota, żegnała nią i drżała, błogosławiąc obu.

— Nie narażajcie się zbytecznie, nie narażajcie, panie Stefanie — mówiła nieco przerywanym głosem, łkając, a starając się ukrywać łzy swoje. Jegomość pilnuj Stefanka, on jeszcze młody i niedoświadczony. Niech was Bóg strzeże, błogosławi, prowadzi i przyprowadza, w Imię Jego święte.

To mówiąc, miecznikowa upadła na kolana, schylając głowę i modląc się. Zamojski w milczeniu przestąpił furtę, a przeor błogosławił imieniem Boga Abrahama i Jakóba...

O! trzeba było widzieć ten obrazek prostej, a wielkiej piękności, te modlitwy i męstwo niewiasty, twarz jasną, a rozrzewnioną przeora, poważne lice miecznikowej, zapałem wrące oczy Stefanka, czoło bohaterskiego wodza i łzawe wejrzenie poczciwej kobiety, co wszystko najdroższe ofiarowała Bogu, nie śmiejąc cofnąć swej ofiary jednem głośniejszem westchnieniem — trzeba było widzieć obrazek ten ciasną ramą maleńkiej furty zamknięty, przed oknem widzów skryty, by pojąć jego uroczystą powagę.

Pan Czarniecki stał na uboczu i powtarzał wpół gniewnie, wpół radośnie:

— Po dniu! po dniu! Podszedł mnie niegodziwie, ale oddam za swoje, zobaczymy!

Łatwo wyobrazić sobie można, z jakim niepokojem wszyscy od furty wstąpili na mury.

Najmężniejszy z obrońców Częstochowy szedł się mierzyć z tysiąc razy silniejszym nieprzyjacielem, w jego paszczę się rzucając z bohaterską odwagą. Przeor, miecznikowa, wszystka szlachta, wyjściu przytomna, skoczyli na blanki patrzeć i modlić się na ich intencję. W kościele *sub tuum praesidium* przed ołtarzem śpiewano. Czarniecki już działa ustawiał, puszkarzy napędzał, nabijał, celował i poglądał okiem pełnem zazdrości i chciwego męstwa.

Pędem lecąca ukazała się garść Polaków na drodze; droga była pusta, w cichości wystąpili niepostrzeżeni pod samą baterją nieprzyjacielską, która milczała; Zamojski szedł na przodzie, syn obok niego. Gdy już byli blisko dział, pani miecznikowa, nie mogąc znieść tego widoku, prosiła, by ją odprowadzono do kaplicy... Przeor nie schodził z murów.

Zamojski, dobywszy się z przekopu, co sił w ludziach było poskoczywszy na baterję węgła wschodnio-północnego, przypadł do niej, nim Szwedzi, leżący za szańcem, zobaczyli go, i zleciał im na kark jak piorun. Nagle krzyk dał się słyszeć aż u murów, bo już piechota jasnogórska rąbała i siekła, a część jej zaraz pod wodzą miecznika oddzieliła się na Olkuszan u miny robiących. Młody Zamojski został przy baterji, którą naprędce zagwożdżono, odrąbując się Szwedom w niewielkiej garści tu pozostałym. Ale już i w obozie dalszym postrzeżono zamieszanie, posłyszano strzały, ruszyli się zewsząd Szwedzi.

Tymczasem, gdy syn działa gwoździ, miecznik do miny doskakuje, biedne ludziska na kolana padli, zobaczywszy go.

— Myśmy zmuszeni, my katolicy! — zawołali.

— Szwedów tylko bić! — krzyczał do swoich Zamojski — ci są niewinni, to nasi! Do domu uciekajcie! — rzekł do górników — nie pomagajcie przeciwko swoim!

Kilku warty szwedzkiej, co tu stała, zaraz przybito, a miecznik, rozpędziwszy Olkuszan, szybko zawrócił się do baterji, przy której syna zostawił: a tu już wrzask i krzyk, i wrzawa w obozie ogromna, widać oddział konny od miasteczka Częstochowy siadający na koń, trąby grają wściekle; czas zawracać!

Nim się tam pogoń wybrała, bo koni posiodłanych nie było, miecznik całym swoim oddziałem odepchnął Szwedów od ich szańca, i pogonił za nimi z odwagą zuchwałą, drogą ku obozowi, od miasteczka do wsi wiodącą. Był to za-

pęd niebezpieczny, ale się też wkrótce opamiętał Zamojski, bo i jazda okazywała się wdali; zawołał do odwrotu swoich, i spojrzawszy na nich (jednego mu tylko brakło), poprowadził nazad. Żywo potrzeba było śpieszyć ku przekopom; jazda goniła cwałem, ale, gdy się Szwedzi zbliżyli na strzał działowy, Czarniecki kazał dać ognia w ten kłębek, i musieli się przyzastanowić, bo szyk się zmieszał i kilku z koni spadło. Żołnierze zaczęli po swojemu wołać: — Czary! czary! a rajtary, nie myśląc już gonić Zamojskiego, kręcili się jak opętani pod strzałami twierdzy.

Wycieczka była widocznie ocalona; przeor Bogu dzięki składał; po chwili wszyscy żołnierze w przekopie się skryli.

Szwedzi w początku nie mogli się opamiętać ani pojąć, co się stało, ani zrozumieć tego zuchwalstwa ze strony oblężonych.

Miller był u stołu, gdy mu tę wieść przyniósł zraniony puszkarz. Obaczywszy go w namiocie, rzucił nóż generał, zerwał się i jakby się czegoś już spodziewał, zawołał:

— Znowu coś! Co to jest?

— Załoga klasztorna wypadła na baterję... pocięto nas, zagwożdżono działa, ubito ludzi kilkunastu, i rozpędzili górników od miny.

Wszyscy osłupieli.

— W biały dzień! wśród nas! wpadli! to być nie może! poszaleliście! — krzyknął Miller, osowiałym wzrokiem wiodąc dokoła.

Wszyscy ruszyli się od stołu i kto żyw dopadł konia. Miller kazał sobie podać także, i cwałem na miejsce wycieczki popędził. Tu tylko ślady pozostały zwycięskiego przejścia miecznika. Dwa wielkie działa zagwożdżone były na nic, mnóstwo broni, stojącej w kozłach, ile dźwignąć mogli, zabrali: trupy pobitych leżały niektóre jeszcze z łyżkami w garści, inne z połamanemi szpadami. U miny straż wszystka pobita, Olkuszan ani śladu.

Millerowi jakby mowę odjęło: jeździł, patrzał, oczom nie wierzył, powracał nazad, jechał znowu, nareszcie milczący skierował się ku swemu namiotowi.

Namiot wodza stał przykryty nieco pagórkiem, ale nieopodal od twierdzy; w wycieczce swej Zamojski dokładniejsze o jego położeniu powziął wyobrażenie i zaledwie hełm zdjął z uznojonej stroni, pobiegł zaraz do Czarnieckiego.

— Panie Pietrze, — rzekł — widzicie ten spadek pagórka?

— A co? widzę — odparł Czarniecki.

— Tam powiewa chorągiew i stoi namiot Millera, dobrzeby choć spróbować dać mu dobrywieczór.

— Masz, mieczniku, rację...

Zawołali puszkarzy, meta trochę była daleka. Tymczasem generał wracał gniewny do namiotu, gdy się to działo na murach; nagle jakiś szał go porwał; kazał zebrać pułkowników, zmusił się do śmiechu i wesela, ponalewał becherki i zawołał:

— Na zgubę śmiałków! to dzieciństwo! zobaczymy, jak skończą! Prochy i broń nową Wittemberg nam posyła, lada dzień mi nadejdą, weźmiemy się do nich inaczej. Czary nie czary, damy im radę przecie. Za zdrowie Karola! na zgubę Jana! piję wiwat zdobycia Częstochowy!

Wszyscy podnieśli kielichy do góry, wiwat rozległ się hałaśnie; gdy wtem wystrzał działowy, jakby mu odpowiadał, zagrzmiał i cały namiot pochylił się i padł na zebrane towarzystwo. Kula klasztorna dobrze wykierowana uderzyła w róg jego.

Przestrach był ogromny, ucieczka pierzchliwa i bezładna, rzucono kielichy, przeskakiwano ławy i wszyscy pod wodzą Millera pobiegli ku miasteczku, tak zwinnie i chyżo, jakby im lat odjęto, a sił dodano. Miller, obłąkany, klął straszliwie.

Zbrożek i Komorowski, którzy tam byli, choć się także ulękli, śmiali się w duszy ze strachu Szwedów i pośpiesznej ich ucieczki... Nie opamiętała się starszyzna aż o paręset kroków od namiotów.

Generał zbladły, rozjątrzony, milczał, zaciąwszy sine usta.

Jakie wrażenie na wojsku uczyniły te wypadki, nie potrzebujemy opisywać: żołnierz, znużony leżeniem pod twierdzą, myślą jakiejś potęgi nadludzkiej przygnieciony, zwątpił o sobie i narzekał. Zdrętwieni i zrozpaczeni Szwedzi poglądali na trupa, którego miecznik położył, i zdawali się mówić do siebie oczyma:

— Taki los nasz wszystkich.

Starszyzna, której najwięcej ginęło, bo, chcąc dać przykład, najśmielej się posuwała, sama już nie mogąc pojąć klęsk swoich, traciła ochotę i odwagę. Wszyscy wyglądali rychło im pozwolą się cofnąć, nie tając, jak tego pragnęli.

Zdawało się bowiem niepodobieństwem zdobyć Częstochowę, której niepojęte, niewidziane broniły zastępy. Pod namiotami Finnów, dzieci chmurnej północy, o niczem nie mówiono, tylko o czarach mnichów, które dziwne przybierały postacie w oczach zlęknionego żołdaka. Siłą prawie pędzić ich było potrzeba pod mury; a po dzisiejszych wypadkach taki opór pokazał się w wojsku, tak głośno szemrać poczęto o daremnych stratach, że Miller dalsze kroki zaczepne do dwóch dni zawiesił. Przyczyną tego był także w części niedostatek prochów. Wielkie działa, które przyszły bez zapasów, wprędce wyczerpały amunicję Millera; potrzeba było oszczędzać, pókiby Wittemberg nie nadesłał z Krakowa. Położenie Szwedów, pomimo wyższości ich sił, było przykre bardzo; sama mnogość żołnierza, którego użyć razem było niepodobna, stawała się ciężarem; wioski okoliczne z trudnością wyżywić mogły, zima doskwierała, przestrach codzień się szerzył.

Chodziło o to, jak się cofnąć bez wielkiego wstydu. Miller jeszcze tego nie przypuszczał, choć już inni wiedzieli, że na tem skończyć się musi; Wejhard nawet, zamknięty w swoim namiocie, gniewny, smutny, milczał i wzdychał, jakby go zgryzoty męczyły.

Na ostatniej radzie książę heski, Sadowski i Polacy głośno wynurzyli dowódcy, że wypadało się cofnąć i ustąpić, ale ofuknął się groźnie.

— Nie! nie! nie pójdziemy ze wstydem! oczekuję prochów, sam powiodę do szturmu i zdobędę ten kurnik przeklęty! Muszę go zdobyć i zniszczyć!

Wszyscy zamilkli, rada się rozeszła.

XVI.

Dwa dni następne upłynęły spokojnie, Szwedom dowódcy dawali folgę dla wzmocnienia ich spoczynkiem do nowych trudów; klasztor gotował się do obrony. Przerażona tylko szlachta, którą nowe nawet powodzenie oręża natchnąć duchem męstwa nie mogło, szerzyła między sobą marne baśni, to minami grożąc, to w samem Szweda milczeniu i spokoju widząc powody do obawy i oznakę nowych przygotowań.

Przeor postanowił nic nie widzieć i nie słyszeć; wyraźna opieka Boża nad miejscem świętem napełniała go otuchą i nadzieją; wreszcie prosty rozsądek wskazywał, że

Szwedzi zbyt grożą, by istotnie straszni być mogli, a zima odpędzić ich musi. Spodziewał się Kordecki odstąpienia ich rychłego i spokojnie nań czekał.

Wieczorem pierwszego dnia po wycieczce, był to 21-szy grudnia, stara żebraczka, która od dni kilku nie ukazywała się w klasztorze, zastukała znowu do bramy i wpuszczona pośpieszyła do przeora, który stał niedaleko z zakonnikami, naradzając się o podziale żywności, już poczynającej braknąć.

— Ojcze dobrodzieju, — odezwała się, biorąc go za połę płaszcza, — a to, o com prosiła?

— O cóżeś to prosiła, stara sługo Matki Boskiej?

— A, o to biedne dziecię zginione.

— Przyznam ci się, żem zapomniał.

— Każcie, ojcze, śledzić panią Płazinę, ona w konszachtach z Krzysztoporskim, ona pewnie wie, co się z tą dzieciną stało.

— Niechno, niechno, moja stara, teraz mamy cięższego coś na głowie, — rzekł przeor — jeśli tylko odkradziona a schowana, odkryjemy to biedactwo, ale dziś ciężko o tem myśleć.

— Ale to biedactwo cierpi! — zawołała Konstancja.

— Na panią Płazinę tylko porozumienie, dowodów niema; wiecie, że szlachta i tak nie ochotna, woła na nas o pomstę do nieba, że się nie poddajemy; trudno tak naoślep szukając, do reszty ją drażnić. Da Bóg, że się to wszystko skończy, a rozjeżdżać się zaczną, dopilnujemy, żeby jej nie uwieźli.

Konstancja nie śmiała nic odpowiedzieć, pokiwała głową, pocałowała suknię księdza przeora i odeszła wprost do Krzysztoporskiego; tu siadła na wschodkach i zabierała się mu dokuczać, ale ledwie usłyszał jej: — Dobrywieczór, panie Mikołaju! — natychmiast się ukrył. Stara uśmiechnęła się.

— Uciekł tchórz! — szepnęła i poszła.

W dziedzińcach nie było kątka, któregoby pod jakimś pozorem nie zwiedziła; stała u okien Płaziny, badała górne okienko, podsłuchiwała rozmów, wreszcie pod pozorem jałmużny poszła do Zamojskich. Młody Stefan wyniósł jej mały datek.

— A co, paniczyku? — spytała go, — a co? nic nie wiecie nowego.

— Z oka nie spuszczam poddasza, — odparł młody chło-

piec — że tam ktoś mieszka, to pewna, bo często na szybie rozchuchane do patrzenia widać kółko; Płazina chodzi na górę dwa, trzy razy co dnia, zawsze sama, nigdy nie pośle nikogo... Hanna być tam może!

— Jabym to zaraz przeorowi powiedziała, bom go i tak prosiła, żeby Płazinę strzęśli, — smutnie odezwała się żebraczka — ale cóż? on teraz o tem nie myśli. Boję się ich inaczej płoszyć, żeby dziecku, jeśli tam jest, co złego nie zrobili... Trzeba, widzę, czekać! a Krzysztoporskiego nie widzieliście u niej?

— Owszem, chodzi on tam, ale na krótko i to po nocy; we dniem go nie dopatrzył.

— Mówił mi i ksiądz Mielecki, że się czasem wymyka o zmroku, bo go także pilnuje... Bóg dobry, może uratujemy! Ale czekać a czekać! a tu taki strach o to biedactwo!

Aż tu i miecznik nadszedł; stara, jak go zobaczyła, żywo się chciała usunąć, ale pan Zamojski, zobaczywszy ją, zawołał:

— A to ty, moja starucho! dobrze, żeś przyszła, dawno się gotuję na jałmużnę dla ciebie, boś wierna i poczciwa sługa Matki Boskiej; wiele ci za kule winniśmy, a odważna, że niejeden wąsacz pozazdrościć ci może. Poczekajże...

— Dziękuję, panie miecznику, dziękuję, jam na jałmużnę niełasa, strawę mi tu każą dawać; kawał chleba, to jeszcze, a grosz mi naco? Łachman siaki taki grzbiet okrywa, niegłodnam, pocóż darmo nosić i chować pieniądze? Dajcie biedniejszym, tym, co sami nie wiedzą, naco grosza pragną, a mnie naco?

I rozśmiała się po dawnemu, dziko i niby wesoło.

— Sługa Matki Boskiej, sługa Matki Boskiej, albo to ja od królów i panów niebogatsza u takiej Pani? Naco mnie grosz? kiedym pod jej opieką. Już posagu nie zbiorę i zamąż nie myślę, chybaby się coś osobliwego trafiło, chan tatarski, albo królewicz chiński, a tak za tę hołotę senatorów i hetmanów, co się o mnie starają, pożal się Boże, służbę opuszczać.

Miecznik się uśmiechnął.

— Cóż ty za jedna? — spytał.

— Zachcieliście? — odpowiedziała, szał już udając — jakem się rodziła, nie pamiętam, młodości chciałabym zapomnieć, a mówić o niej nie warto, starszy wiek zszedł, jak z bicza trzasł, a na kościane lata takiem sobie dobre miej-

sce dostała u progu kaplicy, że już lepszego nie chcę, chyba na cmentarzu...

I roześmiała się znowu.

— Nigdzież nie masz znajomych, krewnych, coby cię przygarnęli?

— A naco mnie oni? alboż to mi źle, myślicie? Krewni nie przyznają się do żebraczki, bo w węzełku pusto, na łasce żyć, to wolę na Bożej niż na ludzkiej, do końca zdaje mi się niedaleko — u mojej Pani służba dobra, widzicie, żem wesoła i raźna...

To mówiąc, jakby naumyślnie wzięła się w boki, podgarnęła nieco sieraka i, poskakując, zaczęła śpiewać:

Jestem sobie Małgorzata,
Mam pieniążki w każde lata...
Jestem sobie gospodyni,
Pełno u mnie gęsi w sieni...
Mam pieniążki, mam i dworek,
Mam i łączkę, mam i borek.
Jestem sobie gospodyni,
Pełno u mnie dusiów w skrzyni...

Dwa dni nieprzerwanej ciszy długiemi się wydały oblężonym: wśród nieuchronnego niebezpieczeństwa straszniejszem może nad nie jest niepewność i oczekiwanie. Co chwila zdawało się bojaźliwym, że w powietrze wylecą, inni obawiali się, żeby ich nie poddał spisek jaki: szturm niespodziany lub opanowanie bramy.

Przeor i starsi miarkowali dobrze, że rozejm ten był oczekiwaniem na coś braknącego Szwedom, radzi go byli zerwać, a nie śmieli, bo i na swoje zapasy prochu, saletry, siarki i kul oglądać się musieli. Tymczasem codziennie ubywało żywności, a zapas jej nie był zbyt wielki; szczęściem adwent, i niedostatek, przy pobożnych zwyczajach ojców naszych, zwykłych obchodzić się małym pokarmem, przygotowując do uroczystego obchodu przyjścia Zbawiciela, łatwiejszym do zniesienia czynił.

Stół zakonników i racje oblężonych były coraz skromniejsze: trochę suchej ryby, chleba czarnego, oleju, warzywa, czasem szklanka miodu lub piwa, cały składały posiłek. Nikt się na to nie uskarżał; przeor tylko zaglądał do składów i śpiżarni, błogosławiąc a rachując, na ile to, co Bóg dał, wystarczyć może. Wiara tego człowieka była tak wielka, iż nie wątpił o rozmnożeniu cudownem chleba i ry-

by, jak gdy lud karmił Chrystus na puszczy. Nie frasował się zbytnio, jakby przeczuciem wiedziała dusza jego proroczа, że Bóg na nich nie dopuści ostatniej z klęsk — głodu.

Nic go zachwiać, nic zachmurzyć i przerazić nie mogło, odpychał zwątpienie od siebie i od drugich, jednemi zawsze wielkiemi słowy, wiary i zgody! I tak był pewien ocalenia, jakby oczyma swemi oglądał je wprzód, niż się spełniło. Nikt w tym względzie nie dorównywał jemu. Wszyscy mieli chwile zwątpienia, boleści, wszyscy mieli godziny słabości, on jeden od nich był wolny, a jeśli go dotknęły, to wnet gorącą modlitwą i pokorą odpędzał grzeszne strachy, i korzył się u krzyża, który nań zlewał pociechę i męstwo. Przyciśnięty, ratował się pieśnią do Ducha Świętego, a nim ją ukończył, zbroja okrywała piersi, pogoda wyjaśniała czoło.

Tego bohaterskiego stanu duszy jego nic zmienić nie potrafiło, czas nawet, który kruszy ludzkie postanowienia rdzą niepowodzeń powolnych, czas zdawał się go zbroić i wzmacniać. Więcej czuł obawy w początkach samych, dziś tyle przetrwawszy, już o niczem nie wątpił, czuł cud i wierzył weń.

Ale obok niego oprócz dwóch wodzów nieustraszonych także, rozgrzanych walką, w której życie zaczerpnęli, prócz garstki wiernych reszta codzień traciła siły, codzień potrzebowała wlania ducha nowego. Nawet księża, przy codziennym bezpośrednim wpływie Kordeckiego, wytrwać z nim nie mogli; wsparci na chwilę, upadali, wstydzili się, podnosili i na wiarę zdobyć nie umieli. Nieustannej tu potrzeba było pilności, czuwania, by nie dać się nigdy wzmóc tym panicznym strachom, ciągle je przerywać i gasić. Przeor pracował w pocie czoła, w bólu serca walcząc ze słabością ludzką. I nie rozjątrzało go to, ani gniewało, bo serce jego nie znało gniewu nigdy, litość w niem zastępowała to uczucie; okazywał surowość, gdy jej było potrzeba, ale nie czuł niechęci, znużenia, niecierpliwości. Z słodyczą anielską rozpoczynał to dzieło Penelopy, co rana dokonane, co nocy sprute na nowo. I praca była bez końca! Z jednej strony potrzeba było nieustannej odwagi, z drugiej cierpliwości nieustannej.

Takie było wielkie dzieło Kordeckiego.

Trzeci dzień miał się ku wieczorowi, przeor był w swojej celi na rozmyślaniu, gdy pierzchliwa szlachta wpadła, oznajmując mu przybyłe z Krakowa posiłki szwedzkie.

— Ojcze przeorze, zginęliśmy! — zawołali, cisnąc się tłumnie — wozy idą z Krakowa, prochy, broń, posiłki dla Szwedów!

— Cóż tedy, dzieci moje, — spytał łagodnie, — a nie widzieliście, czy idzie tam im w pomoc hufiec aniołów, zastęp cherubinów, potęga Maryi, jak nam?

Szlachta zastygła na tem zapytaniu.

— Ludzkie to siły, — kończył przeor — a mieliście czas przekonać się, że tych się nie obawiamy.

Słowa Kordeckiego padły grochem o ścianę, niema uczucia, coby się łatwiej rozbudziło, zaraźliwszem było i żywiej się rozszerzało nad strach; jest to płomień, co w chwili obejmuje, czego dotknie, żelazni tylko i kamienni opierają mu się ludzie.

Szlachta, gdy przeor wyszedł, poczęła biec za nim, przed nim, chwytać go za ręce, za poły i powtarzać:

— Ojcze przeorze, zginęliśmy! zginęliśmy!

Naprożno Kordecki cieszył ich, uspokajał, upewniał, nie było sposobu; dopiero, gdy wyszli na podwórze, a Zamojski to oblężenie zobaczył, huknął na tchórzów surowo, i umilkli.

Drogą od Krakowa, od Olsztyna szły istotnie długim szeregiem wozy ładowne, jak sądzono, — z prochami i bronią. Czarniecki pierwszy je zoczył zdala i gotował się, gdyż droga przesuwała się na wystrzał działowy, przyjąć je ogniem i zniszczyć choć w części; ale nim wozy doszły do miejsca, gdzie kule dosięgnąć ich mogły, zrobiło się tak ciemno, że musiano myśli tej zaniechać.

Przeor stał długo na murze, spokojnie się temu przyglądając, gdy gęstym już mrokiem postrzeżono pod mur podkradającego się żołdaka — poznano pana Jacka Brzuchańskiego. Poczciwy mieszczanin, pomimo że już raz wpadł był w ręce Szwedów i ledwie się z nich wywikłać potrafił, przyniósł w woreczku trochę ryby, a na strzałę włożywszy list jakiś, wystrzelił nią pod nogi przeora. Ten łuk go zgubił.

Szwedzi, którzy łuków nie mieli, poznali po nim szpiega i rzucili się nań, nim miał czas, łuk złamawszy i opodal cisnąwszy, uciec. Znowu więc schwycony został, a Kordecki tak się tem zgryzł i przeraził, że długo po list u nóg leżący nie sięgnął.

— Niechże go Matka Boska broni! — zawołał, — bo

wierne i poczciwe człeczysko, poświęcał się i poświęca dla nas... ale biada mu, jeśli go zawiodą do generała!

— Każemy hakiem zdjąć rybę, którą nad fosą położył, — rzekł Zamojski — dobra i to, a co za niego, można wcześnie *Requiem* odśpiewać.

— Nie! nie mówcie tego, — z pewną mocą i przekonaniem odparł Kordecki — okupim go, jeśli potrzeba, klasztor nie opuści sług swoich, Szwed da się ułagodzić pieniędzmi; będzie wolał trochę srebra nad jego życie, a Matka Boska ma go dosyć na okup sług swoich.

List, wystrzelony przez Brzuchańskiego, niepomyślne zawierał wieści: oznajmywał, że Szwedzi, przybyciem prochów wzmocnieni (wiedzieli o nich od rana), gotują się na nową napaść, że straszne przygotowania robią się w obozie, że ze wsi i miasteczek okolicznych ściągają drabiny, budują machiny, gotują belki zębate, mnóstwo kul, granatów, sznurów i pocisków smolnych przysposabiają.

Zaledwie list ten półgłosem odczytany został, a już cała twierdza wiedziała o nim, choć go się starano utaić; ktoś podsłuchał deliberujących, dał znać zakonnikom, obudził szlachtę i tak niespokojną i zawieruszył klasztorem. Ledwie przeor, zostawiwszy na murze dowódców, czyniących przygotowania na wszelki wypadek, przestąpił próg celi, wtoczyli się za nim zakonnicy i szlachta, po krótkiej wrzawliwej naradzie w refektarzu. Przeor wiedział zawczasu z czem idą, cierpliwie wysłuchał racyj powtarzanych wielokrotnie, ale kilka tylko słów odpowiedział na nie.

— Odpowiedź dawna służy i na dziś, — rzekł — próżne naleganie wasze, twierdzy nie poddam, jeśliście wy uparci w bojaźni, ja stały jestem w ufności Boga.

Przerwał, wysunąwszy się, ksiądz Błeszyński:

— Ale czyż przystoi nam, zakonnym ludziom, co się świata wyrzekli, przelewać krew i walczyć? wszak wkrótce i żywności zabraknie, nielepiejże wcześnie?

— Ojcze Matjaszu! — zawołał Kordecki — czy przysięgaliście na posłuszeństwo?

— Pamiętam je i gotówem na nie! — odpowiedział z pokorą zakonnik.

— Zostawcież troski, staranie i odpowiedzialność na mojem sumieniu, a róbcie, co władzą moją polecam.

Zakonnicy usunęli się, szlachta nalegała jeszcze:

— Co do was, panowie, — rzekł Kordecki — daremne są i prośby, i groźby, a choćby i krzyki. — Będę się modlił

do Ducha Świętego, aby was męstwem natchnął, a com postanowił, to uczynię.

Napróżno nastawali: przeor był nieporuszony i, jakby nie słyszał nic, począł swoje papiery przerzucać na stole i zajmować się czem innem. Widząc, że próżno nacierają, szemrząc, ustąpili nareszcie.

Zawołano braciszka Pawła.

— Bracie mój, — rzekł przeor, gdy tylko wszedł — gdzieś tam około murów, blisko zapewne furty, leżeć musi na mrozie, swoim obyczajem, Konstancja, zawołajcie jej tutaj, muszę jej użyć za posła, kogo innego obawiałbym się narazić i dać w ręce Szwedowi, babie dadzą pokój.

— A ona tu jest w klasztorze! — rzekł brat Paweł.

— Przyślijcież mi ją do refektarza, ja tam idę.

Pośpieszył przeor i już zastał spartą na kiju staruszkę pode drzwiami.

— Całuję stopki księdza przeora,—odezwała się z ukłonem — cóż to za szczęście, że sługi Matki Boskiej zapotrzebowano?

— Żebyś tylko miała rozum, wielkąbyś mi mogła uczynić przysługę, ale naprzód powiedz mi, nie boisz się pójść do obozu szwedzkiego?

— Ja? — zaśmiała się stara — a zapytaj jegomość, ile tam razy byłam?

— No! tem lepiej, złapali mi już drugi raz Brzuchańskiego, i malarz dobry, i człowiek poczciwy, potrzeba go koniecznie z ich łap wyrwać; idźcie i powiedzcie mu, by za siebie okup ofiarował, ja pieniądze dostarczę. Ale żywo, stara, by go czasem naprędce nie obwiesili.

— Duchem się sprawię! duchem, ojcze, zobaczycie... — rzekła i ruszyła się.

— Do rozmowy użyjesz którego z kwarcianych — dodał ksiądz Kordecki.

— Poco? — spytała stara.

— A jakże się z nimi rozmówisz?

— Toć tam między nimi Niemców siła, a ja po niemiecku szwargoczę...

Zdziwili się księża tej niespodzianej umiejętności, ale już poseł był daleko.

Na tę podróż musiała Konstancja przybrać swoją dawną wesołość obłąkania — uśmiech i żarty; szła, kłaniając się żołnierzom w prawo i w lewo; ci, nie wiedząc, co znaczy to

zjawisko, zważywszy jej łachmany i szał, puszczali dalej bez przeszkody.

Tak minąwszy trupy, leżące znów wkoło twierdzy, potem świeże usypy ziemi i pogasłe ogniska, namioty i wozy, dopchała się z wielką biedą w stronę, w której się spodziewała znaleźć pana Jacka.

Jakieś przeczucie wiodło ją do miejsca, gdzie biedny mieszczanin, jeszcze po szwedzku ubrany, stał przed starszyzną, co go już naprędce sądziła.

Nieco opodal kilku czeladzi obozowej stawili już jednoramienną szubienicę, zbitą naprędce z dwóch kloców; Brzuchański blady był i niemy prawie, choć w istocie obawiał się nie tak śmierci, jak, że go nagle pochwycić miała bez przygotowania i spowiedzi, i do kwarcianych kilku, co tam z ciekawości przybyli, odzywał się półgłosem, prosząc o księdza.

Obok sędziów prawie kilku oprawców Szwedów sposobili rózgi, żar i kleszcze, łatwo zgadnąć na co; chciano mękami wydobyć z niego tajemnicę, dla której się, jak sądzono, narażał. Pan Jacek, ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, widząc, że już nic niema do stracenia, nastawił się mężnie.

— Jak mam umierać, — rzekł — to przynajmniej poczciwie i odważnie, choć pędzel nie szabla, ale ręka od niego drżeć się nie uczy.

Zapytano go poco chodził? odparł śmiało, że chciał dać znać klasztorowi o przybyciu prochów i przygotowaniach Szwedów.

— To zdrada — rzekł oficer.

— Niekoniecznie i zdrada — odpowiedział Jacek, — zakonnicy ojcowie nasi, dobrodzieje. Matka Boska, Matka nasza, gdybym tego nie zrobił, tobym zdradził...

— Z czemże chodziłeś?

— Z niczem więcej.

— To być nie może, mów, czekają cię męki.

Brzuchański spojrzał na przygotowania, ruszył ramionami i zamilkł. Przystąpili oprawcy, nie zmarszczył się, obnażono mu plecy, poczęli chłostać; on płakał i modlił się, ale cóż więcej mógł powiedzieć nad to, co było!

Już go miano piec, gdy kwarciani zaczęli za nim prosić, i Szwed nadbiegł, co to go Brzuchański tak poił, wstawiając się także za nim i za sobą.

— Wiecie, — odpowiedział oficer — że już skazany na śmierć!

Wtem właśnie Konstancja zbliżyła się do mieszczanina, ściskając go i całując; uląkł się zrazu, bo jej nie poznał, ale wśród niebronionych uścisków szepnęła mu, żeby zaofiarował okup za siebie, a przeor zapłaci za niego.

Z drugiej strony sami Szwedzi i kwarciani zaczęli nalegać, żeby go więcej nie męczyć, i stanęło na tem, żeby wieść pod szubienicę.

— Panie, panie, — odezwał się Brzuchański, stojąc, gdy go już oczepiano pętlą — ja się okupię, pozwólcie mi, dam co mam, a okupię się.

Szwedzi, jak to byli ludzie łakomi, zastanowili się, nikt tego nie przewidział: posłali do generała, a w chwilę nadbiegł goniec, żeby go prowadzić przed Millera.

Dowódca czekał na niego przed namiotem, a wbita przed nim latarnia na słupie oświecała tę scenę nocną. Brzuchański szedł ze stryczkiem na szyi, to struchlały ze strachu, to chwilami śmiały aż do zuchwalstwa. Było to w jego charakterze, że miał momenty odwagi nadzwyczajnej i bojaźni dziecinnej, taka to była natura... w ostatniej godzinie okazał się, jakim był zawsze.

— Co ty za jeden? — spytał groźnie Miller.

— Mieszczanin, malarz biedny — odpowiedział, trzęsąc się.

— Zdrajca! — zawołał generał.

— Nie, generale, — odparł śmiało — służyłem paulinom, bom im służyć powinien.

— Winieneś był służyć swemu królowi — nie im...

— Albo to mój król? — spytał Jacek.

Miller z pięścią się porwał, i „wieszać" — zawołał.

— Panie generale, ja się okupię — rzekł mieszczanin.

— Cóż mi dasz? chyba talara, bo twoje kiepskie życie więcej niewarte.

— Sto talarów, generale.

Miller pomyślał trochę, — żebyś broił znowu! nie, powiesić łajdaka!

— Sto pięćdziesiąt — odezwał się śmielej, widząc wahanie, Brzuchański.

— Dawaj dwieście i niech cię djabli wezmą! — krzyknął Szwed, — a nie, to na szubienicę.

— Kiedy nie mam, — odezwał się malarz — wola wasza.

— No! dajesz dwieście?
— Nie.
— Nie dasz?
— Nie mogę.
— Gdzież talary?
— Złożone w klasztorze.
— A ha! to nie w domu?
— Ba! — odpowiedział naiwnie mieszczanin — jakby tu były, tobyście je dawno wytrzęśli.

Miller bezwstydnie się rozśmiał.

— Każcie mnie odprowadzić do bramy klasztornej, a tam zapłacą z moich pieniędzy.

— Bestja! niegłupi! — rzekł Szwed — to szczęście twoje, że o ciebie i podobnych tobie nie dbam, idź do klasztoru i powiedz, niech tam na mnie czekają, wkrótce mieć mnie będą.

Brzuchański chciał zaraz z szyi zrzucić stryczek.

— Nie! — krzyknął generał — wieść go tak przez cały obóz ze stryczkiem, a zedrzeć mu suknie szwedzkiego żołnierza, których nosić niewart, i nago prowadzić!

Jak rozkazano, spełniono; Konstancja pobiegła przodem przed nim z radosnemi poskokami, i nim powolnie wiedziony mieszczanin dowlókł się do furty, już tam na niego wysłanych półtorasta talarów czekało. Szwedzi oddali biedaka ze stryczkiem.

Brat Paweł osłonił go zaraz kapotą czyjąś i Jacek, jak stał, nie zdejmując z szyi sznura, poszedł do kaplicy N. Panny, aby tu, jak więźniowie kajdany, jak kalecy kule, złożyć u podnóża Bogarodzicy stryczek, co go miał życia pozbawić; pomodlił się, zapłakał i wzięty natychmiast do klasztoru otoczony został ciekawymi.

Przyniósł on tu szczegółowe wieści o przygotowaniach szwedzkich, a zarazem chodzące też posłuchy o wielkiej sile tatarskiej, idącej w pomoc Janowi Kazimierzowi, który przeciwko tej dziczy wyciągnąć miał już na spotkanie i znajdować się w Żywcu. Nadzieja odsieczy nieco pokrzepiła oblężonych, choć powszechnie nic dobrego sobie nie rokowali, ale przeor ani, dał sobie mówić o kapitulacji, trzeba się było zgodzić z jego wolą niezłomną.

Nazajutrz sprawdziły się poniekąd przepowiednie szturmu: Szwed ze wszystkich bateryj razem począł dawać ognia, nie czyniąc jednak wielkiej szkody: ręce mu marzły. Załoga stała na murach gotowa szturm odpierać, ale szturm

był niepodobieństwem, bo ani działami wyłomu zrobić, ani miny podsadzić, ani przekopu zarzucić nie mogli, a zniechęcenie szwedzkiego żołnierza nawet dla oblężonych było już widoczne.

Około południa trębacz podał do klasztoru list generała, znowu silnie nalegający o poddanie. Pismo to zawierało argumenty w tym rodzaju:

„Chociażeśmy, pisał generał, imieniem, rozkazem i władzą Najjaśniejszego i Najpotężniejszego króla szwedzkiego, pana naszego Najmiłościwszego i naszem, to łagodniejszem, to surowszem staraniem, które, sądziliśmy, powinno było u was zasłużyć na uwagę i zastanowienie, pracowali, aby was skłonić do poddania, przecież i króla, i nasze uporem prawdziwym zawiedliście nadzieje, i dotąd tylko igraliście sobie, udając powtarzaną układów z nami ochotę, a jednak jeszcze raz spróbować ich z wami postanowiłem. Gdy królewskiem stałem jest postanowieniem, aby twierdza zdobyta była, na co, jak widzicie, pracę nieustanną łożymy, i miny nasze jużeśmy pod mur zbliżyli, a zarazem sprowadziliśmy inne ogniowe wojenne machiny przed dwoma dniami z Krakowa, dla zniszczenia, wywrócenia i zagładzenia klasztoru waszego, strzeżcie się więc..." i t. p.

Cały list był podobny, naprzemian to groźny, to upominający, to doradczy, wytwornie stylem wieku napisany; w ostatku protestował się Miller, że jeśli zburzyć będzie zmuszony Częstochowę, wina nie spadnie na niego.

Do przeczytania tego listu zbiegli się wszyscy, krom Zamojskiego i Czarnieckiego, którzy nie byli ciekawi; każdy w oczach przeora szukał wrażenia, jakie na nim uczyni, ale Kordecki był nieporuszony.

Zgiełk powstał w definitorjum, szlachta znowu wołała swoje:

— Poddawajmy się, poddawajmy!

Uśmiechem politowania wybuch ten przyjął przełożony.

— Ludzie słabego serca i małej wiary! — zawołał — jakże wam ciężko wytrwać króciuchną życia chwilę w utrapieniu i pracy! Tak! — dodał — będziemy traktować, choćby dlatego, żebyśmy uroczyste dni następne w pokoju i modlitwie spędzić mogli, bądźcie spokojni, odpowiem jutro.

Ostatnie wyrazy wymówił z tak gorzkim żalem, że wstyd nim przecie z obojętnych wycisnął.

XVII.

Nazajutrz, była to wigilja Bożego Narodzenia, przeor z rana usiadł dyktować odpowiedź, którą już w umyśle miał gotową; jak wszystkie jego listy, odznaczała się ona umiarkowaniem wielkiem, natchnioną znajomością serca ludzkiego i nadzwyczajną zręcznością, gdyż w Kordeckim męstwo i stałość, jakich dał dowody, nie wyłączało ostrości dowcipu, rzekłbym przebiegłości, gdybyśmy do tego wyrazu nie przywiązywali zbyt absolutnego znaczenia. Bolał on nad użyciem tej broni, do której wzięcia zmuszały okoliczności, opierał się traktowaniu dla zwłoki tylko, ale Zamojski przekonywał go zawsze, że w wielu razach jest to sposób jedyny.

„Wyznajemy, pisał do Millera, że jw. pan postępował z nami łaskawie i z wielką cierpliwością oczekiwał niejednokrotnie umowy z nami, a chociaż bylibyśmy winnymi, gdybyśmy się na wezwanie króla jmości szwedzkiego z klasztorem nie poddali; jednakże gdy jw. pan najsprawiedliwszym naszym odmówiłeś żądaniom, zwłokę tę przypisać potrzeba nie zuchwałemu przeciąganiu, ale postrachowi utraty swobód naszych. Teraz, z tąż łagodnością (Kordecki szydził trochę) przez jw. pana napomnieni, przystąpilibyśmy niezwłocznie do układów, gdyby uroczystości Narodzenia Pańskiego nie przeszkadzały; z tej przyczyny racz jw. pan dozwolić nam rozejmu, prosimy najpokorniej; my zaś od starszych naszych otrzymawszy wiadomość (do których odwołać się za zezwoleniem jw. pana możemy)..."

— A teraz co? — spytał przytomny Zamojski, uśmiechając się — przyrzeczesz-li waszmość poddanie?

— O! nie! — odpowiedział przeor — posłuchaj tylko dalej: *quod conveniens erit, faciemus.* Co przynależeć będzie uczynimy! że nam przynależy bronić się potem, to jasna rzecz, i tak też zrobimy.

— Nie! to darmo, już Szweda nie złapiecie, — przerwał Czarniecki — zna się na tem dobrze i nie wytłumaczy sobie, żebyśmy się mu poddali.

— Spróbujemy! kilka dni frysztu otrzymać nie zawadzi, — rzekł Zamojski — nie byłoby też od rzeczy do Wejharda dodać list błagalny, aby się wstawił; im sroższy prześladowca nasz, tem go więcej ugłaskać potrzeba. Zatem drugi list do Wrzeszczewica.

Zgodził się przeor i pokorną podyktował prośbę, a gdy

oba pisma były gotowe, i szło tylko o zaniesienie ich do obozu (w tem wielka była trudność), nikt się nie ofiarował iść z niemi do rozjątrzonego Szweda.

— Użyjemy więc tego posła, co nam Brzuchańskiego uratował, — rzekł Kordecki — nasza stara Konstancja swojej fatygi nie odmówi...

Posłano do bramy, ale Konstancji nie było w klasztorze, siedziała w swoim barłogu w fosie i gdy ją z murów zwołano, nierychło przybiegła, zdyszana i zmęczona stojąc u progu refektarza.

— Co mi to ojciec rozkaże? — spytała.

— Bieda słudze Matki Boskiej, zaprzęgają do roboty; musicie, moja kochana, spenetrowawszy już raz obóz szwedzki, pójść jeszcze z listem do Millera i do Wejharda.

— A czemuż nie, Szwedzi mnie, nie ja się Szwedów lękam, dawajcie tylko kartelusze, póki się nie przypóźni i nie ściemni, żebym jeszcze i powrócić mogła.

W refektarzu stół do wigilji zwyczajem staropolskim był zastawiony; na wąskich klasztornych stolikach leżało już trochę siana przypominającego narodzenie Chrystusowe w stajence, ale nie było snopów w kątku, bo ich nie miał klasztor, i czarny chleb zastępował białe strucle, naśladujące kształty spowiniętego dziecięcia. Na cynowym talerzu leżały opłatki; wziął jeden z nich Kordecki i przyniósł go do rozłamania żebraczce.

— Idź — rzekł — z Bogiem, poczciwa sługo, a przynieś nam uspokojenie.

Schyliła się do nóg prawie przeorowi Konstancja, odłamała drobniutką cząstkę, pokłoniła i szepnęła:

— A Hanna, księże przeorze?

— Uczynimy wszystko, co można, by ją odszukać, ręczę ci słowem kapłana!

Usłyszawszy to, uradowana starucha już odchodzić miała, gdy Zamojski zbliżył się do niej także z kawałkiem opłatka.

— Niechże i ja się z tobą podzielę, odważna kobieto, — rzekł — a daj nam Boże z przyszłym opłatkiem lepszych doczekać czasów i spokojniejszego pożywania daru Bożego.

Drzwi się zamknęły za żebraczką, a wkrótce za ukazaniem się gwiazdy cała ludność klasztorna i wszyscy zaproszeni na wigilję do refektarza ściągać się poczęli, korzystając z chwili wolnej, bo po odebraniu odpowiedzi przeora spodziewano się nowych napaści.

Smutny to był stół ów, który zwykle taka radość ożywia, pośpiesznie spożyto trochę biednych pokarmów, kilka ryb podanych przez Brzuchańskiego, trochę polewki, resztę suchych owoców. Głębokie milczenie panowało w refektarzu, każdy się śpieszył ukończyć tę biesiadę, która się zwykle przeciąga tak długo, tak ochoczo obchodzi, bo na noc lękano się szturmu, wszyscy radzi byli pośpieszyć na mury lub do kościoła. Wieczerza ta miała jakieś podobieństwo do uczt chrześcijan pierwszych wieków, gdy wśród agapów tajemnych oglądali się niespokojnie i słuchali, czy się nie rozlegnie nagle chrzęst rzymskiej zbroi i głos prześladowców. Nareszcie skończyła się smutna, a co żyło ruszyło na mury, a zakonnicy do chóru, bo zbliżał się dzień uroczysty i podwoić musiały modlitwy.

Oczekując odpowiedzi z obozu szwedzkiego, niepewni rozejmu, a raczej pewni, iż nań Miller nie zezwoli, dowódcy i lud załogi chodzili po murach; niekiedy zakonnik przesunął się, opatrując stanowiska, i nikt oka nie zmrużył, gdy dzwonek oznajmił srebrnym dźwiękiem mszę pasterzy. W kościele już stała starym obyczajem kolebka Chrystusowa i żłobek, pasterze, Matka, Józef święty i aniołowie... każdy, idąc na mszę, pomodlił się u szopki.

Po pierwszej mszy następowały co chwila inne, bo mnogo było księży w klasztorze, a każdy z nich odprawiał trzy ofiary symboliczne, tak że do białego dnia przerwy w nabożeństwie nie było. Na murach czuwano, mieniając się; w obozie szwedzkim ognie gęste, ruch wielki coś niezwyczajnego zapowiadać się zdały; zakonnicy nie bez przyczyny wnosili, że Miller, widząc ich zajętych nabożeństwem, zechce z tego korzystać: ale do dnia nic nie usprawiedliwiło tych dymysłów.

O świcie powróciła Konstancja, trochę dumna ze swego poselstwa, w dobrym humorze, z listem w ręku.

Kordecki, wyszedłszy do janitorjum, tu się z nią spotkał.

— No, a co tam, mój pośle?

— Wszystko się udało ślicznie, pięknie, jak potrzeba, — odpowiedziała — przyjmowali mnie z honorami, bo przez cały obóz prowadzili śmiechem i wrzawą, wołając: poseł z klasztoru! poseł mnichów! Nadęłam się tedy, jak mi przystało. Miałam też szczęście widzieć oblicze samego pana generała, który także do rozpuku śmiał się ze mnie, list przeczytał, głową kiwnął i rzucił go, nic nie powiedziawszy. Wej-

hard grzeczniejszy odpisał. Bardzo się mnie dopytywali, co tu się u nas dzieje; co myślą, co robią, ale widać jakoś nie mogliśmy się zrozumieć, to się niewiele nauczyli ze mnie. Szwedzi się gotują do czegoś, ale kto ich wie, co takiego... trudno zrozumieć, zawsze jakieś licho.

Przeor list czytał; Wejhard pisał, starając się go przekonać o swej gorącej dla klasztoru przyjaźni, dowodził, że się mocno wstawiał za zakonnikami do generała, ale Miller, tylekroć zawiedziony, już ufać nie chce; donosił wreszcie, iż wymógł odłożenie szturmu przez dzień jutrzejszy, dla obchodu święta Bożego Narodzenia, ale pozajutro powinni się poddać bez zwłoki. Jeśliby zaś tego jeszcze nie uczynili, generał grozi im zniszczeniem i obróceniem w popiół klasztoru: zaklął się w ostatku gorliwy przyjaciel na Boga i Matkę Jego, że nie groźbę rzuca, ale szczerą prawdę mówi i dalszemu nieszczęściu zapobiec nie potrafi.

Nie troszcząc się więcej o to, co nastąpić może, Kordecki pośpieszył urządzić wszystko do najuroczystszego nabożeństwa, które, poczęte o północy, skończyć się miało o południu, kościół jaśniał światłem, kwieciem ze szklarni dobytem, drogiem naczyniem ze skarbca przyniesionem i co największą jego ozdobą, ludem pobożnym.

Gdy się to dzieje na Jasnej Górze, w obozie przygotowania potężne: luteranie i kalwini pomodlili się krótko a węzłowato, po swojemu, w skleconej naprędce szopce i poszli zaraz do baterji, do min do pracy, bo ich święto czasu wojny niewiele widać obowiązywało. Sam generał, znudzony, znużony i niecierpliwy, dawał z siebie przykład; od świtu był na koniu, objeżdżał, zachęcał, krzepił, obiecywał łupy i obfitym rabunkiem chciał lud swój rozłakomić. Ale żołnierze słuchali tego z obojętnością zimną, niekiedy szyderską, jakby tylko brakło odwagi powiedzieć dowódcy: — Nie zdobędziemy twierdzy i nie dla nas te skarby.

Rozkazy się krzyżowały, przeciągano działa, ustawiano je, opasywano twierdzę dokoła ludem pieszym, związywano drabiny, ciosano kozły i tarany, kuto haki i narzędzia do szturmu służyć mogące. Z klasztoru tylko odzywały się dzwony, muzyka wesoła i śpiewy falami wiały aż do uszu Szweda; na murach zdawało się pusto.

Ilekroć dzwon, śpiew, odgłos jaki dał się słyszeć, żołnierz szwedzki spoglądał zukosa na klasztor i posępnie kiwał głową; wiara w nieprzełamaną siłę częstochowskich czarów tak już była wielka, że jej nic zachwiać nie mogło.

Ludzie, nie pojmujący, co może głębokie uczucie religijne, siłę jego zwali jak umieli; szło wszystko wedle rozkazów, ale one nie dadzą serca, gdy go niema, brakło zapału, każdy się trzymał zdaleka, nawet starszyzna, z której wielu wyjechało na cmentarz do Krzepic, już się niezbyt kwapiła naprzód.

Pomimo przyrzeczeń Wejharda, Miller, odpowiedzi nie otrzymawszy z klasztoru, a znając się już na tem, że mnisi tylko zwlekać pragnęli, rozpaczliwie rozkazał o południu ze wszystkich dział i moździerzy dawać ognia: była to napaść tak gwałtowna i jakby ostatni wysiłek.

Leciały kule, bomby, karkasy; silono się klasztor zapalić, obalić kościół, przysypać gruzami modlących się i zniszczeniem zmusić do wołania o litość. Kartauny, ustawione na baterjach, mniejsze działa i co było śpiżu, zaczęły gwałtownie, za danym znakiem strzelać na twierdzę.

Miller stał na wzgórzu i patrzał, oczekując zajadle, ze wściekłością w oku, z zapałem na twarzy... każdy pocisk trafny rozpromieniał mu lice, ale ich było mało; próżny huk gniew w nim podsycał. Wejhard opodal się trzymał, nie chciał już nawijać się na oczy rozjątrzonemu Szwedowi.

Kwarciani ze swojego obozowiska wyszli także patrzeć, na czem się to skończy, i nie kryli z oburzeniem, jakie czuli. Niejeden, zapatrzywszy się na twierdzę, chwytał szablę i już chciał na kark wpaść najezdnikowi, ale, przypomniawszy sobie położenie swoje, opuszczał rękę i z westchnieniem załamywał dłonie, jakby je chciał wstrzymać, by się daremnie nie rwały. Wysypani do jednego z szałasów i namiotów, w milczeniu głębokiem, miotani sprzecznych uczuć mnogością, stali, poglądali, jęczeli, a jeden na drugiego rzucał wzrokiem dzikim, nie chcąc winy przypisać sobie i szukając jej w bracie.

Ile razy wiatr dymy bateryj i twierdzy rozerwał i uniósł, Miller chciwie spojrzał, czy się co nie pali i nie wali; ale opoka jasnogórska stała niewzruszona, we mgłach tylko jakby w obłokach uniesiona w powietrze.

Była to jedna z najstraszniejszych chwil od początku oblężenia dla zamkniętych w twierdzy, gdyż małą garść rozdzielić musiano na wszystkie boki, wszędzie się bronić i czuwać... Bezsilny lud tulił się w podwórzach i spędzany tu i owdzie padającemi kulami, latał z krzykiem, nie wiedząc, gdzie skryć się bezpieczniej. Na dachach pękały pociski, trzaskały mury, waliły się ściany; kurzawa, dym, ję-

ki, wołania, wrzaski najodleglejsze napełniały kąty. Wielu bojaźliwszych w oczekiwaniu śmierci niechybnej leżeli na ziemi bez przytomności, modląc się i klnąc naprzemiany. Przeor z krzyżem w ręku wybiegł za pierwszym wystrzałem i pomimo kul, które pod nogi mu prawie padały, wstąpił na mur, żegnając...

Zamojski latał z miejsca na miejsce, wołając:

— Pilnujcie dachów, pilnujcie murów, baczność, nie traćcie serca! jeśli Boga kochacie, dzieci... brońmy się po męsku!

Czarniecki stał u dział, kierując niemi, nie mówiąc ni słowa, cały oddany swemu, czasem mu się tylko wyrwał wykrzyknik, gdy się udało trafnie wystrzelić, czasem się zmarszczył, gdy pocisk ponad głową jego ze świstem na klasztor leciał. Naówczas oko za nim posyłał, szukał szkody, jaką zrządził, ale rychło się uspokajał. Jakkolwiek strzały były gęste i obejmowały ze wszystkich stron twierdzę, a skierowane szczególniej na budowle dla zniszczenia ich, drugie ku obwodowym murom dla zrobienia wyłomu od strony północnej zwłaszcza, szkody nie okazywały się tak wielkie, jakby sądzić można. Wprawdzie na dachach nieustannie migały smolnemi płachty, żagwiami i sznurami opatrzone kule, niosące ogień, ale tu czeladź czuwała z wodą, a wielka liczba pocisków gasła sama w leżącym na nich śniegu. W podwórcach raz po raz trzaskały kule, ale ich oblamy muru tylko kaleczyły, raziły belki, wybijały okna; kilka czerepów padło na ludzi, kupą biegających z miejsca na miejsce, lecz nikogo nie zabiły. Inne kule ryły się głęboko w ziemię i opadały bezsilne, jakby cudowna odbiła je ręka.

Niemniej jednak przestrach był nie do opisania i, gdyby do bram dostać się było podobna, tchórze wybiliby się może przez nic, śpiesząc naprzeciw Szweda. Ale wrót dobrze strzeżono, a w izdebce u furty braciszek Paweł w nowej sukni, którą sobie sam uszył z trzech wynoszonych habitów i był z niej nieskończenie rad a szczęśliwy — siedział nad książeczką i modlił się spokojnie. Niekiedy pokiwał głową, gdy huczniej zagrzmiało i wracał do swego.

Kordecki przez cały ciąg strzelania nie zszedł na chwilę z niebezpiecznego stanowiska, z którego odciągali go napróżno starszyzna i zakonnicy.

— Moje miejsce dziś tu, — mówił — wy działami, ja krzyżem świętym wojuję — i żegnał. — Pokażcie mi, które wam działo szkodzi najwięcej — odzywał się — a na nie

wymierzę modlitwę. — I powolnym krokiem, przenosząc się z miejsca na miejsce, wszędzie rozdzielał błogosławieństwa.

Od północnej strony największa szwedzka kolubryna, rzucająca trzydziestofuntowe kule, łamała mur nieustannie, a choć go niewiele ujadła, już przecie znaczne były szczerby. Zmierzchało powoli, gdy tu nadeszli przeor z Zamojskim, spojrzeli, zasmucili się.

— Czasu im dziś nie stanie na zrobienie wyłomu, noc nadchodzi, a jutro zamurujemy dziury — odezwał się pan miecznik.

Kordecki nie odpowiedział, ukląkł, krzyż przycisnął do piersi i modlił się, a była to modlitwa, co cud wywołuje, co przebija niebiosa, co oko Boże ściąga na ziemię, natchniona, bolesna, łzawa, całą duszę podnosząca w swych dłoniach; nic nie widział, nie słyszał, nie czuł — przeżegnał wreszcie i promieniejącą wejrzał źrenicą, jakby się budził z zachwytu.

Szwedzkie działo z ogromnym hukiem rozpękło się na kawałki — puszkarze leżeli pobici, inni uciekali przepłoszeni, a zmierzch nagły, zimowy, ciemną szatą poczynał przykrywać okolicę.

Nagle ogień ustał na wszystkich punktach, jak uciął.

Cicho! tylko w klasztorze stoją zdumieni, osmoleni, drżący od pracy, schrzypli od krzyku starszyzna i żołnierze, jakby jeszcze czekali. Patrzą po sobie, milczą; rzekłbyś, że jeszcze nie dowierzają temu nagłemu uspokojeniu, poglądają na obóz. Tam ruch jakiś, wrzawa, popłoch, potem coraz ciszej, ciszej, szmery tylko głuche, tylko wozów skrzypienie i niekiedy przeciągłe wołania.

Czarniecki pokręcił wąsa.

— Ha! — rzekł — dobrze nas grzeli, pójdźmy obejrzeć, co też zrobili!

Przeor wstawał właśnie, zesłabły wytężeniem ducha, ale mocen wiarą i pogodny obliczem.

— Skończono! — rzekł ze łzami — skończono! w imię Boże, witam was, zwycięzców!

— Jakto? księże przeorze, — przerwał Zamojski — to dopiero początek.

— To już koniec — odpowiedział Kordecki.

— Jakżeto być może?

— Jestem tego pewny.

— Ale skądże? — nieśmiało podchwycił pan Piotr.

— Skąd? nie wiem! czuję, że to i postrach, i praca ostatnia... Chodźmy spocząć, lud uspokoić i pocieszyć.

To mówiąc, jął obchodzić mury, oglądać szkody dnia tego i ludziom ducha dodawać. Własnemi rękoma opatrywał rany, błogosławił, leczył i słowy krzepiącemi duszę umacniał zwątlonych; a gdy przyszedł do wylękłych, co się tulili po zakątkach, nie miał dla nich gniewu — litość tylko i pociechę.

— Dzieci, rozejdźcie się, — rzekł — niebezpieczeństwo minęło, spocznijcie, biedni.

Łza mu błyskała pod powieką, zrumienioną bezsnem, pracą i uczuciem; tak przyszli do wrót, u których właśnie szwedzką trąbkę i głos braciszka Pawła było słychać.

— Chodźmy — rzekł ochoczo, — zobaczmy, czego tam znowu chcą od nas.

Był to poseł z listem Millera, a pismo niósł gniewne, pełne groźby, srogie i zdradzające bezsilność. Już się w tym wybuchu przebijało zwątpienie, które miotało upokorzonym a wściekłym dowódcą.

— „Listy wasze — mówił — czczy dym nam przynoszą, dymu też i płomienia są godne, próżne w nich słowa, zwłoki, upór i...

— Nie czytajmy tego, — rzekł Kordecki — to zwrotka zwyczajna.

Dalej żądał Miller, żeby natychmiast albo poddali załogę królowi szwedzkiemu i załogę przyjęli, albo...

Tu już pan Zamojski się rozśmiał, a Czarniecki aż za boki pochwycił:

— Albo — czytali — za szkody, spowodowane uporem ich, zapłacili zakonnicy...

— Otóż jest — przerwał miecznik — *ultima ratio*, sięga do kieszeni...

— Czterdzieści tysięcy talarów za siebie, dwadzieścia tysięcy za szlachtę, będącą w twierdzy. Wziąwszy to, Miller obiecywał odstąpić i zaręczał im bezpieczeństwo. Jeśliby zaś nie posłuchali, groził znowu, że nie tylko nie ulży oblężenia, ale dokoła na mil trzy wszystko ogniem i mieczem spustoszy, dobra szlachty (to się stosowało do Zamojskiego szczególnie) zrówna z ziemią — „a wy — pisał do zakonników — nie pieniędzmi, ale osobami waszemi, nie mieniem, ale krwią mi zapłacicie".

— Ależ tęgi! — krzyknął Zamojski — jak mu słowo nie kosztuje.

Kordecki szepnął:

— To już dowód, że *ultimis spirat;* mówiłem wam i widzę to teraz jawniej jeszcze; okupu nie damy, bo i tak puścić nas musi, zniszczenia nie będzie miał czasu większego zrobić nad te, jakie już uczynił, bo kraj się budzić poczyna, poślemy mu tylko życzenie szczęśliwej drogi.

— Dobrej mu się zachciało kolędy, — zaśmiał się pan Piotr — sześćdziesiąt tysięcy talarów! Widzimy teraz, czego żądał, dopraszając się Częstochowy, chciał się nieboraczek obłowić tylko.

— A zapewniając nam nienaruszenie własności, wyjmował sobie pocichu to, co chciał wziąć tytułem kosztów wojny...

— Jakkolwiek bądź — dodał Zamojski — list to dziwny, i ślepy zobaczy, że mu źle, kiedy z tego tonu śpiewa.

— Zwyciężyliśmy, Bogu dziękować, Bogu! — zawołał przeor w pokorze. — On poratował niegodnych, cud wielki, cud głośny uczynił.

I w zapale wymawiając zcicha wyrazy, które nie doszły uszów towarzyszy, Kordecki pośpieszył do swojej celi.

XVIII.

My spójrzmy jeszcze na obóz szwedzki, abyśmy przyczynę Millera tak nagłej zmiany wyrozumieć mogli. Widzieliśmy zajętego przed chwilą oblężeniem z nadzieją jeszcze, zajadłością, wytrwaniem; Wejhard stał wdali i czekał, równie z nim pewien będąc, rychło białą chorągiew wywieszą.

Tak zbliżył się wieczór i generał, ku baterji północnej podjechawszy, widząc opieszałość swoich puszkarzy, na których najwięcej rachował, kazał przy sobie działa nabijać, celować i wystrzelać.

Ruszyli się trochę ludzie pod okiem wodza, lecz właśnie, gdy triumfował, bo kilka kul w murach uwięzło, za trzecim wystrzałem z ogromnym trzaskiem rozpękło się działo.

W tejże chwili prawie, wśród popłochu, jaki zrządził ten wypadek, ujrzano na znużonym i zabłoconym koniu śpieszącego posłańca, który dopytywał o Millera i ku niemu się kierował przez obóz do miejsca, gdzie widział zebraną starszyznę. Zmarszczył się generał, nie wiedząc jeszcze co

to znaczy, ale już źle wróżąc, że go wśród dział i boju tak pilno szukano, posłał ku gońcowi.

Jeździec wręczył oficerowi gruby plik papierów.

Wejhard, domyślając się, że wieści przyszły z głównej kwatery, spodziewając się w nich nowych rozkazów lub obietnicy posiłków od Wittemberga, poskoczył także dowiedzieć się, z czem goniec przybył tak śpiesznie.

Ale już Miller, rzuciwszy tylko okiem na listy, poznawszy pieczęcie kancelarji Karola Gustawa, puścił się do swojego namiotu. Za nim rzucili się wszyscy i w tej chwili ogień ustał, bo dalszych zabrakło rozkazów.

Zsiadłszy z konia, Miller rozerwał pieczęcie, ale lepszy żołnierz niż czytelnik podsunął karty pisarzowi swemu, aby mu je czytał. Ten naprzód rozpoczął od rozkazu królewskiego, który inne depesze poprzedzał.

Tak! był to rozkaz, podpisany własnoręcznie przez króla szwedzkiego, choć zdawał się dziwnym: polecano Millerowi, aby niezwłocznie, szkody żadnej klasztorowi nie czyniąc, nie myśląc o zdobywaniu go, od oblężenia odstąpił.

Wyrażono przyczyny: że klasztor na Jasnej Górze w tak powszechnej czci u Polaków zostaje, iż napaść nań w całej Polsce oburzyłaby umysły przeciwko Szwedom; zatem ani się więcej kusić ma dowódca, ale natychmiast rzucić przedsięwzięte kroki i ciągnąć do Piotrkowa. Osobno wydane były rozkazy, aby Wejhard szedł do Wielunia, Sadowski do Sieradza, książę heski do Krakowa, a kwarciani do Małopolski, gdzie im stacje wyznaczono.

Słysząc czytanie rozkazu, Miller porwał się, spojrzał na Wejharda z wymówką i groźbą i kazał precz odejść pisarzowi. Milczenie głuche, milczenie zdumienia osiadło na ustach przytomnych; praca tak długa i ciężka nie tylko że nie została uznana za pożyteczną, ale daremną i szkodliwą osądzona i cały wysiłek ten próżny, wszelkie straty w ludziach, prochach, orężu, czasie poszły z dymem.

Czoła Millera i jego współpracowników gorliwych czarną się chmurą powlokły; mnisi, odwołujący się do Karola Gustawa, zwyciężyli, im upokorzenie i żal.

Nim się poczęli rozchodzić z namiotu, generał, jakby nową myślą tknięty, przykazał najsurowiej, by o rozkazie odebranym najgłębsze chowano milczenie.

— Jego królewska mość sam mnie tu wysłał, — odezwał się ponuro — gdybyśmy byli zdobyli Częstochowę, cofaćby się z niej nie kazał; mamy przed sobą dni kilka, możemy ją

opanować jeszcze. Gdy weźmiemy, karać nas za to nie będą, — dodał z dzikim uśmiechem — dla żołnierza potrzeba, żebyśmy nie odeszli napróżno, inaczej straci wszelką ochotę i odwagę...

Mówił napróżno, milczeli doradcy, nikt nie zgodził się na to, każdy rad był wycofać się z ciężkiego oblężenia i po daremnej pracy odpocząć. Książę heski odezwał się po chwili:

— Darujesz, generale, ale nam, nie wchodząc w to, co sobie poczniesz, potrzeba iść, gdzie rozkazują. Ja pozajutro ustępuję do Krakowa.

— Ja do Sieradza — dodał Sadowski — mam naznaczony dzień w rozkazie.

Wejhard tak się odezwał:

— Ja z panem generałem, póki rozkażesz...

— Bardzo dziękuję, ale mi to niewielką będzie pomocą, — rzekł Miller niechętnie — zresztą zobaczymy, co zrobim, a o rozkazach królewskich milczeć proszę.

Wszyscy się rozeszli, prócz Wejharda, którego rad się był najwięcej zbyć Miller, bo go niecierpiał, ale ten uparcie siedział.

— Panie generale, choćbyście znowu gniewać się mieli,— rzekł — jeszcze słowo tylko.

— Czyż już tych słów nie dosyć! — zawołał Szwed — one to podobno przyprawiły mnie o straty, o wstyd, wymówki...

— A nuż się wszystko da poprawić?

— O tem wątpię.

— Pieniędzmi! — szepnął Czech z uśmiechem.

— Hrabia myślisz, że i wstyd da się zapłacić?

— Zapewne, że nie, ale cóż za wstyd, żeśmy byli powolni do zbytku, łagodni, ufni z mataczami i kręcielami...

— Skądże przyjdą pieniądze?

— A naturalnie z klasztoru!

Miller się rozśmiał szydersko:

— Jakim sposobem? nudzisz mnie, hrabio, mów, co masz mówić.

— Wszak nie wiedzą o rozkazach, dzisiejszy ogień do reszty ich wystraszyć musiał; posłać, dając im do wyboru, albo zniszczenie lub okup.

Generał stanął i pomyślał, zawahał się, ale łakomstwo nakazywało próbę; zgodził się na radę Wejharda i wnet

ułożony został ten list, który przez trębacza wysłano do klasztoru wieczorem.

Nazajutrz milczały już działa, a z odpowiedzią od przeora szła rześko starucha, którą żołnierze przepuszczali, żartami tylko i śmiechem przeprowadzając. Postać jej była poważna, jak przystało posłowi, niekiedy opędzała się gawiedzi ruchem ręki lub ust i szła dalej, nie dbając na nią. Weselsi i młodsi przebiegali przed nią, kłaniając się jej z udanem uszanowaniem, zaskakiwali jej drogę, chwytali za łachmany.

Ona, uwalniając się od nich, wprost kroczyła do namiotu Millera, którego zastała otoczonym całą starszyzną, zgromadzoną dla narady i poszeptującą o wczorajszych rozkazach. Wejhard, Kaliński, Sadowski, Zbrożek, Komorowski, książę heski okolali dowódcę, wśród nich wszystkich odznaczającego się najsurowszą i najchmurniejszą twarzą. Na rozkaz jego pochwycono listy z rąk Konstancji, a ona zaraz drugi z przyłączonemi do niego książeczkami i obrazkami oddała Wejhardowi.

Ten podarunek bardzo widoczny, bo dobrą paczkę druków w różnych językach i wizerunków zawierający, był kolędą, przez Kordeckiego przysłaną hrabiemu i księciu heskiemu.

Miller i Szwedzi rozśmiali się szydersko, ale śmiech ich był smutny i złośliwy. Każdy poglądał na obrazki z jakiemś ciekawością zaostrzonem wejrzeniem, a przypatrywać się im nie śmiał. Wejhard schował swój dar pośpiesznie, wstydząc się go przed różnowiercami; książę heski wziął, usiadł i poważnie czytać zaczął historję świętego obrazu.

Miller rzucił okiem na list swój, skrzywił się i podał go Wejhardowi ze znaczącem spojrzeniem; zdawał się mówić: patrz, co mi odpowiedzieli. Oba sprzątnęli rychło pisma odebrane i umilkli.

Wtem, gdy obóz szwedzki odpoczywa, a Konstancja wraca bez odpowiedzi, coś dziwnego zaszumiało w Jasnej Górze.

Miller pogląda, zdumiewa się, nie pojmuje; z dział na wiwat strzelają, rzekłbyś, że wiedzą już o ustąpieniu bliskiem Szwedów, słychać muzykę, dzwony i wesołe, huczne okrzyki. Przez chwilę zawrzało coś w sercu Szweda, bo się zląkł szyderstwa i chciał zaraz mścić za nie, ale na zapytanie, co się stało, Zbrożek mu odpowiedział:

— Dzień to św. Stefana, imieniny dwóch Zamojskich

i kolęda; jest u nas zwyczajem, że muzyka obchodzi wszystkich i zbiera podarki, składając powinszowania.

Działa częstochowskie coraz żwawiej biły.

— Mają dosyć prochu! — rzekł Miller ponuro.

— Widać, kiedy go tak ochoczo psują — dodał Zbrożek.

Wejhard, blady i rozgniewany, uciekł.

W klasztorze, jak świt, Kordecki przybył z całym zakonników szeregiem do mieszkania pana Zamojskiego; niósł w ręku wielki obraz Matki Boskiej malowany na blasze i piękny, agatowy różaniec w złoto oprawny. Za nim szeregiem szli księża, a opodal część szlachty, muzyka, puszkarze, ludzie z załogi. Pan miecznik, jak skoro ich postrzegł tak uroczyście ku sobie idących, porwał się z objęcia żony, która mu ze łzami imienin winszowała, i biegnąc naprzeciw przeora, zawołał z uniesieniem:

— A! ojcze, nie jestem godzien!

— Jesteś godzien, kochany mieczniku, — poważnie rzekł Kordecki — obrońcy ołtarza Matki Boskiej, słudzy Jej przychodzą ci życzyć długich lat życia i pomyślności. Niech Bóg błogosławi ciebie, rodzinę twoją i wszystko, co cię otacza, nie targowałeś się z nim o żywot swój i tych, co ci byli najdroższi, gdyś je składał w ofierze; Bóg ci go przedłuży, obłogosławi i opromieni. Przyjmże nasze życzenia, kochany Stefanie starszy i następco Stefanie, a ten obraz, jako pamiątkę Patronki od ubogich paulinów, a ten różaniec ze skarbca Matki naszej, jako dar od Niej...

Miecznik, żona jego i syn płakali, rozczuleni tą uroczystą przemową, zakonnicy koleją szli ściskać i całować pana miecznika, a wtem działa wszystkie twierdzy huknęły wiwatem ogromnym, aż pani Zamojska krzyknęła: Jezus, Marja!

— Nic to, kochana pani, — rzekł jej przeor — na honor to waszego małżonka i *vivat Stephanus* strzelać kazałem!

A tu i muzyka zagrała kolędę wesołą pod drzwiami.

— Ale na Boga! — zawołał Zamojski niespokojny — księże przeorze dobrodzieju, prochu i prószynki szkoda, a tu go tak marnie psujecie.

— Waszmość tu nie wódz, zwłaszcza dziś, nie wódz, tylko solenizant, — odparł Kordecki — tak! kochany mieczniku, a prochu mamy dosyć, niech Szwed zna, że pod skrzydłami Matki Boskiej i z takimi ludźmi, jak wy, nie boimy go się.

Szlachta, poczynająca serca nabierać, pod oknami, w sieni, na progu, wołała już także:

— Wiwat Ensifer! wiwat Zamojski! wiwat Stephanus!

Pan Czarniecki ją prowadził, ubrany choć do ołtarza: na nim żupan lity, pas złocisty, kontusz karmazynowy, szamerowany złotemi sznurkami, szabla suto sadzona, czapka z czaplem piórem; — stanął i zamiast oracje rozpocząć, rzucił się w objęcia miecznika, oba się popłakali.

— A taki ci nie daruję, choć solenizantowi, — szepnął Czarniecki — żeś mnie na tę wycieczkę nie wziął, to nie po kawalersku!

— Puhara! puhara! — rzekł głośniej zaraz — niech zdrowie pana Stefana, miecznikowej i konsolacji wychylim, choćby wodą, jeśli piwnice wysuszyło oblężenie.

— Nie! nie! — przerwał przeor — nie żałujcie, jest jeszcze czem godnych ludzi wypić zdrowie, a ja pierwszy choć małym kieliszkiem. Wiwat pan miecznik!

Działa nieustannie się odzywały, muzyka kolędowała zapalczywie, a poczciwi ludzie weselili się, jakby o kilka kroków nie groziły im zniszczenie i śmierć.

Dopiero w pół godziny opamiętali się wszyscy, że i na mury już zajrzeć wypadało, ale jakoś od wczorajszego dnia, nie wiedzieć czemu, nikt Szweda nie miał za Boże stworzenie; czuli wszyscy, że to był ostatni jego wysiłek, a niebezpieczeństwo minęło.

Wyszedł Zamojski, wyszła i muzyka za nim, kolędując od drzwi do drzwi, a działa jeszcze ognia dawały.

Ta radość Jasnej Góry, jeszcze Szwedem opasanej, była trafem dziwnym, jakby naigrawaniem się z jego wstydu i bezsilnej złości: tam cisza i posępny strach jakiś; po obozie włóczą się postacie zziębłe, blade, schorzałe i poglądają wilczym wzrokiem na mury, huk dział, choć nienabitych, przykro brzmi w ich uszach, na ziemi u nóg ich to zamarzła krwi struga, to potrzaskane koło, to droga kulą wyorana; chude ogniska kopcą, nie grzeją u sczerniałych od dymu namiotów, a rozmowa pogrzebowa; każdy liczy, co wycierpiał, co utracił.

I noc czarna pokryła wreszcie z jednej strony radość wielką, z drugiej zimne, ponure zwątpienie.

O mroku wydano nagle do pochodu rozkazy, ale w twierdzy nikt jeszcze o tem nie wiedział; wśród ciemności, jak złodzieje, poczęli ochotniej nieco do odwrotu spo-

sobić się Szwedzi, zdejmować działa z bateryj, wozy zataczać i namioty składać.

Jedna tylko Konstancja z fosy swej dostrzegła tego ruchu i z radością wielką pobiegła do wrót, stukając w nie kijem, jakby rozbić miała.

— Jezu Chryste! co tobie? — zawołał braciszek Paweł, zrywając od stolika — czy się co pali?

— Puszczajcie mnie, puszczajcie! — krzyczała żebraczka głośno — z dobrą idę nowiną!

Brat Paweł pośpieszył furtkę jej odemknąć, choć to już było po „Anioł Pański".

— A co? — zapytał.

— Szwedzi się pakują i odchodzą, — rzekła szybko — idę z tą kolędą do klasztoru.

I pobiegła szybko, a zastawszy wszystkich w refektarzu, nagle, jak zjawisko, ukazała się im na progu; w drodze jednak oprzytomniała trochę i nie śpieszyła z nowiną; chcąc się trochę pocieszyć wrażeniem, jakie sprawi.

Gdy ją ujrzeli wchodzącą, ksiądz Stradomski pośpieszył zebrać chleb i resztki jadła do koszyka i przyszedł z niemi do żebraczki.

— Ot twoja kolęda! — rzekł — sługo Matki Boskiej.

— A i ja nie bez kolędy też przyszłam — odpowiedziała z uśmiechem.

— No, a cóżeś nam przyniosła?

— Pożegnanie od Millera.

— Jakto? gdzie? czy list?

— Nie list, ukłony tylko.

— Cóżto prawisz? co ci polecił? mów — trochę niespokojnie począł dopytywać ksiądz Stradomski.

— On mi nic nie polecił, ale... Szwedzi się już do wozów garną, zabierają i odchodzą.

Kaznodzieja skoczył do przeora.

— Ojcze przeorze! *Deo gratias!* Szwedzi odstępują, Szwedzi odchodzą!

Ledwie ta wieść gruchnęła, rzekłbyś, że się izba zawali, taki się tam rozległ wielki krzyk radości.

— Kto to powiedział? to być nie może! — wołali w zamieszaniu wszyscy.

— Szwedzi ustępują! — powtarzali bojaźliwsi z obłąkaną radością. I wszyscy poczęli się cisnąć do staruszki.

Kordecki, zlekka przesunąwszy się przez natłok, stanął przed nią.

— Skąd wiesz, sługo Matki Boskiej, że Szwedzi odchodzą?

— I widziałam, i słyszałam: działa zdejmują, wozy sznurują, konie siodłają i klasztor żegnają.

— Byćże to może?

— Najpewniej.

— Dzieci! — zawołał przeor — chodźmy Bogu dziękować i litanję zaśpiewać. Może to być jakiś zwodny ruch, ale co Bóg da, to da!

Wnet wszyscy pierzchać z refektarza poczęli, jedni do kobiet z nowiną wesołą, drudzy za Kordeckim do kaplicy, inni na mur w nadziei, że coś zobaczą, a księża do chóru.

Wśród ciemnej nocy dostrzec nic nie było można; szmer tylko szeroko rozlegał się głuchy i wozów skrzypienie i tętent koni i głosy żołnierzy...

Konstancja znikła, poszła pod okno swej ukochanej i zasiadła tam dumać, całując swój chleba kawałek; potem wstała do Krzysztoporskiego się zbliżyć. On stał na miejscu swojem jak zawsze milczący, pożerany gniewem i troską.

— Słuchaj, — rzekła mu surowo stara, wytrzymując go wzrokiem silnym — czy cię, zapamiętały wrogu, i to cudowne dzieło Boże nie poruszy? czy się i teraz nie nawrócisz? Oddaj dziecię starcowi, przebacz, a będziesz jeszcze szczęśliwym i spokojnym!

Pan Mikołaj zaśmiał się tylko.

— Idź precz! — rzekł wzgardliwie, — idź precz, jędzo stara! lub jak psa cię zastrzelę.

Konstancja popatrzała nań długo z jakimś żalem i boleścią.

— Bądź więc zdrów, — przemówiła cicho — i niech ci Bóg w godzinie gniewu swojego nie pamięta i przebaczy.

Stary szlachcic milczał, a żebraczka zeszła ze schodków, szukając sobie miejsca na spoczynek, bo już po nocy do fosy swej dostać się nie mogła. Noc była zimna, ale ona do niej przywykła, przytuliła się do drzwi kościelnych, okryła łachmanami, skuliła w kłębek i tak zmrużyła oczy, szepcząc pacierze... dwie łzy boleści tajemnej, którą Bóg tylko widział, popłynęły powolnie z pod powiek i płynęły tak, choć spała, noc całą aż do dnia... z niewyczerpanego źródła, które sen otwierał.

XIX.

Zaświtało, zaczerwieniało na wschodzie, a oczy oblężonych czekały dnia, zwrócone już na obóz szwedzki, by się przekonać, że prawdą była nowina wczorajsza... Mrok jeszcze ranny nie dozwalał nic widzieć dokładnie, prócz, że się Szwedzi kręcili, a jak mrowia ludu było na blankach, mężczyzn, niewiast, zakonników, dzieci. Poczęło się coraz rozjaśniać, rozwidniać i prawda okazała oczywistą... Szwedzi szybko się wybierali w drogę, paląc, czego pozabierać nie mogli, niszcząc, co pod ręką mieli, krzyki mieszczan, dochodzące zdaleka, dowodziły rabunku i gwałtów na odjezdnem... Namioty już pościągane leżały kupami na wozach, działa wlokły się drogą, lud spędzony do robót około szańców rozsypywał się do domów, śpiesząc lub garnąc pod mury, chcąc pomodlić się jeszcze, nimby do pustych chat odszedł.

Przeor zwycięzca dziś smutniej czegoś poglądał na pole bitwy; wszystkie cierpienia i ofiary ludzi i żywoty tych, co tu polegli, odbijały się w sercu jego; stał milczący, poważny, wielki i od dnia tego święty prawie Częstochowy obrońca; — bo dzień ten zapisywał imię jego nieśmiertelne w księdze dziejów niezatartych; — wszyscy teraz widzieli w nim wodza i proroka, wszyscy głosili machabeuszowskie jego męstwo, wytrwałość, niezmordowaną cierpliwość i niezachwianą wiarę; dziś każdy za nim powtarzał:

„Melius est nos mori in bello, quam videre mala gentis nostrae et sanctorum, sic autem voluntas fuerit in coelo, sic fiet“.

Wśród tego uspokojenia nagły wystrzał i krzyk przeraźliwy wszystkich oczy odwrócił: pobiegli co żywo na północną kortynę, gdzie niebieskawy dym się jeszcze unosił. Na blankowaniu leżał rozciągnięty krzyżem Krzysztoporski, miotając się w konwulsjach śmierci; pierwszy przeor dobiegł do niego i nie pytając, co się stało, naprzód klął przy nim, widocznie konającego już spowiadać.

Ale obłok zgonu zasłaniał mu oczy, ściągały się usta ostatnim wysiłkiem życia, pasującego się ze śmiercią, ściskały pięści drgające i w chwili, gdy go przeżegnał kapłan, on żyć przestał.

Wystrzał włóczęgi Szweda, który, pod mur podkradłszy się, korzystając z nieuwagi wszystkich, rad był pomścić

się na katoliku za wycierpiane pod twierdzą trudy; ostatni wystrzał odchodzących Krzysztoporskiego obalił.

Wszyscy dokoła trupa poklękli, modląc się za jego duszę, gdy krok powolny dał się słyszeć wśród ciszy, była to żebraczka Konstancja.

Spojrzała, krzyknęła, podnosząc ręce, i rzuciła się na ziemię.

Nikt nie zważał na ten jej przestrach, na tę boleść dziwną, bo wszyscy byli tą niespodzianą stratą mężnego szlachcica zajęci; tłum cisnął się na mury oglądać ostatnią wojny ofiarę; tłumaczono sobie różnie tę śmierć, rozpytywano, krzątano się koło niego pocichu.

Nadeszła i pani Płazina, spojrzała, pobladła i rzuciła się pędem nazad do swojego mieszkania. Ksiądz Lassota poszedł do brata, który w łóżku leżał:

— Módl się — rzekł, otwierając drzwi — za duszę Krzysztoporskiego, szwedzki ciura go zastrzelił, nie żyje.

Starzec z początku jakby słów tych zrozumieć nie mógł, patrzał na brata z otwartemi usty i powieką, potem powolnie zwlókł się na kolana i nie okazawszy innego uczucia, prócz smutku, mówił zcicha Anioł Pański, a w modlitwie wspomniawszy, co wycierpiał i ostatnią najdotkliwszą stratę swoją, rozpłakał się rzewnie.

Wtem drzwi otwarły się żywo, szybko, gwałtownie, i wpadła jak obłąkana radością — Hanna! Blada, wycieńczona widać jakiemś długiem cierpieniem; wbiegła i wprost rzuciła się starcowi na szyję.

— Dziadziu! dziaduniu! ja znowu z tobą, ja znowu przy tobie.

Stary zaniemiał, radość dech mu zabiła, milczał i drżał; podano mu wody, począł ją ściskać, patrzeć na nią i nie pytał nawet, skąd się wzięła, tylko ją garnął do siebie, jakby się stracić znowu obawiał, a Hanna powtarzała:

— Ja z tobą, dziadziu! i do domu pojedziemy!

Nareszcie ksiądz Lassota, ochłonąwszy nieco, zapytał:

— Ale skądżeś się wzięła?... gdzieś była?... co się z tobą stało?

— Sama doprawdy nie wiem, — odpowiedziała — wiele ja tam lat przesiedziałam ukryta?

— U kogo?

— A! to bardzo poczciwa kobieta!

— Ale któż?

— Ta jejmość, której mnie oddaliście...

— Ja!... ciebie, oddać! — zakrzyknął starzec.

— A któż? — spytała Hanna — juściż widać, że to tak być musiało, ale mnie ta samotność namęczyła.

— Ale mówże, moja kochana Hanno, gdzieżeś ty była, kto cię tam zaprowadził?

Dziecię, uspokoiwszy się i przysiadłszy u nóg starca, tak się odezwało, całując jego rękę:

— Tego wieczora poszłam, wedle zwyczaju, pomodlić się u ołtarza, a bywało to już tak kilka razy, że gdy idę, to spotykam tę panią, a ona mi się kłania, zaczepia mnie, rozmawia ze mną. Tego dnia odwołała mnie na stronę w ciemny zakątek... Moje dziecię, powiada żywo, posłał mnie za tobą pan Lassota, niebezpieczeństwo grozi ci wielkie, Krzysztoporski przez zemstę nad dziadem chce cię zabić. Krzyknęłam strasznie, a ona: ale chodź tylko, ja cię schowam, że cię nikt nie znajdzie, nikt nie zobaczy, chodź tylko prędko za mną. Ja przelękniona, nie wiedząc, co się to dzieje, poszłam za nią; zaprowadziła mnie na górkę, zamknęła w ciemnej izdebce o jednem okienku; i tam mi jeść nosiła, pilnowała mnie, aż dopiero dziś rano...

Nie dokończyła, gdy Konstancja wpadła, kij rzucając u progu.

— Dziecko moje, dziecko moje — krzyczała, biegnąc ku Hannie.

Stary Lassota na głos ten, przypominający mu dawniej znany, porwał się z łoża zdziwiony i przelękły. Hanna uśmiechem powitała starą.

Ksiądz Piotr Lassota, zgorszony tą poufałością żebraczki, z ukochanem ich dziecięciem obchodzącej się jak z własnem.

— A ty tu poco? — spytał markotny.

Pomiarkowała się żebraczka i cofnąć chciała, gdy Jan Lassota odezwał się żywo:

— To ona!... to Konstancja!... w takim stanie!

Na te słowa z niejaką dumą odwróciła się kobieta:

— Tak jest, — odparła — to ja! wpierwej żona twoja, potem żona drugiego, ta, co ci zatruła życie, co za nie odpokutowała z późną skruchą, swojem życiem, życiem całem; zaparła się świata, mienia, nazwiska, w dobrowolnem ubóstwie, we łzach i poniewierce starałam się przebłagać Boga. To ja, com się dziecięcia mojej córki u wszystkich wyprzeć musiała, aby tą ofiarą uprosić sobie przebaczenie; — i dziś niegodnam was jeszcze, ani tej radości, na którą tylko przy-

szłam spojrzeć, pobłogosławić to dziecię i pójść, gdzie oczy poniosą... gdzie nikt z was więcej mnie nie zobaczy...

To mówiąc, gdy wszyscy milczeli, Konstancja wyjęła z lichej odzieży kawałek chleba i pokazała go Hannie.

— Ten to chleba złomek, którym mnie wnuczka, nie znając, obdarzyła, to mój skarb drogi!... połowę jego złożyłam na ołtarzu Matki Bożej, połowę na sercu noszę.

I ręką wyciągnioną pobłogosławiła Hannie, która się ku niej zbliżyła trochę zlękniona, trochę zmieszana i rozweselona. Lassota zaniemiał z podziwu i wzruszeń tylu; wtem żebraczka, jakby ją ofiara dobrowolna zmuszała oddalić się od nich, wzięła kij leżący na podłodze, rzuciła jeszcze okiem na wnuczkę, na męża i znikła nim się za nią gonić i chwytać ją opamiętali.

W podwórzu słychać było nieskładną jej piosenkę łzawą i śmieszną, dziwną mieszaninę wesela i obłąkania, brama się otworzyła, wyszła i nie wróciła więcej do Częstochowy.

Tak się skończyło to oblężenie pamiętne i piętnem cudu oznaczone: był to jedyny może obraz rzucenia się ludzi przeciwko sile niebios, wiary, walczącej z uczuciem swej potęgi, z stokroć silniejszym cieleśnie nieprzyjacielem, którego zmogła; obraz garści duchem wzniesionej nad tłumy i duchem je zwyciężającej. W tejże chwili, jakby zbudzony ze snu i odrętwienia, kraj cały ujrzał upokorzenie swoje, wziął oręż i potargał więzy, które sam sobie włożyć pomógł.

Dnia tego wszyscy Szwedzi ustąpili z pod Jasnej Góry, strwożeni, choć nie wiedzieli, co ich gnało, zawstydzeni, a w głębi przekonani, że nieludzką pokonano ich siłą. Siłę tę nazwali czarami, bo ślepi byli na wiarę.

Miller odjeżdżał gniewny, im bezsilniejszy, tem mocniej rozjątrzony; gotów mścić się na kraju za Częstochowę, która mu się tak zuchwale śmiała opierać. Nazajutrz, gdy mieszczanie z Częstochowy pod wodzą Jacka Brzuchańskiego i lud okoliczny zastukał do bram klasztoru, tłumami idąc powitać Matkę swoją, za którą przetęsknił tak długo; gdy szeroko otworzono im wrota, wielka radość napełniła serca. Wszyscy łzy mieli w oczach, znajomi i nieznajomi witali się i ściskali, winszując sobie; a bojaźliwsi ze sromem, pocichu wynosić się poczęli do domów, obejrzawszy na puste wprzód drogi.

Pan Zamojski, bojąc się jeszcze, by klasztoru nie napadnięto na niespodziane, pozostał, a Czarniecki także, bo się gorliwością nie dawał uprzedzić; kilku też z nimi przysiedii u księdza przeora.

Kordecki, zwycięzca kapłan, wrócił do zakonnej pokory, choć go wytrzymane oblężenie wiekuistą okrywało sławą w oczach współczesnych i potomnych. Rozesłano zaraz, oznajmując o odejściu Szwedów, na wszystkie strony z radosną nowiną oswobodzenia: do króla, do prowincjała, do opiekunów klasztoru, hrabiego Cellari, kasztelana Warszyckiego i innych życzliwych zakonnikom, a przeor wśród uniesień i powinszowań bezliku przybywających gości, schylając głowę skromnie, odpowiadał:

— Nie my, nie my! lecz Bóg zwyciężył.

KONIEC

+ Eds
d